

**Noah Gordon**

**MEDICUS**

**Tytuł oryginału The Physician**

*Kochanej Ninie, która mi dała Lorraine*

# **Część pierwsza**

# **Chłopak Balwierza**

## Diabeł w Londynie

Były to ostatnie bezpieczne i beztrioskie chwile dzieciństwa Roba, a on jednak w swojej nieświadomości uważał obowiązek pilnowania ojcowskiego domu, braci i siostry za dopust Boży. Tak wczesną wiosną słońce stało jeszcze na tyle nisko, że ciepłymi liźnięciami sięgało pod okap strzechy, Rob więc rozsiadł się na pochyłym szorstkim kamieniu przed drzwiami od ulicy i z lubością się wygrzewał. Ulicą Gęśli zbliżała się jakaś kobieta, ostrożnie stawiając stopy między wybojami w bruku. Bruk wymagał naprawy, tak samo jak większość nędznych wyrobniczych domków skleconych byle jak przez rzemieślników, którzy na życie zarabiali stawianiem porządnym domów dla ludzi bogatszych, cieszących się większym powodzeniem.

Rob miał do wyłuskania koszyk wczesnego groszku i jednocześnie starał się nie spuszczać z oka młodszego rodzeństwa, co pod nieobecność mamy było jego obowiązkiem. Sześciolatek William Stuart i czteroletnia Anna Mary grzebali się w ziemi przy domu, wśród chichotów oddając się swoim tajemniczym zabawom. Jonathan Carter, półtoraroczny malec, bełkotał z sytości leżąc na kożusku, nakarmiony papką z chleba i poklepany po plecach, póki mu się nie odbiło. Siedmioletni Samuel Edward wymknął się Robowi. Sprytny Samuel zawsze umiał się wymigać od pomocy, toteż Rob rozglądał się za nim z oburzeniem. Łuskał strączki jeden po drugim, jak mama wydłubując groszek z woskowych dołków kciukiem, i nie przerwał swego zajęcia, gdy zobaczył, że ta kobieta zmierza prosto do niego. Mięsiłą twarz miała jaskrawo wymalowaną, a sznurówka poplamionego stanika tak wysoko podnosiła jej piersi, że przy pewnych ruchach łyskały z niego uróżowane brodawki. Rob J. liczył sobie ledwie dziewięć lat, ale dziecko Londynu zawsze pozna ulicznice.

— Hej tam, to dom Nathanaela Cole'a?

Przyjrzał się jej z niechęcią, gdyż nie pierwszy to raz ladacznica pukała do ich drzwi pytając o ojca.

— A kto pyta?—burknął, zadowolony, że ojciec wybrał się szukać pracy, a mama poszła odnieść hafty i może uniknąć kłopotliwego spotkania.

— Żona go potrzebuje. Od niej przychodzę.

— Co mówicie? Jak to: potrzebuje go?

Zręczne dziecinne palce przerwały łuskanie groszku. Nierządnica przyjrzała mu się chłodno, po tonie jego głosu i zachowaniu zgadując, co o niej sądzi.

— To twoja matka? Skinął głową twierdząco.

— Zaczęła ciężki poród. Jest w stajniach Egglestana przy PuddleDock. Lepiej poszukaj ojca i mu powiedz— powiedziała i odeszła.

Rozejrzał się, nie wiedząc, co począć.

— Samuel! — zawołał, lecz przekłety Samuel jak zwykle zapodział się nie wiadomo gdzie, Rob oderwał więc Williama i Annę Mary od zabawy. — Zajmij się małymi, Willum — przykazał, po czym zostawił dom i pobiegł ile sił w nogach.

Gdyby wierzyć bajaranom, których nie braknie nigdy, Anno Domini 1021, rok ósmej ciąży Agnes Cole, był rokiem szatana. Zaznaczył się uciążliwymi dla ludzi klęskami i potwornymi wybrykami natury. Poprzedzającej go jesieni straszne mrozy spętały rzeki i ścięły zbiory. Spadły deszcze, jakich nie bywało, a wskutek nagłej odwilży wysoka fala wtargnęła do Tamizy zmiatając mosty i domy. Spadały gwiazdy wlokąc za sobą błyskawice i pokazała się kometa. W lutym wyraźnie zatrzęsła się ziemia. Piorun utracił szczyt krucyfiksu i powtarzano sobie po cichu, że Chrystus i jego święci posnęli. Podobno pewne źródło przez trzy dni tryskało krwią, a podróżni opowiadali, że w lasach i różnych tajemnych miejscach pokazuje się diabeł.

Agnes przykazała najstarszemu synowi, żeby nie dawał wiary tym bajdom, z troską jednak dodała, że gdyby Rob J. coś niezwykłego zobaczył albo usłyszał, ma uczynić znak krzyża.

Ciężko się żyło bożemu ludowi tego roku, gdyż zbiory zawiodły i nastąpiły ciężkie czasy. Nathanael przez cztery miesiące z górą nie zarobił ani pensa i zawdzięczał utrzymanie umiejętnościom żony, która pięknie haftowała.

Kiedy się pobierali, oboje byli chorzy z miłości i bardzo ufni w swoją przyszłość. Nathanael planował, że wzbogaci się jako przedsiębiorca budowlany, w cechu ciesielskim jednak awansowało się powoli i wszystko zależało od komisji egzaminacyjnych, które tak drobiazgowo oceniały każdy projekt, jakby był przeznaczony dla króla. Sześć lat był czeladnikiem, a dwakroć tyle towarzyszem stolarskim. Teraz powinien się już ubiegać o stopień mistrza ciesielskiego, niezbędny dla samodzielnego przedsiębiorcy. Aby jednak zostać mistrzem, trzeba było energii i pomyślnych czasów, on zaś nazbyt już utracił ducha, by się postarać.

Życie ich nadal uzależnione było od cechu, lecz teraz nawet londyński cech cieśli zawodził. Nathanael stawiał się co dzień rano w domu cechowym tylko po to, by się dowiedzieć, że żadnej pracy nie ma. Razem z innymi zrezygnowanymi towarzyszami szukał zatem pociechy w trunku, który zwali pimentem. Jeden z cieśli dostarczał miodu, inny przynosił korzenie, a w domu cechowym zawsze się znalazł dzban wina. Od żon innych cieśli Agnes wiedziała, że nierzadko jeden z nich wychodzi i sprowadza kobietę, której po pijanemu kolejno zażywają bezrobotni mężowie.

Pomimo wad Nathanaela Agnes nie potrafiła odsunąć go od siebie, gdyż wielkie czerpała upodobanie w rozkoszach ciała. Dbał o to, aby stale chodziła z brzuchem, i od nowa napychał ją dzieckiem, ledwie zdążyła wydać na świat poprzednie, a ilekroć zbliżał się jej czas, unikał domu. W ich życiu niemal dosłownie spełniły się ponure przepowiednie ojca Agnes, wygłoszone, kiedy już z Robem w brzuchu wychodziła za młodego cieślę, który się zjawiał w Watford do pomocy przy budowie stodoły sąsiada. Ojciec winił za wszystko jej edukację, twierdząc, że nauka napęłnia kobiety szaleństwem pożądliwości.

Jej ojciec był właścicielem niedużej zagrody, którą otrzymał od Ethekeada z Wessexu zamiast żołdu. Jako pierwszy z rodziny Kempów osiadł na roli. Walter Kemp oddał córkę na naukę w nadziei, że zapewni jej to małżeństwo z jakimś ziemianinem, ponieważ bogaci ziemianie przekonali się już, jak praktycznie jest mieć kogoś zaufanego, kto potrafi czytać i rachować, i że tym kimś może być żona. Goryczą napęłnił go widok córki wychodzącej za mąż tak nisko i niewybrednie. Ale biedak nie mógł jej nawet wydziedziczyć. Ta odrobina, jaką posiadał, przeszła za zaległe podatki na Koronę, kiedy umarł.

Ambicje ojca ukształtowały jednak życie córki. Pięć najszcześniejszych lat życia, jakie zapamiętała, były latami spędzonymi jako dziecko w szkole u zakonnice. Zakonnice nosiły szkarłatne buciki, biało-fioletowe habity i welony cienkie jak mgiełka. Nauczyły ją czytania i pisania, trochę łaciny niezbędnej do zrozumienia katechizmu, jak również kroju, szycia niewidocznym ścięciem i płaskiego haftu, tak eleganckiego, że był znany i poszukiwany we Francji jako haft angielski. „Fanaberie”, których się nauczyła od zakonnice, teraz żywiły całą rodzinę.

Tego ranka poważnie się zastanawiała, nim wybrała się odnieść wykonane hafty. Czas jej się zbliżał i czuła się ciężka i niezdarna, lecz spiżarnia świeciła już pustkami. Trzeba było iść na targ Billingsgate, kupić mąki i kaszy, a na to potrzebowała pieniędzy należnych od mieszkającego w Southwark, na drugim brzegu rzeki, kupca handlującego haftami. Z małym zawiniątkiem w ręku ruszyła więc powoli przez Thames Street w stronę Mostu Londyńskiego.

Na Thames Street kłębił się jak zawsze tłum jucznych zwierząt i dokerów kursujących z towarem między przepastnymi składami a lasem masztów przy nabrzeżu. Gwar spadł na nią

jak deszcz podczas suszy. Mimo wszystkich kłopotów wdzięczna była Nathanaelowi za to, że zabrał ją z Watford i zagrody. Jakże kochała to miasto!

— Wracaj, psiajucho, oddaj pieniądze! Ale już! — wydzierała się wściekła przekupka na kogoś, kogo Agnes nie mogła dojrzeć.

Śmiech mieszał się z gwarem obcych języków, przekleństwa padały jak czułe zaklęcia. Mijała po drodze obszarpanych niewolników dźwigających na statki ciężkie gęsi żelaznej surówki. Psy obszczekiwały uginających się pod tym strasznym ciężarem biedaków, pot perlił się na ich ogolonych głowach. Wciągnęła w płuca czosnkowy odór bijący od nie mytych ciał i metaliczny zapach surówki, a następnie przyjemniejszą woń płynącą od wózka, przy którym jakiś człowiek zachwalał paszteciki z mięsem. Ślina napłynęła Agnes do ust, lecz miała w kieszeni tylko jednego miedziaka, w domu zaś głodne dzieci.

— Paszteciki słodkie jak grzech! — wołał sprzedawca.

— Smaczne i gorące!

Baseny portowe pachniały rozgrzaną w słońcu żywicą i smołowaną liną. Idąc położyła rękę na brzuchu i poczuła ruchy dzieciaka pływającego w zawartym między jej biodrami oceanie. Na rogu gromada marynarzy z kwiatami przy czapkach śpiewała wesoło, a trzech muzykantów przygrywało im na piszczałce, bębenku i harfie. Kiedy ich mijała, zauważyła mężczyznę opartego o dziwaczny wóz z wymalowanymi znakami zodiaku. Mógł mieć jakieś czterdzieści lat. Zaczynały mu wypadać włosy, ciemnobrązowe jak i broda. Twarz miał ogorzałą, rysy miłe i byłby przystojniejszy od Nathanaela, gdyby nie tusza

— nosił przed sobą brzuch równie pełny jak ona. Tusza owa nie była odpychająca, przeciwnie, rozbrajała, pociągała i mówiła patrzącemu: oto przyjazna, braterska dusza, aż nazbyt rozkochana w tym, co dobre w życiu. Niebieskie oczy iskrzyły się i błyszczały nie przynosząc ujmy uśmiechowi igrającemu na wargach.

— Śliczna pani, będziesz moją turkaweczką? — zapytał. Zaskoczył ją, rozejrzała się, ciekawa, do kogo mógł to powiedzieć, lecz nikogo prócz niej w pobliżu nie było.

— Ha!

Normalnie zmroziłaby hultaja jednym spojrzeniem, aźby mu w pięty poszło, ale miała poczucie humoru i spodobał się jej ten mężczyzna, który je też okazał, i to niemałe.

— Jesteśmy jak stworzeni dla siebie. Życie dałbym za was, moja pani! — zawołał za nią z zapalem.

— Nie ma potrzeby, już Chrystus to zrobił, mopanku — powiedziała.

Uniosła głowę, wyprostowała plecy i odeszła kołysząc się kusząco i dźwigając przed sobą potwornie wielkie, rozdęte dzieckiem brzuszysko. Zawtórowała mu śmiechem.

Dawno już żaden mężczyzna nie złożył jej hołdu jako kobiecie bodaj żartem, toteż po tej absurdalnej wymianie zdań Agnes w lepszym nastroju przepychała się dalej Thames Street. Wciąż uśmiechnięta zbliżała się już do Puddle Dock, gdy chwyciły ją bóle.

— Matko miłosierna... — wyszeptała.

Ból szarpnął znowu, zaczynając się w podbrzuszu, lecz ogarnął wnet umysł i całe ciało. Nogi się pod nią ugięły. Gdy osunęła się na bruk, pękł worek z wodami. — Na pomoc! — zawołała. — Niech mi ktoś pomoże!

Natychmiast zebrała się londyńska gawiedź żądna widowiska i zewsząd otoczyły Agnes ludzkie nogi. Przez mgłę bólu dojrzała krąg ciekawych twarzy.

Jęknęła.

— Odsuńcie się, psu braty! — warknął parobek rozwożący piwo. — Kobieta nie ma czym oddychać. I dajcie ludziom zarobić na chleb powszedni. Zabierzcie ją z ulicy, bo wozy nie przejadą!

Zanieśli ją gdzieś, gdzie było ciemno, chłodno i mocno śmierdziało nawozem. Zanim się tam znalazła, ktoś zdążył się ulotnić z jej haftami. W głębi tego mroku poruszały się jakieś wielkie kształty. Gdzieś o deskę stuknęło kopyto budząc wyraźne echo i rozległo się głośnie rżenie.

— Co to? Hola, nie możecie jej tu wnosić — oznajmił kłótlivy głos. Należał do zrzednego człowieczka ze sterczącym brzuchem i szczerbatą gębą. Agnes poznała Geoffa Egglestana i pojęła, że jest w jego stajniach. Rok temu z okładem Nathanael przestawił w nich kilka boksów i do tego się teraz odwołała.

— Mości Egglestan—powiedziała słabym głosem —jestem Agnes Cole, żona tego cieśli, co go pan dobrze zna.

Wydało jej się, że dojrzała na jego twarzy błysk niechętnego rozpoznania i kwaśną świadomość, że nie może jej wyrzucić. Ludzie tłoczyli się za nim z oczyma błyszczącymi ciekawością.

— Proszę... — wydyszała Agnes. — Niech się ktoś zlituje i sprowadzi mojego męża.

— Nie mogę zostawić stajni — burknął Egglestan. — Musi iść kto inny.

Nikt się nie poruszył i nie odezwał. Ręka Agnes powędrowała do kieszeni w poszukiwaniu monety.

— Proszę... — powtórzyła wyjmując pieniążek.

— Spełnię chrześcijański obowiązek — od razu powiedziała jakaś kobieta, niewątpliwie ulicznica. Jej palce zacisnęły się na monecie jak szpony.

Ból był nie do zniesienia, jakiś nowy i inny. Do silnych skurczów Agnes przywykła, po dwóch pierwszych jej porody nie były zbyt trudne, gdyż spowodowały rozstąpienie się kości. Przed i po urodzeniu Annę Mary miewała poronienia, zarówno jednak Jonathan, jak i dziewczynka po odejściu wód wyszli z niej z łatwością, jak śliskie ziarenka spomiędzy palców. Takiego bólu jak ten nie zaznała przy żadnym ze swoich pięciu porodów.

Święta Agnieszko, pomodliła się w drętwym milczeniu, święta Agnieszko, wspomóżycielko jagniąt, zmiłuj się nade mną.

Zawsze podczas porodu modliła się do swojej patronki i święta Agnieszka przychodziła jej z pomocą, ale tym razem Agnes nie czuła nic poza nieustającym bólem i dzieckiem tkwiącym w niej jak wielki szpunt.

Tymczasem jej urywane krzyki przyciągnęły uwagę przechodzącej babki położnej, dobrze podchmielonej staruchy, i ona to klnąc przepędziła ze stajni gapiów. Podeszła do Agnes i przyjrzała się jej z niesmakiem.

— Te diabelne chłopy ułożyły cię w gnoju — mruknęła. Nie miało sensu przenoszenie jej na inne miejsce, gdyż wszędzie było tak samo. Babka zadarła spódnicę Agnes powyżej pasa, przecięła na niej bieliznę, odgarnęła zgnojną słomę sprzed otwartego sromu i wytarła ręce o brudny fartuch.

Z kieszeni wydobyla naczynie ze smalcem pociemniałym już od krwi i śluzu innych kobiet. Zaczepnąwszy trochę zjełczalego tłuszczu, ruchami jak przy myciu nasmarowała dłonie i wsunęła najpierw dwa, potem trzy palce, a na koniec całą dłoń w rozwartą pochwę rodzącej, która była już jak zwierzę.

— Jeszcze nie tak będzie bolało, moja pani — orzekła po chwili, smarując sobie ramiona aż do łokci. — To niebożę mogłoby się ugryźć w piętę, gdyby chciało. Wyłazi rzycią naprzód.

## Cechowa rodzina

Rob J. ruszył biegiem w stronę Puddle Dock. Potem sobie przypomniał, że ma szukać ojca, skręcił więc w kierunku cechu cieśli, każde bowiem dziecko członka cechu wiedziało, dokąd ma biec w razie potrzeby.

Siedziba londyńskiego cechu cieśli znajdowała się przy końcu ulicy Cieśli, w starej koszarowej budowli o ścianach z pali przeplecionych wikliną i pokrytych grubą warstwą tynku, który co parę lat trzeba było kłaść od nowa. W obszernym wnętrzu, na prostych krzesłach i przy stołach zбитych przez cechowych towarzyszy, siedziało kilkunastu mężczyzn w skórzanych kaftanach i pasach z narzędziami. Rob zobaczył wśród nich sąsiadów i członków Dziesiątki ojca, ale Nathanaela nie było.

Dla londyńskich rzemieślników parających się obróbką drewna cech był wszystkim: urzędem zatrudnienia, apteką, przedsiębiorstwem pogrzebowym, miejscem towarzyskich spotkań, ośrodkiem pomocy w okresach bezrobocia, sądem rozjemczym, agencją pośrednictwa i wynajmu, władzą polityczną i autorytetem moralnym. Było to stowarzyszenie rygorystycznie zorganizowane, składające się z czterech grup cieśli zwanych Setkami. Każda Setka Uczyła dziesięć Dziesiątek, które zbierały się oddzielnie w mniejszym gronie, i dopiero kiedy z takiej Dziesiątki ubywał ktoś wskutek śmierci, przedłużającej się choroby lub przeprowadzki, przyjmowano do niej jako terminatora nowego członka, zazwyczaj z listy oczekujących synów starych członków. Słowo starszego cechu rozstrzygało jak słowo panującego monarchy i do tej właśnie osobistości, do Richarda Bukerela, udał się teraz Rob.

Bukerel plecy miał pochyle, jakby przytłoczone odpowiedzialnością. Wszystko w nim wydawało się mroczne: włosy miał czarne, oczy koloru dębowej kory, obcisłe spodnie, bluzę i kurtę z surowej wełny ufarbowanej w wywarze z łupin włoskiego orzecha, a twarz ciemną jak wyprawna skóra, ogorzałą na słońcu przy budowie tysięcy domów. Poruszał się, mówił i myślał z rozwagą, z rozwagą wysłuchał też Roba.

— Nie ma tu Nathanaela, synu.

— Nie wiecie, panie majstrze, gdzie go szukać? Bukerel zastanowił się.

— Poczekaj no tu chwilkę — rzekł wreszcie i podszedł do siedzących w pobliżu kilku mężczyzn.

Do Roba dotarły tylko jakieś oderwane słowa i wypowiedziane szeptem zdanie.

— Jest z tą suką? — zapytał szeptem Bukerel. Po chwili starszy cechu wrócił.

— Wiemy, gdzie znaleźć twojego ojca—oznajmił.—Leć do matki, chłopcze. Znajdziemy Nathanaela i przyjdziemy tam za tobą.

Rob wybąkał słowa podziękowania i pobiegł w swoją stronę.

Nie przystawał, żeby odsapnąć. Uskakując przed ciężkimi wozami, wymijając pijaków i przemykając przez tłum, pędził do Puddle Dock. Po drodze dojrzał swego wroga, Anthony'ego Tite'a „Szczyła”, z którym w zeszłym roku stoczył trzy zażarte bójki. Anthony z dwójką przyjaciół, szczurów portowych, znęcał się nad paroma niewolnikami dostawcy portowego. Nie zatrzymuj mnie teraz, śmierdzielu, pomyślał chłodno Rob, bo cię załatwię. Tylko spróbuj.

Tak jak miał zamiar załatwić któregoś dnia tego bydlaka, swego tatę.

Zobaczył, że jeden z tych portowych szczurów pokazuje go Anthony'emu, ale już ich minął i biegł dalej. Bez tchu i z kluciem w boku zdążył do stajni Egglestana na moment, kiedy nieznaną starucha owijała noworodka.

W stajni gęsto było od smrodu końskiego nawozu i krwi jego matki. Mama leżała na ziemi, oczy miała zamknięte, twarz bladą. Zdumiało go, jaka jest mała.

— Mamo!...

— Jesteś jej synem?

Skinął głową, jego chuda pierś unosiła się i opadała. Stara charknęła i splunęła na ziemię.

— Niech matka odpocznie — poleciła.

Gdy przyszedł tata, na Roba prawie nie spojrział. Wozem wymoszczonym słomą, pożyczonym przez Bukerela od przedsiębiorcy budowlanego, zawieźli do domu mamę i noworodka, chłopca, który miał zostać ochrzczony imionami Roger Kemp Cole. Zawsze po urodzeniu nowego dziecka mama z żartobliwą dumą pokazywała im maleństwo. Teraz tylko leżała ze wzrokiem wlepionym w strop pod strzechą. Wreszcie Nathanael wezwał z sąsiedztwa wdowę Hargreaves.

— Nie da rady nawet karmić dzieciaka — uzalił się.

— Może jej przejdzie — pocieszyła go wdowa Hargreaves. Słyszała o jakiejś mamce i ku olbrzymiej uldze Roba zabrała niemowlę. Dosyć miał roboty przy pozostałej czwórce dzieci. Jonathan Carter co prawda przyuczony już był do nocnika, ale bez nadzoru matki chyba o tym zapomniał.

Nathanael został w domu, Rob J. mało się jednak do niego odzywał i tak manewrował, by schodzić ojcu z drogi. Brak mu było lekcji, jakie odbywali co dzień rano, mama bowiem umiała przemienić naukę w wesołą zabawę. Nie znał nikogo innego, kto by miał w sobie tyle ciepła, figlarnej czułości i cierpliwości do jego ociężałej pamięci.

Samuelowi Rob przykazał trzymać Williama i Annę Mary z dala od domu. Tego wieczora Annę Mary z płaczem upomniała się o kołysankę. Rob przytulił siostrę nazywając ją panną Annę Mary, najbardziej bowiem lubiła, kiedy tak się do niej zwracano, a na koniec zaśpiewał jej jakieś bzdury o kosmatych króliczkach i puszystych ptaszkach w gniazdku, ciesząc się, że nie słyszy tego Anthony Tite. Siostra twarz miała okrągłęjszą i ciało delikatniejsze niż matka, choć mama zawsze im mówiła, że Annę Mary rysy i charakter wzięła po Kempach, łącznie z rozdziawianiem ust podczas snu.

Nazajutrz mama wyglądała lepiej, ale według ojca te rumieńce na twarzy to była gorączka. Dygotała, toteż przykrywali ją dodatkowo czym się dało.

Trzeciego dnia rano, kiedy Rob podawał matce wodę, przeraził się jej rozpalonej twarzy. Poglaskała go po dłoni.

— Mój Rob — wyszeptala. — Mój mały mężczyzna... — Oddech miała nieświeży i bardzo szybko oddychała.

Kiedy ją wziął za rękę, coś z niej przeszło do niego. Była to świadomość, całkowita pewność tego, co ją czeka. Nie był w stanie zapłakać ani nawet krzyknąć. Włosy wstały mu na głowie, ogarnęła go niepomierna zgroza. Nawet człowiek dorosły nie wiedziałby, co z tym począć, a on był przecież dzieckiem.

W przerażeniu uściśnął dłoń mamy, aż ją zabolalo. Zauważył to ojciec i dzielił go kulakiem w głowę.

Na drugi dzień rano, gdy Rob J. wstał, matka nie żyła.

Nathanael Cole siedział i płakał, co wystraszyło dzieci, do których nie dotarło, że mama odeszła na zawsze. Nigdy dotąd nie widziały, żeby ojciec płakał, zbiły się więc w gromadkę blade i czujne.

Pochówkiem i wszystkim co z nim związane zajął się cech. Przyszły kobiety, choć żadna nie była blisko z Agnes, która z racji swego wykształcenia nie cieszyła się ich zaufaniem. Teraz jednak wybaczyły jej, że za życia umiała czytać i pisać, i ubrały ją do trumny. Rob zniecierlił na zawsze zapach rozmarynu. W lepszych czasach mężczyźni zgromadziliby się



dopiero wieczorem, po pracy, obecnie jednak wielu jej nie miało, przyszli więc wcześniej. Hugh Tite, ojciec Anthony'ego, zupełnie do niego podobny, zjawiał się w imieniu trumniarzy, komitetu, który od lat zaopatrywał w trumny zmarłych członków cechu. Poklepał Nathanaela po plecach.

— Dosyć nazbierałem twardych sosnowych desek. Resztki z tej roboty przy stawianiu karczmy Bardwella w zeszłym roku. Pamiętasz to piękne drewno? Będzie miała trumnę jak się patrzy.

Hugh był półzawodowym wędrownym cieślą i Rob słyszał, jak ojciec mówił z pogardą, że nie potrafi dbać o narzędzia, ale teraz Nathanael tylko skinął głową i wrócił do swojego kubka.

Cech dostarczył wszystkiego w obfitości, pogrzeb bowiem był jedyną okazją do pofolgowania sobie w jedzeniu i piciu. Poza jabłecznikiem i jęczmiennym piwem było jeszcze piwo słodowe i trunek z miodu zmieszanego z wodą i odstawionego na sześć tygodni dla fermentacji. Był też przyjaciel i pocieszyciel cieśli, piment, było wino morwowe zwane moratem i korzenny miód zwany meteglinem. Towarzysze cechowi przynieśli całe naręcza pieczonych kuropatw i przepiórek, wiele smażonych i pieczonych zajęcy i sarniny, wędzone śledzie, świeże psztaży i płastugi, jak również niezliczone bochenki chleba.

Cech podjął się zebrać dwupensową składkę na biednych w intencji świętej pamięci Agnes Cole i dostarczył żałobników, którzy poprowadzili kondukt do kościoła, oraz grabarzy, którzy przygotowali grób. U Św. Botolfa ksiądz nazwiskiem Kempton bezmyślnie odśpiewał mszę i polecił mamę Jezusowi, a towarzysze cechowi odmówili za jej duszę dwa psalmy. Na cmentarzu spoczęła u stóp niewielkiego cisa.

Po powrocie z pogrzebu kobiety odgrzały i podały stypę. Wszyscy długo jedli i pili, dzięki śmierci sąsiadki mogąc na chwilę zapomnieć o wikcie biedaków. Wdowa Hargreaves usiadła przy dzieciach i podsuwała im co smaczniejsze kąski, demonstracyjnie okazując swoją troskliwość. Przygarniała je do obfitego, pachnącego biustu, a one wierciły się, udręczone. Kiedy jednak Williama zebrało na wymioty, za dom wyprowadził go Rob i trzymał głowę zwijającemu się w kurczach, charczącemu dzieciakowi. Potem Della Hargreaves pogłaskała Williama po włosach i orzekła, że wszystko to z żalu po matce. Rob wszakże wiedział, że przekarmiła małego przyrządzonymi przez siebie potrawami, i już do końca stypy trzymał rodzeństwo z dala od jej marynowanego węgorza.

Chociaż rozumiał, co to jest śmierć, uświadomił sobie, że czeka, kiedy mama wróci do domu. Jakaś część jego istoty zbyt by się nie zdziwiła, gdyby otworzyła drzwi i weszła z zakupami zrobionymi na targu i pieniędzmi od handlarza haftów z Southwark.

„Lekcja historii, Rob. Jakie trzy germańskie plemiona napadły na Brytanię w roku pańskim 400 i 500?

— Anglowie, Jutowie i Sasi, mamó.

— Skąd przybyli, kochanie?

— Z Germanii i Danii. Pokonali Brytów na wschodnim wybrzeżu i założyli królestwa Northumbrii, Mercji i Wschodniej Anglii.

— Skąd tyle rozumu u mojego syna?

— Od mądrej matki.

— Ach! Masz buziaka za mądrą matkę. I drugiego za mądrego ojca. Nigdy ci nie wolno zapominać o mądrym ojcu...”

Ku wielkiemu zdumieniu Roba ojciec nie oszedł. Wydawało się, że Nathanael chce porozmawiać z dziećmi, lecz nie potrafił. Większość czasu spędzał przy naprawie strzechy. Parę tygodni po pogrzebie, kiedy odrętwienie jeszcze nie minęło, ale Rob zaczynał już pojmować, jak inne będzie teraz jego życie, ojciec znalazł wreszcie pracę. Grunt nadrzeczny

w Londynie, brunatny i grząski, to miękki, lepki muł, siedlisko małży niszczących statki, świdaków okrętowców. Plugastwo to straszne poczyniło szkody w drewnianych konstrukcjach, od niepamiętnych czasów wgrzyzając się w nabrzeża i dziurawiąc je jak sito, toteż niektóre wymagały wymiany. Praca była mordercza i niewiele miała wspólnego z budową pięknych domów, ale Nathanael był w potrzebie i przyjął ją z wdzięcznością.

Obowiązki domowe spadły na Roba, mimo że był kiepskim kucharzem. Często Della Hargreaves przynosiła jedzenie albo przyrządzała któryś z posiłków, zwykle gdy Nathanael był w domu, starała się też wtedy ładnie pachnieć, czule i troskliwie traktować dzieci. Była tęga, lecz w miarę pociągająca, twarz miała rumianą, wystające kości policzkowe i spiczastą brodę oraz małe pulchne dłonie, którym oszczędzała pracy. Rob zawsze się opiekował braćmi i siostrą, teraz jednak tylko on to robił, z czego ani on, ani oni nie byli zadowoleni. Jonathan Carter i Annę Mary nieustannie popłakiwali. William Stewart stracił apetyt, buzia mu się wyciągnęła i oczy zrobiły się ogromne, a Samuel Edward jeszcze bardziej się rozzuchwiał i przynosił do domu przekleństwa, którymi obrzucał Roba z tak złośliwym upodobaniem, że starszy brat nie widział innego wyjścia, jak poskramiać go laniem.

Starał się postępować tak, jak według niego mama by postąpiła.

Rankami, kiedy maleństwo dostało swoją papkę z chleba, a reszta jęczmienny chleb i coś do popicia, czyścił palenisko pod okrągłym otworem stanowiącym ujście dla dymu, przez który z sykiem leciały w ogień krople deszczu, kiedy padało. Wynosił popiół za dom, wyrzucał go i zamiatał podłogi. Okurzał nieliczne sprzęty we wszystkich trzech izbach. Trzy razy w tygodniu chodził na targ przy Billingsgate zrobić zakupy, które mama przynosiła do domu chodząc tam raz na tydzień. Wielu straganiarzy go znało. Gdy pierwszy raz się tam pojawił, ten i ów do wyrazów współczucia dołączył niewielki podarunek dla rodziny Cole'ów: parę jabłek, kawałek sera, pół niewielkiego solonego sztokfisa. Ale w ciągu paru tygodni on przywykł do nich, a oni do niego i targował się zacieklej niż mama, żeby nie myśleli, że mogą wykorzystać swoją przewagę nad dzieciakiem. Z targu włókł się jak najwolniej do domu, tak mu było nieśpieszno z powrotem przejmować od Williama ciężkie brzemie opieki nad dziećmi.

Mama chciała w tym roku posłać Samuela do szkoły. Wcześniej wymogła na Nathanaelu zgodę na naukę Roba u zakonników przy kościele Św. Botolfa, przez dwa lata więc co dzień chodził do szkoły parafialnej, potem jednak musiał przerwać naukę, aby ona mogła zająć się haftem. Teraz nikt do szkoły nie pójdzie, ojciec bowiem nie umie czytać ani pisać i naukę uważa za stratę czasu. Rob tęsknił za szkołą. Chodził po gwarnych dzielnicach tandetnych, ciasno skupionych domków, już prawie nie pamiętając, że kiedyś główną jego troską były dziecinne zabawy i widmo Tony'ego Tite'a „Szczyla”. Anthony i jego banda patrzyli, jak przechodzi, nie ścigając go, jakby strata matki uczyniła go nietykalnym.

Któregoś wieczora ojciec powiedział, że dobrze się spisuje.

— Zawsze byłeś nad wiek dorosły — oznajmił Nathanael niemal z przyganą. Popatrzyli na siebie zmieszani, nie mając wiele więcej do powiedzenia. Jeżeli Nathanael wolny czas spędzał z ladacznicami, to Rob o tym nie wiedział. Nadal nienawidził ojca, gdy pomyślał o losie matki, ale wiedział, że Nathanael walczy w sposób, którym ona byłaby zachwycona.

Łatwo mógłby przekazać opiekę nad braćmi i siostrą wdowie Hargreaves i z nadzieją przyglądał się jej zabiegom, bo miejscowi prześmiewcy i kpiarze już mu donieśli, że to ona jest kandydatką na jego macochę. Dzieci nie miała, jej mąż, Lanning Hargreaves, był cieślą i piętnaście miesięcy wcześniej zginął przygnieciony belką. Jeśli kobieta umierając zostawiła małe dzieci, obyczaj nakazywał, aby wdowiec szybko ożenił się powtórnie, toteż nikt się za bardzo nie zdziwił, kiedy Nathanael zaczął przesiadywać sam na sam z Delią u niej w domu. Nigdy jednak te wizyty nie trwały długo, Nathanael bowiem był zazwyczaj bardzo zmęczony. Z czarnych dębowych pni trzeba było ciosać czworoboczne pale i falochrony służące do

budowy nabrzeży, a następnie, podczas odpływu, wbijać je głęboko w dno rzeki. Nathanael pracował w wilgoci i chłodzie. Tak jak inni członkowie jego zespołu nabawił się głuchego kaszlu i wracał do domu obolały ze zmęczenia. Z dna zamulonej Tamizy wydobywali strzępy historii: rzymski skórzany sandał z długimi rzemieniami do wiązania w kostce, ułamaną dzidę, różne skorupy. Ojciec przyniósł Robowi płaski ułomek krzemienia, grot strzały ostry jak nóż, znaleziony na głębokości dwudziestu stóp.

— Rzymski? — zapytał przejęty Rob. Ojciec wzruszył ramionami.

— Może saski.

Ale co do pochodzenia monety znalezionej parę dni później nie było wątpliwości. Kiedy Rob zmoczył popiół z paleniska i cierpliwie ją oczyścił, z jednej strony poczerńiałego krążka pojawiły się słowa: Prima Cohors Britanniae Londonii. Kościelna łacina Roba okazała się ledwie wystarczająca.

— Wybita chyba na pamiątkę pierwszej kohorty przybyłej do Londynu — powiedział.

Z drugiej strony widniał Rzymianin na koniu i trzy litery: IOX.

— Co znaczy to IOX? — zapytał ojciec.

Rob nie miał pojęcia. Mama by wiedziała, lecz umarła, a poza nią nie miał kogo zapytać, schował więc monetę głęboko.

Tak przywykli do kaszlu Nathanaela, że już go nikt nie słyszał. Pewnego ranka, gdy Rob czyścił palenisko, dobiegły go zza drzwi jakieś hałasy. Otworzył i ujrzał Harmona Whitelocka, członka załogi ojca, i dwóch niewolników wypożyczonych od dokerów. We trójkę przynieśli Nathanaela do domu.

Niewolnicy przerażali Roba. Wolność można było stracić w różny sposób: jeniec wojenny stawał się własnością wojownika, kiedy ten darowywał mu życie, zamiast go zabić; na niewolę skazywano za pewne przestępstwa, na przykład za długi albo niezapłacenie kary lub grzywny. Razem ze skazanym szli w niewolę żona i dzieci, a także przyszłe pokolenia jego rodziny.

Ci niewolnicy byli wysocy, muskularni i na znak poddaństwa mieli ogolone głowy. Okrywały ich cuchnące łańchmany. Trudno było poznać, czy to cudzoziemscy jeńcy, czy Anglicy, bo nic nie mówili, tylko tępo wpatrywali się w Roba. Nathanael nie był ułomkiem, ale nieśli go, jakby nic nie ważył. Niewolnicy nawet bardziej wystraszyli Roba niż widok poźółkłej, bezkrwistej twarzy ojca, którego głowa osunęła się bezwładnie na bok, kiedy go położyli.

— Co się stało?

Whitelock wzruszył ramionami.

— Niestety. Połowa nas na to zapadła, człowiek nie tylko kaszle i spluwa. Dziś taki był słaby, że zważyło go z nóg, jakeśmy się zabrali do cięższej pracy. Mam nadzieję, że jak parę dni odpocznie, znowu się pokaże na nabrzeżu.

Nazajutrz rano Nathanael nie był w stanie zwlec się z łóżka, nie mówił, a chrypiał. Wdowa Hargreaves przyniosła gorącego naparu z miodem i zakrzątnęła się przy nim. Rozmawiali szeptem, po cichu, i kobieta parę razy się roześmiała, ale kiedy przyszła na drugi dzień, Nathanael miał wysoką gorączkę, nie był w nastroju do żartów ani czułości, więc szybko się wyniosła.

Jego język i gardło stały się jaskrawoczerwone, wciąż prosił o wodę. W nocy coś mu się przysniło i raz krzyknął, że Tamizą nadpływają śmierzący Duńczycy w łodziach o wysokich dziobach. W piersi zebrała mu się lepka flegma, której nie mógł odpluć, oddychał z coraz większym trudem. Gdy przyszedł ranek, Rob pobiegł do sąsiedniego domu po wdowę, lecz Delia Hargreaves nie chciała przyjść.

— Wygląda mi to na pleśniawki. Bardzo zaraźliwe — powiedziała i zamknęła drzwi.

Nie mając już dokąd się udać, Rob znowu poszedł do cechu. Richard Bukerel wysłuchał go z uwagą, wrócił z nim do domu i długo siedział w nogach łóżka Nathanaela, przypatrując się jego rozpalonej twarzy i przysłuchując charkotliwemu oddechowi.

Najłatwiejszym rozwiązaniem byłoby wezwać księdza. Duchowny co prawda najwyżej zapaliłby świece i odmówił modlitwy, lecz Bukerel mógłby umyć ręce od wszystkiego nie obawiając się krytyki. Przez parę lat zażywał powodzenia jako przedsiębiorca budowlany, ale odkąd został starszym londyńskiego cechu cieśli, tracił grunt pod nogami, starając się środkami ubogiej kasy robić więcej, niż to było możliwe. Teraz też, świadom losu, jaki czeka tę rodzinę, kiedy zabraknie ostatniego z rodziców, zdecydował się wyłożyć pieniądze cechu, by sprowadzić Thomasa Ferratona, medyka.

Tego wieczora żona zmyła Bukerelowi głowę.

— Medyka? A cóż to, Nathanael Cole stał się nagle szlachcicem? Każdemu w Londynie starcza balwierz, a Nathanael Cole potrzebuje medyka, który każe sobie słono zapłacić?

Bukerel wybąkał tylko jakąś wymówkę, gdyż miała rację. Jedyne szlachta i bogaci kupcy pozwalali sobie na kosztowne usługi medyków. Zwyczajni ludzie korzystali z pomocy balwierzy, czasem biedny wyrobnik wysupłał pół pensa na puszczenie krwi lub jakąś inną wątpliwą wartość usługę. Sam Bukerel uważał, że wszyscy ci uzdrowiciele to przeklęte pijawki, prędzej gotowe zaszkodzić niż w czymkolwiek pomóc, ale dla Cole'a chciał uczynić co tylko mógł, dlatego w chwili słabości wezwał medyka, wydając na to zarobione ciężką pracą składki innych cieśli.

Kiedy Ferraton przyszedł do Cole'ów, był jak najlepszej myśli. Wyglądał na uosobienie pewności siebie i powodzenia w obcisłych spodniach pięknego kroju i z mankietami koszuli przybranymi haftem, na którego widok Rob natychmiast poczuł ukłucie w sercu, gdyż przypomniał mu mamę. Pikowany kaftan Ferratona, uszyty z najcieńszej wełny, nosił plamy zakrzepłej krwi i wymiocin, głosząc wszem wobec, jak medyk uważał w swojej pysze, chwałę jego chlubnej profesji.

Zamożny z domu — jego ojcem był John Ferraton, kupiec wełniany — Ferraton praktykował u medyka nazwiskiem Paul Willibald, którego bogata rodzina zajmowała się wyrobem i sprzedażą cienkich kling. Willibald leczył bogaczy i Ferraton po odbyciu praktyki też się dorobił podobnej klienteli. Leczenie szlachty leżało poza zasięgiem kupieckiego syna, ale wśród ludzi zamożnych czuł się jak u siebie, łączyły ich wspólne nawyki i interesy. Nigdy świadomie nie przyjął chorego spośród wyrobników, a Bukerela wziął za wysłannika kogoś dużo lepszego. W Nathanaelu Cole'u natychmiast rozpoznał pacjenta nie przedstawiającego żadnej wartości, nie chcąc jednak robić sceny, postanowił sprawić się z tym przykrym obowiązkiem najszybciej jak potrafił.

Delikatnie dotknął czoła Nathanaela, zajrzał mu w oczy i powąchał jego oddech.

— No — powiedział — ujdzie.

— Co mu jest? — zapytał Bukerel, lecz Ferraton nie odpowiedział.

Rob instynktownie pojął, że medyk nie wie.

— To ślinogorz — orzekł w końcu Ferraton, wskazując na białe wrzody w purpurowym gardle ojca. — Ropne zapalenie natury przejściowej. Nic więcej. — Ścisnął krepulcem ramię Nathanaela, zręcznie je nakłuł i upuścił znaczną ilość krwi.

— A jak się nie poprawi? — zapytał Bukerel.

Medyk zmarszczył czoło. Nie odwiedzi po raz drugi tego domu biedaków.

— Dla pewności upuszczę mu więcej krwi — rzekł i nakłuł drugie ramię. Zostawił flaszeczkę kalomelu zmieszanego z węglem trzciniowym, biorąc od Bukerela oddzielnie należność za poradę, puszczenie krwi i lekarstwo.

— To pijawka! Krew z człowieka wysysa! Jaśnie wielmożny fajfus od wyżymania jaj —

mruknął Bukerel, odprowadzając Ferratona wściekłym spojrzeniem. Starszy cechu obiecał Robowi na odchodnym, że przyśle kobietę do opieki nad ojcem.

Wykrwawiony i blady Nathanael leżał bez ruchu. Parę razy brał chłopca za Agnes i próbował chwycić go za rękę, ale Rob pamiętał, co zaszło podczas choroby matki, i usuwał się przezornie. W końcu zawstydzony zbliżył się do łóżka ojca. Ujął stwardniałą od pracy dłoń Nathanaela, zauważając przy tym zrogowaciałe, połamane paznokcie, wżarty w ciało brud i szorstkie ciemne włoski.

Stało się to samo. Wyczuł jakieś przygasanie, jakby trzepotał się i gasł płomień świecy. Nie wiadomo skąd spłynęła na niego świadomość, że ojciec umiera i niewiele zostało mu życia, zdjęła go też niema zgroza jak wtedy, gdy mama leżała na łożu śmierci.

Za łóżkiem stali bracia i siostra. Był jeszcze mały, lecz bardzo inteligentny, toteż jego smutek i dojmujący strach zagłuszyła wymagająca natychmiastowego działania troska.

Potrząsnął ojca za ramię.

— Co teraz będzie z nami? — zapytał głośno.

Nie usłyszał jednak odpowiedzi.

## Rozdzielenie

Tym razem, ponieważ zmarł towarzysz cechowy, a nie tylko ktoś z jego rodziny, cech zapłacił za odśpiewanie pięćdziesięciu psalmów. Dwa dni po pogrzebie Delia Hargreaves wyjechała do Ramsey, gdzie mieszkał jej brat, a Richard Bukerel zabrał Roba na przechadzkę.

— Kiedy nie ma krewniaków, dzieci trzeba rozdzielić—powiedział dziarsko starszy cechu. — Wszystkim zajmie się cech.

Rob zdrętwiał. Wieczorem spróbował to wytłumaczyć braciom i siostrze, lecz jeden Samuel zrozumiał, o czym mówi.

— Więc nas rozdziela? — zapytał.

— Tak.

— Każde pójdzie do innej rodziny?

— Tak.

Tej nocy do jego łóżka ktoś się wsunął. Prędzej by się spodziewał Willuma albo Annę Mary, lecz to był Samuel. Objął Roba za szyję i przytulił się, jakby się bał, że spadnie.

— Niech oni wrócą, Rob.

— Też bym chciał.

Pogłaskał kościste ramię, które tyle przyjęło od niego kułaków, i razem sobie popłakali.

— I już nigdy się nie zobaczymy? Rob poczuł jakiś chłód.

— No, Samuel, nie bądź taki głupi. Na pewno zamieszkamy niedaleko i stale będziemy się widywać. Zawsze zostaniemy braćmi.

Pocieszyło to Samuela, który na chwilę przysnął, ale przed świtem zmoczył się w łóżku. Rano wstydił się i unikał wzroku Roba. Obawy jego nie były bezpodstawne, gdyż to on pierwszy miał odejść. Większość towarzyszy z Dziesiątki ojca wciąż zostawała bez pracy, z dziewięciu cieśli jeden tylko mógł i chciał wziąć do domu dziecko. Razem z Samuelem również młotki i piły Nathanaela powędrowały do mieszkającego o sześć domów dalej mistrza Turnera Horne'a.

Dwa dni później przyszedł z ojcem Kemptonem niejaki Ranald Lovell, ksiądz, który odśpiewał obydwie msze, za mamę i za tatę. Ojciec Lovell powiedział, że przenoszą go na północ Anglii i potrzebne mu dziecko. Obejrzał ich wszystkich i spodobał mu się William. Lovell był postawnym pogodnym mężczyzną o jasnoblond włosach i szarych oczach, z których, jak próbował sobie wmówić Rob, patrzyła sama dobroć.

— To do zobaczenia, William — powiedział Rob. Błady i roztrzęsiony brat był w stanie tylko skinąć głową, gdy opuszczał dom z księżmi.

Rob żywił cichą nadzieję, że może uda mu się zatrzymać dwoje najmłodszych, ale wydzielał już resztki jedzenia pozostałego ze stypy po ojcu i był trzeźwym chłopcem. Jonathana wraz ze skórzaną kurtą ojca i pasem na narzędzia oddano towarzyszowi stolarskiemu Aylwynowi z Setki Nathanaela. Kiedy przyszła pani Aylwyn, Rob powiedział jej, że Jonathan jest przyuczony do nocnika, ale kiedy się czegoś boi, potrzebuje jeszcze pieluchy, przyjęła więc sprane szmaty z uśmiechem i skinieniem głowy.

Małego Rogera zatrzymała mamka, która dostała też hafciarskie materiały mamy. Rob dowiedział się o tym od Richarda Bukerela, lecz sam tej kobiety nawet nie widział.

Annę Mary trzeba było umyć włosy. Mimo że robił to ostrożnie, jak go nauczono, trochę

mydła dostało jej się do oczu, piekło i paliło. Kiedy wytarł i przytulił płaczącą siostrę, poczuł, że jej czyste, brunatne jak sierść foki włosy pachną tak samo jak włosy mamy.

Nazajutrz lepsze sprzęty zabrali Haverhillowie, piekarz z żoną, i Annę Mary przeniosła się nad ich piekarnię. Rob sam ją do nich zaprowadził, ściskając siostrę za rękę.

— Do widzenia, kochana panno Annę Mary — szepnął przytulając ją do siebie. Chyba jednak uznała, że to on jest wszystkiemu winien, bo nie chciała się z nim pożegnać.

W pustym domu Rob został więc sam. Tego dnia wieczorem przyszedł go odwiedzić Bukerel. Czulo się, że starszy cechu sobie wypił, ale umysł miał jasny.

— Może potrwać, nim dla ciebie znajdziemy jakieś miejsce. Wszystkiemu winne te czasy. Kto wyżywi chłopaka, co to zje jak dorosły, a robocie dorosłego nie podoba? — Podumał w milczeniu i po jakimś czasie znowu się odezwał: — Jak byłem młodszy, wszyscy mówili, że gdybyśmy tylko mieli prawdziwy pokój i pozbyli się króla Ethelreda, najgorszego z tych, co doprowadzali do ruiny poddanych, nastałyby dobre czasy. Napadał nas wtedy kto chciał, Sasi, Duńczycy i te diabły, piraci. Kiedyśmy się wreszcie doczekali w królu Kanucie silnego i miłującego pokój władcy, to sama natura się uwzięła, żeby nie dać nam odetchnąć. Latem i zimą gnębią nas burze, od trzech lat zbiory zawodzą. Młynarze nie miały, żeglarze tkwią w porcie. Nikt nie buduje, rzemieślnicy próżnują. Ciężkie czasy, mój chłopcze. Ale znajdę ci miejsce, obiecuję.

— Dziękuję, panie majstrze.

Z ciemnych oczu Bukerela wyglądało zmartwienie.

— Przyglądam ci się, Robercie Cole. Widzę, jak dzieciak troszczy się o rodzinę niczym godny mężczyzna. Wziąłbym cię sam, gdyby moja stara była inna. — Zamrugał, uświadomił sobie ze zmieszaniem, że alkohol rozwiązał mu język bardziej, niżby sobie życzył, i ciężko dźwignął się na nogi. — Spokojnej nocy, Robię.

— Spokojnej nocy, panie majstrze.

Rob stał się więc pustelnikiem, a jego pustelnią były te prawie już nagie izby. Nikt go nie zapraszał do stołu. Sąsiedzi nie mogli zapomnieć o jego istnieniu, ale byli mu niechętni. Rano wpadła pani Haverhill, podrzuciła mu nie sprzedany wczorajszy bochenek chleba z piekarni, wieczorem pani Bukerel zostawiła maleńki kawałeczek sera. Zauważyła przy tym zaczerwienione oczy Roba i palnęła mu kazanie, że płacz to przywilej kobiety. Czerpał wodę z publicznej studni jak dotąd i sprzątał, lecz w cichym, splądrowanym domu nie było komu śmiecić, więc poza martwieniem się i udawaniem niewiele miał do roboty.

Czasami wyobrażał sobie, że jest Rzymianinem na czatach, kładł się za firanką mamy przy otwartym oknie i nasłuchiwał sekretów wrogiego świata: turkotu przejeżdżających wozów, ujadania psów, pokrzykiwania dzieci, śpiewu ptaków. Raz jego uszu dobiegła rozmowa grupki mężczyzn z cechu.

— Rob Cole to gratka. Powinni go zabrać z pocałowaniem ręki — mówił Bukerel.

Leżący w swojej kryjówce Rob słuchał, jak o nim mówią, jakby chodziło o kogoś innego.

— Ano, popatrzcie, jaki duży. Kiedy dorośnie, będzie silny jak koń pociągowy — przyznał niechętnie Hugh Tite.

A gdyby wziął go Tite? Roba przeraziła myśl, że miałby zamieszkać z Anthonym Tite'em. Nie bez ulgi usłyszał, jak Tite prycha z pogardą.

— Tylko że miną dobre trzy lata, zanim będzie z niego terminator ciesielski, a już teraz zje tyle co dobry koń. Nie brak w Londynie krzepkich ramion i pustych brzuchów.

Mężczyźni odeszli.

Dwa dni później z rana drogo zapłacił za grzech podsłuchiwania, usłyszał bowiem, jak Bukerelowa z piekarnią rozprawiają o działaniach starszego cechu cieśli.

— Tyle się gada, jaki to zaszczyt być starszym cechu. Chleba to nie daje. Wręcz

przeciwnie, same kłopoty i obowiązki. Już mi obrzydło, że muszę się dzielić swoim z takimi jak ten wyrośnięty darmozjad.

— Co z nim będzie? — zapytała wzdychając Haverhillowa. — Radziłabym mistrzowi Bukerelowi sprzedać go jako biedaka. Nawet w ciężkich czasach za młodego niewolnika dostanie się tyle, że cechowi i nam wszystkim zwróci się to, cośmy wydali na Cole'ów.

Roba zatkało. Nie mógł złapać tchu. Bukerelowa prychnęła pogardliwie.

— On w ogóle nie chce o tym słyszeć—powiedziała kwaśno. — Mam nadzieję, że go w końcu przekonam, ale zanim przyjdzie do rozumu, poniesiemy straty nie do odrobienia.

Kiedy kobiety odeszły, Rob leżał za firanką jak w gorączce, na przemian pocąc się i marznąc. Całe życie patrzył na niewolników uważając za oczywiste, że ich stan jego nie dotyczy, on bowiem urodził się jako wolny Anglik.

Był o wiele za młody, aby zostać dokerem, wiedział jednak, że małymi niewolnikami posługują się w kopalniach przy pracy w szybach za wąskich dla dorosłych mężczyzn. Wiedział też, że niewolników nędznie się ubiera i karmi i często karze chłostą za byle przewinienie. I że raz zostawszy niewolnikiem, już do końca życia jest się czyjąś własnością.

Rob leżał i płakał. Po jakimś czasie nabrał otuchy, przekonany, że Bukerel nigdy go nie sprzeda w niewolę, martwił się tylko, aby majstrowa nie posłużyła się kimś, nic nie mówiąc mężowi. Jest do tego zdolna, był pewien. Czekał w głuchym, opuszczonym domu doszedł do takiego stanu, że na byle stuknięcie zrywał się cały drżący.

Po pięciu pełnych grozy dniach od pogrzebu ojca w drzwiach stanął jakiś nieznajomy.

— Ty jesteś mały Cole? — zapytał.

Rob kiwnął głową niespokojnie, serce zabiło mu mocniej.

— Nazywam się Croft. Przysyła mnie niejaki Richard Bukerel, poznałem go przy kuflu w karczmie Bardwella.

Przed Robem stał mężczyzna ani stary, ani młody, wielki i gruby, z ogorzałą twarzą otoczoną długimi włosami człowieka wolnego i rozłożystą, rudawą jak włosy kędzierzawą brodą.

— Jak brzmi twoje pełne nazwisko?

— Robert Jeremy Cole, panie.

— Ile masz lat?

— Dziewięć.

— Jestem balwierzem i szukam terminatora. Wiesz, czym się zajmuje balwierz, młodzieńcze?

— Jesteście kimś takim jak medyk? Grubas uśmiechnął się.

— Nieźle jak na razie. Bukerel mi powiedział, w jakim jesteś położeniu. Podoba ci się mój zawód?

Nie podobał mu się, wcale nie chciał zostać kimś takim jak ta pijawka, która wykrwawiła jego ojca, ale jeszcze bardziej nie chciał zostać zaprzędany w niewolę, toteż bez wahania odpowiedział, że tak.

— Nie boisz się pracy?

— O, nie, panie!

— To dobrze, bo mam zamiar wycisnąć z ciebie siódme poty. Bukerel mówił, że umiesz czytać i pisać i znasz łacinę.

Rob się zawahał.

— Właściwie to łaciny niewiele Uznałem. Nieznajomy znowu się uśmiechnął.

— Wezmę cię na próbę, bracie. Masz jakieś rzeczy? Zawiniątko Roba już od kilku dni czekało gotowe. „Czyż- bym był uratowany?” — pomyślał.



Na ulicy wdrapali się na wóz, najdziwniejszy, jaki Rob oglądał w życiu. Z przodu przy koźle sterczały białe drążki gęsto owinięte purpurowym wężykiem. Wóz był kryty, jaskrawoczerwony i wymalowany w żółte jak słońce wzory przedstawiające barana, lwa, wagę, kozę, ryby, łuczniaka i raka...

Siwojabłkowy koń szarpnął i odjechali ulicą Cieśli, zostawiając za sobą dom cechu. Kiedy się przedzierali przez tłum kłębiący się na Thames Street, Rob siedział jak sparaliżowany, zdołał tylko parę razy zerknąć na nieznajomego. Dostrzegł teraz miłą pomimo tuszy twarz, wielki czerwony nos, narośl na powiece lewego oka i siatkę drobnych zmarszczek rozchodzących się promieniście z kącików bystrych niebieskich oczu.

Wóz przejechał mostek nad rzeką Walbrook i minął stajnie Egglestana, miejsce, gdzie zległa Agnes Cole, potem skręcił w prawo i z turkotem przetoczył się przez Most Londyński na południowy brzeg Tamizy. Zacumowany przy moście stał londyński prom, a tuż za nim rozciągał się olbrzymi Southwark Market, przez który przechodziły wszystkie towary przywożone do Anglii. Minęli spalone i splądrowane przez Duńczyków, niedawno odbudowane składy. Na brzegu ciągnął się rząd domków z tynkowanej wikliny, skromne siedziby rybaków, latarników i robotników nabrzeża. Były tam też dwie nędzne gospody dla kupców odwiedzających targowisko. Dalej po obu stronach szerokiej drogi stały rzędy pięknych domów otoczonych wspaniałymi ogrodami, dworów bogatych londyńskich kupców. Niektóre z nich wzniesiono na palach wbitych w mokradło. Rob poznał dom kupca handlującego haftami, dla którego pracowała mama. Dalej nigdy jeszcze nie zawędrował.

— Mistrzu Croft... Mężczyzna się skrzywił.

— Nie, nie. Nie mów mi Croft, tylko Balwierz. Taki mam fach.

— Tak jest, panie Balwierz — rzekł posłusznie Rob. W parę chwil cały Southwark został za nimi i z rosnącym przestachem zobaczył, że wkracza w obcy, nie znany, szeroki świat. — Dokąd jedziemy, panie Balwierz?—

spytał, nie mogąc się powstrzymać od płaczu.

Balwierz uśmiechnął się, potrząsnął lejcami, popędzając jabłkowitego konia do kłusa, i odpowiedział:

— W świat.

## Balwierz

Przed zmierzchem rozłożyli się obozem na wzgórzu nad jakimś strumieniem. Grubas powiedział Robowi, że jego siwek, ciężkie pociągowe konisko, wabi się Tatuś.

— Skrócone Incitatus, po tym rumaku, co to go sobie cesarz Kaligula tak upodobał, że zrobił bydlę kapłanem i konsulem. Nasz Incitatus też ujdzie jak na zwałozanego biedaka — oznajmił Balwierz i pokazał Robowi, jak się obrządza konia: wytarł wałacha garściami miękkiego siana, potem go napoił i wypuścił na popas, nim zadbali o siebie.

Zatrzymali się w szczerym polu, w pewnej odległości od lasu, lecz Balwierz wysłał tam chłopca po susz na ognisko i Rob kilka razy musiał obracać, nim nabierał wystarczająco duży stos. Wkrótce już ogień trząskał i unosił się zapach jedzenia, od którego chłopcu zmiękły nogi. Do żelaznego kociołka Balwierz szczerze nakładł grubo pokrojonej wędzonej słoniny. Większą część stopionego tłuszczu wylał, a do pryskającej reszty wkroił wielką rzepę i kilka porów, dodając garść suszonych owoców morwy i szczyptę przypraw. Nim się to wszystko ugotowało, rozeszła się woń tak piękna, jakiej Rob w życiu nie wahał. Jedzący powściągliwie Balwierz patrzył, jak chłopiec w jednej chwili pochłania wielką porcję, po czym w milczeniu nałożył mu drugą. Na koniec wytarli drewniane miski kęsami jęczmiennego chleba i Rob nie czekając na polecenie zaniósł kociołek i miski do strumienia, by wyszorować je piaskiem.

Wróciwszy z naczyniami podszedł do pobliskiego krzaka za potrzebą.

— Na Boga i Matkę Jego — powiedział zachodząc go znienacka Balwierz. — Toż to niezwykły fajfusik.

Rob skończył przed czasem i schował członek.

— Jak byłem mały — wyjaśnił nastroszony — wdała mi się gangrena... tutaj. Podobno balwierz ściał mi z koniuszka taki kapturek.

Balwierz w zdumieniu wytrzeszczył na niego oczy.

— Zdjął napletek. Zostałeś obrzezany jak przeklęty poganin!

Chłopak odszedł bardzo zmieszany, ale też czujny i ostrożny. Od lasu ciągnęło wilgocią, rozwiązał więc swój mały węzełek, wydobyl drugą koszulę i naciągnął na tę, którą miał na sobie.

Balwierz wyjął z wozu dwie włochate skóry i rzucił je Robowi.

— Śpimy pod gołym niebem, bo wóz jest pełen rzeczy. Zauważywszy w węzełku Roba błysk monety, wziął ją do ręki. Nie spytał, skąd chłopiec wziął pieniądze, a Rob nie kwapił się z wyjaśnieniem.

— Jest na niej napis — powiedział tylko. — Tata i ja... pomyśleliśmy, że to na pamiątkę pierwszej rzymskiej kohorty, która weszła do Londynu.

Balwierz obejrzał monetę.

— Tak.

Najwyraźniej sporo wiedział o Rzymianach i cenił ich, o czym świadczyło imię nadane koniowi. Rob poczuł w dołku mdłą pewność, że grubas przywłaszczy sobie jego monetę.

— Z drugiej strony są litery — rzekł ochryplym głosem. Balwierz zbliżył monetę do ognia, żeby je odczytać w gęstniejącym mroku.

— IOX. „X” znaczy dziesięć, „Io” to okrzyk zwycięstwa, który się wydawało dziesięć razy.

Rob z ulgą wziął od Balwierza monetę i umościł sobie posłanie blisko ogniska. Jedna ze skór była owcza, ułożył ją na ziemi runem do góry, druga niedźwiedzia, tą posłużył się jako przykryciem. Były stare i mocno śmierdziały, ale zapewniały ciepło.

Balwierz pościelił sobie z drugiej strony ogniska, kładąc miecz i nóż pod ręką, by w razie potrzeby posłużyć się nimi do odparcia napaści czy też, jak ze strachem pomyślał Rob, by zabić uciekającego chłopca. Potem z długiego rzemienia na szyi zdjął róg. Zatkawszy jego szyjkę kościanym szpuntek, nalał ciemnego płynu z flaszki i podał Robowi.

— Mojej roboty. Pij do dna.

Rob nie miał chęci, ale bał się odmówić. Wyrobniczych dzieci w Londynie nie straszono czarnym ludem, lecz wcześniej pouczano, że niektórzy marynarze i dokerzy tylko czekają, by zwabić jakiego chłopca na ubocze. Słyszał o dzieciach, które przyjęły słodczy lub pieniądze od takich ludzi, i wiedział, co musiały za to zrobić. Pamiętał, że zazwyczaj przedtem je upijano.

Próbował już więcej nie pić, odmówić, Balwierz jednak zmarszczył czoło i rozkazał:

— Pij. To cię uspokoi.

Nie spoczął, dopóki chłopiec nie przełknął jeszcze paru łyków. Kiedy gwałtownie się zakrztusił, zabrał mu róg, wysuszył zaczęłą flaszkę i następną, po czym z potężnym pierdnięciem ułożył się na swym legowisku. Jeszcze raz zerknął na Roba.

— Odpoczywaj w spokoju, bracie — powiedział. — Śpij dobrze. Z mojej strony nie masz się czego obawiać.

Rob był pewien, że to podstęp. Leżał pod śmierdzącą niedźwiedzią skórą i czekał zaciskając pośladki. W prawej dłoni ścisnął monetę i choć wiedział, że nawet gdyby miał broń Balwierza, nie mógłby się z nim zmierzyć, w lewej mocno dzierzył ciężki kamień. Wkrótce jednak Balwierz dowiódł aż nadto wyraźnie, że śpi — straszliwie zachrapał.

W ustach Rob wciąż miał smak trunku śmierdzącego lekiem. Kiedy zakopał się głęboko w futra i wypuścił kamień z dłoni, w jego ciele krążył alkohol. Ścisnął w dłoni monetę i wyobrażał sobie długie szeregi Rzymian wznoszących dziesięć okrzyków na cześć bohaterów, którzy stawili czoło całemu światu. Gwiazdy w górze były wielkie i białe, krążyły po niebie tak nisko, że zapragnął sięgnąć i zerwać je na naszyjnik dla mamy. Pomyślał po kolei o każdym z członków rodziny. Z żywych najbardziej mu brakowało Samuela, co było dziwne, gdyż Samuel go nie lubił jako najstarszego i ciągle obrzucał wymysłami. Martwił się, czy Jonathan nie moczy się w pieluszki, i prosił Boga, aby pani Aylwyn okazała małemu cierpliwość. Miał nadzieję, że Balwierz niedługo wróci do Londynu, pragnął bowiem jak najszybciej znowu zobaczyć rodzeństwo.

Balwierz wiedział, co czuje jego nowy chłopak. Był dokładnie w jego wieku, kiedy został sam po łupieżczym napadzie Skandynawów na Gacton, rybacką wieś, w której się urodził. Wydarzenie to odcisnęło się niezatartym śladem w jego pamięci.

Królem w czasach jego dzieciństwa był Ethelred. Odkąd pamiętał, ojciec przeklinał króla twierdząc, że pod żadnym innym ludzie nie zaznali takiej nędzy. Ethelred wyciskał z nich ostatni grosz na podatki, by obsypywać bogactwami Emmę, kapryśną piękność, którą sobie przywiózł z Normandii jako królową. Wystawił też za te podatki wojsko, lecz posługiwał się nim bardziej dla obrony własnej niż swego ludu, a był tak okrutny i krwiożerczy, że niektórzy soplali na sam dźwięk jego imienia.

Na wiosnę Anno Domini 991 Ethelred okrył hańbą poddanych, przekupując duńskich najeźdźców złotem, by poniechali ataku. Następnej wiosny flota duńska wróciła do Londynu, jak to robiła od stu lat. Tym razem Ethelred nie miał wyboru. Zebrał wojowników i okręty i w bitwie na Tamizie, będącej jedną wielką rzezią, Duńczycy zostali pokonani. Ale dwa lata później doszło do groźniejszej napaści, kiedy Olaf, król Norwegów, i Swen, król Duńczyków, wpłynęli na Tamizę w dziewięćdziesiąt cztery okręty. Ethelred znowu zebrał wojsko wokół

Londynu i udało mu się odeprzeć najeźdźców z Północy, którzy tym razem jednak się zorientowali, że tchórzliwy król zostawił kraj bez obrony, byle sobie zapewnić bezpieczeństwo. Rozdzieliwszy flotę, napastnicy przybili do wybrzeży Anglii i spustoszyli przybrzeżne osady.

W tym właśnie tygodniu ojciec Henry'ego Crofta po raz pierwszy zabrał syna na dłuższy połów śledzia. W dzień powrotu, rankiem, gdy przybili do brzegu z pełnymi sieciami, Henry pobiegł przodem, aby jak najszybciej uściskać matkę i usłyszeć od niej słowa pochwały. Tymczasem w pobliskiej zatoce czekały niewidoczne w ukryciu długie norweskie łodzie. Kiedy Henry dobiegł do chaty, spostrzegł, że zza otwartych okiennic patrzy na niego jakiś obcy odziany w zwierzęce skóry. Nie miał pojęcia, kim jest ten człowiek, ale instynkt kazał mu zawrócić i biec prosto do ojca.

Jego matka leżała na ziemi w chacie, zhańbiona i martwa, lecz stary Croft o tym nie wiedział. Dobył noża gnając do domu, ci trzej jednak, którzy na niego czekali, mieli miecze. Henry widział z daleka, jak chwycili i obezwładnili jego ojca. Jeden przytrzymał mu ręce z tyłu, drugi szarpnął oburącz za włosy zmuszając go, by ukląkł i wyciągnął szyję, trzeci odciął mu głowę mieczem. Dużo później, w dziewiętnastym roku życia, Balwierz oglądał w Wolverhampton ścięcie mordercy. Kat szeryfa odrąbał głowę zbrodniarzowi, jakby zabijał koguta. Ścięcie jego ojca przeciwnie, odbyło się niezręcznie, wiking bowiem wiele razy musiał zamachnąć się mieczem, jakby rąbał drwa na opał.

Roztrzęsiony z żalu i strachu Henry Croft uciekł do lasu, gdzie ukrył się jak ścigane zwierzę. Kiedy wyszedł, oszołomiony i zgłodniały, Norwegów już nie było, zostały po nich tylko śmierć i zgliszczka. Henry'ego razem z innymi osieroconymi chłopcami wysłano do opactwa Crowland w Lincolnshire.

W ciągu dziesięcioleci podobne najazdy pogan z Północy pozostawiły w klasztorach niewielu mnichów i zbyt wielu osieroconych chłopców, toteż benedyktyni niejednego z nich wyświęcili, rozwiązując w ten sposób oba problemy. Henry'emu w wieku dziewięciu lat pozwolono złożyć śluby, każąc przysiąc Bogu, że do śmierci żyć będzie w ubóstwie i czystości, posłuszny regułom ustanowionym przez świętego Benedykta z Nursji.

Zapewniło mu to wykształcenie. Uczył się cztery godziny dziennie, sześć godzin poświęcał ciężkiej pracy w wilgoci i brudzie. Opactwo Crowland posiadało wiele ziemi, głównie moczarów, toteż dzień w dzień Henry i inni mnisi odwracali błoniste skiby jak niezdarne zwierzęta, by zamienić błota w uprawne pola. Resztę czasu miał spędzać na kontemplacji i modlitwie. Obowiązywały nabożeństwa ranne, popołudniowe, wieczorne i nieustające. Każda modlitwa stanowiła jeden stopień nie kończących się schodów, które prowadziły do nieba. Nie było chwili wytchnienia dla duszy ani ciała, ale wolno mu się było przechadzać po klasztorze krążgankiem w kształcie czworoboku. Klasztor od północy miał zakrystię, budynki, w których przechowywano kościelne naczynia, od wschodu kościół, od zachodu pomieszczenia kapituły, od południa ponury refektarz, kuchnię i spiżarnię na dole, a na górze dormitorium.

Wewnątrz tego czworoboku znajdowały się groby, ostateczny dowód, że w życiu opactwa wszystko jest z góry przewidziane: jutro będzie identyczne jak wczoraj i z czasem każdy mnich spocznie w obrębie krążganku. Niejeden upatrywał w takim życiu spokoju, toteż opactwo Crowland przyciągało wielu szlachetnie urodzonych, którzy szukali w nim ucieczki przed polityką dworu i okrucieństwem Ethelreda i uszli śmierci ukryci pod mnisim kapturem. Członkowie tej wpływowej elity mieszkali w osobnych celach, jak prawdziwi mistycy poszukujący Boga wśród udręk ducha i umartwień ciała, we włosiennicach, na natchnionych postach i samobiczowaniach. Dla pozostałych sześćdziesięciu siedmiu mężczyzn, noszących tonsurę mimo braku powołania i świętobliwości, mieszkaniem była jedna duża izba z sześćdziesięcioma siedmioma siennikami. Ilekroć Henry Croft zbudził się w nocy, zawsze

słyszeć było kaszel i kichanie, chrapanie na wszystkie tony, odgłosy masturbacji, żalosne jęki dręczonych złymi snami, głośno puszczone wiatry albo gwałcące śluby milczenia przekleństwa, nieprzystojne dla duchownych, czy prowadzone szeptem rozmowy dotyczące niemal zawsze jedzenia. Posiłki w Crowland były bowiem bardzo skąpe.

Miasteczko Peterborough leżało w odległości mili od opactwa, ale Henry nigdy go nie widział. Pewnego dnia, kiedy miał czternaście lat, poprosił spowiednika, ojca Dunstana, by mu pozwolił psalmy i modlitwy przypadające między nieszporami a śpiewem nocnym odmawiać na brzegu rzeki. Pozwolenie uzyskał.

Kiedy się pierwszy raz przechadzał po nadrzecznej łące, krok w krok za nim w dyskretnym oddaleniu postępował ojciec Dunstan. Henry kroczył powoli i ostrożnie, trzymając ręce założone za plecy, z pochyloną głową i pobożnością godną biskupa. Był piękny, ciepły letni wieczór, od rzeki wiał rześki wiaterek. O tej rzece dowiedział się wszystkiego od brata Mateusza, geografa. Nazywała się Welland. Początek brała w środkowej Anglii, w pobliżu Corby, do Crowland przemykała się gładko jak wąż i stąd płynęła na północ wśród łagodnych pagórków i żyznych dolin, dalej zaś rozlewała się na przybrzeżnych bagnach, aż w końcu wlewała swe wody do wielkiej zatoki Morza Północnego zwanej Wash.

Po obu brzegach rzeki ciągnęły się kościelne lasy i pola. Henry spacerując słyszał cykanie świerszczy, ćwierkanie ptaków na drzewach, widział pasące się krowy, które spoglądały nań z tępym respektem. Po drodze ujrzał też wyciągniętą na brzeg małą łódkę wydłubaną z pnia.

Tydzień później poprosił, aby mu pozwolono samotnie odmawiać nad rzeką modły po jutrzni, nabożeństwie odprawianym o świcie. Pozwolenie otrzymał i tym razem ojciec Dunstan nie przyszedł. Gdy Henry znalazł się nad rzeką, zepchnął łódź na wodę, wsiadł i odbił od brzegu.

Wiosłami posłużył się tylko po to, by znaleźć się w głównym nurcie, potem siedział zupełnie nieruchomo pośrodku kruchej łódki i przyglądał się brunatnej wodzie pozwalając, by rzeka niosła go jak opadły liść. Po jakimś czasie, oceniwszy, że odpłynął już wystarczająco daleko, wybuchnął śmiechem. Pohukiwał i krzyczał jak dzieciak. — Tyle macie! — wołał nie wiedząc, czy urąga tym sześćdziesięciu siedmiu mnichom, którzy będą spali bez niego, ojcu Dunstanowi czy Bogu, w którym Crowland widziało takiego okrutnika.

Pozostał na rzece cały dzień, póki woda mknąca ku morzu nie stała się dla niego zbyt głęboka i niebezpieczna. Przybił wtedy do brzegu i rozpoczął własne życie, poznając cenę wolności.

Wędrował po przybrzeżnych wsiach sypiając, gdzie się dało, żywiąc się tym, co zdołał wyżebrać albo ukraść. Dużo gorzej było nie mieć co jeść, niż nie dojadać. Jakaś wieśniaczka dała mu sakwę na jedzenie, stary kaftan i podarte portki w zamian za benedyktyński habit, z którego zamierzała poszyć wełniane koszule dla synów. W porcie Grimsby jakiś rybak przyjął go wreszcie na pomocnika i orał nim jak wołem przez ponad dwa lata za skąpe utrzymanie i nędzne schronienie. Po śmierci rybaka żona sprzedała łódź ludziom, którzy nie potrzebowali pomocnika. Henry głodował przez parę miesięcy, nim trafił na trupę komediantów i ruszył z nimi taszcząc juki i znosząc trudy ich zawodu za resztki ze stołu i opiekę. Nawet jemu sztuczki wesołków wydawały się niezdarne, potrafili jednak waleniem w bęben przyciągnąć tłum, a kiedy podawano czapkę, zdumiewająco wielu widzów wrzucało do niej monety. Przyglądał się im, zgłodniały. Był za duży, żeby zostać akrobatą, ci bowiem musieli wyłamywać sobie stawy, póki jeszcze byli dziećmi, ale wyuczyli go swego fachu żonglerzy, naśladowując magika zaś nauczył się co prostszych sztuczek. Magik go ostrzegł, by nigdy nie przesadzał ze sztuczkami, gdyż w całej Anglii Kościół i Korona wieszają czarowników. Henry z uwagą wysłuchiwał tego człeka, którego siostra pierwsza pozwoliła mu poznać kobiece ciało. Z komediantami coś go łączyło, lecz trupa po roku rozpadła się w Derbyshire i każdy poszedł własną drogą, a on znowu został sam.

Parę tygodni później w miasteczku Matlock szczęście się do niego uśmiechnęło, kiedy balwierz James Farrow zawarł z nim umowę na sześć lat. Później miał się dowiedzieć, że żaden z miejscowych chłopaków nie chciał służyć Farrowowi, pogłoski bowiem łączyły jego nazwisko z praktykowaniem czarów. Zanim doszły do jego uszu, spędził już z Farrowem dwa lata i wiedział, że balwierz nie jest żadnym czarodziejem. Choć pozbawiony serca i diabelnie surowy, dla Henry'ego Crofta był prawdziwym wysłannikiem Opatrzności.

Rolnicza gmina Matlock liczyła niewielu mieszkańców, medyk nie znalazłby tu tylu pacjentów z klas wyższych czy spośród bogatszych kupców, by się utrzymać, ale zbyt mało też było ludzi uboższych, aby dać zatrudnienie felczerowi w miejsce Jamesa Farrowsa, balwierza, który w związku z tym poza stosowaniem środków przeczyszczających, stryżeniem i goleniem wykonywał także zabiegi chirurgiczne i w ogóle parął się leczeniem. Henry ponad pięć lat pełnił przy nim swoje obowiązki. Farrow surowo nadzorował praktykanta, bił Henry'ego, gdy ten popełnił jakiś błąd, ale go nauczył, i to skrupulatnie, wszystkiego, co sam potrafił.

W czwartym roku pobytu Henry'ego w Matlock — był to rok 1002 — król Ethelred podjął decyzję brzemienną w skutki, i to straszliwe. W obliczu trapiących go kłopotów zezwolił pewnej liczbie Duńczyków osiedlić się w południowej Anglii i nadał im ziemię pod warunkiem, że będą go bronili przed wrogami. W ten sposób kupił sobie służbę duńskiego szlachcica nazwiskiem Pallig, męża Gunhildy, siostry Swena, króla Danii. Tego roku wikingowie napadli na Anglię, stosując zwykłą swoją taktykę, mordując i paląc. Gdy dotarli do Southampton, król zdecydował się raz jeszcze zapłacić trybut i dał najeźdźcom dwadzieścia cztery tysiące funtów, by się wynieśli.

Okrepy uniosły napastników z powrotem na Północ, a Ethelred ogarnięty wstydem wpadł w furję. Wydał rozkaz, aby w dzień świętego Brykcyjusza, 13 listopada, wyrżnięto wszystkich Duńczyków przebywających w Anglii. Podstępnej rzezi dokonano zgodnie z rozkazem króla i ona to bodaj wyzwoliła zło tkwiące jak wrzód w ludzie angielskim.

Świat zawsze był brutalny, lecz po wymordowaniu Duńczyków życie stało się jeszcze okrutniejsze. W całej Anglii dochodziło do straszliwych zbrodni, polowano na czarownice, wieszano je lub palono i wydawało się, że jak kraj długi i szeroki, wszystkich ogarnęła żądza krwi.

Terminowanie Henry'ego Crofta dobiegało prawie końca, kiedy umarł leczony właśnie przez Farrowsa starszy mężczyzna nazwiskiem Bailey Aelerton. Mimo że nic szczególnego nie było w tej śmierci, rozeszła się pogłoska, że chory umarł, ponieważ Farrow nakłuwał go igłami stosując czarną magię.

Poprzedniej niedzieli w kościółku w Matlock ksiądz ogłosił, iż wśród grobów na cmentarzu krążą o północy złe duchy, oddające się cielesnym stosunkom z szatanem.

— Naszemu Zbawicielowi wstrętne jest wstawanie zmarłych za sprawą diabelskich sztuczek. Każdy, kto takie sztuczki stosuje, jest wrogiem Najwyższego — grzmiał z ambony.

— Diabeł jest wśród was — ostrzegał wiernych — a służy mu cały legion czarownic i czarowników, którzy udając zwykłych ludzi, praktykują czarną magię i dokonują tajemnych morderstw.

Oniemiałych z przerażenia parafian uzbroił w zakłęcie, którego należało użyć wobec każdego podejrzanego o czary: „Arcyczarowniku, który czyhasz na mą duszę, niech twe czary po tysiącokroć się skierują przeciw tobie. W imię Trójcy Świętej przywróć mi zdrowie i siłę. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen." Przypomniawszy im także biblijne polecenie: „Nie pozwolisz żyć czarownikom”.

— Czarowników trzeba odszukać i wymazać z oblicza ziemi, jeśli nie chcecie płonąć w straszliwym ogniu czyśćca — pouczył.

Bailey Aelerton umarł we wtorek — serce przestało mu bić, gdy okopywał pole. Córka

utrzymywała, że znalazła ślady po ukłuciu igły na jego ciele. Nikt inny tego nie potwierdził, ale w czwartek rano tłum zjawiał się w obejściu Farrowa w chwilę po tym, jak balwierz dosiadł konia wybierając się w objazd pacjentów. Jeszcze patrząc na Henry'ego wydawał mu na ten dzień polecenia, kiedy ściągnęli go z siodła. Przewodził im Simon Beck, którego ziemia graniczyła z ziemią Farrowa.

— Rozdziejcie go — polecił Beck.

Farrow cały drżał, kiedy zdzierali z niego odzienie.

— Jesteś kiep! — krzyknął do Becka. — Kiep! Rozebrany wyglądał starzej, skóra na brzuchu zwisała mu pomarszczona, wąskie ramiona miał pochyle, mięśnie zwiotczałe, nad wielkim sinym workiem jąder kurczył mu się penis.

— Tutaj! — zawołał Beck. — Tutaj ma znamię szatana!... Po prawej stronie krocza Farrowa wyraźnie były widoczne

dwie czarne plamki, jak ślady po ukąszeniu węża. Beck nakłuł jedną czubkiem noża.

— To pieprzyła! — wrzasnął Farrow.

Puściła się krew, co nie powinno było się stać, jeśli mieli do czynienia z czarownikiem.

— Nie ma większych spryciarzy — orzekł Beck. — Potrafią krwawić na zawołanie.

— Jestem balwierzem, nie czarownikiem — oświadczył z pogardą Farrow, ale kiedy go przywiązano do drewnianego krzyża i poniesiono w kierunku jego własnej sadzawki do pojenia bydła, zaczął wołać o litość.

Rozgorączkowani wieśniacy z wielkim pluskiem cisnęli krzyż do płytkiej wody i przytrzymali zanurzony. Ucichli, śledząc bąbelki powietrza, potem wydobyli Farrowa, dając mu szansę się przyznać. Jeszcze oddychał i z ledwością wypluwał wodę.

— Czy przyznajesz się, sąsiedzie, że współdziałałeś z diabłem? — spytał go łagodnie Beck.

Farrow jednak nie mógł już mówić, krztusił się tylko i chwycił ustami powietrze, zanurzyli go więc z powrotem. Tym razem przytrzymali krzyż pod wodą tak długo, aż bąbelki powietrza przestały się pojawiać. A i wtedy jeszcze trzymali.

Henry'emu pozostało tylko patrzeć i płakać, jakby po raz wtóry oglądał mordowanie ojca. Wzrostu dorosłego mężczyzny, już nie był dzieckiem, czuł się wszakże jak dziecko bezradny wobec tej zgrai polującej na czarowników. Paraliżował go strach, by oprawcom nie przyszło do głowy, że terminator balwierza jest pomocnikiem czarownika.

Wieśniacy puścili wreszcie zanurzony pod wodę krzyż, odmówili zaklęcie i odeszli, zostawiając swą ofiarę w sadzawce.

Kiedy wszyscy zniknęli, Henry brodząc w mule wyciągnął krzyż na brzeg. Na wargach jego mistrza ukazała się różowa piana. Zanim go odciął, zamknął mu oczy, które nic nie widząc patrzyły oskarżycielsko z białej twarzy, i otarł ramiona z rzęsy wodnej.

Balwierz był bezdzietnym wdowcem, cały obowiązek zatem spadł na Henry'ego. Pochował Farrowa najszybciej, jak to było możliwe. Wróciwszy do domu odkrył, że wieśniacy byli tu przed nim. Niewątpliwie szukali dowodów działalności szatana, a przy okazji zabrali pieniądze i driakwie Farrowa. Splądrowali chatę do czysta, zostało jednak ubranie lepsze od tego, jakie Henry miał na sobie, i trochę żywności, którą zabrał do worka. Wziął także torbę z chirurgicznymi narzędziami i schwytał konia, na którym wyjechał z Matlock, nim zdążono sobie o nim przypo- mnieć.

Znowu wyruszył w drogę, teraz jednak miał fach, więc wszystko potoczyło się inaczej. Cierpiących nigdzie nie brakowało i za leczenie zawsze wpadało parę pensów. Z czasem nauczył się czerpać korzyści ze sprzedaży leków, a dla przyciągnięcia tłumów posługiwał się sposobami poznanymi w czasach, kiedy wędrował z trupą komediantów.

Bojąc się, że może być poszukiwany, nigdy długo nie zatrzymywał się w jednym miejscu

i starał się nie używać nazwiska ani imienia — został po prostu Balwierzem. Przywykł niebawem do takiego sposobu życia, a nawet go polubił. Ubierał się ciepło i dobrze, kobiet miał, ile i kiedy chciał, i najadał się do syta przy każdym posiłku, przysiągłszy sobie nigdy już nie głodować. Szybko przybrał na wadze. Nim spotkał kobietę, którą poślubił, ważył osiemnaście kamieni\* z górą.

\*Kamień — dawna angielska miara wagi, równa 14 funtom.

Lucinda Earnes była wdową, właścicielką ładnego gospodarstwa w Canterbury, i Henry przez pół roku doglądał żywego dobytku i pół żony, odgrywając rolę gospodarza. Lubował się w jej białym tyłeczku przypominającym blade odwrócone serce. Kiedy się kochali, wysuwała różowy koniuszek języka z prawego kącika warg, jak dziecko odrabiające trudną lekcję. Winiała go za to, że nie dał jej dziecka. Może miała słuszość, ale i z pierwszym mężem nigdy nie zaszła w ciążę. Z czasem jej głos stał się piskliwy, ton zgorzkniały, kuchnia niedbała, toteż nim upłynął rok, Henry już zaczął wspominać czulsze kobiety i smaczniejsze posiłki, marząc o ucieczce od ostrego języka żony.

W roku 1012 władzę nad Anglią zdobył Swen, król Duńczyków. Od dziesięciu już lat Swen nękał Ethelreda, pragnąc okryć hańbą człowieka, który wymordował jego ziomków. Ethelred w końcu uciekł ze swymi okrętami na wyspę Wight, a królowa Emma schroniła się w Normandii z synami Edwardem i Alfredem.

Wkrótce potem Swen umarł śmiercią naturalną. Zostawił dwóch synów, Harolda, który objął po nim królestwo duńskie, i Kanuta, dziewiętnastoletniego młodzieńca, którego duńska armia obwołała królem Anglii.

Ethelred raz jeszcze poderwał się do walki i wyparł Duńczyków, lecz Kanut niemal natychmiast wrócił i tym razem zajął cały kraj oprócz Londynu. Szedł już na podbój Londynu, gdy się dowiedział, że Ethelred nie żyje. Zuchwale zwołał witan, zgromadzenie możnych świeckich i duchownych Anglii. Do Sout-hampton zjechali biskupi, opaci, hrabiowie oraz cała szlachta i obrali Kanuta prawowitym królem.

Kanut dowiódł swego geniuszu, postanowiwszy zjednoczyć naród: pchnął mianowicie posłów do Normandii, by namówili królową Emmę do poślubienia następcy zmarłego męża. Emma zgodziła się niemal bez wahania. Była od Kanuta znacznie starsza, pozostała jednak ponętną i zmysłową kobietą i poddani drwili z niej opowiadając, ile to czasu spędza z nowym małżonkiem w sypialni.

Jak nowemu królowi spieszno było do małżeństwa, tak Balwierzowi spieszno było od niego uciec. Pewnego dnia po prostu więc rzucił tę jędzę Lucindę Earnes i jej kiepską kuchnię i znowu wyruszył w drogę.

Pierwszy swój wóz kupił w Bath, a w Northumberlandzie przyjął do terminu pierwszego chłopaka. Na korzyści długo nie czekał. Od tamtej pory przyjął do siebie wielu chłopców. Paru z nich wykazało się zdolnościami i ci przynieśli mu pieniądze, inni zaś nauczyli go, czego należy wymagać od terminatora.

Wiedział, co czeka ucznia, któremu się nie powiodło i został odprawiony — większość schodziła na psy. Jeżeli który miał szczęście, trafiał do kogoś, komu służył do uciech cielesnych, albo stawał się niewolnikiem, pechowcy ginęli z głodu lub padali ofiarą morderców. Henry'ego Crofta dręczyło to bardziej, niż chciałby przyznać, lecz nie było go stać na trzymanie terminatora, który nie rokował nadziei. On sam w dzieciństwie ledwie przeżył, potrafił zatem znieczulić serce, gdy szło o jego dobro.

Wyglądało na to, że ten ostatni chłopak, znaleziony w Londynie, pilnie stara się go zadowolić, lecz Balwierz wiedział, że w wypadku ucznia pozory mogą mylić. Nie warto było tym się dręczyć. Czas pokaże. Aż nazbyt prędko się przekona, czy mały Cole zdolny jest przeżyć.



## Zwierzak z Chelmsford

Rob się obudził o pierwszym mlecznym świcie i zastał swego pana już na nogach, nieco zniecierpliwionego. Od razu widać było, że Balwierz wstał lewą nogą. Jeszcze z tą poranną surową miną wy dobył z wozu drewnianą kulę i pokazał chłopcu, jak się nią posługiwać.

— Nie będzie dla ciebie za ciężka, jeśli ją ujmiesz oburącz. Nie wymaga wprawy. Ciskaj, jak potrafisz najmocniej. Mierz w środek napastnika, to zawsze go gdzieś trafisz. Trafiony zwolni, a wtedy możesz liczyć na to, że ja go zabiję. Pojąłeś?

Rob kiwnął głową, skrepowany przy tym obcym człowieku.

— No, bracie, musimy być czujni i broń trzymać pod ręką, bo tylko dzięki temu jeszcze żyję. Najlepsze drogi w Anglii to te, co zostały po Rzymianach, tyle że nikt ich nie naprawia. Obowiązkiem Korony jest dbać, żeby po bokach nie zarosły, bo wtedy trudno zbójom zasadzać się na podróżnych, ale na naszych traktach nikt nigdy nie wycina krzaków.

Pokazał, jak się zaprzęga konia, a kiedy ruszyli, Rob siedział na kozle obok niego, w palącym słońcu, wciąż dręczony różnymi obawami. Balwierz wkrótce zjechał z rzymskiego gościńca w niemal nieprzejezdny trakt ukryty w głębokim cieniu nie tkniętego siekierą lasu. Na przerzuconym przez ramię rzemieniu miał zawieszony saski róg, niegdyś ozdobę wielkiego wołu. Przytknął go do ust i wy dobył głośny, miękki dźwięk, ni to jęk, ni trąbienie.

— Daje znać każdemu, kto usłyszy, że się nie skradamy jak mordercy czy złodzieje — wyjaśnił. — Są takie zakazane odludzia, gdzie jak spotkasz obcego, starasz się go zabić. Róg daje znać, żeśmy nie nicponie, nie trzeba się nas bać i umiemy się obronić.

Za namową Balwierza Rob spróbował zastąpić go w trąbieniu, chociaż jednak wydymał policzki i dmuchał ile sił, nie wy dobył żadnego dźwięku.

— Trzeba na to starszych płuc i zacięcia. Nauczysz się, nic się nie bój. I to rzeczy trudniejszych niż gra na rogu — pocieszył go Balwierz.

Trakt był błotnisty. W najgorszych miejscach narzucano gałęzi, ale jazda była niebezpieczna. Na jednym z zakrętów wpadli znienacka w śliski dół i koła wozu zapadły się po piasty. Balwierz westchnął.

Zsiedli z kozła, łopatą usunęli błoto sprzed kół i nazbierali w lesie opadłych gałęzi. Balwierz starannie podłożył je pod wszystkie koła, po czym wspiął się z powrotem na kozioł.

— Jak ruszę, musisz wpychać chrust pod koła — przykazał, a Rob kiwnął głową. — Wio, Tatuś! — popędził konia. Zaskrzybiały deski i uprząż. — Teraz! — zawołał.

Rob zręcznie podłożył gałęzie, skacząc od jednego koła do drugiego, gdy koń naprężył się i pociągnął. Koła drgnęły niezdecydowanie, ślizgając się, ale znalazły oparcie. Wóz skoczył do przodu. Gdy znalazł się na suchej drodze, Balwierz ściągnął konia lejcami i zaczekał, aż Rob go dogoni i wdrapie się na kozioł.

Zbryzgani byli błotem, toteż Balwierz niebawem zatrzymał Tatusa nad strumieniem.

— Złapmy co na śniadanie — powiedział, kiedy zmyli brud z twarzy i rąk. Wyciął dwa wierzbowe kije, z wozu wy dobył haczyki i linę, a z zacienionego miejsca za kozłem jakąś skrzynkę. — To nasza klatka na polne koniki — wyjaśnił.

— Do twoich obowiązków należy pilnować, żeby zawsze była pełna.

Uniósł wieczko na tyle, żeby Rob mógł wsunąć do środka rękę. Żyjątko z szelestem umknęły spod jego palców, spłoszone i klujące, ale jedno delikatnie zamknął w dłoni. Kiedy wysuwał rękę przytrzymując kciukiem i palcem wskazującym złożone skrzydełka, nogi owada drapały rozpaczliwie. Cztery przednie cienkie były jak włos, dwie tylne potężne, z

grubymi udkami, jak przystało na skoczka.

Balwierz pokazał mu, jak wsunąć ostrze haczyka tuż pod twarde prązkowany pancerz za głową.

— Nie za głęboko, bo wycieknie z niego melasa i zdechnie

— tłumaczył. — Łowiłeś kiedy?

— Tak, w Tamizie. — Rob szczycił się swoimi rybackimi umiejętnościami, często bowiem wraz z ojcem moczyli kije w wielkiej rzece, dożywając rodzinę rybami w ciężkich czasach.

Balwierz chrząknął.

— Tu się łowi inaczej — powiedział. — Zostaw na chwilę kije i chodź.

Podkradli się ostrożnie na czworakach nad najbliższe rozlewisko i padli na brzuchy. Rob już myślał, że grubas zwariował, gdy naraz ujrzał, że jak zawieszono w szkle stoją tam cztery ryby.

— Małe — szepnął Rob.

— Takie są najsmaczniejsze — odparł Balwierz, kiedy się odczołgawali od brzegu. — Twoje wielkie rzeczne pstrągi są tłuste i twarde. Widziałeś, jak te dryfują u wylotu rozlewiska? Żerują pod prąd, czekają, aż wpadnie coś smacznego i woda to zniesie. Są płochliwe i ostrożne. Zobaczą cię, jak staniesz nad strumieniem. Jeśli mocno stąpasz na brzegu, wyczują to i zaraz się rozpierchną. Dlatego potrzebny jest długi kij. Stań jak najdalej i lekko spuść konika tuż nad rozlewisko, żeby go prąd zniósł na rybę.

Krytycznie się przyglądał, kiedy Rob zarzucał owada według jego wskazówek.

Z impetem, który przeniósł się po kiju i udzielił podniecenie rękoma Roba, niewidoczna dotąd ryba uderzyła. Potem wszystko odbyło się tak samo jak przy łowieniu w Tamizie. Rob cierpliwie poczekał, pozwalając pstrągowi, by sam się przyłożył do swojej zguby, a następnie poderwał koniec kija, jak ojciec go nauczył. Kiedy wyciągnął pierwszą trzepoczącą się zdobycz, obaj zachwycili się jej urodą: ryba lśniła jak natłuszczona, łuskę miała koloru orzechowego drzewa, smukłe boki nakrapiane mieniącą się czerwienią i czarne płetwy muśnięte ciepłymi pomarańczowymi smugami.

— Złap jeszcze pięć — poleciał Balwierz i zniknął w lesie. Rob złowił dwa, następnego pstrąga stracił i ostrożnie

przeniósł się nad inne rozlewisko. Ryby złaknione były koników polnych. Patroszył ostatnią z sześciu, kiedy wrócił Balwierz z czapką pełną smardzów i dzikiej cebuli.

— Jemy dwa razy na dzień: późnym rankiem i wczesnym wieczorem, jak wszyscy ludzie cywilizowani oznajmił i wyrecytował:

O szóstej będziesz wstawał, o dziesiątej jadł, Obiadał o piątej, o dziesiątej się kładł, A przeżyjesz dziesięćkroć po dziesiątku lat.

Wydobył boczek i pokroił go w grube plastry. Kiedy puściły tłuszcz na szerniałej patelni, usmażył obtoczone w mące pstrągi na brązowo, aż stały się kruche, na końcu zaś dodał cebulę i grzyby.

Kręgosłupy pstrągów razem ze wszystkimi prawie ośmi odeszły z łatwością od parującego mięsa. Kiedy z apetytem zajadali rybę i boczek, Balwierz w smakowitych resztkach tłuszczu usmażył jęczmienne placki, przykrył je grubymi plasterkami sera i zaczął czekać, aż się stopi bulgocząc na patelni. Na koniec wszystko to popili zimną słodką wodą ze strumienia, który zaopatrzył ich w ryby.

Balwierzowi poprawił się humor. Każdy grubas jest najlepszy, gdy się naje, zauważył Rob. Przekonał się też, że Balwierz jest wyjątkowo dobrym kucharzem, i przyłapał się na

tym, że na każdy posiłek czeka jak na najważniejsze wydarzenie dnia. Westchnął, wiedział bowiem, że w kopalni nigdy by tak nie dostawał jeść. A praca, uznał z zadowoleniem, wcale nie przerasta jego możliwości, przecież doskonale potrafi dopilnować, by skrzynka na koniki polne była zawsze pełna, umie też łapać pstrągi i podkładać gałęzie pod koła, ilekroć wóz ugrzęźnie w błocie.

Wieś nazywała się Farnham. Zagrody chłopskie, niewielki nędzny zajazd, karczma, z której doleciał ich zapach rozlanego piwa, kiedy obok przejeżdżali, dom kowala z kłodami drewna ułożonymi w sterty w pobliżu kuźni, śmierdząca garbarnia, tartak z podwórzem zawalonym deskami i chata szeryfa przy placu będącym właściwie nie tyle placem co rozszerzającą się ulicą, podobną w tym miejscu do zgrubienia w ciele węża, który połknął jajko.

Balwierz zatrzymał wóz na skraju wsi. Wydobył z niego bębenek i pałeczkę i wręczył je Robowi.

— Wal — polecił.

Incitatus wiedział, o co chodzi: podrzucił łbem i zarżał, unosząc kopyta w tańcu. Rob z dumą walił w bębenek, ulegając podnieceniu, jakie budzili po obu stronach ulicy.

— Występ dziś po południu! — wołał Balwierz. — Potem leczymy wszystkie dolegliwości i kłopoty, duże i małe!

Kowal z węzłami mięśni od smaru tak się na nich zagapił, aż puścił linę, którą poruszał miechy. Dwaj chłopcy na podwórzu tartaku porzucili układanie kłód i przybiegli na głos bębna. Po chwili jeden z nich zawrócił i odbiegł.

— Dokąd lecisz, Giles?! — zawołał drugi.

— Do domu, po Stephena i resztę.

— Wstąp do mego brata i powiedz! Balwierz skinał głową z aprobatą.

— Zawiadom wszystkich! — krzyknął.

Z domów nawołując się wychodziły kobiety, wysypywały się na ulicę dzieci jazgocząc i na wyścigi ze szczekającymi psami biegnąc za czerwonym wozem. Balwierz powoli przejechał ulicą z jednego końca w drugi i z powrotem.

Starzec siedzący na słońcu przy zajeździe otworzył oczy i uśmiechnął się bezzębny ustami na to zamieszanie. Część pijących wyszła z karczmy z kubkami w rękach, a za nimi wycierając ręce o fartuch zjawiała się karczmarka z błyszczącymi oczami.

Balwierz zatrzymał się na placu, wydobył z wozu cztery składane ławy, połączył je i ustawił.

— To się nazywa ława — pouczył Roba wskazując na utworzoną w ten sposób scenę. — Jak tylko gdzie przyjedziemy, zaraz ją będziesz stawiał.

Na ławie postawili dwa kosze pełne zakorkowanych flaszeczek, w których jak powiedział Balwierz, znajdowały się leki. Potem zniknął we wnętrzu wozu, zaciągnąwszy zasłonę.

Rob usiadł na ławie i przyglądał się ludziom śpieszącym na główną ulicę. Przyszedł młynarz w ubraniu białym od mąki, Rob rozpoznał też dwóch cieśli po znajomych trocinach i wiórach na kurtkach i we włosach. Na ziemi sadowiły się całe rodziny, gotowe czekać, byle zapewnić sobie miejsce blisko ławy. Kobiety dziergały koronki albo szydełkowały, dzieciaki poszturchiwały się paplając. Grupa wiejskich chłopaków przyglądała się Robowi. Świadomy podziwu i zazdrości w ich spojrzeniach, puszył się i przybierał wyniosłe pozy. Szybko jednak wyleciały mu z głowy wszystkie te głupstwa i tak jak oni stał się częścią widowni. Na ławę kłaniając się wybiegł Balwierz.

— Witam i dobrego zycze — przemówił. — Rad jestem z przybycia do Farnham.

I wziął się do żonglerki.

Dokonywał cudów czerwoną i żółtą piłeczką. Zdawało się, że prawie nie porusza rękami. Czegoś tak pięknego Rob jeszcze nie oglądał! Wyrzucane tłustymi paluchami Balwiera piłeczki nieustannie wirowały zataczając koła, najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż stawały się niewidoczne. Gdy go nagrodzono oklaskami, sięgnął w zanadrze kurtki i dodał jeszcze zieloną piłeczkę. Następnie niebieską. I — o! — jeszcze brązową!

Jakże cudownie jest umieć to robić!" — pomyślał Rob.

Wstrzymał oddech z obawy, aby Balwierz którejs z piłeczek nie upuścił, lecz on z łatwością panował nad wszystkimi pięcioma, a rozśmieszał przy tym wszystkich prawieć krotchwile i śpiewając piosenki.

Potem żonglował pętlami liny i drewnianymi talerzami, po popisie żonglerki zaś pokazał sztuczki magiczne: jajko, które znikало, monetę odnajdywaną we włosach jednego z dzieciaków, zmieniającą kolor chusteczkę.

— Dopiero się zdziwicie, jak zniknie kufel piwa! Wszyscy mu przyklasnęli, karczmarka zaś pobiegła po kufel piwa przykryty pianą. Balwierz przytknął go do ust i wychylił zawartość jednym długim haustem. Ukłonił się przy wtórze życzliwego śmiechu i oklasków, a potem zapytał kobiet na widowni, czy która nie potrzebuje wstążki.

— O, tak! — wykrzyknęła karczmarka. Była młoda i krągła i jej odpowiedź, tak spontaniczna i naturalna, wywołała w tłumie chichoty.

Oczy Balwiera spotkały się ze wzrokiem dziewczyny. Uśmiechnął się.

— Jak się nazywasz?

— Och, panie, nazywam się Amelia Simpson.

— Pani Simpson?

— Jestem panną. Balwierz przymknął oczy.

— Co za marnotrawstwo—zauważył elegancko.—Jakiego koloru chciałabyś wstążkę, panno Amelio?

— Czerwoną.

— A jakiej długości?

— Wystarczy dwa jardy.

— Miejmy nadzieję — mruknął Balwierz unosząc brwi. Rozległ się rubaszny śmiech, lecz on jakby zapomniał o dziewczynie. Pociął kawałek linki na cztery części i połączył je na powrót w jedną całość, nakrył chusteczką pierścionek i zamienił go w orzech. A potem znieacka przytknął palce do ust, coś z nich wyciągnął i znieruchomił, by pokazać widzom, że to koniec czerwonej wstążki.

Na oczach wyciągnął ją cal po calu całą, pochylając się przy tym stopniowo i robiąc zeza. Na koniec naciągnął wstążkę, sięgnął po sztylet, przyłożył ostrze tuż przy wargach i odciął. Z ukłonem wręczył wstążkę karczmarce.

Obok dziewczyny stał tracz z tartaku, który przyłożył wstążkę do drewnianej miarki.

— Dwa jardy, akurat! — ogłosił i huknęły brawa. Balwierz zaczął, aż ucichną, i wtedy podniósł w górę flaszkę ze swoim lekiem.

— Panowie, panie i dziewczęta! Tylko mój lek, driakiew dobra na wszystko... Przedłuża życie, odnawia zużyte tkanki ciała. Sztynne stawy rozrusza, a rozchwiane umocni. Przywraca zbójcecki blask przegasłym oczom. Przemienia chorobę w zdrowie, powstrzymuje wypadanie włosów i zasiewa nowe na lśniącey łysinie. Oczyszcza przyćmiony wzrok i ostrzy stępieły dowcip. To kordiał nad kordiały, lepiej pobudza niż najmocniejszy trunek, przeczyszcza łagodniej niż lewatywa ze śmietany. Driakiew leczy wzdęcia i krwawe biegunki, przynosi ulgę w bólach porodu i ciężkich kobiecych przypadłościach, leczy też bez śladu skorbut

przywleczony przez marynarzy. Dobra dla zwierzęcia i człowieka, kres kładzie głuchocie, bólowi oczu, kaszlowi, suchotom, boleściom brzucha, żółtacze, gorączce i febrze. Leczy każdą chorobę! Przepędza troski!

Balwierz sprzedał sporo wystawionego na ławę specyfiku, potem razem z Robem zawiesili zasłonę, za którą badał pacjentów. Chorzy i strapieni czekali w długiej kolejce, by za pensa lub dwa otrzymać jego poradę.

Tego wieczora w karczmie jedli pieczoną gęś, pierwszy w życiu Roba kupiony posiłek. Wydał mu się szczególnie wspaniały, choć Balwierz orzekł, że mięso jest przepieczone, i utyskiwał, że w tłuczonej rzemie pozostały grudy. Potem rozłożył na stole mapę Anglii. Była to pierwsza mapa, jaką Rob oglądał, z przejęciem więc śledził palec Balwierza wskazujący krętą linię — szlak, który mieli przemierzyć w najbliższych miesiącach.

W końcu, potykając się ze zmęczenia i ledwie patrząc na oczy, wrócił do obozowiska jasną, księżycową nocą. Rozłożył posłanie, ale w ciągu ostatnich paru dni tyle się wydarzyło, że oszołomienie nie dawało mu zasnąć. Leżał w półśnie spoglądając w gwiazdy, kiedy wrócił Balwierz. Ktoś z nim był.

— Piękna Amelio — mówił Balwierz — turkaweczko, starczyło mi raz spojrzeć na te spragnione usteczka, a od razum wiedział, że gotowym dla ciebie zginąć.

— Uważaj na korzenie, bo upadniesz—powiedziała dziewczyna.

Rob leżał przysłuchując się wilgotnym cmoknięciom, szelestom zdejmowanego ubrania, śmiechom i dyszeniu. A potem usłyszał zsuwające się skóry posłania.

— Lepiej zostanę pod spodem z uwagi na mój brzuch — rozległ się głos Balwierza.

— Potworne brzuszysko — rzekła przekornie cichym głosem dziewczyna. — Dobrze po nim skakać, jak po wielkiej podusze. Wygodny.

— Wygodzę to ci tym, dziewczyno.

Rob chętnie by ją zobaczył nago, ale nim ośmielił się unieść głowę, już się położyła i dojrzał tylko migające blade pośladki. Oddychał głośno, lecz tyle o to dbali, że mógłby krzyknąć, a nic by nie usłyszeli. Wkrótce jego oczom ukazały się wielkie, pulchne łapy Balwierza i jęły miętosić podskakujące białe półkule.

— Ach, ślicznotko! — sapał Balwierz. Dziewczyna jęknęła.

Usnęli pierwsi. Kiedy i Rob wreszcie zasnął, przyśnił mu się Balwierz zonglujący bez końca piłeczkami.

Kobiety już nie było, kiedy się obudził chłodnym świtem. Zwinęli obóz i wyjechali z Farnham, gdy większość jego mieszkańców jeszcze spała.

Niedługo po wschodzie słońca mijali zarośla jeżynowe, zatrzymali się zatem, by nazbierać do koszyka jagód, u najbliższego wieśniaka Balwierz zaopatrzył się w obrok. Potem zatrzymali się na śniadanie. Rob rozpałał ognisko, smażył boczek i przypiekał placki z serem, Balwierz tymczasem wybił do miski dziewięć jaj, dodał szczerze kwaśnej śmietany, ubił wszystko na pianę i zagotował bez mieszania, aż ścięło się w miękkie ciasto, które posypał dojrzałymi jeżynami. Wyglądał na zadowolonego patrząc, z jakim zapałem Rob pochłania swoją część.

Tego dnia po południu mijali wielką warownię otoczoną zagrodami. Rob dojrzał na jej terenie i ziemnych wałach ludzi.

Balwierz popędził konia klusem, chcąc szybko przejechać, jednakże wypadło za nimi trzech konnych wołając, by się zatrzymali.

Wyglądali srogo. Z ciekawością obejrzeni malowany wóz.

— Czym się zajmujesz?—spytał jeden, przyodziany w lekką zbroję człowieka znaczniejszego.

— Jestem balwierzem, wielmożny panie — odparł Balwierz.

Tamten skinął głową z zadowoleniem i zawrócił konia.

— Jedź za mną.

Otoczeni strażą, z klekotem przejechali przez ciężką bramę w ziemnych wałach, przez drugą bramę w palisadzie, a następnie po zwodzonym moście nad fosą. Rob nigdy jeszcze nie widział z bliska wielkiej warowni. Olbrzymia forteca fundamenty i ściany do połowy miała z kamienia, wyższe piętra z bali, ganek i szczyty dachu ozdobione rzeźbami, a na dachu złoconego koguta lśniącego w słońcu.

— Wóz zostaw na podwórku. Weź z sobą narzędzia chirurgiczne.

— O co chodzi, wielmożny panie?

— Suka skaleczyła się w łapę.

Obładowani narzędziami i flaszeczkami driakwi weszli za nim do sali wielkiej jak jaskinia. Posadzka wyłożona była kamiennymi płytami i zasłana sitowiem, które dawno należało zmienić. Sprzęty wydawały się robione na miarę pomniejszych olbrzymów. Trzy ściany zawieszono mieczami, tarczami i oszczepami, ściana północna zaś kobiercami o wyblakłych, lecz wspaniałych jeszcze barwach. Stał pod nią tron z rzeźbionego ciemnego drewna.

Kominek pośrodku komnaty ział chłodem, ale w całej sali czuć było dym ubiegłej zimy i coś mniej przyjemnego, co najsilniej uderzyło ich w nozdrza, gdy prowadzący zatrzymał się przy ogarze leżącym przed paleniskiem.

— Straciła w sidłach dwa palce parę tygodni temu. Najpierw goiło się dobrze, ale potem zaczęło ropieć.

Balwierz skinął głową. Ze srebrnej miski stojącej u łba suki wytrząsnął mięso i wylał do niej zawartość dwóch swoich flaszeczek. Przyglądała się kaprawymi ślepiami i warknęła, kiedy stawiał przed nią miskę, lecz za chwilę już chłęptała specyfik, niebawem zaś zapadła w odrętwienie. Wtedy Balwierz, nie tracąc czasu, owinał jej pysk i związał łapy, by nie mogła użyć pazurów. Pies drżał i skomlał, kiedy Balwierz ciął. Smród był straszliwy, w ranę bowiem wdały się robaki.

— Straci jeszcze jeden palec.

— Nie może okuleć. Przyłóż się—rozkazał zimno szlachcic. Po skończonym zabiegu Balwierz obmył łapę z krwi resztą specyfiku i obwiązał ją szmatą.

— A zapłata, wielmożny panie? — zapytał dyskretnie.

— Musisz poczekać, aż pan hrabia wróci z polowania, i jego poprosić — rzekł szlachcic i wyszedł.

Ostrożnie rozwiązali psa, zebrali instrumenty i wrócili do wozu. Balwierz powoli odjechał, zachowując się tak, jakby miał na to pozwolenie. Kiedy warownia zniknęła im z oczu, odchrząknął i splunął.

— Hrabia może wrócić dopiero za parę dni. A wtedy, jeżeli suka będzie zdrowa, może łaskawie zapłaci. Jeżeli zdechnie albo hrabia z powodu byle zatwardzenia będzie nie w humorze, może nas kazać wychłostać. Unikam wielkich panów i robię to, co potrafię, w małych wsiach — powiedział popędzając konia.

Nazajutrz rano, gdy przybyli do Chelmsford, był w lepszym nastroju. Tam jednak występował już ugrzeczniwy sprzedawca maści w jaskrawopomarańczowym kaftanie i z grzywą siwych włosów.

— Miło was spotkać, mości Balwierz — przywitał go gładko.

— Co u ciebie, Wat? Masz jeszcze swojego zwierzaka?

— Nie, zaczął chorować i zrobił się złośliwy. Dałem go na nagonkę.

— Szkoda, żeś go nie leczył moim specyfikiem. Na pewno by wyzdrowiał.

Roześmiali się obaj.

— Mam nowego. Chcesz popatrzeć?

— Czemu nie? — powiedział Balwierz. Podjechał wozem pod drzewo i w czasie, kiedy zbierał się tłum, puścił konia na trawę. Chelmsford było dużą osadą i widzowie dopisali.

— Siłowałeś się kiedy? — zapytał Balwierz Roba. Chłopiec kiwnął głową potakująco. Bardzo lubił się siłować, synowie londyńskich wyrobników uprawiali ten sport na co dzień.

Wat rozpoczął występ tak samo jak Balwierz, od żonglerki. Był w niej zręczny, jak ocenił Rob. Za to w sztuce opowiadania nie dorównywał Balwierzowi i ludzie nie tak często wybuchali śmiechem, cieszyli się natomiast na popisy niedźwiedzia.

Klatka stała w cieniu, nakryta płachtą. Kiedy Wat zdjął płachtę, w tłumie rozległ się gwar. Rob oglądał już popisy z niedźwiedziem — kiedy miał sześć lat, ojciec zabrał go na występy tego zwierzaka przed gospodą „Swann” i niedźwiedź wydał mu się wtedy olbrzymi. Gdy Wat wypuścił swojego w kagańcu na ławę, wyglądał na mniejszego. Był niewiele większy od dużego psa, ale bardzo zmyślny.

— A oto niedźwiedź Bartram! — zapowiedział Wat. Niedźwiedź kładł się i na rozkaz udawał zdechłego, turlał się i łapał piłkę, wchodził na drabinę i schodził, w takt fletu Wata tańczył popularnego tupanego, niezdarnie się obracając zamiast wirować, mimo to budząc wśród widzów taki zachwyt, że nagradzali oklaskami każde jego poruszenie.

— A teraz — oświadczył po jakimś czasie Wat — Bartram będzie się zmagał z każdym, kto zechce się z nim zmierzyć. Kto go powali, dostanie darmo garnuszek maści Wata, tak cudownego mazidła, że nie masz odeń lepszego na wszelkie ludzkie dolegliwości.

Podniósł się szmer rozbawienia, ale nikt nie wystąpił.

— Zgłaszajcie się, siłacze — kpił Wat. W oczach Balwierza pojawił się błysk.

— Jest tu chłopak, który nie zna strachu — powiedział głośno.

Rob ze zdumieniem i niemalym zaniepokojeniem poczuł, że Balwierz wypycha go przed tłum. Czyjeś ochocze ręce podsadziły go na ławę.

— Wat, przyjacielu, oto mój pomocnik przeciwko twojemu zwierzakowi! — zawołał Balwierz.

Wat przyzwalając kiwnął głową i obaj wybuchnęli śmiechem.

„O mamó!” — pomyślał oszołomiony Rob.

Przed nim stał prawdziwy niedźwiedź. Kołysał się na tylnych łapach i spoglądał na niego przekrzywając wielki kudłaty łeb. To nie pies, towarzysz jego zabaw z ulicy Cieśli. Rob widział potężne bary, grube łapy i instynkt mu podpowiadał, że powinien zeskoczyć z ławy i uciec. Ale wystąpiłby wtedy przeciw Balwierzowi i wszystkiemu, czym ten człowiek był w jego życiu. Wymagałoby to większej odwagi, wybrał więc łatwiejsze wyjście i stawiał czoło bestii.

Z walącym sercem okrążył niedźwiedzia machając mu przed pyskiem otwartymi dłońmi, nieraz bowiem widział, że tak czynią starsi zapaśnicy. Być może nie robił tego tak jak trzeba, bo ktoś zachichotał i niedźwiedź spojrzał w tamtym kierunku. Starając się zapomnieć, że jego przeciwnik nie jest człowiekiem. Rob postąpił tak, jakby walczył z chłopcem w swoim wieku - skoczył na Bartrama chcąc zbić go z nóg, lecz skutek był taki, jakby spróbował wyrwać z korzeniami potężne drzewo.

Bartram uniósł łapę i leniwie go trzepnął. Niedźwiedź miał wyrwane pazury, obalił jednak chłopca, odrzucając go przez pół sceny. Rob był teraz bardziej niż przerażony. Wiedział, że nic nie może zrobić i byłby uciekł, ale Bartram niespodziewanie szybko przyczłapał i już nad nim czekał. Gdy Rob wstał, znalazł się w jego objęciach z twarzą wciśniętą w kłaki niedźwiedzia, którego smród wypełnił mu nozdrza i usta. Szarpał się z tym

parszywym czarnym futrem, śmierdzącym tak samo jak skóra, pod którą sypiał. Bartram nie był jeszcze dorosłym niedźwiedziem, tak jak on nie był jeszcze dorosłym człowiekiem. W trakcie szamotaniny Rob spojrział nagle w rozjarzone czerwone oczka i zrozumiał, że niedźwiedź boi się tak samo jak on, lecz w pełni panuje nad sytuacją nie wypuszczając ofiary. Ugryźć nie mógł, jasne wszakże było, że zrobiłby to, gdyby nie rzemienny kaganiec, wciskał go bowiem w ramię Roba, ziejąc gęstym od smrodu oddechem.

Wat wreszcie sięgnął ręką do niewielkiego uchwyty w obroży zwierzęcia. Nie dotknął jej, ale zwierzak zaskomlał i uchylił się, puścił Roba, po czym przewrócił się na grzbiet.

- Na łopatki go, głupcze! - syknął Wat.

Rob rzucił się na niedźwiedzia, chwytając za czarne kudły na barkach. Nikt się nie dał zwieść, parę osób gwizdnęło, lecz tłum dostał obiecaną rozrywkę, toteż był w dobrym nastroju. Wat zamknął Bartrama w klatce i wrócił, by nagrodzić Roba glinianym garnuszkiem maści, jak przyrzekł. I już recytował zebrany składniki mazidła i jego zastosowania.

Do wozu Rob wrócił na nogach jak z gumy.

- Poradziłeś sobie pięknie - pochwalił Balwierz. - Zaprawiłeś go bykiem. Krew ci poszła z nosa?

Rob pociągnął nosem, świadom, że i tak miał szczęście.

- Mało brakowało, a ta bestia dobrałaby się do mnie - stwierdził ponuro.

Balwierz wyszczerzył zęby i pokręcił głową.

- Nie widziałeś tego uchwyty u obroży? Obroża służy do dławienia. Ten uchwyt pozwala skrócić pętlę i przydławić bestię, jak nie usłucha. W ten sposób tresuje się niedźwiedzie.

Podał Robowi rękę, by mu pomóc wleźć na kozioł, a potem zaczerpnął z garnuszka trochę maści Wata i roztarł ją w palcach.

- To łój ze słoniną i szczyptą pachnidła. Ale cóż, sporo tego sprzedaje. - W zadumie przyjrzał się, jak ludzie ustawiają się w kolejce do Wata ze swymi pensami. - Zwierzak zapewnia powodzenie. Inni dają występy ze świstakami, kozami, wronami, borsukami i psami. Nawet z jaszczurkami. I na ogół zgarniają więcej pieniędzy, niż ja pracując sam.

Na znak dany lejcami koń ruszył dróżką w chłód lasu i Cheimsford z Watem i jego niedźwiedziem zostało za nimi. Dreszcz strachu nadal nie opuszczał Roba, który siedział bez ruchu zamyślony.

- To dlaczego wy nie występujecie z jakimś zwierzakiem? - zapytał wreszcie powoli.

Balwierz obrócił się do niego. Przyjazne niebieskie oczy odszukały wzrok Roba i wydało się, że wyrażają więcej niż usta Balwierza.

- Mam ciebie - powiedział.

Kolorowe piłeczki

Zaczęli od zonglerki i Rob od początku nabrał przekonania, że nigdy nie będzie w stanie dokonać tego cudu.

- Stój prosto, ale swobodnie, łokcie trzymaj przy bokach. Przedramiona równolegle do ziemi. Dłońmi do góry. - Balwierz przyjrzał mu się krytycznie i kiwnął głową. - Tak jakbym ci położył na dłoniach tacę z jajkami. Ani na chwilę nie może się przechylić, bo jajka się zsuną. Tak samo jest z zonglowaniem. Jak nie będziesz trzymać rąk prosto, wszystkie piłki spadną. Zrozumiano?

- Tak, panie Balwierz - odparł Rob cicho, bo mdliło go w dołku.

- Złóż dłonie, jakbyś z każdej miał napić się wody. - Wziął dwie drewniane piłeczki, czerwoną położył na stulonej prawej dłoni Roba, niebieską na lewej. - Teraz je podrzuć jak zongler, ale jednocześnie.

Piłki przeleciały mu nad głową i upadły na ziemię.



- Popatrz. Czerwona poleciała wyżej, bo w prawej ręce masz więcej siły niż w lewej. Musisz się nauczyć to wyrównywać, mniej wkładać siły w prawą niż w lewą, bo rzucać trzeba na równą wysokość. Poza tym obie piłki rzuciłeś za wysoko. Żongler dosyć ma roboty, żeby jeszcze zadzierać głowę do nieba i sprawdzać, gdzie poleciały piłeczki. Nie powinny lecieć wyżej jak dotąd - poklepał Roba po czole. - W ten sposób je widzisz nie ruszając głową. - Zmarszczył brwi. - Jeszcze jedno. Żongler nigdy piłek nie rzuca. On je podbija. Środek dłoni podbija piłeczkę prosto w górę, jednocześnie ręka w przegubie szybko się zgina, przedramię leciutko się unosi. Od ramion do łokcia ręce nie powinny ani drgnąć.

Pozbierał piłeczki i podał je Robowi.

Po przyjeździe do Herford Rob ustawił ławę, wyniósł flaszki ze specyfikiem Balwierza, a potem wyjął dwie drewniane piłeczki i zaczął ćwiczyć wybijanie. Kiedy Balwierz mówił, wydawało się to łatwe, okazało się jednak, że niemal za każdym podrzutem piłeczka zostaje wprawiona w ruch wirowy i zbacza z toru. Gdy przytrzymał ją za długo, by to wyhamować, spadała mu na twarz albo przelatowała za ramię, jeżeli rozluźnił dłoń, uciekała. Ale nie rezygnował i niebawem chwycił rytm. Kiedy przed wieczerzą popisał się świeżo nabytą umiejętnością, odniósł wrażenie, że Balwierz jest zadowolony.

Na drugi dzień Balwierz zatrzymał wóz przed wsią Luton i pokazał Robowi, jak wyrzucać dwie piłeczki, żeby tory ich lotu się nie przecinały.

- Unikniesz zderzenia w powietrzu, jeżeli jedną podbijesz z wyprzedzeniem albo wyżej niż drugą - pouczył.

Ledwie się zaczął występ w Luton, Rob wymknął się z dwiema piłeczkami, by poćwiczyć na polanie w lesie. Najczęściej obie, niebieska i czerwona, zderzały się w powietrzu ze stuknięciem, które brzmiało jak drwina, spadały, toczyły się po ziemi; zbierając je, czuł się głupi i niezdarny. Ale oglądały to tylko myszy polne i przypadkowe ptaki, powtarzał więc próby. Z czasem się przekonał, że udaje mu się podrzucić obie piłeczki, jeżeli pierwsza wylatuje z lewej dłoni wysoko, a druga leci niżej. Ćwiczył przez dwa dni, zanim był na tyle z siebie zadowolony, by się popisać przed Balwierzem, który wtedy mu pokazał, jak wyrzucać obie piłeczki, aby zataczały koła.

- To się wydaje trudniejsze, niż jest. Podrzucaasz pierwszą. Kiedy jest w górze, przekładasz do prawej ręki drugą. Lewa chwyta pierwszą, prawa podrzuca drugą i tak dalej, hop, hop, hop! Podbite szybko wylatują w górę, ale dużo wolniej opadają. To sekret żonglera, w tym jego ratunek. Masz mnóstwo czasu.

Pod koniec tygodnia Balwierz już go uczył, jak żonglować czerwoną i niebieską piłeczką jedną ręką. Jedną piłeczkę musiał trzymać na dłoni, drugą dalej, na palcach. Rob cieszył się, że dłonie ma duże. Bardzo często upuszczał piłeczki, lecz wreszcie opanował tę sztukę: najpierw podbijał czerwoną, a zanim opadła, niebieska już wyskakiwała w górę. Tańczyły tak w górę i w dół z jednej dłoni, hop, hop, hop! Ćwiczył w każdej wolnej chwili. Proszę: obie piłeczki krążą, obie się mijają, obie piłeczki wyrzuca tylko prawą ręką, obie tylko lewą. Odkrył, że żonglując bardzo nisko może zwiększyć szybkość.

Przystanęli na dłuższy popas pod miasteczkiem Bletchley, Balwierz bowiem kupił od jakiegoś wieśniaka łabędzia. Było to jeszcze prawie pisklę, niemniej większe od wszystkich ptaków, jakie Rob widział przyrządzone do jedzenia. Wieśniak sprzedał łabędzia już sprawionego, ale Balwierz poddał go jeszcze różnym zabiegom: umył starannie w strumieniu, potem uwiesił za łapy nad małym ogniem, żeby opalić resztki pierza, wreszcie nadział kasztanami, cebulą, tłuszczem i przyprawami, jak godziło się zrobić z ptakiem, który tyle kosztował.

- Mięso łabędzia jest ostrzejsze niż gęsiina, ale bardziej suche niż mięso kaczki, toteż trzeba je obłożyć - z zadowoleniem pouczył Roba. Owinął całego ptaka cienkimi płatkami solonej słoniny, tak że zachodziły na siebie, i zgrabnie ukształtował. Owiązał go na koniec

Inianą nicią i zawiesił na rożnie nad ogniem.

Rob wprawiał się w żonglowaniu tak blisko ogniska, że dochodzące zapachy były słodką udręką. Żar płomieni wytapiał ze słoniny tłuszcz zwilżając chude mięso, a tłuszcz w nadzieniu topił się powoli i nasączał ptaka od środka. Gdy Balwierz obracał łabędzia na służącej jako rożen zielonej gałęzi, cienka warstwa słoniny kurczyła się i wysychała. Jak już ptak był gotowy i został zdjęty z rożna, solona słonina pękła i odpadła. Mięso pod nią było wilgotne i miękkie, trochę żyłaste, ale pięknie przesiąknięte tłuszczem i upieczone. Zjedli po kawałku z gorącym kasztanowym nadzieniem i młodą gotowaną dynią - Rob dostał wielkie różowe udko.

Nazajutrz wstali wcześniej i dobrze popędzili konia, pokrzepieni całym dniem odpoczynku. Zatrzymali się na śniadanie przy drodze i ze smakiem zjedli trochę zimnej piersi łabędzia z przypiekanym chlebem i serem. Po posiłku Balwierz beknął i wręczył Robowi trzecią drewnianą piłeczkę, pomalowaną na zielono.

Pełzli jak mrówki nizinami, potem wśród wzgórz wyżyny Cotswold, niskich i łagodnych, pięknych w stonowanych barwach lata. Po dolinach tuliły się wsie i więcej w nich było kamiennych domów, niż Rob oglądał w Londynie. Trzy dni po świętym Switunie skończył dziesięć lat. Nie wspominał o tym Balwierzowi.

Rósł. Rękawy koszuli, umyślnie skrojone przez mamę na wyrost, sięgały niewiele poniżej łokci, odsłaniając sękatę przeguby rąk. Balwierz zmuszał go do ciężkiej pracy. Rob wykonywał większość zajęć: ładował i rozładowywał wóz w każdym miasteczku i wsi, zbierał drwa na ognisko, nosił wodę. Rosły mu kości i mięśnie od wspaniałego pożywnego jedzenia, od którego Balwierz dostał porządnego brzucha. Do tego cudownego jedzenia Rob szybko się przyzwyczał.

Rob i Balwierz przywykli też nawzajem do swoich obyczajów. Teraz gdy grubas sprowadzał do obozowiska kobietę, nie było to dla Roba niczym nowym. Czasem słuchał odgłosów ich zmagania i próbował coś podejrzeć, ale zazwyczaj przewracał się na bok i usypiał. Jeżeli okoliczności temu sprzyjały, Balwierz spędzał noc w domu kobiety, lecz gdy wstawał rano i trzeba było ruszać, zawsze był w wozie.

Stopniowo Rob zrozumiał, że Balwierz każdej kobiecie stara się przypodobać tak samo jak ludziom oglądającym jego występy. Opowiadał, że jego „driakiew dobra na wszystko” to wschodni lek, sporządzany z naparu utłuczonego suszonego kwiatu rośliny zwanej vitaha, którą można znaleźć wyłącznie na pustyniach dalekiej Asyrii. Lecz gdy driakiew się skończyła. Rob mu pomógł przyrzadzić nowy zapas tej mikstury, toteż wiedział, że w przeważającej części składa się ona ze zwykłego alkoholu.

Nie musieli go długo szukać - za szóstym razem Balwierz trafił na wieśniaka, który chętnie mu sprzedał baryłkę korzennego miodu. Każdy rodzaj trunku by się nadał. Balwierz jednak

twierdził, że zawsze szuka meteglinu, roztworu sfermentowanego miodu z wodą.

- To walijski wynalazek, bracie, jedna z niewielu rzeczy, jakie zawdzięczamy Walijszykom. Nazwa wywodzi się od słowa meddyg, jak nazywają medyka, i tymi, mocny trunek. Takim to oni kurują się lekiem, i niezły on, bo meteglin tępi język i zagrzewa ducha.

Vitalia, „ziele życia” z dalekiej Asyrii, okazała się szczyptą saletry dosypywanej przez Roba do każdego galonu meteglinu. Nadawała mocnemu trunkowi smak lekarstwa, łagodzony słodyczą sfermentowanego miodu, który stanowił podstawę specyfiku.

Flaszeczki były małe.

- Zapamiętaj: tanio kupuj baryłkę, drogo sprzedawaj flaszkę - mówił Balwierz. - Nasze miejsce jest wśród klas niższych i biedoty. Wyżej od nas stoją chirurdzy, oni biorą drożej i czasem podrzucają takim jak my co gorszą robotę, jak nie chcą sobie brudzić rąk. Jakby rzucali zgniły ochłap psu! Wyżej od tych nędzników stoją medycy, ci dopiero są ważni i leczą

dobrze urodzonych, a biorą najwięcej ze wszystkich. Zastanawiałeś się kiedy, dlaczego to twój Balwierz nie przystrzyga bród ani włosów? - perorował. - Bo stać mnie na to, żeby sobie wybierać zajęcia. Tkwi w tym nauka i dobrze ją sobie wbij do głowy, terminatorze: sprzedając, i to umiejętnie, właściwe leki, balwierz może zarobić tyle co medyk. Gdyby wszystko zawiodło, starczy ci o tym pamiętać.

Po sporządzeniu leku na sprzedaż Balwierz wyjął mniejsze naczynie i dorobił jeszcze trochę mikstury, następnie sięgnął do spodni. Rob stał osłupiały i patrzył na strumień, który pociekł w „driakiew dobrą na wszystko”.

- To moja specjalna nalewka - powiedział bez żenady Balwierz, sikając do garnka. - Pojutrze będziemy w Oksfordzie. Tamtejszy szeryf, sir John Fitts, drogo każe sobie płacić za to, że nie przegania mnie z hrabstwa. Za dwa tygodnie będziemy w Bristolu, a tam karczmarsz Potter zawsze mi głośno złorzeczy w czasie występów. Dla takich jak oni staram się mieć na podorędziu stosowny podarunek.

Gdy przybyli do Oksfordu, Rob nie szukał ustronnego miejsca, by poćwiczyć kolorowymi piłeczkami. Zaczekał wśród widzów, dopóki nie pojawił się w wytłuszczonym atlasowym kaftanie szeryf, chudy mężczyzna o zapadniętych policzkach i nie schodzącym z ust wyniosłym uśmiechu, jakby rozbawiony był czymś, o czym tylko on sam wiedział. Rob zobaczył, jak

Balwierz wręcza mu łapówkę, a następnie niechętnie, z ociąganiem daje flaszkę driakwi.

Szeryf odkorkował butelkę i wychylił jej zawartość. Rob oczekiwał, że się zakrzusi, wypłuje miksturę i zawoła, by ich natychmiast zatrzymano, ale lord Fitts wysączył ją do ostatniej kropelki i oblizwał wargi.

- Godny trunek.

- Dziękuję wam, sir Johnie.

- Dajcie mi parę flaszeczek do domu. Balwierz westchnął, jakby go wykorzystywano.

- Ma się rozumieć, milordzie.

Flaszeczki ze szczynami naznaczone były zadrapaniem, by można je odróżnić od nie rozcieńczonego meteglinu, i stały osobno w kącie wozu. Rob jednak bał się napić jakiegokolwiek miodowego trunku ze strachu przed pomyłką. Istnienie „specjalnej nalewki” obrzydzało mu meteglin w ogóle, toteż być może dzięki temu nie rozpił się już we wczesnej młodości.

Żonglowanie trzema piłeczkami stwarzało niespodziewane trudności. Rob pracował nad nim przez wiele tygodni bez większego powodzenia. Zaczął od trzymania dwóch piłeczek w prawej ręce i jednej w lewej. Balwierz kazał mu się nauczyć przedtem żonglowania dwiema piłeczkami jedną ręką, a teraz w odpowiednim momencie podrzucał trzecią w tym samym rytmie. Dwie piłeczki wylatywały w górę razem, potem jedna, potem dwie i znowu jedna... Ładnie wyglądało, gdy ta jedna wyskakiwała między dwiema pozostałymi, lecz nie było to właściwe żonglowanie, nie potrafił bowiem osiągnąć tego, by tory trzech piłeczek się przecięły.

Wprawiał się, kiedy tylko mógł. W nocy widział we śnie kolorowe piłeczki tańczące w powietrzu lekko jak ptaki, ale bez powodzenia próbował je tak podrzucać na jawie.

Byli w Stratfordzie, kiedy wreszcie mu się udało. Sam nie wiedział, w jaki sposób je podrzuca, a w jaki łapie. Po prostu uchwycił rytm. Zdawało się, że wszystkie trzy piłeczki same z siebie wylatują mu z rąk i wracają, jakby były częścią jego ciała. Balwierz był zadowolony.

- Dziś moje urodziny i zrobiłeś mi piękny prezent - powiedział.

Aby uczcić obydwie te wydarzenia, poszli na targ i kupili udziec młodej sarny, który Balwierz obgotował, owinął słoniną, przyprawił miętą i szczawiem, a następnie udusił w

piwie z małymi marchewkami i słodkimi gruszkami.

- Kiedy twoje urodziny? - zapytał przy jedzeniu.

- Trzy dni po świętym Świtanie.

- To już minęły! I aniś pisała!

Rob nic nie odpowiedział.

Balwierz spojrział na niego i pokiwał głową. Potem odkroił jeszcze kawał mięsa i położył Robowi na talerz.

Wieczorem zabrał go do gospody w Stratfordzie. Rob napił się słodkiego jabłecznika, a Balwierz wychylił kufel piwa i aby uczcić swoje święto, odśpiewał pieśń. Nie miał mocnego głosu, śpiewał za to melodyjnie. Gdy skończył, odezwały się brawa i stukanie o stół kuflami. W kącie siedziały dwie kobiety, jedyne w tym towarzystwie. Młodsza była postawną blondynką, jej towarzyszka zaś, chuda i starsza, miała już siwiznę w ciemnych włosach.

- Jeszcze! - zawołała śmiało starsza.

- Pani, jesteś nienasycona! - zawołał Balwierz. Odrzucił głowę do tyłu i zaśpiewał:

Posłuchajcie nowej śpiewki o zalotach pewnej wdowy, Wzięła sobie łotra w łóżko na swą zgubę ta niecnota, A ten łajdak wnet jej dosiadł i wyruchał babę zdrowo, I za niecną swą przysługę jeszcze obrał ją ze złota!

Kobiety krzyczały i piszczały ze śmiechu, zakrywając oczy rękami. Balwierz kazał im podać piwa, po czym zaśpiewał:

Kiedyś mnie oczy twe pieściły, Teraz leżę w twych objęciach, Zaraz sobie pobrykamy, Na nic więc twoje zakłęcia.

Zdumiewająco zwinny mimo swej tuszy, zatańczył szalonego tupanego po kolei z każdą przy wtórce pokrzykiwań i oklasków zebranych w gospodzie mężczyzn. Podrzucał i okręcał zachwycone kobiety z łatwością, pod warstwą tłuszczu bowiem miał mięśnie konia pociągowego.

Wkrótce po tym, jak Balwierz sprowadził obie do ich stołu, Rob usnął. Miał mglistą świadomość, że go obudzono potem, a kiedy szli do obozowiska, kobiety go podtrzymywały, gdyż potykał się na równej drodze.

Kiedy się nazajutrz obudził, tamci troje leżeli pod wozem splątani jak zdechłe węże. Poczł ogromną ciekawość, jak też wyglądają kobiece piersi, toteż zbliżył się i przyjrzał śpiącym niewiastom. Piersi młodszej były obwisłe, z grubymi brodawkami w otocze brunatnych kręgów, na których rosły włoski. Starsza, prawie płaska, miała sinawe wymionka jak suka albo maciora.

Kiedy Rob tak patrzył. Balwierz otworzył jedno oko i zerknął, jak jego wychowanek uczy się na pamięć kobiet. Potem się spomiędzy nich wyplątał, klepnięciem obudził zło i senne kobiety, zabrał posłanie i schował do wozu w czasie, gdy Rob zaprzęgał konia. Zostawił każdej w podarunku monetę i flaszeczkę driakwi. Żegnani pogardliwym trzepotem czapli Balwierz i Rob wyjechali ze Stratfordu, kiedy słońce różowiło rzekę.

## Dom nad zatoką

Pewnego ranka Rob spróbował zagrać na saskim rogu i zamiast nikłego syku wydobył pełny jego dźwięk, a już wkrótce tęsknym, budzącym echo graniem dumnie odmierzał przypadającą na ten dzień trasę. Z końcem lata, kiedy dni zaczęły się stawać coraz krótsze, ruszyli na południowy zachód.

- W Emlouth mam mały domek - wyjaśnił Balwierz. - Staram się każdą zimę spędzać na południowym wybrzeżu, bo nie znoszę zimna.

W tym też czasie Rob otrzymał od niego brązową piłeczkę. Żonglowanie czterema piłeczkami nie było mu straszne, umiał już bowiem wyrzucać dwie jedną ręką, a teraz po prostu czynił to obiema. Ćwiczył nieustannie, nie mógł jednak tego robić jadąc na kozle, gdyż często mu spadały i Balwierza męczyło

zatrzymywanie konia i czekanie, aż Rob zlezie z kozła i je pozbiera.

Czasami, gdy dokądś przyjeżdżali, patrzył, jak chłopcy w jego wieku chlapią się w rzece, śmieją i dokazują. Tęsknił wtedy za dzieciństwem, ale już był inny niż oni. Czyż zmagali się kiedy z niedźwiedziem? potrafili żonglować czterema piłeczkami? grać na saskim rogu?

W Glastonbury zachciało mu się powyglupiać i zaczął żonglować przed oniemiałym stadkiem chłopców na wiejskim cmentarzu przy kościele, podczas gdy Balwierz występował obok, na rynku, gdzie dobiegł go ich śmiech i oklaski. Surowo za to Roba skarcił.

- Nie będziesz występował, póki nie zostaniesz prawdziwym żonglerem, a nie jest powiedziane, że nim zostaniesz. Zrozumiano?

- Tak, panie Balwierz - rzekł Rob.

Wreszcie pewnego wieczoru pod koniec października dojechali do Emlouth. Samotny domek stał opuszczony pięć minut drogi od morza.

- Było tu całe gospodarstwo, ale kupiłem domek bez ziemi i dlatego tanio - wyjaśnił Balwierz. - Koń ma stajnię w dawnej szopie na siano, a wóz wstawia się do tej tutaj, zbudowanej jako spichlerz.

Przybudówka dająca niegdyś schronienie krowie osłaniała teraz drwa na opał przed niepogodą. Dom nie był wiele większy od tego na ulicy Cieśli w Londynie i też kryty strzechą, ale zamiast dymnika miał duży, wzniesiony z kamienia komin. W palenisku Balwierz umieścił trójnog do wieszania żelaznego garnka, szuflę, wielkie żelazne szczypce, kociołek i hak na mięso. Przy kominie był piec, a w jego najbliższym sąsiedztwie olbrzymie łoże. W czasie ubiegłych zim Balwierz urządził się jak najwygodniej. Miał dzieżę na ciasto, stół, ławę, szafkę na ser, kilka dzbanków i parę koszyków.

Kiedy w palenisku zapłonął ogień, odgrzali resztę szynki, którą żywili się od tygodnia. Nadpsute mięso już śmierdziało, chleb spleśniał. Nie było to jedzenie dla Balwierza.

- Jutro musimy zrobić zapasy - oznajmił kwaśno. Rob po posiłku wydobył drewniane piłeczki i w migotliwym świetle przećwiczył rzuty przemienne. Z początku szło mu dobrze, lecz po jakimś czasie piłeczki wylądowały na ziemi. Wtedy Balwierz wydobył z worka i rzucił na podłogę żółtą piłeczkę, która potoczyła się i zatrzymała wśród innych. Czerwona, niebieska, brązowa i zielona. A teraz żółta. Robowi pojawiły się przed oczami wszystkie kolory tęczy i poczuł, że ogarnia go głęboka rozpacz. Stał i patrzył na Balwierza. Wiedział, że przed nim nie ukryje sprzeciwu, który po raz pierwszy pojawił się w jego oczach, ale nic na to nie mógł poradzić.

- Ile jeszcze? - zapytał. Balwierz zrozumiał i pytanie Roba, i jego rozpacz.

- Już ani jednej więcej. To ostatnia - odparł spokojnie. Zajęli się przygotowaniami do zimy. DREW mieli dosyć, ale część wymagała porąbania. Trzeba też było nazbierać, połupać i ułożyć przy kominie szczapy na podpałkę. Domek miał dwie izby, jedną mieszkalną, drugą na zapasy. Balwierz dokładnie wiedział, gdzie się udać, by dostać żywność w najlepszym gatunku. Zaopatrzyli się w rzepę, cebulę i cały kosz dyń. W pewnym sadzie w Exter nazbierali beczułkę jabłek ze złocistą skórką i białym miąższem i przywieźli wozem do domu. Zasolili baryłkę wieprzowiny. W sąsiedniej zagrodzie była wędzarnia, nakupili więc szynki i makreli i uwędzili za opłatą, a następnie wraz z ćwiartką baraniny zawiesili u pułapu, w wysokim i suchym miejscu, by czekały, aż będą potrzebne. Sprzedający im to wieśniak, przywykły do tego, że ludzie kłusują lub sami hodują zwierzynę na mięso, ze zdumieniem oznajmił, że jeszcze nie słyszał, aby prosty człowiek kupował tyle mięsiwa.

Rob znienawidził żółtą piłeczkę. Była jego porażką. Czuł od początku, że zonglowanie pięcioma piłeczkami jest przeciwne naturze. W lewej ręce palcem serdecznym i małym przyciskał do dłoni jedną, a drugą obejmował kciukiem, palcem wskazującym i środkowym. W prawej pierwszą przytrzymywał palcem małym i serdecznym, drugą między środkowym i wskazującym, trzecią zaś między wskazującym i kciukiem. Ledwie mógł je utrzymać, o podrzuceniu nie było mowy.

Balwierz starał się mu pomóc.

- Jak zonglujesz pięcioma, większość reguł już na nic się zdaje - mówił. - Teraz nie możesz piłki podbić, trzeba ją wyrzucać czubkami palców. A żebyś miał dość czasu na zonglowanie wszystkimi pięcioma, muszą latać bardzo wysoko. Najpierw rzucasz piłkę z prawej ręki. Natychmiast po niej musi wylecieć jedna z lewej, potem znów z prawej, potem z lewej i zaraz z prawej. Hop, hop, hop, hop, hop! Musisz rzucać bardzo szybko.

Rob spróbował i zaraz posypał się gradem piłeczek. Usiłował je odbijać dłońmi, lecz wszystkie spadły na niego i potoczyły się po izbie.

Balwierz się uśmiechnął.

- No to masz zajęcie na zimę - powiedział.

Woda miała gorzki smak, ponieważ źródło za domem zatkała gruba warstwa gnijących dębowych liści. Rob znalazł w stajni drewniane grabie i uprzętną! całą stertę poczerniałych, namokłych liści. Potem z pobliskich wydm nanosił piasku i wsypał go do źródła. Kiedy zmacona woda się ustała, zniknęła też jej gorycz.

Zima przyszła szybko i była jakaś dziwna. Rob lubił ucziwą zimę, ze śniegiem. W Emlouth tego roku przez połowę zimy padał deszcz, a jeśli przechodził w śnieg, płatki zaraz topiły się na mokrej ziemi. Nie było lodu, nie licząc kruchych igiełek na powierzchni źródła, gdy czerpał z niego wodę. Zawsze wiał zimny, wilgotny wiatr od morza, a w domku panowała taka sama jak wszędzie wilgoć.

Rob spał w wielkim łożu z Balwierzem, który kładł się bliżej komina, lecz jego tłuste cielsko wydzielало sporo ciepła. Znenawidził zonglerkę. Rozpaczliwie próbował zapanować nad pięcioma piłeczkami, nie udawało mu się jednak schwytać więcej jak dwie lub trzy. Kiedy trzymał już dwie i próbował złapać trzecią, spadająca piłeczka uderzała zwykle w jedną z trzymanyh w ręce, odbijała się i leciała na ziemię. Zaczął więc wynajdywać sobie inne zajęcia, byle nie ćwiczyć zonglowania. Nie proszony wynosił nocne nieczystości i za każdym razem szorował kamienny nocnik. Rąbał więcej drzewa, niż było trzeba, i stale uzupełniał wodę w wiadrze. Czyścił Incitatusa, aż siwa sierść konia lśniła, i zaplatał mu grzywę. Przebrał po jednym jabłku w baryłce, by pozbyć się zgniłych. Utrzymywał izbę w jeszcze większej czystości niż jego matka dom w Londynie.

Często stawał na brzegu zatoki Lyme i przyglądał się białym falom bijącym o plażę. Od kipiącego, siwego morza dał wiatr tak ostry, aż łzawiły oczy. Balwierz zauważywszy, że Rob wraca dygocząc, polecił szwaczce, wdowie nazwiskiem Editha Lipton, by z jego starej kurty

wykroila dla Roba ciepły kaftan i obcisłe spodnie.

Editha straciła męża i dwóch synów w morzu podczas sztormu, który ich zaskoczył, gdy wypłynęli na połów. Była tęgą matroną o dobrej twarzy i smutnych oczach. Szybko została kobietą Balwierza. Kiedy bawił z nią w miasteczku. Rob leżał sam w wielkim łożu przy ogniu wyobrażając sobie, że ten dom należy do niego. Pewnego razu, gdy zawierucha śniegu z deszczem wciskała się przez szpary w ścianach, Editha przyszła na noc i Rob musiał się przenieść na podłogę. Kiedy leżał tuląc do siebie owinięty szmatą gorący kamień, ze stopami owiazanymi kawałkami klejonego płótna używanego przez szwaczkę do usztywniania, usłyszał jej niski, miły głos:

- Czy chłopak nie powinien wleźć tu do nas, do ciepłego łóżka?

- Nie - odpowiedział Balwierz.

Niedługo potem, gdy grubas dosiadał jej pochrzając, ręka Edithy zabłądziła w ciemności w dół i spoczęła na głowie Roba lekka jak błogosławieństwo.

Rob leżał bez ruchu. Nim Balwierz skończył, ręka się cofnęła. Ilekroć później Editha nocowała u Balwierza, Rob czekał w ciemnościach na podłodze przy łożku, ale nigdy go już nie dotknęła.

- Nie robisz postępów - rzekł pewnego dnia Balwierz.

- Przyłóż się. Terminator jest dla mnie coś wart, jak zabawia tłum. Mój pomocnik musi być żonglerem.

- A nie mogę żonglować czterema piłeczkami?

- Pierwszorzędny żongler potrafi utrzymać w powietrzu siedem piłek. Znam paru, co sobie radzą z sześcioma. Mnie wystarczy zwykły żongler. Ale jak nie poradzisz z pięcioma, nie będę sobie tobą zawracał dłużej głowy. - Balwierz westchnął.

- Miałem pomocników do licha i trochę, a tylko trzech się nadawało. Pierwszy był Evan Carey, nauczył się świetnie żonglować pięcioma piłeczkami, tyle że miał słabość do trunku. Jak skończył terminować, przez cztery lata wiodło nam się dobrze, póki go nie zakłuli sztyletem w pijackiej burdzie w Leicester.

- Drugi był Jason Earle. Zdolny, najlepszy żongler ze wszystkich. Wyuczył się zawodu balwierza, ale ożenił się z córką szeryfa w Portsmouth i dał się teściowi przekabacić w istnego rabusia: zgarnia łapówki jak urzędnik podatki.

- Przedostatni był pierwszorzędny. Nazywał się Gibby Nelson. Żywił mnie, czort, i poił, aż w Yorku złapał gorączkę i umarł. - Balwierz zmarszczył czoło. - Za to z ostatniego straszny był nerwus. Tak jak ty umiał żonglować czterema i za nic nie radził sobie z piątą, toteż pozbyłem się go w Londynie, nim znalazłem ciebie.

Popatrzyli na siebie żałośnie.

- A teraz ty. Nie jesteś żaden nerwus. Chłopak jak się patrzy, łatwy we współzyciu, chętny do pracy. Ale nie zarobię na konia i wóz ani na ten dom i mięso, co wisi u pułapu, uczeniem zawodu chłopaków, z których nie ma pożytku. Jeśli do wiosny nie zrobię z ciebie żonglera, będę musiał cie gdzieś zostawić. Rozumiesz?

- Tak, panie Balwierzu.

Pewne rzeczy Balwierz mógł mu pokazać, na przykład kazał żonglować trzema jabłkami, których ostre ogonki kaleczyły dłonie. Rob łapał je miękko, za każdym chwytem coraz lepiej układając dłoni.

- Widzisz? - rzekł Balwierz. - Taka mała różnica, a jabłko w ręce nie wytrąca ci łapanego.

- Rob się przekonał, że z piłeczkami pomaga to tak samo jak z jabłkami. - Robisz postępy - orzekł z nadzieją w głosie Balwierz.

Boże Narodzenie zaskoczyło ich przy innych zajęciach. Kiedy Editha poprosiła, by jej towarzyszyli do kościoła. Balwierz warknął opryskliwie:

- To już jesteśmy domownikami, do diaska?

Nie sprzeciwił się jednak, gdy spytała, czy może zabrać chłopca.

Wiejski kościółek z otynkowanej wiklinowej plecionki zapełniali ludzie, toteż cieplej w nim było niż gdziekolwiek indziej w chłostanym wiatrem Emlouth. Rob nie był w kościele od wyjazdu z Londynu. Z nostalgią wdychał zapach kadzidła zmieszany z odorem ludzkiego potu, czując się w czasie mszy, jakby zawinął do znajomej przystani. Potem ksiądz, którego z trudem rozumiał z powodu jego dartmoordzkiego akcentu, opowiedział o narodzinach Zbawiciela, o Jego świętym ludzkim życiu zakończonym, gdy Żydzi Go zabili, i długo się rozwodził na temat Lucyfera, upadłego anioła, przeciwnika Jezusa w zmaganiach toczących się od wieków o los człowieka. Rob szukał świętego, do którego szczególnie mógłby się pomodlić, skończyło się jednak na tym, że zwrócił się do najczystszej duszy, jaka przyszła mu na myśl. „Opiekuj się tamtymi, mamó. Mnie wiedzie się dobrze, ale wspomóż młodsze dzieciaki.” Nie mógł się jednak powstrzymać, żeby nie poprosić o coś i dla siebie. „Mamó, proszę, pomóż mi żonglować pięcioma piłeczkami.”

Z kościoła wrócili w sam raz na pieczoną gęś obracającą się na rożnie ze śliwkowo-cebulowym nadzieniem w środku.

- Jak człowiek ma gęś na Boże Narodzenie, przez cały rok będzie dostawał pieniądze - powiedział Balwierz. Editha się uśmiechnęła.

- Zawsze słyszałam, że aby dostawać pieniądze, trzeba jeść gęś na świętego Michała - zauważyła, lecz nie sprzeczała się z Balwierzem, gdy się upierał przy swoim. Nie poskapił do gęsi trunku, toteż zjedli posiłek ze smakiem.

Tym razem Editha nie chciała zostać na noc, być może dlatego, że w dzień narodzenia Chrystusa wspominała zmarłego męża i synów, podobnie jak Rob myślni błądząc gdzie indziej.

Gdy poszła do domu. Balwierz patrzył, jak Rob sprząta po posiłku.

- Nie powinienem zbyt przywiązywać się do Edithy - orzekł w końcu. - Jest tylko kobietą i niedługo ją zostawimy.

Słońce w ogóle się nie pokazywało. W trzy tygodnie po Nowym Roku poczuli się przytłoczeni i przygnębieni nieodmienną szarością nieba. Teraz Balwierz zaczął Roba nakłaniać, by nie przerywał ćwiczeń mimo niepowodzenia.

- Nie pamiętasz, jak było, kiedyś próbował żonglować trzema piłeczkami? Nie mogłeś i nie mogłeś, a potem chwyciłeś dryg w jednej chwili. Tak samo było z graniem na rogu. Musisz zrobić wszystko, żeby żonglować pięcioma.

Ale choćby Rob nie wiedzieć ile godzin ćwiczył, rezultat był ten sam. Doszło do tego, że zabierał się do pracy bez zapału, wiedząc, nim jeszcze zaczął, że mu się nie powiedzie. Czuł, że przyjdzie wiosna, a on nie będzie żonglerem.

Którejś nocy mu się przyśniło, że Editha znowu dotyka jego głowy, rozsuwa grube uda i pokazuje mu swoją płeć. Po przebudzeniu nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądała, lecz we śnie przydarzyło mu się coś dziwnego i przerażającego. Wytarł ubrudzone futrzane przykrycie, gdy Balwierz wyszedł z domu, i wyszorował je do czysta zwilżonym popiołem.

Nie był tak głupi, by myśleć, że Editha mogłaby zaczekać, aż on stanie się mężczyzną, i wtedy go poślubić, uważał jednak, że poprawiłoby się jej położenie, gdyby pozyskała w nim syna.

- Balwierz wkrótce odjedzie - powiedział jej któregoś ranka, kiedy mu pomagała przynieść drwa do paleniska. - Nie mógłbym zostać w Exmouth i zamieszkać z tobą?

Spojrzenie jej pięknych oczu stwardniało, lecz nie odwróciła wzroku.

- Nie dam rady cię utrzymać. Sama, żeby żyć, muszę być po trosze szwaczką, po trosze ladacznicą. Gdybym miała jeszcze ciebie, musiałabym być na skinienie każdego



chłopa.

Z naręcza, które niosła, spadła jedna szczapa. Editha zaczekała, aż Rob ją podniesie, potem odwróciła się i weszła do domu.

Odtąd odwiedzała ich rzadziej i ledwie się do Roba odzywała. Na koniec w ogóle przestała przychodzić. Balwierzowi widać dość zależało na tych przyjemnościach, bo stał się bardziej gderliwy.

- Dureń! - krzyczał, gdy Robowi znowu rozsypały się piłeczki. - Teraz weź tylko trzy, ale rzucaj wysoko, jakbyś zonglował wszystkimi. Kiedy trzecią masz w górze, klaśnij w ręce.

Rob posłuchał i po klaśnięciu zdążył złapać trzy piłeczki.

- Widzisz? - powiedział Balwierz zadowolony. - W tym czasie, kiedy klaszczesz, mógłbyś wyrzucić pozostałe dwie piłeczki.

Rob spróbował, zderzyły się jednak w powietrzu i znowu rozsypały. Balwierz klał, a piłeczki toczyły się na wszystkie strony.

Pewnego dnia raptem się okazało, że do wiosny zostało już tylko parę tygodni.

Którejś nocy Balwierz, sądząc, że Rob śpi, podszedł i otulił go niedźwiedzią skórą, by mu było ciepło i przytulnie, postął nad posłaniem długą chwilę, patrząc na niego, potem westchnął i odszedł.

Rano przyniósł z wozu bat.

- Nie myślisz o tym, co robisz - oświadczył. Rob nie widział, żeby Balwierz uderzył kiedy konia, ale teraz gdy upuścił piłeczki, bat świsnął i ciał go po nogach.

Zabolało strasznie. Rob krzyknął i wybuchnął płaczem.

- Podnieś piłeczki.

Pozbierał je i wyrzucił w górę, efekt był jednak równie żalospny, toteż rzemień znów trzepnął go po nogach.

Dawno temu ojciec bijał Roba, i to z wielu powodów, ale nigdy batem.

Raz za razem chłopiec zbierał piłki i próbował zonglować, lecz nie potrafił, a wtedy bat ciał go po nogach, aż krzyczał.

- Podnieś piłki.

- Panie Balwierz, proszę!...

Balwierz twarz miał zawziętą.

- To dla twego dobra. Rusz głową. Pomyśl! Mimo że dzień był zimny. Balwierz się spocił. Ból zmusił Roba do zastanowienia się nad tym, co robi, ale wstrząsały nim niepohamowane łkania i czuł się tak, jakby mięśnie nie należały do niego. Zonglował gorzej niż kiedykolwiek. Stał wstrząsany szlochem, łzy ciekły mu po twarzy i smarki wpadały do ust, kiedy Balwierz go bił. Jestem Rzymianinem, powtarzał sobie. Jak dorosnę, odnajdę tego człowieka i zabiję.

Balwierz bił go, aż krew przesiąkła przez nogawki nowych spodni uszytych przez Editę. Potem rzucił bat i wielkimi krokami wyszedł.

Tego wieczora późno wrócił do domu i pijany padł na łóżko. Rano, kiedy się obudził, oczy miał łagodne, ale ściągnął wargi spoglądając na nogi Roba. Zagrzał wody i szmatą odmoczył zaschłą krew, po czym wydobył garnek z niedźwiedzim sadłem.

- Wetrzyj je dobrze - polecił.

Świadomość, że zaprzepaścił szansę, bolała Roba bardziej niż rozcięcia i siniaki na nogach. Balwierz przejrzał swoje mapy.

- Ruszam w Wielki Czwartek i zabiorę cię do Bristolu. To ruchliwy port, może znajdziesz tam jakieś zajęcie.

- Tak, panie Balwierz - rzekł Rob cichutko. Balwierzowi wiele czasu zajęło

przyszykowanie śniadania, a gdy było gotowe, obficie nałożył mu owsianki, grzanek z serem i jajek na boczku.

- Jedz, jedz - burknął.

Usiadł i przyglądał się, jak Rob wmusza w siebie jedzenie.

- Przykro mi - powiedział. - Sam zaznałem jako dzieciak włóczęgi i wiem, jak ciężkie potrafi być życie.

Przez cały poranek odezwał się do niego już tylko raz.

- Możesz zatrzymać to ubranie - powiedział.

Kolorowe pileczki znalazły się w sakwie i Rob już nie ćwiczył. Do Wielkiego Czwartku pozostawało prawie dwa tygodnie, gdy Balwierz, nadal wymagający od niego ciężkiej pracy, zagonił go do szorowania pełnych drzazg podłóg w obu izbach. W domu co roku na wiosnę mama myła ściany i Rob zrobił to teraz. Tu nie było tyle dymu co u mamy, za to ściany nigdy chyba nie były myte, toteż gdy tego dokonał, różnica była widoczna.

Po południu jak za sprawą czarów wyrzało słońce, malując migotliwe morze błękitem i łagodząc słone morskie powietrze. Po raz pierwszy Rob zdołał pojąć, dlaczego ktokolwiek chce mieszkać w Ennouth. W lesie za domem spod skorupy wilgotnych liści wyszły małe zielone kielki. Nazrywał pełen garnek pędów paproci i ugotowali tę nowalijkę z boczkiem. Rybacy wypływali już w spokojniejsze z każdym dniem morze, toteż Balwierz spotkał kiedyś powracającą łódź i kupił ogromnego dorsza i kilka rybich łbów. Zasadził Roba do krojenia solonej słoniny i powoli ją zesmażył na patelni, aż stała się chrupka. Potem ugotował zupę, mieszając mięso z rybą, pokrojoną rzepą, wytopionym tłuszczem, tłustym mlekiem i odrobiną tymianku. Zjedli ją w milczeniu z chrupkim ciepłym chlebem, obaj świadomi, że już wkrótce Rob nie będzie tak dobrze jadał.

Część zawieszonych jesienią pod pułapem baraniny zzieleniała, więc Balwierz wykroił zepsute kawałki i wyniósł do lasu. Z baryłki z jabłkami mocno śmierdziało, jedynie część owoców się przechowała. Rob przechylił baryłkę, wysypał renety, przebrał je i odłożył na bok zdrowe. Były twarde i krągłe.

Przypomniawszy sobie, jak Balwierz go uczył miękkiego chwytu dając do zonglowania jabłka, podrzucił teraz trzy: hop, hop, hop.

Wszystkie złapał. Podrzucił je znowu, wysoko, klaszcząc w ręce, zanim opadły.

Wziął jeszcze dwa jabłka, wyrzucił w górę wszystkie pięć... Uderzyły o siebie, po czym wylądowały na podłodze zmiażdżone. Rob zamarł, nie wiedząc, gdzie jest Balwierz. Był pewien, że znów dostanie baty, jeśli Balwierz odkryje, że marnuje jedzenie. Ale nie usłyszał protestu z drugiej izby.

Zaczął wkładać zdrowe jabłka z powrotem do baryłki. Nie był to próżny wysiłek, powiedział sobie, wygląda na to, że lepiej wylicza czas. Wybrał jeszcze pięć jabłek odpowiedniej wielkości i puścił je w ruch. Tym razem prawie mu się udało, zawiodły go tylko nerwy i owoce stuknęły o podłogę jak strącone z drzewa jesienną wichurą.

Pozbierał jabłka i znowu jął zonglować. Biegał za nimi po całej izbie, toteż zamiast gładko i pięknie, wyszło to nierówno, ale wszystkie jabłka wlatywały i spadały mu do rąk, i śmigły z powrotem w górę, w dół. Jeszcze raz, i jeszcze!

- O mamó - powiedział drżącym głosem, choć wiele lat później miał się zastanawiać, czy w ogóle przyłożyła do tego ręki.

Hop, hop, hop, hop, hop!

- Panie Balwierz - powiedział głośno, bojąc się zawołać. Drzwi się otworzyły i w tej chwili jabłka rozsypały się po podłodze.

Rob podniósł oczy i skulił się, bo Balwierz rzucił się do niego z podniesioną ręką.

- Widziałem! - krzyknął Balwierz i Rob znalazł się w jego radosnym uścisku, któremu

nawet uścisk Bartrama nie byłby w stanie dorównać, choćby niedźwiedź nie wiadomo jak się wysilał.

## Kuglarz

Wielki Czwartek nadszedł i minął, a oni siedzieli w Exmouth, Roba bowiem trzeba było wyuczyć wszystkiego, czego wymagał zawód kuglarza. Pracowali nad żonglerką wykonywaną we dwóch, co podobało mu się od początku i w czym szybko stał się wyjątkowo dobry. Potem przeszli do kuglarskich sztuczek dorównujących pod względem trudności żonglerce czterema piłeczkami.

- Kuglarstwo to wcale nie diabelski patent - mówił Balwierz. - To sztuka wynaleziona przez człowieka, tak samo można ją opanować, jak opanowałeś sztukę żonglerki. Ale dużo łatwiejsza - dodał szybko, widząc minę Roba.

Niebawem wtajemniczył go w proste sekrety białej magii.

- Trzeba do niej śmiałości i zuchwałości, musisz też wszystko, co robisz, robić z pewną siebie miną. Cały sekret to giętkie palce i staranność. Trzeba odwracać ludzką uwagę ciągłym zagadywaniem okraszonym egzotycznymi słowami. Pierwsza i najważniejsza jest jedna reguła, jej złamać nie wolno: musisz mieć swoje sztuczki, ruchy ciała i inne sposoby odwracania uwagi, żeby widzowie patrzyli na wszystko, co chcą, tylko nie na to, co naprawdę robisz.

Najłatwiej odwrócić uwagę widzów pomagając w tym sobie nawzajem, powiedział Balwierz i aby to zademonstrować, posłużył się sztuczką ze wstążką.

- Potrzebne mi do tego wstążki niebieska, czerwona, czarna, żółta, zielona i brązowa. Co jard na każdej robię pętlę, potem ciasno zwijam w kłębek i chowam w ubraniu. Każdy kolor trzymam zawsze w tej samej kieszeni. „Kto życzy sobie wstążkę?” - pytam. „Och, panie, ja! Niebieską, dwa jardy.” Rzadko proszą o więcej. Nie używają przecież wstążek do uwiązywania krów. Udaję, że zapomniałem o tym zamówieniu, i zajmuję się czymś innym. Potem ty wchodzisz z jakimś popisowym numerem, może być żonglerka. Zajmujesz ich uwagę, a ja sięgam do lewej kieszeni kaftana, gdzie zawsze trzymam niebieską wstążkę. Udając kaszel, zasłaniam usta ręką i już mam motek wstążki w ustach. Za chwilę, jak znów na mnie patrzą, odsłaniam jej koniec między wargami i po kawałku ją wyciągam. Kiedy pierwsza pętla dotknie mi zębów, rozsypuje się. Kiedy dotknie druga, wiem, że wyciągnąłem dwa jardy, odcinam wstążkę i podaję.

Poznanie tej sztuczki ucieszyło Roba, rozczarowało go jednak, że polega na niskim oszustwie. Zawiódł się na magii.

Balwierz tymczasem dalej pozbawiał go złudzeń. Wkrótce Rob, choć nie mógł jeszcze uchodzić za dobrego magika, wykonywał czarną robotę pomocnika. Nauczył się krótkich tańców, pieśni i piosenek, żartów i historyjek, których nie rozumiał. W końcu powtarzał jak sroka przemówienie towarzyszące sprzedaży „driakwi dobrej na wszystko”. Balwierz orzekł, że Rob szybko się uczy. Dużo wcześniej, niż Rob uważał to za możliwe, uznał, że jest już gotów.

Wyruszyli o mglistym kwietniowym poranku i przez dwa dni przemierzali Blackdown Hilis w lekkim wiosennym deszczu. Trzeciego dnia po południu, gdy niebo się przetarło i zaślniło jak stworzone na nowo, dojechali do wsi Bridgeton. Balwierz zatrzymał konia przy moście, od którego miejscowość wzięła nazwę, i oszacował Roba spojrzeniem.

- Więc jesteś gotów? - zapytał.

Rob nie był pewien, ale potakująco skinął głową.

- Zuch chłopak. To małe osiedle, trochę rajfurów i nierządnic, zawsze pełna gospoda i

sporo klientów z całego świata, szukających jednego i drugiego. Więc hulaj dusza, co?

Rob nie miał pojęcia, o czym Balwierz mówi, ale i tym razem skinął głową. Incitatus ponaglony trzepnięciem lejców przewiózł ich przez most paradnym truchtem. Z początku było tak jak zawsze: koń tańczył, a Rob walił w bęben, gdy defilowali główną ulicą, na rynku ustawił ławę i wyniósł na nią dębową lubiankę ze specyfikiem. Ale tym razem, kiedy zaczęły się występy, wskoczył na ławę razem z Balwierzem.

- Witam i dobrego dnia wam życzę - powiedział Balwierz i każdy zaczął żonglować dwiema piłeczkami. - Miło nam odwiedzić Bridgeton.

Jednocześnie obaj wyjęli z kieszeni po trzeciej piłeczce, a następnie czwartą i piątą. Roba były czerwone. Balwierza niebieskie, pośrodku sceny wylatywały im z rąk, kaskadą spadały na boki jak woda tryskająca z dwóch fontann i znów leciały do góry, gdy nieznacznymi poruszeniami dłoni wprawiali je w taniec.

Po pewnym czasie, nie przestając żonglować, stanęli przodem do siebie na przeciwnych końcach ławy. Nie zakłócając rytmu Rob posłał piłeczkę Balwierzowi i złapał posłaną przez niego niebieską. Najpierw rzucał Balwierzowi co trzecią i co trzecią łapał od niego. Potem co drugą, nieustający strumień mijających się czerwonych i niebieskich kul. Na niedostrzegalne niemal skinienie Balwierza, ilekroć piłeczka opadała mu do prawej ręki, mocno i szybko ją odsyłał, równie zręcznie przyjmując nadlatujące. Nigdy mu jeszcze nic tak głośno i przyjemnie nie zabrzmiało w uszach jak te oklaski. Po występie zebrał dziewięć z dwunastu piłeczek, zszedł ze sceny i poszukał schronienia za zasłoną w wozie. Z trudem chwycił oddech, serce mu waliło. Słyszał stąd Balwierza, w którego głosie nie znać było zadyszki, gdy opowiadał o radościach żonglerki podrzucając dwie piłeczki.

- A wiecie, piękne panie, co zyskujecie biorąc coś takiego jak te tu piłeczki do rąk?

- Cóż takiego? - spytała jakaś ładacznicą.

- Całą męską uwagę - odpowiedział Balwierz.

Rozbawiony tłum ryknął z radości.

W wozie Rob przygotował stroje do sztuczek magicznych, po czym przyłączył się do Balwierza, który kolejno pokazał, jak pusty kosz zakwita papierowymi różami, a zwykła chusta przemienia się w pęk barwnych chorągiewek, wyczarowywał z powietrza monety i sprawił, że najpierw zniknął dzban piwa, potem zaś kurze jajo.

Wśród wrzasków zachwytu Rob zaśpiewał „Zaloty bogatej wdowy”, następnie Balwierz szybko rozprzedał driakiew, opróżniając trzy kosze i wysyłając Roba do wozu po więcej. Wreszcie ustawiła się przed nim długa kolejka pacjentów z rozlicznymi chorobami, gdyż jak Rob zauważył, ci skorzy do żartów i śmiechu ludzie z największą powagą szukali porady na swe cielesne dolegliwości.

Gdy przyjmowanie chorych dobiegło końca, opuścili Bridgeton, Balwierz bowiem utrzymywał, że to rynsztok, w którym po zachodzie słońca podrzynają gardła. Mistrz był najwyraźniej zadowolony z tego, co zarobili, i Rob tej nocy ułożył się do snu z miłą świadomością, że znalazł swoje miejsce na ziemi.

Na drugi dzień w Jeoville ku swemu upokorzeniu upuścił trzy piłeczki w czasie występu, ale Balwierz go uspokoił.

- To się zawsze przytrafia na początku - powiedział. - Będzie się zdarzało coraz rzadziej, a w końcu przestanie.

W tym samym tygodniu w Taunton, miasteczku ciężko pracujących rzemieślników, i w Bridgewater, zamieszkanym przez ciemnych wieśniaków, dali występy pozbawione nieprzystojnych żartów. Kolejnym miejscem ich postoju było Glaston-bury, siedziba ludzi bogobojnych, którzy wzniesli domy wokół wielkiego, pięknego kościoła Świętego Michała.

- Musimy być ostrożni - ostrzegł Balwierz. - W Glastonbury rządzą księża, a księża z

odrazą patrzą na wszelkie praktyki medyczne, bo są przekonani, że razem z duszami Bóg oddał ich świątobliwej opiece ludzkie ciała.

Przybyli rankiem w poniedziałek po Zielonych Świątkach, dniu zamykającym radosny okres Wielkiejnocy i upamiętniającym zstąpienie Ducha Świętego na apostołów, by umocnić ich po dziewięciu dniach modłów, którym się oddawali od czasu, gdy Pan Jezus wstąpił do nieba.

Wśród widzów Rob zauważył przynajmniej z pięciu księży z niezadowolonymi minami. Obaj z Balwierzem żonglowali czerwonymi piłeczkami, które Balwierz, przemawiając uroczystym tonem, porównał do języków ognia wyobrażających Ducha Świętego według Dziejów Apostolskich, rozdział drugi, werset trzeci. Widzowie zachwycali się żonglerką i namiętnie klaskali, umilkli za to, gdy Rob zaśpiewał „Chwała i uwielbienie”. Zawsze lubił śpiewać. Głos załamał mu się przy słowach o dzieciach, które „słodko wołają hosanna”, i zadrżał na najwyższych tonach, lecz poszło mu lepiej, kiedy przestał podskakiwać w tańcu.

Potem Balwierz wyniósł w poobijanej jesionowej szkatule relikwie.

- Uwaga, przyjaciele! - zawołał tonem, który jak powiedział później Robowi, był jego tonem mnicha. Pokazał zebranym ziemię i piasek przywiezione do Anglii z góry Synaj i Góry Oliwnej, uniósł w górę drzazgę z Krzyża Świętego i kawałek belki, która podpierała święty żłobek, pokazał wodę z Jordanu, grudkę ziemi z Getsemani i szczątki kości niezliczonych świętych.

Z kolei Rob zastąpił go na ławie. Stał sam i uniósłszy oczy do nieba, jak go pouczył Balwierz, zaśpiewał jeszcze jedną pieśń.

Stworzycielu nocnych gwiazd, Co przez wieki ślą nam blask, Usłysz swoich sług wołanie, Daj nam swoje zmiłowanie.

Zbawiciel żalością zdjęty, Że ten świat śmiercią przeklęty, Łaski pełen, znalazł lek, By zgubiony powstał człek.

Widzowie byli wzruszeni. Jeszcze wzdychali, gdy Balwierz unosił w górę flaszkę z driakwią.

- Przyjaciele - przemówił. - Jak Pan nasz znalazł lek dla duszy, tak ja znalazłem lek, który uleczy wasze ciała.

Opowiedział im całą historię vitalii, ziela życia, które najwidoczniej działało równie dobrze na pobożnych jak na grzeszników, chciwie bowiem kupowali specyfik, a następnie ustawili się w kolejce przed zasłoną, czekając na poradę i zabiegi balwierza. Przyglądający się temu księża ciskali oczyma gromy, lecz udało się ich ugłaskać darami i uspokoić pobożnymi występami, tak że tylko jeden stary duchowny miał zastrzeżenia i surowo przykazał:

- Nie wolno wam puszczać krwi, albowiem arcybiskup Teodor pisze, że niebezpiecznie jest to czynić, kiedy przybywa księżycy i podnosi się przypływ.

Balwierz skwapliwie mu przyświadczył.

Tego dnia po południu rozbili obóz w tryumfalnym nastroju. Balwierz udusił w winie do miękkości drobne kawałki wołowiny, dodał do nich cebulę, starą rzepe, pomarszczoną, lecz zdrową, i świeży groszek, przyprawiając wszystko do smaku tymiankiem i szczyptą mięty. Zjedli jeszcze spory kawał wyjątkowo jasnego sera kupionego w Bridgewater, a potem zasiedli przy ognisku i ze zrozumiałym zadowoleniem jęli przeliczać zawartość puszek na pieniądze.

Rob uznał, że to chyba odpowiedni moment, by podjąć temat, który stale mu leżał na sercu.

- Panie Balwierzu... - zaczął.

-Hm?

- Panie Balwierzu, kiedy pojedziemy do Londynu? Skupiony na układaniu monet

Balwierz machnął ręką, nie chcąc się pomylić w rachunkach.  
- Niedługo - mruknął. - Niedługo.

## Dar

Rob upuścił cztery piłeczki w Kingswood i jedną w Mangotsfield, ale wtedy zdarzyło się to po raz ostatni. Po występach i usługach lekarskich oddanych w połowie czerwca mieszkańcom Redditch już nie ćwiczył co dzień żonglowania przez tyle godzin, gdyż częste występy zapewniały jego palcom giętkość i poczucie rytmu. Szybko nabył pewności w żonglerce. Przypuszczał, że mógłby się z czasem nauczyć żonglowania sześcioma piłeczkami, ale Balwierz nie chciał o tym słyszeć, wolał, by przez ten czas pomagał mu w balwierskich zajęciach.

Ciągnęli na północ jak wędrownie ptaki, tyle że zamiast na skrzydłach wlekli się powoli przez góry oddzielające Anglię od Walii. W miasteczku Abergavenny, między rzędami pochyłych domków przytulonych do zbocza ponurego pasma wzgórz łupkowych. Rob po raz pierwszy pomógł Balwierzowi przy badaniach i zabiegach. Bał się. Czuł większy strach od tego, jaki niegdyś budziły w nim drewniane piłeczki. Jakaż tajemnicą były przyczyny ludzkich dolegliwości! Zdawało się niemożliwe, by zwykły człowiek mógł ją zgłębić i służyć ludziom cudowną pomocą. Rob wiedział jednak, że Balwierz jest zmyślniejszy od wszystkich i zdolny do tego,

Ludzie ustawili się w kolejkę i kiedy Balwierz kończył z jednym, on wpuszczał następnego za zapewniającą pewną dyskrecję cienką zasłonę. Pierwszym, którego wprowadził do mistrza, był wysoki, przygarbiony mężczyzna z czarnymi smugami na karku i czarnym brudem wrosniętym w knykcie i pod paznokciami.

- Przydałoby się wam umyć - zauważył Balwierz w dobrej wierze.

- To węgiel - wyjaśnił mężczyzna. - Jak się kopie węgiel, widzicie, pył wszędzie się wciska.

- Kopiecie węgiel? - spytał Balwierz. - Słyszałem, że jest trujący przy spalaniu. Na własne oczy widziałem, jaki wydziela smrodliwy dym, aż trudno mu ulecieć przez dymnik. Można to wyżyć za taki marny towar?

- Można, panie, tyle że biedy z nas. Ale coś mnie ostatnio stawy bołą i puchną, dokuczają przy kopaniu.

Balwierz obmacał usmolone przeguby rąk i paluchy, grubym palcem szturchnął opuchliznę na łokciu mężczyzny.

- To od wdychania wyziewów ziemi. Musicie przesiadywać na słońcu, ile tylko możecie. Często się kąpać w ciepłej wodzie, ale nie gorącej, bo gorąca osłabia serce i członki. Nacierajcie te spuchnięte bolące stawy moją driakwią, może wam też pomóc zażywana do wewnątrz.

Nie patrząc na Roba wziął od mężczyzny sześć pensów za trzy małe flaszeczki i dodatkowe dwa pensy za poradę.

Następnie weszła tęga kobieta o zaciętych ustach z trzynastoletnią córką, która była już z kimś zaręczona.

- Ustało jej miesięczne krwawienie i nie wraca - powiedziała matka.

Balwierz zapytał, czy w ogóle miewała miesiączki.

- Przez rok z górą miała co miesiąc - odparła matka. - A teraz od pięciu miesięcy nic.

- Spałaś z mężczyzną? - łagodnie zapytał Balwierz dziewczynkę.

- Nie - odpowiedziała za nią matka. Balwierz popatrzył na dziewczynkę. Była szczupła i ładna, miała długie jasne włosy i czujne oczy.



- Wymiotujesz?

- Nie - wyszeptwała.

Przyjrzał się jej, a potem sięgnął ręką i ciasno zebrał fałdy spódnicy, obciągając ją na ciele. Ujął rękę matki i przyłożył do małego, zaokrąglonego brzuszka.

- Nie - powtórzyła dziewczynka, kręcąc głową. Policzki jej spłonęły i rozplakała się.

Ręka matki oderwała się od brzucha dziewczynki i trzepnęła ją w twarz. Kobieta wyprowadziła córkę nic nie płacąc, ale Balwierz ich nie zatrzymywał.

Szybko załatwił następnych chorych: mężczyznę, któremu przed ośmiu laty źle złożono złamaną nogę i teraz pociągał stopą przy chodzeniu; kobietę dręczoną bólami głowy; mężczyznę z oparszającą czaszką; głupkowato uśmiechniętą dziewczynę z okropną raną na piersi. Dziewczyna im powiedziała, że błagała Boga, by sprowadził do miasteczka balwierza.

Sprzedał driakiew każdemu poza oparszającym mężczyznę, który mimo zachwałania leku nie kupił. Może nie miał dwóch pensów.

Wjechali w łagodniejsze góry West Midlands. Przed Hereford musieli poczekać nad rzeką Wye, nim przez bród przewali się jak fala beczącego runa stado owiec, które wprawilo Roba w osłupienie. Żałował, że nie jest bardziej oswojony ze zwierzętami, ale choć jego mama pochodziła ze wsi, on się wychował w mieście. Incitatus był jedynym zwierzęciem, z jakim miał do czynienia. Jeden z dalszych sąsiadów przy ulicy Gęśli trzymał mleczną krowę, ale żaden z Cole'ów nie stykał się z owcami.

Mieszkańcom Hereford powodziło się dobrze. Każde z mijanych gospodarstw miało sadzawkę dla świń i zielone falujące łąki pełne owiec i bydła. Kamienne domy i obory były duże i solidne, a ludzie na ogół weselsi niż gnębieni nędzą walijscy górale, żyjący ledwie parę dni drogi stąd. Występy na wiejskim wygonie zgromadziły spory tłum i sprzedaż driakwi szła dobrze.

Pierwszym pacjentem Balwierza był chłopak mniej więcej w wieku Roba, lecz dużo drobniejszej budowy.

- Nie ma jeszcze sześciu dni, jak spadł z dachu, a popatrzcie na niego - powiedział ojciec chłopca, bednarz. Chłopak kawałkiem kleпки odłupanym od beczki przebił sobie lewą dłoń, która zaogniła się i spuchła.

Balwierz pokazał Robowi, jak przytrzymać chłopakowi rękę, a ojcu jak chwycić go za nogi, i wyjął z torby krótki ostry nóż.

- Trzymając go mocno - polecił.

Rob czuł, jak ręce chłopaka dygoczą. Wrzasnął, gdy ciało otworzyło się pod ostrzem noża. Trysnęła zielonożółta ropa, za nią buchnął smród i pojawiła się krew.

Oczyściwszy ranę ze zgnilizny, Balwierz dłubał w niej delikatnie, z wprawą posługując się żelaznymi szczypczykami w poszukiwaniu resztek drzazgi.

— To kawałki drzazgi, która go zraniła, widzicie?—powiedział pokazując je ojcu.

Chłopak jęczał. Rob czuł się niewyraźnie, lecz trzymał mu rękę, a Balwierz powoli i ostrożnie robił swoje.

— Musimy je wydobyć wszystkie — mówił — bo są siedliskiem złośliwych humorów i znów gotowa wdać się w rękę gangrena.

Gdy był już pewien, że w rękę nie została ani jedna drzazga, wylał na ranę trochę driakwi i owiązał ją płótnem, a resztę wypił sam. Szlochający pacjent wymknął się, szczęśliwy, że może odejść, ojciec zaś uregulował rachunek.

Następny czekał przygarbiony starzec cierpiący na głuchy kaszel. Rob wprowadził go za zasłonę.

— Poranna flegma, panie, tyle jej we mnie! Stary dyszał mówiąc.

Balwierz zamyślony przeciągnął ręką po kościstej piersi.

— Hm... Postawię wam bańki. — Spojrzał na Roba. — Pomóż mi się rozebrać, żebym mógł na piersi postawić bańki.

Rob zsunął staremu koszulę do pasa ostrożnie, gdyż wydawał mu się bardzo kruchy. Chcąc odwrócić go do Balwierza, ujął obie jego ręce.

Zupełnie jakby chwycił parę drżących ptaków! Patykowate palce znalazły się w objęciu jego palców i przekazały jakieś posłanie.

Balwierz spojrzawszy na nich, zobaczył, że Rob zastygł w bezruchu.

— No — ponaglił niecierpliwie. — Nie traćmy całego dnia. Rob jakby nie usłyszał.

Już dwa razy w życiu czuł, jak z czyjegoś ciała przechodzi w niego ta dziwna i niemila świadomość. Teraz, tak samo jak poprzednio, ogarnęło go najwyższe przerażenie. Puścił ręce pacjenta i uciekł.

Balwierz szukał swego pomocnika klnąc, aż znalazł go za drzewem.

— Mów, co to znaczy, ale już!

— On... ten stary umrze. Balwierz wytrzeszczył oczy.

— Co za bzdury wygadujesz? Rob wybuchnął płaczem.

— Przestań! Gadaj, skąd to wiesz.

Rob chciał powiedzieć, ale nie mógł z siebie wydobyć słowa. Wreszcie Balwierz trzepnął go w twarz i wtedy złapał dech. Kiedy odzyskał mowę, słowa trysnęły, jakby zbierały mu się w głowie od dawna, jeszcze przed wyjazdem z Londynu. Czuł zbliżającą się śmierć matki i przyszłą, tłumaczył. A potem poczuł, że ojciec odchodzi, i ojciec umarł.

— Jezu Chryste — powiedział z oburzeniem Balwierz. Wszystkiego jednak uważnie słuchał, przyglądając się Robowi.

— Powiadasz, żeś naprawdę wyczuł śmierć w tym starym?

— Tak.

Nie oczekiwał, że Balwierz mu uwierzy.

— Kiedy umrze? Wzruszył ramionami.

— Niedługo?

Skinał głową. Nic nie mógł poradzić, musiał powiedzieć prawdę. Poznał po oczach Balwierza, że ten zrozumiał. Balwierz po krótkim zastanowieniu podjął decyzję.

— Pozbędę się tych ludzi, a ty spakuj wóz — polecił.

Wyjechali z osady powoli, ale gdy tylko zniknęła im z oczu, ruszyli najszybciej jak się dało — byle wóz się nie rozbił na wyboistej drodze. Incitatus ze strasznym łoskotem i chlupotem przejechał przez bród i tuż za nim rozproszył spłoszone owce, których beczenie niemal zagłuszyło wrzaski rozwścieczonego pastucha.

Rob pierwszy raz zobaczył, jak Balwierz używa na konia bata.

— Dlaczego uciekamy?! — zawołał przytrzymując się, by nie spaść.

— Wiesz, co robią z czarownikami?! — Balwierz musiał krzyczeć, żeby Rob mógł go dosłyszeć poprzez dudnienie kopyt i łoskot rzeczy w wozie.

Rob pokręcił głową.

— Wieszają ich na drzewie albo na krzyżu. Czasem pławią podejrzanych w tej twojej gównianej Tamizie, a jak taki utonie, uznają, że był niewinny. Jeżeli ten stary umrze, powiedzą, że jesteśmy czarownikami! — wrzeszczał, raz po raz chłuszcząc grzbiet przerażonego konia.

Nie zatrzymywali się nawet po to, żeby zjeść, ani za potrzebą. Pozwolili Tatusowi zwolnić, kiedy Hereford zostało daleko za nimi, poganiiali jednak biednego konia aż do

zmierzchu. Wtedy wyczerpani rozbili obóz i w milczeniu zjedli skąpy posiłek.

— Powtórz mi to jeszcze raz — odezwał się wreszcie Balwierz. — I nic nie pomijaj.

Słuchał z uwagą i przerwał mu tylko raz, prosząc, aby Rob mówił głośniejszym głosem. Po wysłuchaniu całej opowieści kiwnął głową.

— Kiedy byłem w terminie, widziałem, jak mojego mistrza balwierza niesłusznie wzięto za czarownika powiedział.

Rob wytrzeszczył na niego oczy, zanadto przestraszony, by o coś pytać.

— Zdarzyło mi się kilka razy w życiu, że mi pacjent umarł w czasie leczenia. Raz w Durham jedna staruszka wyzionęła ducha i już myślałem, że sąd kościelny skaze mnie na próbę pławienia albo rozpalonego do białości żelaza. Pozwolili mi odjechać dopiero po drobiazgowym przesłuchaniu, ale musiałem przedtem odbyć posty i złożyć jałmużnę. Innym razem w Eddistury umarł mi za zasłoną mężczyzna. Był młody i z wyglądu zdrowy. Intryganci mieliby wdzięczne pole do działania, ale szczęście mi dopisało i nikt mi nie stanął na drodze, kiedy wyjeżdżałem.

Rob odzyskał mowę.

— Myślicie, że we mnie... diabeł wstąpił? Cały dzień go to gnębiło.

Balwierz prychnął.

— Gdybyś w to wierzył, byłbyś głupcem albo szaleńcem. A wiem, że ani jednym, ani drugim nie jesteś.— Wszedł do wozu, napełnił róg meteglinem i wypił do dna, nim znowu się odezwał. — Matki i ojcowie umierają. To naturalna kolej rzeczy. Jesteś pewien, że coś poczułeś?

— Jestem, panie Balwierz.

— Możesz się mylić albo zmyślać... Masz prawo, dzieciak jeszcze z ciebie.

Rob z uporem pokręcił głową.

— A ja powiadam, że ci się wszystko przywidziało — orzekł Balwierz. — Więc koniec z uciekaniem i gadaniem, musimy odpocząć.

Ułożyli posłania po obu stronach ogniska, ale długo jeszcze leżeli nie usypiając. Balwierz rzucał się i przewracał, na koniec wstał i otworzył jeszcze jedną flaszkę trunku. Przyniósł ją na tę stronę ogniska, po której leżał Rob, i przykucnął na piętach.

— Przypuśćmy — powiedział i łyknął z flaszki — tylko przypuśćmy, że wszyscy przyszli na świat bez oczu, a ty jeden urodziłeś się z oczami.

— Wtedy bym widział to, czego nikt inny nie widzi. Balwierz łyknął trunku i kiwnął głową.

— Zgadza się. Albo wyobraźmy sobie, że my nie mamy uszu, a ty masz. Albo przypuśćmy, że brak nam jakiegoś innego zmysłu. A ty nie wiadomo przez kogo, przez Pana Boga czy naturę, czy co tam chcesz, zostałeś obdarzony... jakimś szczególnym darem. Tylko przypuśćmy, że możesz przewidzieć, czy ktoś umrze.

Rob milczał, znowu okropnie przestraszony.

— To wszystko bzdura i obaj o tym wiemy — mówił Balwierz. — Twoje wymysły, zgoda. Ale tylko przypuśćmy... — W zamyśleniu pociągnął z flaszki, grdyka mu podskoczyła i opadła, przygasający ogień ciepło błysnął w jego rozmarzonych oczach, kiedy przyglądał się Robowi. — Byłoby grzechem nie wykorzystać takiego daru — powiedział.

W Chipping Norton kupili meteglinu i przyrzadzili nowy zapas dochodowej mikstury.

— Jak umrę i stanę w kolejce przed bramą świętego Piotra — rzekł Balwierz — będzie pytał: Jak zarabiałeś na chleb? Byłem rolnikiem, powie jeden, albo: Wyrabiałem buty ze skóry. Ale ja odpowiem: Fumum vendidi. Powiedział to wesoło głosem dawnego mnicha, Robowi zaś starczyło znajomości łaciny, żeby zrozumieć: „Sprzedawałem dym”.

Grubas jednak był czymś więcej niż tylko wędrownym sprzedawcą wątpliwej jakości leku. Ciężko krzątając się za swoją zasłoną, działał umiejętnie i często delikatnie. To, co umiał, umiał doskonale i doskonale wykonywał, nauczył też Roba pewnie i łagodnie posługiwać się rękami.

W Buckingham pokazał mu, jak się wrywa zęby, szczęśliwym bowiem trafem nadarzył im się poganiacz bydła ze spróchniałymi zębami. Pacjent był takim samym grubasem jak Balwierz, oczy wychodziły mu na wierzch, jęczał i płakał jak baba. W czasie zabiegu rozmyślił się.

— Przestań! Przestań! Puść mnie! — seplenił zalewając się krwią, ale nie było już odwrotu, zęby należało wyrwać, pracowali więc dalej. Była to znakomita lekcja.

W Clavering Balwierz wynajął na jeden dzień kuźnię i uczył Roba wyrabiać żelazne lancety i szpikulce. Lekcje takie powtórzył w kilku kuźniach różnych okolic Anglii w ciągu następnych paru lat, zanim uzyskał pewność, że jego uczeń potrafi wykonać narzędzia prawidłowo. Większość przyborów zrobionych w Clavering Balwierz odrzucił, ale zrzędcą pozwolił Robowi zatrzymać mały lancet o dwóch ostrzach jako pierwszy instrument jego własnej skrzynki z narzędziami chirurgicznymi — ważny początek. Gdy opuszczali Midlands i wjeżdżali w Fens, nauczył go, które żyły się otwiera przy puszczeniu krwi, przywodząc mu przed oczy niemiłe wspomnienia z ostatnich dni życia ojca.

Czasami Robowi stawał w pamięci ojciec, jego własny głos bowiem przybierał brzmienie głosu ojca: pogrubiał. Wyrastały mu też włosy na ciele. Wiedział, że nie są jeszcze tak gęste jak powinny, gdyż pomagając Balwierzowi zapoznał się z wyglądem nagiego męskiego ciała. Natomiast kobiety nadal pozostawały dla niego tajemnicą, Balwierz zaczął się bowiem posługiwać uśmiechniętą enigmatycznie kukłą o obfitych kształtach, którą nazwali Thelmą i na której gipsowym ciele kobiety skromnie pokazywały, gdzie im co dolega, dzięki czemu badanie nie było konieczne. Rob nadal czuł się skrępowany gwałceniem intymności obcych ludzi, ale przyzwyczał się swobodnie wypytywać o funkcje naturalne. „Kiedy mieliście ostatni stolec, panie? Kiedy wypada wam miesiączka, pani?”

Balwierz mu zaproponował, aby brał każdego pacjenta za rękę, kiedy wchodzi za zasłonę.

— Co czujesz, jak dotykasz ich palców? — zapytał go któregoś dnia w Tisbury, rozbierając ławę.

— Czasami nic.

Balwierz kiwnął głową. Odebrał od Roba część sceny, wsunął ją do wozu i cofnął się, marszcząc czoło.

— Ale kiedy indziej... coś czujesz? Rob potwierdził.

— No, co? — zapytał mistrz z rozdrażnieniem. — Co czujesz, chłopcze?

Rob jednak nie potrafił tego określić ani opisać słowami. Było to intuicyjne wyczucie czyjejs żywotności, jakby zaglądał w mroczną studnię i odgadywał, ile zawiera się w niej życia. Balwierz przyjął milczenie Roba za dowód, że to uczucie jest jego przywidzeniem.

— To wracajmy do Hereford i sprawdźmy, może ten stary żyje sobie w dobrym zdrowiu — zaproponował przewrotnie.

Stropił się, gdy Rob skwapliwie na to przystał.

— Jakże możemy wracać, głupcze! — zawołał. — Jeżeli nie żyje, sami wsadzimy głowę w pętlę!

Często i głośno drwił z tego „daru”. Gdy jednak Rob zaczął zaniebdywać branie pacjentów za rękę, kazał mu do tego wrócić.

— Dlaczego nie? — powiedział. — Czyż nie jestem ostrożnym sprzedawcą? I co nas kosztuje słuchanie tego przywidzenia?

W Peterborough, oddalonym o pięć mil od opactwa, z którego uciekł jako chłopiec,

Balwierz przesiedział cały długi i deszczowy sierpniowy wieczór zapijając się powoli na umór. Rob przyszedł po niego około północy. Spotkał go zataczającego się na drodze i pomógł mu wrócić do ogniska.

— Proszę... — szeptał z przerażeniem Balwierz. Rob zdumiał się widząc, że jego pijany pan podnosi obie ręce w górę. — Och, proszę cię w imię Chrystusa... — powtórzył.

Wreszcie Rob zrozumiał. Ujął dłonie Balwierza i zajrzał mu prosto w oczy. Po chwili skinął głową.

Balwierz padł na posłanie, czknął, przewrócił się na bok i zapadł w niczym nie zmacony sen.

## Na północy

Tego roku Balwierz nie zdążył na zimę do Exmouth, ponieważ wyruszyli późno i jesienne opadanie liści zastało ich w Gate Fulford, w York Wolds. Wrzosowiska ścieliły się jak gruby dywan przesycając chłodne powietrze podniecającymi zapachami. Rob z Balwierzem kierowali się Gwiazdą Polarną i zatrzymując się we wsiach po drodze i robiąc dobre interesy, przemierzali bezkresny kobierzec fioletowych wrzosów, nim na koniec przybyli do Carlisle.

— Dalej na północ nigdy nie byłem — powiedział Balwierz Robowi. — Parę godzin drogi stąd kończy się Northumbria i zaczyna pogranicze. Dalej jest Szkocja, jak wszyscy wiedzą, kraj owczarzy-sodomitów, niebezpieczny dla uczciwego Anglika.

Tydzień stali obozem w Carlisle, co wieczór chodząc do karczmy, w której dzięki rozsądnemu stawianemu piwu Balwierz wkrótce zdołał się wywiedzieć, gdzie szukać dachu nad głową. Wynajął na wrzosowisku dom o trzech małych izbach. Nie różnił się od domku, jaki posiadał na południowym wybrzeżu, brak w nim było jednak, ku jego niezadowoleniu, paleniska i kamiennego komina. Rozłożyli posłania po obu stronach pieca, jak przy obozowym ognisku, a w pobliżu znaleźli stajnię gotową przyjąć Incitatusa.

Balwierz zrobił obfite zapasy na zimę, nie żałując grosza, co za każdym razem niezawodnie dawało Robowi cudowne poczucie zamożności. Nakupił wołowiny i wieprzowiny, zamierzał nabyć też ćwiartkę sarniny, ale tego lata w Carlisle trzech chłopów sprzedających na rynku dziczyznę powieszono za uбиcie królewskiego jelenia, co było zastrzeżone jako rozrywka szlachecka. W zamian kupili więc piętnaście tłustych kur i worek karmy.

— Kury to twoja działka — oznajmił Balwierz Robowi. — Twoim zadaniem jest je karmić, zarzynać na moje polecenie, oprawiać i dostarczać mi gotowe do garnka.

Wydały się Robowi imponującymi stworzeniami, były duże, płożożłte, miały nogi pozbawione piór, czerwone grzebienie, korale i narośle na uszach. Nie sprzeciwiały się, kiedy co rano wykradał im z gniazd po cztery, pięć jaj.

— Myślą, że jesteś diabelnie wielkim kogutem—powiedział Balwierz.

— A dlaczego nie kupimy im koguta?

Balwierz, który lubił długo spać w zimowe ranki, a zatem nie cierpiał piania, tylko coś odburknął.

Robowi wyrosły na twarzy brunatne włoski, jeszcze właściwie nie broda. Balwierz twierdził, że tylko Duńczycy się gołą, ale Rob wiedział, że to nieprawda, bo jego ojciec usuwał z twarzy cały zarost. W skrzynce z chirurgicznymi narzędziami Balwierza była brzytwa i grubas niechętnie skinął głową, gdy Rob spytał, czy może jej użyć. Obsmyczył sobie twarz, lecz od golenia poczuł się starszy.

Bardzo młody poczuł się za to, kiedy Balwierz kazał mu zarznąć pierwszą kurę. Wszystkie spoglądały na niego małymi, paciorkowatymi oczkami, jakby każda z osobna chciała go przekonać, że mogłaby wyrosnąć na przyjaciela. Wreszcie przemógł się, zacisnął silne palce na szyi najbliższej kury i wzdrygnawszy się, zamknął oczy. Silny konwulsyjny skręt — i zrobione. Martwy ptak zemścił się wszakże, nie dał się bowiem łatwo pozbawić pierza. Skubanie zajęło Robowi długie godziny, kiedy zaś wręczył Balwierzowi sine kurze zwłoki, ten spojrział na nie z obrzydzeniem.

Kiedy następnym razem potrzebna była kura, Balwierz pokazał mu prawdziwą magiczną

sztuczkę: otworzył kurze dziób i przez podniebienie wsunął cienki nóż do mózgu. Kura w jednej chwili zwiotczała, a pióra nie stawiając najmniejszego oporu odchodziły garściami.

— To dla ciebie lekcja — powiedział Balwierz. — Równie łatwo jest spowodować śmierć człowieka, robiłem i to. Trudniej utrzymać go przy życiu, a jeszcze trudniej zachować przy zdrowiu. I nad tym trzeba nam się głowić.

Późną jesienią pogoda była idealna do zbierania ziół, przetrząsali więc las i wrzosowisko. Balwierz szukał przede wszystkim portulaki. Zalana jego specyfikiem, nabierała mocy obniżania gorączki. Ku jego rozczarowaniu nie znaleźli w ogóle tej rośliny, łatwiej było o inne, na przykład o płatki czerwonej róży na kataplazmy, tymianek i żołądziej, które ucierało się na proszek, mieszało z tłuszczem i przykładało do wrzodów. Zdobycie innych ziół, jak wykopywanie cisowego korzenia, który pomaga ciężarnej kobiecie utrzymać płód, wiązało się z ciężką pracą. Zbierali palczatkę kosmatą i koper na dolegliwości dróg moczowych, bagienny tatarak pomagający na częściową utratę pamięci wywołaną wyziewami zimna i wilgoci, jagody jałowca do naparów używanych na przeczyszczenie zatkanych kanałów nosowych, lubin na gorące okłady ściągające ropę z wrzodów, oraz mist i ślaz przynoszące ulgę przy swędzących wysypkach.

— Wyrosłeś szybciej niż te chwasty — zauważył kiedyś z przekąsem Balwierz, i była to prawda. Wzrostem Rob już prawie dorównywał Balwierzowi i dawno wyrósł z ubrania uszytego przez Edithę Lipton w Exmouth. Kiedy jednak Balwierz zaprowadził go do krawca w Carlisle i zamówił „nowe zimowe ubranie, takie, żeby je dłużej ponosił”, krawiec pokręcił głową.

— Przecież on jeszcze rośnie. Ile ma lat? Piętnaście? Szesnaście? Taki chłopak szybko z wszystkiego wyrasta.

— Szesnaście?! Nie ma jeszcze jedenastu!

Krawiec popatrzył na Roba z rozbawieniem, w którym czuło się podziw.

— Potężne będzie z niego chłopisko! Co uszyję, tylko patrzeć, jak się na nim skurczy, szkoda słów. Jeśli wolno, radziłbym przerobić na niego coś starego.

Tak też uczynił—przykroił dla niego i uszył ubranie znowu ze starego przyodziewku Balwierza, tym razem z prawie jeszcze dobrego szarego sukna. Było tak szerokie, że wzbudzało śmiech, kiedy Rob je pierwszy raz włożył, a rękawy i nogawki miało o wiele za krótkie. Krawiec zebrał trochę materiału z szerokości i przedłużył spodnie i rękawy, ukrywając szwy pod pasami z jaskrawego błękitnego sukna. Rob przez prawie całe lato obywatł się bez butów, ale ponieważ wkrótce spodziewano się śniegu, z wdzięcznością przyjął kupione przez Balwierza buty z wołowej skóry.

Przeszedł w nich przez rynek w Carlisle do kościoła Świętego Marka i zapukał kołatką w wielkie drewniane podwoje, które po chwili otworzył podstarzały wikary o kaprawych oczach.

— Wybaczcie, ojcze, szukam księdza nazwiskiem Ranald Lovell.

Wikary zamrugał.

— Znałem księdza, który się tak nazywał. Odprawiał msze w czasach, kiedy Lyfing był biskupem Walii. Na Wielkanoc będzie dziesięć lat, jak nie żyje.

Rob pokręcił głową.

— To nie ten. Ojca Ranalda Lovella widziałem na własne oczy ledwie parę lat temu.

— Może ten, którego ja znałem, to był Hugh Lovell, nie Ranald.

— Ranalda Lovella przeniesiono z Londynu do jakiegoś kościoła na północy. Służy u niego mój brat, William Stuart Cole. Trzy lata młodszy ode mnie.

— Teraz twój brat może już nosić inne imię w Chrystusie, synu. Zdarza się, że księża oddają chłopców do opactwa na akolitów. Wszędzie musisz rozpytywać. Kościół, nasza

Święta Matka, to olbrzymie, bezkresne morze, a ze mnie tylko mała rybka—wyjaśnił stary ksiądz i uprzejmie skinął głową Robowi, który pomógł mu zamknąć drzwi.

W miasteczku niewielka sadzawka za karczmą pokryła się kryształową skorupką. Balwierz wskazał na parę łyżew uwiązanych do belki w ich domku.

— Szkoda, że nie są większe. Nie będą dobre na ciebie, bo stopy masz nad miarę duże.

Lód stawał się z każdym dniem grubszy, aż któregoś ranka tego zadzwonił, kiedy Rob wyszedł na środek i tupnął. Zdjął z belki te dwie za małe łyżwy. Wykonano je z jeleniego rogu i niemal się nie różniły od łyżew, które ojciec mu zrobił, kiedy miał sześć lat. Szybko z tamtych wyrósł, ale i tak służyły mu przez trzy zimy, a teraz na sadzawkę zabrał te i przywiązał sobie do stóp. Z początku ślizgał się na nich z przyjemnością, lecz ostrza miały zdarte i tępe, mimo wszystko za krótkie, zawiodły go też przy pierwszej próbie obrotu. Machając rękami, ciężko upadł i spory kawałek przejechał na siedzeniu. Wtedy uświadomił sobie, że kogoś to bawi.

Dziewczynka miała może piętnaście lat. Śmiała się, bardzo ucieszona.

— Potrafisz lepiej? — spytał ze złością, dostrzegając jednocześnie, że jest ładna jak laleczka, od góry tęga, od dołu chuda, i włosy ma czarne jak Editha.

— Ja? — zapytała. — Nie umiem i nigdy bym się nie odważyła.

Złość mu przeszła od razu.

— Lepiej pasują na twoje stopy niż na moje — powiedział. Odwiązał łyżwy i zaniósł je do niej na brzeg. — To wcale nietrudne. Pokażę ci.

Szybko uciszył jej zastrzeżenia i wkrótce już uwiązywał łyżwy do jej stóp. Nie umiała utrzymać równowagi, nie przyzwyczajona do śliskości lodu, i kurczowo chwyciła się Roba. Strach rozszerzał jej brązowe oczy i rozdymał nozdrza.

— Nie bój się, ja cię trzymam — powiedział. Podtrzymał ją i popchnął od tyłu, czując ciepło jej pośladków.

Niebawem śmiała się i pischczała, a on ją popychał wokoło sadzawki. Powiedziała, że się nazywa Garvine Talbott. Jej ojciec, Aelfric Talbott, miał gospodarstwo za miasteczkiem.

— A jak ty się nazywasz?

— Rob J.

Rozgadała się, zdradzając, ile o nim wie, miasteczko bowiem było małe. Jak tylko Rob z Balwierzem przybyli do Carlisle, zaraz się dowiedziała, czym się zajmują, jakich nakupili zapasów i od kogo wynajęli dom.

Ślizganie po lodzie szybko jej się spodobało. Oczy jej błyszczały radością, policzki zarumieniły się od zimna, włosy opadły na plecy, odsłaniając małe różowe ucho. Górną wargę miała wąską, ale dolną tak pełną, że wyglądała niemal jak spuchnięta. Wysoko na policzku widać było pobladłą już bliznę. Kiedy się uśmiechała, Rob zauważył, że jeden ząb na dole ma krzywy.

— To wy badacie ludzi?

— Badamy, oczywiście.

— I kobiety?

— Mamy taką kukłę. Kobiety pokazują na niej, gdzie je boli.

— Jaka szkoda, że używacie kukły — powiedziała i Roba zmieszało jej powłóczyście spojrzenie. — Ładna jest?

Nie taka jak ty, chciał powiedzieć, ale zabrakło mu odwagi. Wzruszył ramionami.

— Nazywa się Thelma.

— Thelma! — Śmiała się zdyszonym, urywanym śmiechem, bardzo zaraźliwym. — Ech! — zawołała, podnosząc oczy, by sprawdzić położenie słońca. — Muszę wracać na ostatnie



dojenie — oświadczyła i słodkim pełnym ciałem wsparła się o ramię Roba.

Uklęknął przed nią i zdjął jej łyżwy.

— Nie należą do mnie. Były w domu — wyjaśnił. — Ale możesz je na jakiś czas zatrzymać i jeździć na ślizgawce.

Szybko pokręciła głową.

— Gdybym je przyniosła do domu, ojciec chybaby mnie zabił. Chciałby wiedzieć, za co je dostałam.

Rob poczuł, że krew uderza mu do głowy. Żeby ukryć zmieszanie, podniósł trzy szyszki i zaczął nimi zonglować.

Roześmiała się i klasnęła w dłonie, a potem zdyszczonym głosem powiedziała mu, gdzie szukać zagrody jej ojca. Odchodząc zawahała się i na moment odwróciła.

— W czwartki rano—powiedziała. — Ojciec nie lubi gości, ale w czwartki rano zanoszą sery na targ.

Rob nie poszedł w czwartek szukać zagrody Aelfrica Talbotta, za to przejęty lękiem, długo się wylegiwał. Nie był to lęk przed Garvine czy jej ojcem, lecz przed tym, co działo się w nim samym i czego nie rozumiał, przed tymi tajemnymi sprawami, którym ani nie potrafił, ani nie miał odwagi spojrzeć w oczy.

Garvine Talbott przyśniła mu się: leżeli na stryszku z sianem, może w stodole jej ojca. Był to sen tego samego rodzaju, jakie miewał parę razy o Edicie. Znow musiał oczyścić posłanie, nie zwracając uwagi Balwierza.

Zaczął padać śnieg. Leciał jak ciężki gęsi puch, więc Balwierz zawiesił otwory okienne skórą. W domu zrobiło się duszno i nawet za dnia można było cokolwiek dojrzeć jedynie w pobliżu ognia.

Padalo przez cztery dni z krótkimi tylko przerwami. Chcąc czymś się zająć, Rob siedział przy kominku i rysował różne zioła. Na korze obdartej z drwa na opał wyrysował kawałkami węgla wydobytego z ognia karbowaną miętę, wiotkie płatki schnących kwiatów i żyłkowane trójlistki dzikiego groszku. Po południu natopił wody ze śniegu, napoił i nakarmił kury, starając się szybko zamykać drzwi do izby, w której je trzymał, gdyż mimo ciągłego sprzątanego smród tam był nieznośny.

Balwierz został w pościeli, leżał popijając meteglin. Drugiej nocy śnieżycy potykając się pobrnął do gospody, skąd przyprowadził cichą jasnowłosą ładacnicę imieniem Helen. Rob próbował ich podglądać ze swojego posłania po drugiej stronie pieca, bo mimo że sam akt oglądał już wiele razy, ciekawiły go pewne szczegóły, opanowujące jego myśli i sny. Nie mógł jednak przebić oczyma gęstej ciemności i widział tylko ich głowy oświetlone blaskiem ognia. Balwierz był podniecony i spięty, ale kobieta wyglądała mizernie i smutno, jak ktoś, kto wykonuje pracę nie dającą radości.

Kiedy sobie poszła, Rob sięgnął po kawałek kory i węgielek. Zamiast rysować rośliny, spróbował oddać rysy kobiety.

Idąc do nocnika, Balwierz popatrzył na rysunek i zmarszczył brwi.

— Zdaje się, że znam tę twarz — powiedział. Wkrótce potem, leżąc już z powrotem w posłaniu, uniósł głowę znad skór.

— Ależ to Helen!

Rob się ucieszył. Spróbował narysować podobiznę Wata, sprzedawcy maści, ale Balwierz dopiero wtedy zdołał go poznać, gdy chłopak dodał mu małą figurkę niedźwiedzia Bartrama.

— Rysuj dalej te twarze, myślę, że coś takiego nam się przyda — orzekł Balwierz, lecz szybko znużyło go przyglądanie się Robowi, wrócił więc do picia i niebawem zasnął.

We wtorek śnieg nagle ustał. Rob owinał ręce i głowę szmatami, po czym wyszukał

drewnianą szufłę, odgarnął przed drzwiami ścieżkę i poszedł do stajni przeprowadzić Incitatusa, który pasł się z braku pracy i od codziennej racji siana i ziarna. W środę pomógł paru wiejskim chłopakom odgarnąć śnieg z powierzchni sadzawki. Balwierz zdjął z okien skóry i wpuścił do domu zimne przyjemne powietrze. Uczcił to piekąc jagnięcy udziec, który podał z galaretką miętową i ciastem z jabłkami.

W czwartek rano Rob zdjął z belki łyżwy i zawiesił je sobie na szyi za rzemienne wiązadła. Poszedł do stajni, nałożył Incitatusowi tylko kantar i uzdę, dosiadł konia i pojechał do miasteczka. Mróz trząsał w powietrzu, słońce świeciło, na ziemi leżał czysty śnieg.

Rob przeistoczył się w Rzymianina. Nie zamierzał udawać Kaliguli na prawdziwym Incitatusie, wiedział bowiem, że Kaligula był szalony i źle skończył. Postanowił być Cezarem Augustem, który prowadzi gwardię pretoriańską przez Via Appia aż do Brundisium.

Zagrode Talbotta znalazł bez najmniejszego trudu. Znajdowała się dokładnie tam, gdzie wskazała dziewczyna. Dom się chylił i wyglądał nędznie, dach miał zapadnięty, ale obora była wielka i piękna. Wierzeje stały otworem i słyhać było, że ktoś się w środku krząta pośród bydła.

Rob siedział na koniu niezdecydowany, lecz Incitatus zarżał i wtedy nie było już wyboru — musiał się opowiedzieć.

— Garvine?! — zawołał.

We wrotach obory ukazał się mężczyzna, powoli zbliżył się do Roba. Niósł drewniane widły z pecyną gnoju parującego na zimnie. Podchodził bardzo ostrożnie i Rob spostrzegł, że jest pijany. Był blady i przygarbiony, miał nie przystrzyżoną czarną brodę tego samego koloru co włosy Garvine, musiał być Aelfrikiem Talbottem.

— Ktoś ty? — zapytał.

- Rob - powiedział.

Mężczyzna zachwiał się na nogach.

— No, Robię J. Cole, nie masz szczęścia. Nie ma jej tu. Uciekła ta mała brudna dziwka.

Widły z gnojem lekko drgnęły i Rob już myślał, że zaraz razem z koniem skąpie się w świeżym, dymiącym krowim gnoju, gdy Talbott z płaczem powiedział:

— Wynoś się z mojego obejścia.

Rob powoli skierował Incitatusa w stronę Carlisle. Zastanawiał się, dokąd poszła Garvine i czy uda się jej przeżyć. Nie był już Cezarem Augustem na czele gwardii pretorian, lecz zwykłym chłopcem pełnym wątpliwości i obaw.

Po powrocie do domu zawiesił łyżwy na belce i więcej ich już nie zdejmował.

## Żyd z Tettenhall

Nie pozostawało im nic innego jak czekać na wiosnę. Nowe zapasy driakwi mieli już przyrządzone i porozlewane do butelek, potrzebne zioła, poza portulaką przeciw gorączce, ususzone i sproszkowane albo zalane lekiem. Zmęczyło ich ćwiczenie zonglerki, znużyło powtarzanie sztuczek magicznych, Balwierz dosyć miał północy i osłabł od picia i spania.

— Nie mam cierpliwości zwlekać do końca zimy — oświadczył pewnego marcowego dnia, opuścili więc Carlisle wcześniej i ruszyli powoli na południe wciąż jeszcze złymi drogami.

Wiosna zastała ich w Beverley. Ociepliło się, wyszło słońce, a wraz z nim tłum pielgrzymów podążających do wielkiego kamiennego kościoła pod wezwaniem Świętego Jana Ewangelisty. Rob z Balwierzem z zapalem przygotowali występ i pierwsza w tym sezonie duża grupa widzów przyjęła ich entuzjastycznie. Badanie chorych szło dobrze, dopóki Rob nie wprowadził za zasłonę ładnej kobiety, której miękkich dłoni dotknął. Wtedy raptem serce w nim załomotało.

— Proszę, wejdźcie — powiedział słabym głosem. Z przerażeniem poczuł mrowienie w miejscu, w którym zetknęły się ich dłonie. Odwrócił się i napotkał spojrzenie Balwierza.

Balwierz zbladł jak płótno. Niemal gwałtem odciągnął Roba poza zasięg ludzkich uszu.

— Nie mylisz się? Musisz mieć pewność.

— Umrze bardzo niedługo — powiedział Rob. Balwierz wrócił do kobiety. Nie była stara i wyglądała na zamożną. Na nic się nie skarżyła, przysła za zasłonę po napój miłosny.

— Mój mąż jest już w podeszłym wieku. Żar w nim wygasa, mimo że mnie uwielbia.

Mówiła spokojnie, a ogląda i brak minoderii dodawały jej godności. Miała na sobie strój podróżny z dobrego materiału. Na pewno była kobietą zamożną.

— Nie sprzedaję napojów miłosnych. To magia, nie leczenie, milady.

Szepnęła, że żałuje. Balwierz tym bardziej się przeraził, kiedy go nie poprawiła, że nazwał ją „milady” oskarżenie o czary w przypadku szlachcianki było pewną zgubą.

— Często pożądaný skutek daje łyk trunku. Musi być mocny i gorący i wypity tuż przed pójściem do łóżka.

Nie chciał przyjąć zapłaty. Gdy tylko wyszła, wymówił się przed pacjentami, których jeszcze nie zbadał. Rob pakował już rzeczy do wozu.

I znów uciekali.

Tym razem prawie się do siebie nie odzywali, Balwierz przerwał milczenie dopiero wtedy, kiedy odjechali już dosyć daleko i bezpiecznie rozbili obóz na noc.

— Jak ktoś nagle umiera, oczy mu się robią puste — powiedział cichym głosem. — Twarz traci wszelki wyraz i bywa, że sinieje. Wargi z jednej strony opadają, powieki się przymykają, członki kamienieją.—Westchnął. Nie jest to śmierć okrutna.

Rob nie odpowiedział.

Rozłożyli posłania i starali się zasnąć, w końcu Balwierz wstał i czas jakiś jeszcze popijał, ale tym razem nie dał swoich rąk do potrzymania terminatorowi.

Rob w głębi ducha wiedział, że nie jest czarownikiem. Jeśli to jednak nie czary, pozostawało tylko jedno, a tego nie rozumiał. Leżał i modlił się. „Boże, zabierz ode mnie ten nieczysty dar, niech wraca, skąd przyszedł.” Pomstował wściekły i przygnębiony, niezbyt był bowiem skłonny potulnie pogodzić się z losem. „Coś takiego może być podszeptem szatana i

nie chcę już mieć z tym nic wspólnego", powiedział Bogu.

Modlitwa jakby została wysłuchana. Tej wiosny coś takiego więcej mu się nie zdarzyło. Pogoda się utrzymywała, potem się ociepliło, nastały dni słoneczne, cieplejsze i bardziej suche niż zazwyczaj, sprzyjające też interesom.

— Pogoda na świętego Swituna — triumfalnie stwierdził któregoś dnia Balwierz. — Każdy ci powie, że to wróży piękną pogodę na najbliższe czterdzieści dni.

Stopniowo ich obawy ucichły i nastrój się poprawił.

Mistrz tym razem pamiętał o urodzinach Roba! Trzeciego dnia po świętym Switunie rano wręczył mu piękny prezent: trzy gęsie pióra, proszek atramentowy i pumeks.

— Teraz możesz rysować twarze czymś lepszym niż węgiel — oświadczył.

Rob nie miał pieniędzy, by się odwdziżyć Balwierzowi prezentem na jego urodziny, ale jednego dnia późnym popołudniem, kiedy mijali jakieś pole, jego oczy wypatrzyły pewną roślinę. Nazajutrz rano wykraść się z obozu, odbył półgodzinną drogę z powrotem na tamto pole i narwał mnóstwo ziela. W dzień urodzin Balwierza obdarował go portulaką, zieleciem przeciw gorączce, które mistrz przyjął z widocznym zadowoleniem.

Występy dowodziły, że dobrze im idzie razem. Przywykli do siebie, jeden wiedział z góry, co zrobi drugi, tak że wspólny występ nabral szlif i werwy, zyskując wspaniałe poklask. Rob w marzeniach widział wśród widzów swoich braci i siostrę. Wyobrażał sobie dumę Annę Mary i Samuela Edwarda na widok starszego brata wykonującego sztuczki magiczne i zonglującego pięcioma piłeczkami.

Pewno wyrośli, mówił sobie. Czy Annę Mary będzie go pamiętała? Czy Samuel Edward wciąż jest taki narwany? Jonathan Carter na pewno już chodzi i mówi jak prawdziwy mały mężczyzna.

Nie do pomyslenia było, aby terminator udzielał rad mistrzowi, dokąd ma skierować konia, ale kiedy się znaleźli w Nottingham, Rob znalazł okazję, by zerknąć na mapę Balwierza, i zobaczył, że zbliżają się do samego środka angielskiej wyspy. Chcąc dotrzeć do Londynu, musieliby jechać bardziej na południe, skręcając przy tym lekko ku wschodowi. Zapamiętał nazwy osiedli i miast, żeby wiedzieć, czy zdążają tam, dokąd tak rozpaczliwie pragnął jechać.

W Leicester natknęli się na chłopca, który wykopując na swoim polu głąz, odkrył w ziemi sarkofag. Podkopał go ze wszystkich stron, ale sarkofag był za ciężki, ziemia od dołu trzymała go jak w kleszczach i chłop nie zdołał wydobyć znaleziska.

— Księżę przysłała ludzi i zwierzęta, chce wyciągnąć toto i zabrać go do zamku — powiedział im z dumą.

Na chropawym białym żyłkowanym marmurze widniał napis: DIIS MANIBUS. VIVIO MARCIANO MILITI LEGIONIS SECUNDAE AUGUSTAE. IANUARIA MARINA CONIUNX PIENTISSIMA POSUIT MEMORIAM.

— „Bogom podziemnym — przetłumaczył Balwierz. — Viviusowi Marcjanusowi, żołnierzowi Drugiego Legionu Augusta. W miesiącu styczniu jego oddana żona, Marina, postawiła ten grobowiec.”

Popatrzyli na siebie.

— Ciekawe, co się stało z tą Mariną po tym, jak go pogrzebała. Daleko była od domu — zauważył trzeźwo Balwierz.

Tak jak my wszyscy, pomyślał Rob.

Leicester było ludnym miastem. Na występy przyszły tłumy, a po sprzedaniu leków jeszcze musieli się uwijać. Rob najpierw pomógł Balwierzowi przekłuć jakiemuś młodzieńcowi karbunkuł, potem drugiemu włożyć w łubki złamany palec, napoić cierpiącą na gorączkę matronę portulaką, a dziecko z kolką rumiankiem. Następnie wprowadził za zasłonę

tego łysiejącego mężczyznę z oczami zasnutymi bielmem.

— Jak dawno jesteście ślepi? — zapytał Balwierz.

— Będzie dwa lata. Zaczęło się od zmętnienia i pogarszało się, aż teraz z ledwością widzę światło. Jestem pisarzem i nie mogę pracować.

Balwierz pokręcił głową zapominając, że tamten nie widzi tego gestu.

— Nie potrafię przywracać wzroku, tak jak nie mogę przywrócić młodości.

Skryba pozwolił się wyprowadzić.

— Ciężko się człowiekowi dowiedzieć — zwrócił się do Roba Balwierz — że nigdy nie będzie widział.

Dosłyszał to stojący w pobliżu mężczyzna, chudy, o sępiej twarzy z rzymskim nosem. Spojrzał na nich. Włosy i brodę miał siwe, ale był jeszcze młody, najwyżej dwa razy starszy od Roba.

Podszedł do ślepca i położył mu rękę na ramieniu.

— Jak się nazywasz?

Mówił z francuskim akcentem, który Rob słyszał wiele razy u Normanów w londyńskim porcie.

— Edgar Thorpe — odparł skryba.

— A ja Benjamin Merlin, medyk z pobliskiego Tettenhall. Pozwolisz obejrzeć swoje oczy, Edgarze Thorpe?

Skryba skinął głową i zatrzymał się, mrugając. Medyk uniósł mu kciukami powieki i przyjrzał się białemu zmętnieniu.

— Mogę ci zdjąć kataraktę i wyciąć zmętniałe soczewki — orzekł na koniec. — Już to robiłem. Ale musisz być na tyle silny, żeby znieść ból.

— Nie dbam o ból — szepnął skryba.

— No to trzeba nam znaleźć kogoś, kto cię przyprowadzi do mojego domu w Tettenhall wczesnym rankiem w najbliższy wtorek — powiedział medyk i odwrócił się.

Rob stał jak porażony. Nie przyszło mu do głowy, że ktoś może próbować czegoś, co przekracza możliwości Balwierza.

— Panie medyku! — pobiegł za mężczyzną. — Gdzieście się, panie, nauczyli... zdejmowania katarakty?

— W akademii, szkole dla medyków.

— Gdzie jest ta szkoła dla medyków?

Medyk miał przed sobą wyrostka w źle uszytym, przyciasnawym ubraniu. Objął spojrzeniem jaskrawo pomalowany wóz, ławę z porzuconymi żonglerskimi piłeczkami i flaszki leku, którego jakości łatwo mógł się domyślić.

— Pół świata stąd — odparł dobrotliwie. Podszedł do uwiązanej karej kobyłki, dosiadł jej nie oglądając się za siebie i odjechał.

Rob powiedział Balwierzowi o Benjaminie Merlinie tego samego dnia, kiedy Incitatus powoli ciągnął już ich wóz z Leicester.

Balwierz skinął głową.

— Słyszałem o nim. To medyk z Tettenhall.

— Tak. Mówi jak Francuz.

— To Żyd z Normandii.

— Kto to jest Żyd?

— To inna nazwa Hebrajczyków, biblijnego narodu, który zabił Pana Jezusa i został przez Rzymian wygnany z Ziemi Świętej.

— Mówił o jakiejś szkole dla medyków.

— Czasem urządzają dla nich nauki w kolegium w Westminsterze. Wszyscy mówią, że to lada jakie nauki dla lada jakich medyków. Większość z nich to skryby, w zamian za naukę służą u jakiegoś medyka, tak jak ty terminujesz, żeby się nauczyć zawodu balwierza.

— Chyba nie mówi! o Westminsterze, powiedział, że ta szkoła jest daleko.

Balwierz wzruszył ramionami.

— Może w Normandii albo Bretanii. We Francji roi się od Żydów, a niektórzy się przenieśli tutaj, wśród nich i medycy.

— Czytałem w Biblii o Hebrajczykach, ale nigdy żadnego nie widziałem

— Jest jeszcze jeden Żyd medyk w Malmesbury, Izaak Adolescentoli. Sławny medyk. Może uda ci się go zobaczyć, jak będziemy w Salisbury — powiedział Balwierz.

Malmesbury i Salisbury znajdowały się na zachodzie Anglii. - To nie jedziemy do Londynu?

— Nie. — Balwierz wyczuł coś w głosie terminatora, od dawna zresztą wiedział, że chłopak tęskni za rodzeństwem. — Jedziemy prosto do Salisbury — dodał surowo — zebrać żniwo z tych tłumów, co się gromadzą na jarmark salisburski. Stamtąd do Exmouth, bo wtedy już i jesień nas dogoni. Zrozumiano?

Rob kiwnął głową.

Ale jak wyruszymy na wiosnę, pojedziemy na wschód i zachaczymy o Londyn.

- Dziękuję, mistrzu — rzekł Rob, ogarnięty cichym uniesieniem. Wpadł w zachwyt. Cóż znaczy zwłoka, jeżeli wreszcie wie, że pojedą do Londynu! Marzył o zobaczeniu się z młodszym rodzeństwem.

Po chwili wrócił myślami do innych spraw.

— Myślicie, że ten Żyd przywróci pisarczykowi wzrok? Balwierz wzruszył ramionami.

- Słyszałem o takiej operacji. Niewielu potrafi ją zrobić i wątpię czy ten Żyd umie. Ale taki, co gotów jest zabić Chrystusa, bez trudu ześle ślepego — dodał i popędził trochę konia, zbliżała się bowiem pora obiadu.

## Wtajemniczenie

Znaleźli się wreszcie w Exmouth i choć nie mogło to zastąpić powrotu do Londynu, Rob czuł się już o wiele mniej samotny niż dwa lata wcześniej, gdy po raz pierwszy ujrzał dom Balwierza. Domek nad morzem czekał znajomy i gościnny. Balwierz przeciągnął ręką po płycie wielkiego kominka z przyrządami do gotowania i westchnął.

Zamierzali jak zwykle zrobić wspaniałe zapasy na zimę, tym razem jednak nie brać żywych kur do domu ze względu na ich niezdolność smród.

Rob znowu wyrósł z ubrania.

— Tak się rozrastasz w kościach, że przez ciebie pójdę z torbami — narzekał Balwierz, ale podarował Robowi sztukę ufarbowanego na brązowo sukna, które kupił na jarmarku w Salisbury. — Wezmę wóz, pojedę do Athelmy wybrać sery i szynki i zanocuję tam w gospodzie. Jak mnie nie będzie, masz oczyścić źródło z liści i zabrać się do rąbania drewna na zimę. A w wolnej chwili zanieś to sukno do Edithy Lipton i poproś, żeby ci uszyła ubranie. Pamiętasz drogę do niej?

Rob przyjął sukno i podziękował Balwierzowi.

— Znajdę ją.

— Nowe ubranie trzeba uszyć na wyrost — po namyśle przykazał Balwierz zrzędlawie. — Powiedz jej, żeby dużo założyła na szwach, to będzie można potem wypuścić.

Rob zaniósł materiał, owinąwszy go w owczą skórę dla ochrony przed deszczem, który jak mu się wydawało, wiecznie lał w Exmouth. Drogę znał. Przed dwoma laty często przechodził obok domu Edithy z nadzieją, że zobaczy ją bodaj przez chwilę.

Natychmiast otworzyła, gdy zapukał do drzwi. Omal nie upuścił pakunku, kiedy wzięła go za rękę i wciągnęła z deszczu do środka.

— Rob! Niech ci się przyjrzę! Jeszcze nie widziałam, żeby dwa lata tak kogo odmieniły!

Chciał jej powiedzieć, że ona prawie się nie zmieniła, ale odebrało mu mowę. Dostrzegła jednak jego spojrzenie i oczy jej zabłyśły.

— Ja przez ten czas zestarzałam się i posiwiałam — dodała lekko.

Pokręcił głową. Włosy nadal miała czarne i pod każdym względem była zupełnie taka sama, jak ją zapamiętał, szczególnie jej piękne świetliste oczy.

Zaparzyła miętę, a Rob przez ten czas odzyskał głos i chętnie ze szczegółami opowiedział, gdzie bywali, i o niektórych rzeczach, jakie widział.

— A mnie — wyznała Editha — lepiej się powodzi niż kiedyś. Życie stało się łatwiejsze i ludzi znowu stać na szycie przyodziewku.

To przypomniało Robowi, po co przyszedł. Rozwinął owczą skórę i pokazał materiał. Editha orzekła, że to dobre wełniane sukno.

— Mam nadzieję, że go wystarczy — zauważyła z troską — boś wyrósł wyższy od Balwierza. — Wzięła sznurkową miarkę, zmierzyła szerokość jego ramion, grubość w pasie i długość rąk i nóg. — Zrobię ci wąskie spodnie, luźną bluzę i wierzchni płaszcz, ubranie jak dla lorda.

Skinał głową i wstał, choć nie miał chęci wychodzić.

— Co? Balwierz na ciebie czeka?

Kiedy powiedział jej o wyprawie Balwierza, gestem ręki go zawróciła.

— Czas się posilić. Nie podam ci tego co on, bo tak się składa, że nie mam królewskiej

wołowiny, słowicznych języków ani tłustego puddingu. Ale możesz ze mną zjeść wieczerzę wieśniaczki.

Wydobyła z szafki bochen chleba, a jego wysłała w deszczu do szopy nad źródłem po kawałek sera i dzban jabłecznika. W gęstniejącym zmierzchu Rob ułamał po drodze dwa pręty łożyny. Wróciwszy do domu pokrajał ser i jęczmienny chleb, nadział na patyki i przypiekł nad ogniem.

Uśmiechnęła się na ten widok.

— Ach, ten człowiek już na zawsze cię naznaczył. Rob odpowiedział jej uśmiechem.

— Warto zagrzać jedzenie w taki wieczór.

Zjedli i wypili, a potem usiedli do przyjaznej pogawędki. Rob dorzucił dREW do ognia, zasyczały i zaczęły parować pod deszczem kapiącym przez otwór odprowadzający dym.

— Pada coraz bardziej — zauważyła Editha.

— Tak.

— Niemądrze by było iść do domu po ciemku w taką ulewę. Rob chodził już w ciemniejsze noce i w ulewy tysiąc razy gorsze.

— Znosi się na śnieg — powiedział.

— No to mam towarzystwo.

— Wdzięczny jestem.

Odniósł ser i jabłecznik nad strumień jak odrętwiały, nie śmiać myśleć. Gdy wrócił do domu, Editha zdejmowała suknię.

— Lepiej ściągnij te mokre łachy — poradziła i spokojnie weszła do łóżka w samej koszuli.

Zdjął przemoczone spodnie i bluzę i rozwiesił je z jednej strony kolistego paleniska. Nagi, szybko wszedł do łóżka i położył się przy niej między skórą, dygocząc.

— Zimno! Uśmiechnęła się.

— Bywało ci już zimniej. Jak zajmowałam twoje miejsce w łóżku Balwiera.

— Kiedyś wyciągnęłaś rękę i pogłaskałaś mnie po głowie. Teraz też pogłaskała go po głowie, pogładziła po włosach i przyciągnęła jego twarz do swego miękkiego ciała.

— Tuliłam swoich synów w tym łóżku.

Zamknęła oczy. Zsunawszy luźną koszulę z ramion, podała mu ciężką pierś.

Żywe ciało w ustach przywiodło odległe wspomnienie ciepła niemowlęstwa. Zapieкло go pod powiekami.

Editha pokierowała jego ręką.

— Tak musisz zrobić.

Leżała nie otwierając oczu. W ogniu trzasnęła jakaś gałązka, lecz oni tego nie słyszeli. Wilgotne drwa strasznie dymiły.

— Lekko i cierpliwie. Kręć właśnie tak, jak robisz — poradziła Editha sennie.

Pomimo zimna Rob odrzucił przykrycie i jej koszulę. Ujrzał ze zdumieniem, jakie Editha ma grube nogi, śledził oczyma to, czego nauczyła jego palce. Jej kobiecość była taka jak w jego śnie, teraz jednak światło padające od ognia ukazywało mu szczegóły.

— Szybciej... — Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale odnalazł jej wargi. Nie były to usta matki i zauważył, że Editha robi coś ciekawego swym zgłodniałym językiem.

Wreszcie zachęcony gorącym szeptem Rob osunął się między jej grube uda. Nie potrzebował dalszych wskazówek, instynkt wskazał mu miejsce i ruchy. I wtedy pojął, że Bóg jest mistrzowskim cieślą, ponieważ Editha okazała się ciepłym, śliskim gniazdem, on zaś dobrze dopasowanym czopem. Przyszła w końcu chwila, kiedy jej oczy gwałtownie się



rozwarły i spojrzały prosto na niego, wargi wywinęły się w dziwnym grymasie, a z głębi gardła dobył się chrapliwy dźwięk. Przypominał rżenie umierającej i byłby wystraszył Roba, gdyby już kiedyś takich dźwięków nie słyszał.

Lata całe przyglądał się i słuchał, jak inni się kochają: jego ojciec i matka w małym, ciasnym domu, i Balwierz ze wszystkimi kolejnymi ładacznkami. Nabrał więc przekonania, że w kobiecym sromie musi być coś magicznego, skoro mężczyźni tak go pragną. W ciemnym, tajemniczym łóżu Edithy, kichając niczym koń od dymu z paleniska, poczuł, jak wytryska z niego cały gniew i ociężałość. W uniesieniu straszliwej radości odkrył, jaka olbrzymia różnica dzieli przyglądanie się od uczestnictwa.

Obudzona nazajutrz rano pukaniem Editha poczłapała boso otworzyć drzwi.

— Poszedł? — zapytał szeptem Balwierz.

— Już dawno — odpowiedziała wpuszczając go. — Usnął jako mężczyzna, a obudził się chłopcem. Bąknął coś o tym, że ma oczyścić źródło, i poleciał.

Balwierz się uśmiechnął.

— Wszystko poszło jak należy?

Skinęła głową z nieoczekiwanym zawstydzeniem i ziewnęła.

— To dobrze, bo już był więcej niż gotów. Dużo lepiej dla niego znaleźć u ciebie dobroć, niż przejść okrutne wtajemniczenie z niewłaściwą kobietą.

Editha patrzyła, jak wyjmuje z sakiewki monety i kładzie je na stole.

— Tylko za ten raz — zastrzegł się praktycznie. — Gdyby cię jeszcze odwiedził...

Pokręciła głową.

— Ostatnio wiele czasu spędzam z pewnym kołodziejem. Dobry z niego człowiek, ma dom w Exeter i trzech synów. Chyba się ze mną ożeni.

— A ostrzegałaś Roba, żeby nie szedł w moje ślady?

— Mówiłam mu, że jak wypijesz, często jesteś podobniejszy do bydlęcia niż do człowieka.

— Nie przypominam sobie, żebym ci to kazał powiedzieć.

— Ostrzegłam go przed tym, com sama przyuważyła. Powiedziałam, że jego mistrz zmarnował się od trunku i łajdaczenia. Poradziłam, żeby był bardziej wybredny, nie szedł za twoim przykładem.

Balwierz słuchał jej poważnie.

— Nic mi na ciebie nie dał powiedzieć — dodała oschłym tonem. — Mówił, że na trzeźwo jesteś prawym człowiekiem i wspaniałym mistrzem i że jesteś dla niego dobry.

— Tak powiedział? — upewnił się Balwierz.

Editha umiała czytać z twarzy mężczyzny—teraz zobaczyła, że Balwierz promienieje zadowoleniem.

Wcisnął czapkę na głowę i wyszedł. Chowając pieniądze i wracając do łóżka Editha usłyszała, że pogwizduje. Mężczyźni czasem są pociechą i często bydlakami, ale zawsze zagadką, powiedziała sobie, przewróciła się na bok i z powrotem zasnęła.

## Londyn

Charles Bostock bardziej wyglądał na fircyka niż na kupca, nosił długie żółte włosy związane z tyłu wstążkami i ozdobione kokardami. Cały odziany był w czerwony aksamit, materię kosztowną, co się rzucało w oczy, mimo że pokrywał ją podróżny kurz, buty zaś miał z miękkiej skóry, z wysoko zadartymi noskami, bardziej paradne niż praktyczne. Jego oczy jednak lśniły zimnym blaskiem oczu człowieka, który potrafi się targować, i jechał na wielkim koniu z oddziałem sług dobrze uzbrojonych przeciw napaści zbójców. Zabawiał się pogawędką z balwierzem, któremu pozwolił dołączyć wozem do własnej karawany koni dźwigających sól z warzelni w Arudalu.

— Mam trzy składy nad rzeką, inne wynajmuję. My, wędrowni kupcy, tworzymy nowy Londyn, więc przynosimy pożytek królowi i całej Anglii.

Balwierz uprzejmie potakiwał kiwając głową, znudzony tym pyszałkiem, ale zadowolony, że może jechać pod jego zbrojną opieką, wiele bowiem bezprawia zdarzało się na drogach, im bliżej było do Londynu.

— Czym handlujecie, panie? — zapytał.

— Tutaj, z naszym wyspiarskim ludem, najczęściej wyrobami żelaznymi i solą. Ale kupuję też cenne towary, nie wytwarzane na naszej ziemi, i sprowadzam je zza morza. Skóry, jedwabie, klejnoty i złoto, wymyślne stroje, barwniki, wino, oliwę, kość słoniową i mosiądz, miedź i cynę, srebro, szkło i co tam jeszcze.

— To wieleście pewnie podróżowali po obcych krajach? Kupiec uśmiechnął się.

— Nie, ale mam zamiar. Wybrałem się raz do Genui po kobierce. Myślałem je sprzedać bogatszym z braci kupieckiej, ale nim kupcy zdążyli w nie zaopatrzyć swoje dworki, w mig poszły do zamków panów lordów, co wspierają naszego króla Kanuta w rządzeniu krajem. Wybiorę się jeszcze przynajmniej ze dwa razy, bo król obiecał nadać tytuł tena każdemu kupcowi, co odbędzie trzy morskie podróże z korzyścią dla angielskiego handlu. Na razie płacę innym, żeby jeździli za granicę, a sam pilnuję interesów w Londynie.

— Opowiedzcie nam, panie, co nowego w Londynie — poprosił Balwierz i Bostock łaskawie spełnił tę prośbę. Opowiedział, jak to król Kanut wznosił wielki królewski pałac tuż przy wschodniej ścianie opactwa westminsterskiego. Władca ten, Duńczyk z pochodzenia, cieszył się wielką popularnością, ogłosił bowiem nowe prawo zezwalające każdemu wolnemu Anglikowi polować na własnej ziemi, co poprzednio zastrzeżone było dla króla i wielmożów. Teraz każdy mógł na swoich włościach ubić jelenia, jakby był królem.

Kanut odziedziczył po swoim bracie Haroldzie królestwo Danii, gdzie również sprawował rządy. Tym sposobem panował nad całym Morzem Północnym. Zbudował flotę czarnych okrętów, które uwolniły ocean od piratów i po raz pierwszy od stu lat zapewniły Anglii prawdziwy pokój.

Rob niewiele słyszał z tej rozmowy. Kiedy się zatrzymali w Alton na południowy posiłek, dał wraz z Balwierzem przedstawienie, płacąc w ten sposób za możliwość podróżowania z kupcem. Bostock zaśmiewał się i bez umiaru oklaskiwał ich żonglerkę, a na koniec obdarował Roba dwoma pensami.

— Przydadzą ci się w stolicy, gdzie zabawa kosztuje a kosztuje — powiedział mrugając.

Rob podziękował mu, ale myślał o czym innym. Im bliżej byli Londynu, tym silniejsze miał przeczucia.

Stanęli obozem na polu w Reading, ledwie dzień drogi od miasta, w którym się urodził.

Tej nocy nie spał, nie mogąc się zdecydować, które z rodzeństwa pierwsze postara się zobaczyć.

Nazajutrz zaczęły się pojawiać znajome miejsca: charakterystyczna kępa dębów, wielki głaz, skrzyżowanie dróg tuż pod wzgórzem, na którym z Balwierzem rozbili pierwszy obóz... Na widok każdego z nich serce Robowi biło mocniej i dusza śpiewała. Rozstali się z karawaną po południu w Southwark, gdzie kupiec miał coś do załatwienia. Southwark było większe niż wtedy, gdy Rob ostatni raz je oglądał. Z drogi biegnącej groblą dostrzegł nowe składy na podmokłym Bank Side, w pobliżu starego pomostu prowadzącego na prom, a na rzece mrowie zacumowanych obcych statków.

Przez Most Londyński Balwierz przeprowadził Incitatusa w tłumie pieszych. Po drugiej stronie było tak rojno od ludzi i zwierząt, że nie mógł skręcić wozem w Thames Street, lecz musiał jechać prosto aż do skrzyżowania w lewo przy Fenchurch Street, dalej przez Walbrook, a następnie wyboistym brukiem do Cheapside. Rob ledwie mógł usiedzieć na wozie, wyglądało bowiem na to, że znajome skupiska małych wyblakłych domków nic się nie zmieniły.

Przy Aldersgate Balwierz skierował konia w prawo, a następnie w lewo, w Newgate Street, rozwiązując w ten sposób problem Roba, które z rodzeństwa ma odwiedzić pierwsze—na Newgate Street znajdowała się piekarnia, mógł więc odwiedzić Annę Mary.

Pamiętał wąski dom ze sklepikiem na dole i niecierpliwie go wypatrywał, aż wreszcie dojrzał. Przebiegłszy jednak przez ulicę, zorientował się, że sklep zajmuje dostawca okrętowy. Chociaż się stropił, otworzył drzwi i wszedł do środka. Na dźwięk dzwonka u drzwi mężczyzna za ladą popatrzył na niego i skinął głową.

— Co się stało z piekarnią?

Właściciel stojący za zwojem liny wzruszył ramionami.

— Czy Haverhillowie nadal mieszkają na piętrze? — dopytywał się Rob.

— Nie, ja tam mieszkam. Słyszałem, że wcześniej była tu piekarnia, ale jakem dwa lata temu kupował sklep, był pusty — wyjaśnił dostawca. — Sprzedał mi go Durman Mnich. Mieszka trochę dalej przy tej ulicy.

Rob podziękował i wyszedł. Zostawił Balwierza czekającego w wozie, by odszukać Durmana Mnicha. Okazało się, że to starzec, który mieszka w domu pełnym kotów, samotny człowiek ucieszony, że nadarza mu się okazja z kimś pogwarzyć.

— A, to jesteś bratem malutkiej Annę Mary? — powiedział.

— Pamiętam ją, miła jak kotek, grzeczna dziewczynka. Dobrze znałem Haverhillów, to byli najlepsi sąsiedzi. Przenieśli się do Salisbury — dodał głaszcząc kocura o dzikich ślepiach.

Rob czuł ściskanie w dołku wchodząc do siedziby cechu, dokładnie takiej, jaką zapamiętał, łącznie z wyrwą w tynku na ścianie z wikliny i nad drzwiami. Paru cieśli siedziało w izbie popijając, ale Rob nie dojrzał wśród nich ani jednej znajomej twarzy.

— Zastałem mistrza Bukerela? Jeden z cieśli odstawił kufel.

— Kogo? Richarda Bukerela?

— Tak. Richarda Bukerela.

— Zmarło mu się dwa lata temu. Rob poczuł prawdziwy ból w sercu, gdyż Bukerel okazał mu wiele dobroci.

— A kto jest teraz starszym cechu? — spytał.

— Luard — odpowiedział tamten lakonicznie. — Ej, ty! — krzyknął na ucznia. — Zawołaj Luarda, jest tu jakiś chłopak do niego!

Z głębi domu wyłonił się Luard, krępy mężczyzna z twarzą pokrytą bliznami, młody jak na starszego cechu. Pokiwał głową bez zdziwienia, gdy Rob zapytał, gdzie może szukać

wiadomości o członkach korporacji.

Zajęło im parę minut kartkowanie wielkiej pergaminowej księgi.

— O, tu — powiedział wreszcie Luard i pokręcił głową.

— Mam tu stary zapis dotyczący towarzysza stolarskiego nazwiskiem Aylwyn, ale od kilku lat nie było nowego wpisu.

Nikt z obecnych w izbie nie znał Aylwyn a ani nie wiedział, dlaczego nie ma go w rejestrze.

— Członkowie cechu się przenoszą, często wstępują do cechu gdzie indziej — tłumaczył Luard.

— A Tumer Home? — zapytał cichym głosem Rob.

— Mistrz ciesielski? Mieszka tu nadal, w tym samym domu co zawsze.

Rob odetchnął z ulgą — zobaczy przynajmniej Samuela. Jeden z przysłuchujących się mężczyzn wstał i odciągnął

Luarda na bok. Porozmawiali chwilę szeptem, po czym Luard odchrząknąwszy powiedział:

— Posłuchajcie, Tumer Home jest nadzorcą zespołu, który buduje dom na Edred's Hithe. Jeśli wolno, radziłbym iść prosto tam i z nim pogadać.

Rob popatrzył po obecnych.

— Nie znam Edred's Hithe.

— To nowa dzielnica. Znacie Queen's Hithe, stary rzymski port przy wale nadrzecznym? Rob kiwnął głową.

— Idźcie do Queen's Hithe. Stamtąd każdy wam wskaże drogę do Edred's Hithe — poradził Luard.

Tuż przy obwałowaniu rzeki wznosiły się nieodłączne składy, a za nimi ciągnęły się całe ulice domów dających schronienie portowemu pospólstwu, wyrobnikom szyjącym żagle, wytwórcom narzędzi okrętowych i lin, przewoźnikom, dokerom, latarnikom i skutnikom. Queen's Hithe było gęsto zaludnione i miało odpowiednio dużo gospód. W jednej z nich, mocno śmierdzącej, Rob otrzymał wskazówki, jak dojść do Edred's Hithe, nowej dzielnicy wyrosłej tuż za granicą starej. Odszukał tam Tumera Horne'a pracującego przy budowie domu na skrawku podmokłej łąki. Home zlął z dachu, gdy go zawołano, nie kryjąc niezadowolenia, że się mu przerywa pracę. Rob przypomniał go sobie, ujrzawszy jego twarz, mimo że nabrał ciała i rumieńców i zaczynał łysieć.

— Jestem bratem Samuela, mistrzu Home. Nazywam się Rob J. Cole.

— Ano, jesteś. Aleś wyrósł! — rzekł z podziwem Home, po czym Rob dojrzał w jego pocziwych oczach ból. — Był u nas niecały rok — powiedział cieśla bez ogródek. — Dał się lubić. Bardzo przypadł do serca mojej kobiecie. Powtarzaliśmy i powtarzali: nie baw się na nabrzeżach. Dorosły naraża życie, jak wlezie za ciężarowy wóz, kiedy woźnica cofa czwórkę koni, a co dopiero dziesięćolatek.

— Ośmiolatek.

Home spojrzał pytająco.

— Jeśli to się stało rok po tym, jakście go wzięli, to miał osiem lat — sprostował Rob. Wargi mu zeszytniały i poruszały się z oporem, mówienie sprawiało trudności. — Widzicie, on był dwa lata młodszy ode mnie.

— Już ty wiesz najlepiej — rzekł łagodnie Home. — Leży u Świętego Botolfa, po prawej stronie cmentarza w głębi.

Słyszeliśmy, że to ta część, gdzie waszego ojca złożono na wieczny spoczynek... A co do narzędzi po waszym ojcu — dodał ni stąd, ni zowąd — to jedna piła pękła, ale młoty są

całkiem dobre. Możesz je dostać z powrotem. Rob pokręcił głową.

— Zatrzymajcie je, proszę. Na pamiątkę po Samuelu — powiedział.

Stali obozem na łące przy Bishopsgate, w pobliżu mokradeł na północno-wschodnim krańcu miasta. Na drugi dzień, uciekając przed pasącymi się tu owcami i współczuciem Balwierza, Rob wybrał się wczesnym rankiem na swoją dawną ulicę i postął tam chwilę wspominając rodzeństwo, dopóki z ich dawnego domu nie wyszła nieznajoma staruszka wylać przed drzwi wodę po myciu.

Zapisał się tego ranka dalej, aż do Westminsteru, gdzie domy nad rzeką się przeredziły, a za nimi na polach i łąkach wielkiego klasztoru wyrosła już inna posiadłość. Mógł to być tylko dom króla, otaczały go koszary dla wojska i oficyny, w których jak przypuszczał Rob, załatwiano różnego rodzaju sprawy państwowe. Zobaczył osławionych osiłków, o których ze zgrozą mówiono w każdej gospodzie. Byli to olbrzymi duńscy żołdacy, dobrani jeden w drugiego dla wzrostu i waleczności, by służyć jako przyboczna straż króla Kanuta. Wydało się Robowi, że za dużo tu zbrojnej straży jak dla władcy ukochanego przez lud. Zawrócił do miasta, a gdy się nie wiedzieć kiedy znalazł w pobliżu kościoła Świętego Pawła, poczuł na ramieniu czyjaś rękę.

— Znam cię. Jesteś Cole.

Jedno spojrzenie na wyrostka, który go zaczepił, sprawiło, że Rob znowu się poczuł dziewięcioletkiem szarpanym wątpliwościami: bić się czy brać nogi za pas, był to bowiem bez wątpienia Anthony Tite. Ale Tite się uśmiechał i nie było w pobliżu widać żadnych jego popleczników. Poza tym Rob zauważył, że jest teraz o trzy głowy wyższy i dużo silniejszy od dawnego wroga. Poklepał Tony'ego „Szczyła” po ramieniu, czując nagle taką radość na jego widok, jakby w dzieciństwie byli najlepszymi przyjaciółmi.

— Chodź do gospody i opowiedz o sobie — zaprosił go Anthony, ale Rob się zawahał, miał bowiem przy sobie tylko dwa pensy, które dostał od kupca Bostocka za zonglerkę.

Anthony Tite zrozumiał.

— Ja stawiam. Pracuję od zeszłego roku. Był terminatorem ciesielskim, powiedział Robowi, kiedy zasiedli przy piwie w kacie pobliskiej gospody.

— W tartaku — wyjaśnił i Rob zauważył, że głos ma ochryply, a skórę woskowożółtą. Wiedział, co to za praca. Terminator stał w głębokim dole, nad którym kładło się pnie, i pociągał za jeden koniec piły, podczas gdy towarzysz stolarski na brzegu dołu obsługiwał piłę od góry.

— Chyba nastał koniec złych czasów dla cieśli — powiedział Rob. — Zaszedłem do domu cechowego i nie widziałem tam wielu próżnujących.

Tite przyświadczył kiwnięciem głowy.

— Londyn się rozrasta. Miasto już liczy sto tysięcy dusz, jedną ósmą wszystkich Anglików. Wszędzie się coś buduje. Dogodny czas ubiegać się w cechu o praktykę, podobno niedługo zbierze się nowa setka. A że jesteś synem cieśli...

Rob pokręcił głową.

— Terminuję już.

Opowiedział o swoich wędrówkach z Balwierzem i zazdrość w oczach Anthony'ego sprawiła mu przyjemność, w zamian Tite jemu opowiedział o śmierci Samuela.

— W ostatnich latach straciłem matkę i dwóch braci, wszystkich na ospę, a ojca zabrała gorączka — dodał. Rob posepnie kiwnął głową.

— Muszę odszukać resztę rodzeństwa. W każdym z tych londyńskich domów może mieszkać mój najmłodszy brat, urodzony przez matkę przed śmiercią i oddany komuś przez Richarda Bukerela.

— Może wdowa po Bukerelu będzie coś wiedziała — podsunął Tite i Rob odzyskał

nadzieję. — Wyszła drugi raz za mąż, za zieleniarza nazwiskiem Buffington. Mieszka tu niedaleko. Zaraz za Ludgate.

Dom Buffingtona stał w okolicy przypominającej trochę odludzie, w jakim król wznosił swoją nową siedzibę, lecz w sąsiedztwie miał nadbrzeżne mokradła rzeki Fleet i nie był pałacem, tylko walącą się rudera. Za nędznym domem ciągnęły się dobrze utrzymane pola kapusty otoczone nie drenowanym bagnem. Rob przystanął na chwilę, by się przyjrzeć czwórce nadąsanych dzieciaków, które w chmarze komarów krążyły z workami kamieni, odganiając od zbiorów zające z mokradel.

Zastał Buffingtonową w domu, zajętą przebieraniem i układaniem zbiorów w koszykach.

— Zające zjadają całe zyski — wyjaśniła gderliwie. — Pamiętam ciebie i twoją rodzinę — mówiła oglądając go, jakby był dorodnym okazem jakiegoś warzywa, nie mogła sobie jednak przypomnieć, by jej poprzedni mąż wymieniał kiedy nazwisko czy miejsce zamieszkania mamki, która wzięła niemowlę ochrzczone jako Roger Cole.

— Nikt nie zapisał jej nazwiska?

Może dojrzała coś w jego oczach, bo się powściągnęła.

— Jestem niepiśmienna. A dlaczego tyś się nie dowiedział jej nazwiska i nie zapisał, mopanku? Nie twój to brat?

Zdumiał się, że czegoś takiego mogła oczekiwać po dziecku w jego położeniu, ale przyznał, że kobieta ma trochę racji. Uśmiechnęła się do niego.

— Nie bądźmy dla siebie niegrzeczni, ciężkie czasy przeżyliśmy jako sąsiedzi.

Wprowadziła go w zdumienie, bo przyglądała mu się jak kobieta mężczyźnie, z ciepłem w oczach. Wyszczupiała od ciężkiej pracy i zauważył, że kiedyś musiała być piękna. Nie była starsza od Edithy... Zaraz wszakże z nostalgią pomyślał o Bukerelu, wspomniawszy też jej po lichwiarsku odmierzane miłosierdzie. Przecież gotowa była sprzedać go w niewolę!... Odpowiedział jej chłodnym spojrzeniem, wybąkał słowa podziękowania i odszedł.

W kościele Świętego Botolfa na pukanie Roba otworzył zakrystian, ospowaty staruszek z nie strzyżoną strzechą siwych włosów. Rob zapytał o księdza, który grzebał jego rodziców.

— Ojciec Kempton został przeniesiony do Szkocji dziesięć miesięcy temu — wyjaśnił stary, a potem zaprowadził go na przykościelny cmentarz. — Och, zrobił się tu u nas straszny tłok — powiedział. — Nie było cię tu dwa lata temu w czasie plagi ospy?

Rob pokręcił głową.

— Miałeś szczęście! Tyle narodu pomarło! Grzebaliśmy całymi dniami. Teraz brak miejsca. Ludzie ciągną do Londynu ze wszystkich stron, a człowiek szybko dożywa swoich czterdziestu lat, bo o tyle może prosić Boga.

— Ale wy macie więcej jak czterdzieści — zauważył Rob.

— Ja? Mnie chroni kościelne zajęcie i życie prowadziłem ze wszech miar czyste i bezgrzeszne — odparł z uśmiechem, a Rob wyczuł w jego oddechu mocny trunek.

Zaczekał przed kaplicą, gdy kościelny sprawdzał w księdze pogrzebów. Zamroczony alkoholem staruszek niewiele mógł dla niego zrobić, poprowadził go jednak przez labirynt pochyłych nagrobków do wschodniej części cmentarza, tuż pod omszały mur w głębi, i zapewnił, że obaj, jego ojciec i brat Samuel, zostali pochowani „gdzieś tutaj”. Rob próbował sobie przypomnieć pogrzeb ojca i w ten sposób przywołać przed oczy położenie grobu, na nic się to jednak nie zdało.

Matkę łatwiej było odnaleźć. Mimo że cis nad jej grobem wyrósł przez te trzy lata, nadal można go było rozpoznać.

W nagłym przypływie energii Rob pośpieszył do ich obozowiska. Balwierz zszedł z nim na kamienisty skrawek brzegu pod obwałowaniem Tamizy i tam wyszukali spory szary głaz, płaski z jednej strony, wygładzony przez lata falami przypływów. Incitatus pomógł go

wyciągnąć znad rzeki.

Rob miał zamiar sam wyryć napis, lecz dał się od tego odwieść.

— Za długo już tu siedzimy — orzekł Balwierz. — Niech to zrobi kamieniarz, będzie szybko i dobrze. Ja mu zapłacę, a jak skończysz terminowanie i zaczniesz zarabiać, oddasz mi.

Pozostali w Londynie tylko tak długo, by dopilnować wyrycia na kamieniu wszystkich trzech imion i dat i ułożyć go na cmentarzu pod cisem. Kiedy to załatwili. Balwierz trzepnął Roba mięsistą łapą w ramię i zmierzył trzeźwym spojrzeniem.

— Jesteśmy ludzie wędrowni. Dojedziemy w końcu wszędzie tam, gdzie musisz pytać o tamtych troje.

Rozłożył mapę Anglii i pokazał Robowi sześć szerokich dróg wychodzących z Londynu: na północny wschód do Colchester, na północ do Lincoln i Yorku, na północny zachód do Shrewsbury i Walii, na zachód do Silchester, Winchester i Salisbury, na południowy wschód do Rochborough, Dover i Lyme i na południe do Chichester.

— Tu, do Ramsey — rzekł szturchając palcem w środek Anglii — przeniosła się do brata twoja owdowiała sąsiadka, Della Hargreaves. Ona będzie znała nazwisko mamki, której oddała małego Rogera, i odszukasz go, jak następnym razem zajedziemy do Londynu. A tu, w dole, masz Salisbury, gdzie jak ci powiedzieli, rodzina Haverhillów zabrała twoją siostrę Annę Mary. — Zmarszczył czoło. — Szkoda, żeśmy o tym nie wiedzieli, kiedyśmy ostatnim razem byli w Salisbury na jarmarku — dodał, a Roba przeszedł dreszcz na myśl o tym, że mogli się być wśród tłumów minąć z siostrzyczką.

— Nie martw się — pocieszył go Balwierz. — Wstąpimy do Salisbury wracając do Exmouth jesienią. Rob nabrał otuchy.

— A gdziekolwiek przyjedziemy na północy — powiedział — będę pytał księży i mnichów, czy nie słyszeli o ojcu Lovellu i jego chłopcu, Williamie Cole'u.

Nazajutrz wczesnym rankiem opuścili Londyn i ruszyli szerokim gościńcem prowadzącym na północ do Lincoln. Kiedy skupisko domów i zaduch zbyt wielu ludzi stłoczonych w jednym miejscu zostawili za sobą, zatrzymali się na wyjątkowo obfite śniadanie, uwarzone nad szumiącym strumieniem, i obaj zgodnie orzekli, że miasto nie jest najpiękniejszym miejscem, gdzie można wdychać stworzone przez Boga powietrze i rozkoszować się ciepłem słońca.

## Nauki

Pewnego dnia na początku czerwca obaj leżeli na wznak nad rzeczką w pobliżu Chipping Norton, przyglądając się chmurom przez okryte liśćmi gałęzie i czekając, aż pstrągi zaczną brać. Obydwa wierzbowe kije, oparte o dwie gałęzie rozwidlane w kształcie litery Y i wbite w ziemię, ani drgnęły.

— Za późno, żeby pstrągi miały chęć na taką oszukańczą przynętę — mruknął z zadowoleniem Balwierz. — Za dwa tygodnie, jak się na polach wyroją koniki polne, lepiej będą brały.

— Po czym robak samczyk odróżnia samicę? — zastanawiał się Rob.

Balwierz uśmiechnął się prawie drzemiając.

— Nie ma dwóch zdań, po ciemku nie odróżnisz jednej przynęty od drugiej, tak samo jak kobiety.

— Każda kobieta jest inna, czy to w dzień, czy w nocy — sprzeciwił się Rob. — Wydają się podobne, ale każda jest inna w zapachu, smaku, dotyku i zachowaniu.

Balwierz westchnął.

— To naprawdę dziw, ale mężczyzna daje się zwieść. Rob wstał i podszedł do wozu. Wrócił z kwadratową gładką sosnową deseczką, na której wyrysował inkaustem twarz dziewczyny. Kucnął przy Balwierz, by mu ją pokazać.

— Poznajecie?

Balwierz zerknął na rysunek.

— To dziewczyna z zeszłego tygodnia, ta turkaweczka z St. Ives.

Rob zabrał rysunek i przyjrzał mu się zadowolony.

— Dlaczegoś jej dodał to paskudne znamię na policzku?

— Miała je.

Balwierz potwierdził kiwnięciem głowy.

— Pamiętam. Ale piórem i inkaustem możesz ją odrysować ładniejszą, niż jest. Niech się widzi ładniejsza, niż ją widzą inni.

Rob zmarszczył brwi usiłując zrozumieć, dlaczego miałby to robić. Przyjrzał się podobiznie.

— I tak tego nie widziała, bom ją rysowałem już potem.

— Ale mógłbyś to narysować przy niej. Rob wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Balwierz usiadł, już w pełni obudzony.

— Czas nam wykorzystać twoje zdolności — orzekł.

Nazajutrz rano zajechali do drwała, by im pociął sosnowy kłoc na cienkie krażki. Plastry sośniny sprawiły im jednak zawód, powierzchnię miały bowiem zbyt ziarnistą i trudno było na nich rysować piórem. Gładkie i twarde okazały się krażki młodej buczyny i drwał za drobną opłatą chętnie pociął średniej grubości pień buku.

Tego dnia po południu Balwierz po występach zapowiedział, że jego pomocnik darmo narysuje kilku mieszkańców Chipping Norton. Aż się zakotłowało. Tłum otoczył Roba i przyglądał się z ciekawością, jak rozpuszcza inkaust, co mu nie przeszkadzało, bo już był doświadczonym komediantem, nawykłym do tego, że mu się przyglądają.

Wyrysował kolejno na krażkach twarze staruszki, dwóch młodych ludzi, dwóch dojek pachnących krowim mlekiem i mężczyzny z naroślą na nosie. Kobieta miała głęboko



osadzone oczy i bezzębne usta o pomarszczonych wargach, jeden z młodzieńców twarz pulchną i okrągłą, toteż Rob czuł się tak, jakby dyni domalowywał rysy twarzy. Drugi był chudy, ciemnowłosy, o nieszczęśliwych oczach. Dziewczyny okazały się siostrami tak do siebie podobnymi, że sztuką było uchwycić niewielkie między nimi różnice. Nie udało mu się to, portrety różniły się tak nieznacznie, że dziewczyny mogłyby się nimi zamienić. Ze wszystkich sześciu jedynie ostatni rysunek dał mu pewne zadowolenie. Mężczyzna był niemal starcem, a oczy i każdy rys jego twarzy tchnęły melancholią. Rob sam nie wiedział, jak uchwycił ten smutek. Bez chwili wahania dorysował też narośl na nosie. Balwierz nie narzekał, gdyż wszyscy modele byli wyraźnie zadowoleni, a widzowie nagrodzili Roba długotrwałymi oklaskami.

— Kto kupi sześć flaszeczek, dostanie... darmo, przyjaciele!... taką samą podobiznę! — wołał Balwierz unosząc w górę driakiew i dalej zachwalając swój towar zwyczajnym już sposobem.

Wkrótce ustawiła się kolejka do Roba, który pilnie rysował, i jeszcze dłuższa przed ławą, z której Balwierz sprzedawał swój lek.

Odkąd król Kanut zliberalizował prawo łowieckie, na rzeź-nicznych straganach zaczęła się pojawiać dziczyzna, toteż na targu w Aidreth Balwierz kupił wielki jeleni comber. Natarł go dzikim czosnkiem i głęboko ponacinał, napychając nacięcia drobnymi skwarkami słoniny z cebulą, obficie posmarował z wierzchu świeżym masłem, a podczas pieczenia nieustannie polewał miodem zmieszany z gorczycą i ciemnym piwem.

Rob jadł, aż mu się uszy trzęsły, lecz większą część pochłoniął Balwierz z olbrzymią ilością tłuczonej rzepy i bochnem świeżego chleba.

— Może jeszcze kęs. Żeby podtrzymać siły — powiedział szczerząc zęby. Odkąd go Rob poznał, znacznie przybrał na wadze, chyba ze sześć kamieni. Na karku miał grube fałdy tłuszczu, przedramiona niby szynki, a brzuch wydymał się przed nim jak wielki żagiel na wietrze. Jego pragnienie dorównywało apetytowi.

Dwa dni po wyjeździe z Aidreth przybyli do Ramsey, gdzie Balwierz zwrócił na siebie uwagę karczmarza, gdy bez słowa wychylił dwa kufle piwa, czknął wydając odgłos podobny do grzmotu i od razu przystąpił do rzeczy.

— Szukamy kobiety nazwiskiem Della Hargreaves. Karczmarz wzruszył ramionami i pokręcił głową.

— Hargreaves to nazwisko jej męża. Jest wdową. Przyjechała cztery lata temu do brata. Jego nazwiska nie znam, ale pomyślcie, proszę, toż to niewielka miejscowość.

Zamówił następne piwo, żeby zachęcić karczmarza, na którego twarzy pojawiło się zakłopotanie.

— Oswald Sweeter — szepnęła jego żona podając trunek.

— O, właśnie, siostra Sweetera — przyświadczył karczmarz przyjmując od Balwierza zapłatę.

Oswald Sweeter, kowal z Ramsey, był mężczyzną zwałistym jak Balwierz, lecz bez krztyny tłuszczu. Wysłuchał ich jakiś skrzywiony i powiedział z pewną niechęcią:

— Della? Przyjąłem ją do siebie. Moja krew. — Wcisnął szczypcami czerwony jak wiśnia pręt głębiej w żarzące się węgle. — Moja kobieta okazała jej całą dobroć, ale Della to urodzony nierób. Nie zgadzały się ze sobą. Po pół roku Della od nas odeszła.

— Dokąd? — zapytał Rob.

— Do Bath.

— A co robi w Bath?

— To samo, co tu robiła, zanim się przegnali — odparł spokojnie kowal. — Wyjechała z jednym takim podobnym do szczura.

— Przez lata była naszą sąsiadką w Londynie i cieszyła się ludzkim szacunkiem — poczuł się zobowiązany powiedzieć Rob, choć nigdy jej nie lubił.

— Cóż, kawalerze, dziś moja siostra to wszeteczna flądra, łatwiej jej się ześwinić, niż uczciwie zarobić na chleb. Znajdziesz ją wśród ladacznic.

Wyciągnąwszy z węgli biały od żaru pręt, Sweeter uciał rozmowę waląc młotem, aż wściekły deszcz iskier poleciał za nimi przez drzwi.

Padało dobry tydzień, gdy jechali w dół wybrzeża, potem któregoś ranka wyczołgali się z wilgotnych posłań pod wozem na dzień tak jasny, miły i piękny, że zapomnieli o wszystkim, szczęśliwi, że mogą ruszyć, dokąd ich oczy poniosą.

— Dalejże! Przed nami cały bezgrzeszny świat! — zawołał Balwierz, a Rob świetnie pojmował jego uniesienie, bo chociaż coś pchało go do poszukiwania rodzeństwa, w taki dzień liczyła się tylko jego młodość, zdrowie i pragnienie życia.

Pohukując od czasu do czasu na saskim rogu, radośnie wyśpiewywali hymny i sprośne piosenki, które jeszcze donośniej głosiły ich obecność. Jechali powoli leśnym traktem, na przemian to wynurzając się w ciepło słońca, to zanurzając w chłód zielonego cienia.

— Czego więcej można chcieć? — spytał wreszcie Balwierz.

— Broni — odpowiedział Rob. Uśmiech Balwierza zbladł.

— Nie kupię ci broni — oświadczył krótko.

— Miecz mi niepotrzebny, ale przydałby się sztylet na wypadek napaści.

— Każdy rozbójnik dwa razy by pomyślał, zanimby się na to ważył — orzekł Balwierz — bo żaden z nas nie ułomek.

— Idzie właśnie o mój wzrost. Wchodzę do gospody, a ci mniejsi patrzą i myślą: „Wielki jest, ale jednym sztychem dam mu radę”, i ręce same im wędrują do broni.

— A potem widzą, że ty nie masz broni, i wiedzą już, że mimo wzrostu jesteś jeszcze szczenię, nie dorosły pies. Pojmują więc zaraz, że się wygłupili, i dają ci spokój. Z mieczem u boku nie pożyłbyś i dwóch tygodni.

Dalej jechali w milczeniu.

Wieki zbrojnych najazdów nauczyły każdego Anglika myśleć jak żołnierz. Niewolnikom prawo zabraniało nosić broń, a terminatorów nie było na nią stać, lecz poza nimi wszyscy mężczyźni nie goleni nosili dodatkowo swój wolny stan noszeniem broni, którą lubili się szczić. To prawda, że niski mężczyzna z nożem z łatwością może zabić rosłego bez noża, przyznał w duchu znużony już Balwierz.

— Musisz nauczyć się posługiwać bronią, żebyś umiał, jak już się jej dorobisz — rozstrzygnął. — To część twojego wykształcenia, zaniedbałem ją. Więc zacznę cię przyuczać do noża i sztyletu.

Rob się rozpromienił.

— Wdzięczny wam jestem, panie Balwierz — powiedział.

Stanęli jeden naprzeciw drugiego na jakiejś polanie i Balwierz wysunął sztylet zza pasa.

— Nie trzymaj go jak dzieciak tłukący mrówki. Połóż na otwartej dłoni, jakbyś miał podrzucić. Cztery palce obejmują trzonek. Kciuk możesz położyć płasko na trzonku albo na palcach, zależy od ciosu. Najtrudniej odparować cios zadany od dołu. W walce na noże kolana musisz mieć ugięte i lekko się poruszać na nogach, zawsze w gotowości, żeby uskoczyć do tyłu albo rzucić się do przodu. W gotowości, żeby się uchylić przed ciosem napastnika. W gotowości, żeby zabić, bo to broń do walki w zwarcu, nieczystej. Sztylet jest z równie dobrego metalu jak skalpel. Czy się poświęcisz skalpelowi, czy sztyletowi, musisz ciąć, jakby życie od tego zależało, bo często zależy.

Wsunął sztylet z powrotem za pas i podał Robowi miecz. Rob dźwignął go i wyciągnął

przed sobą.

— Romanus sum — wyszeptał. Balwierz się uśmiechnął.

— Nie, nie jesteś krwawym Rzymianinem. Nie z tym angielskim mieczem. Rzymski miecz był krótki, ostro zakończony, obosieczny. Rzymianie lubili walczyć wręcz i często używali miecza jak sztyletu. To szeroki miecz angielski, dłuższy i cięższy. Nasza podstawowa broń, trzyma wroga z daleka. Jest jak topór, siekiera, co zamiast drzew ścina ludzi.

Zabrał miecz i odsunął się od Roba. Chwyciwszy broń oburącz zakręcił się w miejscu, a szerokie ostrze błysnęło i zamigotało tnąc zamaszystymi, morderczymi kołami smugi słońca.

Potem zatrzymał się i wsparł chwilę na mieczu.

— Spróbuj — polecił Robowi, wręczając mu broń. Niewielką pociechę sprawiła Balwierzowi łatwość, z jaką terminator podniósł jedną ręką szeroki, ciężki miecz. To broń ludzi silnych, pomyślał z zazdrością, skuteczniejsza w ręku zwinnego młodzieńca.

Naśladując Balwierza Rob okręcił się z mieczem na małej polance. Szerokie ostrze ze świstem przecięło powietrze, a z krtani wydarł mu się mimo woli ochryply okrzyk. Balwierz patrzył, zdjęty wyraźnym niepokojem, jak Rob morderczo przedziera się przez niewidzialnych wrogów, kładąc ich pokotem.

Okazja do następnej lekcji trafiła się kilka dni później, wieczorem w zatłoczonej gwarnej gospodzie w Fulford, którą zapełniali angielscy woźnice z konnej karawany jadącej na północ, a także woźnice duńscy z karawany ciężącej na południe. Obie grupy zatrzymały się na noc w mieście pijąc jak smoki i popatrując na siebie spode łba niczym dwa stada walecznych psów.

Rob siedział z Balwierzem i popijał jabłecznik czując się zupełnie bezpiecznie. Bywali już w takich sytuacjach i za wiele mieli rozsądku, by ulegać zaczepnym nastrojom.

Któryś z Duńczyków wyszedł na dwór za potrzebą i wrócił niosąc pod pachą kwiczące prosię i kawał powroza. Jednym końcem powroza owiązał kark prosięcia, drugi zaś uczepił do słupa pośrodku gospody. Potem huknął kuflem w stół.

— Który będzie na tyle mężczyzną i zmierzy się ze mną w kluciu świni?! — zawołał do angielskich woźniców.

— Ha! Vitus! — zachęcająco krzyknął do niego jeden z kolegów i jał walić w swój stół. Natychmiast przyłączyli się do niego pozostali Duńczycy.

Angielscy woźnice ponuro słuchali tego łoskotu i pogrózek, wreszcie jeden podszedł do słupa i skinął głową. Kilku co ostrożniejszych klientów gospody szybko opróżniło kufle i wymknęło się za drzwi.

Rob już wstawał, znając zwyczaj Balwierza, który wychodził, nim zaczęły się kłopoty, lecz mistrz ku jego zaskoczeniu przytrzymał go za ramię.

— Dwa pensy na Dustina! — zawołał jeden z angielskich woźniców i wkrótce obie grupy na wyprzódki jęły robić zakłady.

Przeciwnicy wydawali się sobie równi. Obaj wyglądali na dwadzieścia lat, Duńczyk był cięższy i trochę niższy, Anglik zaś miał dłuższe ręce. Obu zasłonięte oczy, a następnie każdego z innej strony przywiązano do słupa za kostkę u nogi powrozem długim na dziesięć stóp.

— Czekajcie! — zawołał ten, którego nazywali Dustinem. — Jeszcze po łyczku!

Przyniesiono im po kubku meteglinu, po czym dobyli sztyletów. Prosiaka, przytrzymywanego w równej odległości od obu, puszczono teraz na podłogę. Chciał uciekać, lecz że był uwiązany, mógł tylko biegać w koło.

— Uważaj na psiajuchę, Dustin, leci na ciebie! — ktoś krzyknął.

Anglik zamierzył się i czekał, ale tupot biegnącego zwierzęcia zagłuszyły krzyki

mężczyzn i prosiak minął go, nim się zorientował.

— Ej, Vitus! — zawołał jeden z Duńczyków. Spłoszony prosiak wpadł prosto na duńskiego woźnicę. Ten z daleka dziabnął trzykrotnie prosię, które kwicząc pierzchnęło z powrotem. Dustin mógł celować kierując się kwikiem, zbliżył się więc do prosięcia z jednej strony, gdy w tym samym czasie Vitus nadszedł z drugiej. Duńczyk zamachnął się na prosię, lecz trafił w Dustina, który z jękiem wciągnął oddech, gdy ostrze wbiło mu się w ramię.

— Ty północny fajfusie! — warknął i ciął sztyletem z morderczym rozmachem, nie zahaczając jednak ani kwiczącego prosięcia, ani przeciwnika.

Teraz świniak wpadł prosto pod nogi Vitusa. Duńczyk zdołał chwycić powróż, dzięki czemu mógł przyciągnąć zwierzę pod wzniesione ostrze. Pierwszy cios trafił w prawą nogę prosiaka, który zakwicział rozpaczliwie.

— Już go masz, Vitus!

— Wykończ go, jutro będzie co jeść!...

Kwiczący prosiak stał się znakomitym celem, toteż Dustin skoczył w jego stronę. Zamierzył się z całej siły, sztylet jednak osunął się po boku zwierzęcia i z miękkim plaśnięciem wszedł po rękojeść w brzuch Vitusa. Duńczyk cicho jęknął i szarpnął się, jeszcze bardziej rozdzierając ranę.

Teraz w gospodzie rozlegał się tylko kwik prosięcia.

— Odłóż nóż, Dustin, załatwiłeś go — rozkazał jeden z Anglików. Otoczyli woźnicę, zdjęli mu opaskę z oczu i odcięli powróż.

Duńscy woźnice bez słowa szybko wyprowadzili towarzysza, nie czekając na reakcję Anglików i wezwanie ludzi szeryfa.

Balwierz westchnął.

— Chodźmy do niego, jesteśmy balwierze, możemy mu pomóc — powiedział.

Ale widać było, że pomoc mogą już niewiele. Vitus leżał na plecach jak przełamany, oczy wyszły mu na wierzch, twarz poszarzała. W rozplatanym brzuchu widać było przecięte niemal na pół jelito.

Balwierz wziął Roba za rękę i pociągnął go, by kucnął obok.

— Popatrz na to — rozkazał.

Widoczne były warstwy ciała: opalona skóra, blade mięso i jakaś śluzowata miękka otoczka, jelito różowe jak farbowane wielkanocne jajko i bardzo czerwona krew.

— Dziwne, ale rozplatany człowiek śmierdzi dużo gorzej niż rozdęte zwierzę — stwierdził Balwierz.

Z otrzewnej sączyła się krew, a z przeciętego jelita trysnęła nagle masa kału. Vitus mówił coś słabym głosem po duńsku, może się modlił.

Robowi zrobiło się niedobrze, lecz Balwierz przytrzymał go przy leżącym jak ktoś, kto nurza nos szczeniaka w jego własnych odchodach. Rob ujął dłoń woźnicy. Zupełnie jakby dotknął worka piasku z dziurawym dnem. Poczul wyciekające życie.

Siedział w kucki obok Duńczyka i mocno trzymał go za rękę, póki w worku nie zostało ni ziarenko piasku, a dusza Vitusa zaszeleściła jak uschły liść i po prostu uleciała.

Nadal ćwiczyli posługiwanie się bronią, teraz jednak Rob działał z większym namysłem i już bez takiego zapału. Więcej czasu poświęcał rozmyśleniom o swoim darze, przypatrywał się Balwierzowi, słuchał go i przejmował całą jego wiedzę. Kiedy już poznał choroby i ich objawy, zaczął się w sekrecie zabawiać zgadywaniem z wyglądu pacjentów, co im dolega.

W Richmond, w Northumbrii, zobaczyli w kolejce do badania jakiegoś wynędzniałego mężczyznę o mętnych oczach, dręczonego suchym kaszlem.

— Co dolega temu? — zapytał Balwierz.

— Najpewniej suchoty?

Balwierz uśmiechnął się z aprobatą.

Gdy jednak na kaszlącego przyszła kolej stanąć przed Balwierzem i Rob wziął go za rękę wprowadzając za zasłonę, nie było to dotknięcie człowieka umierającego. Dar Roba mówił, że ten człowiek jest za silny jak na suchotnika. Wyczuł, że to przeziębienie, przemijająca dolegliwość, i męczyzna wkrótce wyjdzie z tej choroby. Nie widział powodu, by zaprzeczać Balwierzowi, ale przy tej okazji sobie uświadomił, że jego dar służy nie tylko do przepowiadania śmierci, lecz może być przydatny również w określaniu choroby i pomagać żywym.

Incitatus powoli ciągnął czerwony wóz na północ przez całą Anglię, z wioski do wioski, czasem zbyt małej, by nosić nazwę. Kiedy natrafili na klasztor lub kościół. Balwierz cierpliwie czekał w wozie, podczas gdy Rob pytał o ojca Ranalda Lovella i chłopca nazwiskiem William Cole. Niestety, nigdzie nikt o nich nie słyszał.

Gdzieś między Carlisle a Newcastle-upontyne Rob wdrapał się na kamienny mur wzniesiony dziewięćset lat wcześniej przez kohorty Hadriana dla obrony Anglii przed szkockimi maruderami. Siedząc w Anglii i patrząc na Szkocję, powiedział sobie, że najprędzej znajdzie któreś z rodzeństwa w Salisbury, dokąd Haverhillowie zabrali jego siostrę, Annę Mary.

Kiedy na koniec przybyli do Salisbury, w cechu piekarzy odprawiono ich krótko. Starszym cechu był piekarz nazwiskiem Cummings. Przysadzisty i podobny do żaby, już samą tuszą wystarczająco rekomendował swoje wypieki.

— Nie znam żadnych Haverhillów — powiedział.

— Nie poszukalibyście ich w rejestrach?

— Słuchajcie no, jest jarmark, większość towarzyszy cechowych bierze w nim udział. Jesteśmy teraz zajęci i nie mamy do niczego głowy. Musicie przyjść po jarmarku.

Przez czas trwania jarmarku Rob pół serca tylko wkładał w zonglerkę, rysowanie i pomoc przy leczeniu pacjentów, nieustannie wypatrując znajomej twarzy, bodaj śladu tej dziewczynki, na jaką, jak sobie wyobrażał, Annę Mary już wyrosła. Niestety, nie udało mu się jej wypatrzeć.

W dzień po jarmarku wrócił do domu cechowego piekarzy w Salisbury. Dom był schludny i ładny i mimo zdenerwowania zastanowiło Roba, dlaczego domy innych cechów zawsze są zbudowane solidniej niż domy cechu cieśli.

— Ach, to nasz młody balwierz. — Cummings przywitał go uprzejmiej i teraz był bardziej opanowany. Przejrzawszy dokładnie dwa grube rejestry, pokręcił głową. — Nigdy nie mieliśmy piekarza nazwiskiem Haverhill.

— Sprzedali piekarnię w Londynie mówiąc, że jadą tutaj — powiedział Rob. — Mieli ze sobą małą dziewczynkę, moją siostrę. Na imię jej Annę Mary.

— To jasne, co się stało, młody felczerze. Zanim dotarli tutaj, znaleźli coś lepszego, dowiedzieli się, że gdzieś bardziej potrzebują piekarza.

— Tak. Tak być mogło.

Podziękował Cummingsowi i wrócił do wozu.

Widać było, że Balwierz się zmartwił, starał się go jednak pocieszyć:

— Nie wolno ci tracić nadziei. Zobaczysz, któregoś dnia ich odnajdziesz.

Wyglądało jednak na to, że zarówno żywych, jak umarłych

pochłonęła ziemia. Ta resztką nadziei, jakiej dotąd nie pozwalał zgasnąć, wydała mu się teraz głupotą, czuł, że jego rodzina : naprawdę przepadła, i musiał się z tym pogodzić, chociaż chłód " ścisnął mu serce na myśl, że cokolwiek go czeka, ze wszystkim : będzie musiał

zmierzyć się samotnie.

Na parę miesięcy przed końcem terminu Roba usiedli razem nad kufkami ciemnego piwa w ogólnej izbie gospody w Exeter, by omówić warunki jego pracy.

Balwierz popijał w milczeniu, jakby zamyślony, i w końcu wymienił skromną sumkę, jaką był gotów mu płacić.

— Do tego nowe ubranie — dodał w przyływie hojności. Rob nie na próżno przeżył z nim sześć lat. Niezdecydowanie wzruszył ramionami.

— Ciągnie mnie z powrotem do Londynu — oświadczył i ponownie napełnił kufki. Balwierz kiwnął głową.

— Nowe ubranie co dwa lata, czy ci będzie potrzebne, czy nie — dorzucił przyjrzawszy się minie Roba.

Na wieczerzę zamówili pasztet z królika, który Rob zjadł ze smakiem. Balwierz za to, zamiast do jedzenia, zabrał się do właściciela gospody.

— Jakie mięso podacie, zawsze za twarde i głupio przyprawione — burczał. Potem wrócił do targów: — Możemy zwiększyć zapłatę. Trochę zwiększyć.

— Jest kiepsko przyprawione — zgodził się z nim Rob. — Wam się to nigdy nie zdarza. Zawsze mi smakował wasz sposób przyprawiania dziczyzny.

— Jak uważasz, ile będzie uczciwie? Ileż mogę zapłacić szesnastolatкови?

— Wolałbym się nie umawiać co do zapłaty.

— Nie chcesz się umawiać? — Balwierz przyjrzał mu się ' podejrzliwie.,

— Nie. Dochód mamy ze sprzedaży driakwi i z leczenia. Moja będzie należność za każdą sprzedaną dwunastą flaszkę i za każdego dwunastego chorego.

— Za każdą dwudziestą flaszkę i dwudziestego chorego. Rob tylko chwilę się wahał, nim kiwnął głową.

— To na rok, potem możemy ugodzić się od nowa.

— Umowa stoi!

— Stoi — potwierdził spokojnie Rob. Obaj unieśli kufki i szeroko się uśmiechnęli.

— Ha! — powiedział Balwierz.

— Ha! — zawtórował mu Rob.

Balwierz poważnie potraktował swoje nowe wydatki. Pewnego dnia, gdy byli w Northampton, mieście dobrych rzemieślników, kazał wykonać stolarzowi drugą zasłonę i kiedy zajechali do następnej miejscowości, którą było Huntington, ustawił ją w pobliżu swojej.

— Czas, żebyś stanął na własnych nogach — orzekł. Po skończonym występie i rysowaniu portretów Rob zasiadł za zasłoną. Może będą się śmiali, kiedy zobaczą? A może, zastanawiał się, zawrócą i pójda czekać w kolejce do Balwierza?

Pierwszy pacjent skrzywił się, gdy Rob wziął go za rękę — jego stara krowa nadepnęła mu na nadgarstek.

— Wierzgnęła i przewróciła skopek, suka. A potem, jak go chciałem podnieść, to przekłete bydlę włożyło na mnie, rozumiecie?

Rob delikatnie ujął go za przegub i natychmiast zapomniał o całym świecie. Ręka była obolała i sina, kość biegnąca od kciuka złamana. Ważna kość. Niewiele mu zabrało czasu odpowiednie skrępowanie nadgarstka i zrobienie temblaka.

Kolejny pacjent, chuda koścista kobieta o surowych oczach, okazała się wcieleniem jego obaw.

— Przestałam słyszeć — oświadczyła. Zbadał ją i stwierdził, że nie ma uszu zatkanych woskowiną. Nie wiedział, co mógłby dla niej zrobić.

— Nie mogę wam pomóc — powiedział z żalem. Pokręciła głową.

— Nie mogę wam pomóc! — krzyknął.

— To poradźcie się tego drugiego!

— On też wam nie pomoże. Kobieta zrobiła wściekłą minę.

— Idź do diabła! Poradzę się go sama!

Rob dosłyszał śmiech Balwierza i odgłosy rozbawienia innych chorych, kiedy głośno tupiąc wychodziła.

Czekał za zasłoną jeszcze cały czerwony, gdy wszedł chłopak może o rok lub dwa starszy od niego. Musiał powstrzymać westchnienie, zobaczywszy wskazujący palec jego lewej ręki objęty daleko posuniętą gangreną.

— Niepięknie to wygląda.

Młody człowiek miał pobladłe usta, lecz zdobył się na uśmiech.

— Zmiażdżyłem go przy rąbaniu drew dwie niedziele temu. Bolało, ale wyglądało, że dobrze się goi. A potem...

Pierwszy staw był cały czarny, otoczony zaognionym, pokrytym pęcherzami ciałem. Z wielkich bąbli sączył się krwawy płyn i wydobywały cuchnące gazy.

— Czym to leczycie?

— Sąsiad mi poradził przykładac zwilżony popiół zmieszany z gęsim łajnem, żeby ściągnąć ból.

Rob kiwnął głową, gdyż było to powszechnie stosowane lekarstwo.

— No, wdała się gangrena, gdyby jej pozwolić, rozszerzyła by się na dłoń, a potem na całe ramię. Jeszcze nim dojdzie do korpusu, umrzecie. Palec trzeba odjąć.

Chłopak dzielnie skinął głową, Rob zaś nie wstrzymywał tym razem westchnienia. Musiał się jeszcze upewnić, amputacja to sprawa poważna, chłopak już do końca swoich dni będzie musiał zarabiać na życie bez tego palca. Podszedł do zasłony Balwierza.

— Co tam? — Oczy Balwierzowi zabłyśły.

— Coś wam muszę pokazać — oświadczył Rob i wrócił do swego pacjenta, a grubas ciężkim krokiem podążył za nim.

— Powiedziałem mu, że go straci.

— Tak — potwierdził Balwierz i uśmiech zniknął z jego twarzy. — To było słuszne. Potrzebna ci pomoc, chłopcze?

Rob pokręcił przecząco głową. Dał choremu do wypicia trzy flaszeczki driakwi i starannie przygotował wszystko, co mogło być potrzebne, by w czasie zabiegu niczego nie szukać i nie wzywać na pomoc Balwierza: dwa ostre noże, igłę i woskowane nici, krótki kawałek deski, szarpie do owiązania rany i małą ostrą piłkę. Następnie rękę chłopaka przywiązał do deski dłonią do góry.

— Zaciśnij pięść i wysuń chory palec — polecił i skrępował dłoń bandażami, by mu nie zawadzały zdrowe palce. Spośród beczynnie stojących w pobliżu gapiów zwerbował trzech silnych mężczyzn do przytrzymania chłopaka i jednego do trzymania deski. Kilkakroć już był świadkiem, jak Balwierz to robił, i dwa razy wykonywał taką operację pod jego nadzorem, nigdy jednak dotąd nie zabierał się do niej samodzielnie. Sztuka polegała na tym, by cięcie wykonać w odległości zapobiegającej postępowi gangreny, a równocześnie pozostawić jak najdłuższy kikut.

Ujął nóż i wkroił się w zdrowe ciało. Chory wrzasnął, usiłując zerwać się ze stołka.

— Trzymając go.

Naciął palec ze wszystkich stron i przerwał na chwilę, by osuszyć krwawienie, nim natnie zdrową skórę po bokach i starannie odwinie dwa jej płatki.

Mężczyzna trzymający deskę puścił ją i zwymiotował.

— Łap za deskę — polecił Rob temu, który trzymał chorego za ramiona. Nie było kłopotów z tą zamianą, bo pacjent zemdłał.

Kość cięło się z łatwością i zgrzyt piłki dodał Robowi odwagi przy odejmowaniu palca. Skrupulatnie przyciął płaty skóry i ukształtował zgrabny kikut, tak jak go nauczył Balwierz, nie za ciasno, by nie bolało, ani zbyt luźno, by nie wynikły komplikacje, a na koniec wziął igłę z nicią i drobnymi, ciasnymi ściegami pięknie wszystko zaszył. Przesączała się krew, więc zmył ją polewając kikut specyfikiem, po czym pomógł zanieść jęczącego chłopaka w cień drzewa, aby przyszedł do siebie.

Potem już szybko po kolei skrępował naciągniętą nogę w kostce, opatrzył głęboką ranę od sierpa w ramieniu dziecka, sprzedał trzy flaszeczki leku wdowie dręczonej bólami głowy i jeszcze kilka człowiekowi cierpiącemu na podagrę. Zaczynało mu już uderzać do głowy zadowolenie z siebie, gdy za zasłonę weszła kobieta ginąca z wycieńczenia. Rob ani przez moment nie miał wątpliwości: była wychudzona, woskowo blada, policzki miała lśniąco od potu. Musiał się przymusić, by na nią spojrzeć, gdyż od razu wyczuł, dotknąwszy jej dłoni, jaki ją czeka los.

— Nie chce mi się jeść — skarżyła się — nie mogę też nic w sobie utrzymać. Czego nie zwymiotuję, wylatuje ze mnie krwawym stolcem.

Dotknął dłonią jej wynędzniałego brzucha i wyczuł twardą guzowatość, do której poprowadził jej rękę.

— Dymienica.

— Co to jest dymienica, panie?

— Guz, który rośnie żywiąc się zdrowym ciałem. Czujecie pod ręką te guzy?

— Strasznie boli. Nie ma na to leku? — zapytała spokojnie. Przejął go podziw dla odwagi tej kobiety i nie miał ochoty okłamywać jej z litości. Pokręcił głową, wiedział bowiem od Balwierza, że wielu ludzi cierpi na dymienicę żołądka i wszyscy od tego umierają.

Kobieta wyszła, a on pożałował, że nie został cieślą. Zobaczywszy leżący na ziemi odcięty palec, podniósł go, zawinął w szmatkę i zaniósł przychodzącemu już do siebie chłopakowi pod drzewem. Włożył mu go do zdrowej dłoni. Chory popatrzył na Roba pytająco.

— Co mam z tym zrobić?

— Księża mówią, że trzeba grzebać utracone części ciała. Niech czekają na cmentarzu, żeby człowiek w dzień Sądu Ostatecznego mógł powstać cały.

Młody człowiek zastanowił się nad tym, po czym skinął głową.

— Dziękuję wam, balwierz — powiedział.

Po przyjeździe do Rockingham Robowi przede wszystkim rzuciła się w oczy siwa głowa Wata, sprzedawcy maści. Siedzący obok Roba na koźle Balwierz chrząknął z niezadowolaniem przekonany, że wesołek uprzedził ich dając przedstawienie w tej miejscowości. Ale po wymianie powitań Wat ich uspokoił:

— Nie występuję tu. Przeciwnie, zapraszam was obu na szczucie niedźwiedzia.

Zaprowadził ich, by zobaczyli zwierzaka: był wielki i cały pokiereszowany, w czarnym nosie miał żelazne kółko.

— Jest chory i niedługo sam by zdechł, ale niech jeszcze ostatni raz na nim zarobię.

— Czy to Bartram, z którym się siłowałem? — spytał Rob i własny głos zabrzmiał mu obco w uszach.

— Nie, Bartrama dawno już nie ma, zaszczuty cztery lata temu. To niedźwiedzica Godiva — powiedział Wat i z powrotem nakrył klatkę płachtą.



Po południu Wat przyglądał się ich występom, a potem sprzedaży leku. Balwierz pozwolił mu wyjść na ławę i ogłosić, że wieczorem odbędzie się szczucie niedźwiedzia na arenie za garbarnią, wstęp pół pensa.

Zanim Rob z Balwierzem przyszedli, zapadł już zmrok i łąkę otaczającą arenę oświetlało kilkanaście smolnych pochodni. Na całym polu huczało od głośnych przekleństw i męskiego śmiechu. Szczwacze powstrzymywali trzy psy w kagańcach, wyrrywające się na krótkich smyczach: chudego pręgowanego doga, rudego psa, który wyglądał jak jego mniejszy kuzyn, i wielkiego duńczyka do polowania na łosie.

Godivę wprowadził Wat i dwóch ludzi z obsługi. Ciężko człapiąca niedźwiedzica łeb miała okryty kapturem, lecz zwęszyła psy i instynktownie obróciła pysk w ich stronę. Mężczyźni podprowadzili ją do grubego słupa pośrodku areny. W górze i u nasady słupa przytwierdzone były rzemienie i starosta areny dolnymi uwiązał niedźwiedzicę za prawą tylną łapę. Natychmiast odezwały się krzyki protestu.

— Górny rzemień! Górny rzemień!

— Uwiązać ją za kark!

— Za kółko w chrapach, przekłety głupcze!

Starosta pozostał głuchy na te wołania i wymysły, miał bowiem doświadczenie.

— Niedźwiedzica ma wyrwane pazury. Widowisko byłoby nudne, gdyby ją uwiązać za łeb. Pozwalam jej używać kłów — oświadczył.

Wat odwiązał kaptur ze łba Godivy i odskoczył. Niedźwiedzica rozejrzała się w migotliwym świetle i wlepiła małe, spłoszone oczka w ludzi i psy. Widać było, że jest starym zwierzęciem i najlepsze lata ma już dawno za sobą, toteż zbierający zakłady przyjęli ich niewiele, póki nie podnieśli stawki na trzy do jednego na korzyść psów, które wyglądały na zajadłe i w dobrej kondycji, gdy je podprowadzono na skraj areny. Szczwacze drapali je po łbach i rozcierali im karki, wreszcie zdjęli kagańce, odczepili smycze i sami się cofnęli.

Dog i mały rudzielec od razu przywarły brzuchami do ziemi ze wzrokiem wbitym w Godivę. Warcząc skoczyły naprzód, kłapnęły szczękami w powietrzu i cofnęły się, nie wiedząc jeszcze, że niedźwiedzica nie ma pazurów, a więc bojąc się ich i zachowując respekt. Duńczyk wielkimi susami okrążył arenę, niedźwiedzica zaś nerwowo śledziła jego ruchy oglądając się przez bark.

— Uważaj na tego małego rudego! — krzyknął Wat w ucho Roba.

— Zdawałoby się, że jest najmniej groźny.

— Ma znakomitych przodków, wywodzi się od doga, hodowany do zabijania byków!

Niedźwiedzica mrugając wspięła się na tylne łapy przy słupie i niepewnie patrzyła dokoła. dostrzegając realne zagrożenie ze strony psów, lecz jako zwierzę cyrkowe, przywykłe do rzemieni i ludzkich wrzasków, nie była tak rozwścieczona, jak by sobie życzył starosta. Chwycił więc długą pikę i wbił ją w jedno z jej pomarszczonych wymion, odcinając ciemną brodawkę.

Niedźwiedzica zawyla z bólu.

Ośmielony dog skoczył do niej. Mierzył w miękkie podbrzusze, ale niedźwiedzica się odwróciła i straszliwe kły psa zanurzyły się w jej lewym udźcu. Godiva ryknęła i zamachnęła się. Gdyby jej tak okrutnie nie pozbawiono pazurów, kiedy była małym niedźwiadkiem, wybebeszyłaby teraz doga, bezbronna łapa zsunęła się jednak po psie nie robiąc mu krzywdy. Dog wyczuł, że z tej strony może się nie obawiać niebezpieczeństwa, wypluł kłaki i wyrwane mięso i wgrzyzł się w nią od nowa, rozjuszony już smakiem krwi.

Wtedy wystrzelił w górę mały rudzielec, celując w gardziel Godivy. Jego kły były równie straszne jak kły doga: wydłużona dolna szczeka zwarła się z górną i pies zawisł pod pyskiem

niedźwiedzicy jak wielki dojrzały owoc u konaru drzewa.

Wreszcie i duńczyk uznał, że już czas, i skoczył na Godivę z lewa, deptając po karku doga, by się do niej dostać. Za jednym kłapnięciem jak od cięcia noża Godiva straciła lewe ucho i lewe oko, a kiedy potrząsnęła zranionym łbem, rozprysnęły się wkoło szkarłatne strzępy.

Rudzielec wczepił się w gruby fałd gęstego futra na szyi, zaciśniętymi szczękami tak mocno dławiąc niedźwiedzicę, że zacharczała. Zaraz też dog dobrał się jej do brzucha i szarpnął.

— Nędzna walka! — zawołał Wat zawiedziony. — Już ją mają.

Godiva opuściła wielką prawą przednią łapę na grzbiet doga. Trzasku pękającego kręgosłupa nie było słyhać w tym hałasie — zdychający dog odczołgał się od niej po piachu, a niedźwiedzica dobrała się kłami do duńczyka.

Widownia wydała ryk zachwytu.

Duńczyk niemal wyleciał z areny z rozdartą gardzielią i znieruchomiał tam, gdzie padł. Teraz Godiva jęła okładać łapami najmniejszego psa, jeszcze bardziej zrudziałego od krwi niedźwiedzicy i doga. Szczęki uparcie zaciskał na gardzieli przeciwniczki, która stanawszy chwiejnie na tylnych łapach, przednimi objęła go w końcu w miazdzącym uścisku. Zęby jednak rozwarł wtedy dopiero, kiedy uszło zeń życie, i niedźwiedzica strząsnęła go z siebie — runął w zdeptyany piach jak oderwana główka ostu. Godiva opadła wtedy na cztery łapy tuż przy martwych psach, lecz wcale się nimi nie interesowała. Umęczona i drżąca zaczęła lizać własne krwawiące rany.

Podniósł się gwar, widzowie płacili i odbierali wygrane.

— Za krótko to trwało — narzekał jakiś mężczyzna obok Roba.

— Przecie ta wściekła bestia żyje, możemy się jeszcze zabawić — zauważył inny.

Jakiś pijany młody człowiek podniósł pikę starosty i zaczął poganiać Godivę od tyłu, szturchając ją w podogonie. Mężczyźni wsparli go okrzykami, gdy zwierzę zwinęło się rycząc, przytrzymywane jednak rzemieniem, którym uwiązana była za tylną łapę.

— Drugie oko! — wrzasnął ktoś z głębi tłumu. — Wykol jej drugie oko!

Niedźwiedzica znowu się dźwignęła i chwiejnie stanęła na tylnych łapach. Zdrowe oko spojrzało na nich z wyzwaniem, ale i ze spokojną rozważą, i Rob przypomniał sobie kobietę, która przyszła do niego w Northampton wyniszczona chorobą. Pijany celował ostrym końcem piki w wielki łeb, gdy Rob podbiegł i wyrwał mu broń z rąk.

— Uważaj, diabelny głupcze! — krzyknął ostro Balwierz i rzucił się w jego stronę.

— Biedna Godiva — powiedział Rob. Opuścił niżej pikę, wbił ją głęboko w poszarpaną pierś zwierzęcia i niemal natychmiast z wykrzywionego pyska wypłynęła strużka krwi.

Przez tłum przetoczył się dźwięk przypominający warczenie, podobny do tego, jaki wydawały psy, gdy osaczały niedźwiedzicę.

— Rozum mu odjęło, zaraz się nim zajmujemy! — pospiesznie zawołał Balwierz.

Rob nie stawiał oporu, gdy Balwierz z Watem wypchnęli go z areny i dalej, poza krąg światła.

— A cóż ty za głupca sobie znalazł na pomocnika? — zapytał rozwścieczony Wat.

— Przyznaję, że nie wiem. — Oddech Balwierza brzmiał niczym sapanie miechów. Ostatnio ciężko oddycha, pomyślał Rob.

W kręgu pochodni starosta ogłaszał uspokajająco, że czeka jeszcze na szczucie silny borsuk, tak że narzekania przeszły w urywane okrzyki radości.

Rob odszedł, gdy Balwierz prosił Wata o wybaczenie.

Siedział w pobliżu wozu przy ognisku, kiedy ciężkim krokiem nadszedł Balwierz. Mistrz

otworzył flaszkę trunku i wypił połowę. Potem bezwładnie opadł na swoje posłanie po drugiej stronie ogniska i przyjrzał się Robowi.

— Jesteś kiep — powiedział. Rob się uśmiechnął.

— Gdyby nie to, że zakłady były już rozstrzygnięte, dobraliby się do ciebie i nie mógłbym mieć im tego za złe.

Rob dotknął niedźwiedziej skóry, na której sypiał. Włos bardzo się już wytarł i niedługo trzeba będzie ją wyrzucić, pomyślał głaszcząc skórę.

— No to dobrej nocy, panie Balwierz — powiedział.

## Broń

Balwierz nawet nie myślał, że pomiędzy nim a Robem może przyjść do niezgody. Ukończywszy siedemnaście lat jego dawny terminator był nadal takim samym jak dotąd wyrostkiem, pracowitym, miłym i zgodnym. Tyle że się targował jak przekupka.

Pod koniec pierwszego roku pracy poprosił dla siebie o udział w zysku w wysokości jednej dwunastej zamiast jednej dwudziestej. Balwierz pogderał, w końcu jednak się zgodził, gdyż Rob na pewno zasługiwał na więcej.

Balwierz zauważył, że chłopak prawie nie wydaje swoich zarobków, zbierał bowiem pieniądze na kupno broni. Pierwszego zimowego wieczora w gospodzie w Exmouth jakiś ogrodnik próbował sprzedać Robowi sztylet.

— Co wy na to? — zapytał Rob podając go Balwierzowi.

— Ostrze jest z brązu, złamie się. Trzonek może i dobry, ale ta jaskrawa farba może ukrywać wady.

Rob zwrócił tandetną broń.

Kiedy na wiosnę wyruszyli wzdłuż wybrzeża. Rob szukał w portach Hiszpanów, najlepsza bowiem stalowa broń pochodziła z Hiszpanii. Skręcili jednak w głąb lądu, zanim udało mu się coś kupić.

Czerwiec zastał ich w Northumberlandzie. W Blyth, miejscowości, której nazwa oznacza radość, spotkało ich coś przeciwnego: pewnego ranka obudzili się i ujrzeni martwego Incitatusa leżącego na ziemi. Rob stojąc nad nim z żalem patrzył na zdechłego konia. Balwierz zaś dawał wyraz swym uczuciom klnąc.

— Może to z jakiejś choroby? — snuł domysły Rob.

Balwierz wzruszył ramionami.

— Wczoraj nic tego nie zapowiadało. Był po prostu stary. Kupiłem go dawno temu, a już wtedy miał ładnych parę lat.

Rob pół dnia poświęcił na wykopanie wielkiego dołu, ponieważ nie chcieli, by Incitatusa rozszarpały psy i kruki. Kiedy on zajmował się pochówkiem konia, Balwierz wybrał się na poszukiwanie następcy. Zajęło mu to cały dzień i kosztowało drogo, lecz koń był dla nich sprawą najważniejszą. Kupił w końcu kasztanowatą kobyłkę ze strzałką na czole, trzyletnią, a więc jeszcze nie w pełni wyrosniętą.

— Jej też damy na imię Incitatus? — zapytał. Rob jednak pokręcił głową. Wobec tego nazywali ją po prostu Kobyłą.

Miała miękki chód, ale zaraz pierwszego ranka zgubiła podkowę, wrócili więc do Blyth po nową.

Kowal nazywał się Durman Moulton i zastali go przy wykańczaniu miecza, na którego widok oczy im rozblęły.

— Ile? — zapytał Rob, zbyt ochoczo jak na wyobrażenia Balwierza o zasadach targowania ceny.

— Już sprzedany — powiedział rzemieślnik, lecz pozwolił im wziąć broń do ręki i sprawdzić, jaki jest wyważony. Był to szeroki miecz angielski, bez żadnych ozdób, ostry, pewny i pięknej roboty. Gdyby Balwierz był młodszy i nie tak mądry, kusiłoby go, by podkupić kowala.

— Ile byście chcieli za dokładnie taki sam i sztylet do pary?

— zagadnął Rob i kowal wymienił kwotę przewyższającą jego roczne zarobki.

— I połowę musicie zapłacić zaraz, jeżeli zamówicie — zastrzegł Moulton.

Rob poszedł do wozu i wrócił z mieszkim, z którego natychmiast wypłacił pieniądze.

— Wrócimy w ciągu roku odebrać broń i dopłacimy różnicę

— powiedział, a kowal kiwnął głową i zapewnił, że miecz i sztylet będą gotowe.

Pomimo straty Incitatusa rok mieli pomyślny, lecz kiedy zbliżał się do końca. Rob zażądał jednej szóstej zysków.

— Jedna szósta moich dochodów! Szczeniakowi, co nie ma nawet osiemnastu lat? — Balwierz rozsierdził się nie na żarty, ale Rob spokojnie przyjął jego wybuch, nic więcej nie mówiąc.

Termin wygaśnięcia ich rocznej umowy nadciągał nieubłaganie i teraz kłopot miał Balwierz, w pełni świadom, jak dalece poprawiła się jego sytuacja dzięki terminatorowi. We wsi Sempringham usłyszał, jak jedna z chorych szepcze znajomej:

— Stań w kolejce do młodego balwierza, podobno za zasłoną kładzie ręce na chorych. Mówią, że jego dotknięcie leczy.

Mówią, że sprzedaje nic nie wartą driakiew, przypomniał sobie kwaśno Balwierz. Nie martwiło go, że przed zasłoną młodego ustawiają się dłuższe kolejki. Ba, dla pracodawcy Rob był żyłą złota, toteż przełamał się wreszcie i zaproponował:

— Jedna ósma dla ciebie.

Choć niechętnie, ustąpiłby do jednej szóstej, lecz ku jego uldze Rob kiwnął głową i powiedział:

— Jedna ósma to godziwa część zysku.

Staruch narodził się w głowie Balwierza. Zawsze starając się urozmaicić występy, wymyślił starego rozpustnika, który wypija driakiew, po czym ugania się za każdą spotkaną kobietą.

— I ty musisz go zagrać — oświadczył Robowi.

— Jestem za wysoki. I za młody.

— Nie. Zagrasz go — uparł się Balwierz. — Ja jestem taki gruby, że każdy mnie rozpozna, wystarczy spojrzeć.

Obaj długo przyglądali się starcom, studiowali, jak się poruszają stękając, jak się ubierają, podsłuchiwali ich rozmowy.

— Wyobraź sobie, jak to musi być, gdy człowiek czuje, że życie z niego uchodzi — powiedział Balwierz. — Tobie na razie się zdaje, że przy kobiecie zawsze ci będzie twardniał. Ale pomyśl, że jak się zestarzejesz, nie będziesz do tego zdolny.

Sporządzili siwą perukę i siwe wąsy. Nie byli w stanie zrobić staruchowi zmarszczek, lecz szminkami tak pomalowali Robowi twarz, żeby wyglądała jak stara wysuszona skóra, ogorzała przez długie lata przebywania na słońcu i wietrze. Rob nauczył się garbić i kuśtykać pociągając prawą nogą, a mówił cieńszym, drżącym głosem, jakby wiecznie czegoś się bał.

Staruch, ubrany w wytarty kaftan, pierwszy raz wystąpił w Tadcaster, gdy Balwierz zachwalał odrodzeńcze działanie dria-kwi. Włokąc się z wysiłkiem, przydreptał do ławy i kupił flaszkę.

— Pewnikiem stary głupiec ze mnie i to tylko strata pieniędzy — oznajmił skrzeczącym głosem. Z pewnym trudem otworzywszy flaszeczkę, wypił duszkiem cały lek, ślimaczym krokiem cofnął się i stanął przy pouczonej już, co ma robić, i opłaconej dziewczce z gospody.

— O, ładna jesteś — westchnął, a dziewczyna prędko odwróciła wzrok, jakby zmieszana. — Zrobisz mi przysługę, milutka?

— Jeżeli potrafię...

— Przyłóż mi tylko rękę do twarzy. Miękką, ciepłą rączkę do policzka starego. Aach — westchnął, gdy nieśmiało spełniła jego prośbę, po czym przymknął oczy i ucałował jej palce. W tłumie rozległy się chichoty.

Za chwilę szeroko otworzył oczy.

— Na świętego Antoniego! — westchnął. — Och, to nadzwyczajne!

Pokuśtykał z powrotem do ławy, jak tylko mógł najszybciej.

— Dajcie jeszcze jedną — poprosił Balwierza i znów opróżnił całą flaszkę. Tym razem gdy wrócił do dziewczyny, odsunęła się, on zaś ruszył za nią.

— Oj, panie, nie godzi się wam tego mówić! — Odsunęła się znowu, a kiedy ruszył za nią, zebrani zaśmiewali się już do rozpuku.

Gdy pięć minut później staruch pokuśtykał prowadząc dziewczynę pod rękę, tłum ryknął z aprobatą, a następnie wciąż się śmiejąc, natarł na Balwierza z pensami w ręku.

Niebawem przestali opłacać kobietę, by wystąpiła ze staruchem, Rob bowiem szybko się nauczył wykorzystywać kobiety z tłumu. Potrafił wyczuć, która z kumoszek jest oburzona i należy zostawić ją w spokoju, a która, odważniejsza, nie poczyna sobie za ujmę sprośnego komplementu, a nawet ukradkowego uszczypięcia.

Pewnego wieczoru w Lichfield wszedł w przebraniu starucha do gospody i z łatwością do łez rozśmieszył pijących swymi miłosnymi wspomnieniami.

— Bałamut ci był ze mnie ongi!... Dobrze pamiętam, jakem wyobracał taką jedną pulchniutką pięknotkę... włosy jak czarne runo, cyce, że tylko doić. Kosy jak ciemny puch łabędzi. A za ścianą surowy ojciec, dwakroć młodszy ode mnie, spokojnie sobie spał niczego nie świadomy.

— A ile mieliście wtedy lat, dziadku?

Rob ostrożnie wyprostował przygięty reumatyzmem grzbiet.

— Trzy dni młodszy niż dziś — odpowiedział suchym, schrypniętym głosem.

Przez cały wieczór naiwni słuchacze się kłócili, kto mu postawi kolejkę.

Tej nocy w powrotnej drodze do domu Balwierz po raz pierwszy podpierał swego pomocnika, zamiast korzystać z jego wsparcia.

Balwierz szukał ucieczki w jedzeniu. Wbijał na rożen kapłony i szpikował kaczkę, zajadając się drobiem. W Worcester trafił na ubój pary wołów i kupił ich ozory.

To była uczta! Nim obdarł wielkie ozory ze skóry, krótko je obgotował, potem obsmażył z cebulą, dzikim czosnkiem i rzepą, polewając tymiankowym miodem i tłuszczem ze słoniny, aż z wierzchu się pokryły chrupkim lukrem, a w środku tak miękkie, że mięso rozpląwało się w ustach.

Rob ledwie spróbował wspaniałego dania, śpieszył się bowiem do gospody, w której mógłby zagrać starego błazna. W każdej nowej miejscowości w gospodach nieustannie mu stawiano. Balwierz wiedział, że Rob najbardziej lubi piwo, ale teraz z niepokojem zauważył, że przyjmuje w poczęstunku miód, piment i morat cokolwiek mu się zaproponuje.

Ostrożnie czekał, czy się nie okaże, że to picie naraża go na straty. Zdawało się jednak, że Rob choćby w przeddzień wieczorem nie wiedzieć jak wymiotował z przepicia, wypełnia swoje obowiązki tak jak przedtem z jednym tylko małym wyjątkiem.

— Widzę, że już nie bierzesz ludzi za ręce, jak wchodzi za twoją zasłonę — zauważył Balwierz.

— Ani wy tego nie robicie.

— To nie ja mam ten dar.

— Dar! Zawszeście mówili, że nie mam żadnego daru.

— A teraz myślę, że go masz — powiedział Balwierz. — Myślę, że picie go osłabia, że

od regularnego pijaństwa dar wycieka z ciebie.

— Przecież to był nasz wymysł, samiście powiedzieli.

— Posłuchaj uważnie. Czy odbiegł cię ten dar, czy nie, masz brać za ręce każdego, kto wchodzi za twoją zasłonę, bo widać, że ludziska to lubią. Zrozumiano?

Rob ponuro kiwnął głową.

Nazajutrz rano spotkali na leśnym trakcie ptasznika. Niósł długi, rozszczepiony na końcu kij z przynętą z kulek ciasta oblepionych ziarnem. Gdy ptaki się zlatywały i dziobały przynętę, on pociągając za sznurek chwycił je za nogi w widelki kija, a tak zręcznie się posługiwał tym narzędziem, że u pasa miał mnóstwo małych białawych siewek. Balwierz kupił je wszystkie. Siewki uchodziły za taki przysmak, że pieczono je bez patroszenia, lecz Balwierz był na to za wybredny. Oczyszczył i przyprawił z osobna każdego ptaszka i przyrządził znakomite śniadanie, tak że nawet Rob się rozpogodził.

W Great Berkhamstead dali przedstawienie dla dużej widowni i sprzedali sporo leku. Tego dnia wieczorem Balwierz z Robem poszli do gospody razem, by zawrzeć pokój. Przez część wieczoru wszystko szło dobrze, lecz pili mocny morat z lekka zatracający goryczką jagód morwy i Balwierz widząc, jak Rob rozpała się od trunku, zaczął się zastanawiać, czy i jego twarz tak samo nie poczerwieniała.

Wkrótce Rob, szukając zaczepki, zwymyślał jakiegoś zwalistego, krzepkiego drwala. W jednej chwili rzucili się na siebie, jak gdyby chcieli się rozszarpać. Byli równego wzrostu i walczyli zajadle, nie żartując, jakby szła ich ogarnał. Oszołomieni moratem zwarli się i okładali z całych sił, zadając ciosy pięściami, kolanami i stopami, a uderzenia i kopniaki dudniły niczym walenie młotem w dąb.

Na koniec wyczerpani pozwolili się rozdzielić małej grupce rozjemców i Balwierz wprowadził Roba.

— Pijany dureń!

— I kto to mówi — odparował Rob. Trzęsąc się ze złości Balwierz usiadł i spojrzał na swego pomocnika.

— To prawda, może też jestem pijanym durniem — przyznał — ale zawsze umiałem unikać kłopotów. Nigdy nie sprzedawałem trucizn. Nie mam nic wspólnego z magią, nie kuszę złego ducha. Ja tylko kupuję duże ilości trunku i daję przedstawienia, na których mogę z dobrym zyskiem sprzedać swoją driakiew. Przy takim życiu trzeba się starać, żeby nie zwracać na siebie uwagi. A zatem musisz skończyć z tą głupotą i panować nad rękami.

Zmierzyli się wściekłym spojrzeniem. Rob jednak posłusznie skinął głową.

Od tego dnia wszystko wskazywało na to, że stosuje się do polecenia Balwierza, choć niemal wbrew swojej woli.

Posuwali się na południe, ścigając wędrowne ptaki z nadchodzącą jesienią. Balwierz wolał ominąć jarmark salisburski nie chcąc rozjrzeć starych ran Roba, próżne jednak były jego starania, bo kiedy zamiast w Salisbury stanęli obozem w Win-131

chester, Rob wieczorem wrócił do ogniska na niepewnych nogach. Jego twarz wyglądała jak siekane mięso, widać było, że wdał się w jakąś burdę.

— Jakeśmy przejeżdżali rano obok opactwa, tyś powoził

i nie zatrzymałeś się, żeby zapytać o ojca Ranalda Lovella i brata.

— To na nic. Gdziekolwiek pytam, nikt o nich nic nie wie. Rob przestał też mówić o odszukaniu swojej siostry, Annę Mary, czy Jonathana i Rogera, brata, którego ostatni raz oglądał niemowlęciem. Postawił na nich krzyżyk i teraz stara się zapomnieć, wytłumaczył sobie Balwierz, z trudem próbując to zrozumieć. Rob jakby zmienił się w niedźwiedzia i w każdej gospodzie wystawiał sam siebie na szczucie. Nikczemność rozrastała się w nim jak chwast. Przyjmował razy w pijackich bójkach niby lekarstwo na ból, jaki sprawiała mu myśl

o braciach i siostrze.

Balwierz nie umiał rozstrzygnąć, czy pogodzenie się Roba z utratą rodzeństwa jest rzeczą zdrową czy nie.

Była to najprzykrzejsza z zim, jakie spędzili w domku w Exmouth. Z początku chodzili do karczmy razem. Zazwyczaj pili i rozmawiali z miejscowymi, potem szukali kobiet i zabierali je do siebie. Balwierz jednak nie mógł dorównać nie słabnącym chętkom młodego towarzysza ani, ku własnemu zdumieniu, tego nie pragnął. Teraz to on niejedną noc przeleżał przyglądając się ceniom, nasłuchując i nie mogąc się doczekać, kiedy, na litość boską, skończą, umilkną i zasną.

Tego roku wcale nie było śniegu, za to nieustannie padał deszcz. Jego ciągły szum i pluskanie wkrótce stały się dokuczliwe i przygnębiające. Trzeciego dnia w tygodniu, w którym wypadło Boże Narodzenie, Rob wrócił do domu wściekły.

— Niech diabli tego karczmarza! Zabronił mi wstępu do karczmy.

— I pewno bez powodu?

— Za bójkę — mruknął krzywiąc się Rob. Teraz spędzał więcej czasu w domu, częściej jednak niż dotychczas miewał napady złego humoru, podobnie jak Balwierz. Skończyły się ich długie, przyjazne pogawędki. Balwierz na ogół pił, co było jego zwykłą reakcją na tę ponurą porę roku. Jeżeli mógł, naśladował zwierzęta przesypiające zimę, kiedy zaś nie spał, leżał niczym wielki głaz w zapadającym się łożu, czując, jak własne ciało ciągnie go do ziemi, i nasłuchując swego oddechu, dobywającego się ze świstem i chrapliwie. Zdarzało mu się kiepsko wróżyć niejednemu choremu, którego oddech brzmiał lepiej niż to, co słyszał u siebie.

Wystraszony tymi myślami raz na dzień wstawał z łóżka i przyrządzał obfity posiłek, w tłustych mięsach szukając lekarstwa na niepokój i złe przeczucia. Trzymał zwykle przy łóżku otwartą flaszkę i talerz pieczonego jagnięcia zakrzepłego w tłuszczu. Rob nadal sprzątał dom, gdy przyszła mu na to ochota, ale w lutym śmierdziało już u nich jak w lisiej norze.

Niecierpliwie powitali wiosnę i w marcu spakowali wóz. Wyjechali z Exmouth kierując się przez równinę Salisbury i niżej położone urwiska, gdzie ubabrani niewolnicy przekopywali się przez wapień i kredę wydzierając ziemi żelazo i cynę. Nie zatrzymywali się w obozach niewolników, w nich bowiem nie mogli liczyć ani na pół pensa zarobku. To Balwierz wpadł na pomysł, by jechać pograniczem Walii aż do Shrewsbury, odnaleźć rzekę Trent i z jej biegiem podążać na północny wschód. Zatrzymywali się we wszystkich znajomych już wsiach i miasteczkach. Człapanie Kobyły w niczym nie przypominało werwy, z jaką potrafił paradować Incitatus, ładnie się jednak prezentowała, gdy wpletli jej w grzywę mnóstwo wstążek. Ogólnie biorąc wiodło im się znakomicie.

W Hope-Under-Dinmore znaleźli rymarza o zręcznych palcach i Rob kupił dwie pochwy z miękkiej skóry na broń, którą miał obiecaną. W Blyth natychmiast pośpieszyli do kuźni. Kowal udał się w głąb warsztatu, do półki, i wrócił z dwoma zawiniątkami z miękkiej skóry.

Rob rozwinął je niecierpliwie i zaparło mu dech w piersi.

Szeroki miecz wydawał się jeszcze lepszy od tego, który tak podziwiali w zeszłym roku. Równie pięknie wykuty był sztylet. Gdy Rob się zachwycał mieczem, Balwierz wziął do ręki sztylet, czując, jak jest znakomicie wyważony.

— Czysta robota — pochwalił Moultona, który przyjął pochwałę jako coś naturalnego.

Rob wsunął oba ostrza do pochew u pasa, zapoznając się z ich nie znanym dotąd ciężarem. Dotknął rękojeści, a Balwierz nie mógł się powstrzymać, by mu się nie przyjrzeć.

Prezentował się pięknie. W wieku lat osiemnastu osiągnął wzrost dorosłego mężczyzny, o dwie piędzi przerósłszy Balwierza. Był szczupły, szeroki w barach, miał kędzierzawe brązowe włosy, szeroko rozstawione niebieskie oczy zmieniające wyraz szybciej niż morze,



grube kości i kwadratową, gładko wygoloną szczękę. Wysunął do połowy z pochwy swój miecz na znak, że się urodził wolnym człowiekiem, i wsunął z powrotem. Przyglądającego się Balwierza przeszył dreszcz dumy i obezwładniające przecucie czegoś, czego nie potrafił nazwać. Może nie byłoby błędem, gdyby to nazwał lękiem.

## Nowa ugoda

Kiedy Rob pierwszy raz wszedł do gospody uzbrojony — a stało się to w Beverly — natychmiast odczuł różnicę. Nie żeby zebrani okazali mu większy respekt, ale zachowywali się wobec niego ostrożniej, z większą czujnością. Balwierz wciąż mu powtarzał, że i on musi być rozważniejszy, jako że Kościół, Święta Matka, zalicza gniew do siedmiu grzechów głównych.

Znudziło mu się słuchać, co by to było, gdyby go ludzie szeryfa zawlekli przed sąd kościelny, lecz Balwierz nie przestawał opowiadać o sądach Bożych, w których oskarżeni muszą dowieść swej niewinności poddając się próbie przez branie w ręce

gorących kamieni lub rozpalonego do białości żelaza bądź przez wypicie wrzątku.

— Dowiedzione morderstwo to stryżek albo topór — mówił surowo Balwierz. — Często też przewłóczą zabójcy rzemienie przez ścięgna stóp i uwiązują do ogonów rozwścieczonych byków. A byki szczują psami gończymi, póki nie padną.

Chryste litościwy, myślał Rob, Balwierz jest jak stara baba, nawet wygląda, jakby miał zemdleć. Czyżby przypuszczał, że się wybieram urządzać jakiś pogrom?

W Fulford stwierdził, że zgubił swoją rzymską monetę, z którą się nie rozstawał od czasu, gdy robocza drużyna ojca wyłowiła ją z Tamizy. W najczarniejszym nastroju pił tak długo, aż z łatwością dał się sprowokować jakimś ospowatemu Szkotowi, który potracił go w łokieć i zamiast przeprosić, burknął po galicku coś złośliwego.

— Mów po angielsku, nędzny karle — warknął Rob, gdyż Szkot, aczkolwiek silnej budowy, był od niego o dwie głowy niższy.

Może jednak ostrzeżenia Balwierza utkwily mu w głowie, bo miał dość rozumu, by odpiąć pochwy z bronią. Szkot nie dorównywał mu wzrostem, ale Roba z miejsca zaskoczyła niewiarygodna zwinność jego rąk i nóg. Pierwsze kopnięcie strzaskało Robowi żebro, zaraz potem twarda jak kamień pięść z przykrym trzaskiem i powodując jeszcze przykrzejszy ból złamała mu nos.

Rob jęknął.

— Ty psu bracie!... — sapał i spróbował zaczerpnąć sił z bólu i wściekłości. Ledwie zdołał utrzymać się w tej bójce na nogach, dopóki Szkot nie zmachał się na tyle, że obaj mogli się wycofać.

Rob pokuśtykał do obozu czując się i wyglądając, jakby go napadła i bezlitośnie obila banda wielkoludów.

Balwierz nie był zbyt delikatny, gdy z chrupnięciem chrząstki zestawiał złamany nos. Przemysł alkoholem zadrapania i sińce, lecz jego słowa zapiekły boleśniej niż alkohol.

— Jesteś na rozdrożu — powiedział. — Wyuczyłeś się zawodu. Masz bystry umysł i nie widzę przeszkód, dla których nie mógłbyś z niego korzystać, chyba że przeszkodą będzie twój charakter. Jeśli nie zawrócisz z tej drogi, szybko skończysz jako niepoprawny pijak.

— Ogłoszony pijakiem przez kogoś, kto sam się zapija na śmierć — odgryzł się z pogardą Rob. Jęknął dotykając spuchniętych i krwawiących warg.

— Wątpię, czy tyle Dożyjesz, by zdechnąć z przepicia — odpowiedział Balwierz.

Rob szukał wszędzie, ale rzymskiej monety nie odnalazł. Jedynym łączącym go z dzieciństwem ogniwiem, jakie mu jeszcze pozostało, był grot strzały otrzymany niegdyś od ojca. Rob wywiercił w krzemieniu otwór i nosił grot zawieszony na szyi na krótkim rzemyku z jeleniej skóry.

Teraz wszyscy starali się schodzić mu z drogi, prócz wzrostu bowiem i groźnego uzbrojenia odznaczał się jeszcze czerwonosinym krzywym nosem w twarzy całej w sińcach w różnym stadium żółknięcia. Może Balwierz zbyt był wściekły przy nastawianiu nosa, aby wykonać ten zabieg najlepiej, jak potrafił, w każdym razie nos miał już taki krzywy pozostać.

Przez wiele tygodni źebro sprawiało mu ból przy oddychaniu. Był przygnębiony w czasie całego objazdu przez Northumbrię do Westmoreland i z powrotem do Northumbrii. Nie oddalał się od wozu i ogniska. Ilekroć rozbijali obóz z dala od ludzkich sadyb, brał się do próbowania leku, aż zasmakował w meteglinie. Pewnego wieczoru jednak, gdy już porządnie popił ze wspólnych zapasów, przyłapał się na tym, że otwiera flaszkę z wydrapaną na szyjce literą „B”. Zawierała specjalną mieszankę trunku ze szczynami, mściwy poczęstunek dla ludzi, którzy się narazili Balwierzowi. Wstrząsnął się i odrzucił flaszkę. Od tej chwili kupował trunki tam, gdzie się zatrzymywali, i chował je przezornie w kącie wozu.

W Newcastle zagrał starucha, sztuczną brodą zakrywając sińce. Udało im się ściągnąć spory tłum i sprzedali dużo specyfiku. Po występach Rob wszedł za wóz zdjąć przebranie, ustawić zasłonę i przystąpić do badania chorych. Balwierz już tam był — sprzeczał się z jakimś wysokim, kościstym mężczyzną.

— Jadę z wami od Durham, tam was oglądałem — mówił nieznajomy. — Gdzie przyjedziecie, ściągacie tłumy. Właśnie tłumy potrzebuję. Dogadajmy się: będziemy wędrować razem i dzielić się zarobkiem.

Jakież wy macie zarobek? — zapytał Balwierz. Mężczyzna się uśmiechnął.

— Mam, ja ciężko pracuję.

— Jesteś złodziej i rzeźmieszek, któregoś dnia cię złapią z ręką w cudzej kieszeni i taki będzie twój koniec. Nie pracuję z takimi jak ty.

— Może nie od ciebie to zależy.

— Od niego — powiedział Rob. Mężczyzna ledwie raczy] na niego spojrzeć.

— Milcz, dziadku, i nie narażaj się takim, co cię mogą skrzywdzić.

Rob podszedł do złodzieja, który szeroko otworzył oczy ze zdumienia, szybkim ruchem wy dobył z zanadru długi wąski nóż i wykonał nim nieznaczny ruch, kierując ostrze w dół. Wtedy piękny sztylet Roba jakby sam wyskoczył z pochwy i wbił się w ramię złodzieja. Rob niespecjalnie się starał, ale cios musiał być mocny, gdyż poczuł, że ostrze zgrzytnęło o kość. Gdy wyciągnął je z ciała, natychmiast w tym miejscu trysnęła krew. Zdumiał się, że taki silny krwotok tak szybko wystąpił u bardzo przecież chudego człowieka.

Złodziejaszek cofnął się ściskając zranioną rękę.

— Wróć—rzekł Balwierz — opatrzmy ci to. Nie zrobimy ci krzywdy.

Jednakże złodziej już się wycofał za wóz i po chwili zniknął.

— Tak silne krwawienie na pewno ktoś zauważy. Jeżeli w mieście kręcą się ludzie szeryfa, schwytają go, a on z łatwością może ich doprowadzić do nas. Musimy zaraz wyjeżdżać

— oświadczył Balwierz.

Uciekli tak samo jak wtedy, kiedy się obawiali śmierci któregoś z chorych, nie zwlekając i nie zatrzymując się, dopóki nie byli pewni, że ich nikt nie ściga. Wreszcie stanęli na popas, Rob rozpałił ognisko, usiadł przy nim wciąż jeszcze w przebraniu starucha i nazbyt zmęczony, by zmienić odzienie, zjadł zimną rzepę z poprzedniego dnia.

— Dwóch nas było — zauważył z niesmakiem Balwierz

— mogliśmy go przepędzić.

— Potrzebował nauczki. Balwierz spojrział mu w twarz.

— Stałeś się zagrożeniem — powiedział.

Rob obruszył się na tę niesprawiedliwość, stanął bowiem w obronie Balwierza. Poczul, że wzbiera w nim nowy gniew i odnawia się stara uraza.

— Wyście nigdy dla mnie nie ryzykowali... Nawet na siebie już nie potraficie zarobić... Ja was utrzymuję. Więcej wam przynoszę pieniędzy, niżby ten złodziej zdołał ukraść.

— Zagrożeniem i ciężarem — ze znużeniem w głosie dodał Balwierz i odwrócił się od niego.

Znaleźli się w najdalej na północ

wysuniętym odgałęzieniu swojej trasy. Zatrzymywali się teraz w pogranicznych wsiach, których mieszkańcy nie wiedzieli dokładnie, czy są Anglikami, czy Szkotami. Występując razem przed widownią, Rob i Balwierz żartowali i pracowali w pozorowanej harmonii, po zejściu jednak z ławy zapadało między nimi chłodne milczenie. Ilekroć próbowali rozmowy, wkrótce się przeradzała w kłótnię.

Minęły już czasy, kiedy Balwierz ośmielał się podnieść na Roba rękę, ale gdy sobie podpił, nadal używał plugawych i obraźliwych słów bez najmniejszej ostrożności.

Pewnej nocy w Lancaster, gdy rozbili obóz nad sadzawką, nad którą jak błądy dym unosiła się przeświecona księżycem mgiełka, napadła na nich chmara małych jak muszki komarów, poszukali więc ucieczki w picu.

— Gburem był i wielkim nieokrzesanym gburem pozostał. Jaśnie oświecona Kupa Gnoju — wymamrotał w końcu Balwierz, a Rob westchnął. — Wziąłem gówniarza jako sierotę... zrobiłem z niego człowieka... beze mnie byłby mniej niż niczym.

Któregoś dnia, już niedługo, postanowił Rob, zacząć pracować samodzielnie jako balwierz. Od dawna już dochodził do wniosku, że jego i Balwierza drogi muszą się rozejść. Trafił ostatnio na kupca ze składem pełnym kwaśnego wina, którego kupił dużą ilość, teraz pił, by zagłuszyć ten natrętny głos. Głos jednak nie cichł.

— ...z łapami jak łopaty i tępy na umyśle. Ilem się napracowałem, żeby go nauczyć żonglerki!

Rob wsunął się do wozu, by dolać sobie wina, ale straszny głos doścignął go i tam.

— Przynieś zaraz i mnie.

Już miał zamiar odpowiedzieć: „Sam sobie przynieś, grubasie”, lecz pchnięty nieodpartym impulsem wsunął się w głąb wozu, gdzie trzymali specyfiki dla specjalnych klientów, zbliżył jedną z flaszek do oczu, by sprawdzić, czy jest na niej zadrapanie odróżniające ją od innych, po czym wylazł z wozu, otworzył gliniane naczynie i podał je grubasowi. To niegodziwe, pomyślał ze strachem. Ale nie bardziej niegodziwe niż sam Balwierz pojący tym specjałem tylu ludzi przez tak wiele lat. Zafascynowany przyglądał się, jak Balwierz ujmując flaszkę, odchyła głowę do tyłu, otwiera usta i przystawia szyjkę do ust.

Mógł się jeszcze wycofać. Niemal słyszał własny głos powstrzymujący Balwierza. Mógł powiedzieć, że flaszką ma utraconą szyjkę, i z łatwością zastąpiłby ją normalną, z czystym meteglinem.

Ale zmilczał.

Szyjka dotknęła ust Balwierza. Pij, mściwie ponaglił go Rob. Poruszyła się krtań w mięsistej szyi — Balwierz pił. Potem odrzucił opróżnioną flaszkę i zasnął.

Dlaczego nie czuł zadowolenia? Rozmyślał o tym przez całą długą bezsenność.

Na trzeźwo Balwierz miał w sobie dwie natury: człowieka uprzejmego i dobrodusznego oraz niemal nikczemnika, jak wtedy, gdy bez wahania częstował kogoś specjalną nalewką.

Kiedy pił, także wychodził z niego nikczemnik. W nagłym olśnieniu, niczym w blasku błyskawicy przecinającej ciemne niebo, Rob ujrzał, że przeistacza się w tego gorszego Balwierza. Zadrzał i w poczuciu strasznego opuszczenia przysunął się bliżej ogniska.

Nazajutrz wstał o pierwszym świcie, odszukał wyrzuconą flaszkę zaznaczoną zadrapaniem i ukrył ją w lesie. Potem rozpalili ognisko i zanim Balwierz ocknął się ze snu, czekało nań obfite śniadanie.

— Nie byłem sobą — powiedział Rob, gdy Balwierz już zjadł. Zawahał się i wydusił z siebie więcej: Wybaczcie mi, proszę, i odpuśćcie.

Balwierz skinął tylko głową, gdyż ze zdumienia odebrało mu mowę.

Zaprzęgli Kobyłę i przez pół ranka jechali w milczeniu, Rob jedynie chwilami czuł na sobie zamyślane spojrzenie Balwierza, który w końcu przemówił.

— Długo o tym myślałem — powiedział. — W przyszłym roku musisz wyruszyć jako balwierz beze mnie.

W poczuciu winy, gdyż właśnie poprzedniego dnia sam doszedł do tego wniosku, Rob zaprotestował.

— To ten przeklęty trunek. Z obu nas robi okrutników. Musimy wyrzec się picia, a będzie między nami tak jak dotąd.

Balwierz wydał się poruszony, lecz pokręcił głową.

— Po części trunek, a po części to, że ty jesteś jak młody jelonek, co musi wypróbować swoje rogi, a ze mnie stary koń. Ba, stary, ociężały i dychawiczny — dodał sucho. — Muszę wyteżać wszystkie siły, żeby bodaj wyleźć na scenę, i z każdym dniem trudniej mi dociągnąć do końca występu. Najchętniej zostałbym na zawsze w Exmouth, cieszył się miłym latem i uprawiał kapustę w ogrodzie, nie mówiąc o radościach kuchni. Pod twoją nieobecność mógłbym przyrządzać zapasy driakwi. Będę też ponosił, jak dotąd, koszty utrzymania wozu i konia. Zatrzymasz zysk od każdego przyjętego chorego i od co piątej flaszki leku sprzedanego w pierwszym roku i co czwartej w każdym następnym.

— Od co piątej flaszki w pierwszym roku — sprostował odruchowo Rob — a potem od co drugiej.

— To za wiele jak na dziewiętnastolatka — orzekł surowo Balwierz, oczy mu jednak zabłysły. Przemyślmy to obaj — dodał — jesteśmy rozsądnymi ludźmi.

W końcu stanęło na zysku z co czwartej flaszki w pierwszym roku i co trzeciej w następnych latach. Umowa obejmowała pięć lat, po ich upływie mieli ocenić jej wady i zalety.

Balwierz triumfował, a Rob nie dowierzał własnemu sukcesowi, gdyż jak na człowieka tak młodego byłyby to zarobki niemałe. Posuwali się na południe przez Northumbrię w jak najlepszym nastroju, odnowiwszy przyjaźń i koleżeństwo. W Leeds spędzili po pracy kilka godzin na zakupach. Balwierz nie szczędził wydatków, twierdząc, że musi ugotować obiad godny nowej umowy.

Z Leeds wyjechali traktem biegnącym samym brzegiem rzeki Aire, w cieniu ciągnących się milami prastarych drzew, które strzelały w górę nad gęstwiną zielonych krzewin i niższych zarośli, nad porośniętymi wrzosem polankami. Wcześniej stanęli obozem wśród kęp olch i wierzb, gdzie rzeka rozlewała się szerzej, i Rob dobrych kilka godzin pomagał Balwierzowi przyrządzić wielki pasztet z siekanego mięsa jeleniej giczy, wołowej połównicy, tłustego kapłona i parki gołębic, sześciu gotowanych jaj i pół funta tłuszczu, które zawinęli w grube i puszyste ciasto lśniące od oliwy.

Posilali się długo i Balwierz nie spoczął, póki się nie dobrał do meteglinu, gdy pasztet wzmógł jego pragnienie. Pamiętając o swym niedawnym przyrzeczeniu, Rob pił tylko wodę i patrzył, jak twarz Balwierza czerwienieje, a oczy stają się zawzięte. Wkrótce kazał Robowi przynieść z wozu dwie skrzynki flaszek z driakwią i ustawić je w pobliżu, by mógł się do woli częstować. Rob spełnił polecenie, niespokojnie się przyglądając, jak Balwierz pije. Wkrótce usłyszał wyrzekania na warunki umowy, nim jednak doszło do kłótni, Balwierz zmorzył pijacki sen.

Rankiem, gdy dzień wstał jasny, słoneczny i pełen śpiewu ptaków, Balwierz usiadł na legowisku blady i kłótlivy. Zdawało się, że nie pamięta swoich zaczepek z zeszłego wieczora.

- Chodźmy na pstrągi - powiedział. - Chętnie bym na śniadanie zjadł kruchą rybkę, a Aire wygląda obiecująco. - Ale gdy wstał, jął narzekać na zimnicę w lewym ramieniu. - Załaduję wóz - oznajmił - praca potrafi rozruszać bolące stawy.

Odniosł do wozu jedną ze skrzynek z meteglinem, wrócił i dźwignął drugą. Był w połowie drogi do wozu, kiedy z łomotem i brzękiem ją upuścił. Na twarz wypełził mu wyraz zaskoczenia. Przyłożył rękę do piersi i skrzywił się. Rob spostrzegł, że się zgiął od bólu.

- Robercie...-powiedział uprzejmie. Rob po raz pierwszy usłyszał pełne swoje imię z ust Balwierza, który postąpił krok w jego kierunku, rozkładając ramiona.

Zanim jednak Rob do niego dopadł, Balwierz przestał oddychać. Potknął się i jak olbrzymie drzewo... nie, jak lawina, jak konająca góra z hukiem runął na ziemię.

## Requiescat

— Nie znałem go - oświadczył kwaśno ksiądz.

— Był moim przyjacielem.

— Ciebie też pierwszy raz widzę.

— No to już mnie znacie - zauważył Rob.

Kiedy Balwierz umarł, Rob wyładował rzeczy z wozu i schował je w kępie wierzb, by zrobić miejsce na jego ciało. Sześć godzin jechał, zanim dotarł do maleńkiej wsi Aire's Cross ze starym kościołem. A teraz ten duchowny o złych oczach podejrzliwie i niechętnie go wypytuje, jak gdyby Balwierz udawał śmierć i robił to wyłącznie po to, żeby jego narazić na fatygę.

Ksiądz prychnął z jawną dezaprobatą, kiedy w wyniku tego śledztwa dowiedział się, kim Balwierz był za życia.

— Medyk, chirurg czy balwierz, wszyscy oni kpią z oczywi stej prawdy, że tylko Trójca Święta i Święci Pańscy mają prawdziwą moc uzdrawiania.

Rob był wzburzony, nie usposobiony do wysłuchiwanie czegoś takiego. Dość, warknął w duchu. Poczł ciężar broni u pasa, ale Balwierz przecież doradzał mu cierpliwość. Uprzejmie, spokojnym tonem przemówił do księda i złożył ofiarę na kościół.

Na koniec ksiądz wysapał:

— Arcybiskup Wulfstan zabronił księżom przyjmować cu dzych parafian i brać od nich dziesięciny i opłaty.

— Mój przyjaciel nie był niczym parafianinem - powie dział Rob i w końcu ugodzili się o pogrzeb w poświęconej ziemi.

Na szczęście wziął ze sobą pełną kiesę. Pochówku nie mógł odkładać, ciało już bowiem było czuć. Miejscowy stolarz osłupiał ujrawszy, jak ogromną musi zbić trumnę, odpowiedniej wielkości musiał też być grób i Rob sam go wykopał w kącie cmentarza.

Myślał, że Aire's Cross wzięła nazwę od brodu na Aire, ksiądz jednak mu wyjaśnił, że wieś została tak nazwana od dużego dębowego krucyfiksu w kościele. Opleciona rozmarynem trumna Balwierza spoczęła przed ołtarzem u stóp tego olbrzymiego krzyża. Wypadło to przypadkiem w dniu świętego Kaliksta, toteż w kościele Świętego Krzyża nie zabrakło wiernych. Podczas Kyrie mała świątynka niemal się wypełniła.

— Kyrie elejson, Chryste elejson! -wyspiewywali przybyli na nabożeństwo.

W kościele były tylko dwa okienka. Zapach kadzidła walczył ze smrodem, ale trochę powietrza przenikało przez ściany z półokrągłaków i strzechę, tak że płomienie nad knotami z sitowia w kagankach chwiały się migotliwie. Światło gromnic walczyło z mrokiem wokół trumny. Całego Balwierza poza twarzą okrywał biały całun. Rob zamknął mu oczy, wyglądał więc, jakby spał albo był bardzo pijany.

— Był ci ojcem?-spytała szeptem jakaś stara kobieta. Rob się zawahał, lecz wydało mu się, że najprościej będzie przytaknąć. Z westchnieniem pogłaskała go po ramieniu.

Zakupił mszę żałobną i ludzie uczestniczyli w niej ze wzruszającą powagą, z zadowoleniem więc stwierdził, że gdyby Balwierz należał do jakiegoś cechu, nie miałby takiego tłumu na pogrzebie ani godniejszych modłów, choćby jego całun był z królewskiej purpury.

Po skończonej mszy, gdy ludzie wyszli, Rob zbliżył się do ołtarza. Cztery razy

przyklęknął kreśląc znak krzyża na piersiach, tak jak go dawno temu nauczyła mama, w hołdzie z osobna dla Boga Ojca, Syna, Matki Boskiej, a na koniec Apostołów i wszystkich świętych.

Ksiądz obszedł kościół, zapobiegliwie zdusił knoty z sitowia i zostawił Roba modlącego się przy marach za zmarłego. Nie pamiętał o posiłku, klęczał tylko bez ruchu, jakby zawieszony między tańczącym światłem świec a gęstą ciemnością.

Czas biegł niepostrzeżenie.

Rob drgnął, kiedy dzwon głośno ogłosił jutrznię, wstał i na zdrętwiałych nogach ruszył nawą.

— Przed wyjściem przyklęknij - polecił zimno ksiądz, który właśnie nadszedł, i Rob posłusznie przyklęknął.

Znalazszy się na zewnątrz, odszedł kawałek drogą. Pod drzewem opróżnił pęcherz, wrócił i umył w wiadrze przy drzwiach ręce i twarz, podczas gdy w kościele ksiądz odprawiał nabożeństwo nocne.

Jakiś czas potem, kiedy ksiądz znowu opuścił kościółek, świece się dopaliły zostawiając Roba w ciemnościach samego z Balwierzem. Teraz dopuścił do siebie myśli o nim: to on go uratował w Londynie, gdy był małym chłopcem. Wspominał Balwierza dobrego i złego, to, z jaką przyjemnością i staraniem gotował posiłki i dzielił się nimi, jego okrucieństwo i chutliwość, i trzeźwe rady, śmiech i napady wściekłości, serdeczność i opilstwo. Rob wiedział, że to, co ich łączyło, nie było miłością. Było jednak czymś, co na tyle zastąpiło miłość, że gdy pierwszy brzask szarym światłem oblał woskową twarz zmarłego, Rob zapłakał z żalu, i to nie tylko nad Henrym Croftem.

Balwierz został pochowany po prymie. Ksiądz nie zabawił długo nad grobem.

— Możesz go zakopać-powiedział Robowi. Kiedy grudy ziemi i kamyki zagrzechotały o wieko trumny, Rob dosłyszał, że ksiądz mruczy coś po łacinie o niezawodności nadziei na zmartwychwstanie.

Rob zrobił to, co zrobiłby dla kogoś z rodziny. Pamiętając o zagubionych grobach swoich bliskich, zapłacił księdzu, by zamówił kamień, i ustalił, co ma być na nim wyryte.

Henry Croft

balwierz Zmarł 11 lipca A.D. 1030

— Może jeszcze „Requiescat in pace” albo coś takiego? - zapytał ksiądz.

Jedyne epitafium zgodne z naturą Balwierza, jakie Robowi przyszło na myśl, mogło brzmieć „Carpe diem”, „Ciesz się z każdego dnia”, lecz jakoś... Zaraz się jednak uśmiechnął.

Księdza oburzył jego wybór, ale ten okropny nieznamy młodzieniec płacił za kamień i nalegał, toteż duchowny starannie zanotował treść napisu: „Fumum vendidi”, „Sprzedawałem dym”.

Patrząc, jak ksiądz o zimnych oczach z zadowoloną miną chowa zapłatę, Rob zrozumiał, że nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby na grobie zmarłego balwierza nie legł żaden kamień. Nie miał nikogo w Aire's Cross, kto by tego dopilnował.

— Niedługo tu wrócę i sprawdzę, czy wszystko jest, jak chciałem - zapowiedział.

Oczy księdza zasnuła mgielka.

— Jedź z Bogiem - rzekł krótko i wrócił do kościoła.

Nie czując kości ze zmęczenia, zgłodniały Rob popędził Kobyłę do wierzbowych zarośli, w których zostawił rzeczy. Czekwały nie ruszone. Gdy załadował wszystko z powrotem do wozu, usiadł na trawie, aby się posilić. Reszta pasztetu się zepsuła, lecz czerstwy bochenek chleba upieczony przez Balwierza cztery dni wcześniej dało się jeszcze pogryźć. Jedząc uzmysłowił sobie, że przecież dziedziczy po Balwierzem. To teraz jego koń i wóz. Dziedziczy



narzędzia i umiejętności, poszarpane okrycia ze skór, piłeczki żonglerskie i magiczne sztuczki, oszustwa i podstępny, decyzje, dokąd się udać jutro i pojutrze.

W pierwszym rzędzie wydobył flaszki z nalewką dla specjalnych klientów i jedną po drugiej roztrzaskał wszystkie o kamień. Doszedł do wniosku, że broń Balwierza sprzeda, bo jego własna jest lepsza, za to saski róg zawiesił na szyi. Kiedy wdrapał się na kozioł, usiadł uroczyście i wyprostowany, jakby zasiadał na tronie.

Pomyślał, że rozejrzy się i może znajdzie sobie pomocnika.

## Kobieta na drodze

Powędrował dalej, jak zawsze wędrowali, „paradując przez ten niewinny świat”, jak by powiedział Balwierz. W pierwszych dniach nie mógł się zmusić, by rozpakować wóz i dać występ. W Lincoln kupił sobie ciepły posiłek w gospodzie, sam jednak nie gotował, żywiąc się głównie chlebem i serem kupowanymi od ludzi. Nie pił wcale. Wieczorami siadał przy ognisku, dręczony straszną samotnością.

Na coś czekał. Ale nic nie nadchodziło i po jakimś czasie zrozumiał, że musi zacząć żyć własnym życiem, w Stafford postanowił więc wrócić do pracy. Kobyła zastrzygła uszami 4 i zatańczyła, gdy Rob uderzył w bęben ogłaszając na rynku swoje przybycie, on zaś poczuł się, jakby zawsze pracował sam. Zebrani ludzie nie wiedzieli, że powinien z nim być starszy mężczyzna dający znak, kiedy zacząć i skończyć żonglerkę, i opowiadający najlepsze dykteryjki. Otoczyli go, słuchali i śmiali się, patrzyli jak urzeczeni, gdy rysował podobizny, kupowali jego driakiew i ustawiali się w kolejce do leczenia za zasłoną. Biorąc ich za rękę, Rob odkrył, że jego dar wrócił. Krzepkiego kowala, który wyglądał na Atlasa, coś od środka zżerało i niewiele zostało mu życia, natomiast szczupła dziewczyna o wątłym wyglądzie, mogącym wskazywać na chorobę, miała w sobie tyle żywotnej siły, aż Rob się uradował, gdy ją wyczuł. Może, jak twierdził Balwierz, dar został zagłuszony alkoholem, a teraz wrócił dzięki jego wstrzemięźliwości? Cokolwiek było tego przyczyną, wrócił, Rob czuł ożywcze podniecenie i chęć, by dotknąć rąk następnego chorego.

Gdy po południu tego dnia wyjeżdżał ze Stafford, zatrzymał się w jednej z chłopskich zagród, by kupić boczku, i zobaczył w stodole kotkę z miotem kociąt.

— Wybierzcie sobie któreś - poprosił go z nadzieją wieśniak. - Większość będę musiał utopić, wszystkich nie wykarmię.

Rob pobawił się z kociętami machając im przed noskami sznurkiem i wszystkie wydały mu się miłe poza jedną wzdorliwą białą kotką, która spoglądała wyniośle i z pogardą.

— Nie chcesz jechać ze mną, co? - Kotka była spokojna i wyglądała całkiem łagodnie, lecz gdy Rob spróbował wziąć ją do ręki, udrapała go. Dziwne, ale umocniło go to w po stanowieniu, że weźmie właśnie ją. Uspokoił kotkę przemawia jąc do niej szeptem, i przeżył moment tryumfu, kiedy pozwoliła wziąć się na rękę i pogłaskać po futerku.

— Ta się nada - powiedział i podziękował wieśniakowi.

Nazajutrz ugotował sobie śniadanie i nakarmił kotkę chlebem moczonym w mleku. Zajrzawszy w jej zielonkawe ślepią, znalazł w nich kocią podstępność i uśmiechnął się.

— Będiesz się nazywać Buffingtonowa - oznajmił. Może nakarmienie dokonało w kotce magicznej przemiany,

albowiem parę godzin później mruzczała na jego kolanach, gdy zasiadł na koźle.

Zsadził kotkę z kolan w połowie ranka, kiedy wyjeżdżając z za zakrętu do Tettenhall natknął się na mężczyznę, który stał nad leżącą na drodze kobietą.

— Co jej jest?! - zawołał i ściągnął Kobyłę. Zobaczył, że kobieta oddycha. Twarz miała czerwoną z wysiłku i ogromny brzuch.

— Przyszedł jej czas - powiedział mężczyzna.

W sadzie za nim stało kilka koszy z jabłkami. Mężczyzna był obdarty i nie wyglądał na właściciela takich bogactw. Rob się domyślił, że to pewnie dzierżawca, obrabiający szmat ziemi lorda za poletko, z którego może utrzymać własną rodzinę.

— Zrywaliśmy pierwsze jabłka, jak ją wzięło. Ruszyła do domu, ale niedaleko uszła. Nie

mamy tu babki położnej, umarła tej wiosny. Pchnąłem chłopaka po medyka, kiedy się okazało, że z nią źle.

— No cóż... - rzekł Rob ujmując lejce. Nie miał zamiaru się zatrzymywać w okolicznościach wypisz, wymaluj takich, jakich Balwierz nauczył go unikać. Gdyby mu się udało kobiecie pomóc, niewiele by zarobił, gdyby się nie udało, mogliby uznać, że to on ponosi za to winę.

— Medyk dawno powinien już tu być - zauważył gorzko wieśniak - a nie przychodzi. To Żyd...

Mężczyzna jeszcze mówił, gdy Rob ujrzał że kobieta wywraca oczami-chwyciły ją skurcze. Z tego, co słyszał od Balwierza o żydowskich medykach, wywnioskował, że ten wcale nie przyjdzie.

Tępe cierpienie w oczach dzierżawcy i wspomnienia, o których wolałby zapomnieć, trzymały go jak na uwięzi. Westchnął, zlął z wozu i uklękawszy nad brudną, udreżoną kobietą, wziął ją za rękę.

— Kiedy ostatni raz czuła ruchy dziecka?

— Będzie już kilka tygodni. Od dwóch czuje się kiepsko, jak zatruta.

Przeżyła już cztery ciężce, dodał, lecz mają tylko dwóch chłopców, bo dwoje ostatnich dzieci przyszło na świat martwe.

Rob czuł, że i to dziecko jest martwe. Lekko położywszy rękę na wypukłości brzucha, zapragnął odejść, w duchu jednak ujrzał białą twarz swojej matki, leżącej w gnoju stajni, i tknęła go niepokojąca świadomość, że jeśli dalej będzie stał beczynnym, ta kobieta szybko umrze.

Wśród narzędzi Balwierza odszukał wziernik z wygładzonego metalu, ale nie posłużył się nim jako lusterkiem. Kiedy skurcz minął, odpowiednio ułożył nogi kobiety i rozszerzył wziernikiem szyjkę macicy, jak go nauczył Balwierz. Macica opróżniła się z łatwością, a to, co z niej wyszło, było bardziej zgnilizną niż dzieckiem. Rob niemal nie zauważył, jak mężczyzna zachłysnął się własnym oddechem i odszedł.

Nie umysł, lecz ręce mówiły Robowi, co ma robić.

Wydobył łożysko, oczyścił i umył kobietę. Podniósłszy wreszcie wzrok, ze zdumieniem stwierdził, że Żyd jednak przyszedł.

— Zechcecie pewno przejąć - powiedział czując wielką ulgę, gdyż krwawienie nie ustawało.

— Nie ma pośpiechu - oświadczył medyk. Długo jednak słuchał oddechu kobiety i badał ją tak powoli i dokładnie, że widoczne było, iż nie dowierza Robowi.

Wreszcie wydało się, że zaspokoił ciekawość.

— Połóż dłoń na jej brzuchu i masuj, o tak - poradził. Rob masował pusty brzuch, zastanawiając się, po co to robi.

Na koniec wyczuł, jak wielka gąbczasta macica w środku kurczy się z powrotem w małą twardą kulę, po czym krwawienie ustało.

— Sztuka magiczna godna Merlina, zapamiętam ten sposób - powiedział.

— Nie ma żadnej magii w tym, co robimy - oznajmił spokojnie żydowski medyk. - Skąd znasz moje nazwisko?

— Spotkaliśmy się parę lat temu. W Leicester. Benjamin Merlin spojrzał z uśmiechem na jaskrawo pomalą wanę wóz.

— Aha. Byłeś pomocnikiem, terminatorem. Balwierzem był grubas, który wypluwał kolorowe wstążki.

— Tak.

Rob nie powiedział mu, że Balwierz nie żyje, Merlin zaś o niego nie zapytał. Przyjrzeni się jeden drugiemu. Sepią twarz Żyda wciąż jeszcze otaczały gęste siwe włosy i siwa broda, ale nie był już tak szczupły jak kiedyś.

— A ten skryba, z którym rozmawialiście tamtego dnia w Leicester... Zdjęliście mu bielmo z oczu?

— Skryba? - Wyraz twarzy Merlina świadczył, że medyk nie wie, o co chodzi, po chwili jednak w oczach zabłysło mu zrozumienie. - Ach, tak! Edgar Thorpe ze wsi Lucteburne w Leicestershire.

Jeżeli nawet Rob słyszał kiedy o Edgarze Thorpie, i tak teraz nie pamiętał. Pojął, że to właśnie ich różni-on na ogół nie pytał swoich pacjentów o nazwisko.

— Operowałem go i zdjąłem mu kataraktę - wyjaśnił Żyd.

— 147

— I co? Dobrze się czuje? Merlin uśmiechnął się ze smutkiem.

— Trudno powiedzieć, żeby imć Thorpe dobrze się czuł. Starzeje się, ma swoje dolegliwości i kłopoty. Ale widzi na oboje oczu.

Rob zdążył zawinąć zepsuty płód w szmatę, lecz Merlin rozwinął ją, obejrzał płód i pokropił go wodą z flaszeczki.

— Chrzczę cię w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego

— wyrecytował płynnie Żyd, z powrotem związał małe zawiniąt ko i zaniósł je dzierżawcy. - Dziecko zostało ochrzczone jak należy - powiedział - i bez wątpienia będzie przyjęte do Królestwa Niebieskiego. Musicie o tym powiadomić ojca Stiganda albo tego drugiego księdza w kościele.

Wieśniak wydobyl wyświechtaną sakiewkę i na jego stale zmartwionej twarzy pojawił się niepokój.

— Ile płacę, panie medyku?

— Ile możecie - rzekł Merlin, a mężczyzna wydobyl z sakiewki pensa i podał mu.

— Czy to był chłopiec?

— Nie można powiedzieć - odparł dobrotliwie medyk. Wrzucił monetę do wielkiej kieszeni kaftana, pogrzebał w niej, wydobyl półpensówkę i dał Robowi. Musieli jeszcze pomóc dzierżawcy zanieść kobietę do domu - ciężka praca jak na pół pensa zapłaty.

Gdy wreszcie byli wolni, zeszli do pobliskiego strumienia i obmyli się z krwi.

— Bywałeś przy podobnych porodach?

— Nie.

— Skąd wiedziałeś, co zrobić? Rob wzruszył ramionami.

— Ktoś mi to opisał.

— Zdarzają się podobno urodzeni lekarze. Wybrańcy.

— Żyd uśmiechnął się do Roba. - Inni oczywiście mają po prostu szczęście - dodał.

Rob poczuł się nieswojo pod badawczym spojrzeniem tego człowieka.

— A gdyby matka zmarła, a dziecko żyło?... - wykrztusił dręczące go pytanie.

— Cesarskie cięcie. Rob wybałuszył oczy.

— Nie wiesz, o czym mówię?

— Nie wiem.

— Trzeba przeciąć brzuch i macicę i wydobyc dziecko.

— Rozciąć matkę?

— Tak.

— Robiliście to?

— Kilka razy. Kiedy byłem uczniem, widziałem, jak jeden z moich nauczycieli rozcina żywą kobietę, by dostać się do dziecka.

Łże! - pomyślał Rob, wstydząc się, że tak pilnie słuchał. Przypomniał sobie, co Balwierz mówił o tym człowieku i takich

jak on.

— I co się stało?

— Umarła, ale i tak by umarła. Nie pochwalam rozcinania żywych kobiet, słyszałem jednak o takich, co to robili ratując

matkę i dziecko.

Rob się odwrócił, by ten z francuska mówiący człowiek nie wyśmiał go jak błazna, lecz odszedłszy ledwie dwa kroki, musiał

zawrócić.

— Gdzie trzeba ciąć?

Żyd w kurzu drogi narysował sylwetkę kobiety i pokazał mu dwa cięcia, jedno długą, prostą linią po lewej stronie, drugie w górze brzucha.

— Tu albo tu - powiedział i daleko odrzucił patyk. Rob kiwnął głową i odszedł, niezdolny mu podziękować.

## Puchary na stole

Wyjechał z Tettenhall od razu, ale już coś się z nim działo.

Wyczerpywała mu się driakiew, więc na drugi dzień kupił od wieśniaka baryłkę trunku i zatrzymał się, by przyrządzić nowy zapas mikstury, którą już tego samego dnia po południu zaczął sprzedawać. Driakiew szła nie gorzej niż zazwyczaj, lecz Rob był zamyślony i pełen lęku. Marzyło mu się, żeby trzymać ludzką duszę na dłoni jak kamyk, czuć, jak się wymyka, i działaniem swoim ją zawrócić! Nawet król nie ma takiej władzy. Potrafią to

tylko wybrańcy.

Czy mógłby się nauczyć więcej? Ile więcej można się nauczyć? Jakie to uczucie, pytał sam siebie, umieć wszystko, co można?

— 149

Pierwszy raz pojął, że pragnie zostać medykiem

Gdybyż tak mógł naprawdę walczyć ze śmiercią! Pełen był nowych, niepokojących myśli, które na przemian przejmowały go zachwytem lub zadawały mu śmiertelny ból.

Nazajutrz rano wyruszył do Worcester, najbliższego miasta na południe, położonego nad rzeką Severn. Nie zapamiętał ani widoku rzeki, ani traktu, ani powożenia Kobyłą, niczego z całej podróży. W Worcester mieszkańcy z rozdziawionymi gębami przyglądali się czerwonemu wozowi, który wtoczył się na rynek, nie zatrzymując się wykonał pełne okrążenie, wyjechał z miasta i ruszył z powrotem.

Wieś Lucteburne w Leicestershire nie była na tyle duża, by utrzymać gospodę, ale właśnie trwały sianokosy, toteż Rob mógł zasięgnąć języka przy łące, na której czterech mężczyzn posuwało się z kosami. Ten z pokosu najbliższej gościńca przerwał na chwilę rytmiczne ruchy i wskazał mu drogę do domu Edgara Thorpe'a.

Zastał staruszka w ogródku zbierającego na klęczkach pory. Dziwnie podniecony, od razu dostrzegł, że Thorpe widzi. Dokuczały mu jednak bóle reumatyczne i chociaż wśród stękania i narzekań dźwignął się przy pomocy Roba na nogi, minęło parę chwil, zanim mogli spokojnie porozmawiać. Aby lepiej im to poszło, Rob przyniósł z wozu kilka flaszek driakwi i jedną ku wielkiemu zadowoleniu gospodarza otworzył.

— Przyjechałem tu, żeby wywiedzieć się o operację, która wam przywróciła wzrok, mości Thorpe.

— Ach, tak... A po co wam to? Rob się zawahał.

— Mam krewniaka, któremu potrzebny taki zabieg, i pytam w jego imieniu.

Thorpe łyknął trunku i westchnął.

— Mam nadzieję, że to silny człowiek i nie brak mu odwagi - powiedział. - Przywiązali mnie za ręce i nogi do krzesła. Sznury okrutnie wpiły mi się w głowę, gdy ją przymocowali do wysokiego oparcia. Potem lali we mnie gorzałkę, ażem się upił prawie do nieprzytomności. A na koniec pomocnicy wbili mi jeszcze haczyki pod powieki, żeby je podnieść i żebym nie mrugał.

Zamknął oczy i aż się wstrząsnął. Najwidoczniej opowiadał już tę historię wiele razy, szczegóły bowiem utkwiły mu w pamięci i wymieniał je bez chwili wahania, lecz dla Roba wcale nie były przez to mniej fascynujące.

— Choroba moja polegała na tym, że niewyraźnie widział tylko to, co było tuż przede mną. No i wreszcie zjawiała mi się przed oczami ręka mistrza Merlina. Trzymała ostrze, które

opuszczało się i rosło, aż wbiło mi się w oko... Och, z bólu natychmiast-em otrzeźwia! Byłem pewien, że wyciął mi oko zamiast tylko zdjąć mgielkę, wrzeszczałem więc i zaklinałem go, żeby przestał. On nie ustawał, a ja ciskałem klątwy na jego głowę, bo nareszciem pojął, że ten podły naród mógł zamor dawać naszego dobrego Pana. Kiedy ciął drugie oko, ból był tak wielki, że całkiem straciłem świadomość. Ocknąłem się w ciemnościach, z zawiązanymi oczami, i blisko dwie niedziele straszliwie cierpiał. Ale w końcu wrócił mi dobry wzrok, jakiegom już dawno nie miał. Poprawa była taka wielka, że jeszcze dwa lata przepracowałem jako pisarz i dopiero przez ten reuma tyżm z rozsądku ograniczyłem obowiązki.

Więc to prawda, pomyślał oszołomiony Rob. A skoro tak, to na pewno również te inne rzeczy, o których opowiadał Merlin, są prawdziwe.

— Mistrz Merlin to najlepszy medyk, jakiegom spotkał - powiedział Edgar Thorpe. - Tylko-dodał gniewnie - jak na tak doświadczonego medyka jakoś mu za trudno uwolnić mnie od tych dolegliwości w kościach.

Rob wrócił do Tettenhall, rozbił obóz w małej dolince i tkwił pod miasteczkiem trzy dni jak chory z miłości łabędź, któremu brak odwagi na spotkanie z samicą, lecz nie może się zdobyć także na to, by zostawić ją w spokoju. Kupując u wieśniaka żywność, dowiedział się, gdzie mieszka Benjamin Merlin, i kilka razy skierował tam Kobylę. Kiedy przejeżdżał obok jego domu, niskiej wiejskiej chaty z dobrze utrzymaną stodołą i zabudowaniami, polem, sadem i winnicą, nic na zewnątrz nie wskazywało, że mieszka tam medyk.

Trzeciego dnia po południu, oddalony o parę mil od domu Merlina, natknął się na niego na drodze.

— Jak się miewasz, młody balwierz?

Rob odpowiedział, że miewa się dobrze, i spytał o zdrowie medyka. Przez chwilę z powagą pogawędzili o pogodzie, w końcu Merlin skinął głową na znak, że nie chce go dłużej zatrzymywać.

— Nie mogę tracić czasu, muszę jeszcze zajść do trzech chorych, nim skończę dziś pracę.

— Czy mógłbym wam towarzyszyć i popatrzeć? - wydusił z siebie Rob.

Medyk się zawahał. Najwyraźniej ta prośba wcale go nie ucieszyła, skinął jednak głową przyzwalająco, choć niechętnie.

— Tylko bądź tak uprzejmy i nie wtrącaj się - powiedział. Pierwszy chory mieszkał niedaleko miejsca, w którym się

spotkali, w małej chatce nad sadzawką dla gęsi. Był nim Edwin Griffith, starzec dręczony suchym kaszlem. Rob od razu się zorientował, że wyniszcza go daleko posunięta piersiowa choroba i niedługo znajdzie się w grobie.

— Jakże was dziś zastałem, mości Griffith? - zapytał Merlin.

Stary zagdakał w paroksyzmie kaszlu, potem chwycił oddech i jęknął:

— Jak zawsze, i prawie się nie skarzę, tyle że nie miał sił nakarmić dzisiaj gęsi.

Merlin się uśmiechnął.

— Może ten mój młody przyjaciel mógłby się nimi zająć? - zaproponował, a Robowi nie pozostało nic innego, jak to wykonać. Stary Griffith wskazał mu, gdzie trzyma karmę, i po chwili Rob już biegł z workiem nad sadzawkę. Czuł się urażony, ponadto ta wizyta była dla niego stracona, bo przecież Merlin na pewno nie poświęcałby tyle czasu umierającemu. Ostrożnie zbliżył się do gęsi, wiedział bowiem, jakie potrafią być złośliwe, ale wygłodniały, toteż rzuciły się do ziarna z wielkim geganiem, pozwalając mu szybko uciec.

Zdumiał się, wróciwszy do chatki, gdyż Merlin jeszcze rozmawiał z Griffithem. Rob pierwszy raz widział, by medyk tak skrupulatnie wykonywał swoją pracę. Merlin bez końca zadawał choremu pytania o nawyki i pożywienie, o jego dzieciństwo, rodziców i dziadków, o

przyczynę ich śmierci. Zmierzył mu tętno w przegubie i jeszcze raz na szyi, przytknął ucho do piersi i posłuchał. Rob trzymał się na uboczu, chłonąc wszystko oczami, a kiedy wychodzili, stary mu podziękował za nakarmienie drobiu.

Okazało się, że jest to dzień poświęcony na odwiedziny u skazanych na śmierć, Merlin bowiem zaprowadził go jeszcze dwie mile dalej, do stojącego w bok od rynku domu, w którym, | leżała gasnąca wśród bólów Mary Sweyn, żona szeryfa.

— Jakże się dzisiaj miewacie? - spytał Merlin.

W odpowiedzi popatrzyła tylko na niego nieruchomym wzrokiem. To wystarczyło - Merlin skinął głową, usiadł, wziął ją za rękę i spokojnie do niej przemówił. Tutaj również spędził zadziwiająco wiele czasu.

— Możecie mi pomóc przewrócić na drugi bok panią Sweyn? - poprosił w końcu Roba. - Powoli, powoli, już. - Gdy Merlin uniósł koszulę, by obmyć szkieletowate ciało, zauważyli na wynędzniałym lewym boku zaogniony wrzód. Medyk przekłuł go od razu, by jej ulżyć, a Rob z zadowoleniem patrzył, że robi to tak samo, jak on by zrobił. Merlin zostawił chorej flaszeczkę łagodzącego ból naparu.

— Został jeszcze jeden chory-powiedział, gdy zamknęli za sobą drzwi domu Sweynów. - Tancred Osbern. Jego syn dziś mnie zawiadomił, że miał jakiś wypadek.

Merlin uwiązał konia do wozu i usiadł na koźle obok Roba, aby mu dotrzymać towarzystwa.

— Jak tam oczy waszego krewniaka? - zapytał bez wstę pów.

Należało się spodziewać, że Thorpe wspomni o moich odwiedzinach, pomyślał Rob i poczuł, że krew uderza mu do twarzy.

— Nie miałem zamiaru go oszukiwać. Chciałem sam zoba czyć skutki waszej operacji-przyznał się. - Wydało mi się, że to najprostszy sposób, żeby wytłumaczyć, dlaczego się nim interesuję.

Merlin uśmiechnął się i skinął głową, po czym ją objaśniać Robowi chirurgiczną metodę, jaką się posłużył przy zdejmowaniu katarakty z oczu Thorpe'a.

— Nikomu bym nie radził samodzielnie się podejmować takiej operacji - powiedział z naciskiem i Rob kiwnął głową, gdyż wcale nie zamierzał nikomu operować oczu.

Na każdym skrzyżowaniu dróg Merlin wskazywał mu kierunek, dopóki wreszcie nie podjechali do zamożnej zagrody, z wyglądu porządnej i zadbanej. Gospodarz, rosły, krzepki wieśniak, leżał na sienniku, który mu służył jako łóżko, i jęczał z bólu.

— Ach, Tancredzie, co też sobie tym razem zrobiłeś? - zapytał Merlin.

— Zraniłem się w tę przeklętą nogę.

Merlin odrzucił przykrycie i zmarszczył czoło, spojrzawszy na prawą nogę wieśniaka, wykręconą i spuchniętą.

— Na pewno strasznie cierpisz, ale chłopcu kazałeś powie dzieć, żebym przyszedł, jak będę mógł. Na drugi raz nie rób z siebie takiego bohatera, tylko każ przyjść natychmiast - powiedział surowo.

Mężczyzna zamknął oczy i kiwnął głową.

— Jak to się stało i kiedy?

— Wczoraj w południe. Spadłem z dachu, jakem naprawiał tę diabelną strzechę.

— Przez jakiś czas nie będziesz naprawiał strzechy - oświadczył Merlin. Spojrzał na Roba. - Będzie mi potrzebna pomoc. Poszukajcie deski trochę dłuższej niż jego noga.

— Nie wrywajcie z budynków ani z płotu - warknął Osbern.

Rob wyszedł się rozejrzeć. W stodole leżało kilka brzoźowych i dębowych pniaków oraz



płaska sosnowa deska wyciosana z kłody. Była za szeroka, lecz rozszczepienie jej wzdłuż narzędziami wieśniaka nie zabrało mu wiele czasu dzięki temu, że sośnina jest miękka.

Osbern zgromił go spojrzeniem, gdy poznał pochodzenie deszczułki, nic jednak nie powiedział.

Merlin, rzuciwszy okiem na siennik, westchnął.

— Uda ma jak byk. Bierzmy się do roboty, młodzieńcze - powiedział. Chwyciwszy złamaną nogę za kostkę i łydkę, pociągnął równo na próbę, jednocześnie skręcając i prostując. Coś lekko trzasnęło jak zgnieciony suchy liść i Osbern wydał dziki ryk.

— To na nic - stwierdził po chwili Merlin. - Ma potężne mięśnie. Napięły się, żeby chronić nogę, a ja nie mam dość siły, żeby je rozciągnąć i nastawić kość.

— Pozwólcie mnie spróbować - poprosił Rob.

Merlin skinął głową, ale przedtem podał kufel gorzalki wieśniakowi, który trząsał się i płakał z bólu wywołanego zbyt słabym pociągnięciem.

— Dajcie jeszcze - szepnął Osbern, opróżniwszy kufel. Gdy wypił drugi, Rob chwycił za nogę tak jak przedtem

Merlin. Starając się nie szarpać, pociągnął równo, a gruby głos Osberna zmienił się w przeciągły, wysoki wrzask. Merlin złapał krzepkiego chłopca pod pachy i ciągnął w drugą stronę, z twarzą wykrzywioną i oczami wychodzącymi z orbit z wysiłku.

— Zdaje się, że idzie! - krzyknął Rob, żeby Merlin go dosłyszał przez wrzaski bólu. - Idzie! - Jeszcze gdy to mówił, krawędzie złamanej kości zgrzytnęły o siebie i weszły na miejsce, j Człowiek na posłaniu nagle umilkł. Rob zerknął, by sprawdzić, czy nie zemdłał, ale Osbern, całkiem opadłszy z sił, leżał na plecach z twarzą mokrą od łez.

— Trzymaj mocno nogę - polecił Robowi Merlin. Związał w długi pas kawałki płótna i owinął nimi stopę

i kostkę Osberna. Do tego bandaża uwiązał jeden koniec sznurka, drugim ciasno owinął klamkę drzwi, po czym przymocował deskę do naciągniętej nogi.

— Teraz możesz go puścić - pozwolił Robowi.

W ciągu paru minut uspokoili opatrzzonego wyczerpanego pacjenta, udzielili pouczeń jego pobladłej żonie i pożegnali się z bratem, który miał się opiekować gospodarstwem.

Na podwórzu stanęli i popatrzyli na siebie. Koszule obaj mieli mokre od potu i złane potem twarze, tak jak zalana łzami była twarz Osberna.

Medyk uśmiechnął się i poklepał Roba po ramieniu.

— Teraz musicie jechać ze mną do domu i zjeść z nami wieczerzę - powiedział.

— To Debora - przedstawił żonę Benjamin Merlin. Żona medyka była pulchną kobietką o kształtach gołąbki,

miała ostry mały nosek i bardzo rumiane policzki. Zbladła ujrawszy Roba i sztywno przyjęła tę prezentację. Merlin wyniósł na podwórko miskę ze źródlaną wodą, by Rob mógł się odświeżyć. Kiedy się mył, dobiegł go z domu głos kobiety łającej męża w języku, który słyszał po raz pierwszy.

Medyk skrzywił się przepraszająco, wyszedłszy się umyć.

— Musicie jej wybaczyć. Boi się. Prawo nam zabrania przyjmować w domu chrześcijanina w czasie uczt świątecznych. A przecież to żadna świąteczna uczta, tylko zwykła wieczerza. - Wycierając się do sucha, spojrzał rzeczowo na Roba. - Ale mogę wam wynieść posiłek przed dom, gdybyście woleli nie siadać z nami do stołu.

— Będę wdzięczny, jeśli mi pozwolicie usiąść z wami, panie.

Merlin skinął głową.

Dziwna to była wieczerza. Zasiadli do niej rodzice i czworo małych dzieci, w tym trzech chłopców. Dziewczynka na imię miała Lea, a chłopcy Jonathan, Ruel i Zecheria. Chłopcy i ojciec usiedli do stołu w czapkach! Gdy żona podała bochenek chleba, Merlin skinął na Zecherię, a ten odłamał kawałek i przemówił gardłowym językiem, który Rob dosłyszał przedtem, lecz ojciec mu przerwał:

— Dzisiaj berachot będzie po angielsku ze względu na naszego gościa.

— Bądź pochwalony, Wiekuisty, Boże nasz, Królu Wszech świata - przemówił słodkim głosem chłopak - który nam dajesz ziemski chleb. - Wręczył bochenek Robowi, który odłamał kawałek, skosztował i podał go dalej.

Następnie Merlin nalał z dzbanka czerwonego wina i Rob za przykładem innych uniósł pucharek, a ojciec skinął na Ruela.

— Bądź pochwalony, Wiekuisty, Boże nasz, królu Wszech świata, który stwarzasz winny owoc.

Posiłek składał się z zupy rybnej gotowanej na mleku, nie tak, jak przyrządzał ją Balwierz, ale gorącej i smacznej, potem jedli jabłka z sadu Żyda. Podczas wieczerzy Jonathan, najmłodszy syn, opowiedział ojcu z wielkim oburzeniem, że króliki niszczą na polu kapustę.

— No to ty musisz zniszczyć króliki - wtrącił się Rob.

— Trzeba je wyłapać na wnyki, a mama ci przyrządzi soczystą pieczeń.

Na chwilę zapadła dziwna cisza, po czym Merlin się uśmiechnął.

— Nie jemy królików ani zajęcy, bo nie są koszerne

— wyjaśnił.

Rob dojrzał zaniepokojenie na twarzy Debory Merlin, jakby się zlekła, że nie zrozumie ich obyczaju i nieprzychylnie się do niego odniesie.

— Mamy zbiór przepisów żywieniowych stary jak świat -dodał Merlin i wytłumaczył Robowi, że Żydom nie wolno jeść zwierząt, które nie przeżuwają i są parzystokopytne, a także mięsa razem z mlekiem, Biblia bowiem zakazuje gotować koźle w mleku jego matki. Obowiązuje ich też zakaz spożywania krwi i mięsa zwierząt, które nie zostały uprzednio całkowicie wykrwawione i zasolone.

Rob poczuł, jak krew w nim krzepnie, i powiedział sobie, że Merlinowa słusznie się niepokoiła: on nie jest w stanie zrozumieć Żydów. To naprawdę poganie! Wszystko wywracało mu się w żołądku, gdy medyk dziękował Bogu za to bezkrwawe i beźmięsne pożywienie. Zapytał mimo to, czy może tej nocy rozbić obóz w ich ogrodzie, Merlin jednak nalegał, by przenocował pod dachem, w stodole przylegającej do domu. Wkrótce Rob leżał na wonnym sianie i słuchał przez cienką ścianę wznoszącego się i opadającego głosu jego żony. Uśmiechnął się bezradośnie w ciemnościach, gdyż wiedział, o czym mówi, chociaż języka nie rozumiał. „Nie znasz tego tępego młodego osiłka, ale go przyprowadzasz. Nie widzisz jego krzywego nosa, pokierszowanej gęby i kosztownej zbójckiej broni? Wymorduje nas w łózkach!"

Jakiś czas potem Merlin przyszedł do stodoły z wielką flaszką i dwoma drewnianymi pucharkami. Podał jeden Robowi i westchnął.

— Mimo wszystko Debora jest wspaniałą kobietą-powie dział nalewając. - Trudno jej tutaj żyć, czuje się odcięta od bliskich.

Trunek był dobry, mocny.

— Z jakiej części Francji jesteście?

— Jak to wino, które pijemy, żona i ja urodziliśmy się we wsi Falaise, gdzie nasze rodziny żyją pod łaskawą opieką Roberta z Normandii. Mój ojciec i dwóch braci są właścicielami składu win i dostawcami na Anglię. Siedem lat temu wróciłem do Falaise po

studiach w Persji w akademii dla medyków.

— W Persji! - Rob nie miał pojęcia, gdzie się znajduje Persja, wiedział tylko, że bardzo daleko. - W której stronie świata leży ta Persja?

Merlin się uśmiechnął.

— Na wschodzie, na dalekim wschodzie.

— A jak to się stało, że trafiliście do Anglii?

Gdy Merlin wrócił do Normandii jako świeżo upieczony medyk, przekonał się, że pod rządami diuka Roberta zbyt wielu ludzi para się tym zawodem. Za granicami Normandii ustawicznie ścierały się sprzeczne interesy grożąc wojną, zmieniała się polityka jednych władców przeciw drugim i szlachty przeciw władcom.

— Dwakroć bywałem w młodości w Londynie z ojcem, kupcem winnym. Zapamiętałem piękno angielskiej wsi, a cała Europa zna cnotę stałości króla Kanuta. Postanowiłem więc przybyć do tego zielonego, spokojnego kraju.

. - I Tettenhall okazało się dobrym wyborem? ; i Merlin przytaknął skinieniem głowy.

« - Ale są pewne trudności. Bez ludzi, którzy wyznają tę | samą wiarę, nie możemy się modlić do swego Boga jak należy,

trudno też przestrzegać praw dotyczących jedzenia. Mówimy do dzieci w naszym języku, ale one myślą językiem Anglii i mimo naszych starań nie znają wielu obyczajów naszego narodu. Staram się ściągnąć tu z Francji innych Żydów.

Uczynił ruch, by dolać wina, lecz Rob przykrył pucharek ręką.

— Już raz mnie zgubiło picie więcej jak jeden pucharek. Nie mogę tracić głowy.

— Dlaczegoście mnie szukali, młody balwierz?

— Opowiedzcie o tej szkole w Persji.

— Znajduje się w mieście Isfahan, w zachodniej części kraju.

— Dlaczego wybraliście się tak daleko?

— A gdzie miałem jechać? Rodzina nie chciała mnie oddać do terminu u medyka i z przykrością muszę przyznać, że prawie w całej Europie ten zawód uprawia zgraja nędznych pijawek i zbójów. Jest wielki szpital w Paryżu, Hotel Dieu, dom zarazy dla biedaków, do którego znoszą wrzeszczących chorych, żeby tam umarli. Jest szkoła medyków w Salerno, ale to nędzna dziura. Dzięki kontaktom z innymi żydowskimi kupcami ojciec wiedział, że w krajach Wschodu Arabowie z nauki medycyny uczynili sztukę. Muzułmanie mają w Isfahanie szpital, w którym naprawdę leczą ludzi. To w tym szpitalu, w niewielkiej przy nim akademii, Awicenna kształcił medyków.

— Kto?

— Największy medyk świata, Awicenna, którego arabskie imię brzmi Abu Ali al-Husajn ibn Abdullah Ibn Sina.

Rob poprosił Merlina, by powtórzył to melodyjne imię, pragnął je bowiem zapamiętać.

— A trudno dostać się do Persji?

— To kilka lat niebezpiecznej podróży. Morzem, a dalej lądem przez straszne góry i wielką pustynię. — Merlin przyjrzał się przenikliwie gościowi.—Musicie wybić sobie z głowy perskie akademie. Dużo wiecie o swojej wierze, młody balwierz? Czy znacie kłopoty waszego pomazańca, papieża?

Rob wzruszył ramionami.

— Jana Dziewiętnastego?

Prawdę mówiąc poza imieniem Piotrowego namiestnika i tym, że stoi on na czele Świętego Kościoła, Rob nie wiedział nic.

— Jana Dziewiętnastego — potwierdził Merlin. — Ten papież miał przewodzić jednemu, siedzi okrakiem na dwóch Kościołach, jak człowiek, który by chciał dosiadać dwóch wierzchowców naraz. Kościół zachodni zawsze okazuje mu poddańczą wierność, ale wschodni nieustannie wrze niezadowolaniem. Dwieście lat temu Focjusz został patriarchą zbuntowanych wschodnich katolików w Konstantynopolu i od tej pory ruch w stronę rozłamu w łonie Kościoła przybrał na sile. Sami w obcowaniu z księżmi musieliście zauważyć, jak podejrzliwie i niechętnie się odnoszą do medyków, felczerów i balwierzy, uważają bowiem, że tylko kapłani są prawowitymi opiekunami tak ludzkiego ciała, jak i duszy. Rob tylko coś odburknął.

— Niechęć tych angielskich księży do ludzi medycyny jest niczym w porównaniu z nienawiścią, jaką duchowni Kościoła wschodniego żywią do arabskich szkół medycznych i innych muzułmańskich akademii. Współżyjąc z muzułmanami, Kościół wschodni bez ustanku walczy o pozyskiwanie wyznawców jedynej prawdziwej wiary. Hierarchia wschodnia widzi w arabskich ośrodkach nauki zarzewie pogaństwa i poważne zagrożenie. Piętnaście lat temu Sergiusz Drugi, będący wówczas patriarchą Kościoła wschodniego, ogłosił, że każdy chrześcijanin uczęszczający do muzułmańskiej szkoły na wschód od jego patriarchatu jest bluźniercą, zarzeka się swej wiary i grzeszy praktyką pogańską. Wywarł nacisk na papieża w Rzymie, żeby się przyłączył do tego oświadczenia. Benedykt Ósmy został świeżo wybrany na stolicę Piotrową i obawiano się, że będzie papieżem, który dopilnuje rozpadu Kościoła. Chcąc uspokoić niezadowolonych wschodnich katolików, skwapliwie spełnił żądanie Sergiusza. Karą za pogaństwo jest ekskomunika.

Rob ściągnął wargi.

— Surowa kara. Medyk pokiwał głową.

— O tyle surowsza, że pociąga za sobą sankcje prawa świeckiego. Kodeksy praw przyjęte zarówno pod panowaniem króla Ethelreda, jak króla Kanuta uznają pogaństwo za zbrodnię stanu. Winni jej ludzie ponoszą straszliwe kary. Jedni zakuci w ciężkie łańcuchy są zsyłani na wieloletnią pielgrzymkę, dopóki ich kajdanów nie przeżre rdza i same z nich nie spadną, inni są paleni na stosie albo wieszani, a jeszcze innych wtrąca się do więzienia, gdzie pozostają długie lata. Muzułmanie też nie kwapią się do kształcenia wyznawców wrogiej i stanowiącej zagrożenie religii, toteż od lat nie przyjmuje się chrześcijan do akademii we Wschodnim Kalifacie.

— Ach, tak — powiedział ponuro Rob.

— Wy możecie studiować w Hiszpanii. Leży w Europie, na najdalszym zachodnim skraju Zachodniego Kalifatu. Obie religie nie są tam zbyt srogie, uczy się tam kilku chrześcijan z Francji. Muzułmanie założyli wielkie uniwersytety w Kordobie, Toledo i Sewilli. Kto ukończy jeden z nich, jest uznanym uczonym. I choć trudno tam się dostać, podróż do Hiszpanii nie jest w połowie taka uciążliwa jak podróż do Persji.

— Dlaczego wyście nie pojechali do Hiszpanii?

— Bo Żydom wolno studiować w Persji. — Merlin uśmiechnął się. — I chciałem dotknąć rąbka szaty Ibn Siny.

Rob skrzywił się.

— Nie chcę jechać na drugi koniec świata po to, żeby zostać uczonym. Chcę tylko być dobrym medykiem.

Merlin dolał sobie wina.

— Jednego nie rozumieć... młodzieńcze jeszcze, a nosicie odzienie z dobrego sukna i broń, na którą ja bym sobie nie mógł pozwolić. Życie balwierza ma swoje dobre strony. Dlaczego mielibyście zostawać medykami? Przysporzy wam to ciężkiej pracy, a zyski da wątpliwe.

— Nauczyłem się leczyć różne dolegliwości. Potrafię odciąć poszarpany palec

zostawiając zgrabny kikut. Ale wielu ludzi przychodzi do mnie z pieniędzmi, żeby im pomóc, a ja nie potrafię. Nic nie umiem. Wciąż sobie powtarzam, że gdybym więcej wiedział, niektórych mógłbym uratować.

— I choćbyście żyli kilka razy i stale medycynę studiowali, i tak będą do was przychodzili tacy, których choroby pozostają tajemnicą. Ta udreka, o której mówicie, nieodłącznie towarzyszy zawodowi medyka, nie ma przed nią ucieczki. Ale to prawda, że im lepsze wykształcenie, tym więcej dobrego może uczynić medyk. Nie mogliście podać lepszego uzasadnienia swojej ambicji. — Merlin w zamyśleniu osuszył pucharek. — Skoro szkoły arabskie są nie dla was, musicie przepatrzyć medyków w Anglii, póki nie znajdziecie najlepszego z tych biedaków, a może któryś da się namówić i przyjmie was na praktykę.

— Słyszeliście o jakimś?

Może Merlin zrozumiał aluzję, ale jej nie podjął. Pokręcił głową i wstał.

— Tymczasem obaj zasłużyliśmy na odpoczynek, rano spojrzymy na tę sprawę świeżym okiem. Dobrej nocy życzę, młody balwierzu.

— Dobranoc, panie medyku.

Rankiem czekała go w kuchni papka z grochu i kolejne hebrajskie modły. Rodzina zasiadła do stołu, by wspólnie zakończyć nocny post, w czasie posiłku skrycie przyglądając się Robowi, który także obserwował gospodarzy. Debora Merlin wyglądała na stale zagniewaną, a w bezlitosnym świetle ranka na jej górnej wardze pokazała się cienka linia czarnych włosów. Spod kaftanów Merlina i Ruela wystawały jakieś frędzle. Grochowa papka okazała się nawet smaczna.

— I cóż, balwierzu? Dobrze wam się spało? — uprzejmie zagadnął Merlin. — Myślałem o naszej rozmowie. Niestety, nie przychodzi mi do głowy żaden medyk, którego mógłbym wam polecić jako mistrza i przykład. Debora przyniosła do stołu koszyk wielkich jeżyn i Merlin się rozpromienił. — Ach, musicie się nimi poczęstować, dodajcie ich do papki, są bardzo smaczne.

— Chciałbym, żebyście wy mnie przyjęli do terminu — powiedział Rob.

Poczuł się bardzo zawiedziony, gdy Merlin pokręcił głową.

— Dużo się nauczyłem od Balwierza — dodał prędko.

— Wczoraj byłem wam pomocny. Niedługo będę mógł sam odwiedzać waszych chorych w złą pogodę, ułatwię wam pracę.

— Nie.

— Widzieliście, że mam dar leczenia — ciągnął uparcie.

— Jestem silny i mogę również wykonywać ciężką pracę, cokolwiek będzie trzeba. Przez siedem lat terminu. Albo dłużej, ile zechcecie. — W podnieceni wstał, potracił stół i rozlał polewkę.

— To niemożliwe — oświadczył Merlin.

‡ Zbiło to Roba z tropu. Był pewien, że spodobał się Merlinowi.

— Brak mi potrzebnych zdolności?

— Zdolności macie duże. Z tego, co widziałem, byłby z was znakomity medyk.

— To o co chodzi?

— Nikt by mnie nie ścierpiał jako waszego nauczyciela w tym najbardziej chrześcijańskim z chrześcijańskich krajów.

— Komu by to wadziło?

— Tutejszym księżom. Już krzywo na mnie patrzą. Jestem dla nich narzędziem wykutym przez Żydów z Francji i hartowanym na muzułmańskiej akademii, wspólnym dziełem groźnych pogańskich żywiołów. Nie spuszczają mnie z oka. Żyję w strachu, że pewnego dnia

doszukają się w moich słowach czarów albo że zapomnę ochrzcić jakiegoś noworodka.

— Jeżeli nie chcecie mnie przyjąć, wymieńcie choć medyka, do którego mógłbym się zwrócić — poprosił Rob.

— Powiedziałem już, nikogo nie polecam. Ale Anglia jest wielka i żyje w niej niejedyn medyk, którego nie znam.

Rob zacisnął usta, palce zwarł mocno na rękojeści miecza.

— Wczoraj wieczorem radziście przepatrzyć najlepszych wśród biedaków. Który ze znanych wam medyków jest najlepszy?

Merlin westchnął. Miał już dość nalegań tego młodzieńca.

— Arthur Giles z St. Ives — powiedział zimno i wrócił do śniadania.

Chociaż Rob trzymał rękę na broni, nie zamierzał jej dobywać, ale żona Merlina nie odrywała oczu od miecza. Po ostatnich słowach męża nie zdołała powstrzymać konwulsyjnego jęku, pewna, że jej przepowiednia się spełni. Ruel i Jonathan patrzyli na Roba ponuro, Zecharia się rozpłakał.

Robowi niedobrze zrobiło się ze wstydu, że tak im oto odpłaca za gościnność. Spróbował sklecić jakieś słowa przeprosin, ale nie zdołał, toteż w końcu odwrócił się od francuskiego Hebrajczyka zgarniającego łyżką polewkę i opuścił jego dom.

## Czarny Rycerz

Jeszcze parę tygodni wcześniej próbowałby utopić swój wstyd i gniew w alkoholu, ale już nauczył się go wystrzegać. Jasno widział, że im dłużej unika picia, tym silniej odbiera od ludzi sygnały dotykając ich rąk, i coraz większą przywiązywał wagę do tego daru. Toteż zamiast w karczmie, spędził dzień z kobietą na polanie na brzegu rzeki Severn, parę mil za Worcester. Słońce tak wygrzewało trawę, że była niemal równie gorąca jak ich krew. Dziewczyna była pomocnicą szwaczki, miała biedne pokłute igłą palce i drobne, jędrne ciało, które zrobiło się śliskie, kiedy popływali w rzece.

— Myra, jesteś jak węgorz! — zawołał Rob i poczuł się lepiej.

Była szybka jak pstrąg, a on niezręczny niczym wielki morski potwór, gdy zanurzyli się razem w zieloną wodę. Rozsunęła! rękami nogi Roba i przepływając między nimi, otarła się o nie swym jędrnym ciałem. Dwa razy już się kochali w cieple na • brzegu i Rob pozostawił w Myrze swój gniew, o parę stóp od szczypiącej trawę Kobyły i Buffingtonowej, która siedziała w pobliżu, spokojnie im się przyglądając. Myra miała malutkie spiczaste piersi i gąszcz jedwabistych brązowych włosów. Nie, nie gąszcz, raczej szopę, pomyślał gorzko. Jest bardziej dziewczyną niż kobietą, choć to pewne, że bywała już z mężczyznami.

— Ile masz lat, ślicznotko? — zapytał od niechcienia.

— Mówią, że piętnaście.

Zdał sobie sprawę, że jest w tym samym wieku co jego siostra, Annę Mary, i posmutniał na myśl, że siostra gdzieś dorosła i jest mu zupełnie obca. Nagle przeraziła go myśl tak potworna, aż osłabł i wydało mu się, że chmura przysłoniła blask słońca.

— Zawsze miałaś na imię Myra?

To pytanie wywołało uśmiech zdumienia u dziewczyny.

— Oczywiście, tak się nazywam. Myra Felker. A jak miałabym się nazywać?

— I tu się urodziłaś, ślicznotko?

— Tu mnie matka powiła, w Worcester, i tu mieszkam — odpowiedziała wesoło.

Skinął głową i poklepał ją po ręce. Pomyślał jednak z pełnym odrazą przerażeniem, że w tej sytuacji nie może mieć pewności, czy pewnego dnia całkiem nieświadomie nie pójdzie do łóżka z własną siostrą. Postanowił w przyszłości nie zadawać się z kobietami w wieku Annę Mary.

Ta przygnębiająca myśl zakłóciła świąteczny nastrój Roba. Zaczął zbierać ubranie.

— O, musimy już iść? — zapytała Myra z żalem.

— Tak — odparł. — Czeka mnie daleka droga do St. Ives.

Arthur Giles z St. Ives sprawił Robowi ogromny zawód, mimo że nie miał prawa wiele sobie po nim obiecywać, gdyż Benjamin Merlin wyraźnie go polecił tylko na jego nalegania. Medyk był grubym niechlujnym staruchem i sprawiał wrażenie co najmniej niespełna rozumu. Trzymał kozy, i to częściowo chyba w domu, śmierdziało w nim bowiem odrażająco.

— Tylko puszczenie krwi leczy, młodzieńcze. Musisz zapamiętać. Gdy wszystko inne zawodzi, trzeba zastosować porządne, oczyszczające puszczenie krwi, a potem następne, i jeszcze jedno. To leczy tych psubratów! — krzyczał Giles. Odpowiadał na pytania chętnie, ilekroć jednak Rob wspominał jakiś inny sposób leczenia poza puszczeniem krwi, stawało się oczywiste, że to ten stary mógłby się z pożytkiem nauczyć niejednego od Roba. Giles nie miał

żadnej wiedzy medycznej, żadnego zasobu wiadomości, które mógłby przekazać uczniowi. Zaproponował Robowi praktykę i wyglądał na rozzłoszczonego, kiedy ta propozycja została grzecznie odrzucona. Rob z radością wyjeżdżał z St. Ives uznawszy, że lepiej być nadal balwierzem, niż stać się medykiem podobnym do tego.

Przez kilka następnych tygodni żył jak dotąd, na pozór wyrzekłszy się nierealnego marzenia o zostaniu medykiem. Pracował ciężko przy występach, sprzedawał sporo driakwi i znajdował satysfakcję w pomnażaniu swoich zysków. Buffingtonowa kwitła korzystając z owoców jego powodzenia, tak jak on kiedyś korzystał z powodzenia Balwierza. Służyły jej resztki z obfitego stołu Roba i na jego oczach wyrosła na dużą białą kocicę o zuchwałych zielonych ślepiach. Charakter miała lwicy, toteż często wdawała się w bójkę. W Rochester zniknęła w czasie przedstawienia i wróciła do obozu Roba o zmierzchu z okrutnie pogryzioną prawą przednią łapką, lewym uchem w strzępach i białym futrem sklejonym krwią. Rob obmył jej rany i opatrzył jak kochanek, mrużąc:

— Ach, moja pani, tak samo jak ja musisz się nauczyć unikać burd, bo nic ci to nie da.

Napoił kotkę mlekiem i usiadłszy przy ognisku wziął ją na kolana. Drapała go w rękę szorstkim językiem. Może dlatego, że została mu na palcach kropla mleka albo pachniały jeszcze kolacją? Wolał jednak uznać to za pieszczotę i w zamian pogłaskał jej miękkie futerko, wdzięczny za towarzystwo.

— Gdybym miał wolną drogę do muzułmańskiej szkoły — powiedział kotce — wsadziłbym cię na wóz, skierował Kobylę do Persji i raz-dwa byłibyśmy w tym pogańskim kraju. Nic by nam nie przeszkodziło.

Abu Ali al-Husajn ibn Abdullah Ibn Sina, pomyślał z tęsknotą.

— Niech cię piekło pochłonie, Arabie — powiedział na głos i poszedł spać.

Zgłoski tego imienia brzęczały mu w głowie jak natrętna, fascynująca litania. Abu Ali al-Husajn ibn Abdullah Ibn Sina, Abu Ali al-Husajn ibn Abdullah Ibn Sina... Powtarzał je w myśli, dopóki recytacja tych tajemniczych zaklęć nie uciszyła w nim niepokoję i nie zasnął.

Tej nocy przyśniło mu się, że starł się w walce wręcz na sztylety ze strasznym starym rycerzem. Stary rycerz popierdywał drwiąco. Jego czarną zbroję pokrywały rdza i mech. Ich głowy znajdowały się tak blisko, że widać było ropę i smarki wiszące u kościstego nosa, a kiedy Rob zajrzał w okrutne oczy, poczuł mdły, smrodliwy oddech rycerza. Walczyli na śmierć i życie. Rob był młody i silny, lecz wiedział, że sztylet czarnej zjawy jest bezlitosny, a jej zbroja nie do przebicia. Za rycerzem widać było jego ofiary: mamę, tatę, malutkiego Samuela, Balwierza, nawet Incitatusa i niedźwiedzia Bartrama, i wściekłość dodawała Robowi siłę, mimo że czuł już, jak nieubłagane ostrze zanurza się w jego ciało.

Gdy się obudził, ubranie z wierzchu miał wilgotne od rosy, a od środka mokre od potu wywołanego strasznym snem. Leżąc w porannym słońcu i słysząc parę stóp od siebie radosny śpiew drozda, pojął, że sen się skończył, on jednak nadal żyje. I nie może opuścić pola walki.

Ci, którzy odeszli, nie wrócą, tak to już jest. Czyż jednak istnieje lepszy sposób spędzenia życia jak w walce z Czarnym Rycerzem? Przecież studia medyczne to coś, co można pokochać zamiast rodziny. Gdy przyszła kotka i otarła się o niego zdrowym uchem, postanowił, że dopnie swego.

Starania Roba wciąż jednak okazywały się daremne. Występował kolejno w Northampton, Bedford i Hertford, odszukiwał miejscowych medyków, rozmawiał z nimi i stwierdzał, że ich wiedza o leczeniu, wzięta razem, nie dorównuje wiedzy Balwierza. Medyk w miasteczku Maldon miał opinię takiego rzeźnika, że kiedy pytał o drogę do domu tej pijawki, ludzie błedli i żegnali się znakiem krzyża. Wiedział, że na nic się nie zda terminowanie u takich medyków.

Przyszło mu w końcu na myśl, że może inny hebrajski medyk bardziej będzie skłonny go przyjąć, zatrzymał się więc w Maldon na rynku, gdzie murarze wznosili ceglany mur.



— Nie wiecie o jakim Żydzie tutaj? — zapytał majstra. Ten popatrzył na niego, splunął i odwrócił się tyłem. Znie lepszym skutkiem spytał kilku ludzi na rynku. Wreszcie znalazł się jeden, który przyjrzał mu się z ciekawością.

— Dlaczego szukacie Żydów?

— Szukam żydowskiego medyka.

Mężczyzna kiwnął głową z życzliwym zrozumieniem.

— Niech Chrystus się zmiłuje nad wami. Żydzi są w Malmesbury i mają tam medyka imieniem Adolescentoli — powiedział.

Jazda z Maldon do Malmesbury zajęła mu pięć dni z przystankami w Oksfordzie i Alverton na występy i sprzedaż specyfiku. O ile pamiętał, Balwierz mówił o Adolescentolim jako

o sławnym medyku, z nadzieją więc wjeżdżał do Malmesbury, gdy już wieczorne cienie kładły się na niewielkie, bezładnie pobudowane miasteczko. W gospodzie zjadł prostą, ale pożywną wieczerzę. Balwierz uznałby baranią potrawkę za źle przyprawioną, lecz znalazło się w niej sporo mięsa, potem zaś udało mu się za zapłatą dostać świeżą słomę do rozścielenia w kącie izby.

Nazajutrz przy śniadaniu poprosił gospodarza, by mu opowiedział o Żydach z Malmesbury.

Karczmarz wzruszył ramionami, jakby pytał: A o czym tu mówić?

— Jestem ciekaw, bo do niedawna w ogóle nie znałem Żydów.

— To dlatego, że niewielu ich w naszym kraju — rzekł gospodarz. — Mąż mojej siostry, który jest kapitanem statku

i w wielu krajach bywał, powiada, że pełno ich we Francji, są wszędzie, a im dalej na wschód, tym gęściej są rozsiani.

— A mają tu Izaaka Adolescentolego, medyka? Gospodarz szeroko się uśmiechnął.

— Odwrotnie, to on ich ma. Obsiedli Izaaka Adolescentolego i żyją z jego sławy.

— Taki jest sławny?

— To wielki medyk. Ludzie z daleka przyjeżdżają zasięgnąć jego porady i zatrzymują się w mojej gospodzie — oznajmił z dumą. — Księża, ma się rozumieć, gadają na niego, ale... — przytknął palec do ust i pochylił się — wiem, że przynajmniej dwa razy zabierali go nocą i wieźli do Canterbury, żeby się zajął arcybiskupem Aethelnathem, bo zeszłego roku już myśleli, że zemrze.

Wskazał mu drogę do żydowskiego osiedla i Rob wkrótce mijał szare kamienne mury opactwa Malmesbury, las i pola, a dalej położoną na stromym zboczu winnicę, w której mnisi zbierali grona. Od żydowskiej kolonii, raptem kilku stojących blisko siebie domów, oddzielał opactwo zagajnik. Tak, to na pewno byli Żydzi: mężczyźni jak wrony, w luźnych czarnych kaftanach i skórzanych kapeluszach w kształcie dzwonów. Piłowali drzewo i coś przybijali we wznoszonej szopie. Rob zajechał pod większy od innych budynek z dużym podwórzem pełnym wozów z przegniętymi końmi.

— Gdzie znajduję Izaaka Adolescentolego? — zapytał jednego z kilku chłopców doglądających koni.

— W tamtym domu, przyjmuje chorych — odpowiedział chłopak i zręcznie chwycił monetę rzuconą przez Roba po to, by zapewnić Kobyle dobrą opiekę.

Drzwi frontowe prowadziły do wielkiej poczekalni zastawionej drewnianymi ławami pełnymi cierpiących. Zupełnie jak kolejki czekające na leczenie za jego zasłoną, tyle że ludzi było tu dużo więcej i ani jednego wolnego miejsca, stanął więc pod ścianą.

Co jakiś czas z drzwi prowadzących w głąb domu ktoś wychodził i zabierał chorego

siedzącego z brzegu na najbliższej ławie. Reszta się wówczas posuwała o jedno miejsce dalej. Okazało się, że medyków jest pięciu: czterech młodych, piątym zaś był niewysoki mężczyzna w średnim wieku, o żwawych ruchach — Adolescentoli, jak domyślił się Rob.

Czekanie trwało bardzo długo. Tłum w izbie w ogóle się nie zmniejszył, bo ilekroć któryś z medyków wołał kogoś z poczekalni, nowy pacjent wchodził z zewnątrz. Rob zabijał czas próbując zgadywać choroby pacjentów.

Zanim znalazł się na pierwszym miejscu w ławie z brzegu, było już południe. W drzwiach stanął jeden z młodych medyków.

— Możecie iść za mną — rzekł z francuskim akcentem.

— Chcę się widzieć z mistrzem Adolescentolim.

— Ja jestem Moses ben Abraham, uczeń mistrza Adolescentolego. Potrafię się wami zająć.

— Nie wątpię, że umielibyście mnie leczyć, gdybym był chory. Muszę się widzieć z waszym mistrzem w innej sprawie.

Praktykant skinął głową i zwrócił się do kolejnego chorego na ławie.

Niedługo wyszedł Adolescentoli i wprowadził Roba do krótkiego korytarzyka. Przez nie domknięte drzwi mignęła Robowi izba chirurgiczna z ławą operacyjną, kubłami i instrumentami. Weszli na koniec do małej izdebki pozbawionej sprzętów, z jednym tylko stolikiem i dwoma krzesłami.

— O co wam chodzi? — zapytał Adolescentoli. Wysłuchał z pewnym zaskoczeniem, gdy Rob, zamiast opisywać objawy choroby, nerwowo mu wyznał, że pragnie studiować medycynę.

Medyk miał śniadą przystojną twarz pozbawioną uśmiechu. Zapewne to spotkanie skończyłoby się inaczej, gdyby Rob był mądrzejszy, ale nie potrafił powstrzymać się od pytania:

— Dawno mieszkacie w Anglii, mistrzu?

— Dlaczego pytacie?

— Bo tak dobrze mówicie po angielsku.

— Urodziłem się w tym domu — spokojnie odpowiedział Adolescentoli. — W roku pańskim siedemdziesiątym cesarz Tytus, po zburzeniu Świątyni, kazał przewieźć pięciu młodych żydowskich jeńców z Jerozolimy do Rzymu. Mówiono o nich adolescentoli, „młodzieńcy” po łacinie. Pochodzę od jednego z nich, Józefa Adolescentolego. Uzyskał wolność wstępując do rzymskiego Drugiego Legionu i z nim przybył na tę wyspę, kiedy jeszcze ją zamieszkiwali mali żeglarze pływający łódkami ze skór, ciemnoskórzy Sylurowie, którzy się pierwsi nazwali Brytami. Czy wasza rodzina też od tak dawna przebywa w Anglii?

— Nie wiem.

— Wy też jak należy posługujecie się językiem angielskim — gładko zauważył Adolescentoli.

Rob opowiedział mu o spotkaniu z Merlinem, wspominając tylko, że rozmawiali o wykształceniu medycznym, po czym spytał:

— Czy i wy także studiowaliście u tego wielkiego perskiego medyka z Isfahanu?

Adolescentoli pokręcił głową.

— Ja studiowałem na uniwersytecie bagdadzkim, większej szkole medycznej, z zasobniejszą biblioteką i większymi możliwościami. Tylko że oczywiście nie mieliśmy tam Ibn Siny, którego tutaj zwą Awicenną.

Pogawędzili o jego praktykantach. Trzej byli Żydami z Francji, czwarty Żydem z Salerno.

— Oni woleli mnie od Awicenny czy jakiegoś Araba — oświadczył z dumą

Adolescentoli. — Nie mają takiej biblioteki, niestety, jak studenci w Bagdadzie, ale ja mam księgę ze spisem sposobów leczenia według metody Aleksandra z Trialles i przepisami na maści, kataplazmy i okłady. Muszą ją studiować z wielką uwagą, tak samo jak część łacińskich ksiąg Pawła z Eginy i pewne dzieła Pliniusza. I zanim się z nimi rozstanę, każdy musi się nauczyć puszczenia krwi, wypalania, nacinania arterii i zdejmowania katarakty.

Rob poczuł dojmującą tęsknotę, uczucie podobne do tego, jakie czuje mężczyzna spoglądający na kobietę, której akurat pragnie.

— Przychodzę was prosić, żebyście mnie przyjęli na naukę. Adolescentoli pochylił głowę.

— Domyśliłem się, że po to tu przyszliście, ale nie mogę was przyjąć.

— Nie dacie się przekonać?

— Nie. Musicie sobie poszukać mistrza wśród chrześcijańskich medyków albo pozostać balwierzem oświadczył Adolescentoli bez okrucieństwa, lecz stanowczo.

Może kierował się tym samym co Merlin, Robowi jednak nie było dane się tego dowiedzieć, gdyż medyk nie chciał z nim dłużej rozmawiać. Wstał, odprowadził go do drzwi i obojętnie skinął głową, gdy Rob opuszczał dom pełen chorych.

Dwa miasta dalej, w Devizes, Rob podczas przedstawienia upuścił jedną z piłeczek po raz pierwszy, odkąd nauczył się zonglować. Ludzie śmiali się z jego błędu, mimo to przychodzili z dolegliwościami i kupowali lek. Za zasłonę wszedł także młody, mniej więcej w wieku Roba, rybak z Bristolu, który oddawał mocz z krwią i wychudł ponad wszelką miarę. Powiedział Robowi, że wie, że jest umierający.

— Nic nie możecie mi pomóc?

— Jak się nazywacie? — zapytał go spokojnie Rob.

— Hamer.

— Myślę, że możecie mieć guz na wnętrznościach, Hamer. Ale nie jestem pewien. Nie umiem was wyleczyć ani ulżyć w cierpieniu. — Pomyślał, że Balwierz po prostu sprzedałby choremu więcej flaszek driakwi. — W tym moim leku najwięcej jest alkoholu, który gdzie indziej kupicie taniej—dodał nie wiedząc dlaczego. Nigdy przedtem nie mówił tego żadnemu z chorych.

Rybak podziękował mu i odszedł.

Adolescentoli i Merlin umieliby więcej dla niego zrobić, uświadomił sobie z goryczą Rob. Co za łajdacy tchórze, pomyślał, nie chcą go uczyć, a krwiożerczy Czarny Rycerz szczyrzy zęby.

Tego dnia wieczorem zaskoczyła go wściekła burza z wichrem i ulewą. Był drugi dzień września, za wcześnie jeszcze na jesienne ulewy, ale wcale przez to mniej nie przemókł i nie zziął. Dobrnął do jedynego w pobliżu schronienia, gospody w Devizes, i uwiązał za lejce Kobyłę do konara wielkiego dębu na podwórzu. Gdy się wcisnął do środka, stwierdził, że wielu już go wyprzedziło — podłoga była zajęta do ostatniego skrawka.

W ciemnym kącie izby kulił się zmordowany mężczyzna, oburącz tuląc do siebie wypchany tłumok, w jakich kupcy wożą towary. Gdyby nie wizyta w Malmesbury, Rob aniby na niego drugi raz nie spojrzął, teraz jednak poznał po czarnym kaftanie i spiczastym skórzanym kapeluszu, że to Żyd, dlatego też powiedział głośno:

— W taką noc jak dzisiejsza zginął Pan Jezus. Rozmowy w gospodzie ucichły, gdy rozwiódł się szerzej,

opowiadając historię Męki Pańskiej, podróżni bowiem lubią rozerwać się słuchaniem. Ktoś podał mu pucharek. Kiedy mówił, jak tłuszcza zaprzeczyła, że Jezus jest królem żydowskim, zmęczony człowiek w kącie jakby się skurczył.

Zanim Rob doszedł w opowiadaniu do Golgoty, Żyd zabrał tłumok i wymknął się w noc i

burzę. Wtedy Rob przerwał swą opowieść i zajął jego miejsce w ciepłym kącie.

Przepędzenie kupca nie większą dało mu jednak satysfakcję niż kiedyś podanie Balwierzowi driakwi dla specjalnych klientów. Ogólną izbę w gospodzie wypełniał smród mokrych wełnianych ubrań i nie mytych ciał i wkrótce zrobiło mu się niedobrze. Jeszcze zanim deszcz ustał, wyszedł z gospody do wozu, skierował Kobyłę na pobliską polanę i wyprząął. W wozie miał suche drwa na podpałkę, udało mu się więc rozpaścić ognisko. Buffingtonowa za młoda była jeszcze, by mieć kocięta, lecz wydawała już woń kocicy i poza kregiem ognia w ciemnościach zamiauczał jakiś kocur. Rob rzucił patykiem, by go odpędzić, a biała kotka otarła się o niego.

— Piękna z nas para samotników — powiedział. Postanowił, że choćby miał szukać całe życie, nie spocznie,

póki nie znajdzie medyka godnego, żeby mógł u niego terminować. Dwaj Żydzi, z którymi ostatnio rozmawiał, odmówili, na pewno jednak są inni.—Może któryś mnie przyjmie do terminu, jak udam, że jestem Żydem oznajmił kotce.

Tak się to zaczęło — nawet nie od marzenia, lecz od szalonego, lekkomyślnego pomysłu. Rob wiedział, że nie potrafiłby na tyle przekonująco udawać Żyda, by ujść codziennej obserwacji żydowskiego mistrza, ale usiadłszy przy ogniu, wpatrzył się w płomienie i pomyślał nabierać kształtów. Kotka podsunęła mu pod rękę jedwabisty brzuszek.

— Może bym potrafił na tyle dobrze udawać Żyda, żeby oszukać muzułmanów? — spytał kotkę, samego siebie i Boga. — Na tyle dobrze, żeby studiować u „największego medyka na świecie”?

Oszołomiony tą szaloną myślą puścił kotkę, ona zaś jednym susem wskoczyła do wozu. Za chwilę wróciła z czymś, co wyglądało jak puszyste zwierzątko. Okazało się, że to sztuczna broda, którą Rob nosił odgrywając bzdurną rolę starucha. Wziął brodę do ręki. Jeżeli mógł być staruchem dla Balwierza, spytał sam siebie, czyż nie może być Hebrajczykiem? Kupca z gospody w Devizes i innych można naśladować...

— Będę udawał Żyda! — zawołał.

Na szczęście nikt w pobliżu nie przechodził i nie słyszał, jak długo i głośno rozmawia z kotką, zaraz bowiem ogłoszono by go czarownikiem przemawiającym do sukubów.

Kościół się nie bał.

— Gwiżdżę na księży, tych złodziei dzieci — oświadczył kotce.

Mógł zapuścić długą żydowską brodę i już miał jej zaczątki. Będzie mówił, że podobnie jak synowie Merlina, wychowywał się bez kontaktu ze swoimi i nie zna ich języka i obyczajów.

Dostanie się do Persji!

Dotknie rąbka szaty Ibn Siny!

Był podniecony i przerażony, wstydził się, że cały drży, choć jest dorosłym mężczyzną. Czuł się jak wtedy, gdy po raz pierwszy wyjeżdżał poza Southwark.

Żydzi podobno są wszędzie, niechaj przekleństwo spadnie na ich dusze. W czasie podróży wkradnie się w ich łaski i będzie badał obyczaje. Nim dotrze do Isfahanu, przygotuje się do roli Żyda. A Ibn Sina będzie musiał go przyjąć i wtajemniczyć w sekrety arabskiej medycyny.

**Część druga**  
**Daleka podróż**

## Pierwszy etap

Z Londynu odpływało do Francji więcej statków niż z innych angielskich portów, Rob wyruszył więc do swego rodzinnego miasta. Przez całą drogę zatrzymywał się w miasteczkach i wsiach chcąc na swą wyprawę zabrać jak najwięcej złota. Nim przybył do Londynu, sezon podróży morskich dobiegł końca. Tamiza jeżyła się masztami zakotwiczonych statków. Król Kanut, wierny swym duńskim korzeniom, wystawił całą armadę okrętów, jakimi pływali wikingowie, mknących po wodzie tak szybko, jakby je ciągnęły morskie potwory. Tym straszliwym okrętom wojennym towarzyszyła w porcie godna ich flotylla innych statków: przysadziste handlowe żaglowce przerobione na dalekomorskie statki rybackie, trójrzędowe prywatne galery bogaczy, płaskodenne powolne żaglowce do przewozu ziarna, dwumasztowe kupieckie statki pocztowe o trójkątnych żaglach z łańskim takielunkiem, dwumasztowe włoskie karraki i długie jednomasztowce — pociągowe konie handlowej floty krajów północnych. Na żadnym z nich nie było towaru ani pasażerów, zaczęły się już bowiem zimne sztormowe wiatry. W ciągu najbliższych okrutnych sześciu miesięcy niejednego ranka słony pył wodny zmarznie na Kanale i żeglarze wiedzieli, że nie mogą zapuszczać się tam, gdzie Morze Północne ściera się i zlewa z Oceanem Atlantyckim, gdyż grozi to niechybnym utonięciem w marznących wodach.

W „Śledziu”, marynarskiej spelunce na nabrzeżu, Rob wstał i rąbnawszy kuflem pełnym korzennego jabłecznika w stół, zawołał:

— Szukam przytulnej, czystej izby do wiosennego sezonu żeglugi! Nie wie kto o czymś takim?

Niski tęgi mężczyzna o budowie buldoga przyjrzał mu się, dopił swego kufła i kiwnął głową.

— Ano—powiedział—mój brat Tom nie wrócił z ostatniej podróży. Wdowa po nim, niejaka Binnie Ross, została z dwojgiem drobiazgu do wykarmienia. Jak zechcecie uczciwie zapłacić, wiem, że was przyjmie.

Rob postawił mu kolejkę, a potem udał się za nim niedaleko, do małego domku w pobliżu targu na East Cheap. Binnie Ross okazała się chudą myszką o wielkich, zmartwionych niebieskich oczach w wynędzniałej, bladej twarzyczce. Izba była czystutka, choć bardzo mała.

— Mam kota i konia — uprzedził Rob.

— Och, kota chętnie przyjmę — rzekła Binnie z zapalem. Widać było, że bardzo potrzebuje pieniędzy.

— Konia możecie odstawić na zimę—poradził jej szwagier. — Na Thames Street są stajnie Egglestana. Rob kiwnął głową.

— Znam te stajnie — powiedział.

— Jest kotna — orzekła Binnie Ross, biorąc na ręce i głaszcząc kotkę.

Rob nie zauważył, by chudy brzuch kotki jakoś szczególnie się zaokrąglił.

— Skąd wiecie?—zapytał, pewny, że kobieta się myli.—To jeszcze kociak, urodziła się zeszłego roku w lecie.

Kobieta wzruszyła ramionami.

Miała jednak rację — niebawem Pani Buffington się zaokrągliła. Rob podsuwał kotce smakołyki i zaopatrywał w dobre jedzenie Binnie i jej syna. Córeczka była jeszcze niemowlęciem karmionym piersią. Maleństwo na imię miało Aldyth, a chłopczyk, niespełna dwuletni, nazywał się Edwin. Robowi sprawiały przyjemność wyprawy na targ i robienie dla nich zakupów, pamiętał bowiem, jakie cuda czyni dobre jedzenie po długim okresie burczenia

w pustym brzuchu.

Co wieczór słyszał, że Binnie płacze. Nie minęło dwa tygodnie, odkąd u niej zamieszkał, jak przyszła do niego po ciemku do łóżka, bez słowa położyła się i objęła go szczupłymi ramionami, milcząc przez cały akt. Ciekawy, spróbował jej pokarmu i stwierdził, że jest słodki.

Kiedy skończyli, wymknęła się z powrotem do własnego łóżka i na drugi dzień zachowywała się, jak gdyby nic nie zaszło.

— Jak umarł twój mąż? — zapytał Rob, gdy rano nalewała do misek owsiankę.

— Zginął podczas sztormu. Wulf, jego brat, ten, co cię do mnie przyprowadził... mówi, że mojego Paula zmyło. Nie umiał pływać — dodała.

Jeszcze raz w nocy go wykorzystwała, tuląc się do niego rozpaczliwie. Wkrótce jej szwagier, który przez cały ten czas niewątpliwie zbierał się na odwagę, by z nią pomówić, zjawił się pewnego popołudnia i od tej pory przychodził codziennie z małymi prezentami. Bawił się z bratankami, ale było jasne, że zaleca się do ich matki, aż wreszcie Binnie powiedziała Robowi, że się pobierają z Wulfem. Dzięki temu łatwiej mu było teraz spędzać u niej czas w oczekiwaniu na wiosnę.

Któregoś dnia, gdy akurat szalała zamieć, Rob odebrał piękny miot Pani Buffington: białą koteczkę, miniaturkę jej samej, białego kocurka i dwa biało-czarne kocurki, które urodę zapewne wzięły po ojcu. Binnie ofiarowała się utopić cztery kociaki, ale Rob na to nie pozwolił i gdy tylko matka przestała je karmić, wyścielił szmatami koszyk i rozniósł kocięta po gospodarach, stawiając ludziom kolejki, byle wszystkie rozdać.

W marcu z powrotem skierowano na nabrzeża niewolników wykonujących najcięższe prace w porcie i długie rzędy ludzi i dwukołowych wózków znowu zatłoczyły Thames Street, przewożąc do składów i na statki ciężkie ładunki towarów, które miały popłynąć do innych krajów.

Rob wypytywał bez końca podróżników i doszedł do wniosku, że najlepiej mu będzie wyruszyć w dalszą drogę z Calais.

— Do Calais idzie mój statek—powiedział mu Wulf i zabrał go na nabrzeże, by obejrzał „Królową Emmę”. Statek nie dorównywał wspaniałości swej nazwie—był wielką, starą drewnianą balią z olbrzymim masztem. Dokerzy ładowali nań bryły cyny wykopanej w Kornwalii. Wulf zaprowadził Roba do kapitana, ponurego Walińczyka, a ten zapytany, czy weźmie pasażera, kiwnął głową i wymienił cenę, która wydała mu się uczciwa.

— Mam konia i wóz — dodał Rob. Kapitan zmarszczył czoło.

— Drogo będzie was kosztowało przewiezienie ich drogą morską. Niektórzy podróżni sprzedają konie i wozy po tej stronie Kanału i kupują nowe po tamtej.

Rob zastanowił się, ale na koniec zdecydował, że niezależnie od kosztów zapłaci za przewóz. Miał zamiar w czasie podróży zarabiać jako balwierz, a Kobyła i czerwony wóz tak dobrze mu służyły, że wątpił, aby udało mu się znaleźć na ich miejsce coś równie dobrego.

Kwiecień przyniósł polepszenie pogody i wreszcie zaczęły odpływać pierwsze statki. „Królowa Emma” podniosła z mułu Tamizy kotwicę jedenastego dnia tego miesiąca, żegnana przez Binnie rzewnymi łzami. Wiał chłodny, ale łagodny wiatr. Rob przyglądał się, jak Wulf z siedmioma jeszcze marynarzami ciągnął liny stawiając olbrzymi czworokątny żagiel, który natychmiast z łopotem się wzdał, i wyruszyli z odpływem. Głęboko zanurzona pod ładunkiem metalu „Królowa Emma” wyszła z Tamizy, ciężko się przesunęła między wyspą Thanet a lądem i uparcie prac pod wiatr, popłynęła przez Kanał.

Ciemniał oddalający się zielony brzeg, aż Anglia stała się niebieską mgiełką, a potem fioletową smugą powoli wchłanianą przez morze. Rob nie miał jednak czasu na wzniosłe myśli —morska choroba wywracała mu wnętrzności. Wulf mijając go na pokładzie splunął z

pogardą za burzę.

— Na krew Chrystusa! Mamy za duże zanurzenie, żeby nas rzuciło czy kołysało, lepszej pogody nie widziałem, morze jest spokojne. Co z tobą?

Ale Rob, wychylony za burzę, by nie zapaskudzić pokładu, nie był w stanie odpowiedzieć. Jego kłopoty po części wynikały z przerażenia, nigdy bowiem dotąd nie był na morzu, ponadto prześladowały go opowieści o topielcach. Nasłuchał się ich kiedyś o mężu i synach Edithy Lipton, a ostatnio o nieszczęsnym Paulu Rossie, który zostawił Binnie wdowę. Oleista woda, do której wymiotował, nieodgadniona i bezdenna, mogła mieścić najstraszliwsze potwory, przeklinał więc lekkomyślność, z jaką się puścił na ten obcy żywioł. Pogarszał sprawy wiatr, który przybrał na sile, podnosząc na morzu wielkie bałwany. Wkrótce Rob pewien był niechybnej śmierci i przyjąłby ją z ulgą jako wyzwolenie. Kiedy Wulf odszukał go i zaoferował obiad złożony z chleba i smalcu z solonej słoniny, doszedł do wniosku, że na pewno Binnie przyznała mu się do odwiedzin w łóżku Roba i to jest zemsta jej przysięgi, ale nie miał sił się bronić.

Podróż trwała siedem długich jak wieczność godzin, zanim nad zbałwanionym horyzontem uniosła się inna mgiełka, z której powoli jęło się wylaniać Calais.

Wtedy Wulf pośpiesznie się pożegnał, by zająć się żaglem.

Rob sprowadził Kobyłę z wozem po kładce na ląd falujący jak morze. Sam siebie przekonywał, że ziemia Francji nie może się kołysać, na pewno przecież słyszałby o czymś tak cudacznym. I rzeczywiście, po kilku minutach chodzenia nie wydawała się już tak niepewna. Ale dokąd tu pójść? Nie miał pojęcia, gdzie się udać ani co zrobić dalej. Do reszty zaś przybił go język — nie rozumiał ani słowa z trajkotu, jaki słyszał dokoła. Wreszcie zatrzymał się, wlaź na wóz i klasnął w ręce.

— Wynajmę kogoś, kto mówi moim językiem! — zawołał. Z tłumu wyszedł stary człowiek o ściągniętej twarzy. Miał

chude piszczele i w ogóle cały wyglądał jak kościotrup, co niewielki obiecywało z niego pożytek przy dźwiganiu. Spojrzał bacznie na Roba, dostrzegł jego pobladłą twarz i oko mu zabłysło.

— Może wypijemy coś na pocieszenie i pogadamy? Jabłecznik czyni cuda na kłopoty żołądkowe — powiedział i znajoma angielska mowa zabrzmiała w uszach Roba jak anielskie pienia.

Zatrzymali się w pierwszej gospodzie i usiedli przed drzwiami, przy stole zbitym z sosnowych desek.

— Jestem Charbonneau — rzekł Francuz przekrzykując gwar nabrzeża. — Louis Charbonneau.

— Rob J. Cole.

Gdy pojawiła się przed nimi jabłeczna gorzałka, wypili wzajem swoje zdrowie i okazało się, że Charbonneau miał rację — alkohol rozgrzał Robowi żołądek, przywracając go do grona żywych.

— Chyba będę mógł coś zjeść — oznajmił ze zdziwieniem.

Zadowolony Charbonneau wydał polecenia i zaraz usługująca dziewczyna przyniosła na ich stół chrupki chleb, talerz małych zielonych oliwek i owczy ser, jedzenie, które i Balwierzowi by smakowało.

— Sami widzicie, że trzeba mi pomocy — z żałością w głosie rzekł Rob. — Nie potrafię nawet zamówić jedzenia.

Charbonneau się uśmiechnął.

— Całe życie pływałem. Byłem chłopcem, kiedy mój pierwszy statek zawinął do Londynu, i dobrze pamiętam, jak tęskniłem do dźwięku rodzimej mowy. Połowę życia na



ładzie spędziłem po drugiej stronie Kanału, toteż dobrze poznałem angielską mowę.

— Ja jestem balwierzem, jadę do Persji po rzadkie leki i lecznicze zioła, żeby wysłać je do Anglii — wyjaśnił Rob, który umyślił sobie, iż tak będzie rozpowiadał, by nie słuchać ciągłych uwag, że prawdziwy powód jego podróży do Isfahanu Kościół uważa za występki.

Charbonneau uniósł brwi.

— Daleko.

Rob kiwnął twierdząco głową.

— Potrzebny mi przewodnik, ktoś, kto mi jednocześnie będzie tłumaczem, żebym mógł dawać przedstawienia, sprzedawać swój lek i leczyć chorych w czasie podróży. Dobrze zapłacę.

Charbonneau wziął z talerza oliwkę i położył na wygrzonym w słońcu stole.

— To Francja... — powiedział. Wziął drugą oliwkę. — Pięć księstw germańskich pod rządami Sasów... — Następnie brał kolejne oliwki, aż ułożył ich w rzędzie siedem. Bohemia — rzekł wskazując na trzecią — w której żyją Słowianie. Dalej leżą ziemie Madziarów, kraj chrześcijański, ale pełen okrutnych barbarzyńskich jeźdźców. Dalej Bałkany, kraina wysokich dzikich gór i rosnących porywczych ludzi. Dalej Tracja, o której wiem niewiele poza tym, że stanowi najdalszy kraniec Europy i że tam leży Konstantynopol. I wreszcie Persja, dokąd chcecie jechać. — Przyjrzał się uważnie Robowi. — Moje rodzinne miasto znajduje się na pograniczu Francji i kraju Germanów, których językami mówiłem od dzieciństwa. A zatem gdybyście mnie najęli, towarzyszyłbym wam aż tu... — Wziął dwie pierwsze oliwki i wrzucił je do ust. — Potem muszę was zostawić, żeby wrócić do Metzu przed przyszłą zimą.

— Umowa stoi — powiedział z ulgą Rob.

Następnie, gdy Charbonneau szeroko się uśmiechnął i zamówił więcej gorzałki, Rob uroczyście spożył resztę ułożonych rzędem oliwek, wyjadając sobie kolejno drogę przez pozostałe pięć krajów.

## Na obczyźnie

Francja nie była tak soczyście zielona jak Anglia, za to bardziej słoneczna. Niebo wydawało się tu wyższe, barwę miało głęboko błękitną. Kraj w większości porastały lasy, podobnie jak Anglię. Była to kraina bardzo schludnych gospodarstw z tu i ówdzie ponuro sterczącym kamiennym zamkiem podobnym do tych, jakie Rob przywykł oglądać na angielskiej wsi, niektórzy panowie jednak mieszkali w wielkich drewnianych dworach, nie spotykanych w Anglii. Bydło pasło się na pastwiskach, chłopci siali na polach pszenicę. Roba wkrótce niejedno tu zadziwiło.

— Dużo tutejszych zabudowań gospodarskich nie ma dachów — zauważył.

— Mniej tu pada niż w Anglii, toteż niektórzy młocą ziarno w otwartych stodołach — wyjaśnił Charbonneau. Jechał na wielkim, spokojnym, niemal białym siwku. Jego broń robiła wrażenie używanej i dobrze utrzymanej. Co wieczór starannie obrządzał wierzchowca, czyścił również i polerował miecz i sztylet. Był dobrym towarzyszem przy ognisku i na gościńcu.

Każdą zagrodę otaczały sady obsypane teraz kwieciami. Rob zatrzymywał się w kilku, chcąc kupić alkohol, nie mógł jednak nigdzie dostać korzennego miodu, w końcu nabył więc baryłkę jabłkowej gorzałki podobnej do trunku, który mu tak posmakował w Calais, i stwierdził, że wychodzi z niej wspaniała driakiew.

Tutaj, podobnie jak wszędzie, najlepsze drogi zbudowali w dawnych czasach Rzymianie dla przemarszu armii, szerokie gościńce łączyły miejscowości prosto jak strzelił.

— Są wszędzie, to sieć pokrywająca cały świat — mówił o nich z miłością Charbonneau. — Gdyby człowiek chciał, mógłby taką drogą zawędrować do samego Rzymu.

Rob jednak przy drogowskazie wskazującym wieś o nazwie Caudry skręcił z rzymskiej drogi.

— Te leśne trakty są niebezpieczne — zgañił jego decyzję Charbonneau.

— Muszę jechać nimi chcąc wykonywać swój zawód. To jedyne drogi do mniejszych osiedli. Zapowiadam swoje przybycie grając na rogu. Zawsze tak robiłem.

Charbonneau wzruszył ramionami.

Domy w Caudry kryte były stożkowatą strzechą z gałęzi lub słomy. Kobiety gotowały pod gołym niebem i przy większości domów w pobliżu ognia stał stół zbity z desek i ławy pod prymitywnym daszkiem, zawieszonym dla osłony od słońca na czterech grubych palach z pni młodych drzewek. Caudry nie można by pomylić z angielską wsią, lecz Rob przystąpił do zwykłych swych czynności, jakby był w kraju. Wręczył Charbonneau bębenek i kazał bębnić. Francuz miał rozbawioną minę, ale bardzo się zainteresował, kiedy Kobyła zatańczyła w takt bębenka.

— Dziś występy, przedstawienie! — wołał Rob. Charbonneau wnet pojął, o co chodzi, i od tej chwili

tłumaczył każde jego słowo.

Rob stwierdził, że występowanie we Francji jest zabawne, gdyż widzowie śmiali się wprawdzie z tych samych historyjek, w innych jednak miejscach—może dlatego, że musieli czekać na tłumaczenie. W czasie zonglerki Roba Charbonneau stał jak zaczarowany, a wrywające mu się okrzyki zachwyty zdawały się zarażać tłum, który entuzjastycznie klaskał. Po przedstawieniu sprzedali bardzo dużo driakwi.

Tego dnia wieczorem przy ognisku Charbonneau bez końca go namawiał do zonglerki,

ale Rob odmówił.

— Napatrzycie się dość, jak będę pracował, nie bójcie się.

— Niesłychane! Powiadacie, że robicie to od dziecka?

— Tak — potwierdził Rob i opowiedział, jak Balwierz go przygarnął po śmierci rodziców.

Charbonneau pokiwał głową.

— Mielście szczęście. Mój ojciec umarł, jak miałem dwanaście lat, i razem z bratem, Etienne'em, oddano nas na piracki statek jako chłopców okrętowych. — Westchnął. Ciężkie to było życie, przyjacielu.

— Zdawało mi się, żeście mówili, że w pierwszej podróży przybyliście do Londynu.

— W pierwszej mojej podróży na statku handlowym, kiedy miałem lat siedemnaście. Przedtem pięć lat pływałem z piratami.

— Mój ojciec pomagał bronić Anglii w trzech najazdach. Dwa razy, kiedy Duńczycy napadli na Londyn, i raz jak piraci najechali Rochester — powiedział powoli Rob.

— Moi piraci nie napadali na Londyn. Raz wylądowaliśmy w Romney, spaliliśmy dwa domy i zabrali krowę, którą zarzneliśmy na mięso. — Popatrzyli na siebie. — To byli źli ludzie. Robiłem to, żeby przeżyć.

Rob kiwnął głową.

— A Etienne? Co się z nim stało?

— Kiedy dorósł, uciekł od nich, wrócił do naszego miasteczka i wyuczył się na piekarza. Dziś on też jest stary, a wypieka nadzwyczajny chleb.

Rob uśmiechnął się, po czym ułożyli się na posłaniach do snu.

Co parę dni zajeżdżali na rynek innej wsi, gdzie czekała praca jak wszędzie: rubaszne piosenki, rysowanie pochlebnych portretów i sprzedawanie driakwi. Z początku Charbonneau tłumaczył kuglarskie nawoływania Roba, ale wkrótce tak je opanował, że potrafił sam zebrać tłumy. Rob ciężko pracował, przyciskany koniecznością napełnienia mieszka, gdyż wiedział, że na obczyźnie pieniądź jest ochroną.

Czerwiec był ciepły i suchy. Wgryzali się kęs za kęsem w oliwkę Francji, posuwając się jej północnym skrajem, i z początkiem lata znaleźli się nad germańską granicą.

— Zbliżamy się do Strasburga — oznajmił Charbonneau pewnego ranka.

— Zajedźmy tam, żebyście mogli odwiedzić swoich.

— Jeżeli to zrobimy, stracimy dwa dni — skrupulatnie ostrzegł go Charbonneau, lecz Rob uśmiechnął się wzruszając ramionami, polubił bowiem starzejącego się Francuza.

Miasto okazało się piękne, rojne od rzemieślników budujących wielką katedrę, której wygląd już teraz zapowiadał, że zaćmi wspaniałością te piękne szerokie ulice i ładne domy. Zajechali prosto przed piekarnię i pełen swady Etienne Charbonneau wziął brata w umączone ramiona.

Wieść o ich przyjeździe rozeszła się kanałami rodzinnymi i tegoż wieczora dwóch przystojnych synów Etienne'a i trzy jego czarnookie córki, wszyscy z dziećmi i małżonkami, zbrali się, by to uczcić. Najmłodsza Charlotte, niezamężna i mieszkająca z ojcem, przygotowała wystawny obiad — trzy gęsi pieczone z marchewką i suszonymi śliwkami. Podano też na stół dwa rodzaje świeżego chleba. Okrągły bochen, nazwany przez Etienne „psim chlebem”, upieczony z dwóch warstw ciasta, pszennego i żytniego, smakował wyśmienicie wbrew swej nazwie. Etienne wyjaśnił, że to chleb dla biedaków, i namówił Roba, by skosztował droższego, podłużnego chleba pieczonego z pytlowej mąki uzyskanej z mieszanego ziarna, żytniego i pszennego. Robowi jednak bardziej smakował „psi chleb”.

Wieczór upłynął im wesoło. Louis i Etienne ku ogólnej uciechu tłumaczyli słowa Roba, dzieci tańczyły, kobiety śpiewały, Rob zonglowaniem odwdzięczał się za obiad, a Etienne okazał się w graniu na dudach równie dobry jak w pieczeniu chleba. Na koniec, gdy już wychodzili, cała rodzina wycalowała obu podróżnych na pożegnanie, Charlotte zaś wciągnęła brzuch i wypięła dopiero co wyrosłe piersi, a jej wielkie ciepłe oczy spojrzały na Roba z wyzywającym zaproszeniem. Tego wieczora leżąc w pościeli zastanawiał się, jakie mogłoby być jego życie, gdyby się ustatkował na łonie takiej rodziny i osiadł w tak miłej okolicy.

W środku nocy wstał.

— Czegoś potrzebujecie? — zapytał cichym głosem Etienne, który siedział po ciemku w pobliżu śpiącej córki.

— Idę się wysikać.

— Pójdę z wami — powiedział Etienne, wyszli więc razem i zgodnie z pluskiem się wysikali na ścianę stodoły. Gdy Rob wrócił na siennik, Etienne usadowił się na stołku, by dalej pilnować Charlotte.

Rano pokazał Robowi wielkie okrągłe piece i podarował mu worek „psiego chleba” pieczonego dwukrotnie, twardego i nie do zepsucia, jak suchary okrętowe.

Strasburczycy musieli tego dnia poczekać na swój chleb, Etienne bowiem zamknął piekarnię, pragnąc odprowadzić ich kawałek. Rzymska droga zawiodła ich nad Ren, niedaleko domu Etienne'a, potem skręciła z biegiem rzeki do oddalonego

o parę mil brodu. Tam bracia pochylili się w siodłach i uściskali.

— Jedźcie z Bogiem—pożegnał ich Etienne i zawrócił konia do domu, gdy oni z pluskiem się przeprawiali.

Pełna wirów rzeka była zimna i jeszcze lekko brunatna od ziemi porwanej w górnym biegu przez wiosenne powodzie. Trakt na drugim brzegu wznosił się stromo, toteż Kobyła porządnie się namęczyła, nim wciągnęła wóz do kraju Germanów.

Wkrótce znaleźli się w górach, w wysokim świerkowo-jodłowym lesie. Charbonneau przycichał coraz bardziej, co Rob z początku przypisywał żalowi, z jakim rozstawał się z rodziną

i domem, wreszcie jednak Francuz splunął i powiedział:

— Nie lubię Germanów, niechętnie też przebywam na ich ziemi.

— Ale jak na Francuza, urodziliście się bardzo blisko Germanów — zauważył Rob.

Charbonneau się skrzywił.

— Można żyć tuż nad morzem, a nie przepadać za rekinami — oświadczył.

Kraj wydał się Robowi miły, powietrze było tu chłodne i zdrowe. Kiedy zjechali z długiego zbocza góry, u jej stóp ujrzeli mężczyzn i kobiety koszących i przetrząsających siano na paszę zupełnie jak wieśniacy w Anglii. Wspięli się na następną górę wśród niewielkich górskich pastwisk, gdzie dzieciaki pilnowały krów i kóz spędzonych tu na letni wypas z niżej położonych gospodarstw. Niebawem z biegnącego szczytem traktu zobaczyli w dole zamczykso z ciemnego kamienia, przy którym w szrankach potykali się na lance z owiniętymi ostrzami jacyś konni.

Charbonneau znowu splunął.

— To zamek straszego człowieka — powiedział. — Tutejszego landgraфа, hrabiego Zygryda Równorękiego.

— Równorękiego? Nie brzmi ten przydomek zbyt strasznie.

— Dziś landgraf jest już stary. Na przydomek zasłużył sobie w młodości, kiedy najechał Bamberg i wziął dwustu jeńców. Jednej setce kazał odciąć prawe ręce, drugiej lewe.

Puścili konie klusem i nie zwolnili, dopóki zamek nie zniknął im z oczu.

Nim przyszło południe, dojechali do drogowskazu przy drodze odchodzącej od rzymskiego gościńca i prowadzącej do wsi Entburg, do której postanowili zajechać z występami. Niewiele bocznej drogi przebyli, gdy za zakrętem ujrzeni na środku traktu tarasującego przejazd człeka na wychudzonym kasztanku o kaprawych ślepiach. Mężczyzna był łysy, krótką szyję miał całą w fałdach tłuszczu. Szorstki samodział okrywał jego postać, tęgą, a jednocześnie krzepką, z wyglądu przypominającą Balwierza w czasie, gdy Rob go poznał. Zagradzał im drogę, ale broń trzymał w pochwie, Rob ściągnął więc lejcami Kobylę. Zmierzyli się wzrokiem, po czym łysy coś powiedział.

— Pyta się, czy masz gorzałkę—przetłumaczył Charbonneau.

— Powiedz, że nie mam.

— Psiajucha, nie jest sam—rzekł Charbonneau nie zmieniając tonu i wtedy Rob dojrzał za drzewami przedzierających się jeszcze dwóch jeźdźców. Jeden, młody, dosiadał muła. Gdy zbliżył się do łysego, Rob dostrzegł podobieństwo ich rysów i domyślił się, że to ojciec i syn. Trzeci siedział na wielkim, ciężkim bydłociu wyglądającym jak koń pociagowy. Ustawił się tuż za wozem, odcinając drogę odwrotu. Miał może ze trzydzieści lat, był niewysoki, wyglądał na człowieka podstępного i brak mu było lewego ucha jak Pani Buffington. Obaj trzymali w ręku miecze Łysy znowu głośno coś powiedział do Charbonneau.

— Mówi, że masz zejść z wozu i rozebrać się. Jak się rozbierzesz, zabiją cie—przetłumaczył Charbonneau.—Odzież jest droga i nie chcą jej splamić krwią.

Rob nie zauważył, skąd Charbonneau wy dobył nóż i stęknawszy z wysiłku rzucił nim z taką wprawą, że nóż tylko śmignął i głęboko utkwiał w piersi młodego z mieczem.

W oczach łysego mignęło zaskoczenie, a zanim uśmiech całkiem znikł z jego warg, Roba nie było już na koźle.

Jednym susem znalazł się na szerokim grzbiecie Kobylę, skoczył i ściągnął tamtego z siodła. Runęli na ziemię i potoczyli się, próbując się nawzajem obezwładnić. Wreszcie Robowi udało się wbić mu od tyłu lewą rękę pod brodę jak klin. Mięsista pięść wymierzyła mu cios w pachwinę, ale zdołał się uchylić i przyjął razy na udo. Uderzenia były tak potężne, że stracił czucie w nodze.

Dotychczas zawsze walczył po pijanemu i zamroczony wściekłością. Teraz był trzeźwy i skupił się na jednej zimnej, jasnej myśli: zabić!

Wstrząsany szlochem chwycił wolną dłonią za przegub własnej lewej ręki i szarpnął do tyłu, chcąc tamtego zadławić miażdżąc mu tchawicę. Kiedy to nie poskutkowało, jął prawą ręką cisnąć czoło przeciwnika, aby odgiąć mu głowę do tyłu i złamać kręgosłup. Trzaskaj, błagał w myśli.

Łysy miał jednak krótką, grubą szyję, obrosłą tłuszczem i nabrzmiąłą mięśniami. Jego dłoń z długimi czarnymi paznokciami dosięgła twarzy Roba, który zdołał wprawdzie usunąć głowę, ale pazury i tak przeorały mu policzek do krwi.

Stękali z wysiłku, zmagając się w zwarciu niczym sprośni kochankowie. Łysy ponownie sięgnął do twarzy Roba, wyżej, szukając oczu. Ostre pazury zagłębiły się w ciało i Rob wydał z siebie dziki wrzask.

Wtedy wyrósł nad nimi Charbonneau. Bez pośpiechu poszukał miejsca między zebrami, a znalazłszy je, przytknął ostrze noża i pchnął głęboko. Łysy westchnął jakby z zadowolenia, ! przestał stękać, znieruchomiał i ciężko opadł. Rob dopiero teraz poczuł jego odór.

Upłynęła chwila, zanim mógł się odsunąć od ciała. Usiadłszy na ziemi ujął w dłonie poranioną twarz.

Drugi z napastników, ten młody, leżał przewieszony przez zad muła, okrutnie zaczepony brudnymi bosymi stopami. Charbonneau wy dobył z niego nóż i wytarł, po czym uwolnił nogi

trupa ze sznurkowych strzemion i złożył ciało na ziemi.

— A gdzie trzeci? — wykrztusił Rob, nie mogąc opanować drżenia głosu.

Charbonneau splunął.

— Uszedł, jak tylko zobaczył, że nie umrze spokojną śmiercią.

— Może do Równorekiego po posiłki? Charbonneau pokręcił głową.

— To rzezuny od gnoju, nie ludzie landgrafa.

Przeszukując ciała, sprawiał wrażenie, jakby robił to nie pierwszy raz. Gruby miał na szyi zawieszony sącdek z monetami, przy młodym nie znalazł pieniędzy, tylko poczerniały krzyżyk. Broń obaj mieli nędzną, mimo to Charbonneau wrzucił ją do wozu.

Zostawili rzezimieszków na drodze, tam gdzie padli, trupa łysego z twarzą zanurzoną we własnej krwi. Charbonneau uwiązał muła z tyłu wozu, ujął za cugle schwytanego chudego konia i zawrócili na rzymski gościniec.

## Obca mowa

Gdy Rob zapytał Charbonneau, skąd umie rzucać nożem, stary Francuz powiedział, że nauczyli go w młodości piraci.

— Przydawała się ta sztuka w walce z tymi diabłami Duńczykami przy zdobywaniu ich okrętów... — zawahał się. — I w walce z Anglikami, jakieś się bili o ich okręty — dodał chytrze. Teraz już nie dzieliły ich żadne stare uprzedzenia, obaj się też pozbyli ostatnich wątpliwości, czy mogą na siebie liczyć. Szeroko uśmiechnęli się do siebie.

— Pokażecie mi?

— Jak mnie nauczycie żonglerki — rzekł Charbonneau i Rob skwapliwie się zgodził. Korzyść z umowy okazała się jednostronna, gdyż dla Charbonneau za późno było na opanowanie nowej i niełatwej umiejętności w tak krótkim czasie, jaki mieli jeszcze spędzić razem; zdołał się nauczyć wyrzucania tylko dwóch piłeczek, ale zabawa nimi dawała mu dużo przyjemności Rob miał nad nim przewagę młodości i przez lata żonglerki wyrobił sobie w przegubach rąk mięśnie silne jak sprężyny, a także bystre oko, poczucie równowagi i rytmu.

— Do miotania potrzebujecie specjalnego noża — wyjaśnił Charbonneau. — Wasz sztylet ma za cienkie ostrze, jakbyście nim zaczęli rzucać, zaraz by pękł albo rękojeść by się złamała, bo w niej leży środek ciężkości zwykłego sztyletu. W nożu do miotania środek ciężkości wypada na klindze, dlatego jednym ruchem nadgarstka można gładko rzucić ostrzem do przodu. Rob szybko się nauczył miotać nożem Charbonneau tak, by leciał ostrym brzeszczotem do przodu. Trudniej było nabyć wprawy w trafianiu do celu, lecz przywykł już był do systematycznych ćwiczeń, teraz więc wprawiał się przy każdej okazji, rzucając nożem do celu zaznaczonego na pniu grubszego drzewa.

Trzymali się dróg rzymskich, uczęszczanych przez różnojęzyczny tłum. Raz zepchnął ich z drogi orszak francuskiego kardynała. Prałat przejechał w asyście dwustu jeźdźców i stu pięćdziesięciu sług, w szkarłatnych butach, szkarłatnym kapeluszu i szarej kapie narzuconej na biały niegdyś ornat, ciemniejszy teraz niż kapa od kurzu drogi.

Pielgrzymi pojedynczo i w mniejszych lub większych grupach zmierzali w kierunku Jerozolimy, czasami prowadzeni i nauczani przez tych, którzy już tam byli, ludzi bogobojnych, zaznaczających fakt, że tę pobożną wędrówkę już raz odbyli, dwiema skrzyżowanymi palmowymi gałązkami zerwanymi w Ziemi Świętej. Mijały ich galopem całe watahy zbrojnych rycerzy pokrzykujących i wznoszących bojowe okrzyki, częstokroć pijanych, zwykle skorych do zwady i zawsze spragnionych sławy, łupów i awantur. Co gorliwsi wierni we włosiennicach pełzli do Palestyny na pokrwawionych rękach i kolanach, wypełniając ślubowania złożone Bogu lub któremuś ze świętych. Wyczerpani i bezbroni, z łatwością padali ofiarą napadów, na drogach bowiem rojło się od rzezimieszków. Przedstawiciele prawa strzegli go w najlepszym razie tylko pozornie, toteż •schwytanego na gorącym uczynku złodzieja lub zbója podróżni sami wieszali bez sądu.

Rob nie wypuszczał broni z ręki, obawiając się trochę, że Człowiek bez ucha sprowadzi na nich bandę konnych, by się Zemścić. Choć jego słuszny wzrost, złamany nos i rany widoczne na twarzy sprawiały, że wyglądał groźnie, pojał ku swej uciesze, że najlepszym jego obrońcą jest kruchy z pozoru starzec, którego najął ze względu na znajomość języka angielskiego.

W Augsburgu, ruchliwym mieście handlowym założonym przez rzymskiego cesarza Augusta w 12 roku przed narodzeniem Chrystusa, zaopatrzyli się w żywność. Augsburg był

ośrodkiem wymiany między Germanią a Italią, pełnym ludzi nieustannie krzątających się wokół swoich interesów, czyli handlu. Charbonneau pokazał Robowi włoskich kupców rzucających się w oczy z powodu obuwia z drogocennej materii, z zadartymi spiczastymi noskami. Od pewnego czasu Rob coraz częściej widywał Żydów, lecz na targach Augsburga spotkał ich więcej niż gdziekolwiek, od pierwszego rzutu oka łatwych do rozpoznania po czarnych kaftanach i skórzanych z wąskimi kresami kapeluszach w kształcie dzwonu.

Wystąpił w Augsburgu, nie sprzedał jednak tyle driakwi co gdzie indziej, może dlatego, że Charbonneau nie wkładał dość zapachu w tłumaczenie, gdy musiał się posługiwać gardłową mową Germanów. Nie miało to znaczenia, bo kiesę zdążył już napełnić.

Dziesięć dni później, po przybyciu do Salzburga, Charbonneau zapowiedział, że przedstawienie w tym mieście będzie ich ostatnim wspólnym występem.

— Za trzy dni przybywamy nad rzekę Dunaj, tam was zostawię i wracam do Francji — oznajmił, a Rob skinął głową. — Nie jestem wam już potrzebny. Za Dunajem leży Bohemia i ludzie tamtejsi mówią nie znanym mi językiem.

— Chętnie wezmę was ze sobą, czy będziecie tłumaczyli, czy nie.

Charbonneau uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Czas mi wracać do domu, tym razem na dobre.

Tego wieczora wyprawili sobie w gospodzie pożegnalną ucztę z miejscowych potraw: wędzonego mięsa duszonego ze słoniną, kiszoną kapustą i mąką. Nie smakowało im to, więc lekko sobie podchmielili czerwonym winem. Rob szczerze wynagrodził starego, który miał dla niego jeszcze ostatnią praktyczną radę.

— Przed wami niebezpieczny kraj—powiedział. — Mówią, że w Bohemii nie odróżnisz zdziczałego zbója od najemnika miejscowych panów. Żeby ją bez szwanku przebyć, musisz się trzymać innych.

Rob przyrzekł, że postara się przyłączyć do jakiejś silnej grupy.

Dunaj okazał się rzeką potężniejszą, niż się spodziewał, o rwącym nurcie i lustrze groźnym, oleistym, co jak wiedział, jest cechą wszystkich głębokich, niebezpiecznych wód. Charbonneau został dzień dłużej, niż obiecywał, postanowiwszy dojechać z Robem w dół rzeki do dzikiej i na pół osiadłej wsi Linz, skąd wielki, pływający na tratwie z bali prom przewoził ludzi i towary przez spokojne rozlewisko szerokiego w tym miejscu Dunaju.

— No cóż... — powiedział Francuz, kiedy dotarli na miejsce.

— Może pewnego dnia jeszcze się zobaczymy.

— Nie sądzę — oświadczył Charbonneau. Uściskali się na pożegnanie.

— Żyćcie wiecznie, Robercie Cole.

— Żyćcie wiecznie, Louisie Charbonneau.

Rob zsiadł z wozu i poszedł ugodzić się co do przeprawy, a stary tymczasem odjechał na swym kościstym kasztanku.

Przewoźnik był ponurym zakatarzonym ciołkiem, nieustannie zlizującym smarki z górnej wargi. Załatwienie przeprawy okazało się dość trudne, gdyż Rob nie władał językiem Bohemian, toteż w końcu miał poczucie, że przepłacił. Kiedy po ciężkich targach dokonanych na migi wrócił do wozu, starego Charbonneau nie było już widać.

Trzeciego dnia licząc od wjazdu do Bohemii Rob spotkał pięciu tęgich, rumianych Germanów i spróbował im wytłumaczyć, że chciałby podróżować z nimi. Zachowywał się uprzejmie, proponował złoto, wspominał, że chętnie zajmie się gotowaniem, jak również innymi pracami obozowymi, lecz żaden ani się uśmiechnął — jedyną odpowiedzią było pięć dłoni sięgających do rękojęści pięciu mieczy.

— A niech to!... — zdenerwował się na koniec i odwrócił. Nie mógł ich wszakże winić,



jako grupa bowiem rozporządzali już pewną siłą, on zaś był obcy i stanowił zagrożenie.

Kobyła ściągnęła go z gór na wielką, otoczoną zielonymi pagórkami równinę w kształcie półmiska. Były tu uprawne pola szarej ziemi, na których mężczyźni i kobiety w pocie czoła pochylali się nad pszenicą, owsem, jęczmieniem i burakami, ale większą część kraju pokrywał mieszany las. Nocami Rob słyszał w pobliżu wycie wilków, podsycał więc ogień, mimo że nie było zimno, a Pani Buffington miauczała słysząc głosy dzikich zwierząt i spała przytulona do niego kościstym grzbietem.

W wielu rzeczach zależny był przedtem od Charbonneau, teraz przekonał się jednak, jak ważne było samo jego towarzystwo. Jadąc rzymskim gościńcem, zrozumiał znaczenie słowa samotność, bo przecież z nikim z napotkanych ludzi nie mógł porozmawiać.

W tydzień po rozstaniu z Charbonneau rankiem natknął się na obdartego z ubrania i okaleczonego wisielca na drzewie przy drodze. Był szczupły, miał twarz łasicy i brakowało mu lewego ucha. Rob żałował, że nie może powiadomić Charbonneau, iż kto inny już dopadł trzeciego z rzezimieszków, którzy się na nich porwali.

## Z karawaną

Przemierzywszy rozległą równinę, Rob znowu znalazł się w górach. Nie były tak wysokie jak te, które pozostały za nim, lecz na tyle strome, że musiał zwolnić. Dwakroć jeszcze spotykał na drodze grupy podróżnych i próbował się do nich przyłączyć, za każdym razem go odrzucano. Któregoś ranka minęła go odziana w łachmany grupa jeźdźców wołających coś do niego w nie znanym języku, ale skinął im tylko głową na powitanie i odwrócił wzrok, widać bowiem było, że są spłoszeni i wystraszeni. Czuł, że nie ujechałby z nimi daleko.

Gdy po przybyciu do jakiegoś dużego miasta zaszedł do gospody, z radością stwierdził, że gospodarz zna parę angielskich słów. Dowiedział się od niego, iż miasto nazywa się Brno. Mieszkańcy tego kraju w przeważającej części należeli do plemienia zwanego Czechami. Niewiele więcej Rob zdołał się dopytać, mimo że gospodarz wykorzystał cały swój skromny zasób angielskich słów, sama bowiem ich wymiana była szczytem jego możliwości. Kiedy wrócił z gospody do wozu, przyłapał jakiegoś człowieka grzebiącego w jego rzeczach.

— Precz — powiedział spokojnie dobywając miecza. Intruz błyskawicznie zeskoczył z wozu i zniknął, nim zdążył go zatrzymać. Kieska nadal tkwiła bezpiecznie przybita pod podłogą wozu, brakowało zaś jedynie worka z przyborami używanymi do magicznych sztuczek. Myśl o minie, jaką zrobi złodziej po rozwiązaniu worka, była mu niemałą pociechą.

Po tym wydarzeniu co dzień pucował broń i pokrywał ostrza cienką warstwą tłuszczu, aby gładko wysuwały się z pochw. Nocami sypiał czujnie albo wcale, nasłuchując najłżejszego szmeru, który by mógł wskazywać, że ktoś się podkrada. Wiedział, że niewielkie miałby szansę, gdyby go napadła banda takich jak tamci konni w łachmanach. Jeszcze przez długie dziewięć dni jechał sam, wciąż czując się niepewnie, aż któregoś ranka droga wynurzyła się z lasu i ze zdumieniem, radością i wzbierającą nadzieją ujrzał przed sobą małą osadę całą zajętą przez olbrzymią karawanę.

Wokół szesnastu domów osady kłębiło się kilkaset zwierząt. Rob widział konie i muły różnej wielkości i maści, osiodłane lub zaprzęzione do najrozmaitszych wozów, wózków i innych wehikułów. Uwiązał Kobyłę do drzewa. Wszędzie było pełno ludzi i kiedy się przepychał między nimi, w uszy uderzył go gwar niezrozumiałych języków.

— Przepraszam — zwrócił się do człowieka mozolnie zmieniającego koło. — Gdzie szukać mistrza karawany? — Pomógł dźwignąć koło do piasty, uzyskał jednak za to tylko uśmiech wdzięczności i skinienie głową świadczące, że człek ów go nie zrozumiał.

— Gdzie mistrz karawany? — spytał następnego podróżnego, karmiącego właśnie dwa zaprzęgi wielkich wołów, które na końce ostrych rogów miały nasadzone drewniane kule.

— A, der Meister? Kerl Fritta — odrzekł tamten, wskazując w kierunku czoła karawany.

Teraz już poszło łatwo, wyglądało bowiem na to, że wszyscy znają nazwisko Kerl Fritta. Ilekroć je Rob wymówił, kiwano głową i wskazywano palcem, aż wreszcie dotarł do miejsca, gdzie w polu ustawiono stół przy wielkim wozie zaprzężonym w sześć największych, jakie oglądał w życiu, dobranych maścią pociągowych kasztanów. Na stole leżał nagi miecz, a za stołem siedział mężczyzna o długich ciemnych włosach zaplecionych w dwa grube warkocze, zajęty rozmową z pierwszym z długiej kolejki czekających podróżnych.

Rob stanął na końcu kolejki.

— To Kerl Fritta? — zapytał.

— Tak, to on — odparł jeden z czekających.

Z ogromnym zdumieniem spojrzeli na siebie uradowani.

— Jesteście Anglikiem!

— Szkotem — poprawił tamten z lekkim tylko rozczarowaniem. — Co za spotkanie! Co za spotkanie! — mruknął ściskając obie dłonie Roba. Był wysoki i chudy, miał długie siwe włosy i twarz wygoloną na modłę Brytów. Nosił podróżny strój z szorstkiego czarnego sukna, ale było to dobre sukno i ubranie dobrze skrojone. — James Geikie Cullen — przedstawił się.

— Hodowca owiec i pośrednik w handlu wełną. Jadę z córką do Anatolii w poszukiwaniu lepszych odmian owiec.

— Robert Jeremy Cole, balwierz. W drodze do Persji po bezcenne leki.

Cullen objął go niemal czułym spojrzeniem. Kolejka się posuwała, lecz na tyle wolno, że mieli dość czasu na wymianę informacji, a angielskie słowa jeszcze nigdy nie brzmiały im w uszach tak miło.

Cullenowi towarzyszył mężczyzna w brudnych brązowych spodniach i obszarpanym szarym kaftanie, niejaki Seredy, jak się Rob dowiedział, wynajęty sługa i tłumacz. Ze zdumieniem też usłyszał, że już się nie znajduje w Bohemii, że nie wiedząc o tym dwa dni wcześniej wkroczył na ziemię węgierskie, a osada, którą kupcy z karawany tak odmienili, nazywa się Vac. Od jej mieszkańców wędrowcy mogli kupić chleba i sera, choć drogo trzeba było płacić zarówno za żywność, jak i za inne towary. Popasająca tu karawana powstała w szwabskim księstewku, w mieście Ulm.

— Fritta to Germanin — wtajemniczył Roba Cullen.

— Nie wygląda na to, żeby się szczególnie silił na uprzejmość, ale lepiej się zabrać z nim, trzeba bowiem wierzyć pogłoskom, że madziarscy rozbójnicy grabią samotnych podróżnych i mniejsze grupy, a drugiej takiej dużej karawany w pobliżu nie ma.

Wszyscy, zda się, słyszeli o rozbójnikach, i w miarę jak kolejka posuwała się do przodu, przyłączali się do niej inni chętni. Tuż za Robem, budząc jego zainteresowanie, stanęło trzech Żydów.

— W takiej karawanie przychodzi podróżować zarówno z ludźmi dobrze urodzonymi, jak z byle plugastwem — powiedział głośno Cullen. Rob przyjrzał się tym trzem w ciemnych kaftanach i skórzanych kapeluszach. Rozmawiali jeszcze innym obcym językiem, lecz wydało mu się, że oczy stojącego najbliżej rozbłysły, kiedy Cullen się odezwał, jak gdyby zrozumiał, o czym mowa. Rob odwrócił wzrok.

Stanąwszy przed stołem Fritty, Cullen zajął się własną sprawą, a potem uprzejmie zaoferował Robowi Seredy'ego jako tłumacza.

Mistrz karawany, mając doświadczenie i wprawę w takich rozmowach, gładko wypytał go o nazwisko, zawód i cel podróży.

— Mistrz każe wam powiedzieć, że karawana nie jedzie do Persji — rzekł Seredy. — Za Konstantynopolem musicie urządzić się inaczej.

Rob skinął głową, a Germanin wygłosił dłuższą przemowę.

— Opłata, jaką musicie uiścić mistrzowi Fritcie, wynosi równowartość dwudziestu angielskich pensów w srebrze, ale pensów już mu nie trzeba, bo w pensach płaci mój pan, i mistrz Fritta powiada, że niełatwo będzie mu je wydać, jak zbierze ich za wiele. Pyta, czy możecie zapłacić w denarach.

— Mogę.

— Weźmie dwadzieścia siedem denarów — wyrecytował nazbyt gładko Seredy.

Rob się zawahał. Miał denary, sprzedawał bowiem driakiew we Francji i w Germanii, lecz nie znał kursu wymiany.

— Dwadzieścia trzy — powiedział ktoś tuż za nim tak cicho, że Rob pomyślał, iż tylko mu

się zdawało.

— Dwadzieścia trzy — oświadczył stanowczo. Mistrz karawany zgodził się na tę sumę lodowatym tonem, spoglądając mu prosto w oczy.

— Sami musicie zadbać o zapasy i zaopatrzenie w drodze. Gdybyście przyzostali z tyłu albo musieli się odłączyć, karawana nie będzie czekać — tłumaczył Serey. — Mistrz mówi, że karawana rusza w składzie mniej więcej dziewięćdziesięciu grup, razem sto dwadzieścia dusz z górą. Trzeba jednego strażnika na każde dziesięć osób, tak że co dziesięć dni całą noc musicie stać na straży.

— Zgoda.

— Nowo przybyli zajmują miejsce na końcu karawany, gdzie największy kurz i najbardziej niebezpiecznie. Pojedziecie za imię Cullenem i jego córką. Ilekroć ktoś przed wami się odłączy, posuwacie się o jedno miejsce bliżej. A każdy, kto po was dołączy do karawany, zajmuje miejsce za wami.

— Zgoda.

— A jak będziecie wykonywali swój zawód balwierza służąc ludziom z karawany, zarobkiem podzielicie się po równo z mistrzem Frittą.

— Nie — odpowiedział natychmiast, byłoby bowiem niesprawiedliwe, gdyby musiał oddawać temu Germaninowi połowę zarobku.

Cullen chrząknął. Rob zerknął na Szkota, zobaczył strach na jego twarzy i przypomniał sobie, co od niego słyszał o madziarskich rozbójnikach.

— Powiedz dziesięć, zgódź się na trzydzieści procent — szepnął cichy głos za nim.

— Dam dziesięć procent swoich zarobków — oświadczył Rob.

Fritta wypowiedział jedno lapidarne słowo, które Rob uznał za teutoński odpowiednik „gówna”, i znów krótko coś burknął.

— Mistrz chce czterdzieści.

Ugodzili się na trzydzieści procent. Rob podziękował Cullenowi za tłumacza i odchodząc, szybko zerknął na trzech Żydów. Byli to mężczyźni średniego wzrostu, o twarzach tak opalonych, że aż śniadych. Ten, który stał tuż za nim, miał mięsisty nos i grube wargi nad długą brodą przetykaną siwizną. Nie patrzył na Roba podchodząc do stołu z pełną koncentracją człowieka, który wy badał już przeciwnika.

Nowo przybyłym kazano zająć miejsca na końcu karawany po południu i rozbić tam obóz na noc, mieli bowiem wyruszyć tuż po świcie. Rob znalazł swoje miejsce między Cullenem a Żydami, wyprzągł Kobyłę i odprowadził ją trochę dalej, by pasła się na trawie. Mieszkańcy Vacu korzystali z ostatniej okazji, żeby wyprzedać zapasy; u Roba też pojawił się chłop z jajami i żółtym serem, za które żądał czterech denarów — cenę budzącą grozę. Zamiast pieniędzy Rob dał mu za towar trzy flaszki driakwi, w ten sposób zapewniając sobie wieczerzę.

Jedząc przyglądał się sąsiadom, a oni jemu. W obozowisku przed nim Serey przyniósł wodę, ale gotowała wysoka rudowłosa córka Cullena. Obozowisko za nim rozbiło pięciu mężczyzn. Skończywszy zmywać po posiłku, Rob podszedł do Żydów, którzy czyścili zwierzęta. Mieli dobre konie, a także dwa juczne muły — jeden zapewne przyniósł namiot rozbity teraz na noc. Patrzyli w milczeniu, gdy Rob podchodził do mężczyzny, który stał za nim, kiedy targował się z Frittą.

— Jestem Robert Jeremy Cole. Chcę wam podziękować.

— Nie ma za co, nie ma za co — rzekł mężczyzna i odjął zgrzebło od grzbietu konia. — Ja jestem Meir ben Aszer — dodał, po czym przedstawił swoich towarzyszy. Dwóch Rob widział już w kolejce: Gerszoma ben Szemuela z brodawką na nosie, niskiego i z wyglądu krzepkiego jak dąb, i Judę ha-Cohena o zakrzywionym nosie, małych ustach, lśniących czarnych włosach

jak niedźwiedzia sierść i takiej samej brodzie. Pozostali dwaj byli młodsi: Szymon ben ha-Lewi, szczupły i poważny, prawie dorosły, tyczka z kosmykiem zamiast brody, i syn Meira, Tuwe, dwunastoletni chłopak, duży na swój wiek jak niegdyś Rob.

Rozmawiał Meir, pozostali przyglądali się tylko Robowi bardzo ostrożnie.

— Jesteście kupcami?

Meir potwierdził skinieniem głowy.

— Kiedyś nasza rodzina mieszkała w miasteczku Hameln w Germanii — wyjaśnił. — Dziesięć lat temu przenieśliśmy się wszyscy do Angory w Bizancjum i jeździmy do krajów Wschodu i Zachodu, kupując i sprzedając.

— A co kupujecie i sprzedajecie? Meir wzruszył ramionami.

— Wszystko po trosze.

Rob był zachwycony tą odpowiedzią. Godzinami obmyślał, co ma mówić o sobie, kiedy go zapytają, a teraz się przekonał, że to niepotrzebne. Ludzie interesu za wiele nie mówią.

— A dokąd wy jedziecie? — zapytał młody Szymon ben ha-lewi zaskakując Roba, który już uznał, że tylko Meir zna język angielski.

— Do Persji.

— Do Persji! Znakomicie! Macie tam rodzinę?

— Nie, jadę po towar. Trochę ziół, może to i owo z leków.

— Ach, tak — mruknął Meir. Żydzi spojrzeli po sobie, przyjmując wyjaśnienie do wiadomości. A że czas było odejść, Rob życzył im dobrej nocy.

Cullen przypatrywał się, kiedy Rob rozmawiał z Żydami, i Rob podszedłszy do jego obozowiska odniósł wrażenie, że Szkot stracił niemal całą uprzednią serdeczność. Bez entuzjazmu przedstawił mu swoją córkę, Margaret, która powitała Roba dosyć uprzejmie.

Z bliska jej rude włosy wyglądały na miłe w dotyku, oczy spoglądały chłodno i smutno. Wydatne zaokrąglone kości policzkowe zdawały się grube jak męska pięść, nos i podbródek miała kształtne, choć wcale nie delikatne. Twarz i ramiona pokrywały jej nieprzystojne piegi. Rob nie przywykł do tak wysokich kobiet.

Jeszcze się zastanawiał, czy jest piękna, gdy nadszedł Fritta i krótko coś powiedział do Serey'ego.

— Mistrz Fritta chce, żeby pan Cole trzymał straż tej nocy

— powtórzył po angielsku tłumacz.

O zmierzchu Rob objął więc straż nad częścią karawany

— obozowiskiem Cullenów i dziewięcioma dalszymi łącznie z własnym.

Podczas obchodu uzmysłowił sobie, jaką przedziwną ludzką zbieraninę stanowi karawana. Oto przy krytym wozie kobieta o oliwkowej skórze i żółtych włosach karmiła niemowlę, a jej mąż siedząc w kucki przy ognisku smarował uprząż. Dalej dwaj mężczyźni starannie czyścili broń, za nimi chłopak rzucał ziarno trzem tłustym kurom w niezgrabnej, skleconej z desek klatce; gdzie indziej chudy jak trup mężczyzna z tłustą żoną piorunowali się wzrokiem i kłócili chyba po francusku.

Obchodząc swój teren po raz trzeci i mijając obozowisko Żydów spostrzegł, że stojąc razem, kiwają się i śpiewają

— odprawiali zapewne wieczorne modły.

Kiedy znad lasu za wsią wytoczył się wielki biały księżyc, Rob poczuł się niepokonany i pewien siebie, nagle bowiem stał się częścią armii liczącej ponad stu dwudziestu chłopów. Wiedział, że to zupełnie co innego niż podróżowanie przez obcy i wrogi kraj samotnie.

Cztery razy tej nocy zatrzymywał kogoś i zawsze się okazywało, że to któryś z mężczyzn wychodzi z obozu przyciśnięty potrzebą. Nad ranem zaś, kiedy ogarnęła go nieznośna

senność, z ojcowskiego namiotu wyszła córka Cullena. Minęła go przechodząc tuż obok, nieświadoma jego obecności. Widział ją wyraźnie w bladym świetle księżyca. Jej suknia wydawała się bardzo czarna, a długie nogi, które musiały być mokre od rosy, oślepiająco białe.

Starając się poruszać jak najgłośniejsz, odszedł w przeciwną stronę, ale śledził ją z daleka, póki nie zobaczył, że bezpiecznie wraca. Wtedy podjął swój obchód.

O pierwszym brzasku opuścił stanowisko i przyrządził naprędce śniadanie z chleba i sera. Kiedy jadł, Żydzi zebrali się przed namiotem na modlitwy o wschodzie słońca. Obserwując ich, zdał sobie sprawę, że mogą się okazać kłopotliwi, wyglądali bowiem na przesadnie pobożnych. Uwiązali na czołach jakieś czarne pudełeczka, ramiona owinęli cienkimi rzemykami, aż ich ręce przypominały jarmarczne kołki na wozie balwierza, po czym nakrywszy głowy modlitewnymi szalami, pogrążyli się w niepokojącej zadumie. Rob odetchnął z ulgą, gdy skończyli. Za wcześnie zaprzągnął Kobylę i musiał czekać — mimo że czoło karawany wyruszyło zaraz po świcie, słońce wspięło się już dość wysoko, zanim przysłała jego kolej. Przed nim pierwszy jechał Cullen na kościstym siwku, za nim na oparszałej siwej kobyle jego sługa Serey prowadzący jeszcze trzy juczne konie. Po co tym dwojgu trzy juczne zwierzęta? Córka Cullena dosiadała dumnego wierzchowca. Zady konia i tej kobiety wydały się Robowi cudowne, z radością więc pośpieszył za nimi.

## Farsi

Wszyscy wędrowcy natychmiast się dostosowali do przyjętego na czas podróży porządku dnia. Przez pierwsze trzy dni zarówno Szkoci, jak Żydzi przyglądali się tylko Robowi uprzejmie, zostawiając go w spokoju, mimo że jego pokiereszowana twarz i jarmarczny wóz mogły budzić obawy. Odosobnienie jednak nigdy nie było mu niemiłe, cieszył się zatem mogąc się oddać swoim myślom.

Dziewczyna stale jechała przed nim, toteż obserwował ją nawet wtedy, gdy stawali obozem. Wyglądało na to, że ma dwie czarne suknie i jedną z nich pierze przy każdej sposobności. Najwidoczniej była na tyle zahartowaną podróżniczką, że nie narzekała na niewygody, ale i ją, i Cullena otaczała jakaś z trudem ukrywana aura melancholii; przyjrząwszy się baczniej ich ubraniom, Rob doszedł do wniosku, że są w żałobie.

Dziewczyna czasem cicho coś nuciła. Czwartego dnia rano, gdy wymarsz karawany się opóźniał, zsiadła z konia, by rozprostować nogi. Rob spojrzął z góry, kiedy przechodziła obok jego wozu, i uśmiechnął się do niej. Oczy miała olbrzymie, o prawie granatowych tęczęwkach, twarz o wydatnych kościach policzkowych pociągłą, zmysłową. Usta pełne i dojrzałe jak wszystko w niej, ale dziwnie ruchliwe i wyraziste.

— W jakim języku są pieśni, które śpiewacie?

— Gaelickim. Inaczej celtyckim.

— Tak myślałem.

— O, ciekawe, jak Sassenach może poznać, co jest celtyckie?

— Sassenach?

— Tak nazywamy tych, co mieszkają na południe od Szkocji.

— Coś mi się zdaje, że to nie komplement.

— Och, bo nie jest — przyznała i tym razem się uśmiechnęła.

— Mary Margaret! — zawołał ostro jej ojciec. Od razu podeszła do niego jak córka nawykła do posłuszeństwa.

Mary Margaret?

Musi być mniej więcej w wieku Annę Mary, pomyślał Rob z niepokojem. Jego siostra miała ciemne włosy, kiedy była mała, ale z rudawym połyskiem...

To nie Annę Mary, napomniał się stanowczo. Wiedział, że nie może dopatrywać się siostry w każdej niestarej kobiecie, aby ta zabawa w końcu nie przybrała formy obłędu, postanowił więc nie zajmować się dłużej córką Jamesa Cullena. Przecież ta dziewczyna właściwie go nie interesuje. Dość jest na świecie miłych pokus, od tej zamierzał trzymać się z daleka.

Jej ojciec najwidoczniej chciał dać mu jeszcze jedną szansę rozmowy, może dlatego, że nie widział już, by Rob porozumiewał się z Żydami. Piątej nocy podróży James Cullen przyszedł go odwiedzić przynosząc gąsiorek jęczmiennej gorzałki, a Rob zaprosił go i przyjął przyjacielski poczęstunek.

— Znacie się na owcach, mości Cole? — zapytał Szkot i aż się rozpromienił, gdy Rob przyznał, że nie. Palił się, by go pouczyć. — Są owce i owce — zaczął. — W Kilmarnock, siedzibie Cullenów, mamy owieczki wagi nie większej jak dwanaście kamieni. Ludzie mówią, że na Wschodzie są dwakroć większe, o długim włosie zamiast krótkiego i runie gęściejszym niż u szkockich owiec, tak tłustym, że wełna po sprzedaniu i utkaniu nie

przepuszcza deszczu.

Zamierzał kupić stadko hodowlane, gdy trafi na najlepsze owce, i zabrać je do Kilmarnock. Na to trzeba gotówki, i to sporej, pomyślał Rob zrozumiawszy, na co Cullenom potrzebne są juczne konie. Może byłoby lepiej, przyszło mu do głowy, gdyby Szkot miał też straż przyboczną.

— W daleką się wybraliście podróż — powiedział. — Długo nie będzie was w owczarni.

— Zostawiłem ją pod dobrą opieką zaufanych krewniaków. Trudna to była decyzja, ale... Pół roku wcześniej, nim opuściłem Szkocję, pochowałem żonę, z którą przeżyłem dwadzieścia dwa lata.

Cullen skrzywił się, przytknął gąsiorek do ust i długo z niego ciągnął. To by tłumaczyło ich smutek, pomyślał Rob. Nawyk balwierza kazał mu spytać, jaka była przyczyna jej śmierci.

Cullen odkaszlnął.

— Zrobiły jej się w obu piersiach narośle, twarde guzy. Bładła i słabła, traciła apetyt i chęć do życia. Na koniec przyszedł straszny ból. Długo umierała, ale odeszła, zanim dotarło do mnie, że to się może stać. Na imię miała Jura. Cóż... sześć tygodni piłem, w końcu zrozumiałem, że to nie wyjście. Lata całe straciłem na próżnym gadaniu o kupnie pięknego stada w Anatolii, ani myśląc, że do tego dojdzie. Postanowiłem jechać, i tyle.

Podsunał gąsiorek, lecz nie wyglądał na urażonego, gdy Rob odmownie pokręcił głową.

— Czas się wysikać — powiedział i łagodnie się uśmiechnął. Wypił już sporą część zawartości gąsiorka, toteż kiedy niezdarnie spróbował wstać, Rob musiał mu pomóc.

— Dobrej nocy, mości Cullen. Zajdźcie jeszcze kiedy, proszę.

— Dobrej nocy, mości Cole.

Patrząc, jak chwiejnie odchodzi, Rob uświadomił sobie, że o córce Cullen nie wspomniął ani razu.

Następnego dnia po południu pewnego faktora, Francuza Felixa Roux, zajmującego trzydzieste ósme miejsce w karawanie, zrzucił koń spłoszony przez borsuka. Roux ciężko grzmotnął na ziemię i całym ciężarem ciała przygniół lewe przedramię łamiąc kość, tak że ręka zwisała mu, przekrzywiona. Kerl Fritta posłał po balwierza, który wykonał bolesny zabieg nastawienia kości i unieruchomił rękę. Rob usiłował potem jakoś wytłumaczyć Francuzowi, że chociaż w czasie jazdy ramię będzie go wściekle bolało, zdolny jest do dalszej podróży, w końcu jednak musiał przywołać Serey'ego, by pouczyć pacjenta, jak ma się posługiwać temblakiem.

Zamyślił się wracając do swojego wozu. Zgodził się leczyć podróżnych kilka razy w tygodniu. Dotąd hojnie wynagradzał Serey'ego za pomoc, lecz wiedział, że nie może dłużej zatrudniać sługi Jamesa Cullena jako swego tłumacza.

Znalazłszy się przy wozie, zobaczył Szymona ben ha-Lewiego, który siedział niedaleko na ziemi i naprawiał popręg u siodła, podszedł więc do szczupłego młodego Żyda.

— Znacie mowę Franków i Germanów? — zapytał.

Młodzieniec skinął potakująco głową, podnosząc rzemień do ust, by odgryźć nawoskowaną nić.

Rob mówił, a ha-Lewi słuchał. Na koniec, jako że warunki proponował korzystne i pracę nie zajmującą zbyt wiele czasu, Szymon zgodził się tłumaczyć dla balwierza.

— Skąd znacie tyle języków? — spytał zadowolony Rob.

— Handlujemy z wieloma narodami, więc stale jesteśmy w podróży. Mamy też krewniaków w wielu krajach. Języki to część naszego zawodu. Na przykład młody Tuwe uczy się języka mandarynów, bo za trzy lata się wybiera na Jedwabny Szlak. Będzie pracował dla



kantoru stryja.

Stryj, Issachar ben Nachun, jak wyjaśnił dalej młody Żyd, był głową licznej spokrewnionej z nimi rodziny w Kajfengu, skąd co trzy lata słał karawanę z jedwabiem, pieprzem i innymi egzotycznymi towarami do Maszhadu w Persji. I od dziecka Szymon i inni chłopcy z jego rodziny co trzy lata wyruszali z rodzinnej Angory do Maszhadu, stamtąd zaś z karawaną wiozącą drogie towary jechali dalej, do wschodniej Frankonii.

Kiedy Żyd opowiadał, Robowi przyszło coś do głowy.

— Znacie perski język? — zagadnął.

— Farsi? Oczywiście. — A widząc, że Rob nie rozumie, dodał: — Tak się nazywa język perski. Farsi.

— Nauczycie mnie?

Szymon ben ha-Lewi zawahał się. Uczenie było czymś zupełnie innym od tłumaczenia, zajęłoby mu więcej czasu.

— Dobrze zapłacę — zachęcił Rob.

— Po co ci farsi?

— Potrzebny mi będzie w Persji.

— Zamierzasz prowadzić regularny handel? Będziesz wracał do Persji po zioła i leki, tak jak my jeździmy po jedwab i przyprawy?

— Być może. — Rob wzruszył ramionami gestem godnym Meira ben Aszera. — Przyda się trochę do tego, trochę do czego innego...

Szymon szeroko się uśmiechnął.

Pierwszą lekcję zaczął pisać patykiem na piasku, lecz niezbyt dobrze to wychodziło, Rob przyniósł więc z wozu przybory do rysowania i czysty krążek sośniny. Szymon udzielał mu początków języka Persów zupełnie tak, jak przed wielu laty mama uczyła go czytać po angielsku — zaczynając od alfabetu. Tyle że litery języka farsi składały się z krętych linii i kropek. Boże święty! Język pisany przypominał gołębnie łajno, ślady ptasich łapek, wióry albo parzące się liszki.

— Nigdy się tego nie nauczę — stwierdził Rob w chwili załamania.

— Nauczysz się — uspokoił go Szymon.

Rob zabrał krążek drewna do wozu. Zjadł wieszczę powoli, by zyskać na czasie i opanować podniecenie, potem usiadł na koźle i zaczął się wprawiać w kreśleniu znaków farsi.

## Milczący strażnik

Z gór karawana zeszła na równinę przeciętą idealnie prostą linią rzymskiego gościńca, ciągnącego się przed wędrowcem jak okiem sięgnąć. Po obu stronach drogi leżały pola czarnoziemne, z których teraz, pod koniec lata, zaczynało zbierać ziarno i późne jarzyny. Zdążając traktem dotarli do olbrzymiego jeziora, trzy dni posuwali się jego brzegiem, na jedną zaś noc zatrzymali się w przybrzeżnym mieście o nazwie Siofok, by zaopatrzyć się w prowiant. Niewielkie to było miasto, w wałujących się ruderach mieszkali chytry, podstępni chłopcy, lecz jezioro, zwane Balatonem, wyglądało jak rajske marzenie: z ciemnej wody, na pozór twardej jak drogocenny kamień, wstawała biała mgiełka, gdy Rob czekał wczesnym rankiem, aż Żydzi odmówią modlitwy.

Ciekawie było obserwować tych Żydów. Dziwni ludzie, kiwali się podczas modlitwy i wyglądało to, jakby Bóg żonglował ich głowami, które wznosiły się i opadały każda z osobna, choć w jakimś tajemniczym rytmie. Kiedy skończyli i Rob zaproponował im wspólną kąpiel, skrzywili się, gdyż było zimno, po czym nagle zagadali w swoim języku. Na koniec Meir coś powiedział, a Szymon skinął głową i zawrócił, by pilnować obozu. Pozostali wraz z Robem zbiegli na brzeg, zrzucili ubrania i z pluskiem skoczyli w płytką wodę rozwrzeszczani jak dzieciaki. Tuwe nie był dobrym pływakiem i zaraz zanurzył się pod wodę, Juda ha-Cohen słabiutko wiosłował rękami, a Gerszom ben Szemuel, z zaskakująco białym brzuszkiem przy opalonej twarzy, unosił się na plecach głośno wyśpiewując jakieś niezrozumiałe pieśni. Meir natomiast zaskoczył Roba.

— To lepsze niż mykwa! — wykrzyknął łapiąc oddech.

— Co to jest mykwa? — zapytał Rob, ale potężny Meir zanurzył się pod wodę i odpłynął od brzegu, mocno i równo uderzając rękami. Rob popłynął za nim żałując, że to nie kobieta mu towarzyszy. Spróbował sobie przypomnieć kobiety, z którymi pływał. Było ich może sześć i zawsze się kochali przed albo po pływaniu, a kilka razy nawet w wodzie, zewsząd obmywani wilgocią...

Nie tknął kobiety od pięciu miesięcy, był to najdłuższy w jego życiu okres wstrzemięźliwości od czasu, gdy Editha Lipton wprowadziła go w świat płci. Usiłując się pozbyć bolesnej potrzeby zaspokojenia fizycznego, trzepał teraz nogami i rękami lodowatą wodę. Wyprzedził Meira i chlapanął mu obficie w twarz, aż ten się zakrztusił i rozkaszał.

— Ty chrześcijaninie! — wrzasnął złowrogo.

Rob znowu go ochlapał i zwarli się. Przewyższał go wzrostem, lecz Meir był prawdziwym siłaczem. Wepchnął pod wodę Roba, który zacisnął palce na długiej brodzie Żyda i pociągnął go za sobą, coraz niżej i niżej. Gdy zapadali się w głębinę, wydawało mu się, że od brunatnej wody odrywają się drobinki szronu i oblepiają go, zimne zimnego, aż poczuł, że cały jest okryty płaszczem lodowatego srebra.

W głąb.

Wreszcie obu w tej samej chwili ogarnął paniczny strach, że mogą wśród tej zabawy utonąć. Rozdzielili się, żeby wypłynąć, i wyprysnęli na powierzchnię chwytając oddech. Żaden nie został pokonany i żaden nie zwyciężył, razem popłynęli więc do brzegu. Kiedy wyszli z wody, dygotali w zapowiadającym jesień chłodzie, z trudem wciągając ubrania na mokre ciało. Meir, spostrzegłszy obrzezany członek Roba, spojrzał na niego zaintrygowany.

— Koń mi odgryzł koniuszek — wyjaśnił Rob.

— Kobyła, to pewne — przyznał z powagą Meir. Mruknął coś do innych w ich języku, a

oni wykrzywili się do Roba. Na gołe ciało wkładali coś ozdobionego dziwnymi frędzlami. Nadzy, byli tacy sami jak wszyscy, ubierając się, przywdziewali na powrót swoją obcość i znowu stawali się inni. Zauważyli, że Rob im się przygląda, lecz nie zapytał o tę dziwną bieliznę, sami zaś nie wyjaśnili jej przeznaczenia.

Jezioro zostało za nimi i krajobraz zubożał. Posuwanie się miła za miłą prostą, nie mającą końca drogą wśród wciąż takiego samego lasu i pól podobnych do siebie jak krople wody wkrótce stało się prawie nie do zniesienia przez swoją monotonię. Rob szukał ucieczki w wyobraźni, starał się widzieć tę drogę taką, jaka była niedługo po zbudowaniu, gdy biegła jako jedna via wśród tysięcy innych prowadzących Rzym na podbój świata. Pierwsi szli zwiadowcy, straż przednia na koniach. Za nią w rydwanie powożonym przez niewolnika jechał wódz w otoczeniu trębaczy towarzyszących mu zarówno dla obrony, jak i sygnalizacji. Dalej na koniach zdążali trybuni i legaci, adiutanci wodza. Za nimi postępował legion, las najeżonych oszczepów — dziesięć kohort najbitniejszych wojowników wszech czasów, sześciuset ludzi w jednej kohorcie, każda setka pod dowództwem centuriona. Potem kroczyły tysiące niewolników do prac, jakich nie mogły wykonać pociągowe zwierzęta, niewolników ciągnących tormenta, olbrzymie maszyny wojenne, dla których przede wszystkim te drogi zbudowano, wielkie tarany do rozbijania murów i fortyfikacji, dokuczliwe katapulty do ciskania gradu pocisków na wroga, gigantyczne balisty — proce bogów miotające w powietrze głązy i strzelające grubymi belkami jak smukłymi strzałami. I wreszcie jechały wozy pełne impedimentów, czyli juków, a za nimi żony i dzieci, ładacznice, kupcy, posłańcy i urzędnicy — mrówki historii żywiące się resztkami rzymskiej uczty.

Teraz armie te były legendą i snem, tłum podążający za obozem obrócił się w proch, sprawujący władzę dawno przestali istnieć, pozostały jednak drogi, te niezniszczalne gościńce czasami tak proste, aż usypiające.

Tego dnia córka Cullena znowu szła przy wozie Roba uwiązawszy konia do jednego z juczych zwierząt.

— A może będzie pojechali kawałek ze mną, panienko? Wóz będzie dla was odmianą.

Zawahała się, lecz kiedy wyciągnął rękę, chwyciła ją, by się podciągnąć na kozioł.

— Policzek gładko się wam zagoił — zauważyła i splonęła rumieńcem, chyba jednak nie mogła się powstrzymać od rozmowy. — Została tylko cienka srebrna rysa po ostatnich zadrapaniach. Jak dobrze pójdzie, nie będzie śladu.

Rob poczuł, że i jemu twarz płonie; wolałby, żeby mu się nie przyglądała.

— Skąd ta rana?

— Ze starcia z rozbójnikiem.

Mary Cullen głęboko wciągnęła oddech.

— Proszę Boga, żeby nas ustrzegł przed takimi.—Spojrzała na niego w zamyśleniu. — Niektórzy mówią, że to sam Kerl Fritta rozpuścił pogłoski o madziarskich rozbójnikach, żeby wystraszeni podróżni bili się o przyłączenie do jego karawany.

Rob wzruszył ramionami.

— Myślę, że mistrz Fritta całkiem do tego zdolny. A Madziarzy nie wyglądają groźnie — odparł wskazując na pola po obu stronach drogi, gdzie mężczyźni i kobiety zbierali kapustę.

Zamilkli. Wozem podrzucało na każdym wyboju, tak że Rob wciąż czuł bliskość miękkiego biodra i twardego uda, a zapach ciała dziewczyny był jak ciepła korzenna woń jagodowych krzewów na słońcu. Jemu, który uwodził kobiety jak Anglia długa i szeroka, głos chrzął teraz, ilekroć chciał coś powiedzieć.

— Zawsze mieliście na drugie imię Margaret, panno Cullen? — zagadnął.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

— Zawsze.

— Innego nie pamiętacie?

— Jak byłam mała, ojciec nazywał mnie zółwem, bo czasem robiłam tak... — powoli zmrużyła oczy.

Zdenerwował się, tak bardzo pragnął dotknąć jej włosów. Pod szeroką kością policzkową z lewej strony miała na twarzy maleńką szramę, niedostrzegalną, póki się człowiek z bliska nie przyjrzał, nie szpeciła jej jednak. Szybko odwrócił wzrok.

Przed nimi ojciec Margaret wykręcił się w siodle i zobaczył, że córka jedzie na wozie. Kilka razy widział Roba w towarzystwie Żydów, toteż kiedy zawołał córkę po imieniu, w jego głosie zabrzmiało niezadowolenie. Mary, posłuszna rodzicowi, już odchodziła.

— A jak wy macie na drugie imię, panie Cole? — spytała jeszcze.

— Jeremy.

Skinęła głową z powagą, ale w oczach miała kpinę.

— I zawsze było Jeremy? Nie przypominacie sobie jakiegoś innego imienia?

Jedną ręką zebrała spódnice i zeskoczyła na ziemię lekko jak kotka, tylko mignęły jej białe nogi. Rob trzepnął Kobyłę po grzbiecie lejcami, wściekły, gdy sobie uświadomił, że na koniec z niego zakpiła.

Tego dnia po wieczery odszukał Szymona, by odbyć z nim drugą lekcję, i odkrył, że Żydzi mają książki. W szkole u Świętego Botolfa, do której chodził jako dziecko, były trzy książki: kanon Starego i Nowego Testamentu, obydwa po łacinie, i angielskie menologium, czyli spis powszechnie obowiązujących świąt zatwierdzony przez króla Anglii. Każda w nich karta była z welinu, wyprawnej jagnięcej, cielęcej lub kozłej skóry, każda litera starannie kaligrafowana, co wymagało olbrzymiej pracy i dawało książce wartość drogiego, rzadkiego klejnotu.

Okazało się, że w kufrze z wytłaczanej skóry Żydzi mają wiele książek — potem doliczył się siedmiu.

Szymon wybrał z nich jedną, napisaną po persku, i całą lekcję spędzili na przeglądaniu książki. Na polecenie Szymona Rob szukał w tekście poszczególnych liter. Alfabetu perskiego nauczył się szybko i dobrze. Szymon go pochwalił, po czym aby Rob usłyszał melodię języka, przeczytał mu urywek z księgi, przerywając po każdym słowie i każąc je swemu uczniowi powtarzać.

— Jak się ta książka nazywa? — spytał Rob.

— To Al-Kur'an, Koran, święta księga Arabów i Persów — odparł Szymon i przetłumaczył:

W imię Boga Miłosiernego, litościwego!

Chwała Bogu, Panu światów,

Miłosiernemu, Litościwemu,

Królowi Dnia Sądu.

Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc.

Prowadź nas drogą prostą,

drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami;

nie zaś tych, na których jesteś zagniewany,

i nie tych, którzy błędzą.

— Codziennie dam ci spis dziesięciu słów i zwrotów— obiecał Szymon. — Musisz się ich nauczyć na następną lekcję.

— Daj mi co dzień dwadzieścia pięć słów — poprosił Rob wiedząc, że naukę u Szymona ma zapewnioną tylko do Konstantynopola.

Szymon się uśmiechnął.

— Dobrze, niech będzie dwadzieścia pięć.

Nazajutrz Rob z łatwością nauczył się zadanych słów, droga bowiem wciąż była prosta i gładka i Kobyła mogła ciągnąć z luźno puszczonej lejcami, gdy jej pan siedząc na koźle studiował farsi. Uznał jednak, że nie do końca wykorzystał okazję, i tego dnia po lekcji poprosił Meira ben Aszera, by mu pozwolił zabrać księgę na wóz, dzięki czemu cały wolny czas mógłby wykorzystać na naukę.

Meir stanowczo odmówił.

— Nie możemy wypuszczać księgi z rąk. Wolno ci ją czytać tylko przy nas — powiedział.

— Nie mógłby Szymon jechać ze mną na wozie? Był pewien, że Meir znów odmówi, ale wtrącił się Szymon:

— Mógłbym przez ten czas sprawdzać księgi rachunkowe. Meir się zastanowił.

— Ma w sobie zadatki na pilnego badacza — dodał spokojnie Szymon. — Już by pożerał księgi.

Żydzi zdążyli już zmienić nieco swój stosunek do Roba, toteż Meir w końcu skinął głową.

— Możesz zabrać księgę na wóz — pozwolił.

Tej nocy Rob zasnął marząc o jutrze, a następnego dnia obudził się wcześniej, pełen zapału, z niemal bolesnym uczuciem oczekiwania. Było ono tym trudniejsze, że widział wszystkie niespieszne przygotowania Żydów do nowego dnia: Szymona idącego do lasu opróżnić pęcherz i jelita, ziewającego Meira, Tuwego spokojnie schodzącego nad strumyk, by się umyć, wszystkich razem, kiedy kiwali się i mruzcili poranne modlitwy, ( i Gerszoma z Judą, gdy podawali chleb i owsiankę.

Żaden kochanek nie czekał na dziewczynę z taką niecierp-f liwością, z jaką Rob wyglądał przybycia Szymona.

— Nuże, chodźże już, ślamazaro, leniwy Hebrajczyku — mruzczał przeglądając po raz ostatni zadane na ten dzień słówka.

Szymon wreszcie przyszedł dźwigając Koran, ciężką księgę rachunkową i jakąś dziwną drewnianą ramkę z rzędami paciorków nanizanych na cienkie patyczki.

— A to co?

— Abakus. Liczydła do rachowania — wyjaśnił Szymon.

Gdy karawana ruszyła, nowy sposób nauki się sprawdził. Wprawdzie mimo względnie równej drogi koła wozu podskakiwały na kamieniach i pisanie było praktycznie niemożliwe, czytania jednak nic nie utrudniało, toteż zabrali się każdy do swej pracy.

Rob nic a nic nie rozumiał z perskiej księgi, lecz Szymon kazał mu odczytywać litery i słowa, by się oswoił z ich wymową. Raz trafił na zwrot podany przez Szymona na sporządzonej liście: chosz omadi, „bądź pozdrowiony”, i poczuł taki tryumf, jakby odniósł pomniejsze zwycięstwo.

Czasami podnosił wzrok i wbijał go w plecy Mary Cullen. Jechała teraz u boku ojca, niewątpliwie na jego wyraźne polecenie, gdyż jak Rob zauważył, Cullen patrzył spode łba na Szymona, kiedy ten wchodził na wóz. Siedziała na koniu wyprostowana, z podniesioną głową, jak gdyby całe życie spędziła w siodle.

Otrzymałą listę słów i zwrotów opanował do południa.

— Dwadzieścia pięć to za mało. Musisz mi zadawać więcej — zażądał.

Szymon uśmiechnął się i dodał mu kolejne piętnaście słów. Żyd rzadko się odzywał, a Rob przywykł do stukotu paciorków abakusa fruujących pod palcami Szymona.

Minęła połowa popołudnia, gdy Żyd odchrząknął i Rob domyślił się, że gdzieś w

rachunkach znalazł błąd. Księga z całą pewnością zawierała zapisy wielu transakcji, Robowi zaś dopiero teraz zaświtało, że ci ludzie wiozą do domu zyski z kupieckiej wyprawy z Persji do Germanii, co tłumaczyło, dlaczego nigdy nie zostawiają obozu bez straży. Tuż przed nim jechał Cullen ze znaczną gotówką przeznaczoną na zakup owiec w Anatolii, za nim ci Żydzi z niechybnie poważniejszymi sumami. Gdyby rozbójnicy wiedzieli o tych skarbach, zebraliby armię banitów i nawet tak licznej karawany nic by nie ustrzegło przed napadem. Mimo to nie miał pokusy opuszczać karawany, samotna podróż bowiem byłaby wyzywaniem śmierci. Pozbył się więc z myśli wszystkich obaw i dzień po dniu spędzał na koźle, luźno puściwszy lejce, nie odrywając oczu od muzułmańskiej księgi.

Nadeszła wyjątkowo piękna pora roku. Pogoda się ustaliła, niebo przybrało kolor tak jesienny, że swym głębokim błękitem przypominało Robowi oczy Mary Cullen, które rzadko oglądał, gdyż trzymała się z daleka. Niewątpliwie tak jej kazał ojciec.

Szymon skończył sprawdzanie ksiąg rachunkowych i nie miał już pretekstu, by co dzień zasiadać na koźle jego wozu, ale wszyscy przywykli do tego i Meir rozstawał się teraz z perską księgą bez niepokoju, Szymon zaś pilnie kształcił Roba na księcia kupców.

— Podstawowa perska jednostka wagi? — pytał.

— Mań, Szymonie, mniej więcej pół europejskiego kamienia.

— Wymień inne wagi.

— Ratel, szósta część mana. Dirham, pięćdziesiąta część ratela. Meskał, pół dirhama. Dung, szósta część meskała. I „ziarno jęczmienia”, czwarta część dunga.

— Świetnie! Wspaniale!

Kiedy Szymon kończył sprawdzanie wiadomości swego ucznia, Rob zasypywał go pytaniami cisnącymi mu się na usta.

— Powiedz mi, Szymonie, jakie mają słowo na pieniądze?

— Raz.

— Szymonie, co to za określenie w księdze: Sonab-e karet?

— „Zasługi na życie przyszłe”, to znaczy na raj.

— Szymonie...

Szymon wydawał jęk i do Roba docierało, że staje się męczący, powstrzymywał się więc od pytań, dopóki jakies nowe nie przyszło mu do głowy.

Dwa razy w tygodniu, kiedy Rob przyjmował chorych, Szymon służył mu za tłumacza, przyglądał się i słuchał. Wtedy to Rob, badając i udzielając pomocy, stawał się autorytetem, Szymon zaś tym, który zadaje pytania.

Pewnego razu do balwierza przyszedł głupio wyszczerzony frankoński poganiacz, skarżący się na ból pod kolanami, gdzie miał twarde guzy. Rob dał mu łagodzącą maść z ziół zmieszanych z owczym łojem i kazał pokazać się powtórnie po dwóch tygodniach. Poganiacz jednak już po tygodniu znalazł się w kolejce czekających. Tym razem doniósł o takich samych guzach pod pachami, a Rob zanim go odesłał, dał mu dwie faszki swej driakwi.

Gdy wszyscy wyszli, Szymon spytał Roba:

— Co dolega temu wielkiemu Frankowi?

— Może te guzy znikną. Ale myślę, że nie, że pojawi się ich więcej. Ma chyba dymienicę. Jeżeli to prawda, niedługo umrze. Szymon zamrugał.

— Nic nie możesz pomóc? Rob pokręcił głową.

— Jestem tylko ciemnym balwierzem. Może gdzieś żyje jakiś wielki medyk, który mógłby mu pomóc.

— Nie robiłbym tego, co ty robisz — powiedział powoli Szymon — póki nie nauczyłbym się wszystkiego, co możliwe.

Rob popatrzył na niego bez słowa. Uderzyło go, że Żyd potrafił natychmiast i z taką jasnością dostrzec to, na zrozumienie czego on potrzebował tak wiele czasu.

Tej nocy brutalnie zbudził go Cullen, wołając:

— Na litość boską, człowieku, pośpieszcie się! W ciemnościach rozlegał się krzyk kobiety.

— Mary?

— Nie, nie. Chodźcie ze mną.

Noc była czarna, bezksiężycowa. Tuż za obozowiskiem Żydów ktoś zapalił smolne szczapy i w migotliwym świetle Rob ujrzał leżącego na ziemi mężczyznę. Był to Raybeau, chudy jak szkielet Francuz jadący w karawanie o trzy miejsca dalej za Robem. W gardle miał szeroką otwartą ranę, na ziemi połyskiwała ciemna kałuża krwi. Życie z niego uchodziło.

— Trzymał straż dzisiejszej nocy — powiedział Szymon.

Mary Cullen była przy krzyczącej kobiecie, niezgrabnej żonie Raybeau, z którą ten stale się kłócił. Rob dotknął palcami śliskiego, rozciętego gardła jej męża. Zagulgotało i Raybeau na moment się wyprężył w kierunku przerażonego krzyku żony, potem skulił się w sobie i wyzionął ducha.

Za chwilę wszyscy poderwali się na odgłos tętentu koni.

— To tylko czujki wysłane przez Frittę — odezwał się z ciemności spokojnym głosem Meir.

Cała karawana chwytając za broń stanęła w gotowości, wkrótce jednak jeźdźcy Fritty wrócili z wieścią, że nie trafili na żadną zbrojecką bandę. Morderca mógł być działającym w pojedynkę złodziejem albo zwiadowcą rozbójników. Tak czy owak, zniknął.

Przez resztę nocy mało kto już spał, rankiem zaś pogrzebali Gaspara Raybeau tuż przy rzymskim gościńcu. Kerl Fritta pośpiesznie zaintonował po germańsku modlitwy pogrzebowe, po czym zostawili grób i nerwowo przygotowali się do dalszej podróży. Żydzi przytroczyli juki do mułów tak, by się nie zerwały, gdyby zwierzęta musiały biec galopem. Rob zauważył, że wśród juków każdy muł dźwiga wąski, ciężki z wyglądu worek, i domyślił się ich zawartości. Szymon nie przyszedł na wóz — jechał konno obok Meira, gotów w razie potrzeby do walki lub ucieczki.

Nazajutrz przybyli do Nowego Sadu, ruchliwego miasteczka nad Dunajem, gdzie się dowiedzieli, że trzy dni wcześniej zbrojcy napadli na siedmiu frankońskich mnichów, obrabowali ich, zniewolili i zabili.

Przez najbliższe trzy dni podróżowali tak, jakby w każdej chwili groził im napad, bez wypadku jednak dojechali brzegiem szerokiej migotliwej rzeki do Belgradu, gdzie uzupełnili zapasy prowiantu na chłopskim jarmarku, kupując między innymi małe, kwaśne czerwone śliwki, wyjątkowo smaczne, i zielone oliwki, które przypadły do smaku Robowi. Zjadł wieczerek w gospodzie, ale mu nie smakowała, składała się bowiem z różnych posiekanych mięs zalatujących zjełczałym tłuszczem.

Część podróżnych odłączyła się od karawany w Nowym Sadzie, a jeszcze większa w Belgradzie, dołączyli zaś inni, tak że Cullenowie, Rob i grupka Żydów przesunęli się do przodu i nie stanowili już części wystawionych na niebezpieczeństwo tyłów.

Wkrótce po opuszczeniu Belgradu znaleźli się na pogórzu, a następnie w górach uciążliwszych od wszystkich, jakie dotąd przekraczali, o stromych stokach najeżonych skałami ostrym jak zęby. Na wyższych wzniesieniach ostry wiatr przypominał im nagle o zimie. Gdyby wędrowali tędy, kiedy stoki pokryte są śniegiem, znaleźliby się w istnym piekle.

Nie sposób już było popuszczać Kobyle lejców. Przy podjazdach pod górę Rob musiał ją popędząć lekkimi szarpnięciami rzemieni, a przy zjazdach hamować. Ręce go bolały i tracił

już cierpliwość, gdy przypominał sobie, że przez pasmo tych wyniosłych szczytów Rzymianie przewieźli swoje tormenta. Owszem, tyle że oni rozporządzali całymi hordami niewolników, a Rob jedną umęczoną Kobyłą wymagającą zręcznego woźnicy. Wieczorami otępiały ze zmęczenia włókł się do obozowiska Żydów i czasami miewał coś na kształt lekcji, w dzień jednak Szymon nie wsiadał już na wóz i bywało, że Rob nie był zdolny nauczyć się bodaj dziesięciu perskich słów.



## Balkany

Teraz Kerl Fritta znalazł się w swoim żywiole i po raz pierwszy Rob patrzył na niego z podziwem; zdawało się, że mistrz karawany jest wszędzie: pomagał przy połamanych wozach, popędzał i napominał ludzi jak dobry poganiacz bezrozumne zwierzęta. Droga zasłana była kamieniami. Pierwszego października stracili pół dnia na usuwanie głazów, które spadły na szlak. Teraz często dochodziło do wypadków, tak że w ciągu jednego tygodnia Rob składał dwie złamane ręce, potem koń normańskiego kupca stanął dęba i wóz przygniótł właściciela, miażdżąc mu nogę. Trzeba go było wieźć na noszach zawieszonych między parą koni, póki nie trafili na zagrodę, której mieszkańcy zgodzili się nim zaopiekować. Zostawili tam rannego, a Rob miał pobożną nadzieję, że gospodarz nie zamorduje go i nie ograbi, jak tylko karawana zniknie mu z oczu.

— Opuściliśmy kraj Madziarów i jesteśmy w Bułgarii — powiedział mu któregoś dnia Meir.

Niewielkie to miało znaczenie, nie zmieniało wrogiej natury skał, na wyższych wzniesieniach wiatr chłostał z równą siłą. W miarę jak pogoda robiła się coraz dokuczliwsza, podróżni zaczęli przywdziawać najróżniejsze wierzchnie okrycia, na ogół raczej ciepłe niż ładne, i wkrótce wyglądali jak przedziwna zbieranina poowijanych w co się dało i zakutanych w łachmany obszarpańców.

Pewnego bezsłonecznego ranka juczny muł prowadzony za koniem przez Gerszoma ben Szemuela potknął się, przednie nogi mu się rozjechały i lewa głośnie trzasnęła pod znacznym ciężarem dźwiganego na grzbiecie juku. Nieszczęsny muł ryczał z bólu jak człowiek.

— Pomóżcie mu! — krzyknął Rob, a Meir ben Aszer wydobył długi nóż i pomógł mułowi w jedyny możliwy sposób: podcinając mu drżącą gardziel.

Zaraz się wzięli do odwiązywania juków z martwego zwierzęcia. Gdy przyszła kolej na podłużną skórzaną sakwę, Gerszom i Juda musieli ją dźwignąć we dwóch. Wywiązała się między nimi sprzeczka w ich języku, pozostały juczny muł bowiem dźwigał już jedną taką sakwę i jak Rob się domyślił, Gerszom słusznie się obawiał, aby dodatkowe obciążenie zbyt szybko nie wyczerpało sił zwierzęcia.

W zatrzymanej za nimi karawanie odezwały się gniewne wołania tych, którzy nie chcieli zostawać w tyle, Rob więc zeskoczył z kozła i wrócił do Żydów.

— Rzućcie sakwę na mój wóz — zaproponował. Meir jednak pokręcił głową.

— Nie.

— No to idźcie do diabła — powiedział ze złością Rob, rozwścieczony tym jawnym brakiem zaufania.

Meir coś powiedział i Szymon podbiegł za Robem.

— Przytroczę sakwę do swojego konia. Czy mogę jechać na wozie? Tylko póki nie kupimy drugiego muła.

Rob wskazał mu gestem miejsce na koźle i wsiadł. Długi czas powoził w milczeniu, nie mając nastroju do lekcji perskiego.

— Powinieneś zrozumieć Meira — rzekł w końcu Szymon. — On musi mieć sakwy przy sobie, bo wiezie nie swoje pieniądze. Część jest własnością rodziny, ale większość należy do obcych, którzy wyłożyli je na towary. On za nie odpowiada.

To wyjaśnienie poprawiło Robowi humor, lecz dzień nadal był pechowy, droga uciążliwa, a obecność drugiej osoby na wozie przysporzyła Kobyle wysiłku. Jej zmęczenie

rzucało się w oczy, kiedy zmierzch zaskoczył ich na szczycie góry i tam musieli rozbić obóz.

Zanim obaj z Szymonem mogli zjeść wieczerzę, musieli pójść do chorych. Wiatr dął tak silny, że schronili się za wozem Kerla Fritty. Zebrała się tam tylko garstka ludzi i ku zdumieniu Roba, jak również Szymona, znalazł się wśród nich Gerszom ben Szemuel. Krzepki, krępy Żyd uniósł kaftan, opuścił spodnie i Rob ujrzał na jego prawym pośladku paskudny siny wrzód.

— Każ mu się pochylić.

Gerszom stęknął pod ukłuciem skalpela, spod którego trysnęła żółta ropa, jęczał też i kłął w swoim języku, gdy Rob wyciskał wrzód, póki ropa nie zeszała i nie pojawiła się jasna krew.

— Nie usiedzi w siodle—oświadczył po zabiegu Rob. — Co najmniej przez kilka dni.

— Musi — sprzeciwił się Szymon. — Nie możemy go zostawić.

Rob westchnął. Już mu dzisiaj ci Żydzi dosyć dokuczili.

— Ty możesz wziąć jego konia, a on niech jedzie na leżąco w moim wozie.

Szymon skinął głową.

Następny w kolejce był frankoński poganiacz. Tym razem nowe maleńkie guzy pokazały mu się w pachwinie. Guzy pod pachami i kolanami były większe i bardziej go uwierały, a zapytany przez Roba powiedział, że zaczęły go boleć.

Rob ujął rękę poganiacza.

— Powiedz mu, że umrze. Szymon szeroko otworzył oczy.

— Niech cię lichy!... — mruknął.

— Powiedz mu, że mówię, że umrze.

Szymon przełknął ślinę i łagodnie przemówił po germańsku. Rob widział, jak na wielkiej głupiej twarzy gaśnie uśmiech, a potem Frank wysunął rękę z jego dłoni i uniósł prawicę, zaciskając ją w pięść wielkości małej szynki. Coś warknął.

— Mówi, że jesteś łgarz — przetłumaczył Szymon.

Rob stał i czekał patrząc Frankowi prosto w oczy, aż na koniec tamten splunął i powłócząc nogami odszedł.

Sprzedał jeszcze driakiew dwóm chorym z szarpiącym kaszlem i opatrzył pojękującego Madziara z wybitym kciukiem — wsadził ten palec pod popręg i koń niespodziewanie szarpnął.

Potem zostawił Szymona pragnąc uciec stąd i od tych ludzi. Karawana rozłożyła się szeroko, każdy szukał jakiegoś większego głazu, by za nim znaleźć schronienie przed wiatrem. Rob wyszedł za ostatni wóz i wtedy zobaczył Mary Cullen na skale górującej nad szlakiem.

Wyglądała jak zjawia. Oburącz szeroko rozpostarła rozpięty kożuch, stała z głową odrzuconą do tyłu i zamkniętymi oczami, jak zanurzona w oczyszczającym nurcie wolnego wiatru, który obmywał ją z siłą rwącego strumienia wody. Kożuch wydymał się i trzepotał, czarna suknia lepila się do smukłego ciała, obrysowując pełne piersi ze sterczącymi brodawkami, łagodną kragłość brzucha z głęboko zapadniętym pępkiem i słodki wzgórek łączący silne uda. Rob poczuł, jak ogarnia go przedziwna ciepła czułość, niewątpliwie wywołana jej czarami, gdyż wyglądała jak czarownica. Długie włosy powiewały za nią niby wijący się czerwony płomień.

Nie mógł znieść myśli, że Mary otworzy oczy i zobaczy, jak się jej przygląda, zawrócił więc i odszedł.

Znalazszy się w wozie, przyjrzał się ponuro wszystkim rupieciom, których było za wiele, by zmieścić jeszcze Gerszoma leżącego na brzuchu. Jedynym sposobem, by uzyskać potrzebne miejsce, było wyrzucenie ławy. Wyniósł trzy jej części i popatrzył na nie

wspominając niezliczone chwile, kiedy wraz z Balwierzem stawali na maleńkiej scenie i zabawiali widzów. Wzruszywszy ramionami wziął duży kamień i połupał ławę na drwa. Tliły się jeszcze węgielki w kociołku, rozpałił więc pod osłoną ognisko, potem usiadł przy ogniu w gęstniejącej ciemności i dorzucał do niego szczapy z ławy.

Nie wyglądało na to, żeby imię Annę Mary zmieniono na Mary Margaret. I ciemne włosy dziecka, nawet jeśli miały rudawy odcień, nie wyrosłyby w tak złocistą grzywę, powtarzał sobie.

Przyszła Pani Buffington i ułożyła się obok niego przy ogniu, osłonięta od wiatru.

Dwudziestego drugiego października przed południem powietrze zgęstniało od twardych białych drobinek niesionych wiatrem i kłujących w odsłonięte części ciała.

— Za wcześnie na to paskudztwo — markotnie oznajmił Rob Szymonowi, który znów jechał na koźle, odkąd Gerszomowi zabliznił się pośladek.

— Nie na Bałkanach — powiedział Szymon.

Wspięli się na jeszcze wyższe i bardziej strome urwiska, porośnięte głównie mieszanym lasem brzoźowym, dębowym i sosnowym, wśród którego zdarzały się jednak całe zbocza nagie i kamieniste, jakby jakieś złośliwe bóstwo ścięło część góry. Znajdowały się tam małe stawy utworzone przez wodospady spływające w głębokie wąwozy.

Przed nimi jechali Cullen z córką, dwie bliźniacze postacie w długich kozuchach i futrzanych czapach, nie do rozróżnienia, gdyby nie wiedział, że pękata postać na karym koniu to Mary.

Zamieć nie ustawała i podróżni walczyli z jej podmuchami prac naprzód, nie dość jednak szybko dla Kerla Fritty, który szalał wzdłuż karawany popędzając wszystkich do szybszego marszu.

— Coś sprawiło, że Fritta zląkł się gniewu Pana naszego, Jezusa Chrystusa — zauważył Rob.

Szymon obrzucił go szybkim, ostrożnym spojrzeniem, na jakim Rob przyłapywał Żydów, ilekroć wypowiedział imię Jezusa.

— Musi nas przed śniegami doprowadzić do miasta Gabrowo. Droga przez te góry wiedzie przez wielką przełęcz zwaną Bramą Bałkańską, o tej porze roku już nieprzejezdną. Karawana przezimuje w Gabrowie, u stóp przełęczy. W Gabrowie są gospody i kwatery dla podróżnych. W pobliżu nie ma innego miasta na tyle dużego, żeby pomieścić taką liczną karawanę.

Rob kiwnął głową, natychmiast dostrzegając płynące z tego korzyści.

— Całą zimę będę mógł się uczyć perskiego — ucieszył się.

— Nie będziesz miał księgi — powiedział Szymon. — Nie zostaniemy w Gabrowie z karawaną. Jedziemy trochę dalej, do Trjawny, do Żydów.

— Ale muszę mieć księgę. I lekcje z tobą!

Szymon wzruszył tylko ramionami.

Tego dnia wieczorem, obrządziwszy Kobyłę, Rob poszedł do obozowiska Żydów, którzy akurat przeglądali specjalne podkowy z klinami. Meir podał jedną Robowi.

— Powinieneś mieć komplet takich dla swojej Kobyły. W nich zwierzę nie ślizga się na śniegu i lodzie.

— Nie mógłbym jechać z wami do Trjawny? Meir z Szymonem wymienili spojrzenia. Widać było, że już o nim rozmawiali.

— Nie w mojej to mocy zapewnić ci gościnne przyjęcie w Trjawnie.

— A w czyjej?

— Tamtejszym Żydom przewodzi wielki mędrzec, rabbi Szlomo ben Elia.

— Kto to jest rabbi?

— Uczony. W naszym języku rabbi znaczy „nasz nauczyciel”, to najzaszczytniejszy tytuł.

— A jaki jest ten mędrzec Szlomo? Czy to człowiek wyniosły, niechętny obcym? Sztywny i nieprzystępny? Meir uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Może mógłbym pójść do niego i poprosić, żeby mi pozwolił nie rozstawać się z księgą i lekcjami Szymona? — nalegał Rob.

Meir popatrzył na niego nie udając, że go ucieszyło to pytanie. Milczał dłuższą chwilę, kiedy jednak stało się jasne, że Rob uparcie będzie czekać na odpowiedź, westchnął i pokręcił głową.

— Zabierzemy cię do niego — obiecał.

## Trjawna

Gabrowo było nędzną miejsciną, niewielkim skupiskiem byle jak skleconych chałup. Od miesięcy Rob marzył o posiłku, którego by sam nie gotował, wspaniałym i podanym do stołu w gospodzie, Żydzi wszakże na krótko zatrzymali się w Gabrowie, zdążył więc zajść do jednej tylko z trzech gospód. Posiłek sprawił mu wielki zawód: mięso straszliwie przesolono, na próżno starając się ukryć, że jest zepsute, chleb był twardy i spleśniały, z dziurami niewątpliwie wygryzionymi przez zaległe w nim robaki, obsługa zaś godna potraw. W pozostałych dwóch gospodach nie było zapewne lepiej. Uczestników karawany czekała ciężka zima, każda bowiem izba zastawiona była ciasno wyrkami, tak że musieli spać stłoczeni jak śledzie w beczce.

W niecałą godzinę grupa Meira dojechała do Trjawny, miejsciny, jak się okazało, jeszcze mniejszej od Gabrowa. Kolonię żydowską — paręnaście domków z desek wysrebrzonych na deszczu i słońcu, krytych strzechą i przytulonych do siebie jakby dla wspólnej wygody — oddzielały od miasteczka ogarnięte zimowym snem winnice i brunatne pola, na których krowy skubały resztki zwarzonej mrozem trawy. Skręcili w nie brukowane podwórze, gdzie paru wyrostków zajęło się ich zwierzętami.

— Zaczekajcie tu — polecił Meir Robowi.

Czekanie długo nie trwało. Wkrótce wyszedł po niego Szymon i wprowadził go do jednego z domów, a dalej powiódł ciemnym korytarzem pachnącym jabłkami do izby, w której stało tylko krzesło i stół założony książkami i zapisanymi kartami. W krzesle siedział tęgi starzec o śnieżnobiałych włosach i brodzie. Ramiona miał pochylone, powieki opadały mu na brązowe, łzawiące od starości oczy, którymi zdołał jednak zajrzeć w głąb duszy Roba. Nikt nikogo nie przedstawiał, Rob zaś poczuł się tak, jakby stanął przed obliczem lorda.

— Rabbi wie, że jedziesz do Persji i potrzebna ci nauka języka tego kraju dla prowadzenia interesów — powiedział Szymon. — Pyta, czy radość płynąca z samej nauki nie jest wystarczającym powodem, żeby się uczyć.

— Czasami uczenie się jest radością — odparł Rob, zwracając się bezpośrednio do starca. — Ale dla mnie to na ogół ciężka praca. Uczę się języka Persów, bo liczę, że dzięki niemu osiągnę upragniony cel.

Przez chwilę Szymon i rabbi o czymś rozmawiali.

— Rabbi pytał — rzekł Szymon — czy zawsze jesteś taki uczciwy. Powiedziałem mu o szczerości, z jaką umiesz mówić śmiertelnie choremu, że umiera, i uznał, że to wystarczająca uczciwość.

— Powiedz mu, że mam pieniądze i zapłacę za jedzenie i dach nad głową.

Mędrzec pokręcił głową.

— To nie zajazd. Kto tu mieszka, musi pracować — oznajmił za pośrednictwem Szymona. — Jeśli Niewysłowny okaże swe miłosierdzie, nie trzeba nam będzie tej zimy balwierza.

— Nie muszę pracować jako balwierz. Chętnie wykonam każdą pracę, do jakiej się nadam.

Rabbi zanurzył długie palce w siwej brodzie, drapiąc się w zamyśleniu. Na koniec ogłosił swój werdykt.

— Ilekroć rabbi uzna, że jakiś wół nie został koszernie zabity — przetłumaczył Szymon — zabierzesz mięso i sprzedasz je rzeźnikowi w Gabrowie. A w szabat, kiedy żydom nie wolno

pracować, będziesz po domach pilnował ognia.

Rob się zawahał. Stary Żyd popatrzył nań, zaintrygowany błyskiem w jego oku.

— O co chodzi? — szepnął Szymon.

— Jeżeli żydom nie wolno pracować w czasie szabatu, to czy rabbi nie naraża mojej duszy na potępienie, wyznaczając do pracy mnie?

Szlomo ben Elia uśmiechnął się wysłuchawszy tłumaczenia.

— Rabbi powiada, że chyba nie chcesz zostać żydem — przełożył jego słowa Szymon, a kiedy Rob pokręcił głową, dodał: — A więc jest pewien, że wolno ci pracować w żydowski szabat, i wita cię w Trjawnie.

Po tych ustaleniach rabbi zaprowadził ich do wielkiej obory, gdzie Rob miał sypiać.

— W domu nauki są świece, ale nie wolno ich palić do czytania tu, w oborze, z uwagi na suche siano — powiedział surowo za pośrednictwem Szymona i od razu zapędził Roba do wyrzucania gnoju.

Tej nocy Rob legł na słomie z Panią Buffington czuwającą jak lwica u jego stóp. Kotka od czasu do czasu go opuszczała, by przegonić jakąś mysz, ale zaraz wracała. Obora zdała mu się ogromnym przytulnym pałacem ogrzewanym ciepłem wielkich krowich cielsk i gdy przywykł do nieustannego porykiwania i słodkiego smrodu bydłowego nawozu, usnął zadowolony.

Zima przyszła do Trjawny w trzy dni po przyjeździe Roba. Śnieg rozpadał się w nocy i przez następne dwa dni albo zaczął zmieszany z deszczem, albo wirował w powietrzu grubymi płatkami podobnymi do słodkich ciasteczek. Gdy przestał sypać, Rob dostał wielką drewnianą szufłę i pomagał odgarniać zasy przed wszystkich drzwi, pracując w skórzanym żydowskim kapeluszu, znalezionym na kołku w oborze. Wysoko mające góry, które połyskiwały w słońcu bielą, i wysiłek na zimnym powietrzu dodały mu otuchy.

Po odgarnięciu śniegu nie miał już nic do roboty, mógł więc pójść do domu nauki, drewnianego budynku o nieszczęsnych ścianach przepuszczających chłód, z którym walczył niby to komin, tak jednak niewystarczający, że nie czuło się żadnej różnicy, jeśli nawet zapomniano w nim podsycić ogień. Żydzi siadywali tam przy stołach z surowych desek i godzinami oddawali się studiom, spierając się przy tym głośno i chwilami zażarcie.

Swoją mowę nazywali Językiem. Rob dowiedział się od Szymona, że to mieszanina hebrajskiego i łaciny z dodatkiem niewielkiej liczby wyrazów zapożyczonych w krajach, przez które wędrowali lub w których żyli. Był to język jak stworzony do dysput, toteż studiując razem, obrzucali się słowami jak kamieniami.

— O co tak się kłóć? — spytał zdumiony Rob Meira, znalazłszy się tam pierwszy raz.

— O zasady Prawa.

— A gdzie księgi?

— Nie używają ksiąg. Ci, co znają Prawo, nauczyli się go na pamięć, a inni uczą się słuchając tamtych. Zawsze tak było. Mamy oczywiście Prawo Pisane, ale w nim szukamy rozstrzygnięcia, gdy powstają wątpliwości. Każdy, kto zna Prawo Ustnie Przekazane, wyklada je tak, jak sam się nauczył od swego mistrza, istnieje więc wiele wykładni, gdyż wielu jest mistrzów. Dlatego właśnie się sprzeczą. Przy każdej dyskusji poznają Prawo trochę lepiej.

Zaraz po przyjeździe do Trjawny zaczęto Roba nazywać „mar Ruben”. Mar Ruben, Balwierz. Najbardziej go wyróżniało owo słówko „mar”, siebie bowiem nawzajem tytułowali „reb”.

Dziwni to byli ludzie! Różnili się od Roba zarówno wyglądem, jak i obyczajami.

— A gdzie jego włosy? — ujrawszy Roba zapytał Meira niejaki reb Joel Lewiasz, Pasterz, gdy spostrzegł, że Rob nie ma peot, tradycyjnych pejsów zwiniętych przy uszach.

— On nic nie wie. To goj, obcy — wyjaśnił Meir.

— Ale Szymon mi mówił, że jest obrzezany. Jak to możliwe?

— dopytywał się reb Pinechas ben Symeon, Mleczarz. Meir wzruszył ramionami.

— To przypadek — odparł. — Pytałem go, ale to nie ma nic wspólnego z Przymierzem.

Przez kilka dni Żydzi przyglądali się mar Rubenowi, a on im, wydawali mu się bowiem nieco osobliwi w tych nakryciach głowy i ciemnych ubraniach, z lokami przy uszach, krzaczastymi brodami, dziwował się też ich pogańskim obyczajom. Zafascynowany patrzył natomiast, kiedy się modlili. Każdy zachowywał się wtedy inaczej: Meir nakładał szal modlitewny skromnie i dyskretnie, reb Pinechas zaś rozwijał tałes, potrząsał nim prawie wyzywająco trzymając go przed sobą za dwa rogi, wyrzutem rąk unosił w górę i gwałtownym ruchem rozpościerał wydęty nad głową, pozwalając mu opaść na ramiona łagodnie jak błogosławieństwo. Kiedy reb Pinechas się modlił, kiwał się w przód i w tył gwałtownie, natarczywie przedstawiając swe prośby Wszechmogącemu. Meir recytując modlitwy pochylał się łagodnie, a Szymon ani za szybko, ani za wolno, za to każdy skłon do przodu kończył lekkim drgnieniem i nieznacznym potrząśnięciem głowy.

Rob podczas studiowania perskiej księgi zachowywał się niemal tak samo jak oni, toteż szybko przestali zwracać na niego uwagę. Codziennie przez sześć godzin — trzy po porannych modłach, zwanych szacharit, i trzy po wieczornych, maariw

— w domu nauki było tłoczno, większość bowiem mężczyzn studiowała przed rozpoczęciem pracy zarobkowej i po jej zakończeniu. Za to w ciągu dnia panowała tam względna cisza, zaledwie przy jednym lub dwóch stołach zajmowali miejsca uczeni poświęcający się wyłącznie nauce. Wkrótce więc Rob zasiadał między nimi bez skrępowania, nie dostrzegany przez nich, sam obojętny na ich rozmowy, pogrążając się w nauce języka perskiego, w którym wreszcie zaczynał robić prawdziwe postępy.

Gdy nadszedł szabat, zajął się piecami w domach świętujących Żydów. Był to dla niego dzień najcięższej pracy od czasu odgarniania śniegu, lecz po południu i tak zdołał wygospodarować parę chwil na naukę. Dwa dni później pomógł rebowi Elii, Cieśli, wstawić nowe listwy w drewniane krzesła. Nie miał poza tym nic innego do roboty prócz nauki perskiego, póki pod koniec drugiego tygodnia pobytu w Trjawnie wnuczka rabiego, Rachela, nie nauczyła go dojenia. Miała białą skórę, długie czarne włosy splecione w warkocz i upięte wokół głowy, twarz w kształcie serca, małe usta z odętą kapryśnie dolną wargą, maleńkie znamię na szyi i wielkie brązowe oczy, którymi zdawała się nieustannie wodzić za Robem.

Byli we dwójkę w mleczarni, gdy jednej z krów coś się pomyliło: poczuła w sobie widać zew byczej krwi, bo wspiąwszy się na drugą, jęła wykonywać ruchy, jakby była parzącym się samcem. Na szyję i twarz Racheli wypełził rumieniec. Roześmiała się króciutko i pochyliła na zydłu, opierając głowę o ciepły bok mlecznej krowy. Z zamkniętymi oczami sięgnęła między kolanami tak rozchylonymi, aż spódnica się napinała, i chwyciła grube dójki u wezbranych wymion. Jej palce tylko migwały, gdy szybkimi ruchami kolejno za nie pociągała. Mleko strzyknęło i zabębniło o skopiec, a wtedy Rob nabrał powietrza głęboko w płuca i głośno je wypuścił. Różowy koniuszek języka pojawił się między wargami Racheli, która otworzywszy oczy, spojrzała na niego.

Stał sam w mrocznej, pełnej cieni oborze, trzymając w ręku kawałek derki, która mocno zalatywała Kobylą, niewiele większej od modlitewnego szala. Szybkim ruchem zarzucił ją na głowę i okrył nią ramiona tak gładko, jakby była tałesem reba Pinechasa. Powtarzał te czynności, nabierając coraz większej wprawy w nakładaniu modlitewnego szala. Bydło wokół porykiwało, on zaś z uporem ćwiczył niespieszne kiwanie rozmodlonego Żyda. Wolał w modlitwie upodabniać się do Meira niż do któregoś z bardziej energicznych wyznawców wiary hebrajskiej, jak reb Pinechas. Nie było to trudne. Opanowanie ich języka, obco brzmiącego i skomplikowanego, zabrałoby mu dużo więcej czasu, którego nie miał zwłaszcza

teraz, kiedy tak się przykładał do nauki perskiego.

Obserwując Żydów spostrzegł, że są rozmiłowani w talizmanach. Przy drzwiach każdego domu, na prawej framudze powyżej jednej trzeciej wysokości, przybita była drewniana tuleja nazywana mezuzą. Szymon mu wytłumaczył, że ukryty jest w niej zwinięty kawałek pergaminu, na którym kanciastymi hebrajskimi literami wypisane są dwadzieścia dwa wersety z Piątej Księgi Mojżeszowej: 6,4—9,11,13—21, a pod spodem słowo Szaddaj — Wszchemocny.

Już wcześniej, podczas podróży, Rob zauważył, że co rano z wyjątkiem szabatu dorośli mężczyźni przywiązują sobie do czoła i lewej ręki po skórzanej szkatułce. Jak się dowiedział, było to tefilin, inaczej zwane filakteria, zawierające wyjątki z żydowskiej świętej księgi, Tory. Do czoła przywiązywali szkatułkę, aby się znalazła w bliskości rozumu, do ręki zaś po to, żeby była w pobliżu serca.

— Posłuszni w tym jesteśmy pouczeniom Piątej Księgi Mojżeszowej—wyjaśnił mu Szymon. — „I będą te słowa, które ja dziś przykazuję tobie, w sercu twoim... I przywiążesz je jako znak do ręki twojej, i ruszać się będą między oczyma twymi...”

Kłopot polegał na tym, że Rob przez samo przyglądanie się nie mógł dociec, jak Żydzi zakładają owe filakteria. Nie mógł też poprosić Szymona, by mu pokazał, ponieważ dziwne by to było, gdyby chrześcijanin chciał się nauczyć któregoś z obrzędów żydowskiej religii. Udało mu się policzyć, że wokół ramienia owijają rzemień dziesięć razy, bardzo skomplikowane było natomiast to, co wyczyniali z dłonią: rzemieńne troki przeplatali między palcami w jakiś szczególny sposób, którego nie był w stanie podpatrzeć.

Stojąc w chłodnej oborze, gdzie powietrze aż gęste było od smrodu, owinął lewe ramię kawałkiem starego powrózka, ale sposób, w jaki oplatał nim dłoń i palce, w ogóle nie miał sensu.

Mimo tego rodzaju trudności Rob co dzień czegoś nowego od Żydów się uczył. Kiedy w dzieciństwie pobierał nauki w kościele Świętego Botolfa, mówiono mu, że Bogiem Starego Testamentu jest Jehowa. Pewnego razu wspomniał o Jehowie, Meir jednak pokręcił głową.

— Powinieneś wiedzieć, że nasz Pan Bóg, niech będzie błogosławiony, ma siedem imion. To jest najświętsze — rzekł i węgielkiem z pieca na drewnianej podłodze wypisał po persku i w swoim Języku to słowo: Jahwe. — Nigdy go nie wypowiedamy, Istoty bowiem Najwyższego nie da się wyrazić. Chrześcijanie wymawiają je błędnie, tak jak ty. Ale nie brzmi ono Jehowa, rozumiesz?

Rob skinął głową.

Co noc leżąc na posłaniu ze słomy, zanim zapadł w sen, dokonywał przeglądu poznanych nowych słów i zwyczajów, fragmentów zdań, urywków błogosławieństwa, odtwarzał zauważony gest, sposób wymawiania, wyraz uniesienia na czyjejs twarży w czasie modłów, gromadząc tę wiedzę w pamięci z myślą o dniu, w którym mu się przyda.

— Musisz się trzymać z daleka od wnuczki rabiego — ostrzegł go krzywiąc się Meir.

— Ona mnie w ogóle nie interesuje — odparł Rob. Minęło wiele dni od ich spotkania w mleczarni i odtąd ani razu się do niej nie zbliżył. Poprzedniej nocy natomiast przyśniła mu się Mary Cullen. Obudził się o świcie i leżał oszołomiony, z piekącymi oczami, próbując sobie przypomnieć szczegóły tego snu.

Meir kiwnął głową i twarz mu się rozpogodziła.

— To dobrze. Jedna z kobiet zauważyła, że dziewczyna zanedo za tobą patrzy, i doniosła rabbiemu. Prosił, żebym z tobą porozmawiał. — Meir przytknął palec do ust. — Jedno słówko szepnięte mądrym więcej znaczy niż błaganie głupca przez rok.

Rob zląkł się i zaniepokoił, musiał bowiem zostać w Trjawnie, by obserwować zachowanie Żydów i uczyć się perskiego.



— Nie życzę sobie kłopotów z powodu kobiety — powiedział.

— Oczywiście, że nie — westchnął Meir. — Kłopot jest z dziewczyną, powinna była wyjść za męża. Już jako dziecko została przyrzeczona rebowi Meszulowi ben Mojżeszowi, wnukowi reba Barucha ben Dawida. Znasz reba Barucha? Taki wysoki, chudy. Z długą gębą. I cienkim długim nosem. W domu nauki zawsze siada tuż za piecem.

— Ach, ten stary z gorejącymi oczami.

— Oczy mu goreją, bo gorliwie studiuje Prawo. Gdyby rabbim nie był Szlomo ben Elia, byłby nim reb Baruch. Kiedy ich wnuki były jeszcze niemowlętami, ułożyli to małżeństwo radując się, że połączą obie rodziny. Potem się strasznie powaśnili i tak się skończyła przyjaźń.

— O co się powaśnili? — spytał Rob, który już tak się zadomowił w Trjawnie, że lubił trochę poplotkować.

— Zarznęli do spółki młodego byczka. Otóż musisz wiedzieć, że nasze prawa koszerii są bardzo stare i skomplikowane, zawierają przepisy i wykładnie, jak co trzeba robić i jak robić tego nie wolno. A na płucu tego byczka znaleziono maleńką skażę. Rabbi powołał się na znane przykłady świadczące, że to bez znaczenia i w żaden sposób nie kazi mięsa, reb Baruch przytoczył inne przykłady wskazujące na to, że mięso uległo skażeniu i nie może być zjedzone. Upierał się, że to on ma słuszość, i w końcu rozgniewał się na rabiego, że podważa jego uczoność.

— Spierali się — ciągnął Meir — aż wreszcie rabbi stracił cierpliwość. „Przerąbcie zwierzę na pół — powiedział. — Ja wezmę swoją część, a Baruch niech robi ze swoją, co chce.” Przynieśliśmy jego połówkę do domu i z początku miał zamiar spożyć mięso, ale po namyśle zaczął wybrzydzać: „Jakże mam jeść mięso tego zwierzęcia? Połowa leży na śmietniku Barucha, a ja bym miał drugą zjeść?” I wyrzucił swoją połowę. Od tej pory już chyba we wszystkim jeden sprzeciwiał się drugiemu. Reb Baruch mówił „białe”, a rabbi „czarne”, rabbi mówił „mięso”, reb Baruch „mleko”. Gdy Rachel skończyła dwanaście lat i sześć miesięcy, czyli była w wieku, kiedy rodzice powinni zacząć poważnie mówić o weselu, rodziny młodych nic nie zrobiły wiedząc, że przy każdym spotkaniu dochodzi między starcami do kłótni. Potem reb Meszulum, niedoszły pan młody, wybrał się w swoją pierwszą podróż w interesach z ojcem i innymi mężczyznami z rodziny. Pojechali do Marsylii z ładunkiem miedzianych kotłów i spędzili tam prawie rok. Wyprawa przyniosła im znaczne zyski. Łącznie z czasem, który zajęła podróż, nie było ich blisko dwa lata. Wrócili zeszłego roku w lecie z jukami pełnymi pięknych francuskich strojów. I do tej pory obie rodziny, skłócone przez dziadków, nie doprowadziły do wesela! A tymczasem—dodał na zakończenie Meir—wszyscy wiedzą, że biedną Rachelę można właściwie uważać za agunę, porzuconą żonę. Ma piersi i nie karmi, jest dorosłą kobietą i nie ma męża, a to prawdziwy skandal.

Obaj zgodzili się, że Rob najlepiej zrobi omijając oborę w porze udoju.

Dobrze się stało, że Meir pomówił z Robem, bo nie wiadomo, do czego by dojść mogło, gdyby nie dano mu wyraźnie do zrozumienia, iż zimowa gościna u Żydów nie upoważnia do używania ich kobiet. Nocami dręczyły Roba obrazy kusząco długich krągłych ud, rudych włosów i białych młodych piersi o brodawkach jak wiśnie. Żydzi na pewno mieli modlitwy przebłagalne za marnowanie nasienia—mieli je na każdą okazję — lecz on nie znał żadnej, a ślady swych snów ukrywał pod świeżą słomą, szukając zapomnienia w pracy.

Było mu jednak ciężko, tym ciężej, że miłość dokoła kwitła, podsycana jeszcze nakazami religijnymi. Żydzi wierzyli na przykład, że kochanie się w przeddzień szabatu cieszy się szczególnym błogosławieństwem, co zapewne tłumaczyło, dlaczego tak lubią koniec tygodnia. Mężczyźni swobodnie rozmawiali między sobą o sprawach płci, użalając się jeden przed drugim, jeśli żona któregoś była nietykalna. Żydowskim małżeństwom nie wolno było współżyć przez dwanaście dni od pojawienia się u kobiety krwi miesięcznej i siedem po jej

zniknięciu bez względu na to, jak długo krwawiła. Powściągliwość przestawała obowiązywać wtedy dopiero, gdy żona oczyściła się przez zanurzenie w rytualnej kąpieli.

Służąca tym celom sadzawka, zwana mykwą, była obmurowanym zbiornikiem w domu kąpielowym nad strumieniem. Rob dowiedział się od Szymona, że woda w mykwie, aby odpowiadała wymogom rytuału, musi pochodzić z naturalnego źródła lub rzeki. W mykwie dokonywano jedynie rytualnego oczyszczenia, normalnie Żydzi myli się w domu. Raz w tygodniu natomiast, tuż przed szabatem, udawali się do łaźni mieszczącej tylko basen i potężne palenisko z huczącym ogniem, nad którym wisały wielkie kotły z wrzątkiem. Rob chadzał tam z nimi. Rozebrani do naga, skapani w gorącej parze, walczyli między sobą o przywilej polewania wodą rabbiego, bez końca zadając mu pytania.

— Szeela, rebe, szeela! Pytanie! — przekrzykiwali się.

Szlomo ben Elia miał na każde przemyślaną i wyważoną odpowiedź, opatrzoną uczonymi przykładami i cytatami, którą czasem aż nazbyt szczegółowo tłumaczyli Robowi Szymon lub Meir.

— Czy to prawda, rebe, że w Księdze Przysłów jest napisane, że każdy musi oddać najstarszego syna na siedem lat pogłębionych nauk?

Nagi rabbi dłużył z namysłem w pępku, szarpał się za ucho, drapał w długą siwą brodę smukłymi białymi palcami.

— Nie tak jest napisane, moje dzieci — odpowiadał. — Z jednej strony... — tu wystawiał w górę palec wskazujący prawej ręki — tak sądził reb Hananel ben Aszi z Lipska. A z drugiej...

— unosił wskazujący palec lewej ręki — według reba Józefa ben Eliakima z Jaffy odnosi się to tylko do pierworodnych synów kapłanów i Lewitów. Obaj ci mędrcy wszakże... — machał rękami—żyli setki lat temu. Dzisiaj inaczej na to patrzymy. Rozumiemy, że nauka jest nie tylko dla pierworodnych, i nie traktujemy innych synów, jakby byli kobietami. Wprowadziliśmy zwyczaj, że w czternastym, piętnastym i szesnastym roku życia każdy młodzieniec przez dwanaście do piętnastu godzin dziennie oddaje się pogłębionym studiom nad Talmudem. Potem nieliczni powołani mogą poświęcić całe życie nauce, innym zaś wolno zająć się interesami i od tej pory studiować tylko sześć godzin dziennie.

Cóż, zazwyczaj odpowiedzi tłumaczone obcemu gościowi nie należały do takich, które by go przyprawiły o bicie serca czy bodaj wymagały natężenia uwagi, mimo to Rob lubił piątkowe popołudnia w łaźni. Nigdy dotąd nie czuł się tak swobodnie wśród rozebranych mężczyzn, co zapewne wiązało się z tym, że był obrzezany. Gdyby się znalazł wśród swoich, jego członek zaraz stałby się celem niedyskretnych spojrzeń, przedmiotem kpin, pytań i nieprzyzwoitych domysłów. Czym innym jest rzadki kwiat, gdy rośnie samotnie, a czym innym gdy kwitnie na łące pełnej podobnych kwiatów.

W łaźni nie żalowano drow, toteż ogień w palenisku mocno buzował. Rob lubił zapach drzewnego dymu przesycający parę, szczypanie ostrego żółtego mydła, nad którego wyrobem czuwała córka rabbiego, i ostrożne dodawanie wrzątku do zimnej źródlanej wody, by uzyskać rozkosznie ciepłą kąpiel. Nigdy nie wchodził do mykwy, uważając, że dla niego jest zakazana. Wystarczało mu pławienie się w gorącej parze wypełniającej łaźnię i przyglądanie się Żydom, jak zbierają odwagę przed wejściem do osobnego zbiornika. Szepcząc albo śpiewnie recytując błogosławieństwa towarzyszące tej czynności, schodzili po sześciu mokrych kamiennych stopniach do głębokiej wody. Kiedy zaczynała im sięgać twarzy, wstrzymywali oddech, musiała ich bowiem całkowicie przykryć, aby akt oczyszczenia został dokonany. Nawet gdyby Roba zapraszali, za nic w świecie nie zanurzyliby się w chłodnej, ciemnej, zagadkowej wodzie, skrywającej tajemnicę ich religii. Przecież jeśli Bóg zwany Jahwe rzeczywiście istnieje, myślał, może wiedzieć, że on ma zamiar udawać jednego z jego synów. Czuł, że gdyby zstąpił w te tajemnicze wody, coś by go wciągnęło głębiej, w świat, w

którym cała grzeszność jego niecnym zamiarów jest znana i w którym zostałby rozszarpany przez hebrajskie węże lub nawet ukarany przez samego Jezusa.

## Zima w domu nauki

Było to najdziwniejsze Boże Narodzenie w całym dwudziestoletnim życiu Roba. Balwierz nie wychował go na dobrego chrześcijanina, ale takie zwyczaje jak gęś, pudding, skubanie „głowy sera”, śpiew i świąteczne toasty weszły mu już w krew, toteż poczuł się straszliwie samotny. Żydzi omijali go tego dnia nie z niegodziwości, lecz dlatego, że Jezus dla nich po prostu nie istniał. Oczywiście mógł poszukać kościoła, nie zrobił tego jednak, natomiast, o dziwo! przez to, że nikt nie życzył mu wesołych świąt, w duchu poczuł się bardziej chrześcijaninem, niż był nim dotychczas.

Tydzień później o świcie leżał na swojej słomie zastanawiając się, kim się stał i dokąd zmierza. Kiedy wędrował po angielskiej wyspie, uważał się za wielkiego podróżnika, tymczasem teraz miał za sobą drogę dłuższą od tej, jakiej by trzeba na obejście całej ojczyzny, a przed sobą wciąż jeszcze bezkresny nie znany świat.

Był to pierwszy dzień roku pańskiego 1032. Żydzi również go świętowali, ale dlatego, że przypadał właśnie nów księżyca, nie jako dzień Nowego Roku. Roba aż zamroczyło, gdy się dowiedział, że według ich pogańskiego kalendarza dobiega właśnie połowy rok 4792!

Trjawna leżała w krainie obfitych śniegów. Każdy nowy śnieg Rob przyjmował z radością i wkrótce się przyjęło, że po śnieżycy wielki chrześcijanin olbrzymią drewnianą łopatą wykonuje pracę kilku zamiataaczy. Był to jego jedyny wysiłek fizyczny: jeśli nie odgarniał śniegu, uczył się pilnie perskiego. Poczynił już takie postępy, że powoli zaczynał myśleć w tym języku. Niektórzy Żydzi z Trjawny bywali w Persji, toteż rozmawiał po persku z każdym, kto się nawinął.

— Wymowa, Szymonie... Jak tam z moją wymową?—pytał niekiedy, irytując nauczyciela.

— Każdy Pers cię wyśmiej, jak zechce — pognebiał go Szymon. — Dla nich zawsze będziesz cudzoziemcem. Nie spodziewasz się chyba cudów?

W domu nauki Żydzi podśmiewali się między sobą z naiwności wielkiego młodego goja. Niech się śmieją, myślał Rob.

Znalazł w nich ciekawszy przedmiot badań niż oni w nim. Szybko na przykład odkrył, że Meir i jego grupa nie są jedynymi gośćmi w Trjawnie. Wielu innych mężczyzn, których spotykał w domu nauki, było podróżnikami przeczekującymi w osadzie ciężką bałkańską zimę. Ku swemu zdumieniu dowiedział się od Meira, że nikt z nich nie płaci ani grosza za ponadtrzymiesięczne utrzymanie i dach nad głową.

— Dzięki temu — wyjaśnił Meir — możemy handlować z obcymi narodami. Widziałeś, jak trudno i niebezpiecznie jest podróżować przez świat, a mimo to każda żydowska gmina wysyła kupców za granicę. I we wszystkich krajach, chrześcijańskich czy muzułmańskich, Żyd podróżnik jest przyjmowany przez swoich, dostaje pić i jeść, miejsce w synagodze i stajnię dla konia. Zawsze więc gmina gości przybyszów z innych stron świata, a następnego roku dzisiejsi gospodarze mogą stać się czyimiś gośćmi.

Goście szybko się dostosowywali do życia gminy, przyjmując nawet miejscową mowę. Dzięki temu któregoś popołudnia w domu nauki, gdy Rob gawędził—po persku! — z Żydem z Anatolii, Ezrą Kowalem, dowiedział się, że wszyscy spodziewają się nazajutrz dramatycznego starcia. Otóż rabbi, pełniący obowiązki szocheta, czyli rzeźnika, miał następnego rana zabić dwa byczki. Rolę stróżów rytuału pilnujących, aby skomplikowane reguły obowiązujące podczas uboju były skrupulatnie przestrzegane, pełniła w gminie na

zmianę grupka cieszących się największym szacunkiem mędrców. Tym razem uboju dokonywanego przez rabiego miał doglądać jego niegdysiejszy przyjaciel, a ostatnio zaciekły wróg, reb Baruch ben Dawid.

Tego dnia wieczorem Meir zrobił Robowi wykład z Księgi Kapłańskiej. Otóż spośród czworonogów żyjących na ziemi zezwala ona Żydom spożywać wszystkie przeżuujące parzystokopytne, w tym owce, bydło, kozy i jelenie, zabrania natomiast jeść jako trefne — niekoszerne — konie, osły, wielbłądy i świnie. Z ptactwa wolno im jeść gołębie, kury, oswojone synogarlice, domowe kaczki i gęsi, zakazane są natomiast orły, strusie, sępy, kanie, kukułki, łabędzie, bociany, sowy, pelikany, czajki i nietoperze.

— W życiu nie jadłem smakowitszego pieczystego niż młody łabędź, najpierw dobrze obłożony soloną słoniną, a potem upieczony na wolnym ogniu — wspomniał Rob.

Na twarzy Meira odmalowało się niejake obrzydzenie.

— Tu czegoś takiego nie dostaniesz — powiedział.

Następny dzień wstał jasny i zimny. Dom nauki prawie całkiem opustoszał po szacharicie, porannych modłach, wielu Żydów bowiem udało się do obejścia rabiego przyglądać się szechicie. Ich oddechy unosiły się jak obłoczki w nieruchomym mroźnym powietrzu.

Rob stał z Szymonem. Powstało niewielkie poruszenie, kiedy przybył reb Baruch ben Dawid i drugi maszgijah, przygarbiony starzec imieniem reb Samson ben Zanwil, o twarzy zacieklej i surowej.

— Jest jeszcze starszy niż reb Baruch i rabbi, ale nieuczony — szepnął Szymon. — I boi się teraz, że gdyby doszło do sporu, znajdzie się między młotem a kowadłem.

Czterej synowie rabiego wyprowadzili z obory pierwsze zwierzę, czarnego byka o tęgich bokach i szerokim zadzie. Byk rycząc potrząsał łbem i rył kopytami w ziemi, musieli więc wezwać widzów na pomoc, by utrzymać zwierzę na powrozach, gdy członkowie komisji oglądali je centymetr po centymetrze.

— Najmniejsza ranka lub zadrapanie zdyskwalifikuje go jako zwierzę rzeźne — wyjaśnił Szymon.

— Dlaczego? — zdziwił się Rob. Szymon zachnął się niecierpliwie.

— Bo tak stanowi Prawo — odparł krótko.

Kiedy wreszcie zapadł pomyślny werdykt, podprowadzono byka do żłobu wypełnionego pachnącym sianem. Rabbi ujął w rękę długi nóż.

— Widzisz, jaki ma tępy, szeroki czubek? — zwrócił uwagę Szymon. — Jest bez szpica, żeby przypadkiem nie zadrapać skóry. Ale ostry jak brzytwa.

Stali na zimnie, lecz nic się nie działo, rabbi bowiem również tkwił bez ruchu.

— Na co on czeka? — zapytał szeptem Rob.

— Na właściwy moment — odparł Szymon. — Zwierzę musi być nieruchome, jak otrzymuje śmiertelny cios, inaczej nie byłoby koszerne.

Jeszcze nie umilkł, gdy nóż błysnął w powietrzu, jednym czystym ciosem przecinając gardziel i tchawice razem z tętnicami szyjnymi. Z rany trysnął czerwony strumień i byk stracił świadomość, gdyż w jednej chwili został odcięty dopływ krwi do mózgu. Oczy bydłęcia zasły mgłą, padło na kolana i legło po chwili martwe.

Wśród patrzących podniósł się szmer zadowolenia, który szybko ucichł, gdy reb Baruch zaczął z bliska oglądać nóż. Wpatrzony w niego Rob dostrzegł, że piękną starą twarz ściąga wewnętrzna walka. Wreszcie Baruch odwrócił się do rywala.

— Coś nie w porządku? — zapytał chłodno rabbi.

— Obawiam się, że tak — oświadczył reb Baruch i wskazał pośrodku klingi skazę,

ledwie widoczną plamkę na cienkim jak włos ostrzu.

Stary sękaty reb Samson ben Zanwil cofnął się, pewien, że od niego, drugiego ze stróżów rytuału, zażądają rozsądzenia sprawy, czego sobie nie życzył. Reb Daniel, ojciec Racheli i najstarszy syn rabbiego, nie wytrzymał.

— Co to za bzdury?! — wybuchnął. — Każdy wie, jak starannie ostrzy się noże rabbiego...

Byłby dalej mówił, lecz ojciec uciszył go uniesieniem ręki, po czym podniósł nóż pod światło i wprawnie przeciągnął palcem po ostrzu. Westchnął, bo istotnie rysa na nim była. Oto człowiek popełnił błąd, wskutek którego mięso nie odpowiadało wymogom Prawa.

— Chwała niech będzie Bogu, że wzrok masz ostrzejszy od noża i że wciąż nas strzeże, stary przyjacielu — rzekł spokojnie, zebrani zaś odetchnęli, jakby uwolnili wstrzymywany oddech.

Reb Baruch uśmiechnął się, wyciągnął rękę, poklepał rabbiego po dłoni i obaj przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie. Potem rabbi odwrócił się i przywołał mar Rubena, Balwierza. Rob podszedł z Szymonem, który uważnie wysłuchał słów szocheta.

— Rabbi prosi — przetłumaczył Robowi — żebyś dostarczył tego trefnego byka chrześcijańskiemu rzeźnikowi w Gabrowie.

Rob zaprzęgił do niskich sań Kobylę, która już od dawna potrzebowała trochę ruchu, i wiele chętnych rąk załadowało na nie byka. Rabbi innym nożem, wcześniej dokładnie sprawdzonym, zabił tymczasem drugie zwierzę. Uznano je za koszerne i Żydzi właśnie ćwiartowali mięso, gdy Rob potrząsnąwszy lejcami skierował Kobylę na drogę prowadzącą z Trjawny.

Jechał do Gabrowa powoli i z wielką radością. Znalazł rzeźnika, potężnego tęgiego mężczyznę, dokładnie tam, gdzie mu wskazano, czyli trzy domy za gospodą, najokazalszym budynkiem miasteczka. Okazało się, że brak wspólnego języka wcale nie stanowi przeszkody.

— Trjawna — powiedział tylko Rob, wskazując na martwego byka.

Pucołowata rumiana twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

— Aaa, rabbi—westchnął w odpowiedzi rzeźnik i energicznie kiwnął głową.

Nie daliby sobie rady ze zdjęciem zwierzęcia z sań, toteż rzeźnik sprowadził z gospody dwóch pomocników, po czym wspólnymi siłami, posługując się powrozem, wyładowali wreszcie byka.

Rob wiedział od Szymona, że cenę ustalono i nie będzie żadnych targów. Gdy rzeźnik wręczył mu parę nędznych groszy, stało się jasne, czemu tak radośnie się uśmiechał — niemal darmo dostał wspaniałego wołu tylko dlatego, że ostrze noża rzeźnika miało maleńką skazę! Pomyślał, że nigdy chyba nie zrozumie ludzi, którzy bez konkretnego powodu traktują dobre wołowe mięso jak padlinę. Głupota takiego postępowania rozgniewała go i do pewnego stopnia zawstydziła. Chętnie by wyjaśnił rzeźnikowi, że nie jest jednym z tamtych wariatów, lecz chrześcijaninem, niestety, mógł tylko przyjąć te grosze w imieniu Hebrajczyków i schować je osobno w swojej kiesie.

Załatwiwszy to, z czym przyjechał, poszedł prosto do pobliskiej gospody. Długa, wąska izba bardziej przypominała tunel, niski pułap czarny był od dymu z paleniska, przy którym próżnowało z dziesięciu pijących mężczyzn. Przy stole w pobliżu siedziały trzy kobiety. Rob przyjrzał się im dokładnie, popijając z kubka palącą brunatną gorzałkę, która mu wcale nie smakowała. Najwyraźniej były ladacznicami: dwie nie pierwszej już młodości, za to trzecia, blondynka, miała na twarzy wypisaną niewinność. Spozregła, że Rob się jej przygląda, i uśmiechnęła się do niego. Dopił więc gorzałkę i podszedł do kobiet.

— Nie sędzę, żebyście mówiły po angielsku — mruknął, tego bowiem łatwo się było domyślić. Jedna ze starszych coś powiedziała i pozostałe się roześmiały. Rob wyjął monetę i

podał młodziej. Więcej nie było trzeba, aby się porozumieć. Wetknęła pieniądz za pazuchę i już nie odzywając się do swoich towarzyszek skierowała się do kąta, w którym na kołku wisiał jej płaszcz.

Wyszedł za nią z gospody i na zaśnieżonej ulicy natknął się na Mary Cullen.

— Witajcie! — ucieszył się. — Jak tam wy z ojcem spędzacie zimę?

— Nędznie — odpowiedziała. Faktycznie wyglądała dość marnie. Nos miała zaczerwieniony, na miękkiej wypukłości górnej wargi pryszcz.—W gospodzie wiecznie zimno, a jedzenie okropne. Naprawdę mieszkacie u Żydów?

— Tak.

— Jak możecie? — spytała bez przekonania. Rob zapomniał już, jakiego koloru Mary ma oczy, i teraz go rozczuliły, jakby przypadkiem ujrzał na śniegu drozdy.

— Śpię w cieplej oborze, żywię się smacznie... — rzekł z wielką satysfakcją.

— Ojciec mówi, że Żydzi wydzielają szczególny rodzaj smrodu, foetor judaicus. To dlatego, że ciało Chrystusa natarli po śmierci czosnkiem.

— Każdemu zdarza się śmierdzieć. Ale oni zwykle się myją od stóp do głów. Jestem pewien, że kąpią się częściej niż większość ludzi.

Poczerwieniała i Rob zrozumiał, że w gospodzie takiej jak ta w Gabrowie niechybnie trudno jest o wodę i rzadko można ją dostać. Zerknęła potem na kobietę, która w pewnym oddaleniu cierpliwie na Roba czekała.

— Ojciec mówi — odezwała się znowu — że kto zgadza się żyć wśród Żydów, nie może być godnym człowiekiem.

— Wasz ojciec — zeżlił się Rob — wydał mi się człkiem dobrym. Ale może jest—dodał po krótkim namyśle—zwyczajnym osłem.

Ruszyli każde w swoją stronę jak umówieni, w jednej chwili. Rob udał się za kobietą do położonej w pobliskim domu izby, w której mieszkała. Leżały tam w nieładzie brudne kobiece łaszki. Z tego, jak wiele ich było, domyślił się, że zajmuje izbę z tamtymi dwiema. Przyglądał się jej, kiedy zrzucała odzienie.

— Okrucieństwem jest patrzeć na ciebie, jak się zobaczyło tamtą—rzekł na głos wiedząc, że kobieta nie rozumie ani słowa. — Czasami wprawdzie mówi przykre rzeczy, ale... choć właściwie nie jest piękną, mało która może się równać wyglądem z Mary Cullen. — Kobieta uśmiechnęła się do niego. — Młoda z ciebie ladaczniczka, a już wyglądasz staro — dodał, kiedy wyplątała się z sukni i uciekając przed chłodem, szybko wsunęła się między brudne futrzane okrycia. Zdażył jednak zobaczyć więcej, niż chciał.

Należał do mężczyzn, których pociąga piżmowy zapach kobiety, lecz od tej bił kwaśny odór, włosy na ciele miała zbite i zlepione, jak gdyby cała wilgoć wysychała na nich niezliczone razy, nigdy nie zmyta uczciwą czystą wodą. Od wstrzemięźliwości tak wyglądiał, że byłby się na nią rzucił, ale jedno spojrzenie na jej sine ciało ukazało mu takie zużycie i brud, że nie miał chęci nawet dotknąć tej kobiety.

— Niech diabli tę rudą czarownicę!... — zaklął posepnie, a kobieta spojrzała nań, nic nie pojmując. — Nie twoja wina, turkaweczko — zwrócił się do niej sięgając do kieski. Dał jej więcej, niżby się należało, gdyby skorzystał z usługi. Zgarnęła monety pod futra i przycisnęła do siebie. Rob nawet nie zaczął się rozbierać, wyglądził więc tylko ubranie, skinał kobiecie głową i wyszedł na powietrze.

Mijał luty, Rob zaś coraz więcej czasu spędzał w domu nauki, z uporem brnąc przez perską księgę. Wciąż go zdumiewała zawsze jednaka jej wrogość wobec chrześcijan i wielka nienawiść do Żydów.

— Pierwszymi nauczycielami Mahometa — wytłumaczył mu to Szymon — byli Żydzi i syryjscy mnisi chrześcijańscy. Kiedy zaczął głosić, że nawiedził go archanioł Gabriel, a Bóg

powołał na proroka i kazał stworzyć nową doskonałą religię, spodziewał się, że dawni przyjaciele tłumnie i z okrzykami radości pójdą za nim. Ale chrześcijanie woleli własną religię, a Żydzi, przeraziwszy się, czynnie dołączyli do przeciwników nauki Mahometa. Już im tego do końca życia nie wybaczył i pomstował na nich we wszystkim, co mówił i pisał.

Dzięki wnikliwym uwagom Szymona Koran ożył dla Roba. Przebrnął już niemal przez połowę księgi i mozolił się dalej wiedząc, że niedługo czeka ich dalsza podróż. W Konstantynopolu drogi jego i grupy Meira się rozejdą, wtedy zaś nie tylko straci nauczyciela, ale co gorsza także księgę. Koran dawał mu wgląd w kulturę bardzo różną od tej, z którą się dotąd stykał, a Żydzi z Trjawni pozwolili mu zakosztować jeszcze innego sposobu życia. Jako dziecko sądził, że świat to Anglia, teraz jednak się przekonał, że istnieją inne ludy, w pewnych cechach do siebie podobne, w tych istotnych wszakże różniące się od siebie.

Incydent podczas uboju pogodził rabiego z rebem Baruchem ben Dawidem, toteż obie rodziny natychmiast się zajęły przygotowaniem do ślubu Racheli z młodym Meszullumem ben Nathanem. W kolonii żydowskiej zaczęła się krzątanina, pośród której dwaj starcy kręcili się uszczęśliwieni, często razem.

Rabbi podarował Robowi stary skórzany kapelusz i pożyczył mu do przestudiowania krótki urywek Talmudu, hebrajskiej księgi, przetłumaczony na język perski. Rob uradował się, że oto może się przyjrzeć perskiemu w innym niż Koran tekście, lecz zrozumienie tego fragmentu przekraczało jego możliwości. Dotyczył prawa, które mówiło, że choć Żydom wolno nosić jednocześnie lniane płótno i wełnę, zabronione mają przywdziewanie tkaniny ze splotu lnu i wełny. Rob nie mógł pojąć, dlaczego tak jest. Wszyscy, których pytał, albo nie wiedzieli, albo wzruszali ramionami powtarzając, że tak każe Prawo. W najbliższy piątek więc zebrał się w łaźni na odwagę i gdy nadzy mężczyźni otoczyli rabiego, zawołał:

— Szeela, rabbi, szeela!

— „Pytaj, synu”, mówi rabbi — przetłumaczył Szymon.

— Nie wolno wam jeść mięsa razem z mlekiem. Nie wolno wam nosić lnianego płótna z wełną. Często nie wolno wam dotykać własnych żon. Dlaczego macie tyle zakazów?

— Aby konieczna była wiara — odpowiedział rabbi.

— Po cóż Bóg miałby stawiać Żydom tak dziwne żądania?

— By odróżnić nas od was—rzekł krótko rabbi, lecz w jego oczach pojawił się błysk, a odpowiedź pozbawiona była złości.

Rob zachłysnął się, gdy Szymon chlusnął mu wodą na głowę.

W drugi piątek miesiąca adar cała gmina uczestniczyła w uroczystości zaślubin Racheli, wnuczki rabiego, z Meszullumem, wnukiem reba Barucha. Tego dnia wczesnym rankiem wszyscy się zbrali przed domem Daniela ben Szłoma, ojca pana młodego. W domu Meszullum wpłacił za żonę okrągłą sumę piętnastu sztuk złota, podpisano ketubę, kontrakt ślubny, a reb Daniel dał wspomniały posag, zwracając parze nowożeńców kwotę wpłaconą za pannę młodą i dodając jeszcze piętnaście sztuk złota, wóz i zaprzęg koni. Nathan, ojciec pana młodego, podarował szczęśliwej parze dwie mleczne krowy. Gdy wychodzili z domu, Rachelę minęła Roba, jakby był powietrzem.

Cała gmina odprowadziła parę młodych do synagogi, gdzie pod chupą, baldachimem, wyrecytowali siedem błogosławieństw. Potem Meszullum rozdeptał kruche szkło na znak, że szczęście jest nietrwale, i na pamiątkę zburzenia Świątyni. Odtąd Rachelę i Meszullum byli mężem i żoną. Zaczęło się całodzienne świętowanie.

Zagrał flet, piszczałka i bębenek, a Żydzi zaśpiewali namiętnie: „Miły mój zstąpił do ogrodu swego, aby się paść w ogrodach i nie zbierać”, wyjątek z Pisma, jak pouczył Roba Szymon. Obaj dziadkowie, szeroko rozpostarłszy ramiona, zamknęli oczy, strzelili palcami i poszli w tan.



Uroczystości weselne trwały do późnej nocy. Rob objadł się mięsiwem i tłustymi słodkościami i opił nad miarę. Leżąc później na słomie w ciepłym mroku obory z kotką u boku, zadumał się głęboko. Z coraz mniejszym niesmakiem wspominał blondynkę z Gabrowa i postanowił nie myśleć o Mary Cullen. Z zazdrością za to myślał o chudym młodzieniaszku Meszullumie, leżącym w tej chwili z Rachelą, i miał nadzieję, że uczoność Meszulluma pozwoli mu docenić własne szczęście.

Obudził się dobrze przed świtem i raczej wyczuł, niż dosłyszał zmianę. Zasnął raz jeszcze, a kiedy wstał, wyraźnie już było to słychać: kapało, ciurkało, szemrało, wreszcie zaszumiało głośniej. Masy śniegu i lodu topniały, łączyły się z wodami zamarznętej ziemi i spływały oznajmiając nadejście wiosny.

## Pole pszenicy

Kiedy umarła Jura, matka Mary Cullen, ojciec powiedział, że do końca życia będzie ją oplakiwał. Mary chętnie wraz z nim przywdziała czarne szaty i unikała publicznej rozrywki, gdy jednak osiemnastego marca skończył się rok żałoby, oznajmiła ojcu, że czas wrócić do normalnego trybu życia.

— Nie zdejmę żałoby — oświadczył James Cullen.

— A ja tak—powiedziała Mary i ojciec skinął przyzwalająco głową.

Od samego domu wiozła ze sobą sztukę cienkiej wełny z runa ich własnych owiec i teraz dotąd rozpytywała, aż znalazła w Gabrowie dobrą szwaczkę. Kobieta kiwnęła głową, gdy jej wytłumaczyła, czego chce, poradziła jednak, by przed skrojeniem sukno nijakiego naturalnego koloru ufarbować. Różne odcienie czerwonego dawał korzeń marzanny, ale mając rude włosy, Mary wyglądałaby w czerwieni jak latarnia morska. Rdzeń dębu dałby kolor szary, lecz po tak długim noszeniu pokutnej czerni szarość wydawała się nazbyt bezbarwna. Kora klonu lub sumaku dawała barwnik żółty i pomarańczowy, kolory zbyt frywolne. Zostawał więc brązowy.

— Całe życie chodziłam w orzechowych brązach — uzaliła się ojcu.

Na drugi dzień przyniósł jej garnuszek żółtawej pasty podobnej do lekko zrumienionego masła.

— To farba, i to kosztowna.

— Nie przepadam za tym kolorem — zauważyła ostrożnie. James Cullen się uśmiechnął.

— Zwie się indygo. Rozpuszcza się w wodzie i musisz uważać, żeby ci nie zafarbowała rąk. Wyjęte z żółtej wody mokre sukno na powietrzu zmienia kolor, który się utrwała.

Farba nadała suknu barwę tak głębokiego błękitu, jakiego Mary jeszcze nie widziała, a szwaczka skroiła z niego i uszyła suknię i płaszcz. Mary była z nich zadowolona, lecz wystroiła się w nie dopiero dziesiątego kwietnia, kiedy myśliwi przynieśli do Gabrowa wiadomość, że droga przez góry stoi wreszcie otworem.

Wczesnym popołudniem ludzie, którzy czekali w całej okolicy na odwilż, jęli ścigać do Gabrowa, skąd wyruszano dalej przez wielką przełęcz zwaną Bramą Bałkańską. Kupcy zaopatrujący podróżnych wystawili towar i wszyscy tłumnie rzucili się do nich, głośno walcząc o prawo zakupu.

Mary musiała sporą sumkę podarować karczmarce, by w tak gorączkowy czas ją skłonić do nagrzania wody i przyniesienia jej na górkę, do izby, w której sypiały kobiety. Najpierw uklękła nad balią i umyła włosy, długie już i gęste jak zimowe runo, potem kucnęła w balii i wyszorowała się, aż lśniła.

Włożyła świeżo uszyte ubranie, wyszła i usiadła przed gospodą. Przeciągając drewnianym grzebieniem po włosach, które powoli schły na słońcu, patrzyła, jak główna ulica miasteczka wypełnia się końmi i wozami. Niebawem przegalopowała liczna grupa jeźdźców, nie zważając na zamieszanie, jakie swym przejazdem wywołuje. Wywrócił się czyjś wóz, gdy spłoszone konie stanęły dęba tocząc z przerażenia ślepiami, mężczyźni klnąc usiłowali schwytać lejce, konie rżały i kwiczały. Mary wbiegła do karczmy, choć jej włosy jeszcze nie wyschły, spakowała rzeczy i była gotowa, nim wrócił ojciec z Serezym.

— Co to za ludzie takim galopem przejechali przez miasto?

— spytała.

— Zwą się chrześcijańskimi rycerzami — chłodno wyjaśnił ojciec. — Jest ich prawie

osiemdziesięciu, to Frankowie z Normandii, jadą z pielgrzymką do Palestyny.

— Bardzo są niebezpieczni, pani — dodał Seredy. — Noszą kolczugi, ale na wozach wiozą pełne zbroje. Zawsze pijani i...

— Odwrócił oczy. — Żle się odnoszą do wszystkich kobiet. Musicie trzymać się blisko nas.

Podziękowała mu z powagą, choć myśl o tym, że ma się spuścić na Seredy'ego i ojca jako obrońców przed osiemdziesięcioma nieokrzesanymi pijanymi rycerzami, mogłaby się wydać śmieszna, gdyby nie była przygnębiająca.

Wspólna obrona stanowiła najważniejszy powód podróżowania dużą karawaną, toteż nie tracąc czasu wędrowcy ładowali juki na zwierzęta i spędzali je na rozległe pole na wschodnim skraju miasteczka, gdzie zbierała się karawana. Mijając wóz Kerla Fritty, Mary zauważyła, że już ustawił stół i żwawo się zakrzętnął przy rekrutacji.

Ustawianie się w szyku przypominało powrót do domu, witało ich bowiem wiele osób poznanych na wcześniejszym etapie podróży. Cullenom przypadło teraz miejsce bliżej środka karawany, gdyż za nimi ustawiło się wielu nowo przybyłych.

Mary wypatrywała oczu za tymi, na których czekała, ale niemal noc zapadła, nim dojrzała jadących konno pięciu Żydów, a za nimi niewielką kasztanową kobyłkę zaprzęgniętą do jaskrawo pomalowanego wozu. Kiedy podjechał do niej Rob J. Cole, zniecka poczuła, jak mocno wali jej serce w piersi.

Wyglądał nie gorzej niż zwykle i wydawało się, że cieszy go powrót, pozdrowił też Cullenów tak radośnie, jakby się nie rozstali w gniewie po ostatnim spotkaniu. Kiedy dopatrzył konia i przyszedł do ich obozowiska, Mary okazała sąsiedzką troskę wspominając, że teraz u miejscowych kupców niewiele uda mu się kupić. Rob podziękował uprzejmie za pamięć, wyjaśnił jednak, że bez trudności zaopatrzył się w Trjawnie.

— A wy macie dosyć? — spytał.

— Tak, ojciec kupił zawczasu — odparła, zirytowana w duchu, że ani wspomniał ojej nowej sukni i płaszczu, choć nie przestawał się jej przyglądać.

— Są tego samego koloru co wasze oczy — zauważył wreszcie.

Nie była pewna, czy może uznać to za komplement.

— Dziękuję — powiedziała w końcu z powagą, a ponieważ zbliżał się ojciec, zmusiła się, by odwrócić głowę i spojrzeć na stawiającego namiot Seredy'ego.

Minął następny dzień, a karawana nie ruszała, toteż u jej czoła i na tyłach podniosły się narzekania. James Cullen poszedł wywiedzieć się u Fritty i po powrocie powiedział Mary, że mistrz karawany czeka na wyjazd normandzkich rycerzy.

— Wywołali wiele zamieszania i Fritta słusznie uważa, że zamiast żeby nam następowali na pięty, lepiej ich mieć przed sobą — wyjaśnił.

Nazajutrz rano jednak rycerze wciąż tkwili w miasteczku, wobec czego Fritta uznał, że dość tego czekania. Na jego znak karawana ruszyła w ostatni długi etap prowadzący do Konstantynopola i fala podrywająca podróżnych do przodu sięgnęła wreszcie Cullenów. Ubiegłej jesieni jechali za frankońską rodziną z dwojgiem dzieci, która zimowała poza Gabrowem. Chociaż twierdzili, że zamierzają jechać dalej z karawaną, teraz się nie pojawili. Mary czując, że musiało im się przydarzyć coś strasznego, poleciła ich opiece Pana Jezusa. Teraz jechała konno za dwoma tęgimi braćmi, Frankami, którzy powiedzieli jej ojcu, że liczą na zrobienie fortuny na dywanach i innych skarbach. Żuli dla zdrowia czosnek i często obracali się w siodłach, z rozdziawionymi głupio gębami gapiąc się na nią. Przyszło jej na myśl, że z wozu za nią także ten młody balwierz może się jej przyglądać, czasami więc posuwała się do tego, że specjalnie wyginała się w biodrach bardziej, niż wymagała tego konna jazda.

Długi wąż podróży dopełził wreszcie do przełęczy prowadzącej przez wysokie góry. Poniżej krętego szlaku strome zbocza opadały w dół aż do połyskliwej rzeki wezbranej od topniejących lodów, które skuwały nurt przez całą zimę.

Za wielką przełęczą pogórze stopniowo przeszło w łagodnie sfalowaną wielką równinę, porośniętą krzewami. Nocny popas już na niej im wypadł, a nazajutrz skierowali się prosto na południe. Teraz wyraźnie już dało się odczuć, że Brama Bałkańska rozdziela dwa różne światy, powietrze bowiem po tej stronie przełęczy było łagodniejsze i z każdą godziną robiło się cieplej.

Na noc zatrzymali się przed wsią Gornja i rozłożyli po sadach śliwkowych za przyzwoleniem chłopów, od których ten i ów kupił trochę ognistej śliwownicy, zielonej cebuli i sfermentowanego mlecznego napoju tak gęstego, że trzeba go było jeść łyżką. Następnego dnia wczesnym rankiem, nim jeszcze zwinęli obozowiska, Mary dosłyszała łoskot przypominający daleki grzmot, który szybko się przybliżył, tak że wkrótce można już było w nim rozróżnić dzikie krzyki i wrzaski. Wychodząc z namiotu zobaczyła, jak z wozu balwierza wyskakuje na sam środek drogi biała kotka. Niczym koszarne demony przegalopowali po niej frankońscy rycerze, ale Mary w tumanie podniesionego kurzu zdążyła dojrzeć dzieło końskich kopyt. Nie wiedziała, że krzyczy, świadoma była tylko tego, że biegnie w stronę drogi, nim jeszcze pył osiadł.

Pani Buffington nie była już biała—kopyta wbiły ją w piach. Mary podniosła nieszczęsne stratowane ciało, wtedy też dopiero uświadomiła sobie, że Rob wyszedł z wozu i stoi nad nią.

— Zniszczycie sobie krwią nową suknię — powiedział szorstko, ale jego poblądła twarz była wstrząśnięta.

Zabrał od niej kotkę, wyjął łopatę i oddalił się od obozowiska. Gdy wrócił, nie podeszła do niego, z daleka jednak zauważyła, że oczy ma czerwone. Zakopywanie martwego zwierzątka to nie to samo co grzebanie zmarłego, lecz nie wydało jej się dziwne, że jest zdolny płakać nad kotem. Pomimo jego wzrostu i siły pociągała ją w nim właśnie ta wrażliwość i czułość.

Przez najbliższych parę dni zostawiła go w spokoju. Karawana nie posuwała się już prosto na południe, znowu zboczywszy na wschód, ale słońce przygrzewało z każdym dniem mocniej. Mary dopiero teraz sobie uświadomiła, że szycie nowej sukni w Gabrowie było ogólnie biorąc stratą, za ciepło bowiem zrobiło się na wełnę. Przerzuciła w bagażach letnie rzeczy i znalazła lżejszą suknię, za cienką jednak na podróż i łatwo mogącą się zniszczyć. Zdecydowała się w końcu na płócienną bieliznę i prostą, przypominającą worek suknię roboczą, której nadała jaki taki kształt ściągając się sznurem w pasie. Głowę nakryła skórzanym kapeluszem z szerokimi kresami, choć na policzki i nos zdążyły już jej wyjść piegi.

Tego ranka, gdy zeskoczyła z konia i ruszyła pieszo, by zażyć ruchu, którego bardzo jej brakowało, Rob uśmiechnął się do niej.

— Chodźcie, wsiądźcie do mnie na wóz. Wsiadła bez ceregieli. Tym razem wcale nie czuła skępowania, lecz głębokie zadowolenie, że siedzi obok niego na kozle.

Rob sięgnął ręką pod kozioł i wydobył swój kapelusz, tak samo jak jej skórzany, tyle że było to nakrycie głowy noszone przez Żydów.

— Skądęście go wzięli? — spytała Mary.

— Dostałem w Trjawnie od pewnego świątobliwego męża. Wkrótce zauważyli, jak krzywo spogląda na Roba jej ojciec, i oboje się roześmiali.

— Dziwię się, że pozwala wam przychodzić do mnie — powiedział Rob.

— Przekonałam go, że nie jesteście niebezpieczni.

Popatrzyli na siebie z ulgą. Rob miał twarz przystojną mimo brzydkiego złamanego nosa i grubych rysów, które jak zauważyła Mary, zachowywały kamienną obojętność — zwierciadłem jego uczuć były oczy, głębokie, niepłochliwe i jakby starsze od niego samego. Wyczuła w nich wielką samotność, równą swojej. Ile miał lat? Dwadzieścia jeden? Dwadzieścia dwa?

Drgnęła, gdy zdała sobie sprawę, że Rob coś mówi. Mówił o tej uprawnej równinie, przez którą jechali.

— ...głównie owoce i pszenica. Zimy na pewno są tu krótkie i lekkie, bo zboże już wysokie — mówił, lecz nie pozwoliła, by ją ograbił z tej zażyłości, jaką przed chwilą osiągnęli.

— Byłam na was wściekła wtedy w Gabrowie. Inny wyparłby się wszystkiego albo roześmiał, Rob jednak nic nie odpowiedział.

— Z powodu tej Słowianki... Jak mogliście z nią pójść? Na nią też byłam wściekła.

— Szkoda waszej wściekłości na nas oboje. Ona zasługiwała na litość, a ja z nią nie spałam. Sam wasz widok mi ją obrzydził — wyznał z prostotą.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że powie jej prawdę, i czuła w duchu coraz cieplejszy ogarniający ją tryumf.

Teraz już mogli rozmawiać o głupstwach: o drodze, o tym, jak pędzić zwierzęta, by nie ustawały, o trudnościach ze znalezieniem drow na ogień, żeby uwarzyć strawę... Jechali razem przez całe popołudnie gawędząc spokojnie o wszystkim, ani słowem nie wspominali tylko białej kotki. I o sobie też w ogóle nie rozmawiali, choć oczy Roba wyrażały znacznie więcej, niżby mógł powiedzieć.

Mary to zrozumiała. Bała się z różnych powodów, ale nie zamieniłaby na nic innego tego miejsca przy nim na niewygodnym, podskakującym wozie pod palącym słońcem. Wreszcie jednak, mimo że niechętnie, posłusznie je opuściła, stanowczo przywołana przez ojca.

Od czasu do czasu mijali niewielkie stadka owiec i chociaż na ogół zwierzęta były oparszałe, ojciec Mary niezmiennie się zatrzymywał, oglądał je i szedł z Serezym przepytąc właścicieli, którzy kolejno mu powtarzali, że po naprawdę dobre owce musi jechać dalej, do Anatolii.

Z początkiem maja już tylko tydzień drogi dzielił ich od Turcji. James Cullen nie próbował nawet ukryć podniecenia w przeciwieństwie do Mary, która podniecona z całkiem innych powodów, robiła co mogła, aby ojciec tego nie spostrzegł. Mimo że balwierz zawsze znajdował się w zasięgu jej spojrzenia i uśmiechu, czasem zmuszała się do tego, by go przez parę dni z rzędu unikać w obawie, że ojciec każe jej trzymać się z daleka od Roba, jeśli domyśli się jej uczuć.

Pewnego wieczora zmywała po kolacji, gdy Rob pojawił się w ich obozowisku. Skinął jej grzecznie głową i skierował się prosto do ojca z flaszką gorzałki w ręce na pojednanie.

— Siadajcie — zaprosił niechętnie Cullen, ale kiedy już do siebie przepili, stał się bardziej przyjazny, zapewne dlatego, że miło było posiedzieć z towarzyszem podróży i porozmawiać po angielsku. Nietrudno mu też przyszło dać się rozbroić Robowi, tak że wkrótce James Cullen opowiadał już gościowi o tym, co ich czeka.

— Słyszałem o owcach wschodniej rasy, chudych i wąskich w grzbiecie, ale z tak tłustymi ogonami i zadem, że bydlę potrafi długo przeżyć bez paszy, z własnych zapasów. Jagnięta mają jedwabiste runo o rzadkim blasku. Zaczekajcie chwilę, pokażę wam! — Zniknął w namiocie i wrócił z czapką z baranka. Wełna była popielata i gęsto skręcona.— Najlepszy gatunek—oznajmił z zapałem. — Runo zostaje takie kręte do piątego dnia życia jagnięcia, a póki bydlątko nie skończy dwóch miesięcy, jest faliste.

Rob obejrzał czapkę i przyznał, że skórka jest piękna.

— Och, piękna — powtórzył Cullen i włożył czapkę, co ich rozśmieszyło, bo wieczór był ciepły, a czapka miała chronić przed mrozami. Schował ją z powrotem w namiocie, zasiedli we troje przy ogniu i ojciec dał Mary parę razy łyknąć ze swojego kubka. Z trudem przełknęła gorzałkę, lecz poczuła się po niej dziwnie bezpiecznie.

Przetoczył się nad nimi grzmot wstrząsając posiniałym niebem, na dłuższą chwilę błyskawica oblała ich światłem i Mary ujrzała twarde płaszczyzny twarzy Roba, jednakże wrażliwe oczy, dzięki którym był piękny, pozostały w cieniu.

— Dziwny kraj, grzmi i błyska jak wszędzie, ale ani kropli deszczu — odezwał się Cullen.—Dobrze pamiętam ranek, kiedy się urodziłaś, Mary Margaret. Wtedy też grzmiało i błyskało, ale spadł ulewny szkocki deszcz, jakby niebiosa się otworzyły i nigdy nie miały zamknąć.

Rob pochylił się do przodu.

— Musiało to być w Kilmarnock, gdzie wasza ojcowizna.

— Nie, nie tam. W Saltcoats. Jej matka była z Tedderów z Saltcoats. Zawiozłem Jurę do starej siedziby Tedderów, bo w ciąży bardzo tęskniła za matką, zabawiliśmy tam wesoło dobrych kilka tygodni, aż przyszedł jej czas. Chwyciły ją bóle i zamiast w Kilmarnock, jak przystało Cullenównie, Mary Margaret urodziła się w domu dziadka Teddera nad zatoką Clyde.

— Ojczy — powiedziała łagodnie Mary — pan Cole wcale może nieciekaw dnia moich urodzin.

— Przeciwnie — zaprzeczył Rob, po czym ją wypytywał ojca i słuchał nie przerywając.

Mary siedziała modląc się, by znów nie błysnęło, bo nie chciała, żeby ojciec zobaczył, iż dłoń balwierza leży na jej nagim ramieniu. Dotknięcie było lekkie jak puch, ale cała pod nim zadrżała., jakby się otarła o przyszłość albo przejął ją nocny chłód.

Jedenastego maja karawana dotarła nad zachodni brzeg Ardy, gdzie Kerl Fritta postanowił zatrzymać się na dzień. Dzięki temu podróżni mogli naprawić wozy i odświeżyć zapasy u okolicznych chłopów. Ojciec Mary wziął Seredy'ego, najął przewodnika i przeprowił się z nimi na drugi brzeg, do Turcji, jak mały chłopiec nie mogąc się doczekać, kiedy zacznie poszukiwania owiec o tłustych ogonach.

Godzinę później Mary i Rob dosiedli razem na oklep karej kobyły i oddalili się od gwaru i tumultu obozu. Mijając obozowisko Żydów Mary zauważyła, że szczupły młodzieniec robi frywolną minę. Był to Szymon, ten, który uczył Roba. Wyszczrzył zęby i szturchnął w bok jednego z towarzyszy, pokazując mu, jak odjeżdżają.

Właściwie wcale jej to nie obeszło. Kręciło jej się w głowie, może z powodu upału, gdyż ranne słońce paliło jak kula ognia.

Objęła rękami pierś Roba, by nie spaść z konia, zamknęła oczy i oparła głowę o jego szerokie plecy.

W pewnej odległości od karawany minęli dwóch posepnych chłopów prowadzących wołu obładowanego drewnem na opał. Obaj wytrzeszczyli na nich oczy, ale nie odpowiedzieli na pozdrowienie. Pewnie szli z daleka, gdyż tutaj nie było drzew, tylko rozległe pola, bezładne teraz, siewy bowiem dawno ukończono, a zboża jeszcze nie dojrzały do zbiorów.

Przyjechali nad jakiś strumień, Rob uwiązał konia do krzaka, zdjęli obuwie i weszli do osłepiająco migotliwej wody. Po obu brzegach lśniącego jej lustra rosła pszenica i Rob wskazał Mary kuszący chłód w cieniu wysokiego zboża.

— Chodź, tu jest jak w jaskini — powiedział i zwinnie wczołgał się w pszenicę.

Wsunęła się za nim, choć nie tak szybko jak on. W wysokim dojrzewającym zbożu zaszeleściło jakieś stworzenie i Mary się sploszyła.

— To tylko mała myszka, już uciekła — uspokoił ją Rob. Kiedy oboje znaleźli się w

rozmigotanym od plamek słońca chłodzie, spojrzeli sobie w oczy.

— Nie chcę, Rob.

— No to nie — rzekł, choć wyczytała w jego oczach, jak bardzo poczuł się zawiedziony.  
— Pocałuj mnie tylko — poprosił pokornie.

Tak więc ich pierwsze fizyczne zbliżenie ograniczyło się do niezręcznego, kapryśnego pocałunku, na którym zaważył jej lęk.

— Nie lubię tamtego. Widzisz, już to kiedyś robiłam — powiedziała w pośpiechu, by mieć za sobą tę chwilę, której się bała.

— Więc już próbowałaś?

— Tylko raz, z kuzynem w Kilmarnock. Zadał mi straszny ból.

Ucałował łagodnie jej oczy, nos, usta, Mary tymczasem zmagala się ze sobą. Kimże on ostatecznie dla niej jest? Stephena Teddera znała od urodzenia, był kuzynem i przyjacielem, a zadał jej straszne cierpienie. Potem zaś wyśmiewał się z jej wstydu, traktował ją niczym głupią niezdare, która pozwoliła mu zrobić ze sobą to, co zrobił. Czuła się wtedy zbrukana, jakby dała się wepchnąć w błoto.

Kiedy pogrążona była w tych przykrych myślach, Rob zaczął ją całować, lecz jakoś inaczej, pieszcząc językiem jej usta w środku. Nie było to niemiłe, toteż spróbowała go naśladować i wtedy jął ssać jej język! Potem rozpiął jej stanik i znowu się rozdygotała.

— Chcę je tylko ucałować — powiedział niecierpliwie i Mary dziwnie się poczuła patrząc z góry na jego twarz, gdy się pochylał do jej piersi, zarumienionych już i co musiała przyznać niechętnie, aczkolwiek z zadowoleniem, dużych, ale stromych i twardych.

Potał delikatnie językiem różową obwódkę i przez całą skórę przebiegł jej dreszcz. Rob zataczał coraz mniejsze koła, aż liznął stwardniałą różową brodawkę i wciągnął ją do ust, zupełnie jak niemowlę matczyną pierś, przez cały czas głaszcząc jej nogi pod kolanami i po wewnętrznej stronie ud. Lecz kiedy sięgnął ręką do łona, Mary zeszywniała. Poczwała, jak ściągając się jej mięśnie ud i brzucha, i skuliła się wystraszona, dopóki nie cofnął dłoni.

Poszukał wtedy czegoś w swym ubraniu, a znalazłszy, poprowadził tam jej rękę. Mary zdarzyło się parę razy przypadkiem podejść, gdy ojciec albo któryś z jego parobków załatwiał potrzebę za krzakiem, i coś niecoś podejrzwała, więcej nawet niż kiedy była ze Stephenem Tedderem, ale dokładnie nigdy tego nie widziała i teraz nie mogła się powstrzymać, by się nie przyjrzeć. Nie przypuszczała, że jest taki... gruby, pomyślała z pretensją, jakby to była Roba wina. Zebrawszy odwagę, pogłaskała go po jądrach i roześmiała się gardłowo, gdy zadrżał od tego. Prześmieszne!

Uspokoila się wśród tych wzajemnych pieszczot i spróbowała sama zawładnąć jego ustami. Wkrótce ich ciała stały się jak ciepłe owoce. Teraz już Mary nie wydawało się takie straszne, kiedy dłoń Roba zsunęła się z jej pośladków, jakby twardniejących i zaokrąglających się pod tym dotknięciem, i cała oddała się igraszkom pomiędzy jej nogami.

Nie wiedziała, co ma zrobić z rękami, wsunęła mu więc palec w usta, poczuła jego ślinę, zęby i język, ale Rob cofnął głowę i znowu ssał jej piersi, całował brzuch i uda. Najpierw dostał się do niej jednym palcem, potem dwoma, coraz szybciej kolistymi ruchami łaskocząc drobny groszek.

— Ach... — westchnęła słabo, unosząc kolana.

Lecz zamiast udreki, na jaką przygotowało ją wspomnienie, ze zdumieniem poczuła ciepło oddechu Roba. Jego język niczym ryba zanurzył się w wilgoć między owłosionymi fałdami, których ona sama wstydzila się dotykać! Jak zdołam jeszcze kiedy spojrzeć w oczy temu mężczyźnie? — przeszło jej przez myśl pytanie i szybko umknęło, zniknęło w przedziwny, cudowny sposób, ona zaś dygocząc podrzucała już bez pamięci całym ciałem z zamkniętymi oczami i niemo rozchylonymi ustami.

Wśliznął się w nią, nim oprzytomniała. Złączyli się na dobre, stał się przedłużeniem gładkiego, jedwabistego ciepła w jądrze jej istoty. Nie było bólu, tylko poczucie wypełnienia, które zaraz zelżało, gdy zaczął powoli się poruszać.

W pewnej chwili nagle przestał.

— Wszystko dobrze? — zapytał.

— Tak — odparła i zaczął od nowa.

Wkrótce poczuła, że i sama się porusza, wychodząc mu naprzeciw, a niebawem nie był już w stanie dłużej się hamować: przyspieszył, zwiększając dystans i natarczywość. Chciała go uspokoić, lecz gdy mu się przyjrzała przez szparki między powiekami, zobaczyła, że odrzucił głowę do tyłu i wygiął się nad nią łukiem.

Cóż za przeżycie poczuć ten dreszcz, usłyszeć ten chrapliwy jęk, gdy z obezwładniającą ulgą wypuszczał w nią swe soki!

W cieniu pszenicy wysokości człowieka leżeli potem, prawie się nie poruszając. Mary przerzuciła długą nogę przez niego i tak spokojnie trwali, podczas gdy pot i tamta wilgoć na nich wysychały.

— Można to polubić — odezwał się wreszcie Rob. — Jak słodowe piwo.

Z całej siły uszczypnęła go w ramię. Była jednak smutna.

— Dlaczego to lubimy? — zapytała. — Przyglądałam się koniom. Dlaczego zwierzęta to lubią?

Wydał się zaskoczony. Po wielu latach miała zrozumieć, że to pytanie wyróżniło ją spośród wszystkich kobiet, jakie znał, ale w tej chwili widziała tylko, że się jej przygląda.

Nie potrafiła mu powiedzieć, że już teraz stał się dla niej kimś innym niż wszyscy mężczyźni, jakich pamiętała. Wyczuła, że był dla niej wyjątkowo dobry, chociaż nie do końca rozumiała, na czym to polegało — za jedyny punkt odniesienia miała doświadczoną niegdyś brutalność.

— Bardziej myślałeś o mnie niż o sobie — powiedziała.

— Ja nie zaznałem kiedyś bólu.

Pogłaskała go po twarzy i zatrzymała na niej rękę, a Rob pocałował ją w dłoń.

— Większość mężczyzn... większość ludzi jest inna. Wiem.

— Musisz zapomnieć o tym przeklętym kuzynie z Kihnarnock — przykazał jej Rob.



## Propozycja

Rob zyskał dodatkowych pacjentów wśród nowo przybyłych i rozbawiło go, gdy się dowiedział, że Kerl Fritta przyjmując ich do karawany chęłpił się, że otacza ją opieką znakomity balwierz. Szczególnie uradował go widok tych, których leczył w pierwszym etapie podróży, nigdy bowiem dotąd tak długo nie zajmował się zdrowiem tych samych ludzi. Dowiedział się, że wielki, roześmiany frankoński poganiacz, którego leczył na dymienicę, zmarł od tej choroby w Gabrowie w połowie zimy. Miał pewność, że to się stanie, przepowiedział wszak choremu bliski koniec, ale ta wiadomość go przygnębiła.

— Zadowolone daje mi chory, którego umiem wyleczyć — zwierzył się Mary. — Złamana kość, otwarta rana... coś, w czym mogę pomóc i przywrócić człowiekowi zdrowie. Nienawidzę niewiedomego. Chorób, o których nie wiem nic albo mniej niż sam chory. Dolegliwości spadających na człowieka jak grom z jasnego nieba i wymykających się wszelkim rozsądnym wyjaśnieniom i planom leczenia. Ach, Mary, tak mało wiem, nie właściwie, a ci ludzie mają tylko mnie!...

Choć niewiele pojmowała z tego, co mówił, pocieszała go, jak mogła. Jednakże ze znacznie większą pomocą, jak się wkrótce okazało, przyszedł Rob jej. Którejś nocy przybiegła do niego z krwotokiem, zgięta w pół od kurczów, i opowiedziała o matce. Pewnego pięknego letniego dnia Jura Cullen dostała miesięcznego krwawienia, potem krew zaczęła z niej chlustać i miesięczka przeszła w krwotok. Gdy umarła, Mary nazbyt cierpiała, aby płakać, a teraz co miesiąc, kiedy przychodziła kobieca dolegliwość, bała się, że ją zabije.

— Uspokój się. To nie była zwykła miesięczka, tylko coś gorszego. Wiesz, że to prawda — rzekł przykładając ciepłą, kojącą dłoń do jej brzucha i pocieszając ją pocałunkami.

Parę dni później jadąc z nią wozem przyłapał się na tym, że opowiada jej o sprawach, o jakich nigdy dotąd z nikim nie rozmawiał: o śmierci rodziców, rozdzieleniu i utracie rodzeństwa. Płakała, jakby nigdy nie miała przestać, tak wykręciwszy się na koźle, by ojciec nie widział.

— Tak cię kocham! — wyszeptała.

— I ja cię kocham — powiedział bez pośpiechu, sam zdumiony tym, co mówi. Nigdy nie wypowiedział tych słów do nikogo.

— Nie chcę się nigdy z tobą rozstać — oświadczyła.

Potem na szlaku często odwracała się w siodle karego wierzchowca i spoglądała na Roba. Ich sekretnym znakiem były dwa palce prawej ręki przyłożone do ust jakby po to, by strząsnąć owada czy pyłek kurzu.

James Cullen nadal szukał zapomnienia w butelce i Mary czasem przychodziła do Roba, gdy pijany ojciec mocno zasnął. Rob próbował ją od tego odwieść, strażnicy bowiem reagowali nerwowo i niebezpiecznie było poruszać się po obozowisku w nocy, Mary jednak była kobietą upartą, przychodziła więc mimo wszystko, a jemu zawsze sprawiało to radość.

Szybko się uczyła, toteż niebawem znali się tak dobrze jak starzy przyjaciele. To, że oboje byli słusznego wzrostu, stanowiło część magii, i gdy poruszali się złączeni, Robowi przychodziły na myśl mamuty kopulujące wśród huku grzmotów. W jakimś sensie było to dla niego taką samą nowością jak dla niej. Miał wiele kobiet, lecz nigdy dotąd nie kochał. Teraz pragnął jednego: dać jej rozkosz, chociaż musiał przed samym sobą przyznać, że w tej nowej sytuacji czuje się niespokojny i zagubiony, niezdolny pojąć, co się z nim stało w tak krótkim czasie.

Wkraczali coraz głębiej w europejskie tereny Turcji, jej część zwaną Tracją. Miejsce pszenicznych pól zajęły pofalowane bujne pastwiska, na nich zaś pojawiły się stada owiec.

— Ojciec ożywa — powiedziała Mary Robowi.

Gdziekolwiek się natknęli na owce, Rob widział, jak James Cullen z nieodłącznym Serezym odjeżdżają galopem, by pogadać z pasterzami. Brunatnoskórzy pasterze chodzili z zakrzywionymi kijami ubrani w koszule z długimi rękawami i szerokie, ściągnięte pod kolanami spodnie.

Któregoś dnia wieczorem Cullen sam przyszedł do Roba. Usiadł przy ognisku i z zakłopotaniem odchrząknął.

— Nie myślcie, że jestem ślepy — zaczął.

— Wcale tak nie myślę — odparł Rob z szacunkiem w głosie.

— Muszę wam coś powiedzieć o mojej córce. Nie jest taka ciemna. Zna łacinę.

— Moja matka знаła łacinę. Trochę i mnie nauczyła.

— Mary całkiem dobrze zna łacinę. Znakomita to rzecz w obcych krajach, można się dogadać z urzędnikami i klerem. Oddałem ją na naukę do sióstr w Walkirk. Przyjęły dziewczynę myśląc, że ją zwabią do klasztoru, tyle że ja się nie łudziłem. Nie ma zdolności do języków, ale kiedy ją przykazałem, że ma się nauczyć łaciny, przyłożyła się. Już wtedy mi się marzyła podróż na Wschód po dobre owce.

— A potraficie dowieźć je do Szkocji żywe?—wyraził swoją wątpliwość Rob.

— Potrafię. Jestem dobrym owczarzem — oświadczył z dumą Cullen. —Zawsze było to tylko marzenie, a jak żona umarła, postanowiłem jechać. Krewniacy gadali, że uciekam, bom oszalał z bóleści, ale to było coś więcej.

Posiedzieli chwilę w milczeniu pełnym napięcia.

— Byłeś w Szkocji, chłopcze? — zapytał na koniec Cullen. Rob pokręcił głową.

— Nie zapuszczałem się dalej jak do północnej Anglii i Cheviot Hills.

Cullen prychnął przez nos.

— Może to i niedaleko od granicy, ale gdzie tam jeszcze do właściwej Szkocji! Widzisz, Szkocja leży wyżej i piękniejsze ma skały. W górach mamy czyste rybne strumienie, wody starcza jeszcze dla traw... Nasza ziemia leży w dzikich górach i dużo jej mamy. Liczne stada... — Urwał, jakby po to, by lepiej dobrać słowa.—Ten, kto weźmie Mary za żonę, przejmie wszystko, jeśli się okaże odpowiednim człowiekiem—doda! wreszcie i pochylił się w stronę Roba. — Za cztery dni dojeżdżamy do miasteczka Babaeski. Tam córka i ja odłączamy się od karawany i ruszamy prosto na południe, do Malkary, na wielki targ bydła, na którym planuję kupić owce. A potem jedziemy na płaskowyż Anatolii, tam liczę na najlepszy zakup. Cieszyłbym się, gdybyście pojechali z nami. — Westchnął i zmierzył Roba trzeźwym spojrzeniem. — Silni jesteście i zdrowi. Odwagi wam nie brak, inaczej byście tak daleko się nie zapuszczali za zarobkiem i dla poprawy swojej kondycji. Sam bym was dla niej nie wybrał, ale ona chce was. Kocham córkę i pragnę jej szczęścia. Jest wszystkim, co mam.

— Mości Cullen... —zaczął Rob, ale owczarz mu przerwał:

— Nielekko to proponować i nielekko przyjąć. Musicie nad tym pomyśleć, człowieku, jak i ja musiałem.

Rob grzecznie mu podziękował, jakby Cullen częstował go jabłkiem czy innym przysmakiem, i Cullen wrócił do swojego obozowiska.

Noc spędził Rob bezsenną, wpatrzony w niebo. Nie był tak głupi, by nie wiedzieć, że Mary nie jest pospolitą dziewczyną. I cud sprawił, że go pokochała. Drugiej takiej nigdy już nie spotka.

I ziemia, mój Boże!... Ziemia!

Nadarzało mu się życie, o jakim jego ojciec nawet nie marzył, tak samo jak żaden z ich przodków. Miałby zapewnioną pracę i dochody, szacunek i obowiązki. Miałby własność, którą potem by przekazał synom. Dawano mu oto w podarunku inny rodzaj istnienia niż to, jakie znał dotychczas: kochającą kobietę, poza którą świata nie widział, i spokojną przyszłość członka nielicznej grupy właścicieli ziemi.

Do samego rana przewracał się i rzucał na posłaniu.

Nazajutrz Mary przyszła z brzytwą ojca przystrzyc mu włosy.

— Nad uszami nie — zaoponował.

— Właśnie nad uszami są najbardziej skołtunione. I dlaczego się nie golisz? Z tą szczeciną wyglądasz jak dzikus.

— Przystrzygę brodę, jak będzie dłuższa. — Ściągnął ręcznik z karku. — Wiesz, o czym twój ojciec ze mną mówił?

— Najpierw oczywiście mówił o tym ze mną.

— Nie pojedę z tobą do Malkary, Mary.

Tylko po jej ustach i rękach poznał, co poczuła. Jej dłonie na pozór spoczywały na spódnicy, ale tak się zacisnęły na brzytwie, że pod przezroczystą skórą pobieleły knykcie.

— Dołączysz do nas gdzie indziej?

— Nie — odparł, choć przyszło mu to z trudem. Nie przywykł uczciwie rozmawiać z kobietami. — Jadę do Persji, Mary.

— Nie chcesz mnie.

Głos jej zabrzmiał tak głucho i bezbarwnie, że Rob pojął, jak bardzo nie była na to przygotowana.

— Pragnę cię, ogromnie cię pragnę, ale przemyślałem wszystko i wiem, że to niemożliwe.

— Dlaczego niemożliwe? Masz już żonę?

— Nie, nie. Jadę do Isfahanu, do Persji. Nie po to, żeby szukać okazji handlowej, jak ci mówiłem, tylko uczyć się medycyny.

Patrzyła na niego stropiona, z wypisanym na twarzy pytaniem, czym jest medycyna w porównaniu z ziemią Cullenów.

— Muszę zostać medykiem — dodał i zabrzmiało to jak niezbyt prawdopodobna wymówka. Poczul dziwny wstyd, jakby się przyznawał do jakiejś wady czy słabości. Nie próbował tego wytłumaczyć, gdyż było za bardzo skomplikowane. Sam niewiele rozumiał.

— Twoja praca cię unieszczęśliwia. Wiesz, że tak jest. Powiedziałeś mi, kiedy się skarżyłeś, jaką jest dla ciebie udręka.

— Nie ona jest udręką, tylko moja niewiedza i brak umiejętności. W Isfahanie mogę się nauczyć, jak pomagać tym, dla których teraz nic nie mogę zrobić.

— A nie mogłabym zostać z tobą? Ojciec by pojechał z nami i tam kupił owce...

Błagalny ton jej głosu i błysk nadziei w oczach kazały mu przywdziać pancierz obojętności, aby jej nie ulec. Wytłumaczył Mary, że Kościół zabrania uczęszczać na islamskie akademie, i powiedział, co zamierza zrobić.

Pobladła, gdy to do niej dotarło.

— Narażasz się na wieczne potępienie.

— Nie wierzę, żebym narażał duszę na zgubę.

— Jako Żyd!... — Wytarła do czysta brzytwę o ręcznik, całkowicie skupiając się na tej czynności, i wsunęła ostrze do skórzanego woreczka.

— Tak, widzisz więc, że to coś takiego, co muszę zrobić sam jeden.

— Widzę tylko, że jesteś szalony. Nic o tobie nie wiedziałam i wmawiałam sobie dotąd, że to nieważne, ale... Pewno wiele już porzuciłeś kobiet. Przyznaj, że tak.

— To nie to samo... — Chciał jej wytłumaczyć, na czym polega różnica, lecz mu nie pozwoliła. Uważnie słuchała dotychczasowych wyjaśnień i widział, jak głęboko ją zranił.

— Nie boisz się, że powiem ojcu, że mnie wykorzystałeś? Gotów zapłacić, żeby ujrzeć cię martwym. Albo że pójde do pierwszego napotkanego księdza i wyznam mu, co zamierza zrobić pewien chrześcijanin, który kpi sobie ze Świętej Matki Kościoła?

— Powiedziałem ci prawdę. Ja nie mogę ani spowodować twojej śmierci, ani cię zdradzić, i jestem pewny, że ty postąpisz tak samo.

— Nie będę czekała na żadnego medyka — oświadczyła. Skinał głową, nienawidząc sam siebie za rozgoryczenie widoczne w jej oczach, gdy odchodziła.

Cały dzień patrzył, jak jedzie sztywno wyprostowana w siodle. Nie oglądała się, by spojrzeć na niego. Wieczorem zauważył, że długo i poważnie o czymś z ojcem rozmawia. Najwidoczniej powiedziała mu tylko, że postanowiła nie wychodzić za mąż, bo jakiś czas potem Cullen rzucił mu uśmiech pełen ulgi i zarazem tryumfu. Potem narodził się z Sereyem i tuż przed zmrokiem sługa sprowadził do obozu dwóch mężczyzn, których Rob, sądząc po odzieniu i wyglądzie, wziął za Turków. Później się domyślił, że byli przewodnikami, bo gdy się zbudził nazajutrz rano, Cullenów już nie było.

Jak chciał obyczaj, którego przestrzegano w karawanie, wszyscy jadący dotąd za nimi przesunęli się o jedno miejsce do przodu, tego więc dnia Rob zamiast za karym wierzchowcem Mary jechał za dwoma braćmi, grubymi Frankami. Czuł się winien i było mu smutno, ale doznał też ulgi, nigdy bowiem nie myślał o założeniu rodziny i nie nadawał się do tego. Zastanawiał się, czy podjął decyzję z prawdziwego oddania medycynie, czy też, wzorując się na Balwierzu, najzwyczajniej uciekł przed małżeństwem w chwili słabości wywołanej strachem.

Wpłynęło na to pewnie i jedno, i drugie, rozstrzygnął w końcu. Biedny głupi marzyciel, osądził się z niesmakiem. Pewnego dnia poczujesz się zmęczony i stary, bardziej będziesz potrzebował żony i niechybnie zwiążesz się z jakimś jędzowatym flejtuchem.

Mocno doskwierała mu samotność, żałował, że Pani Buffington nie żyje. Starał się nie myśleć o tym, co zniszczył, zgarbiony nad lejcami i wpatrzony w spalone zady francuskich braci przed sobą.

Przez tydzień czuł się tak, jakby kogoś pochował. Gdy karawana dojechała do Babaeski, doznał jeszcze głębszego żalu i poczucia winy na myśl o tym, że tu odłączyłby się razem z nimi, by towarzyszyć jej ojcu i zacząć nowe życie, lecz wspomniawszy Jamesa Cullena, uznał, że w sumie lepiej mu żyć w samotności, wiedział bowiem, iż Szkot byłby trudnym w współżyciu teściem.

Nadal jednak nie przestawał myśleć o Mary.

Dwa dni później zaczął się dźwigać z przygnębienia. Wśród porośniętych trawą pagórków dosłyszał wyraźnie jakiś dźwięk dobiegający z oddali. Taki głos mogliby wydawać aniołowie. Dźwięk z wolna się przybliżył i oto Rob ujrzał pierwszy w swym życiu sznur wielbłądów.

Wszystkie obwieszane były dzwoneczkami brzęczącymi przy każdym ich dziwnym, rozkołysanym kroku. Były większe, niż się spodziewał, wyższe od człowieka i dłuższe od konia. Ich komiczne pyski wydawały się jednocześnie pogodne i groźne; miały wielkie rozwarte nozdrza, obwisłe wargi i rzewne ślepia o ciężkich powiekach, na poły zakryte długimi rzęsami nadającymi im dziwnie kobiecy wygląd. Uwiązane były jeden za drugim i obładowane olbrzymimi snopami jęczmiennej słomy piętrzącymi się między dwoma garbami. Na co siódmym czy ósmym wielbłądzie siedział na szczycie wiązki słomy chudy ciemnoskóry poganiacz w samym tylko turbanie i przepasce na biodrach. Co jakiś czas któryś popędzał zwierzęta wołaniem „hat, hat, hat!”, lecz jak się wydawało, kołyszące się stwory w

ogóle nie zwracały na te okrzyki uwagi.

Wielbłądy ciągnęły szeregiem przez całą pofalowaną równinę. Rob naliczył ich niemal trzysta, nim ostatnie stały się małymi punkcikami w oddali i ucichło cudowne, cichutkie pobrzękiwanie dzwonków.

Nie budzące wątpliwości oznaki, że to już Wschód, sprawiły, że podróżni przyspieszyli kroku, wszedłszy na wąski przesmyk międzymorza. Choć Rob nie mógł dojrzeć wody, wiedział od Simona, że na południu leży morze Marmara, a na północy wielkie Morze Czarne, pojawiło się też w powietrzu ożywcze słone tchnienie przypominające mu ojczyznę i budzące w nim nowe podniecenie.

Drugiego dnia po południu, gdy karawana weszła na szczyt wzniesienia, zobaczył przed sobą Konstantynopol, miasto, o którym śnił.

## Miasto na skraju chrześcijańskiego świata

Fosa była szeroka i kiedy kopyta zadudniły po zwodzonym moście, zobaczył z kozła wielkie jak wieprze karpie w zielonej głębinie. Na wewnętrznym brzegu wznosił się ziemny parapet, a dwadzieścia pięć stóp za nim gruby mur z ciemnego kamienia, wysokości może i stu stóp. Od blanki do blanki przechadzały się po nim strażę. Pięćdziesiąt stóp dalej wyrastał drugi mur, dokładnie taki sam jak pierwszy! Konstantynopol był zatem fortecą otoczoną czterema liniami obrony.

Przejechali pod dwoma olbrzymimi portalami. Wielka brama w murze wewnętrznym wspierała się na trzech łukach i zdobił ją wspaniały pomnik, niewątpliwie wzniesiony jednemu z dawnych władców, oraz jakieś dziwne zwierzęta odlane z brązu. Były to potężne, zwaliste bestie o długich miękkich uszach uniesionych w gniewie, krótkich ogonach i czymś, co wyglądało jak dłuższe ogony wyrastające z pyska i uniesione w górę.

Rob ściągnął Kobylę, by im się przyjrzeć, ale Gerszom i Tuwe za nim zaczęli pokrzykiwać i wyrzekać.

— Ruszaj, Angliku! — krzyknął Meir.

— Co to jest? — z ciekawością spytał Rob.

— Słonie. Nigdyś nie widział słoni, głupi cudzoziemcze?

Pokręcił głową i obrócił się na kozle przejeżdżając, aby dobrze obejrzyć te stworzenia. Los więc chciał, że pierwsze słonie, jakie zobaczył, były wielkości psów i stały zastygłe w metalu pokrytym patyną pięciu wieków.

Kerl Fritta zaprowadził ich do karawanseraju, miejsca postoju dla podróżnych i towarów wjeżdżających i wyjeżdżających z miasta. Był to wielki równy plac z szopami służącymi jako składy, stajniami dla zwierząt i domami, w których mogli odpocząć ludzie. Fritta był doświadczonym przewodnikiem, toteż wyminął hałaśliwy tłum na dziedzińcu i podprowadził swych podopiecznych do rzędu hanów, jaskiń wydrążonych przez człowieka w pobliskich pagórkach, dających schronienie przed upałem i niebezpieczeństwem. Większość podróżnych spędzała w karawanseraju zaledwie dzień lub dwa dla odzyskania sił, naprawy wozów i zamiany koni na wielbłądy, a następnie rzymskim gościńcem jechała dalej, na południe, do Jerozolimy.

— Za parę godzin ruszamy — powiedział Meir Robowi. — Stąd mamy już tylko dziesięć dni drogi do Angory, do domu, a spieszno nam się pozbyć odpowiedzialności.

— Ja chyba trochę zostanę.

— Jak już się zdecydujesz jechać, idź do karawanbaszy, tutejszego zarządcy karawan. Nazywa się Zewi. W młodości był poganiaczem, a potem przewodnikiem karawan i wodził wielbłądy na wszystkich szlakach. Zna podróżnych i — dodał z dumą Szymon — jest Żydem i dobrym człowiekiem. Dopatrzy, żebyś podróżował bezpiecznie.

Rob uściśnął im wszystkim przeguby dłoni.

Bywaj, kłocowaty Gerszomie, któremu przekłułem wrzód na dupie.

Bywaj, ostronosy, czarnobrody Judo.

Do zobaczenia, Tuwe, miły chłopcze.

Dziękuję wam, Meir.

Dzięki stokrotne, Szymonie!

Żegnał ich z żalem, gdyż zaznał ich przyjaźni. Rozstanie było tym trudniejsze, że

pozbawiało go księgi, która wprowadziła go w język perski.

Teraz sam jechał przez Konstantynopol, miasto olbrzymie, większe bodaj od Londynu. Oglądane z daleka zdawało się unosić w ciepłym przejrzystym powietrzu pomiędzy ciemnognatowymi murami a błękitem nieba w górze i morzem Marmara od południa. Oglądany od środka Konstantynopol był miastem kamiennych kościołów sterczących nad wąskimi ulicami pełnymi ludzi na osłach, koniach i wielbłądach, w lektykach i na najróżniejszych wózkach i wozach. Krzepcy tragarze, wszyscy w szerokich szatach z szorstkiego brązowego sukna, dźwigali niewiarygodne ciężary na plecach lub płaskich tacach noszonych na głowie jak kapelusze.

Na jakimś placu zatrzymał się, by obejrzeć samotną postać stojącą na wysokiej porfirowej kolumnie i z góry spoglądającą na miasto. Z łacińskiego napisu mógł się dowiedzieć, że to Konstantyn Wielki. Nauczyciele ze szkoły Świętego Botolfa w Londynie dali mu dobre podstawy wiedzy o tym posągu. Księża w wielkim mieli poważaniu Konstantyna, gdyż był pierwszym rzymskim cesarzem, który przyjął chrześcijaństwo. Ba, nawracając się, założył Kościół chrześcijański, a odbiwszy zbrojnie Grekom metropolię zwaną Bizancjum, nazwał ją Konstantynopolem, miastem Konstantyna, i uczynił klejnotem chrześcijaństwa na Wschodzie, miastem katedr.

Rob wydostał się z handlowej części miasta, pełnej kościołów, i znalazł się w dzielnicy wąskich drewnianych domów ciasno stłoczonych jeden przy drugim, z wystającymi piętrami, jak żywcem przeniesionych z miasteczek Anglii. Mieszkali tu ludzie wszystkich narodowości, jak przystało na miejsce, w którym kończył się jeden kontynent, a zaczynał drugi. Minął dzielnicę grecką, targ ormiański, dzielnicę żydowską i nagle jego uszu przestają dobiegać niezrozumiała mieszanina różnych Języków — doleciały go słowa wypowiedane w języku farsi.

Natychmiast jął rozpytywać o stajnię, aż skierowano go do człowieka nazwiskiem Ghiz. Stajnia była porządna i nim zostawił w niej Kobyłę, zadbał o jej wygodę, dobrze bowiem sobie zasłużyła na odpoczynek i pełny żłób. Ghiz wskazał mu drogę do swego domu na szczycie Ścieżki Trzystu Dwudziestu Dziewięciu Stopni, w którym miał izbę do wynajęcia. Izba okazała się warta wspinaczki, była widna i czysta, przez okno wpadała do niej słońca bryza.

Rob wyrzwał na hiacyntowy Bosfor, po którym żagle sunęły jak ruchome kwiaty. Na odległym drugim brzegu widać było wysokie kopuły i minarety strzeliste jak lance. Zrozumiał, że to z ich powodu usypano wały, wykopano fosę i wzniesiono wokół Konstantynopola dwa pierścienie murów — parę stóp od okna jego izby kończyły się wpływy Krzyża i granic strzegli zbrojni, by bronić świata chrześcijańskiego przed muzułmanami. Za cieśniną zaczynały się wpływy Półksiężycy.

Stojąc przy oknie Rob spoglądał na Azje, w której głąb tak rychło miał się zapuścić.

Tej nocy przyśniła mu się Mary. Obudził się rankiem przygnębiony i uciekł z izby. Skręciwszy w bok od placu zwanego Forum Augusta, trafił na publiczne łaźnie, gdzie na chwilę zanurzył się w chłodnej wodzie, a potem płał w gorącym tepidarium jak Cezar, namydając się i wdychając parę. a gdy

już wytarty do sucha po ostatnim zanurzeniu w zimnej wodzie, poczuł się straszliwie głodny, ale lepszej myśli. Na żydowskim targu kupił usmażonych na brązowo małych rybek i kiść czarnych winogron i zjadł je, oddając się swoim poszukiwaniom.

Na wielu straganach widział sztuki krótkiej lnianej bielizny, jaką nosił każdy Żyd w Trjawnie. W te kaftaniki wplecione były ozdoby zwane cyces, które jak mu wyjaśnił Simon, pozwalają Żydom wypełniać biblijny nakaz, aby przez całe życie nosić frędzle w rogach odzienia.

Znalazł kupca Żyda mówiącego po persku. Żyd ledwie stał na nogach, kąciki ust mu

opadały w dół i kaftan miał wypłamiony jedzeniem, lecz dla Roba nawet on stanowił zagrożenie, gdyż mógł go zdemaskować.

— To ma być podarek dla przyjaciela, jest mojego wzrostu — wybąkał. Stary niezbyt się mu przyglądał, interesując się tylko sprzedażą. Szukał, aż wreszcie wyciągnął wystarczająco duży kaftan z frędzlami.

Rob lękał się od razu kupować wszystko, zrobił sobie zatem przerwę i poszedł do stajni sprawdzić, czy Kobyła miewa się dobrze.

— Porządny ten wasz wóz — powiedział Ghiz po przywitaniu.

— Porządny — zgodził się Rob.

— Może bym go kupił.

— Nie jest na sprzedaż. Ghiz wzruszył ramionami.

— Wóz by mi się nadał, ale musiałbym go przemaalować. Niestety, kobyła jest kiepska. Bez życia. Bez ognia w oczach. Będziecie mieli szczęście, jak wam się uda pozbyć tego konia.

Rob dostrzegł od razu, że zainteresowanie wozem ze strony Ghiza to tylko pretekst, by odwrócić uwagę od Kobyły, która wyraźnie mu się spodobała.

— Ani koń, ani wóz nie są na sprzedaż — stanowczo oświadczył Rob, musiał jednak siłą powstrzymać się od śmiechu, widząc niezręczne usiłowania Ghiza: dla niego przecież odwracanie ludzkiej uwagi było zawodowym chwytem. Wóz stał tuż obok, więc rozbawiony nieznacznie poczynił pewne przygotowania, podczas gdy stajenny zajęty był czymś w boksie.

Potem z lewego oka Ghiza wydobył srebrną monetę.

— O, Allah!

Drewniana kula zniknęła przykryta chustką, po czym zmieniła kolor z zielonego na niebieski i jeszcze raz z niebieskiego na brązowy.

— Na Proroka... — wykrztusił olśniony Ghiz. Na tym się nie skończyło. Rob wyciągnął spomiędzy zębów czerwoną wstążkę i zawinął nią z taką gracją, jakby stajenny był zarumienioną z podziwu dziewczyną. Ghiz, jednocześnie zachwycony i wystraszony widokiem cudów czynionych przez tego niewiernego dżinna, dał się porwać zabawie i część dnia minęła im na sztuczkach magicznych i żonglerce. Skutek tego był taki, że Rob nim skończył, mógłby sprzedać Ghizowi, cokolwiek by zechciał.

Do wieczerzy podano mu flaszkę jasnobrunatnego trunku, lepkiego, gęstego i w zbyt dużej ilości. Przy sąsiednim stole siedział ksiądz, Rob poczęstował go zatem trunkiem.

Chrześcijańscy kapłani nosili tutaj długie rozwiane czarne szaty i wysokie cylindryczne sukienne kapelusze o sztywnych wąskich rondkach. Suknię ten ksiądz miał dość czystą, za to jego kapelusz był istną kroniką zapisaną tłustymi plamami. Duchowny był rumianolicym mężczyzną w średnim wieku, o wylupiastych oczach, chętnym do rozmowy z Europejczykiem, jako że w ten sposób mógł poszerzać znajomość języków. Nie znał w ogóle angielskiego, ale sprawdził, czy nie dogada się z Robem w języku normandzkim lub frankońskim, i na koniec pozostał przy perskim, posługując się nim z pewną niechęcią.

Nazywał się ojciec Tamas i był greckim księdzem.

Przy trunku — a popijał ochoczo — humor mu się wyraźnie poprawił.

— Zamierzacie osiąść w Konstantynopolu, mości Cole? — wypytywał Roba.

— Nie. Za parę dni ruszam na Wschód. Mam nadzieję zdobyć lecznicze zioła i zawieźć je do Anglii.

Ksiądz skinął głową. Najlepiej ruszać na Wschód bez zwłoki, poradził, gdyż jeśli Bóg tak zechce, lada dzień wybuchnie sprawiedliwa wojna między Jedyńm Prawdziwym Kościołem a barbarzyńską wiarą Mahometa.



— A odwiedziliście naszą bazylikę Mądrości Bożej? — zapytał i osłupiał, gdy Rob uśmiechnął się i przecząco pokręcił głową. — Ależ, przyjacielu, musicie to zrobić, nim wyjedziecie! Musicie! Jest to cud pośród kościołów świata! Wzniesiono ją na polecenie samego Konstantyna i kiedy ten cnotliwy cesarz po raz pierwszy wszedł do bazyliki, upadł na kolana i zawołał: „Jestem lepszym budowniczym niż Salomon!...” Nie bez powodu głowa Kościoła obrała sobie za siedzibę wspaniałą bazylikę Mądrości Bożej — dodał.

Rob spojrział na niego ze zdumieniem.

— Czyżby papież Jan przeniósł się z Rzymu do Konstantynopola?

Ojciec Tamas uważnie popatrzył na niego, a upewniwszy się, że Rob nie bawi się jego kosztem, uśmiechnął się lodowato.

— Jan Dziewiętnasty nadal jest patriarchą Kościoła Chrystusowego w Rzymie. Ale jedynym pasterzem Kościoła w Konstantynopolu jest Aleksjusz Czwarty.

Trunek wraz z morskim powietrzem dały Robowi głęboki, pozbawiony marzeń sen. Nazajutrz rano ponownie pozwolił sobie zażyć luksusów Łaźni Augustyna, a w drodze na żydowski targ kupił na ulicy ranny posiłek złożony z chleba i świeżych śliwek. Na targu kapryśnie przebierał w towarze, zastanawiając się nad każdym zakupem. Widział w Trjawnie u kilku osób lniane szale modlitewne, lecz ludzie, których darzył największym szacunkiem, nosili wełniane, nabył więc teraz dla siebie wełniany taśes ozdobiony frędzlami podobnymi do tych, jakie wisiały u kaftana kupionego dzień wcześniej. Kiedy płacił za filakterie, szkatułki mocowane przez Żydów na czole z rzemykami owijanymi wokół ręki przy rannych modlitwach, na chwilę ogarnęło go dziwne uczucie.

Każdy ze sprawunków zrobił u innego kupca. Jeden z nich, poźółkły młodzieniec ze szczerbami po brakujących zębach, miał wyjątkowo bogaty wybór kaftanów. Nie znał języka farsi, ale porozumieli się obaj dobrze na migi. Nie znalazłszy kaftana odpowiedniego rozmiaru, kupiec dał mu znak, żeby zaczekał, i pobiegł do starego, który sprzedał Robowi cyces. Tamten miał większe kaftany i w parę minut Rob wybrał sobie dwa.

Opuściwszy bazar z zakupionymi rzeczami w worku, skręcił w ulicę, której jeszcze nie znał, i niebawem ujrzał kościół tak wspaniały, że mogła to być tylko bazylika Mądrości Bożej. Wszedł przez olbrzymie brązowe drzwi do wielkiego wnętrza o pięknych proporcjach, w którym kolumny piętrzyły się w łuki, łuki sklepiały się w kopułę, a kopuła wznosiła się tak wysoko, że poczuł się mniejszy od mrówki. Ogromną przestrzeń nawy rozświetlały tysiące knotów zanurzonych w czarkach z oliwą, ich płomyki zaś migotały światłem rzęsijszym niż to, jakie przywykł oglądać w innych kościołach. Ikony w złotych ramach, ściany z drogocennych marmurów — było tu nazbyt wiele złocień i blasku jak na gust Anglika. Nie zauważył nigdzie patriarchy, ale gdy spojrział w głąb nawy, zobaczył u ołtarza księży w bogatych brokatowych kapach. Jeden kołysał kadzielnicą i wszyscy razem śpiewali mszę, lecz byli tak daleko, że Rob ani nie poczuł dymu kadzidła, ani nie rozróżnił choćby słowa.

Większa część nawy była pusta, usiadł więc z tyłu, otoczony pustymi rzeźbionymi ławami, pod konwulsyjnie skręconą postacią wiszącą na krzyżu, który się wznosił w rozświetlonym lampkami mroku. Poczuł, że szeroko rozwarte oczy Ukrzyżowanego przeszywają go na wylot, że On zna zawartość jego worka... Nie wychowano go w pobożności, lecz ten z rozmysłem popełniany występek poruszył w nim uczucia religijne. Zrozumiał, że po to właśnie wszedł do bazyliki, podniósł się więc z miejsca i w odpowiedzi na wyzwanie tych oczu postął jakiś czas w milczeniu. Na koniec powiedział na głos:

— Muszę to zrobić. Ale nie zarzekam się Ciebie.

Nie był już taki tego pewien, kiedy wspiąwszy się po kamiennych stopniach na wzgórze, znalazł się z powrotem w swojej izbie. Oparł na stole wypolerowaną czworokątną stalową płytkę, przed którą zwykł się golić, i posługując się nożem, zabrał się do włosów. Opadały mu już długie i splątane nad uszami. Przycinał je dotąd, aż zostały z nich tylko obrzędowe loki

zwane przez Żydów pejsami.

Rozebrał się potem i z lękiem włożył cymes, spodziewając się trochę, że padnie rażony gromem. Odnosił wrażenie, że frędzle rozpełzają mu się po całym ciele. Długi czarny kaftan był mniej przerażający — było to po prostu wierzchnie okrycie nie mające związku z ich Bogiem.

Nie dało się zaprzeczyć, że brodę wciąż miał zbyt skąpą. Puścił pejsy luźno na uszy, by mu zwisały spod skórzanego żydowskiego kapelusza w kształcie dzwonu — na szczęście przynajmniej tę część przyodziewku miał wyraźnie używaną. Mimo to kiedy z izby wyszedł na ulicę, był przekonany, że popełnia szaleństwo, które nie może się udać. Spodziewał się, że każdy, kto na niego spojrzy, wybuchnie śmiechem.

Potrzebne mi będzie nazwisko, pomyślał. Nie wystarczy nazywać się Rubenem Balwierzem, jak go wołano w Trjawnie. Aby przemiana się udała, potrzebował czegoś lepszego niż lada jaka hebrajska wersja gojowskiego imienia.

Jesse... Imię zapamiętane z czytanej przez mamę na głos Biblii. Potężne imię, pod którym mógłby żyć, imię ojca króla Dawida.

Jako nazwisko wybrał Beniamin na cześć Beniamina Merlina, który choć mimo woli, pokazał mu, kim może być medyk.

Będzie mówił, że pochodzi z Leeds, postanowił, bo zapamiętał wygląd tamtejszych domów i gdyby zaszła potrzeba, mógł szczegółowo opisać miasto.

Oparł się chęci, by zawrócić i uciec, kiedy zobaczył idących w jego kierunku trzech księży i w jednym z nich z uczuciem zbliżonym do paniki poznał ojca Tamasa, który poprzedniego dnia towarzyszył mu przy wieczerzy. Zbliżali się niespiesznie, jak przechadzające się kruki, pogrążeni w rozmowie. Zmusił się, by pójść im naprzeciw.

— Pokój z wami — powiedział, gdy się zrównali.

Grecki ksiądz omiótł wzgardliwym spojrzeniem Żyda i zwrócił się z powrotem do towarzyszy, nie odpowiadając na pozdrowienie.

Kiedy go minęli, Jesse ben Beniamin z Leeds pozwolił sobie na uśmiech. Już spokojnie i z większą pewnością siebie ruszył swoją drogą, krocząc z prawym policzkiem wspartym na dłoni, jak miał zwyczaj się przechadzać rabbi z Trjawni, kiedy głęboko się zamyślił.

# **Część trzecia**

## **Isfahan**

## Ostatni etap

Mimo zmiany wyglądu czuł się nadal Robem Jeremym Cole'em, kiedy w południe wybrał się do karawanseraju. Zbierała się właśnie wielka karawana do Jerozolimy i na olbrzymim otwartym placu ścierały się gromady poganiaczy prowadzących w różnych kierunkach obładowane wielbłądy i osły, woźniców cofających wozy do szeregu, jeźdźców zataczających kołmi w niebezpiecznej bliskości zwierząt, które protestowały kwikiem, i ludzi, którzy głośno przeklinali i zwierzęta, i siebie nawzajem. Grupa normandzkich rycerzy zajęła jedyne ocienione miejsce po północnej stronie składów, gdzie rozłożywszy się na ziemi, obrzucała pijackimi zniewagami przechodzących. Rob nie wiedział, czy to ci sami rycerze, którzy stratowali Panią Buffington, było to jednak całkiem prawdopodobne, toteż wyminął ich ze wstrętem.

Usiadłszy na zwoju dywanów modlitewnych, przyglądał się nadzorcy karawan. Karawanbaszą był krzepki turecki Żyd w czarnym turbanie na szpakowatych włosach, które zachowały jeszcze ślady dawnej rudości. Rob wiedział od Szymona, że człowiek ten, nazwiskiem Zewi, jest nieoceniony, gdy idzie o zapewnienie bezpiecznej podróży. I rzeczywiście widać było, że wie, co należy robić, wszyscy też czuli przed nim respekt.

— Biada ci! — wrzeszczał Zewi na jakiegoś niefortunnego poganiacza. — Znikaj stąd, tępy łbie! Zabieraj swoje bydłaki, czy nie mogą iść za bydłętami kupców znad Morza Czarnego? Dwa razy ci mówiłem! Nigdy nie zapomiesz, gdzie twoje miejsce w karawanie, bękarcie?! Rob miał wrażenie, że Zewi jest wszędzie, rozstrzyga sprzeczki między kupcami i przewoźnikami, omawia trasę z przewodnikiem karawany, sprawdza rachunki za ładunek.

Gdy tak siedział wszystkiemu się przyglądając, z boku podszedł do niego jakiś Pers, nieduży mężczyzna tak chudy, że policzki głęboko miał zapadnięte. Wygląd jego brody, w której tkwiły jeszcze resztki jedzenia, świadczył wyraźnie, że tego ranka jadł na śniadanie jaglaną kaszę. Na głowie miał za mały, brudny pomarańczowy turban.

— Dokąd jedziesz, Hebrajczyku?

— Do Isfahanu.

— Ach, do Persji! Nie trzeba wam przewodnika, effendi? Bo ja się rodziłem w Górnio, o jeleni skok od Isfahanu, znam każdy kamień i krzak na tej drodze.

Rob sam nie wiedział, co odpowiedzieć, tamten zaś przekonywał:

— Każdy poprowadzi cię inną, dłuższą drogą wzdłuż wybrzeża. I przez perskie góry. A to dlatego, że omijają krótszy szlak przez Wielką Słoną Pustynię, bo się jej boją. A ja cię mogę prosto przez pustynię doprowadzić do wody, dzięki czemu unikniesz zbójców.

Rob czuł wielką pokusę, by najać tego człowieka i natychmiast ruszać, pamiętając, jak dobrze mu służył Charbonneau, lecz w zachowaniu obcego wyczuwał jakiś fałsz, więc w końcu pokręcił głową.

Pers wzruszył ramionami.

— Może zmienicie zdanie, effendi. Dostać mnie na przewodnika to okazja, jestem bardzo tani.

Chwilę potem jeden ze szlachetnie urodzonych francuskich pielgrzymów, mijając zwój dywanów, na którym siedział Rob, potknął się i runął na niego.

— Ty Żydu! — wrzasnął. — Ty śmierdzące gównio!... Rob podniósł się na nogi. Krew uderzyła mu do głowy. Zobaczył, że Normandczyk już sięga po miecz. Nagle nad nimi wyrósł Zewi.

— Stokrotnie przepraszam, wielmożny panie, tysiącrotnie! Zajmę się nim — zawołał i pchnął osłupiałego Roba przed sobą.

Gdy już się oddalili, Rob ze spokojem wysłuchał tyrady wygłoszonej po hebrajsku przez Zewiego, a na koniec pokręcił głową.

— Nie znam dobrze Języka. I niepotrzebna mi była twoja pomoc — powiedział, z trudem znajdując perskie słowa.

— Ach, tak? Zginąłbyś, tępy ośle!

— To była moja sprawa.

— Tak, tak! W miejscu pełnym muzułmanów i pijanych chrześcijan zabić jednego Żyda to jak zjeść daktyla. Zginęłoby wielu naszych, dlatego była to jak najbardziej również moja sprawa. — Zewi przeszył go wściekłym spojrzeniem.

— Cóż to za Jahud? Po persku mówi jak wielbłąd, nie zna własnego języka i szuka zwady!... Jak się zwiesz i skąd pochodzisz?

— Jesse, syn Beniamina, Żyd z Leeds.

— Gdzie jest to Leeds, u diabła?

— W Anglii.

— W Anglii! — wykrzyknął Zewi. — Jeszczem nie spotkał Żyda Anglika!

— Niewielu nas i żyjemy w rozproszeniu. Nie mamy własnej gminy. Ani rabbiego, ani szocheta, ani maszgiyah. Nie mamy domu nauki ani synagogi, rzadko więc słyszymy Język. Dlatego znam go tak kiepsko.

— Źle chować dzieci tam, gdzie nie czują własnego Boga i nie słyszą własnego języka — rzekł Zewi z westchnieniem.

— Często trudno jest być Żydem.

Kiedy Rob spytał, czy nie wie o jakiejś dużej obronnej karawanie do Isfahanu, Zewi pokręcił głową.

— Zaczepił mnie jakiś przewodnik — powiedział Rob.

— Tureckie łajno w turbaniku i z zafajdaną brodą? — Zewi prychnął z pogardą. — Ten by cię zaprowadził prosto w łapy zbójów. Na pustyni by ci poderżnęli gardło, zrabowali cały dobytek i zostawili. Nie — powiedział — lepiej jechać z karawaną swojaków. — Pomyślał dłuższą chwilę. — Reb Lonzano

— rzekł na koniec.

— Reb Lonzano? — powtórzył Rob. Zewi kiwnął głową potakująco.

— Tak, reb Lonzano to może być wyjście. — Niedaleko wśród poganiaczy wybuchła kłótnia i ktoś go wezwał po nazwisku. Zewi skrzywił się szpetnie. — Wielbłądzi pomiot, parszywe szakale! Nie mam teraz czasu, musisz zająć później, jak wyruszy ta karawana. Przyjdź do mnie do kantoru pod wieczór. Tam, do tej szopy za głównym budynkiem. Wtedy o wszystkim postanowimy.

Kiedy Rob zjawił się po paru godzinach, zastał Zewiego w szopie służącej mu jako schronienie na terenie karawanseraju. Było z nim trzech Żydów.

— To Lonzano ben Ezra — przedstawił jednego Robowi.

Reb Lonzano, mężczyzna w średnim wieku, najstarszy, wyraźnie przewodził pozostałym. Miał ciemne włosy i taką brodę, jeszcze nie osiwiła, ale całej zyskanej przez to młodości przeczyła jego porysowana zmarszczkami twarz i poważne oczy.

Zarówno Loeb ben Kohen, jak Arije Askari byli może o dziesięć lat młodszy od Lonzana. Loeb był wysoki i trzymał się niedbale, Arije zaś tęższy, o krzepkich ramionach. Obaj mieli ciemne, ogorzale twarze wędrownych kupców, lecz zachowywali obojętność czekając na werdykt Lonzana w jego sprawie.

— Ci kupcy wracają do domu, do Maskatu położonego za Zatoką Perską — powiedział Zewi i z potępieniem w głosie zwrócił się do Lonzana: — Tego nieszczęśnika wychowano jak

goja, w zupełnej niewiedzy, w dalekim kraju chrześcijan, i trzeba mu pokazać, że Żyd może być dobry dla Żyda.

— Jaki masz interes w Marianie, Jesse ben Beniaminie? — zapytał reb Lonzano.

— Jadę tam się uczyć, żeby zostać medykiem. Lonzano ze zrozumieniem kiwnął głową.

— Do madrasy w Isfahanie. Studiuje tam medycynę kuzyn reba Arije, reb Mirdin Askari.

Rob niecierpliwie pochylił się do przodu, na usta bowiem cisnęły mu się pytania, reb Lonzano nie mógł jednak ścierpieć, żeby mu przerywano.

— Czy jesteś wypłacalny i możesz ponieść przyzwoitą część kosztów podróży?

— Mogę.

— I gotów jesteś dzielić prace i obowiązki w drodze?

— Jak najbardziej. Czym handlujecie, rebie Lonzano? Lonzano się skrzywił. Najwyraźniej uważał, że pytania winien zadawać on, a nie ktoś jemu.

— Perłami — odpowiedział niechętnie.

— Jak duża jest ta karawana, z którą jedziecie? Lonzano pozwolił sobie na cień uśmiechu, od którego zadrgały mu kąciki warg.

— My jesteśmy tą karawaną. Rob wyraźnie się stropił.

— Jakże trzech ludzi — zwrócił się do Zewiego — może mi zapewnić ochronę przed zbójcami i innym niebezpieczeństwem?

— Zaufaj mi — odparł Zewi. — Tosą wędrowni Żydzi. Wiedzą, kiedy ryzykować, a kiedy nie, kiedy lepiej się zaszyć w mysiej dziurze. Gdzie szukać ochrony i pomocy wzdłuż całego szlaku. I co, przyjacielu? Weźmiecie go ze sobą?

Reb Lonzano popatrzył na swoich dwóch towarzyszy. Milczeli i ich nic nie mówiące twarze nie zmieniły wyrazu, musiały jednak coś mu powiedzieć, gdyż kiedy znowu spojrzął na Roba, skinął przyzwalająco głową.

— W porządku, przyjmujemy cię z chęcią. Ruszamy jutro o świcie z przystani Bosporion.

— Będę tam z koniem i wozem.

Arije parsknął wzgardliwie, a Loeb westchnął.

— Nie ma mowy o koniu ani wozie — sprzeciwił się Lonzano. — Płyniemy małą łodzią przez Morze Czarne, żeby uniknąć długiej i niebezpiecznej podróży lądem.

Zewi położył Robowi olbrzymią dłoń na kolanie.

— Skoro chcą cię zabrać, skorzystaj z okazji, bo warto. Sprzedaj konia i wóz.

Rob już podjął decyzję, skinął więc głową.

— Mazeł! — rzekł Zewi z zadowoleniem i nalał czerwonego wina, by oblać umowę.

Z karawanseraju Rob udał się prosto do stajni. Ghiz aż otworzył usta na jego widok.

— Jesteście Jahud?

— Jestem Jahud.

Ghiz kiwnął głową przestraszony, jak gdyby właśnie się dowiedział, że jego magik jest dżinnem, który potrafi się przemieniać, w co zechce.

— Namysliłem się, sprzedam wam wóz. Pers ze złością wymienił kwotę stanowiącą drobny ułamek wartości wozu.

— O, nie. Zapłacicie przyzwoitą cenę — sprzeciwił się Rob.

— Możesz sobie zatrzymać ten rozklekotany wóz. Ale gdybyś chciał sprzedać konia...

— Konia dostaniesz w podarunku — oświadczył Rob, a Ghiz zmrużył oczy zastanawiając się, gdzie tu kryje się podstęp.

— Jeżeli zapłacisz przyzwoicie za wóz, Kobyłę ci podaruję.

—Podszedł do zwierzęcia i ostatni raz pogłaskał je po chrapach, w milczeniu dziękując za

wierną służbę w drodze.—Zapamiętaj: to zwierzę pracuje chętnie, ale musi być dobrze i regularnie karmione i utrzymywane w czystości, żeby nigdy nie miało żadnych otarć. Jak ją zastanę w zdrowiu po powrocie, dam ci spokój. Ale gdyby jej się stała krzywda...

Nie odrywał wzroku od oczu Ghiza, aż ten pobladł i odwrócił spojrzenie.

— Będę o nią dbał, Hebrajczyku. Będę dbał, jak potrafię najlepiej — obiecał.

Przez wiele lat wóz był mu jedynym domem, toteż czuł się tak, jakby się żegnał z ostatnią pamiątką po Balwierzcu. Większość znajdujących się w wozie rzeczy musiał zostawić, co stanowiło gratkę dla Ghiza. Zabral tylko instrumenty chirurgiczne i wybrane zioła. I sosnową skrzynkę na koniki polne z otworami w wieczku. I broń. I parę innych przedmiotów.

Zdawało mu się, że ograniczył się do tego, co niezbędne, lecz nie był już tego taki pewien nazajutrz rano, taszcząc wypchany worek ciemnymi jeszcze ulicami. Na przystań Bosporion przybył, kiedy szarzało. Reb Lonzano kwaśno spojrzał na juk, pod którym Rob się ugiął.

Przez Bosfor przewieziono ich tejmilem, długą łodzią o niskiej burcie, niewiele lepszą od wydrążonego pnia nasączonego tłuszczem i zaopatrzoną w parę wiosł obsługiwanych przez zaspanego młodzieniaszka. Wysadził ich na drugim brzegu w Uskudar, skupisku szałasów ustawionych wzdłuż nabrzeża frontem do grobli i przystani pełnej łodzi wszelkich rozmiarów i kształtów. Rob dowiedział się ku swemu niezadowoleniu, że czeka ich jeszcze godzinny marsz do zatoczki, w której cumuje statek mający ich przewieźć przez Bosfor i wzdłuż brzegu Morza Czarnego. Cóż było począć? Zarzucił na plecy ciężki toból i ruszył za trzema towarzyszami, zaraz jednak zrównał się z nim Lonzano.

— Mówił mi Zewi, co w karawanseraju zaszło między tobą a tym Normanem. Musisz bardziej trzymać się na wodzy, bo narazisz nas wszystkich.

— Tak, rebie Lonzano — rzekł potulnie, po czym westchnął poprawiając juk na plecach.

— Coś cię gryzie, Angliku?

Rob pokręcił głową. Przytrzymując juk na obolałym ramieniu, z oczyma zalewanymi słonym potem, pomyślał o Zewim i uśmiechnął się szeroko.

Wreszcie doszli do opuszczonej zatoczki i Rob ujrzał podskakującą na fali szeroką, przysadzistą łódź towarową z masztem i trzema żaglami, jednym dużym i dwoma małymi.

— Co to za statek? — zapytał reba Arijiego.

— Barka. Dobra łódź.

— Prędeż! — zawołał kapitan. Był nim Dias, prosty Grek, blondyn z osmaloną słońcem twarzą, w której błyskały białą szczerbate zęby. Rob uznał go za niezbyt wybrednego w interesach, gdyż na wejście na pokład prócz nich czekało już dziewięć straszdeł o wygolonych głowach, pozbawionych brwi i rzęs.

Lonzano jęknął.

— Derwisze!... Żebrzący muzułmańscy mnisi — wyjaśnił.

Odziani byli w płaszcze z kapturami przypominające brudne łachmany. Każdy miał u sznura, którym był opasany, uwieszony kubek i rzemień, a pośrodku czoła okrągłą czarną plamę jak stwardniały odcisk. Reb Lonzano powiedział później Robowi, że to zabiba, rzecz pospolita u pobożnych muzułmanów, którzy pięć razy dziennie przyciskają czoło do ziemi w czasie modlitwy.

Jeden z nich, chyba przywódca, przyłożył dłonie do piersi i pokłonił się Żydom.

— Salam.

Lonzano odpowiedział ukłonem.

— Salam alajkum.

— Wchodzić! Wchodzić! — wołał Grek, wstąpił więc w miły chłód przybrzeżnej fali i brodząc podeszli do łodzi, której załoga, dwóch młodych ludzi w opaskach na biodrach,

czekała, by im pomóc wspiąć się po sznurowej drabince. Łódź nie miała pokładu, a całe wnętrze zajmował ładunek drewna, smoły i soli. Ilias stanowczo żądał pozostawienia pośrodku przejścia dającego załodze dostęp do żagli, toteż niewiele było miejsca dla pasażerów, a kiedy załadowano ich juki, Żydzi i muzułmanie stłoczyli się jak śledzie w beczce.

Gdy podniesiono obie kotwice, derwisze nagle przeraźliwie zawyli. Ich przywódca imieniem Dedeh—z twarzą starca i prócz zabiby trzema ciemnymi znamionami na czole, wyglądającymi jak wypalone — odrzucił głowę do tyłu i rzucił w niebo okrzyk:

— Allahu akbar!

Zdawało się, że ten przeciągły krzyk zawisa nad morzem.

— La ilaha illa Allah — odpowiedział mu chór braci.

— Allahu akbar!...

Łódź odbiła od brzegu, chwyciła wiatr w łopoczące żagle i równo popłynęła naprzód.

Rob siedział wciśnięty między reba Lonzana i chudego młodego derwisza z jednym wypalonym znamieniem na czole. Muzułmanin uśmiechnął się do niego, zanurzył rękę w torbie, wydobyl z niej cztery pokruszone kawałki chleba i obdzielił nimi Żydów.

— Podziękujcie w moim imieniu — powiedział Rob. — Ja tego nie chcę.

— Musimy zjeść — oznajmił Lonzano — inaczej ciężko się obrażą.

— Jest ze szlachetnej mąki — przemówił po persku derwisz.

— To naprawdę znakomity chleb.

Lonzano zgromił wzrokiem Roba, zirytowany, że Rob nie użył Języka. Młody derwisz patrząc, jak jedzą chleb, który miał smak zaschniętego potu, powiedział:

— Jestem Melek Abu Ishak.

— Ja jestem Jesse ben Beniamin.

Derwisz kiwnął głową, zamknął oczy i wkrótce zachrapał, co Rob uznał za dowód mądrości, jako że podróż łodzią była nieznośnie nudna. Morze i pobliski ląd wyglądały wciąż tak samo, Roba zaciekawiło jednak, dlaczego trzymają się tak blisko brzegu. Kiedy spytał o to Iliasa, Grek uśmiechnął się i wyjaśnił:

— Na płytkiej wodzie nie podpłyną, żeby nas dopaść.

— Rob podążył wzrokiem za jego wyciągniętym palcem i daleko na morzu zobaczył małe białe obłoczki, które były wielkimi żaglami. — To piraci — dodał Grek. — Liczą na to, że znieśie nas daleko od brzegu. Wtedy wszystkich wybiją, zabiorą mój ładunek i wasze pieniądze.

Kiedy słońce podniosło się wyżej, powietrze w łodzi przesycił smród nie mytych ciał. Na ogół rozpraszała go morską bryza, ale gdy cichła, stawał się bardzo dokuczliwy. Rob uznał, że wydziela ją go derwisze, próbował więc odsunąć się od Meleka Abu Ishaka, lecz nie miał gdzie. Wszelako podróżowanie z muzułmanami miało i dobre strony, bo Ilias pięć razy w ciągu dnia przybijał barką do brzegu, by mogli paść na ziemię bijąc pokłony w kierunku Mekki. Przerwy te pozwalały Żydom pośpiesznie coś zjeść i pobiec za krzaki lub wydmy dla opróżnienia pęcherza i wnętrzości.

Jasna skóra Roba dawno już opaliła się na szlaku, teraz jednak czuł, jak słońce i sól wyprawiają mu ją na rzemień. Gdy zapadła noc, brak słońca przyjął jak błogosławieństwo, tyle że wkrótce jego towarzysze posnęli na siedząco i z prawej strony przygniótł go ciężar chrapiącego głośno Meleka, a z lewej Lonzana. Czas jakiś wytrzymał, ale w końcu nie mógł tego dłużej znieść, puścił zatem w ruch łokcie, a wtedy z obu stron posypały się na niego wściekle przekleństwa.

Żydzi modlili się w łodzi. Każdego ranka Rob zakładał razem z innymi tefilin, tak jak



przećwiczył w oborze w Trjawnie. Sposobu motania rzemienia filakteriów nie udało mu się poznać, owijał więc co drugi palec, nisko pochylając głowę w nadziei, że nikt nie zauważy jego niewiedzy.

Muzułmanie również między jednym a drugim ładowaniem odprawiali na łodzi modły, którym przewodniczył Dedeh.

— Bóg jest Największy! Bóg jest Największy! Bóg jest Największy! — wołał.

— Nie ma boga jak tylko Bóg! Nie ma boga jak tylko Bóg!

— Wyznaję, że Mahomet jest Posłańcem Boga! Wyznaję, że Mahomet jest Posłańcem Boga!

Rob dowiedział się od Meleka, że są derwiszami Salmana, golibrody Proroka, wiążą ich śluby ubóstwa i pobożności. Łachmany, jakimi się okrywali, świadczyły o wyrzeczeniu się luksusów świata. Upranie ich byłoby sprzeniewierzeniem się tej zasadzie, co tłumaczyło idący od derwiszów smród. Golenie całego ciała symbolizowało usuwanie zasłony oddzielającej Boga od Jego sług. Kubeczki noszone na sznurach opasujących ciało wyobrażały głęboką studnię medytacji, rzemienie miały przepędzać diabła. Znaki wypalone na czole pomagały w skrusze, a okruchy chleba rozdawali obcym na pamiątkę chleba przyniesionego Adamowi w Raju przez Gabriela. Odbywali właśnie zijaret, pielgrzymkę do świętych miejsc w Mekce.

— Dlaczego rankiem owijacie rzemieniami ręce? — zapytał w rewanżu Melek.

— Tak nam przykazał Bóg — odparł Rob i wyjaśnił Melekowi, że przepis ten zawiera Księga Powtórnego Prawa.

— Dlaczego czasem przy modlitwie okrywacie ramiona szalem?

Rob nie bardzo wiedział, jak mu to wytłumaczyć, bo przecież liźnął tylko trochę powierzchownej wiedzy przyglądając się Żydom w Trjawnie, starał się jednak nie zdradzić, jaką udręką są dla niego takie pytania.

— To dlatego, że Nieomylny, niech będzie błogosławione Jego Imię, polecił nam to czynić — rzekł poważnie, a Melek z uśmiechem skinął głową.

Gdy Rob się odwrócił od derwisza, zauważył, że spod ciężkich powiek przygląda mu się reb Lonzano.

## Gorzki smak soli

Przez pierwsze dwa dni podróży mieli ciszę, ale trzeciego dnia zerwał się wiatr i wzburzył morze. Diasowi udawało się lawirować barką między dwoma zagrożeniami, piratami z jednej i bijącymi o brzeg falami z drugiej strony. O zachodzie słońca z wody koloru krwi wyłoniły się śliskie, ciemne kształty i giętko się przęcąc jęły pomykać wokół łodzi i pod nią. Rob zadrżał zdjęty prawdziwym strachem, lecz Ilias roześmiał się i wyjaśnił, że to morświny, stworzenia niegroźne i wesołe.

Do samego świtu morze wznosiło się i opadało stromymi górami, tak że Robowi w końcu wróciła stara choroba—mdłości. Zaraził nią nawet przywykłych do kołysania żeglarzy i wkrótce łódź pełna była chorych, wstrząsanych konwulsjami mężczyzn, w różnych językach błagających Boga, by położył kres ich udreć.

W najgorszym momencie Rob zaczął błagać, by wysadzili go na brzeg, ale reb Lonzano odmownie pokręcił głową.

— Ilias nie będzie się już zatrzymywał, żeby muzułmanie mogli się pomodlić, bo tu mieszkają Turcy — wyjaśnił. — Wszystkich obcych zabijają albo biorą w niewolę. Nie ma tam namiotu, w którym by nie trzymali jednego lub dwóch nieszczęśników do końca życia zakutych w łańcuchy. Pewien mój krewniak wraz z dwoma roślami synami próbował przeprowadzić tędy karawanę z pszenicą do Persji, Turcy ich schwytali, związali i zakopanych po szyję we własnej pszenicy zostawili na śmierć z głodu i pragnienia. Potem sprzedali ciała zagłodzonych rodzinie, która chciała ich przyzwocie pogrzebać.

Rob został więc w łodzi, lecz te cztery dni dłużyły mu się niesamowicie jak cztery lata nieustającej męki.

Po siedmiu dniach od wyjazdu z Konstantynopola Dias wprowadził barkę do maleńkiego portu, przy którym skupiło się ze czterdzieści chałup, skleconych w większości, poza paroma rozpadającymi się drewniakami, z wysuszonych na słońcu bloków gliny. Port nie wyglądał gościnnie, Robowi jednak wydał się cudownym miejscem. Do końca życia z wdzięcznością miał wspominać miasteczko Rize.

— Inszallah! Inszallah! — zawołali derwisze, gdy łódź przybiła do nabrzeża, a reb Lonzano odmówił modlitwę dziękczynną. Poczerniały, wycieńczony, z zapadłym brzuchem Rob zeskoczył z barki i oddalił się od znieawidzonego morza, ostrożnie stawiając kroki na rozkołysanej ziemi.

Dedeł pokłonił się rebowi Lonzano, Melek zmrużył oczy i uśmiechnął się do Roba, po czym derwisze odeszli.

— Chodźmy — powiedział Lonzano i Żydzi powlekli się za nim niechętnie, jakby wiedzieli, dokąd idą. Rize było żałośnie ubogą miasteczką. Zaraz obszczeły ich żółte psy, potem minęli rozchichotaną dzieciarnię patrzącą na świat zaropiałymi oczami, kobiety gotujące nad otwartym ogniem, dwóch przytulonych do siebie mężczyzn śpiących w cieniu jak kochankowie. Jakiś staruch splunął, gdy przechodzili.

— Ci ludzie — wyjaśnił Robowi Lonzano — trudnią się głównie sprzedażą zwierząt podróżnym przybyłym drogą morską, którzy wybierają się dalej przez góry. Loeb świetnie się zna na zwierzętach, więc kupi dla nas wszystkich.

Rob dał mu zatem pieniądze, nim przybyli do małego szałas przy obszernej zagrodzie pełnej osłów i mułów. Sprzedawcą był zezowaty mężczyzna. Nie miał trzeciego i czwartego palca u lewej dłoni, a ten, kto je usuwał, kiepsko to zrobił, lecz kikuty były mu przydatne, gdy

szarpał zwierzęta za uzdy oddzielając je od innych, by Loeb mógł im się dokładnie przyjrzeć.

Loeb ani się targował, ani wybrzydzał, często zdawało się wręcz, że nawet nie patrzy na zwierzę. Czasami któremuś poświęcił więcej czasu, by mu zajrzeć w ślepia i zęby, pomacać kłęby i pęciny. Wreszcie wyraził chęć kupienia tylko jednego muła i sprzedawca aż rozdziawił gębę na proponowaną przez niego cenę.

— Za mało — powiedział ze złością, kiedy jednak Loeb wzruszywszy ramionami odwrócił się, by odejść, z ponurą miną zatrzymał go i przyjął oferowaną kwotę.

Następne trzy zwierzęta kupili u drugiego sprzedawcy, a gdy zaszli do trzeciego, uważnie popatrzył na te, które już mieli, pokiwał głową, po czym odłączył dla nich kilka od swojego stada.

— Znąją nawzajem swój inwentarz i ten handlarz widzi, że Loeb wybiera tylko najlepsze — szepnął Arije do Roba.

Niebawem każdy z czterech Żydów miał silnego, wytrzymałego osiołka pod wierzch i krzepkiego muła jako zwierzę juczne.

Lonzano oświadczył, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostaje im tylko miesiąc drogi do Isfahanu, i ta świadomość tchnęła w Roba nowe siły. Cały dzień zajęła im przeprawa przez przybrzeżną równinę, a trzy dni przez pogórze. Potem znaleźli się w wyższych górach. Rob lubił góry, lecz te były skaliste i jałowe, mało co na nich rosło.

— To dlatego, że przez większą część roku brak tu wody — wyjaśnił Lonzano. — Wiosną są groźne powodzie, a potem już tylko susza. Jeśli trafi się sadzawka, woda w niej na pewno jest słona, ale my wiemy, gdzie szukać słodkiej wody.

Tego dnia po porannych modłach Arije splunął i z pogardą popatrzył na Roba.

— O niczym nie masz pojęcia. Jesteś głupi goj.

— Ty jesteś głupi i gadasz jak świnia—zgromił go Lonzano.

— Nie wie nawet, jak nałożyć tefilin! — ze zgrozą powiedział Arije.

— Wychował się wśród obcych i jeśli nie umie, masz okazję go nauczyć. W niektóre nasze obyczaje wprowadzę go ja, reb Lonzano ben Ezra ha-Lewi z Maskatu.

Lonzano zaraz pokazał Robowi, jak się prawidłowo nakłada filakterie: rzemyk należało trzykrotnie okręcić wokół ramienia, tak by utworzył hebrajską literę szin, potem siedemkroć wokół przedramienia, dłoni i palców, aby utworzyć dwie inne litery, dalet i jud, składające się na słowo Szaddaj, jedno z siedmiu niewymawialnych imion Niewysłowionego.

Podczas owijania rzemyków mówiło się modlitwy, wśród nich urywek z Proroctwa Ozeasa, 2,21—22: „I poślubię cię sobie na wieki... przez sprawiedliwość i prawo, przez miłość i miłosierdzie. Poślubię cię sobie przez wierność i poznasz Jahwe.”

Wymawiając te słowa Rob zadrzał, przyrzekł bowiem Jezusowi, że choć na zewnątrz przybierze wygląd Żyda, pozostanie Mu wierny. Potem przypomniał sobie, że przecież Chrystus był Żydem i z pewnością wiele razy w życiu nakładał tefilin recytując te same modlitwy. Kiedy to sobie uświadomił, kamień spadł mu z serca i lęk go opuścił. Powtarzał za Lonzanem te słowa, aż ręka mu zsiniała od rzemienia, który zatrzymał obieg krwi w palcach. Wtedy Rob przyłapał się na tym, że zastanawia się, skąd krew napływa i dokąd popłynie z dłoni po zdjęciu rzemyka.

— Jeszcze coś zapamiętaj — powiedział Lonzano, gdy odwiązali filakterie. — Mimo że nie znasz Języka, nie wolno ci zaniedbywać szukania boskich wskazówek. Napisane jest, że jeśli ktoś nie może odmówić przepisanej modlitwy, winien przynajmniej pomyśleć o Wszchemogącym. To też jest modlitwa.

Nie wyglądali nazbyt pięknie, bo poza ludźmi niskiego wzrostu każdy jadący na osle wydaje się nieproporcjonalnie duży. Rob stopami sięgał niemal ziemi, ale osioł, zwinnie i świetnie dostosowany do górskiej wspinaczki, był w stanie dość daleko go dźwigać. Nie

narzekałby zatem, gdyby nie tempo narzucane przez Lonzana, który zaopatrzywszy się w kolczastą gałąź, wciąż popędzał swego wierzchowca smagając go po bokach.

— Dlaczego tak się śpieszysz? — jęknął wreszcie, Lonzano jednak nie raczył się nawet obejrzeć. Odpowiedział mu Loeb:

— W pobliżu żyją źli ludzie. Mordują podróżnych, a szczególnie nienawidzą Żydów.

Towarzysze Roba całą uwagę koncentrowali na szlaku, o którym on nic nie wiedział, tak że gdyby tamtych coś złego spotkało, wątpliwe, czyby przeżył w tej ponurej i wrogiej okolicy. Szlak stromo wznosił się i opadał, wijąc się między ciemnymi, wysokimi szczytami wschodniej Turcji. Piątego dnia późnym popołudniem znaleźli się nad wąskim strumieniem, kapryśnie wijącym się między zwalonymi głazami.

Bukłak Roba był już prawie pusty, ale kiedy skierował się do potoku, aby go napełnić wodą, Arije pokręcił głową.

— Jest słona — rzekł z wyrzutem, jakby Rob powinien był o tym wiedzieć, i pojechali dalej.

O zmroku wyjeżdżając z zakrętu wpadli na chłopca pędzącego stadko kóz. Uskoczył na ich widok i przyspieszył.

— Jedziemy za nim? — zapytał Rob. — Może biegnie powiedzieć o nas bandytom.

Lonzano spojrział teraz na niego z uśmiechem i Rob zauważył, że z twarzy znikło mu napięcie.

— To żydowski chłopak. Dojeżdżamy do Bayburtu.

Wieś nie liczyła nawet stu mieszkańców, z czego mniej więcej jedną trzecią stanowili Żydzi. Otoczona była potężnym, wysokim murem wbudowanym w stok góry. Bramę w murze otwarto, nim do niej dojechali, a kiedy ją przekroczyli, natychmiast została zamknięta i zaryglowana. Zsiedli z osłów i udali się do dzielnicy żydowskiej, gdzie ofiarowano im poczucie bezpieczeństwa i gościnne przyjęcie.

— Szalom—powitał ich bez zdziwienia rabbi Bayburtu. Był niewysoki, tak że na grzbiecie osła wyglądałby całkiem naturalnie, miał długą brodę i wyraz czujności w układzie ust.

— Szalom alejchem — odpowiedział Lonzano.

Rob słyszał w Trjawnie o tym, jak Żydzi podróżują, i w pewnym sensie sam wówczas z obowiązujących zwyczajów korzystał, a teraz miał okazję przekonać się naocznie, że wszędzie są podobne. Jedni chłopcy zabrali ich osły i muły, by je oporządzić, inni wzięli bukłaki, żeby je umyć i napełnić słodką wodą ze studni. Kobiety przyniosły mokre ręczniki, aby się mogli umyć, później poczęstowały ich zupą z chlebem, zanim wraz z miejscowymi mężczyznami udali się do synagogi na maariw. Po modlitwie zasiedli z rabbim i starszymi wsi.

— Chyba was już znam? — zapytał rabbi reba Lonzano.

— Korzystałem kiedyś z waszej gościnności. Byłem tu sześć lat temu ze swoim bratem Abrahamem i naszej świętej pamięci ojcem, Jeremiaszem ben Labelem. Ojciec opuścił nas przed czterema laty, gdy od małego zadrapania ręki wdała mu się gangrena. Wola Najwyższego.

Rabbi kiwnął głową i westchnął.

— Niechaj spoczywa w pokoju.

Siedzący z nimi szpakowaty Żyd podrapał się w brodę i wtrącił niecierpliwie:

— Mnie nie pamiętacie? Josel ben Samuel z Bayburtu. Tej wiosny będzie dziesięć lat, jak gościłem u was w Maskacie. Wiozłem chalkopiryt karawaną czterdziestu trzech wielbłądów i wasz wuj... Issachar?... pomógł mi go sprzedać jakiemuś wytapiaczowi i zakupić ładunek

morskich gąbek w drogę powrotną. Sprzedałem je z dobrym zyskiem. Lonzano się uśmiechnął.

— Mój wuj Jekiel. Jekiel ben Issachar.

— No właśnie, Jekiel! Czy żyje w zdrowiu?

— Był zdrowy, kiedy wyjeżdżał z Maskatu — powiedział Lonzano.

— Cóż — przemówił rabbi — na szlaku do Erzerumu grasują tureccy bandyci, niech ich dzuma wytraci i wszelkie nieszczęścia staną im na drodze. Mordują, wymuszają okup, robią, co chcą. Musicie ich wyminąć jadąc wąskim szlakiem przez najwyższe góry. Nie zgubicie się, poprowadzi was któryś z naszych młodzieńców.

Tak więc nazajutrz wczesnym rankiem opuścili Bayburt i zaraz zjechali z uczęszczanego szlaku, ruszając kamienistą ścieżką, miejscami szerokości ledwie paru stóp, biegnącą nad stromym górskim urwiskiem. Przewodnik towarzyszył im, dopóki bezpiecznie nie wrócili na główny szlak.

Na drugi dzień wieczorem przybyli do Karakose, gdzie mieszkało zaledwie kilkanaście żydowskich rodzin, bogatych kupców, nad którymi pieczę sprawował waleczny pan, M al-Hamid. Zamek Hamida, w kształcie siedmiokąta, stał na wysokiej górze nad miasteczkiem. Wyglądał jak wojenna galera bez dział i masztów. Wodę do zamku dowożono z miasteczka osłami i na wypadek oblężenia trzymano cysterny zawsze pełne. W zamian za opiekę Hamida Żydzi z Karakose obowiązani byli dbać, by w zamkowych składach nie brakło prosa i ryżu. Rob i jego trzech żydowski towarzysze nie mieli okazji zobaczyć Hamida, a Karakose opuścili jak najszybciej, nie chcąc zostawać w miejscu, którego bezpieczeństwo zależało od kaprysu jednego wielmoży.

Jechali przez tereny nadzwyczaj trudne i niebezpieczne, lecz pomoc miejscowych Żydów nadzwyczajnie ułatwiała im podróż. Co wieczór odnawiali zapasy słodkiej wody, zaopatrywano ich w dobre pożywienie, udzielano im schronienia i wskazówek co do dalszej drogi. Z zatroskanej twarzy Lonzana prawie zniknęły zmarszczki.

Pewnego piątkowego popołudnia przybyli do maleńkiej wioski na górskim zboczu, zwanej Igdir, i dzień dłużej zabawili w kamiennych żydowskich domkach, aby nie podróżować w szabat. W Igdirze uprawiano owoce, toteż z wdzięcznością przyjęli smakowity poczęstunek w postaci czarnych wiśni i konfitury z pigwy. Teraz nawet Arije się uspokoił, a Loeb łaskawie zapoznał Roba z językiem tajemnych znaków, za pomocą którego żydowski kupcy na Wschodzie dobijali targu bez słów.

— Porozumiewasz się rękami, na migi — tłumaczył Loeb.

— Wyprostowany palec oznacza dziesiątkę, zgięty piątkę. Palec schowany, tak że wystaje tylko czubek, to jedynka, cała dłoń to setka, a pięść jeden tysiąc.

Tego ranka opuściwszy Igdir, Rob z Loebem jechali obok siebie i targowali się bez słów, dla zabicia czasu układając się w sprawie dostaw na niby, kupując i sprzedając przyprawy, złoto i całe królestwa.

Szlak na tym odcinku był wyjątkowo kamienisty i trudny.

— Niedaleko jest góra Ararat — zauważył w pewnej chwili Arije.

Rob popatrzył po wysokich, niegościnnych szczytach i wyschłej ziemi.

— Ciekawe, co też myślał sobie Noe wychodząc z arki!

— rzekł w zadumie, na co Arije wzruszył ramionami.

W Naziku, następnym miasteczku, do którego dotarli, zatrzymano ich na dłużej. W osadzie, rozłożonej wzdłuż szerokiej skalistej niecki, mieszkało osiemdziesięciu czterech Żydów i trzydzieści razy tyle Turków anatolijskich.

— W miasteczku będzie wyprawiane tureckie wesele — powiedział im rabbi, kościsty starzec o pochylonych ramionach i dobrych oczach. — Już zaczęli świętować, są podnieceni i

źli. Boimy się nawet ruszyć z naszej dzielnicy.

Gospodarze trzymali ich w dzielnicy żydowskiej przez cztery dni. Jedzenia było pod dostatkiem, studnia dobra, miejscowi Żydzi traktowali gości miło i uprzejmie. Wędrowcy wypoczywali w chłodnej kamiennej stodole na czystej słomie, kiedy na dworze przypiekało słońce. Rob słyszał dochodzące z miasteczka odgłosy bójek, pijackie wrzaski i trzask łamanych sprzętów, raz nawet zza muru posypał się na Żydów grad kamieni, nikt jednak nie ucierpiał.

Kiedy wreszcie wszystko się uspokoiło, jeden z synów rabiego wypuściwszy się za mur stwierdził, że Turcy po tym dzikim świętowaniu są wyczerpani i potulni. Następnego ranka więc Rob i jego trzech towarzysze wyjechali z Naziku, radzi, że mogą ruszyć w dalszą drogę.

Czekał ich teraz mozolny etap przez okolice pozbawione żydowskich osiedli, nie mogli zatem liczyć na pomoc i gościnę. Rankiem trzeciego dnia od wyjazdu z Naziku przybyli na wyżynę, na której znajdował się olbrzymi zbiornik wodny otoczony szerokim kręgiem białego splekanego mułu. Zsiedli przy nim z osłów.

— To Urmia — powiedział Robowi Lonzano. — Płytkie słone jezioro. Na wiosnę potoki znoszą tu minerały z gór. Ale żaden strumień nie odprowadza wód z jeziora, letnie słońce wysusza wodę i po brzegach zostaje sól. Weź szczyptę na język.

Rob ostrożnie zrobił to i skrzywił się z niesmakiem. Lonzano wyszczerzył zęby.

— Masz przedsmak Persji.

Nie od razu zrozumiał, co Żyd chciał powiedzieć. Dopiero po chwili upewnił się przejęty:

— Jesteśmy w Persji?

— Tak, tu leży granica.

Rob poczuł się rozczarowany. Wyglądało na to, że przebyli taki szmat drogi po to, by dotrzeć do... tego. Lonzano pojmował jego uczucia.

— Nie przejmuj się — pocieszył go. — Isfahan na pewno pokochasz. Lepiej ruszajmy dalej, jeszcze przed nami wiele dni drogi.

Zanim jednak stamtąd odjechali, Rob najpierw wysikał się do jeziora Urmia, dolewając swego angielskiego specyfiku do gorzkich soli Persji.

## Myśliwy

Arije przestał się kryć z nienawiścią. W obecności Lonzana i Loeba starał się zważać na słowa, ale kiedy ci dwaj nie mogli go słyszeć, jego uwagi kierowane do Roba zawsze były uszczypliwe. Nawet zwracając się do pozostałych dwóch Żydów często bywał opryskliwy. Rob, większy i silniejszy od niego, czasami siłą woli musiał się hamować, aby go nie uderzyć.

Lonzano rozumiał i jednego, i drugiego.

— Nie wolno ci zwracać na niego uwagi—poradził Robowi.

— Arije to...—Rob się zająknął, nie znał bowiem perskiego odpowiednika słowa „psubrat”.

— I w domu nie był za miły, a do podróży to już zupełnie brak mu ducha. Jak wyjeżdżaliśmy z Maskatu, jeszcze rok nie minął, odkąd się ożenił. Ma małego synka, z którym ciężko było mu się rozstać. Od tamtej pory chodzi wiecznie ponury. — Lonzano westchnął. — Cóż, wszyscy mamy rodziny i często jest nam ciężko w podróży, z dala od domu, szczególnie w szabat albo święta.

— Jak dawno wyjechaliście z Maskatu? — zapytał Rob.

— Dwadzieścia siedem miesięcy temu.

— Po cóż wybierać życie kupca, skoro jest takie ciężkie i samotne?

Lonzano spojrzął na Roba.

— Dla Żyda to sposób na przeżycie — powiedział.

Okrążywszy północno-wschodni kraniec jeziora Urmia, wkrótce znów się znaleźli w wysokich, nagich górach. Wędrując wciąż przed siebie, na noc raz się zatrzymali u Żydów w Tabryzie, potem w Takestanie. Rob nie widział większej różnicy między tymi miejscowościami a wsiami poznanymi w Turcji. Były to nędzne górskie osiedla na skalnych rumowiskach z wylegającymi się w cieniu ludźmi i kozami kręcącymi się przy wspólnej studni. Kaszan był taki sam, tyle że na bramie miał lwa.

Prawdziwego wielkiego lwa.

— To sławne zwierzę. Mierzy czterdzieści pięć piędzi od nosa do ogona — powiedział z dumą Lonzano, jakby lew był jego własnością. — Zabił go dwadzieścia lat temu szach Abdallah, ojciec obecnego władcy. Lew przez siedem lat siał zniszczenie wśród miejscowego bydła, aż w końcu Abdallah wytropił go i zabił. W Kaszanie co roku uroczyście obchodzą rocznicę tego polowania.

W miejsce ślepiów lew miał wprawione suszone morele, jęzor z kawałka czerwonego filcu. Arije z pogardą pokazał, że wypchany jest szmatami i suchym zielskiem. Wiele pokoleń moli wyżarło stwardniałe na słońcu futro, świecące teraz plackami łysej skóry, lecz łapy zwierza przypominały kolumny, miał też prawdziwe zęby, wielkie i ostre jak groty oszczepu, tak że Roba aż przeszedł dreszcz, gdy ich dotknął.

— Wolałbym się z nim nie spotkać — mruknął.

Arije uśmiechnął się po swojemu, z wyższością.

— Większość ludzi przechodzi przez życie nie oglądając na oczy lwa.

Rabbi z Kaszami był krępyim mężczyzną o płowych włosach i takiej samej brodzie. Nazywał się Dawid ben Sauli Nauczyciel i jak mówił Lonzano, mimo młodego wieku już się cieszył sławą uczonego. Po raz pierwszy Rob ujrzał rabiego w turbanie, nie zaś w skórzanym żydowskim kapeluszu. Kiedy zaczęli rozmawiać, zatroskanie wróciło na twarz

Lonzana.

— Nie jest bezpiecznie jechać szlakiem południowym przez góry — powiedział rabbi. — Ściągnęła tam siła Turków Seldżuków.

— Kim są ci Seldżuci? — spytał Rob.

— To władcy ludu pasterskiego, który żyje w namiotach, nie w miastach — wyjaśnił Lonzano. — Zapalczywi w walce mordercy. Napadają ziemie po obu stronach granicy między Persją a Turcją.

— Nie możecie jechać przez góry — z ubolewaniem rzekł rabbi. — Seldżuccy wojownicy są okrutniejsi od dzikich rozbójników.

Lonzano popatrzył na swoich trzech towarzyszy.

— A więc zostają nam dwa wyjścia. Możemy zostać tu, w Kaszanie, i czekać, aż Seldżuci przeniosą się gdzie indziej, co może potrwać miesiące, nawet rok. Albo możemy okrążyć góry i Seldżuków, jadąc do Isfahanu pustynią i dalej lasami. Nie wędrowałem jeszcze pustynią Daszt-e Kawir, ale bywałem na innych i wiem, jakie są straszne... Czy przez tę można się przeprawić? — zapytał rabbi.

— Nie będziecie musieli jechać przez całą Daszt-e Kawir, broń Boże — odparł niespiesznie rabbi. — Musicie tylko przeciąć jej róg, co zajmie wam trzy dni. Trzeba skierować się na wschód, a potem na południe. Tak, czasem tak się robi. Możemy wam pokazać, którądy iść.

Czterej wędrowcy popatrzyli po sobie. Milczenie przerwał małomówny Loeb.

— Nie mam zamiaru siedzieć tu cały rok — oświadczył, wypowiadając myśli wszystkich.

Zanim wyruszyli z Kaszami, kupili sobie po wielkim bukłaku z kozłej skóry i napełnili je wodą.

— Po co nam tyle wody na trzy dni? — zapytał Rob, mając na uwadze znaczny ciężar pełnego bukłaka.

— Wszystko może się zdarzyć. Może nas co zatrzymać na pustyni — wyjaśnił Lonzano. — I musisz dzielić się wodą ze zwierzętami, bo bierzemy osły i muły, nie wielbłądy.

Przewodnik na siwym koniu pojechał z nimi z Kaszami aż do miejsca, w którym ledwie widoczny szlak odchodził od drogi. Daszt-e Kawir zaczęła się jako gliniasty grzbiet, którym łatwiej było jechać niż przez góry. Z początku posuwali się dość szybko, toteż poprawił im się nastrój. Charakter gruntu zmieniał się jednak, choć niepostrzeżenie. Koło południa, gdy słońce paliło już nie na żarty, okazało się, iż brodzą w piachu tak drobnym, że zapadały się w nim kopyta zwierząt. Zsiedli z osłów i wraz ze zwierzętami parli naprzód w jednakiej udruce.

Robowi zdawało się, że śni. Wszędzie dokoła widział ocean piasku ciągnący się jak okiem sięgnąć. Miejscami piasek układał się we wzgórze niczym wielkie morskie fale, które budziły w nim strach, gdzie indziej leżał płasko jak nieruchome wody wielkiego jeziora, leciuteńko tylko pomarszczony zachodnim wiatrem. Nigdzie nie było ani śladu życia, ptaka w powietrzu czy żuczka albo robaczka na ziemi. Po południu minęli zbiegłe kości, rzucone na stertę jak szczapy za angielską chatą—Lonzano mu powiedział, że plemiona nomadów zbierają ludzkie i zwierzęce kości i układają w stosy, żeby służyły jako punkty orientacyjne. Ślad pozostawiony w takim miejscu przez ludzi, którzy najwyraźniej czuli się tu jak u siebie, działał na wszystko co żywe przynębiająco. Starali się uciszać wystraszone zwierzęta, wiedząc, jak daleko się niesie ryk osła w spokojnym powietrzu.

Była to słona pustynia. Chwilami piach, po którym szli, przecinały grzęzawiska słonego mułu przypominające brzegi jeziora Urmia. Sześć godzin takiego marszu całkowicie ich wyczerpało, kiedy się więc znaleźli pod niewielkim piaskowym wzgórzem, które rzucało cień przy nisko stojącym słońcu, ludzie i zwierzęta skupili się ciasno, aby się zmieścić w niszy względnego chłodu. Po godzinnym odpoczynku w cieniu zdolni byli do dalszej drogi, ruszyli



zatem i szli aż do zachodu słońca.

— Może najlepiej byłoby iść nocą, a przespiać upał dnia — podsunął Rob.

— Nie — szybko odpowiedział Lonzano. — W młodości przechodziłem raz Daszt-e Lut z ojcem, dwoma wujami i czterema kuzynami... Niechaj umarli spoczywają w pokoju... Daszt-e Lut to słona pustynia jak ta. Postanowiliśmy wędrować nocą i wkrótce wpadliśmy w tarapaty. W porze upału słone jeziora i bagna pozostałe po porze deszczowej szybko wysychają, tworząc miejscami skorupę na powierzchni. Okazało się, że ta skorupa kruszy się pod ludźmi i zwierzętami. Czasami pod nią jest solanka albo ruchome piaski. Nie, nie, zbyt niebezpiecznie jest wędrować nocą.

Nic już nie chciał powiedzieć, zapytany o przeżycia na Daszt-e Lut, i Rob nie nalegał, czując, że lepiej tego tematu nie poruszać.

Po zapadnięciu ciemności rozłożyli się na popas na słonym piasku. Przez cały dzień smażyli się na pustyni, w nocy zaś raptem zrobiło się zimno. Nie mieli opału na ognisko, i tak by go zresztą nie rozpalili, żeby nie zwrócić na siebie uwagi nieprzyjaciół. Rob był taki zmęczony, że mimo niewygody zapadł w głęboki sen i spał do pierwszego brzasku.

Uderzyło go, że na tym pustkowiu jest taki niedostatek wody, której w Kaszanie widział aż za wiele. Jedząc chleb na śniadanie ograniczył się do paru łyków, a dużo więcej dał mułowi i osłu. Włał przeznaczone dla nich porcje do skórzanego kapelusza i z niego je napoił, z uczuciem przyjemności wkładając potem mokry kapelusz na rozpaloną głowę.

Był to dzień upartego, mozolnego marszu. Gdy słońce stanęło w zenicie, Lonzano zaintonował fragment Pisma: „Więc wstań i świeć, gdyż przyszło twoje światło i chwała Pana wstała nad tobą.” Pozostali jeden po drugim przyłączyli się do niego i przez jakiś czas chórem chwalili Boga wyschłymi wargami. Nagle jednak Loeb zawołał:

— Jeźdźcy!...

Daleko na południu ujrzeli tuman wzniesiony z pewnością przez jakąś dużą grupę jeźdźców. Rob się przeraził, że to mieszkańcy pustyni, ci, którzy oznaczyli drogę kośćmi, lecz gdy zjawisko się przybliżyło, zobaczyli, że to tylko gnająca chmura kurzu.

Zanim ich dopadł gorący pustynny wiatr, osły i muły kierowane mądrością instynktu odwróciły się do niego tyłem. Rob skulił się za zwierzętami, które osłoniły go nieco. Pierwszym wrażeniem było uczucie gorąca. Wiatr niósł piach i sól, które parzyły skórę jak gorący popiół, powietrze stało się jeszcze cięższe i bardziej duszące. Ludzie i zwierzęta cierpliwie czekali, podczas gdy burza szalała nad nimi, pokrywając ich grubą na dwa palce warstwą piasku i soli.

Tej nocy przyśniła mu się Mary Cullen. Siedział z nią w poczuciu całkowitego spokoju. Na twarzy Mary malowało się szczęście i Rob wiedział, że to dzięki niemu. Ta świadomość sprawiała mu ogromną przyjemność. Potem Mary zaczęła coś haftować i choć nie wiedział, jak to się stało, naraz okazała się mamą. Wtedy ogarnęło go poczucie ciepła i bezpieczeństwa, jakiego nie zaznał, odkąd ukończył dziesięć lat.

Tutaj sen się urwał — Rob zbudził się, kaszląc sucho i odpluwając. W ustach i uszach miał pełno piasku i soli, a kiedy wstał i zrobił parę kroków, poczuł bolesne ocieranie między pośladkami.

Było to trzeciego dnia rano. Rabbi Dawid ben Sauli pouczył Lonzana, że dwa dni mają jechać na wschód, a potem dzień na południe. Dotąd podążali na wschód, jeśli wierzyć Lonzanowi, teraz należało skrócić w kierunku uznanym przez Lonzana za południowy.

Rob nigdy nie potrafił odróżnić wschodu od południa i północy od zachodu. Zastanawiał się, co by się z nimi stało, gdyby Lonzano nie wiedział, gdzie która strona świata leży, albo gdyby wskazówki rabiego z Kaszami były niedokładne. Ta część pustyni, którą mieli przeciąć, stanowiła jakby zatoczkę wielkiego oceanu, główna jej część natomiast była

olbrzymia — dla nich nie do przebycia. A jeśli zamiast przemierzyć zatoczkę kierują się prosto w głąb Daszt-e Kawir? Gdyby tak było w istocie, to ich los należałoby uznać za przesadzony.

Przyszło mu na myśl, że może to Bóg Żydów pragnie go ukarać za tę jego maskaradę. Tyle że Arije, choć tak niesympatyczny, nie był złoczyńcą, a zarówno Lonzano, jak i Loeb należeli do najzaciejszych ludzi: nielogiczne byłoby, gdyby ich własny Bóg gotował im zgubę, byle wymierzyć sprawiedliwość jednemu grzesznemu gojowi.

Nie jego jednego trapiły rozpaczliwe myśli. Wyczuwając nastrój towarzyszy, Lonzano znowu spróbował skłonić ich do śpiewu. Nikt mu jednak nie zawtórował, po jakimś więc czasie on także umilkł.

Rob wlał do kapelusza ostatnią skąpą rację wody i napił swoje zwierzęta. W bukłaku zostało jakieś sześć łyków, doszedł zatem do wniosku, że albo zbliżają się do granicy Daszt-e Kawir, a w takim razie nie ma to znaczenia, albo idą w złym kierunku i ta odrobina wody nie wystarczy, by uratować mu życie. W tej sytuacji postanowił ją wypić. Zmusił się do sączenia jej małymi łykami, lecz i tak zniknęła w mgnieniu oka.

Ledwie opróżnił bukłak, pragnienie stało się jeszcze dokuczliwsze. Wypita woda jakby sparzyła mu wnętrzności, w dodatku straszliwie rozboleła go głowa. Choć siłą woli zmuszał się do marszu, zauważył, że nogi mu się płaczą. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że nie podola.

I wtedy Lonzano gwałtownie zaklaskał w dłonie.

— Aj, di-didi-di-di-di, di-di-di-di! — zaśpiewał i zatańczył potrząsając głową, obracając się i rytmicznie unosząc ręce i kolana.

Loebowi oczy zabłysły od łez i gniewu.

— Przestań, głupcze! — wrzasnął, zaraz jednak skrzywił się, po czym zawtórował Lonzanowi, klaszcząc i podskakując obok niego.

Po nim zrobił to Rob. I wreszcie nawet skwaszony Arije.

Śpiewali spieczonymi wargami i podskakiwali na stopach, w których nie było już czucia. W końcu umilkli, zaprzestali tych szalonych podskoków, ale szli dalej, stawiając zdrętwiałe nogi jedna przed drugą, nie dopuszczając do siebie myśli, że naprawdę mogli zabłądzić.

Wczesnym popołudniem usłyszeli grzmot. Dudnił w oddali na długo przedtem, zanim spadło parę kropel deszczu, a wkrótce potem zobaczyli gazelę i parę dzikich wołów.

Ich zwierzęta nagle się ożywiły. Zaczęły szybciej przebierać nogami, wreszcie nie poganiane puściły się klusem, łapczywie węsząc coś w oddali. Teraz już mogli na powrót dosięgnąć osłów. Mieli za sobą pas słonej pustyni, którą przemierzali przez trzy dni.

Teren stał się równinny, najpierw z rzadka urozmaicony kępkami roślinności, potem coraz bardziej zielony. Przed zmrokiem przybyli nad zarośniętą trzciną sadzawkę, nad którą kołując nurkowały jaskółki. Arije skosztował wody i skinał głową.

— Dobra.

— Nie możemy pozwolić zwierzętom, żeby na raz wypily za dużo, bo padną — ostrzegł Loeb.

Ostrożnie napił więc osły i muły, potem uwiązali je do drzew, napili się sami i zrzuciwszy odzienię, legli w wodzie wśród sitowia.

— Straciłeś kogoś na Daszt-e Lut? — zapytał Rob.

— Kuzyna Kalemana — odparł Lonzano. — Miał dwadzieścia jeden lat.

— Wpadł pod skorupę soli?

— Nie. Przestał nad sobą panować i wypił wszystką swoją wodę. Potem umarł z pragnienia.

— Niech spoczywa w pokoju — powiedział Loeb.

— Jak się umiera z pragnienia?

— Nie chcę o tym nawet myśleć—rzekł wyraźnie oburzony Lonzano.

— Pytam, bo mam zostać medykiem, nie z ciekawości

— wyjaśnił Rob zauważając, że Arije spogląda nań z niechęcią.

Lonzano zastanawiał się dłuższą chwilę, w końcu skinął głową.

— No dobrze, powiem ci... Kaleman stracił rozum od upału i dotąd pił, aż wypił wszystko. Zabłądziliśmy i każdy troszczył się o swoją wodę sam. Nie wolno nam było nią się dzielić. Po jakimś czasie Kaleman dostał torsji, ale nie miał w sobie nic płynnego. Język mu prawie szerniał, podniebienie zrobiło się szarobiałe. Wszystko mu się mieszało, myślał, że jest u matki w domu. Ściągnęło mu wargi, tak że zęby miał odsłonięte, usta rozdziawiły się w jakimś wilczym grymasie. Dyszał i charczał na przemian. Nocą wbrew zakazowi zwilżyłem szmatę wodą i wycisnąłem mu ją do ust, ale było za późno. Umarł po dwóch dniach bez picia.

Leżeli w brunatnej wodzie milcząc.

— Aj, di-di-di-di-di, aj, di-di, di-di! — zaśpiewał na koniec Rob patrząc rebowi Lonzano w oczy. Uśmiechnęli się do siebie.

Loeb plasnął się dłonią w policzek, na którym usiadł mu komar.

— Zwierzęta chyba dojrzały, żeby napić się więcej — powiedział, wyszli zatem z sadzawki i dokończyli obrządzać osły i muły.

Nazajutrz już o świcie dosiedli osłów i ku wielkiej radości Roba wkrótce znaleźli się wśród niezliczonych jeziorzek otoczonych łąkami. Jeziorka zdecydowanie podniosły go na duchu. Wysoka trawa, sięgająca roslemu mężczyźnie do kolan, cudownie pachniała. Roilo się w niej od koników polnych i świerszczy, a także od małych komarów, których ukłucia paliły i natychmiast wywoływały swędzące bąble. Parę dni wcześniej ucieszyłyby się na widok tyłu owadów, teraz nawet nie dostrzegał wielkich, mieniących się kolorami motyli, zajęty tłuczeniem komarów i przywoływaniem na tę plagę pomsty z nieba.

— O Boże, co to?! — zawołał w pewnej chwili Arije.

Rob spojrział we wskazanym przez niego kierunku i zobaczył zbierającą się na wschodzie, w pełnym słońcu, olbrzymią chmurę. Patrzył z rosnącym lękiem, jak się zbliża, wyglądała bowiem zupełnie jak tuman kurzu, który ujrzeni, kiedy gorący wiatr uderzył w nich na pustyni.

Z tej chmury jednak dobiegł ich wyraźny tętent kopyt, jakby pędziła na nich cała wataha jeźdźców.

— Turcy?... — szepnął, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Błdzi i przygotowani na wszystko, czekali patrząc, jak chmura się zbliża, wsłuchani w łoskot, który stawał się ogłuszający, aż w odległości jakichś pięćdziesięciu kroków załomotało, jakby tysiąc doświadczonych jeźdźców na komendę ściągnęło konie.

Z początku nic nie było widać, potem kurz się przerzedził i Rob ujrzał wyciągnięty w karnych szeregach nieprzeliczony tabun dorodnych dzikich osłów. W napięciu i z ciekawością zwierzęta przyglądały się ludziom, a ludzie im.

— Hej! — krzyknął wreszcie Lonzano, stado zaś zawróciło jak na komendę i pędem ruszyło na północ, zostawiając im świadomość nieprzebranego bogactwa form, jakie przybiera życie.

Natykali się jeszcze na mniejsze stada osłów i olbrzymie stada gazeli, czasem pasących się razem i najwidoczniej nie znających myśliwego, gdyż prawie nie zwracały uwagi na ludzi. Groźne za to były dzikie świnie, bardzo tu liczne. Od czasu do czasu migła Robowi włochata maciora albo knur z morderczymi kłami, zewsząd też dobiegało ich pochrząkiwanie, kiedy

ryły w wysokich trawach, głośno nimi szeleszcząc.

Na propozycję Lonzana zaintonowali teraz chórem pieśń, by ostrzegać świnie, że się zbliżają, nie płoszyć ich i nie prowokować do ataku. Na Robię skóra cierpła na myśl, jak odsłonięte i bezbronne są jego długie nogi zwisające z małego osła i wlokące się przez wysoką trawę, na szczęście jednak świnie ustępowały przed głosami śpiewających mężczyzn i nie stawały im na drodze.

Przybyli w końcu nad bystry strumień, którego koryto przypominało wielki rów o niemal pionowych, porośniętych koproem ścianach. Chociaż szukali z prądem i pod prąd, nie znaleźli miejsca dogodnego do przeprawy, tak że na koniec po prostu skierowali zwierzęta w wodę. To poszło dość łatwo, natomiast dalej było o wiele trudniej, osły i muły bowiem wciąż się ześlizgiwały, próbując się wdrapać na zarośnięty przeciwny brzeg. Rozległy się głośne przekleństwa, powietrze przesyciła ostra woń miazdzonego kopru. Minęło trochę czasu, zanim się przeprawili, a za strumieniem weszli w las traktem podobnym do tych, jakie Rob znał w ojczyźnie. Las był dzikszyszy od angielskiego, sklezione w górze wierzchołki drzew splatały się zasłaniając słońce, bujne zielone poszycie aż kipiało życiem dzikich stworzonek. Dostrzegł jelenia, króliki i jeża, a na drzewach synogarlice i coś, co wziął za rodzaj przepiórek. Taki trakt podobałby się Balwierzowi, pomyślał i zaciekawilo go, jak by zareagowali Żydzi, gdyby zadał w saski róg.

Kiedy wyjechali z zakrętu i Rob zajmował właśnie przypadające mu z kolei miejsce na przedzie, jego osioł nagle się spłoszył — nad nimi na grubej gałęzi drzewa czał się dziki kot. Osioł stanął dęba, idący za nim mul ryknął, także zwęszywszy drapieżcę. Rob sięgał po broń, gdy olbrzymie zwierzę skoczyło na niego, w teje jednak chwili w prawe ślepie bestii wbiła się długa, ciężka, wypuszczona z potężną siłą strzała.

Wielkie szpony przeorały skórę osła, kiedy kot zwałił się na Rob a, który wysadzony z siodła, runął na ziemię jak długi. Leżał przygnieciony zwierzęciem, dławiac się jego odorem. Przed oczami miał zad, lśniące czarne futro zmierzwione na podogoni, i o parę cali od twarzy wielką prawą tylną łapę z nieprzyzwoicie dużymi, wyglądającymi jak spuchnięte poduszkami stopy. Na drugim z czterech palców pantera musiała niedawno złamać pazur, palec bowiem miała obdarty ze skóry, zakrwawiony — palec ów uświadomił Robowi, że ten kot nie ma ślepiów z suszonych moreli i języka z czerwonego filcu.

Z lasu wyszli ludzie. Niedaleko stał ich pan, jeszcze z długim łukiem w ręku.

Był w prostym płaszczu z czerwonego perkalu podbitego bawełną, w zgrzebnych spodniach, butach z szagrynu i w niedbale zawiązanym turbanie. Mógł liczyć czterdzieści lat, był silnej budowy, trzymał się prosto, miał krótką ciemną brodę, nos niby orli dziób i jeszcze morderczy błysk w oczach, gdy się przyglądał, jak naganiacze ściągają martwą panterę z rosłego młodego mężczyzny.

Rob dźwignął się na nogi cały drżący, siłą opanowując parcie w brzuchu.

— Trzymajcie tego zasranego osła—rozkazał nie zwracając się do nikogo w szczególności, lecz ani Żydzi, ani Persowie nie zrozumieli, mówił bowiem po angielsku. Osioł zaś wrócił odstraszone tym, co mogło się jeszcze czał w lesie, i stanął drżący jak jego właściciel.

Lonzano podszedł do Roba i chrząknął z uznaniem, po czym naraz wszyscy Żydzi rzucili się na ziemię w przepisowym czołobitnym pokłonie, tak zwanym ni-je zamin, jak mu później powiedziano. Roba Lonzano pociągnął na ziemię bynajmniej nie delikatnie, a przycisnąwszy mu jeszcze kark ręką, upewnił się, że schylił głowę jak należy.

Zabiegi Lonzana, by Rob złożył stosowny pokłon, przyciągnęły uwagę myśliwego. Rob usłyszał jego kroki, potem dojrzał kątem oka szagrynowe buty zatrzymujące się parę cali od jego kornie schylonej głowy.

— Wielka martwa pantera i wielki niewychowany zimmi — powiedział rozbawiony głos

i buty się oddaliły.

Myśliwy i słudzy unoszący zwierzynę odeszli bez słowa, a chwilę potem klęczący powstali.

— Nic ci nie jest? — zapytał Lonzano.

— Nic, nic — uspokoił go Rob. Miał rozdarty kaftan, lecz sam był cały. — Kto to?

— Ala ad-Daula, szachinszach, król królów.

Rob wytrzeszczył oczy na drózkę, na której niknęli myśliwi.

— Co znaczy „zimmi”?

— Innowierca, który jest poddanym szacha. Tak nazywają tutaj Żydów.

## Miasto reba Jessego

Rob pożegnał się z trzema Żydami dwa dni później w Kupaje, wsi położonej na skrzyżowaniu dróg, Uczącej zaledwie kilkanaście rozpadających się ceglanych domów. Okrężna droga przez Daszt-c Kawir zniosła ich trochę na wschód, ale jemu pozostał niecały dzień podróży na zachód, do Isfahanu, podczas gdy ich czekały jeszcze trzy tygodnie uciążliwej wędrówki na południe i przeprawa przez cieśninę Ormuz, nim znajdą się w domu. Wiedział, że bez tych ludzi i bez żydowskich osiedli udzielających im schronienia nie dotarłby do Persji. Uściskali się z Loebem.

— Z Bogiem, rebie Jesse ben Beniaminie!

— Z Bogiem, przyjacielu.

Nawet niechętny Arije, gdy życzyli sobie bezpiecznej podróży, zdobył się na krzywy uśmiech, niewątpliwie tak samo jak Rob ciesząc się z rozstania.

— Jak będziesz w szkole medyków, musisz pozdrowić krewniaka Arijego, reba Mirdina Askariego — powiedział Lonzano.

— Pozdrowię — zapewnił, ściskając ręce Lonzana. — Dziękuję wam, rebie Lonzano ben Ezra. Lonzano uśmiechnął się.

— Jak na prawie obcego wspaniały z ciebie towarzysz podróży i godny człowiek. Idź w pokoju, Angliku.

— Idźcie w pokoju.

Chórem życząc sobie wszystkiego dobrego, rozeszli się w różne strony.

Rob jechał na mule, gdyż po ataku pantery przeniósł juk na osła. W ten sposób posuwał się wolniej, ale ponieważ rosło w nim podniecenie, wołał przebyć ostatni odcinek drogi bez pośpiechu, aby się nim nacieszyć. W końcu usłyszał miły dla ucha dźwięk i wkrótce dopędził kolumnę obwieszonych dzwonekami wielbłądów dzwigających kosze-dwojaki z ryżem. Dołączył do końca szeregu i jechał dalej, radując się dźwięcznym brzękaniem.

Las przeszedł najpierw w otwartą równinę, na której wszędzie, gdzie tylko było dość wody, leżały pola dojrzewającego ryżu i maku, surowca do wyrobu opium. Przedzierały je płaskie, kamieniste, suche uroczyska. Za równiną z kolei wyrosły białe wapienne wzgórza mieniające się bogactwem barw raz w słońcu, raz w cieniu. W kilku miejscach w wapiennej skale ziały głębokie wyrwy kamieniołomów.

Późnym popołudniem muł wspiął się na szczyt wzgórza. Rob spojrzął w dół, w wąwóz niewielkiej rzeki, i w dwadzieścia miesięcy od wyjazdu z Londynu zobaczył Isfahan!

Pierwszym, co go uderzyło i najsilniejsze wywarło na nim wrażenie, była oślepiająca biel z plamkami głębokiego granatu. Rozpościerała się przed nim wspaniała panorama pełna półkul i łuków, lśniących w słońcu wysokich kopulastych budowli, meczetów z minaretami jak piki, zielonych otwartych prze-

strzeni, wyniosłych cyprysów i platanów. Południowa dzielnica miasta przybrała barwę ciepłego różu w promieniach słońca odbitych od piasku, nie zaś od wapiennej skały.

Dłużej już nie mógł się powściągać. — Hej! — zawołał i wbił pięty w boki muła. Osioł za nim stukotał kopytami, gdy szybkim kłusem wyprzedzali wielbłądy.

Ćwierć mili przed miastem trakt się rozszerzył w okazałą brukowaną aleję, pierwszy utwardzony gościniec, jaki oglądał od opuszczenia Konstantynopola. Aleja była bardzo szeroka, podzielona rzędami wysokich, równych platanów na cztery wygodne pasy. Przekraczała rzekę mostem, który był właściwie łukowatą tamą piętrzącą wodę w zbiorniku

irygacyjnym. W pobliżu tablicy z nazwą rzeki Zajenda, Rzeka Życia, pluskali się i pływali nadzy brunatnoskórzy chłopcy.

Aleja zaprowadziła Roba pod potężne kamienne mury i bramę miejską sklepioną niepowtarzalnym łukiem. Za murem znajdowały się duże bogate domy z tarasami, sadami i winnicami. Ostrołuk powtarzał się wszędzie, wieńczył drzwi, okna i bramy prowadzące do ogrodów. Za dzielnicą bogaczy wznosiły się meczety i większe budowle nakryte kopułami, małymi i krągłymi z cienkim szpicem na szczycie, jak gdyby tutejsi architekci zakochani byli bez pamięci w kształcie kobiecej piersi. Od pierwszego rzutu oka widać było, na co poszedł budulec wydobyty z kamieniołomów, wszędzie bowiem królował biały kamień zdobiony geometrycznymi wzorami lub ułożonymi z granatowych płytek wersetami z Koranu: „Nie ma boga jak tylko On, Najmiłościvszy”, „Walcz o religię Boga”, „Biada tym, co zaniedbują modły”.

Ulice roily się od mężczyzn w turbanach, nigdzie natomiast nie było widać kobiet. Rob minął jeden wielki otwarty plac, jakąś milę dalej drugi. Chłonał dźwięki i zapachy. Oto niewątpliwie znalazł się w municipium, olbrzymim ludzkim mrowisku, bliskim mu jako dziecku Londynu, toteż z jakiegoś powodu uznał, że powinien przejechać powoli przez całe miasto położone na północnym brzegu Rzeki Życia.

Zdązał tak przed siebie, gdy z minaretów zaczęły wzywać wiernych na modlitwę męskie głosy, niektóre dalekie i niewyraźne, inne bliskie i czyste. Wszelki ruch wtedy zamarł, mężczyźni zwrócili się w stronę, w której najwidoczniej znajdował się południowy zachód, w kierunku Mekki. Wszyscy padli na kolana dłonie kładąc na ziemię i przyciskając czoła do bruku.

Rob z uszanowaniem zatrzymał muła i zsiadł.

Gdy modły dobiegły końca, podszedł do mężczyzny w średnim wieku, który żwawo zwijał dywanik modlitewny wyjęty ze stojącego obok wozu zaprzęzonego w woły, i zapytał, gdzie ma szukać dzielnicy żydowskiej.

— Ach... Jahudii... Musicie jechać dalej aż do żydowskiego targu. Na końcu targu jest brama i za nią znajdziecie swoją dzielnicę. Nie sposób jej nie dojrzeć, zimmi.

Na targu rzędami stały kramy, w których sprzedawano domowe sprzęty, lampy i oliwę, chleb, ciasteczka pachnące miodem i korzeniami, odzież, przeróżne naczynia, jarzyny i owoce, mięso, ryby, drób oskubany i oprawiony albo żywy, wszystko, co niezbędne dla ciała, a także dla ducha — bogaty wybór szalów modlitewnych, kaftanów z frędzlami i filakterii. W straganie skryby garbił się nad kałamarzem i piórami starzec z porytą zmarszczkami twarzą, w otwartym namiocie kobieta przepowiadała przyszłość. Rob poznał, że jest w dzielnicy żydowskiej, ujrzawszy kobiety zarówno w kramach, jak i z koszami przewieszonymi przez ramię robiące sprawunki w tym ścisku. Ubrane były w czarne suknie, włosy zaś ukryte miały pod chustami. Niektóre zasłaniały twarze jak kobiety muzułmańskie, większość jednak nie. Mężczyźni nosili ubrania takie jak Rob, wyróżniały ich też długie krzaczaste brody.

Jechał powoli, rozkoszując się widokami i dźwiękami. Minął dwóch mężczyzn klócących się zaciekłe jak wrogowie nad parą butów, inni żartowali i nawoływali się hałaśliwie. Trzeba było mówić głośno, żeby się w ogóle nawzajem usłyszeć.

Minawszy targ, przebył sklepioną łukiem bramę, zanurzył się w ciasne i wąskie zaułki, a z nich krętą nierówną pochyłością dotarł do dużej dzielnicy nędznych domów bezładnie rozrzuconych przy ulicach, których nikt nie starał się wytyczyć prosto. Wiele domów przylegało do siebie, gdzieniegdzie tylko stały osobno otoczone ogródkiem. Jak na angielskie wymagania były skromne, lecz w sąsiedztwie ubogich chatek wyglądały niczym zamki.

Choć Isfahan był starym miastem, dzielnica Jahudija wydawała się jeszcze starsza. Od splełanych, krętych ulic odchodziły zaułki, domy i synagogi były z kamienia lub starej wyblakłej cegły, teraz blad różowej. Rob minął gromadkę dzieci z kozą, dalej co rusz

napotykał grupki wesoło gawędzących mężczyzn.

Zbliżała się pora wieczornego posiłku i od ciągnących z domów smakowitych zapachów ślinka napłynęła mu do ust.

Wędrował tą dzielnicą, póki nie wyszukał stajni, w której zapewnił swoim zwierzętom schronienie. Nim je zostawił, oczyścił ładnie już się gojące na boku osła zadrapania od szponów pantery. Potem w pobliżu stajni znalazł gospodę prowadzoną przez wysokiego starego Żyda o miłym uśmiechu i zgarbionych plecach, nazwiskiem Salman Mniejszy.

— Dlaczego Mniejszy? — zapytał nie mogąc się powstrzymać.

— We wsi, z której pochodzę, Salmanem Wielkim nazywano mojego wuja. Był znanym uczonym — wyjaśnił stary.

Rob wynajął siennik w kącie dużej izby sypialnej, a kiedy gospodarz spytał, czyby się nie posilił, dał się skusić na kawałeczki mięsa pieczone na rożnie, gęsty ryż nazwany przez Salmana pilawem i małe przyrumienione na ogniu cebulki.

— Czy to koszerne? — spytał chytrze.

— A jakże, możecie jeść bez obaw! Po mięsie Salman podał miodowe ciasteczka i smaczny napój nazwany przez niego szербetem.

— Jesteście chyba z daleka — zauważył.

— Z Europy.

— Ach, z Europy!

— Skąd wiedzieliście? Stary szeroko się uśmiechnął.

— Z tego, jak mówicie—wyjaśnił, a ujrzawszy minę Roba, dodał pocieszająco: — Nauczycie się lepiej mówić, na pewno... Jak to jest być Żydem w Europie?

Rob zakłopotał się pytaniem, zaraz jednak przyszyły mu na myśl słowa Zewiego, więc odparł:

— Trudno.

Salman z powagą przytaknął, Rob zaś z kolei zapytał jego:

— A jak to jest być Żydem w Isfahanie?

— O, tu nie jest źle. Koran każe lżyć Żydów, więc nas wyzywają, ale oni przywykli do nas, a my do nich. W Isfahanie zawsze byli Żydzi — wyjaśnił. — Miasto założył Nabuchodonozor i według legendy osiedlił tu Żydów wziętych w niewolę po podbiciu Judei i zburzeniu Jerozolimy. A dziewięćset lat później szach Jazdegerd zakochał się w tutejszej Żydówce imieniem Szuszan-Docht i uczynił ją królową. Ułatwiła swoim życie, toteż osiadło tu więcej Żydów.

Rob doszedł do wniosku, że nie mógł wybrać lepszego przebrania. Kiedy sobie przyswoi żydowskie obyczaje, zniknie między tymi ludźmi jak mrówka w mrowisku.

Po posiłku udał się zatem z karczmarzem do Domu Pokoju, jednej z wielu tutejszych synagog. Był to czworokątny budynek ze starego kamienia uszczelnionego w szparach brunatnym mchem, mimo że w powietrzu nie było wilgoci. Zamiast okien synagoga miała jedynie wąskie strzelnice i drzwi tak niskie, że Rob wchodząc musiał się pochylić. Ciemny przedsionek prowadził do wnętrza, w którym w świetle lamp widać było kolumny wspierające strop tak wysoki i ciemny, że Rob nie był w stanie go dojrzeć. W głównej części siedzieli mężczyźni, kobiety modliły się w niewielkiej niszy za ścianą. Rob stwierdził, że łatwiej mu odmawiać maariw w synagodze niż w towarzystwie paru Żydów na szlaku. Tutaj przewodził modlitwom chazan, a wierni mamrotali lub śpiewali jak kto chciał, kiwał się więc wraz z nimi mniej skrzepowany słabą znajomością hebrajskiego i tym, że często nie nadaża za recytacją.

W drodze powrotnej do gospody Salman uśmiechnął się do niego przebiegle.



— Może byście chcieli mocniejszej rozrywki, co? Taki młody człowiek... Nocą majdany, czyli place w muzułmańskich dzielnicach, tętnią życiem. Znajdziecie tam kobiety i wino, muzykę i uciechy, o jakich się wam nie śniło.

Rob jednak odmownie pokręcił głową.

— Chętnie, ale innym razem — powiedział. — Dziś muszę zachować jasny umysł, bo jutro załatwiam sprawę najwyższej wagi.

Nie spał tej nocy, rzucał się na posłaniu i przewracał, ciekaw, czy Ibn Sina okaże się człowiekiem, z którym łatwo można dojść do porozumienia.

Rano znalazł publiczną łaźnię, ceglana budowla wzniesiona nad naturalnym ciepłym źródłem. Mocnym mydłem i czystymi gałganami zszorował z siebie nagromadzony w podróży brud, a gdy włosy mu wyschły, wy dobył chirurgiczny nóż i przyciął brodę zerkając na swe odbicie w kwadratowej płycie wypolerowanej stali. Broda mu zgęstniała i stwierdził, że wygląda jak prawdziwy Żyd.

Włożył lepszy ze swoich dwóch kaftanów, nasadził skórzany kapelusz na głowę i wyszedł na ulicę, gdzie spytał jakiegoś człowieka o uschłych członkach o drogę do szkoły medyków.

— Myślicie o madrasie, miejscu nauki? To przy szpitalu — powiedział żebrak. — Przy ulicy Alego, w pobliżu Meczetu Piątkowego, w samym centrum.

Otrzymawszy w podzięcie monetę, kulawy pobłogosławił potomstwo Roba do dziesiątego pokolenia.

Do madrasy miał daleko. Przy okazji przekonał się, że Isfahan to miasto kwitnącego rzemiosła, wszędzie bowiem widać było ludzi przy pracy, szewców i kowali, garncarzy i kołodziejów, wydmuchiwaczy szkła i krawców, minął także po drodze kilka bazarów pełnych wszelakiego towaru. Wreszcie znalazł się w pobliżu Meczetu Piątkowego, solidnej kwadratowej budowli ze wspianym minaretem, na którym trzepotały się ptaki. Za meczetem rozciągał się plac targowy z przewagą straganów z książkami i małych jadłodajni, zaraz też zobaczył madrasę.

Wśród sklepów z książkami przeznaczonymi dla studentów stały otaczające szkołę podłużne niskie budynki mieszkalne, przy których biegały i bawiły się dzieci. Wszędzie kręciło się mnóstwo młodych ludzi, na ogół w zielonych turbanach. Budynki madrasy wzniesiono z bloków białego wapienia w tym samym stylu co większość meczetów. Stały szeroko rozrzucone i oddzielone od siebie ogrodami. Pod kasztanem uginającym się od nie popękanych jeszcze kolczastych owoców siedziało na podwiniętych nogach sześciu młodzieńców, słuchając z uwagą siwobrodego mężczyzny w błękitnym jak niebo turbanie. Rob zbliżył się do nich niby to przypadkiem.

— ...sylogizmy Sokratesa—mówił wykładowca. — Logika zakłada, że wniosek jest słuszny, jeśli dwie jego przesłanki są prawdziwe. Na przykład z faktu, że po pierwsze wszyscy ludzie są śmiertelni i po drugie Sokrates jest człowiekiem, można logicznie wnioskować, że po trzecie Sokrates jest śmiertelny.

Rob skrzywił się i poszedł dalej, tknięty zwątpieniem: wielu rzeczy nie wiedział i za wielu nie rozumiał.

Zatrzymał się przed bardzo starym budynkiem przylegającym do meczetu zwieńczonego pięknym minaretem i spytał studenta w zielonym turbanie, w którym budynku wykładana jest medycyna.

— W trzecim stąd. Tu uczą teologii, w drugim muzułmańskiej religii, a tam medycyny — odpowiedział młodzieniec wskazując na nakryty kopułą budynek z białego kamienia. Był tak bliźniaczo podobny do większości budowli Isfahanu, że Rob już zawsze miał go wspominać jako Wielki Cyc. Obok stała duża piętrowa budowla, na której napis głosił, że to maristan,

„dom chorych”. Zaintrygowany Rob zamiast wejść do madrasy, wspiał się po czterech marmurowych stopniach maristanu i przez wielkie drzwi z kutego żelaza wszedł do środka.

Wewnątrz znajdował się dziedziniec z sadzawką, w której pływały kolorowe ryby, i ławami ustawionymi pod owocowymi drzewkami. Z dziedzińca promieniście rozchodziły się korytarze, każdy prowadził do dużej sali. Większość sal była przepelniona. Rob nigdy nie widział tylu chorych i rannych zgromadzonych w jednym miejscu, błąkał się więc oszołomiony.

Pacjenci leżeli pogrupowani według dolegliwości: w jednej długiej sali sami ludzie ze złamaniami, w drugiej ofiary różnych rodzajów gorączki, w innej skrzywił się, gdyż najwidoczniej przeznaczona była dla pacjentów cierpiących na biegunkę i inne choroby związane z wydalaniem. Ale nawet tu powietrze nie było tak gęste, jak by być mogło, sala bowiem miała duże okna i dopływ powietrza tamowały tylko lekkie zasłony zawieszona w nich dla ochrony przed owadami. Rob zauważył w ramach okien u góry i u dołu szpary, by można wsunąć w nie okiennice w porze zimowej.

Ściany wszędzie były bielone, a posadzka kamienna, łatwa do mycia i utrzymująca w budynku chłód w porównaniu z upałem na dworze. Ponadto w każdej z sal pluskała niewielka fontanna!

Wędrując po maristanie, Rob stanął przed zamkniętymi drzwiami, powstrzymany widniejącym na nich napisem: Dar ul-Maraftan, „sala zakutych w łańcuchy”. Gdy otworzył drzwi, ujrzał trzech nagich mężczyzn z ogolonymi głowami i związanymi rękoma, przykutych do wysokiego okna za żelazne obroże. Dwóch zwisało, spali albo byli nieprzytomni, lecz trzeci, z wpadniętymi policzkami mokrymi od łez, wytrzeszczył oczy i zawył jak zwierzę.

— Wybaczcie — powiedział łagodnie Rob i wycofał się od furiatów.

Zaszedł do sali z pacjentami po operacjach chirurgicznych i musiał oprzeć się pokusie, by nie przystawać przy każdym posłaniu i zaglądać pod opatrunki, żeby się przyjrzeć kikutom amputowanych kończyn i innym ranom. Och, gdybyż mógł widywać co dzień tylu ciekawych pacjentów i uczyć się u sławnych medyków! To tak, pomyślał, jakby człowiek, który całe życie spędził na Daszt-e Kawir, odkrył, że jest właścicielem oazy.

Napis na drzwiach następnej sali przekraczał jego ograniczoną znajomość języka perskiego, ale gdy wszedł, zaraz odgadł, że tutaj leczy się choroby i urazy oczu.

W pobliżu jakiś roślę człek kulił się pod gradem wymysłów.

— To przez pomyłkę, panie Karim Harun — tłumaczył się. — Myślałem, że kazaliście mi zdjąć bandaż Eswedowi Omarowi.

— Ty ośli fajfusie!... — gromił go z pogardą ten drugi, młody i zwinny jak atleta. Rob ze zdumieniem zauważył, że nosi zielony turban studenta, lecz zachowuje się z taką pewnością siebie, jakby był medykiem i właścicielem szpitala. Bez śladu zniewieściałości, był jednak najpiękniejszym mężczyzną, jakiego Rob widział w życiu, o urodzie arystokraty, lśniących czarnych włosach i głęboko osadzonych brązowych oczach płonących gniewem.

— To twój błąd, Rumi. Kazałem ci zmienić opatrunek Kuru Jezidiego, a nie Esweda Omara. Ustad Dżuzdzani własnoręcznie zdjął mu bielmo z oczu i polecił mi dopilnować, żeby jego bandaży nie ruszono przez pięć dni. Przekazałem ci to polecenie, a tyś o nim zapomniał, gówniarzu. Jeżeli Eswed Omar nie będzie wyraźnie widział i spadnie na mnie gniew Al-Dżuzdzaniego, rozplątam ci tę tłustą dupę jak jagnięcą pieczeń... — Zauważył Roba, który stał jak zaczarowany, i skrzywił się. — A czego ty chcesz?

— Mówić z Ibn Siną o przyjęciu do szkoły medyków.

— Pewno, pewno. Czy Książę Medyków cię oczekuje?

— Nie.

— To musisz iść na piętro budynku obok do hadziego Dawuda Hosaina, zastępcy

dyrektora szkoły. Dyrektorem jest Rotum ibn Nasr, daleki kuzyn szacha i dowódca wojskowy, który przyjmuje zaszczyty, ale do szkoły nigdy nie zachodzi. Rządzi tu hadzi Dawud Hosein, z nim musisz się widzieć—rzekł student Karim Harun i z krzywą miną odwrócił się do pielęgniarza. — I co, ty zielone gówno z wielbłądziego kopyta? Może raczyłbyś zmienić opatrunek Kuru Jezidemu?

Przynajmniej niektórzy studenci mieszkali w Wielkim Cycu, o czym świadczyły znajdujące się przy ciemnym korytarzu małe celki. Przez otwarte drzwi przy podeście schodów Rob zobaczył dwóch mężczyzn, którzy, jak mu się wydało, krajali leżącego na stole żółtego psa, chyba martwego. Na piętrze poprosił człowieka w zielonym turbanie, aby mu wskazał drogę do hadziego, i na koniec wprowadzono go do komnaty, w której urzędował Dawud Hosein.

Zastępca dyrektora był niewysokim szczupłym mężczyzną, jeszcze niestarym, przejętym własną godnością, odzianym w szatę z dobrego szarego sukna i biały turban wskazujący, że był już w Mekce. Miał małe czarne oczka, a bardzo wyraźna zabiba na czole świadczyła o jego pobożności.

Po wymianie salamów wysłuchawszy prośby Roba, uważnie mu się przyjrzał.

— Powiadasz, że przybywasz z Anglii? Z Europy?... Ale w której to jest części Europy?

— Północnej.

— W północnej części Europy... Jak wiele czasu zajęła ci podróż do nas?

— Niecałe dwa lata, hadzi.

— Dwa lata! Nadzwyczajne. Twój ojciec jest medykiem? Kończył naszą szkołę?

— Mój ojciec?... Nie, hadzi.

— Hm, to może wuj?

— Nie, będę pierwszym medykiem w rodzinie. Hadzi zmarszczył brwi.

— Mamy tu uczniów z rodzin medyków od wielu pokoleń. Przywiozłeś listy polecające, zimmi?

— Nie, hadzi... — wyjąkał Rob czując, jak ogarnia go panika. — Jestem balwierzem, mam już trochę praktyki...

— Żadnych poleceń od naszych wybitnych absolwentów? — zapytał Hosein zdumiony.

— Żadnych.

— Nie przyjmujemy na naukę każdego, kto się tu zjawi.

— To nie przelotny kaprys. Przebyłem taki szmat świata, bo postanowiłem uczyć się medycyny. Nauczyłem się waszego języka...

— Kiepsko, jeśli wolno zauważyć. — Hadzi pociągnął nosem. — Nie uczymy medycyny ot, tak. Nie uczymy zawodu. My kształcimy. Nasi studenci tak samo jak medycyny uczą się teologii, filozofii, matematyki, fizyki, astrologii, prawa, a kiedy otrzymują stopień naukowy, mogą wybierać, czy oddać się karierze nauczyciela, medyka czy prawnika.

Rob czekał z zamierającym sercem.

— Ależ zastanów się, to niemożliwe!...

Zastanawiał się nad tym od dwóch lat.

Zastanawiał się, kiedy odwrócił się od Mary Cullen.

Zastanawiał się, kiedy się pocił pod palącym słońcem, dygotał w lodowatym śniegu, mókł chłostany deszczem i burzą. Na słonecznej pustyni i w zdradliwym lesie. Pełznąć jak wściekła mrówka przez góry.

— Nie odejdę, zanim nie porozmawiam z Ibn Siną — oświadczył stanowczo.

Hadzi Dawud Hosein otworzył usta, lecz zobaczył w oczach Roba coś, co mu kazało je zamknąć. Pobladł i szybko pokiwał głową.

— Zaczekaj tu — powiedział i wyszedł z izby. Rob został sam.

Po jakimś czasie zjawili się czterech rosyłych żołnierzy. Żaden nie był tak rosyły jak on, ale wszyscy muskularni. Mieli krótkie, ciężkie drewniane pałki. Jeden z nich, ospowaty, nieustannie uderzał się pałką w mięsistą dłoń lewej ręki.

— Jak się nazywasz, Żydzie? — zapytał ospowaty całkiem grzecznie.

— Jesse ben Beniamin.

— Hadzi mówi, żeś obcy. Europejczyk?

— Tak. Z Anglii. To daleko stąd. Żołnierz kiwnął głową.

— Opierałeś się, jak hadzi polecił ci odejść?

— To prawda, ale...

— Wyjdiesz teraz, Żydzie. Z nami.

— Nie wyjdę, zanim nie porozmawiam z Ibn Siną.

Ten, który mówił, zamachnął się pałką.

Tylko nie w nos, pomyślał udręczony Rob.

Krew pociekła jednak natychmiast, bo wszyscy czterej żołnierze sprawnie i skutecznie posługiwali się pałkami. Osaczyli go tak, że nie mógł wziąć zamachu.

— Do diabła! — warknął po angielsku. Nie mogli go zrozumieć, ale ton głosu nie zostawiał wątpliwości, toteż natarli mocniej. Jeden z ciosów trafił go w skroń, nagle zakręciło mu się w głowie i poczuł mdłości. Starał się osiągnąć przynajmniej tyle, że zwymiotuje w komnacie hadziego, lecz ból był za duży.

Dobrze znali swoje rzemiosło. Jak tylko przestał być dla nich groźny, odstawili pałki i umiejętnie zastosowali pięści.

Wyprowadzili go ze szkoły podtrzymując pod ramiona. Przed budynkiem czekały cztery rosłe kasztanki, wsiedli na nie, a Rob biegł potykając się między kołniami. Trzykrotnie upadał, wtedy zaś jeden z żołnierzy zsiadał i mocno kopał go w żebra, póki się nie podniósł. Droga wydała mu się długa, mimo że w rzeczywistości nie odjechali daleko od madrasy. Zatrzymali się przy niewielkim ceglany budynku, nędznym i mało pociągającym, jednym z ostatnich ogniw w systemie muzułmańskiego prawa, jak się miał dowiedzieć. W środku znajdował się tylko drewniany stół, za stołem siedział mężczyzna o złej twarzy, kudłaty i brodaty, w czarnych urzędniczych szatach trochę podobnych do kaftana Roba. Zajęty był właśnie rozkrawaniem

melona.

Żołnierze podprowadzili Roba do stołu, stanęli i czekali z uszanowaniem, kiedy sędzia brudnym paznokciem wydłubywał do kamiennej misy pestki z melona. Oczyszczywszy owoc z nasion, pokrajał go i powoli zjadł. Gdy nic już nie zostało, wytarł o kaftan najpierw ręce, potem nóż, wreszcie odwrócił się w kierunku Mekki i podziękował Allahowi za pożywienie.

Dokończywszy modłów westchnął i spojrzał na żołnierzy.

— To jakiś pomyłony europejski Żyd, zakłócił spokój publiczny, mufti—wyjaśnił ospowaty. — Ujęty wskutek skargi hadziego Dawuda Hoseina, któremu groził napaścią.

Mufti skinął głową i paznokciem wydłubał z zębów resztki melona. Popatrzył na Roba.

— Nie jesteś muzułmaninem, a skargę wnosi muzułmanin. Słowo niewiernego nic nie znaczy przeciwko słowu wyznawcy Allaha. Nie masz jakiego muzułmanina, który by przemówił w twojej obronie?

Rob próbował coś powiedzieć, lecz ze ściśniętego gardła nie był w stanie wydobyć żadnego dźwięku, choć nogi aż ugięły się pod nim z wysiłku. Żołnierze szarpnęli go, żeby stał prosto.

— Czemuż to zachowujesz się jak pies? No cóż, ostatecznie jesteś niewierny, nie

przywykłeś do naszych obyczajów. A to woła o zmiłowanie. Odprowadzić, niech go zamkną w karkanie do dyspozycji kalandara — polecił mufti żołnierzom.

Tym sposobem zasób znanych Robowi słów perskich wzbogacił się o dwa nowe. Zastanawiał się nad nimi, kiedy żołnierze wywlekli go od muftiego i między końmi pognali dalej. Znaczenia jednego ze słów domyślił się trafnie — chociaż wtedy jeszcze tego nie wiedział, kalandar, tak jak przypuszczał, był kimś w rodzaju zarządcy więzienia i komendantem miasta. Pomylił się natomiast co do drugiego. Kiedy przybyli do wielkiego ponurego budynku więzienia, sądził, że to właśnie jest karkan. W środku ospowaty żołnierz przekazał go dwóm strażnikom, którzy popędzili go popychając wzdłuż okropnych, ziejących wilgocią lochów. Nie zatrzymywali się jednak, dopóki z ciemnicy nie wyszli na oślepiający jasnością wewnętrzny dziedziniec, gdzie w dwóch długich rzędach ustawione były dyby. W każdym, które mijali, uwięziony był jęczący lub nieprzytomny nieszczęśnik. Strażnicy prowadzili Roba wzdłuż jednego rzędu, dopóki nie znaleźli wolnych dybów. Przy nich przystanęli, strażnik je otworzył i rozkazał:

— Wsadź głowę i prawą rękę w karkan. Instynkt i lęk kazały się Robowi cofnąć, strażnicy wszakże odczytali to jako stawianie oporu — i ze swojego punktu widzenia mieli słuszość. Rzucili go na ziemię i skopali jak przedtem żołnierze. Robowi pozostało tylko zwinąć się w kłębek, by ochronić krocze, i rękami osłaniać głowę.

Gdy przestali się nad nim znęcać, przesunęli go jak worek mąki, żeby odpowiednio ułożyć mu kark i prawe ramię, zatrzasnęli górną kłode karkanu, zagwoździli, po czym odeszli. Półprzytomny Rob, poturbowany i oszołomiony, zwisał bezwładnie w dybach, wystawiony na palące promienie słońca.

## Chylat

Były to doprawdy szczególnego rodzaju dyby, skonstruowane z podłużnej kłody drewna i dwóch krótszych zamkniętych w trójkąt, którego środek trzymał głowę Roba tak, że przygięty, na pół wisiał. Prawa ręka, służąca do jedzenia, została przytwierdzona do podłużnej kłody drewnianą obręczą spiętą gwoździem nad przegubem, gdyż siedząc w karkanie więzień nie dostawał jedzenia. Lewej, służącej do ocierania, nie przykuto, ponieważ kalandar był człowiekiem cywilizowanym.

Chwilami Rob wynurzał się ze stanu nieświadomości i przyglądał długiemu podwójnemu rzędowi dybów, zajętych co do jednego przez nieszczęśników, którzy dopuścili się jakiegoś występku. Na linii jego wzroku, w drugim końcu dziedzińca, stał duży drewniany pień.

Raz przyśnili mu się ludzie i demony w czarnych płaszczach. Jakiś człowiek ukląkł kładąc prawą rękę na pniu, a jeden z demonów zamachnął się mieczem większym i cięższym od angielskiego korda i odciął tę rękę w przegubie, podczas gdy pozostali, ci odziani w płaszcze, modlili się na głos.

Ten sen wciąż mu się powtarzał pod palącym słońcem. Potem zaś przyśnił mu się inny: człowiek ukląkł tak, żeby kark położyć na pniu, a wytrzeszczone oczy utkwiał w niebie. Rob zląkł się, że utną mu głowę, lecz ucięli tylko język.

Kiedy następnym razem otworzył oczy, nie zobaczył ani ludzi, ani demonów, na ziemi i na pniu widniały jednak świeże plamy, jakich demony nie zostawiają.

Przy oddychaniu czuł ból. Jeszcze nigdy w życiu tak go nie pobito, nie wiedział, czy nie ma połamanych kości. Zwisał z karkanu i żałośnie płakał, starając się robić to po cichu i mając nadzieję, że nikt nie patrzy.

Na koniec spróbował ulżyć cierpieniom zagadując sąsiadów, których z trudem mógł dojrzeć, jeśli wykręcił głowę, co wymagało sporego wysiłku. Szybko nauczył się, że musi to robić nadzwyczaj ostrożnie, gdyż skóra na szyi łatwo się ocierała do żywego o zaciśnięte na niej drewno. Na lewo od niego znajdował się zbity do nieprzytomności mężczyzna, który się nie poruszał, młodzieniec po prawej natomiast przyjrzał mu się ciekawie, lecz albo był głuchy jak pień, albo nic nie rozumiał z jego łamanej perszczyzny. Po kilku godzinach strażnik zauważył, że ten po lewej nie żyje. Zabrano go, a na jego miejsce wsadzono innego.

Po południu Rob poczuł, że język ma szorstki, odnosił wrażenie, że wypełnia mu całe usta. Nie czuł potrzeby oddania moczu ani wypróżnienia, wszystkie bowiem płyny dawno wypilo z niego słońce. Chwilami zdawało mu się, że znów jest na pustyni, a w momentach jasności umysłu przypominał sobie aż nazbyt wyraźnie symptomy śmierci z pragnienia opisane przez Lonzana: obrzmiały język, poczerniałe dąsła, przeświadczenie, że jest się gdzie indziej.

Kiedy odwrócił głowę w lewo, napotkał spojrzenie nowego więźnia. Popatrzyli na siebie, Rob zauważył opuchłą twarz i poranione usta.

— Czy nie ma nikogo, u kogo moglibyśmy prosić zmiłowania? — szepnął niewyraźnie.

Tamten nie od razu odpowiedział, może zakłopotany akcentem Roba.

— Jest Allah — rzekł wreszcie. Jego również nie było łatwo zrozumieć, ponieważ miał rozciętą wargę.

— Ale tutaj, na ziemi?

— Jesteś cudzoziemcem, zimmi?

— Tak.

— Widziałeś mułłę, cudzoziemcze — wybełkotał więzień z mściwą satysfakcją. — Wyrok na ciebie wydał święty człowiek.

Powiedziawszy to, jakby stracił zainteresowanie Robem i odwrócił twarz.

Błogosławieństwem było chylące się ku zachodowi słońce. Wieczór przyniósł niemal rozkoszny chłód. Rob ciało miał odrętwiałe, nie czuł już bólu w mięśniach. Może umierał.

W nocy jego sąsiad znowu się odezwał.

— Jest jeszcze szach, obcy Żydzie — powiedział. Rob czekał, co powie dalej.

— Wczoraj, w dniu naszych tortur, była środa, czahar szanbe. Dziś jest pandż szanbe. Co tydzień rankiem w pandż szanbe, aby dostąpić doskonałego oczyszczenia duchowego przed dżumą, waszym szabatem, szach Ala ad-Daula udziela posłuchania. Każdy może wtedy stanąć przed jego tronem w Sali Kolumnowej i zanieść skargę na niesprawiedliwość, jaka go spotkała.

Rob nie był w stanie zdusić w sobie słabiutkiej iskierki nadziei.

— Każdy?

— Każdy. Nawet więzień może zażądać, żeby go zaprowadzono przed oblicze szacha, i przedstawić mu swoją sprawę.

— Nie, tego ci nie wolno! — syknął ktoś z ciemności. Rob nie potrafił określić, kto to się odezwał.—Musisz to sobie wybić z głowy — dodał anonimowy głos. — Szach prawie nigdy nie odwołuje orzeczenia muftiego ani jego wyroku. A mułłowie tylko czekają na powrót tych, co zabierali szachowi czas mieląc nieposkromionymi jęzorami. Wtedy właśnie ucinają języki i rozpruwają brzuchy i wie o tym dobrze ten diabeł, ten psubrat, co ci tak fałszywie doradza. Musisz pokładać wiarę w Allahu, nie w szachu.

Sąsiad z prawej strony przewrotnie zachichotał, śmiejąc się jak człowiek przyłapany na niewybrednym żarcie.

— Tutaj nie ma nadziei — rzekł głos z ciemności.

Rozbawienie sąsiada przeszło w paroksyzm duszącego kaszlu. Gdy złapał oddech, złośliwie zauważył:

— Tak, możemy wyglądać nadziei w raj.

Po tych słowach nikt się już nie odezwał.

Wypuszczono go w dwadzieścia cztery godziny od chwili zakucia w dyby. Spróbował wstać, ale upadł i leżał cierpiąc męki, gdy krew napływała mu z powrotem do mięśni.

— Wynoś się — warknął w końcu strażnik, kopiąc go.

Dźwignął się na nogi i pokuśtykał z więzienia, śpiesząc się, by jak najszybciej opuścić to miejsce. Dotarłszy do wielkiego placu z platanami i pluszczącą fontanną, przypadł do niej i pił bez końca, zaspokajając bezdenne pragnienie. Potem zanurzył głowę w wodzie i trzymał ją tak, dopóki mu nie zabręczało w uszach i nie poczuł, że zmył z siebie część więziennego smrodu.

Ulicami Isfahanu przewalały się tłumy. Gdy szedł przed siebie, przechodnie mu się przyglądali.

Mały gruby sprzedawca w obdartym kaftanie odganiał muchy znad garnka, w którym coś się gotowało na piecyku ustawionym na wózku zaprzężonym w osła. Od zapachu z garnka Robowi zrobiło się tak słabo, aż się przeląkł. Rozpiąwszy jednak kiesę, zamiast pieniędzy, które miały mu wystarczyć na wiele miesięcy, znalazł w niej jednego miedziaka.

Obrabowano go, gdy był nieprzytomny! Zaklął ponuro, nie wiedząc nawet, czy złodziejem był ospowaty żołnierz, czy strażnik więzienny. Albo był to kiepski żart złodzieja, który zakpił z niego zostawiając tego miedziaka, albo też kierował się jakimś przewrotnym religijnym poczuciem miłosierdzia. Rob dał monetę sprzedawcy, a ten nałożył mu niewielką

porcję tłustego pilawu o korzennym smaku z pływającymi ziarnami grochu. Rob widać przełknął go za szybko lub też za bardzo był wyczerpany słońcem i karkanem, bo niemal natychmiast zwrócił wszystko w kurz ulicy. Kark krwawił mu w miejscach otartych dybami, pod powiekami czuł silne pulsowanie. Przeszedł w cień pod platanem i stanął tam myśląc o zielonej Anglii, swoim koniu i wozie z pieniędzmi pod podłogą, i o towarzystwie Pani Buffington.

Tłum teraz zgęstniał, rzeka ludzi płynęła ulicą w jednym kierunku.

— Dokąd oni idą? — zapytał sprzedawcę.

— Na posłuchanie u szacha—odpowiedział tamten, pytająco patrząc na pokieroszowanego Żyda, dopóki Rob się nie oddalił.

Dlaczego nie? — spytał Rob sam siebie. Bo i cóż innego mu pozostawało?

Przyłączył się do ludzkiej fali, która się przetoczyła Aleją Alego i Fatimy, przecięła czteropasmową Aleję Tysiąca Ogrodów i skręciła w niepokalanie czysty bulwar zwany Bramami Raju. Szli młodzi i starzy, i ludzie w średnim wieku, hadźowie w białych turbanach, studenci w zielonych, mułowie, żebracy zdrowi i kalecy, w łachmanach i turbanach wszystkich kolorów tęczy wyciągniętych ze śmietnika, młodzi ojcowie z dziećmi na rękę, tragarze dźwigający lektyki, jeźdźcy dosiadający koni i osłów. Zauważył, że podąża za gromadką Żydów w czarnych kaftanach, pokuśtykał więc tuż za nimi jak zabłąkane gąsiątko.

Przeszli przez skąpy cień zasadzonego ludzką ręką gaju, niewiele bowiem rosło drzew w Isfahanie, potem, mimo że znajdowali się nadal w obrębie miejskich murów, minęli oddzielające królewskie tereny od miasta rozległe pola, na których pasły się owce i kozy. Znaleźli się wreszcie na rozległym zielonym błoni z dwiema kamiennymi kolumnami po bokach jak portale. Gdy widać już było pierwszy budynek królewskiego dworu, Rob pomyślał, że to pałac, ponieważ większy był od królewskiej siedziby w Londynie. Ale za pierwszym zobaczył jeden za drugim takie same domy, głównie z cegły lub kamienia, często z wieżami i gankami, każdy otoczony wiszącymi tarasami i ogrodami. Minął winnice, stajnie, dwa tory wyścigowe i kwietne pawilony takiej piękności, że chętnie by wyszedł z cizby i wędrował wśród tych wonnych wspaniałości, wiedział jednak, że na pewno jest to zabronione.

Dalej ukazała się budowla tak potężna, a jednocześnie tak pełna lekkiego wdzięku, że wydała mu się nierealna: było to jedno wielkie skupisko dachów w kształcie piersi, opasanych blankami, po których pod długimi, barwnymi proporcami trzepoczącymi na wietrze przechadzały się z tarczą w ręku strażę w lśniących hełmach.

Rob pociągnął za rękaw mężczyznę przed sobą, krępego Żyda, któremu spod koszuli wystawała ozdobiona frędzlami bielizna.

— Co to za zamek?

— Ależ to Rajski Dom, pałac szacha! —Mężczyzna spojrział na niego i zrobił zmartwioną minę. — Jesteś zakrwawiony, przyjacielu.

— To nic, mały wypadek.

Tłum runął w długą aleję wjazdową, a gdy podeszli bliżej, Rob zobaczył, że główna część pałacu chroniona jest szeroką fosą. Most zwodzony był podniesiony, lecz z tej strony fosy, przy placu otwartym jak wielkie wrota pałacowe, stał budynek, do którego wlała się ludzka fala.

Przestronne wnętrze zajmowało połowę tej powierzchni co wnętrze bazyliki Mądrości Bożej w Konstantynopolu. Posadzka była marmurowa, ściany i wysokie stropy z kamienia tak umiejętnie pociętego prześwitami, że światło dnia wpadało do środka rozproszone. Była to Sala Kolumnowa. Wzdłuż wszystkich czterech jej ścian wznosiły się pięknie toczone, rowkowane kamienne kolumny. W miejscu, gdzie każda z nich łączyła się z posadzką, u



podstawy, wspierały ją rzeźbione łapy najróżniejszych zwierząt.

Sala była już prawie pełna, kiedy Rob wszedł popychany napierającym tłumem, wtłoczony w grupę Żydów. Wzdłuż sali wydzielone sznurami ciągnęły się wolne przejścia. Rob stał i patrzył, z nową uwagą chłonąc wszystko wzrokiem, ponieważ czas spędzony w karkanie był dla niego bolesnym napomnieniem, że jest w tym mieście obcy. Postępowanie, które on uznałby za naturalne, Persowie mogli odebrać jako dziwaczne i groźne, świadom więc był, że jego życie może zależeć od tego, czy właściwie zrozumie ich zachowanie i zamiary.

Zauważył, że możni w haftowanych spodniach i bluzach, jedwabnych turbanach i brokatowych butach wjeżdżają do sali konno osobnym wejściem. Mniej więcej sto pięćdziesiąt kroków od tronu pałacowi słudzy zatrzymywali każdego, odbierali od niego konia dostając za to monetę i z tego uprzywilejowanego miejsca wielmoża już na własnych nogach wraz z biedakami szedł dalej.

Potem zjawili się wśród tłumu pomniejsi urzędnicy w szarych ubraniach i turbanach i głośno jęli dopytywać o nazwiska tych, którzy przyszli z petycjami, Rob przepchnął się więc do przejścia i mozolnie jednemu z nich podyktował swoje imię. Urzędnik zapisał je na przedziwnie cienkim, niemal przezroczystym pergaminie.

Na znajdujące się w głębi sali podwyższenie, na którym stał wielki tron, wszedł wysoki mężczyzna. Rob stał zbyt daleko, by go dokładnie widzieć, lecz nie on był szachem, ponieważ usiadł na mniejszym tronie, niżej, na prawo od miejsca monarchy.

— Kto to? — zapytał Rob Żyda, z którym przedtem rozmawiał.

— To wielki wezyr, świątobliwy imam Mirza abul Kandrasa. — odparł Żyd i zaniepokojony spojrzał na Roba, nie mógł bowiem nie zauważyć, że jest jednym z tych, którzy zanoszą petycję.

Na podwyższenie wstąpił szach Ala ad-Daula, odpasł miecz i siadając na tronie, położył go w pochwie na posadzce. Wszyscy w Sali Kolumnowej wykonali ru-je zamin, a imam Kandrasa wezwał Allaha, by łaskawie wejrzał na tych, którzy przychodzą szukać sprawiedliwości u Lwa Persji.

Posłuchanie zaczęło się natychmiast. Pomimo ciszy, jaka nagle zapadła, Rob nie słyszał ani suplikantów, ani słów padających z wysokości tronu. Ilekroć jednak przemówił któryś z wielmożów, jego słowa powtarzane były głośno przez ludzi rozstawionych w strategicznych punktach sali i w ten sposób wiernie docierały do wszystkich.

Pierwsza sprawa dotyczyła dwóch ogorzałych pasterzy z Ardestanu, którzy dwa dni wędrowali do Isfahanu, by przedłożyć swój spór szachowi. Klócili się zażarcie o to, który z nich jest właścicielem nowego koźlątka. Do jednego należała matka, koza długo pozostająca jałowa. Drugi utrzymywał, że przystosował kozę do pokrycia z pożądanym skutkiem, i rościł sobie teraz prawo do koźlęcia jako współwłaściciel.

— Czy posłużyłeś się magią? — zapytał imam.

— Ekscelencjo, ja tylko wsadziłem piórko, żeby ją podbechtać—odpowiedział pasterz, tłum zaś ryknął śmiechem i zatupał. Za chwilę imam ogłosił, że szach rozstrzygnął sprawę na korzyść pastucha, który posłużył się piórkiem.

Dla większości obecnych była to rozrywka. Szach się w ogóle nie odzywał — może jakimiś znakami przekazywał swoją wolę Kandrasie, wyglądało jednak na to, że wszystkie pytania i wyroki wygłasza imam, który wyraźnie nie znosił głupców.

Z kolei surowy nauczyciel z natuszczonymi włosami i małą bródką przyciętą w idealny szpic, w strojnej haftowanej bluzie, zapewne odziedziczonej po jakimś bogaczu, przedłożył prośbę o założenie nowej szkoły w miasteczku Nain.

— Wszakże już są dwie szkoły w miasteczku Nain — rzekł surowo Kandrasa.

— To nędzne szkoły i uczą w nich niegodni ludzie, ekscelencjo — odparł gładko nauczyciel, a w tłumie podniósł się cichy szmer niezadowolenia.

Nauczyciel dalej czytał swoją prośbę: domagał się zatrudnienia dyrektora nowej szkoły stawiając mu tak wymyślne i szczegółowo określone wymagania, że w tłumie odezwały się chichoty, gdyż z opisu jasno wynikało, że tylko sam petent może im sprostać.

— Dość — przerwał mu Kandrasa. — Twoja prośba jest przewrotna, bo służy tylko tobie, a zatem stanowi obrazę szacha. Niech kalendar wymierzy temu człowiekowi dwadzieścia trzin z błogosławieństwem Allaha.

Zaraz zjawili się wymachujący pałkami żołnierze, na których widok Rob poczuł w obolałym ciele pulsowanie, i wyprowadzono nauczyciela protestującego kwiecistymi słowy.

Trochę rozbawiła zrazu wszystkich następna sprawa: dwóch starych szlacheiców w kosztownych jedwabnych szatach, poróżnionych co do przysługujących im praw wypasu. Wywołała długotrwałą, prowadzoną cichym głosem dysputę na temat dawnych umów zawartych przez ludzi od lat już nieżyjących i tak znużyła słuchaczy, że zaczęli ziewać i szeptem utyskiwać na wentylację zatłoczonej sali i ból w zmęczonych nogach. Toteż gdy wreszcie ogłoszono werdykt, nie wzbudził emocji.

— Niechaj wystąpi Jesse ben Beniamin, Żyd z Anglii! — wywołano w końcu Roba. Jego nazwisko rozniosło się echem po całej sali, powtarzane i powtarzane. Pokuśtykał wzdłuż długiego, wyłożonego dywanem przejścia, świadom swego brudnego kaftana i wystrzępionego skórzanego kapelusza pasującego jak ulał do zmaltretowanej twarzy.

Wreszcie zbliżył się dostatecznie do tronu i trzykroć wykonał ru-je zemin—wcześniej zauważył, że tak właśnie należy uczynić. Kiedy się wyprostował, ujrzał z bliska imama w czarnej szacie mułły, z nosem jak topór pośrodku butnej twarzy otoczonej szpakowatą brodą.

Szach nosił biały turban wiernego, który już odwiedził Mekkę, lecz połyskiwała na nim cienka złota korona. Odziany był w długą białą koszulę z lekkiego materiału przetykanego niebieską i złotą nicią, nogi do kolan miał owinięte granatową tkaniną, a spiczaste pantofle pokryte granatowo-krwistoczerwonym haftem. Jego twarz, zupełnie bez wyrazu, obojętna, wskazywała, że w ogóle nie interesują go przedstawiane sprawy, że jest wręcz znudzony.

— Jesteś Anglikiem — zauważył imam. — Jedynym w tej chwili u nas Europejczykiem. Po co przybywasz do Persji?

Poszukuję prawdy.

— Czy pragniesz przyjąć prawdziwą wiarę? — zapytał tonem dość uprzejmym Kandrasa.

— Nie, gdyż my już wyznajemy, że nie ma Allaha jak On, Najmiłościwszy — odpowiedział Rob, dziękując Bogu za długie godziny nauk pobieranych u Szymona ben ha-Lewiego, uczonego kupca. — Napisane jest w Koranie: „Ja nie czczę tego, co wy czcicie, ani wy nie jesteście czcicielami tego, co ja czczę... Wy macie waszą religię, a ja mam moją religię.”

Muszę się skracać, upomniał sam siebie.

Kiedy nie unosząc się ani rozwodząc opowiadał, jak w lasach zachodniej Persji skoczyła na niego pantera, odniósł wrażenie, że szach zaczął się przysłuchiwać.

— Tam, gdzie się urodziłem, nie ma panter — ciągnął. — Nie miałem broni ani nie wiedziałem, jak walczyć z taką bestią.

Opowiedział dalej, że uratował mu życie szach Ala ad-Daula polujący na dzikie koty jak jego ojciec szach Abdallah, który zabił lwa z Kaszanu. Znajdujący się najbliżej zaczęli sławić władcę, wznosząc piskliwe okrzyki, przez całą salę zaś przelatywał szmer, gdy powtarzacz podawali opowiadanie tłumom stojącym zbyt daleko od tronu, by je dosłyszeć.

Kandrasa siedział bez ruchu, lecz Rob wyczytał z jego oczu, że nie jest zadowolony ani z tego opowiadania, ani z reakcji, jaką wywołało w tłumie.

— Pośpiesz się, Angliku — ponaglił chłodno — i powiedz, jaką prośbę zanosisz do jedynego prawdziwego szacha. Rob wyrównał oddech.

— Skoro zapisane jest również, że ten, który ratuje życie, bierze za nie odpowiedzialność, proszę szacha, by mi dopomógł uczynić moje życie tak godnym, jak to możliwe—rzekł, po czym opowiedział, jak to na próżno starał się o przyjęcie do szkoły medyków Ibn Siny.

Opowieść o panterze dotarła już do najdalszych zakątków sali, która zatrzęsała się od rytmicznego grzmotu tupiących stóp. Szach niewątpliwie przywykł do tego, że wzbudza lęk i posłuszeństwo, może jednak dawno już tak spontanicznie go nie oklaskiwano. Sądząc po wyrazie twarzy, ten hałas zabrzmiał w jego uszach jak najmiłsza muzyka.

— Ha! — Jedyne prawdziwe szach pochylił się, oczy mu rozbłysły i Rob zrozumiał, że władca pamięta incydent z panterą. Jego spojrzenie przez chwilę zatrzymało się na Robie, potem zwrócił się do imama i po raz pierwszy, odkąd zaczęła się audyencja, przemówił. — Nadać Hebrajczykowi chylat — polecił.

Ludzie nie wiadomo dlaczego wybuchnęli śmiechem.

— Chodź ze mną — zwrócił się do Roba szpakowaty oficer. Niewiele lat dzieliło go od starości, ale wciąż jeszcze miał władzę i siłę. Był w płytkim hełmie z lśniącego metalu, skórzanym kaftanie na brązowej wojskowej koszuli i w sandałach z rzemykami. Świadczyły o nim jego szramy: na obu potężnych ramionach bieleły brzegi wygojonych cięć zadanych mieczem, lewe ucho miał spłaszczony, a wargi trwale wykrzywione wskutek starej klutej rany pod prawą kością policzkową. — Jestem Chuff

- oznajmił. — Dowódca Bram. Do mnie należy obowiązek zajmowania się takimi jak ty. — Wzrok jego przemknął po otartej szyi Roba i Chuff się uśmiechnął. — Karkan?

— Tak.

— Karkan to wyjątkowe paskudztwo — stwierdził z podziwem Chuff.

Wyszli z Sali Kolumnowej i ruszyli w kierunku stajni. Teraz na rozległym zielonym błoniu potykali się ze sobą jeźdźcy: galopowali na wierzchowcach potrząsając długimi pikami podobnymi do pasterskich lasek zwróconych w dół zagięciem, tyle że nikt nie spadał z konia.

— Próbują trafić jeden drugiego? — zagadnął Rob.

— Próbują trafić piłkę. To gra w piłkę i kij, zabawa jeźdźców

— wyjaśnił Chuff i spojrzał uważnie na Roba. — O wielu rzeczach nie masz pojęcia. Wiesz, co to chylat? Rob przecząco pokręcił głową.

— W dawnych czasach, gdy ktoś znajdował łaskę w oczach perskiego władcy, król zdejmował chylat, część własnego stroju, i obdarowywał go nim na dowód przychylności. Ten zwyczaj przetrwał wieki jako znak królewskiej łaski. Teraz na „strój królewski” składa się utrzymanie, przyodziewek, dom i koń.

Rob poczuł, że cały drętwieje.

— A więc jestem bogaty?

Chuff skrzywił się drwiąco, jakby rozmawiał z głupcem.

— Chylat to zawsze wyróżnienie, ale dar darowi nierówny, może być bardziej lub mniej wspaniały. Poseł narodu sprzymierzonego z Persją w czasie wojny dostaje najkosztowniejsze szaty, pałac bliski świetnością Rajskiemu Domowi i wspaniałego rumaka z uprzężą inkrustowaną drogimi kamieniami. Ale ty nie jesteś niczym posłem...

Za stajniami znajdował się olbrzymi wybieg po brzegi wypełniony falującym morzem koni. Balwierz zawsze mówił, że wybierając konia należy szukać zwierzęcia o łbie księżniczki i zadzie tłustej ladacznicy. Rob wypatrzył siwka, który dokładnie odpowiadał temu opisowi i na dodatek obdarzony był władcym spojrzeniem.

— Mogę wziąć tę kobyłę? — zapytał wskazując wybrane zwierzę.

Dowódca Bram nawet się nie trudził, by mu odpowiedzieć, że to wierzchowiec dla księcia, tylko w kpiącym uśmiechu dziwnie poruszył wykrzywionymi wargami, po czym odwiązał osiodłanego konia i dosiadłszy go, wjechał w ruchliwą masę końskich ciał. Zrećnie oddzielił od tabunu całkiem przyzwoitego, aczkolwiek pozbawionego ognia kasztanowego wałacha o krótkich, silnych nogach i mocnym kłębie. Pokazał Robowi na lewym udzie konia szerokie piętno w kształcie tulipana.

— Szach Ala jest jedynym hodowcą koni w Persji, a to jego znak. Tego konia można wymienić na innego ze znakiem tulipana, ale nie wolno go sprzedać. Gdyby zdechł, wytnij kawałek skóry z tym znakiem, a dostaniesz innego.

Prócz konia Rob otrzymał od Chuffa sakiewkę zawierającą mniej pieniędzy, niż mógłby zarobić na sprzedaży driakwi w czasie jednego przedstawienia, później zaś w pobliskim składzie Dowódca Bram dotąd szukał, aż znalazł zdatne jeszcze siodło z zapasów wojskowych. Ubranie, które dał Robowi, było równie porządne, aczkolwiek skromne: składały się na nie szerokie spodnie ściągane sznurkiem w pasie, płócienne onuce do owijania łydek poniżej przykrótkich nogawek spodni, noszone jak bandaże od kostek po kolana, luźna koszula zwana chamizą, wypuszczana na spodnie i sięgająca kolan, kaftan zwany durrą, dwa płaszcze na dwie pory roku, jeden krótki i lekki, drugi długi i podbity kozuchem, usztywniacz pod turban, zwany galansuwą, oraz brunatny turban.

— Nie macie zielonego? — zmartwił się Rob.

— Ten jest lepszy. Zielony jest z ciężkiego materiału, dla ubogich, noszą go studenci, najbiedniejsi z biednych.

— Aleja chcę zielony — nalegał Rob, tak że w końcu Chuff obdarował go tanim zielonym turbanem i wrogim spojrzeniem pełnym pogardy.

Pachołkowie o czujnych oczach przyskoczyli na skinienie dowódcy, gdy zażądał swojego konia. Okazało się, że to arab, ogier przypominający siwą klacz, która spodobała się Robowi. Z workiem wypchanym nowymi ubraniami Rob na potulnym wałachu udał się za Chuffem jak rycerz za panem przez całe miasto do Jahudii. Długo jechali wąskimi ulicami żydowskiej dzielnicy, nim wreszcie Chuff ściągnął konia przed małym domkiem ze starej ciemnoczerwonej cegły. Przy domku była też stajenka — sam dach wsparty na czterech słupach — i mały ogródek, z którego zerknęła na Roba jaszczurka znikając zaraz w szparze kamiennego muru. Cztery przerośnięte morelowe drzewka rzucały cień na krzewiące się bujnie kolczaste zarośla, od dawna nie wycinane. W domu były trzy izby, jedna z klepiskiem i dwie z posadzką z takiej samej cegły jak ściany, wydeptaną w płytkie koryta przez stopy wielu pokoleń mieszkańców. W kącie izby z klepiskiem leżała zasuszona zdechła mysz, w powietrzu unosił się nikły mdły smród rozkładu.

— To twoje — rzekł Chuff, po czym skinął głową i wyszedł.

Jeszcze nim ucichł stukot kopyt jego konia, pod Robem ugięły się kolana. Poddawszy się zmęczeniu, osunął się na klepisko, legł jak długi i zapadł w sen równie kamienny jak ta zdechła mysz.

Spał osiemnaście godzin. Obudził się zdrętwiały i obolały niby starzec o zeszywniałych stawach. Siedząc w głuchym domu, przyglądał się drobinkom kurzu w promieniach słońca, które wpadało przez otwór dymny w dachu. Budynek wymagał naprawy: w glinianym tynku na ścianach rysowały się pęknięcia, jedna z ram okiennych się sypała, ale od śmierci rodziców był to pierwszy dom naprawę jego.

W stajence, ku jego zgrozie, nowy koń stał nie napojony, nie nakarmiony i wciąż pod siodłem. Kiedy go rozsiodłał i w kapeluszu nanosił mu wody z pobliskiej publicznej studni, pośpieszył do stajni, w której zostawił muła i osła. W drodze powrotnej kupił drewniane cebrzyki, słomę z prosa i kosz owsa, które przywiózł do domu na grzbiecie osła.

Obrządziwszy zwierzęta, wziął nowe ubranie i wybrał się do publicznej łaźni, najpierw

jednak wstąpił do gospody Salmana Mniejszego.

— Przychodzę po swoje rzeczy — oznajmił staremu karczmarzowi.

— Przechowałem je, choć już was oplakałem, jak dwie noce minęły, a wyście nie wracali. — Salman przyjrzał mu się trwożliwie. — Mówią o obcym zimmim, europejskim Żydzie, który poszedł na posłuchanie i dostał od szacha Persji chylat. — Kiedy Rob twierdząco skinął głową, Salman upewnił się szeptem: — To naprawdę wy?

Rob ciężko usiadł.

— Odkąd wyście mnie nakarmili, nic nie jadłem.

Salman nie tracąc czasu postawił przed nim jedzenie. Rob ostrożnie spróbował, niepewny, jak jego żołądek przyjmie chleb i kozie mleko, a potem nie czując nic poza straszliwym głodem pozwolił sobie na zjedzenie czterech gotowanych jajek z dużą ilością chleba, małego twardego serka i miski pilawu. Powoli zaczął odzyskiwać siły.

Później długo płał w łazni odmaczając rany. Kiedy po kąpieli włożył nowe ubranie, poczuł się jak obcy, choć nie tak obcy jak wtedy, gdy pierwszy raz wdział żydowski kaftan. Z trudem wprowadził, ale jakoś poradził sobie z owijaczami, natomiast zawinięcie turbanu przerosło jego możliwości, na razie więc pozostał w żydowskim kapeluszu.

Po powrocie do domu pozbył się zdechłej myszy i ocenił swoją sytuację. Miał zapewniony względny dostatek, lecz nie o to prosił przecież szacha, toteż czuł mglisty niepokój, który przerwało wkrótce przybycie Chuffa. Dowódca Bram, z równie zgryźliwym jak poprzedniego dnia wyrazem twarzy, rozwinął cienki niczym błonka pergamin i odczytał na głos:

„W imię Allaha

Edykt władcy świata, pana najwyższego, nie mającego równych w swym majestacie, najwyższego w godnościach, niewzruszonej opoki królestwa doskonałego, szlachetnego i wielkodusznego, Lwa Persji i najpotężniejszego pana w całym świecie. Do wiadomości gubernatora, administratora i innych królewskich urzędników miasta Isfahan, stolicy monarchii i ośrodka nauki i medycyny. Czynimy im wiadomym, że Żyd Jesse syn Beniamina, balwierz z miasta Leeds w Europie, przybył do naszego królestwa, najrzadniejszego na całej ziemi i znanego wszem wobec schronienia uciśnionych, gdzie miał możliwość i zaszczyt stawić się przed obliczem najwyższego i pokorną prośbą ubłagać pomoc wiernego namiestnika prawdziwego Proroka, który jest w Raju, a mianowicie naszego Najwyższego Władcy. Podaje się do ich wiadomości, że Jesse syn Beniamina z Leeds cieszy się królewską łaską i życzliwością i niniejszym edyktem zostają mu przyznane królewskie szaty oraz zaszczyty i nadania, a zatem wszyscy winni są mu okazywać należyty szacunek. Niechaj też wszyscy wiedzą, że edykt ten obwarowany jest surowymi karami i nikt nie może mu uchybić pod karą najwyższą. Dań trzeciego pandz szanbe, miesiąca radżab w imieniu Najwyższego ręką Jego pielgrzyma do najczcigodniejszych miejsc świętych, wodza oraz nadzorcy Pałacu Kobiet Najwyższego, imama Mirzy abul Kandraszy, wezyra. Niechaj wam zbroją będzie pomoc Boga Najwyższego we wszystkich doczesnych sprawach."

— A co ze szkołą? — zapytał ochryplym głosem Rob, nie mogąc się powstrzymać.

— Szkołą się nie zajmuję — rzekł Dowódca Bram i odjechał z takim samym pośpiechem, z jakim przybył.

Niedługo potem dwóch krzepkich tragarzy przyniosło pod drzwi Roba lektykę z hadżim Dawudem Hoseinem i pewną ilością fig na szczęście w nowym domu. Usiedli na ziemi wśród mrówek i pszczoł w pozostałości dawnego sadu morelowego i jedli razem figi.

— Te drzewka morelowe nadal są znakomite — zauważył hadzi, krytycznie im się przyglądając, po czym wdał się w rozwlekłe wyjaśnienia, jak można je odchuchać, podlewać i nawozić końskim łajnem. Długo tak się rozwodził, wreszcie zamilkł.

— Coś jeszcze? — mruknął Rob.

— Mam honor przekazać ci pozdrowienia od czcigodnego Abu Alego al-Husajna ibn Abdullaha Ibn Siny.

Hadzi pocił się i był taki blady, że zabiba wyraźnie się odcinała od jego czoła. Rob poczuł dla niego litość, nie tak wielką jednak, by pomniejszyła słodsza i silniejsza od oszołamiającego zapachu maleńkich morelek, którymi była zasiana ziemia pod drzewami, szczególną radość tej chwili, gdy Hosein przekazywał Jessemu synowi Beniamina zaproszenie do madrasy, gdzie studiując medycynę może z czasem zostać medykiem.

# **Część czwarta**

## **Maristan**

## Ibn Sina

Pierwszy poranek Roba J. Cole'a jako studenta wstał upalny, zapowiadając ciężki dzień. Rob ubrał się starannie w nowe szaty, stwierdził jednak, że za gorąco jest na owijacze. Bez powodzenia zmagał się z zielonym turbanem nie mogąc dojść tajników sztuki zawijania go na głowie, aż w końcu dał miedziaka napotkanemu ulicznikowi i ten mu pokazał, jak się szczelnie okręca materiałem galansuwę, a potem gładko go podwija. Chuff miał wszakże słuszną, kiedy go ostrzegał, że ten tani materiał jest ciężki. Zielony turban ważył chyba ze cztery kamienie, tak że w końcu Rob zdjął zbędny ciężar z głowy i z prawdziwą ulgą włożył skórzany żydowski kapelusz.

Przez ten kapelusz natychmiast go rozpoznano, kiedy się zjawił przy Wielkim Cycu, w którego pobliżu stała zatopiona w rozmowie grupka młodych ludzi w zielonych turbanach.

— Idzie twój Żyd, Karim! — zawołał jeden ze studentów.

Podniósł się siedzący na schodach mężczyzna, a Rob podszedłszy bliżej, poznał w nim przystojnego studenta, który karmił pielęgniarza podczas jego pierwszej wizyty w szpitalu.

— Jestem Karim Harun. A ty jesteś Jesse ben Beniamin.

— Tak.

— Hadzi wyznaczył mnie, żebym cię oprowadził po szkole i szpitalu i zaspokoił twoją ciekawość.

— Jeszcze pożałujesz, żeś nie został w karkanie, Hebrajczyku! — zawołał któryś student i pozostali wybuchli śmiechem.

Rob się uśmiechnął.

— Nie sędzę — powiedział. Widać było, że cała szkoła już słyszała o europejskim Żydzie, który się dostał do więzienia, a potem wskutek interwencji szacha uzyskał wstęp do szkoły dla medyków.

Zaczęli od maristanu, lecz Karim szedł o wiele za szybko, jak kapryśny i niedbały przewodnik, który nie skrywa, że chciałby spełnić niemiłe zadanie jak najprędzej. Mimo to Rob zdołał się dowiedzieć, że szpital ma część męską i żeńską. Mężczyzn obsługują pielęgniarze, a kobiety wyłącznie pielęgniarki. Zbliżyć się do kobiet mogą tylko medycy i mężowie chorych.

Chirurgia zajmowała dwie sale i podłużną komnatę o niskim stropie zastawioną półkami ze starannie opisanymi słoikami i flaszeczkami.

— To jest chazanat asz-szarat, „skarbiec leków”—objaśnił Karim. — W poniedziałki i czwartki medycy prowadzą zajęcia kliniczne w szkole. Po zbadaniu i opatrzeniu chorych aptekarze sporządzają zapisane leki. Aptekarze maristanu są nad wyraz dokładni i uczciwi. Większość aptekarzy w mieście to nędznicy, którzy ci sprzedadzą flaszkę szczyń przysięgając, że to różana woda.

W szkolnym budynku obok Karim pokazał Robowi sale egzaminacyjne, wykładowe i laboratoryjne, kuchnię i jadalnię oraz wielką łaźnię dla wykładowców i studentów.

— Mamy czterdziestu ośmiu medyków i chirurgów, ale nie wszyscy są wykładowcami. Łącznie z tobą jest dwudziestu siedmiu studentów medycyny. Każdy odbywa praktykę u wielu medyków. Różnie trwają te praktyki, dla jednych dłużej, dla innych krócej, tak samo zresztą jak cała nauka. Zostajesz kandydatem do ustnego egzaminu, kiedy to przekłete ciało profesorskie uzna, żeś gotów. Jak zdasz, tytułują cię hakimem, a jak nie, dalej jesteś studentem i starasz się o drugą szansę.

— Jak długo ty tu jesteś?



Karim spojrział na niego z wściekłością i Rob zrozumiał, że zadał niestosowne pytanie.

— Siedem lat. Dwa razy stawałem do egzaminów. W zeszłym roku przepadłem z filozofii. Drugi raz próbowałem trzy tygodnie temu i kiepsko odpowiedziałem z prawa. Co mnie obchodzi historia logiki albo sądowe precedensy? Jestem już dobrym lekarzem. — Westchnął z goryczą. — Oprócz nauki medycyny musisz słuchać wykładów z prawa, teologii i filozofii.

Wolno ci wybrać dowolny kurs. Najlepiej trzymać się tych samych wykładowców — zdradził utyskliwie — bo jak cię już znają, prędzej okażą ci miłosierdzie podczas ustnego egzaminu... Każdy w madrasie — ciągnął — musi chodzić na ranne wykłady z wszystkich przedmiotów, za to po południu studenci prawa przygotowują streszczenia spraw albo bywają w sądach, przyszli teologowie biegną do meczetów, filozofowie czytają lub piszą, a studenci medycyny pomagają w szpitalu. Medycy odwiedzają szpital po południu, a studenci trzymają się tych, którzy pozwalają badać pacjentów i proponować rodzaj kuracji. Medycy zadają tysiące pouczających pytań. To wspaniała okazja, żeby się czegoś nauczyć albo — uśmiechnął się kwaśno — zrobić z siebie kompletnego błazna.

Rob przyjrzał się jego przystojnej niezadowolonej twarzy. Siedem lat, pomyślał tępo, i nadal żadnych pewnych widoków na przyszłość. A Karim na pewno przystąpił do studiowania medycyny dużo lepiej przygotowany niż on, który ledwie liźnął podstawowej wiedzy!

Jednakże obawy i złe przeczucia zniknęły, gdy weszli do biblioteki, zwanej Domem Mądrości. Nigdy by mu do głowy nie przyszło, że w jednym miejscu może być tyle książek. Niektóre manuskrypty zostały spisane na welinie ze skór zwierzęcych, ale większość książek była z tego samego lżejszego i cieńszego materiału co jego kalat.

— Persja ma słaby pergamin — zauważył. Karim parsknął pogardliwie.

— Wcale nie ma pergaminu. To się nazywa papier i jest wynalazkiem skośnookich ludzi Wschodu, bardzo zmyślnych niewiernych. Nie macie w Europie papieru?

— Nigdy go tam nie widziałem.

— Papier to nic innego jak stare szmaty zmielone i sklezione zwierzęcym klejem, a potem sprasowane. Jest niedrogi, nawet student może sobie na niego pozwolić.

Widok Domu Mądrości oszołomił Roba bardziej niż wszystko, co dotychczas udało mu się zobaczyć. Obszedł powoli salę dotykając książek i oglądając nazwiska autorów, z których znał tylko parę.

Hipokrates, Dioskurides, Ardegenes, Rufus z Efezu, nieśmiertelny Galen... Orybazjusz, Filagriusz, Aleksander z Tralles, Paweł z Eginu...

— Ile jest tu książek?

— Madrasa ma prawie sto tysięcy tomów — odpowiedział z dumą Karim. Uśmiechnął się, widząc niedowierzanie w oczach Roba. — Większość została przełożona na perski w Bagdadzie. Uniwersytet w Bagdadzie prowadzi szkołę tłumaczy, gdzie się przepisuje na papierze książki we wszystkich językach Wschodniego Kalifatu. Bagdad ma olbrzymi uniwersytet z sześciuset tysiącami tomów w bibliotece i ponad sześciu tysiącami studentów i sławnych nauczycieli. Ale brakuje im jednego, co posiada nasza madrasa.

— Czego? — zapytał Rob, a starszy student podprowadził go do ściany Domu Mądrości, którą zajmowały dzieła jednego tylko autora.

— Jego — rzekł Karim.

Tego dnia po południu Rob zobaczył w madrasie człowieka nazwanego przez Persów „Pierwszym z Książąt”. Ibn Sina zrazu mocno go rozczarował. Jego czerwony turban medyka był wypłowiały, zawinięty niedbale, a durra nędzna i pospolita. Niski i łysiejący, miał bulwiasty sino pożyczowany nos i pod siwą brodą zaczątek podbródka. Wyglądał jak każdy

starzejący się Pers, dopóki Rob nie zobaczył jego przenikliwych brązowych oczu, smutnych i spostrzegawczych, surowych i dziwnie żywych. Zaraz też pojął, że Ibn Sina widzi rzeczy niewidoczne dla zwykłych ludzi.

Rob znalazł się wśród siedmiu studentów, którzy wraz z czterema medykami postępowali za Ibn Siną, kiedy obchodził szpital. Tego dnia „Pierwszy z Książąt” zatrzymał się przy łóżku zasuszonego mężczyzny o wychudzonych członkach.

— Kto ze studentów opiekuje się tym oddziałem? — zapytał.

— Ja, panie, Mirdin Askari.

Więc to jest kuzyn Arij, pomyślał Rob i z ciekawością popatrzył na smagłego młodego Żyda, którego twarzy wydłużona szczeka i szerokie białe zęby nadawały swojski, miły wyraz inteligentnego konia.

Ibn Sina wskazał ruchem głowy pacjenta.

— Co o nim powiesz, Askari?

— To Amahl Rabin, poganiacz wielbłądów. Przybył do szpitala trzy tygodnie temu z silnym bólem w dolnej części kręgosłupa. Najpierw przypuszczaliśmy, że po pijanemu uderzył się w kręgosłup, ale ból rozszerzył się szybko na prawe jądro i udo.

— Co z moczem? — wypytywał Ibn Sina.

— Przez pierwsze dwa dni był klarowny, jasnożółty. Rano trzeciego dnia pokazała się w nim krew i tego dnia po południu pacjent wydalil sześć kamieni moczowych: cztery jak ziarnka piasku, dwa wielkości małego groszku. Od tej pory nie ma już bólów i mocz jest klarowny, tylko chory nie przyjmuje pokarmów.

Ibn Sina zmarszczył czoło.

— Co mu podawano?

Student zrobił zakłopotaną minę.

— Zwykle rzeczy. Różne rodzaje pilawu, kurze jaja, ia nę, cebulę, chleb... Niczego nie tknął. Wypróżnienia ustały, tętno słabnie i chory staje się coraz słabszy.

Ibn Sina skinął głową i popatrzył po otaczających słuchaczach.

— A zatem co mu dolega?

— Ja myślę, panie—zebrał się na odwagę inny student—że skreśliły mu się wnętrzności i nie przepuszczają pożywienia. Chory to czuje i dlatego nic nie bierze do ust.

— Dziękuję ci, Fazilu ibn Parwizie — rzekł uprzejmie Sina. — Tylko że przy takiej dolegliwości pacjent je, a potem wszystko zwraca... — Odczekał chwilę, kiedy zaś nikt więcej nie zgłosił żadnych uwag, podszedł do człowieka na posłaniu.

— Amahlu — powiedział — jestem Husajn, medyk, syn Abdullaha, syna Al-Hasana, syna Alego, który był synem Siny. Ci tutaj to moi przyjaciele i staną się twoimi przyjaciółmi. Skąd jesteś?

— Ze wsi Szaini, panie — wyszeptał chory. — O, z Farsu! Spędziłem szczęśliwe dni w Farsie. Daktyle z oazy w Szaini są wielkie i słodkie, czyż nie tak?

W oczach Amahla zebrały się łzy, niemo skinął głową.

— Askari, idź zaraz i przynieś naszemu przyjacielowi daktyli i miseczkę ciepłego mleka.

Po chwili chory dostał daktyle i mleko i medycy wraz ze studentami patrzyli, jak łapczywie zabiera się do owoców.

— Powoli, Amahlu. Powoli, przyjacielu — ostrzegł go Ibn Sina. — Askari, dopilnujesz, żeby naszemu przyjacielowi zmieniono dietę.

— Tak, panie — powiedział Żyd, gdy odchodzili.

— Trzeba pamiętać o diecie ludzi, którzy są pod naszą opieką—tłumaczył Ibn Sina.— Przychodzą do nas, ale nie stają się nami, a bardzo często nie jadają tego co my. Lwy nie

lubią siana, mimo że odwiedzają bydło... Mieszkańcy pustyni żywią się głównie zsiadłym mlekiem i innymi jego przetworami. Mieszkańcy Dar ul-Maraz jedzą ryż i kasze. Choraszańcy nie chcą niczego prócz zupy zagęszczonej mąką. Hindusi żywią się grochem i innymi roślinami strączkowymi, oliwą i ostrymi przyprawami, ludzie z Transoksanii zaś głównie daktylami. Beduini przywykli do mięsa, mleka wielbłądziego i szarańczy. Ludzie z Gurganu, Ormianie i Europejczycy zwykli pić alkohol przy jedzeniu, a ich pożywieniem jest mięso krów i świń. — Ibn Sina zerknął na zgromadzonych wokół siebie mężczyzn. — Zmuszamy ich do różnych rzeczy, moi młodzi panowie, często nie potrafimy chorego uratować, a czasami nasze leczenie zabija. Nie trzymajmy ich więc przynajmniej o głodzie.

„Pierwszy z Książąt” zostawił studentów i odszedł założywszy ręce za plecy.

Na drugi dzień rano w niewielkim amfiteatrze ze wznoszącymi się rzędami kamiennych ław Rob wysłuchał pierwszego wykładu w madrasie. Zdenerwowany przyszedł za wcześnie i siedział już samotnie w czwartym rzędzie, gdy weszło razem kilku studentów.

Z początku nie zwrócili na niego uwagi. Z ich rozmowy wyraźnie wynikało, że jeden z nich, Fazil ibn Parwiz, został powiadomiony o terminie egzaminu na medyka, co koledzy przywitani płynącymi z zazdrości kpunami.

— Został ci tylko tydzień do egzaminu? — zagadnął niski, tęgi student. — Coś mi się zdaje, że posrasz się ze strachu!

— Zamknij tę tłustą gębę, Abbasie Safi, żydowski nochalu, chrześcijański fajfusie! Ty się nie musisz bać egzaminu, bo chyba dłużej na niego czekasz niż Karim Harun — odciął się Fazil i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Salam, a to co? — zdumiał się Fazil, teraz dopiero zauważywszy Roba. — Jak się nazywasz, zimmi?

— Jesse ben Benjamin.

— Ach, ten, co się wślawił więzieniem! Żydowski balwierz z kalatem szacha... Przekonasz się, że aby zostać medykiem, trzeba czegoś więcej niż dekret władcy.

Sala się zappełniała. Kiedy po kamiennych stopniach zaczął się wspinać do wolnego miejsca Mirdin Askari, Fazil zawołał do niego:

— Hej, Askari! Przybył jeszcze jeden Hebrajczyk, kandydat na pijawkę! Wkrótce będzie was więcej od nas.

Askari popatrzył na nich chłodno, ignorując Fazila jak dokuczliwego owada.

Dalsze uwagi ucięło przybycie wykładowcy, nauczyciela filozofii z zatroskaną twarzą, Sajjeda Sa'diego.

Rob szybko poznał smak tego, co osiągnął walcząc o miejsce studenta medycyny, Sajjed bowiem rozejrzał się po audytorium, a dostrzegłszy nie znaną twarz, zagadnął:

— Ty, zimmi, jak się nazywasz?

— Jesse ben Benjamin, panie.

— A więc, Jesse ben Benjaminie, powiedz nam, jak Arystoteles określa związek ciała z duchem. Rob pokręcił głową.

— Mówi o tym w swojej księdze „O duszy”—niecierpliwie • podsunął wykładowca.

— Nie znam księgi „O duszy”. Nigdy nie czytałem Arystotelesa.

Sajjed Sa'di popatrzył na niego z troską.

— Musisz natychmiast ją przeczytać — powiedział.

Rob niewiele zrozumiał z tego, o czym w swoim wykładzie mówił Sajjed Sa'di. Gdy wykład się skończył i amfiteatr opustoszał, podszedł do Minima Askariego.

— Przynoszę ci najlepsze pozdrowienia od trzech ziomków z Maskatu, reba Lonzana ben Ezry, reba Loeba ben Kohena i twojego kuzyna, reba Ariji Askariego.

— O... Mieli udaną podróż?

— Mam nadzieję, że tak. Mirdin skinął głową.

— To się cieszę. Słyszę, że jesteś Żydem z Europy. I jak? Pewnie się czujesz obco w Isfahanie? Pociesz się, że większość z nas przybywa tu z innych stron.

Objął Roba, że wśród studiujących medycynę jest czternastu muzułmanów z krajów Wschodniego Kalifatu, siedmiu muzułmanów z Zachodniego Kalifatu i pięciu Żydów ze Wschodu.

— A więc jestem raptem szóstym Żydem! Po tym, co mówił Fazil ibn Parwiz, myślałem, że jest nas dużo więcej.

— Och, Fazil! Dla Fazila i jednego Żyda byłoby za dużo. To isfahańczyk. Isfahańczycy uważają, że Persja to jedyny cywilizowany kraj, a islam jedyna religia. Kiedy muzułmanie sobie wymyślają, wyzywają się od żydów albo chrześcijan. A jak są w dobrym humorze, uznają za szczyt dowcipu nazwać innego muzułmanina zimim!

Rob pokiwał głową wspomniawszy, że kiedy szach nazwał go Hebrajczykiem, ludzie wybuchnęli śmiechem.

— Złości cię to?

— Zmusza mnie do takiej harówki, że mózg i dupa mi drętwieją. Wszystko po to, żebym mógł się uśmieć zostawiając daleko w tyle muzułmańskich studentów madrasy. — Przyjrzał się z ciekawością Robowi. — Podobno jesteś balwierzem. To prawda?

— Prawda.

— Nie chwaliłbym się tym — poradził ostrożnie Mirdin. Perscy medycy uważają balwierzy za...

— Wydrwigroszy?

— Nie patrzą na nich przychylnie.

— Nie dbam o to, na co patrzą przychylnie. Nie przepraszam, że jestem, kim jestem.

Wydało mu się, że dojrzał w oczach Mirdina błysk aprobaty, Ale jeśli tak było, błysk ten szybko zgasł.

— I nie musisz—powiedział Mirdin. Skinął chłodno głową i wyszedł z amfiteatru.

Na wykładzie z teologii muzułmańskiej, wygłoszonym przez tłustego mułłę nazwiskiem Abul Bakr, Rob czuł się odrobinę pewniej niż na filozofii. Koran dzielił się na sto czternaście rozdziałów zwanych surami, różniących się pod względem długości, liczyły bowiem od paru do kilkuset wersetów, i Rob ku swemu przerażeniu dowiedział się, że nie ukończy madrasy, póki ważniejszych sur nie nauczy się na pamięć.

W czasie następnego wykładu, wygłaszanego przez mistrza chirurgii, Abu Ubajda al-Dżuzdzaniego, polecono Robowi przeczytać dziesięć traktatów o oku" Humajna. Al-Dżuzdzani był niewysoki, smagły i budził lęk, miał wszechwidzące spojrzenie i usposobienie dopiero co zbudzonego niedźwiedzia. Robowi przybywało zadawanych lektur, co trochę ostudziło jego zapał, niemniej wykład al-Dżuzdzaniego o zmętnieniu pokrywającym oczy tylu ludzi i pozbawiającym ich wzroku ogromnie go zaciekał.

— Uważa się, że tego rodzaju ślepotę powoduje przelanie się zepsutej wydzieliny do oka — mówił al-Dżuzdzani. — Dlatego właśnie dawni perscy medycy nazwali tę chorobę nazul i-ah, „zejście wody”, co w języku pospólstwa zmieniło się w chorobę wodospadową, czyli kataraktę.

Mówił dalej, że katarakta najczęściej się zaczyna jako małe punkciki w soczewce oka, prawie nie zakłócający widzenia, ale stopniowo się rozszerza, aż cała soczewka staje się mlecznobiała powodując ślepotę.

Następnie al-Dżuzdzani na zdechłym kocie zademonstrował, jak zdejmuje się kataraktę,

po czym jego pomocnicy rozdali studentom trupy zwierząt, by mogli spróbować tego zabiegu na psach, kotach, a nawet kurach. Robowi dostał się morengowaty kundel o martwym spojrzeniu i pysku zastygłym z wyszczerzonymi kłami, bez przednich łap. Ręce mu się trzęsły i właściwie nie miał pojęcia, co robić, ale odwagi dodawało mu wspomnienie Merlina, który uwolnił Edgara Thorpe'a od ślepoty, ponieważ pobierał nauki w tej szkole, może nawet w tej samej sali.

Nagle al-Dżuzdżani pochylił się nad nim i przyjrzał oku zdechłego psa.

— Dotknij igłą miejsca, w którym masz zamiar zdejmować, i zaznacz je — powiedział ostro. — Potem przesunij czubek igły w stronę zewnętrznego kącika oka i podważ lekko nad źrenicą. To sprawi, że katarakta zejdzie pod nią. Jeżeli operujesz prawe oko, igłę trzymasz w lewej dłoni i na odwrót.

Rob posłuchał tych wskazówek, cały czas myśląc o mężczyznach i kobietach, którzy przez tyle lat przychodzili za zasłonę jego wozu ze zmętniałymi oczami i dla których nic nie mógł uczynić.

Do diabła z Arystotelesem i Koranem! To dla tego przybyłem do Persji, powiedział sobie z uniesieniem.

Tego dnia po południu znalazł się w grupie uczniów podążających za al-Dżuzdżanim przez maristan jak akolici za biskupem. Al-Dżuzdżani obchodził pacjentów, uczył, wygłaszał swoje uwagi i przepytывał studentów zdejmując szwy i zmieniając opatrunki. Rob sam zobaczył, jakim jest zręcznym i wszechstronnym chirurgiem. Jego szpitalni pacjenci przychodzili do siebie po operacjach zdejmowania katarakty, jeden po amputacji zmiażdżonej ręki, inni po wycięciu guzów, obrzezaniu, pewien chłopiec po zeszyciu rany w policzku przebitym ostrym kijem.

Gdy al-Dżuzdżani skończył, Rob jeszcze raz przeszedł się po szpitalu, tym razem za hakimem Dżalalem ul-Dinem, składaczem kości, którego pacjenci tkwili unieruchomieni w skomplikowanych rusztowaniach rozciągaczy, ściskaczy, lin i szyn, budzących w Robię niewysłowiony podziw. Czekał nerwowo, czy nie zostanie wywołany do odpowiedzi, ale ani jeden, ani drugi lekarz nie zauważył jego obecności. Gdy Dżalal skończył obchód, Rob pomógł pielęgniarzom nakarmić pacjentów i uprzątnąć resztki.

Po skończonej pracy w szpitalu udał się na poszukiwanie książek. Egzemplarzy Koranu znalazł w bibliotece madrasy aż w nadmiarze, wyszukał też księgę „O duszy”, natomiast jedyny egzemplarz „Dziesięciu traktatów o oku” Humajna, jak się dowiedział, wziął już kto inny, a przed nim pytało o tę księgę jeszcze kilku studentów.

Domem Mądrości opiekował się uprzejmy Jusuf ul-Gamal, kaligraf trudzący się w wolnych chwilach sporządzaniem dodatkowych egzemplarzy ksiąg sprowadzanych z Bagdadu.

— Za długo zwlekałeś. Teraz upłynie wiele tygodni, nim dostaniesz „Dziesięć traktatów o oku” — powiedział. — Jak wykładowca poleca przeczytanie jakiejś książki, natychmiast musisz biec do mnie, inaczej koledzy cię uprzedzą.

Rob ze znużeniem kiwnął głową. Zabrał dwie książki, a po drodze wstąpił na żydowski targ, by kupić lampę i oliwę. Trafił na stragan chudej szarookiej kobiety z mocno zarysowaną szczęką.

— Ty jesteś tym Europejczykiem?

— Ja. Rozpromieniła się.

— Tośmy sąsiedzi. Ja jestem Hinda, żona Wysokiego Isaka.

Mieszkamy trzy domy od ciebie na północ. Musisz nas odwiedzić.

Podziękował i uśmiechnął się, doznawszy niejakiej pociechy.

— Policzę ci jak najtaniej, po cenie specjalnej dla Żyda, co wyłudził chylat od takiego

władcy!

W gospodzie Salmana Mniejszego zatrzymał się na pilaw, ale zmieształ się, gdy Salman podprowadził do niego dwóch sąsiadów, aby poznali Żyda, który uzyskał chylat. Byli to krzepcy młodzi ludzie, z zawodu kamieniarze, Chofni i Szemuel b'nai Chiwi, synowie wdowy Netki Akuszerki, która mieszkała na końcu jego ulicy. Bracia pokleпали go po plecach, powitali serdecznie i chcieli poczęstować winem.

— Opowiedz o kalacie! Opowiedz o Europie! — zawołał Chofni.

Kusiło go ich towarzystwo, lecz uciekł do samotni swego domu. Po obrządzeniu zwierząt zasiadł w ogrodzie do arystotelesa, który okazał się trudny. W dodatku wciąż nie rozumiał wielu słów — czuł się przygnębiony własną niewiedzą.

Gdy zapadł zmrok, przeniósł się do domu, zapalił lampkę i zabrał się do czytania Koranu. Wiedział, że sury są ułożone według długości, od najdłuższych do najkrótszych, ale które są najważniejsze, których musi nauczyć się na pamięć? Nie miał pojęcia. I jeszcze te wstępne uwagi... Czy i one są ważne?

Wpadł w rozpacz, wiedział jednak, że od czegoś musi zacząć, „W imię boga Miłosiernego, Litościwego, On stworzył wszystko łącznie z człowiekiem...” Czytał te wersety raz po raz, lecz nim zapamiętał parę linijek, ciężko opadły mu powieki. W ubraniu „! tak jak stał, zapadł w głęboki sen na oświetlonej lampą podłodze, niczym człowiek szukający ucieczki od przykrej, pełnej trosk rzeczywistości.

## Zaproszenie

Co rano budził go wschód słońca, które zapalało się złoto w wąskim oknie izby, odbite od dachówek dziwnie pochyłonych domów dzielnicy Jahudija. O świcie pojawiali się na ulicy ludzie: mężczyźni szli na poranne modły do synagog, kobiety śpieszyły do straganów na targu albo na wczesne zakupy, by zdobyć najlepszy towar.

Po sąsiedzku na północ od niego mieszkał szewc Jakub ben Raszi, jego żona Naomi i córka Lea. W domu od południa żył piekarz nazwiskiem Micah Halew z żoną Judytą i trójką małych córeczek. Rob ledwie od paru dni mieszkał w dzielnicy żydowskiej, a już Micah przysłał do niego Judytę z okrągłym płaskim chlebem na śniadanie, jeszcze ciepłym i chrupkim, prosto z pieca. Gdziekolwiek się obrócił w Jahudii, każdy znajdował miłe słowo dla przybyłego z dalekiego kraju Żyda, który uzyskał chylat.

Mniej popularny był w madrasie, gdzie muzułmańscy studenci nigdy nie zwracali się do niego po imieniu, nie kryjąc, że sprawia im przyjemność nazywanie go zimmim, i nawet Żydzi wołali nań „Europejczyk”.

Mimo że jego balwierskie doświadczenie na nikiem nie wywierało wrażenia, przydawało się w maristanie, gdzie w ciągu trzech dni dowiódł, iż potrafi opatrywać rany, puszczać krew i nastawiać proste złamania z nie mniejszą wprawą niż absolwenci szkoły. Dzięki temu zwolniono go z obowiązku sprzątania resztek i powierzano zadania ściślej związane z opieką nad chorymi, toteż jego życie stało się znośniejsze.

Spytał Abula Bakra, które ze stu czterestu sur Koranu są najważniejsze, lecz nie udało mu się uzyskać odpowiedzi.

Wszystkie są tak samo ważne — oświadczył otyły mułła.

Dla jednego badacza ważniejsze są te, dla drugiego inne...

— Ależ ja nie zdam egzaminów, póki się nie nauczę na pamięć najważniejszych sur! Skądże mam wiedzieć, które to są, jeśli mi nie powiecie?

— Ha! — rzekł na to wykładowca teologii — musisz studiować Koran, a Allah, niech będzie pochwalony! objawi ci, które powinieneś zapamiętać.

Zaczynał mu już ciążyć ten cały Mahomet i śledzące zewsząd oczy Allaha. W szkole nie było ucieczki przed wszechobecną religią. Na każdym wykładzie siedział mułła pilnujący, aby Allah, wielki i potężny! nie doznał jakiej obrazę.

Pierwsze zajęcia z Ibn Siną miał Rob z anatomii: przeprowadzili sekcję świni, zwierzęcia, którego muzułmanom nie wolno było spożywać, mogli je natomiast wykorzystywać do badań.

— Świnia jest wyjątkowo dobrym przedmiotem badań anatomicznych, gdyż wewnętrzne organy ma takie same jak człowiek—mówił Ibn Sina zręcznie oddzielając skórę. Okazało się, że zwierzę ma mnóstwo guzów. — Te gładkie narośle teoretycznie nie powinny czynić szkody, ale niektóre powiększyły się tak szybko... zobaczcie na przykład te — ciągnął, nachylając ciężkie świńskie cielsko, by lepiej widzieli. — Grudki ciała narosły na siebie jak cząstki kalafiora. Kalafiorowate nowotwory są nieuleczalne.

— Czy występują u ludzi? — zapytał Rob.

— Nie wiemy.

— Nie moglibyśmy ich poszukać?

Wszyscy zamilkli — studenci z pogardy dla obcokrajowca i niewiernego, asystujący wykładowcy z ostrożności. Mułła, który zaszlachtował świnię, uniósł głowę nad

modlitewnika.

— Napisane jest — powiedział ostrożnie Ibn Sina — że umarli powstaną i Prorok, niechaj mu Bóg błogosławi! powita ich w nowym życiu. W oczekiwaniu na ten dzień nie wolno okaleczać ciała.

Po chwili Rob skinął głową. Mułła powrócił do modlitw, a Ibn Sina podjął lekcję anatomii.

Tego dnia po południu hakim Fazil ibn Parwiz chodził po madrasie w czerwonym turbanie medyka przyjmując gratulacje od studentów medycyny, ponieważ zdał egzamin. Rob nie miał powodu go lubić, mimo to czuł podniecenie i radość, gdyż czyjeś powodzenie podsycalo w nim nadzieję, że kiedyś może i jemu się poszczęści.

W tym dniu obchodu pacjentów dokonywali Fazil i al-Dżuzdzani, a Rob postępował za nimi wraz z czterema innymi studentami: Abbasem Safim, Omarem Nehawendem, Sulejmanem al-Gamalem i Sabitem ibn Kurra. W ostatniej chwili do al-Dżuzdzanego i Fazila przyłączył się Ibn Sina i Rob wyczuł, że wszystkich ogarnia nerwowe podniecenie, które zawsze wzbudzała obecność Pierwszego Medyka.

Znalazłszy się w sali chorych z nowotworami, przystanęli w pewnej odległości od pierwszego z brzegu posłania. Leżał na nim bez ruchu człowiek o zapadłych oczach.

— Jesse ben Beniaminie, opowiedz nam o tym pacjencie

— polecił al-Dżuzdzani.

— To Izmail Gazali. Nie zna swojego wieku, ale mówi, że urodził się w Chno w czasie wielkiej wiosennej powodzi. Słyszałem, że zdarzyła się ona trzydzieści cztery lata temu — wyrecytował Rob, al-Dżuzdzani zaś kiwnął głową z apróbatą. — Ma guzy na szyi, pod pachami i w pachwinie, sprawiają mu wielki ból. Jego ojciec zmarł od podobnej choroby, kiedy Izmail Gazali był małym chłopcem. Cierpi straszliwie przy oddawaniu moczu, który jest ciemnożółty, z wydzielinami podobnymi do czerwonych nici. Nie może zjeść więcej jak parę łyżek kleiku bez wymiotowania, dostaje więc potrawy lekko strawne i tak często, jak zdoła je przyjąć.

— Czy puszczałeś mu dziś krew? — zapytał al-Dżuzdzani.

— Nie, hakimie.

— Dlaczego?

Rob może by się nie zdradził, gdyby nie myślał o tamtej świni i nie zastanawiał się, czy ciało Izmaila Gazalego również zżerają kalafiorowate narośle.

— Nie trzeba mu już zadawać bólu. Nim noc zapadnie, umrze.

Al-Dżuzdzani szeroko otworzył oczy.

— Dlaczego tak uważasz? — zapytał Ibn Sina. Wszyscy wpatrywali się w Roba, który miał jednak dość rozsądku, by tego nie wyjaśniać.

— Wiem — powiedział wreszcie.

Fazil, zapomniawszy o swej nowo nabytej godności, zachichotał, twarz al-Dżuzdzanego poczerwieniała z gniewu, ale Ibn Sina uniósł rękę dając znak, że pora iść dalej.

Po tym zdarzeniu Roba opuściło radosne podniecenie, wieczorem zaś poczuł, że nie nadaje się do studiów. Ta szkoła to pomyłka, powiedział sobie. Nic nie zdoła zrobić z niego kogoś, kim nie jest, czas więc bodaj przyznać, że nie pisane mu zostać medykiem.

Nazajutrz rano poszedł do szkoły i wysłuchał trzech wykładów, a po południu zmusił się, by towarzyszyć al-Dżuzdzanemu w obchodzie chorych. Kiedy zaczynali, z niepokojem spostrzegł, że tak jak poprzedniego dnia przyłączył się do nich Ibn Sina.

W sali chorych na nowotwory okazało się, że na posłaniu najbliższym drzwi leży jakiś wyrostek.



— Gdzie Izmail Gazali? — zapytał pielęgniarza al-Dżuzdzani.

— Wyniesiony w nocy, hakimie.

Al-Dżuzdzani ani słowem tego nie skomentował, przez resztę obchodu jednak traktował Roba z lodowatą pogardą należną obcemu zimmiemu, któremu przypadkowo udało się coś przewidzieć. Kiedy skończyli i studentów zwolniono, Rob poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Obejrząwszy się, napotkał niepokojące spojrzenie starego człowieka.

— Zjesz ze mną wieczerzę — powiedział Ibn Sina.

Rob, zdenerwowany i przygotowany na najgorsze, kierując się wskazówkami Pierwszego Medyka jechał tego wieczoru na swym kasztanku Aleją Tysiąca Ogrodów w stronę uliczki, przy której mieszkał Ibn Sina. Jego dom okazał się olbrzymią kamienną budowlą z dwiema wieżami, wzniesioną wśród opadających tarasami ogrodów i winnic. Ibn Sina również otrzymał „królewskie szaty” od szacha, lecz był to chylat dla człowieka sławnego i szanowanego — a zatem iście królewski.

Na ogrodzony teren posiadłości wpuścił Roba odźwierny, który już go oczekiwał i odebrał od niego konia. Dróżka prowadząca do domu wysypana była kamieniem tak miało potłuczonym, że kroki na niej brzmiały jak cichy szmer. Gdy Rob podszedł do domu, otworzyły się boczne drzwi i stanęła w nich kobieta. Młoda i wdzięczna, okryta była czerwonym aksamitnym płaszczem, szerokim w pasie, z obszytymi szychem brzegami, narzuconym na luźną bawełnianą suknię w żółte kwiaty. Choć niewysoka, kroczyła jak królowa. Bransolety z paciorków obejmowały kostki jej nóg w miejscu, gdzie ciasno ściągnięte były szkarłatne spodnie zakończone wełnianymi frędzlami, które opadały na wzruszająco nagie pięty. Córka Ibn Siny — jeśli to była jego córka — przyjrzała się Robowi bacznie wielkimi ciemnymi oczami z równą ciekawością, z jaką szacował ją on, zanim odwróciła spojrzenie od mężczyzny, jak nakazywało muzułmańskie prawo.

Za nią pojawiła się postać w turbanie, olbrzymia jak ze złego snu. Dłoń eunucha spoczywała na wysadzanym klejnotami rękopięści sztyletu u pasa. On nie odwrócił oczu od Roba, lecz groźnie go obserwował, póki bezpiecznie nie przeprowadził swej podopiecznej przez furtkę w murze ogrodu.

Rob jeszcze patrzył za nimi, gdy drzwi frontowe, wycięte z jednej wielkiej kamiennej płyty, otworzyły się na naoliwionych zawiasach i służący wpuścił go do przestronnego, chłodnego wnętrza.

— Witaj w moim domu, młody przyjacielu — rzekł Ibn Sina i poprowadził go przez szereg wielkich komnat, których wyłożone kaflami ściany okrywały przepyszne tkaniny w barwach ziemi i nieba. Dywany na kamiennych posadzkach były miękkie jak trawa. W ogrodowym atrium w centrum domu ustawiono stół przy pluskającej fontannie.

Rob czuł się niezręcznie, ponieważ nigdy jeszcze nikt mu nie usługiwał. Jeden służa pomógł mu usiąść, inny wniósł glinianą tacę z płaskim chlebem. Ibn Sina odśpiewał muzułmańskie modły ze swobodą człowieka pozbawionego słuchu.

— Chciałbyś odmówić swoją modlitwę? — zapytał łaskawie, gdy skończył.

Rob przywykł już do hebrajskiego rytuału, toteż bez skrępowania przełamał jeden z płaskich chlebów i odmówił hebrajskie dziękczynienie: — Chwała Ci, Wiekuisty, Władco wszechświata, który stwarzasz chleb z ziemi.

— Amen — powiedział Ibn Sina.

Wieczerza była znakomita, choć prosta: pokrojone ogórki z miętą i gęste zsiadłe mleko, lekki pilaw z kawałkami chudego jagnięcego i kurzego mięsa, duszone wiśnie i morele oraz orzeźwiający szorbet z owocowych soków.

Gdy się posilili, człowiek z kółkiem w nosie — co oznaczało, że jest niewolnikiem — wniósł mokre ręczniki, by otarli ręce i twarze, inni uprzątnęli stół, zapalili dymne pochodnie

dla odpędzenia owadów i podali misę dorodnych orzeszków pistacjowych. Łupiąc je w zębach i gryząc, zasiedli do pogawędki w przyjaznym nastroju.

— Do rzeczy... — Ibn Sina pochylił się w stronę Roba i w jego niezwykłych oczach, umięganych tyle przekazać, zabłysła w świetle pochodni uwaga. — Pomówmy o tym, skąd wiedziałeś, że Izmail Gazali umrze.

Rob opowiedział, jak w wieku dziewięciu lat, ująwszy matkę za rękę uświadomił sobie, że ona umrze. I że w ten sam sposób dowiedział się o bliskiej śmierci ojca. Opisał też późniejsze przypadki ludzi, których ręce, kiedy ich dotknął, przekazywały mu przeszywające uczucie lęku i ową straszną pewność.

Ibn Sina cierpliwie go wypytywał o wszystkie te przypadki, drażąc jego pamięć i upewniając się, że nie pomija żadnego szczegółu. W trakcie rozmowy rezerwa malująca się na twarzy starca powoli zniknęła.

— Pokaż mi, co wtedy robisz — zażądał wreszcie. Rob ujął dłonie Ibn Siny, popatrzył mu w oczy i uśmiechnął się po krótkiej chwili.

— Możecie, panie, jeszcze nie obawiać się śmierci.

— Ty też nie — odpowiedział spokojnie medyk. Minęła chwila i nagle... Jezu Chryste! pomyślał Rob.

— Więc i wy, panie, potraficie to wyczuć? Naprawdę?! Ibn Sina pokręcił głową.

— Nie tak jak ty. Ja to wyczuwam jako pewność głęboko w środku, instynkt wyraźnie mi mówi, czy pacjent umrze, czy przeżyje. Od wielu lat rozmawiam z innymi medykami, którzy też mają tę intuicję. Stanowimy liczniejsze bractwo, niż mógłbyś przypuścić. Ale nigdy nie spotkałem człowieka, w którym dar ten byłby silniejszy od twojego. To wielka odpowiedzialność i żeby jej sprostać, musisz zostać znakomitym medykiem.

Sprowadziło to Roba na powrót do przykrej rzeczywistości. Westchnął żałośnie.

— Mogę w ogóle nie zostać medykiem, nie jestem uczonym. Wasi muzułmańscy studenci od najmłodszych lat karmieni są klasyczną wiedzą, a Żydzi... inni Żydzi też od dzieciństwa się uczyli w swoich domach nauki. Przyszli na uniwersytet z podstawami, na których mogą budować, moje fundamenty tymczasem to ledwie dwa lata szkoły i morze niewiedzy.

— Musisz więc budować lepiej i szybciej niż inni — rzekł Ibn Sina bez współczucia.

Rozpacz dodała Robowi śmiałości.

— W szkole za wiele się wymaga. I pewnych rzeczy ani nie chcę, ani nie potrzebuję. Filozofii, Koranu...

— Popelniasz pospolity błąd — przerwał mu z pogardą stary medyk. — Skoro nie studiowałeś filozofii, to jak możesz ją odrzucać? Nauka i medycyna uczą o ciele, filozofia o umyśle i duszy, a medyk tego wszystkiego potrzebuje jak pożywienia i powietrza. A co do teologii, to Koran umiałem na pamięć w wieku dziesięciu lat. Uczy wprawdzie o mojej wierze, nie o twojej, ale ci nie zaszkodzi, a nauczanie się dziesięciu Koranów byłoby niewielką ceną, gdyby ci pozwoliło zdobyć wiedzę medyczną... Nie brak ci zdolności — ciągnął — widać bowiem, jak uczysz się nowego języka, znajdujemy też w tobie obiecujące uzdolnienia w innych kierunkach. Ale musisz wyzbyć się obaw, pozwolić, żeby zdobywanie wiedzy stało się dla ciebie czynnością naturalną jak oddychanie. Musisz na tyle otworzyć umysł, by przyjąć wszystko, co ci możemy dać.

Rob ostrożnie milczał.

— I ja mam pewien dar, równie ważny jak twój, Jesse ben Beniaminie: potrafię powiedzieć, kto może być medykiem, i wyczuwam w tobie silną, niemal palącą potrzebę leczenia. Ale potrzeba to za mało. Chylat z nikogo nie uczyni medyka, i całe szczęście, bo i bez tego mamy dość głupich medyków. Szkoła pozwala nam odsiać plewy od ziarna, toteż

kiedy widzimy, że któryś student jest wart zachodu, poddajemy go szczególnie surowej próbie. Jeżeli te próby są dla ciebie za trudne, musisz o nas zapomnieć, wrócić do wozu balwierza i dalej sprzedawać te swoje oszukańcze mazidła...

— Driakwie — poprawił Rob, piorunując Ibn Sine spojrzeniem.

— No więc oszukańcze driakwie. Ale na to, żeby zostać hakimem, trzeba zasłużyć. Jeżeli tego pragniesz, musisz dla nauki ponieść umartwienia, musisz zrobić wszystko co w twojej mocy, by dorównać innym studentom, a nawet ich prześcignąć. Musisz studiować z zapalem świętego lub potępieńca.

Rob odetchnął głęboko, nie odrywając płonącego wzroku od oczu Ibn Siny, i powiedział sobie, że nie przewędrował połowy świata po to, by ponieść klęskę.

Wstał, żeby się pożegnać, i wtedy wpadła mu do głowy pewna myśl.

— Nie macie „Dziesięciu traktatów o oku”, panie? Ibn Sina uśmiechnął się szeroko.

— Mam — odpowiedział, bez zwłoki poszedł po książkę i dał ją swemu studentowi.

## Majdan

Pewnego dnia wczesnym rankiem do domu Roba zawitało trzech żołnierzy. Zamarł, przygotowany na wszystko, tym razem jednak byli uosobieniem uprzejmości i szacunku i pałki zostawili u pasa. Dowódca, którego oddech zdradzał, że na śniadanie jadł zieloną cebulę, nisko się pokłonił.

— Przychodzimy was powiadomić, panie, że jutro po drugiej modlitwie zbiera się uroczyste dwór. Oczekuje się przybycia obdarowanych chylatem.

Nazajutrz rano znalazł się więc powtórnie pod łukami złożonych dachów Sali Kolumnowej. Tym razem tłumów nie było ku jego żalowi, gdyż szach wyglądał wspaniale. Ala był w turbanie, w powiewnej szacie i purpurowych pantoflach ze spiczastymi noskami, w szkarłatnych spodniach i owijaczach oraz ciężkiej koronie z kutego złota. Wezyr, imam Mirza abul Kandrasa, siedział w pobliżu szacha na niższym tronie, jak zwykle odziany w czarne szaty mułły.

Obdarowani chylatem stali z dala od tronu jako widzowie. Rob nie dojrzał nigdzie Ibn Siny ani nikogo znajomego poza Chuffem, Dowódcą Bram. Posadzkę w pobliżu szacha Ali pokrywały dywany połyskujące jedwabnymi i złotymi nićmi. Po obu stronach tronu i przed nim siedziała na poduszkach duża grupa mężczyzn w bogatych strojach.

Rob podszedł do Chuffa i dotknął jego ramienia.

— Kim oni są? — zapytał szeptem Chuff z pogardą spojrział na tego Hebrajczyka z dalekich stron, lecz odpowiedział cierpliwie, tak jak go przyuczono.

— Imperium ma czternaście prowincji, a w nich sto czterdzieści cztery ważniejsze miasta, miasteczka i zamki. Ci tutaj to mirzowie, chanowie, sułtani i beglerbegowie, którzy zarządzają księstwami podległymi władzy szacha Ali al-Dauli.

Uroczystość miała się widocznie zaraz zacząć, gdyż Chuff pośpiesznie odszedł od Roba i stanął w drzwiach.

Pierwszym posłem, który wjechał do sali, był ambasador Armenii, mężczyzna jeszcze młody, czarnowłosy i czarnobrody, ale dosłownie „szara eminencja”, jechał bowiem na siwej kobyle, a na szarą jedwabną szatę narzucony miał płaszcz z ogonów srebrnych lisów. Sto pięćdziesiąt kroków od tronu Chuff go zatrzymał, pomógł mu zsiąść z wierzchowca i podprowadził go do tronu dla ucałowania stóp szacha Ali.

Uczyniwszy to, ambasador przekazał szachowi wspaniałe dary od swego władcy, wśród nich dużą kryształową latarnię, dziewięć kryształowych lusterek w złotych ramach, sto dwadzieścia jardów purpurowej materii, dwadzieścia flaszek drogich pachnidła i pięćdziesiąt skórek soboli. Ledwie zerknąwszy na podarunki, Ala powitał Ormianina i poprosił, by podziękował za nie swemu panu.

Następny wjechał ambasador Chazarów. Chuff wyszedł mu naprzeciw i cała ceremonia się powtórzyła z tą różnicą, że darem władcy Chazarów były trzy piękne araby i nie oswojone lwiatko na łańcuchu, tak wystraszone, że napaskudziło na dywan ze złota i jedwabiu.

Zgromadzeni w milczeniu wyglądali reakcji szacha. Ala nie skrzywił się ani nie uśmiechnął, tylko zaczekał, aż słudzy i niewolnicy spieszenie usuną przedmiot obrazy, dary i samego Chazara. Dworacy siedzieli u stóp szacha na poduszkach jak bezduszne kukły z oczyma wlepionymi w króla królów. Byli jego cieniami, poruszali się, gdy on się poruszał. W końcu na prawie nieuchwytny znak nastąpiło ogólne odprężenie, zapowiedziano kolejnego posła i na rudawym kasztanie wjechał do sali wysłannik emira karmatów.

Rob przez cały czas stał z należnym szacunkiem, myślami jednak był daleko od władcy i jego tronu — powtarzał w pamięci to, czego się ostatnio uczył. Cztery elementy: zimno, ciepło, suchość, wilgotność; temperamenty: sangwiniyczny, flegmatyczny, choleryczny i saturniczny (ponury); siły: naturalne, zwierzęce i witalne. Wyliczył poszczególne części oka według spisu Humajna, potem siedem ziół i kuracji zalecanych na zimnicę i osiemnaście na gorączkę, powtórzył nawet kilka razy pierwsze dziewięć wersetów trzeciej sury Koranu zatytułowanej „Rodzina Imrana”. Zajęcie to już zaczynało mu sprawiać przyjemność, gdy jego uwagę coś odwróciło — oto Chuff wdał się w ostrą wymianę zdań z jakimś władcym siwowłosym starcem na nerwowym kasztanie.

— Przedstawia się mnie ostatniego, bo jestem seldżuckim Turkiem! To rozmyślna obraza mojego ludu!

— Ktoś musi być ostatni, chanie Hadadzie, i dziś wypadło to na waszą wysokość — mówi! spokojnie Dowódca Bram.

Rozzłoszczony Seldżuk na wielkim koniu spróbował go ominąć, by podjechać do tronu.

— Ho! — krzyknął siwy żołnierz i udając, że wziął tę próbę za samowolę wierzchowca, złapał za uzdę i parę razy mocno uderzył konia po chrapach, aż ten zarżał i cofnął się ulegle.

Żołnierze szybko opanowali kasztana, a Chuff pomógł zsiąść chanowi Hadadowi — trzeba przyznać, że niezbyt delikatnie — i podprowadził ambasadora do tronu.

Seldżuk byle jak złożył pokłon i drżącym głosem przekazał pozdrowienia od swego wodza Togrulbega, nie składając żadnych darów. Szach Ala nie zwrócił się do niego ani słowem, odprawił go chłodno skinieniem dłoni i uroczystość się skończyła.

Gdyby nie seldżucki ambasador i lew, który się spaskudził, pomyślał Rob, obecność na prezentacji u dworu byłaby wyjątkowo nudna.

Rob chętnie by dokonał w swoim domku w Jahudii drobnych reperacji, aby nieco polepszyć jego stan. Praca ta zajęłaby co najwyżej parę dni, ale ponieważ żał mu było każdej godziny, framugi okienne nadal się sypały, popękane ściany czekały na nowy tynk, drzewka morelowe stały nie przycięte, a ogród zarastał chwastami. Jedno tylko zrobił: kupił u Hindy, straganiarki z żydowskiego targu, trzy mezuzy, drewniane tulejki zawierające maleńkie zwitki pergaminu ze słowami Pisma, stanowiły bowiem element jego maskarady. Przytwierdził je do prawej framugi każdych drzwi, nie niżej jak pięć od góry, pamiętając, że w tym właśnie miejscu umieszczano mezuzy w żydowskich domach w Trjawnie.

Hinduski stolarz, któremu wyrysował na ziemi potrzebny mebel i wytłumaczył jego konstrukcję, bez trudu zrobił mu nie heblowany stół z drewna oliwkowego oraz sosnowy zydeł w europejskim stylu. U kotlarza kupił parę kuchennych naczyń, a poza tym tyle dbał o dom co jaskiniowiec.

Nadchodziła zima. Popołudnia były jeszcze upalne, lecz dostające się przez okna nocne powietrze przejmowało już chłodem, zapowiadając zmianę pory roku. Na ormiańskim targu Rob wyszukał więc kilka niedrogich owczych skór i odtąd zadowolony sypiał pod nimi.

Któregoś piątkowego wieczora sąsiad Roba, szewc Jaakob ben Raszi, nakłonił go, by przyszedł na szabatową wieczerzę do jego domu. Był to dom skromny, lecz wygodny i Rob z początku rozkoszował się jego gościnnością. Naomi, żona Jakuba, nakrywszy głowę odmówiła modlitwę nad świecami. Ich dorodna córka, Lea, podała smaczną wieczerzę, słodkowodne ryby, pieczony drób, pilaw i wino. Na ogół oczy miała spuszczone, ale kilkakrotnie uśmiechnęła się do Roba. Była już panną na wydaniu i ojciec dwa razy w czasie wieczerzy ostrożnie napomknął o niemałym posagu. Gdy Rob zaraz po posiłku wstał, by podziękować za gościnę i wrócić do księżek, miał wrażenie, że wszyscy są rozczarowani.

Jego życie weszło w utarte koleiny. Studenci madrasy musieli co dzień przestrzegać religijnych obowiązków, Żydom jednak wolno było uczęszczać na własne nabożeństwa, toteż co rano Rob szedł do synagogi, Domu Pokoju. Ośluchał się z hebrajskimi modlitwami

szacharitu, lecz nadal wiele odbierał jako niezrozumiałe dźwięki pozbawione sensu, Mimo to rytmiczne kołysanie się i recytacje stanowiły kojący sposób rozpoczynania dnia.

Przedpołudnia zajęte miał wykładami z filozofii i religii, na które uczęszczał z ponurą zawziętością, poza tym musiał chodzić na wiele kursów medycznych. Robił postępy w języku perskim, lecz bywało, że w czasie wykładu musiał pytać o znaczenie jakiegoś słowa czy zwrotu. Czasami tłumaczyli mu je inni studenci, ale zdarzało się to rzadko.

Pewnego ranka Sajjed Sa'di, wykładowca filozofii, napomknął o czymś, co nazwał „gantagniaftaran”.

Rob nachylił się do Abbasa Safiego, który siedział obok.

— Co to jest gantag-daftaran? — zapytał.

Tłuścioch spojrział tylko na niego gniewnie i pokręcił głową. Wtedy Rob poczuł, że ktoś go trąca z tyłu. Odwrócił się i w wyższym rzędzie kamiennych ław zobaczył Karima Haruna. Karim uśmiechnął się do niego.

— To dawny zakon skrybów — szepnął. — Spisali historię astrologii i początki nauki perskiej.

Miejsce przy nim było wolne i Karim Harun wskazał je Robowi, który zaraz się przesiadł. Od tej pory jeśli na wykładzie był Karim, zawsze siadali obok siebie.

Najmilszą dla Roba porą dnia było popołudnie, czas pracy w maristanie. Stała się ona jeszcze miłsza w trzecim miesiącu nauki, gdy na niego przypadła kolej badania nowych pacjentów. Zdumiało go, jak złożona jest procedura przyjmowania ich do szpitala. Jak się to odbywa, pokazał mu al-Dżuzdżani.

— Słuchaj dobrze, bo to odpowiedzialne zadanie.

— Słucham, hakimie.

Od dawna już pilnie baczył na słowa al-Dżuzdżaniego, szybko bowiem zauważył, że po Ibn Sienie najlepszym medykiem maristanu jest właśnie on. Słyszał od kilku osób, że al-Dżuzdżani jest asystentem i zastępcą Ibn Siny niemal od chwili, gdy obaj przyszli na świat, al-Dżuzdżani jednak sam także był autorytetem.

— Musisz zanotować całą historię choroby pacjenta, a przy pierwszej okazji omówić ją szczegółowo ze starszym medykiem — wyjaśnił Robowi.

Każdego chorego pytano ponadto o zawód, obyczaj, zaraźliwe choroby, z jakimi się zetknął, oraz czy się nie skarży na dolegliwości piersiowe, żołądkowe lub nerkowe. Rozbierano go do naga, przeprowadzano badanie i w zależności od schorzenia oglądano jego płwocinę, treść wymiotów, mocz lub kał, mierzono tętno oraz określano temperaturę, sprawdzając ciepłotę skóry.

Al-Dżuzdżani nauczył Roba, jak przesuwając dłońmi jednocześnie wzdłuż obu rąk pacjenta, następnie obu nóg i boków, aby wyczuć najmniejszą skazę, opuchliznę czy inny objaw choroby, zauważalny w porównaniu ze zdrową stroną ciała, zdrową ręką czy nogą. Nauczył go też opukiwać pacjenta mocnymi, drobnymi uderzeniami palców, by wykryć chorobę po odbiegającym od normy dźwięku. Większość tych czynności była dla Roba nowością, ale szybko oswoił się z nimi i posiadał stosowne umiejętności. Od lat przecież pracował z chorymi.

Trudności zaczynały się wczesnym wieczorem, gdy wracał do domu, wtedy bowiem musiał brać się za bary z samym sobą, rozdarty między pragnieniem nauki a potrzebą snu. Odkrył, że Arystoteles to mądry stary Grek, przekonał się też, że jeśli temat jest porywający, studia z ciężkiego obowiązku zmieniają się w przyjemność. Było to doniosłe odkrycie, jedyna może rzecz, która mu pozwalała pracować tak uparcie, jak musiał, gdyż Sajjed Sa'di wkrótce zadał mu lekturę Platona i Heraklita, al-Dżuzdżani zaś, niedbale, jakby szło o dorzucenie drewna do ognia, poprosił go o przeczytanie z dwunastu ksiąg „Historii naturalnej” Pliniusza

części dotyczącej medycyny — „Abyś był gotów zgłębić w przyszłym roku całego Galena”, dodał.

Poza tym wciąż wisiało nad nim pamięciowe opanowanie Koranu. Im więcej uczył się tego tekstu, tym silniejszą czuł do niego niechęć, ponieważ Koran, oficjalny zbiór nauk Mahometa, zasadniczo niezmiennych od wielu lat, powtarzał w kółko to samo i zawierał mnóstwo oszczerczych opinii o żydach i chrześcijanach.

Mimo wszystko Rob pracował wytrwale. Sprzedał osła i muła, aby nie tracić czasu na obrządzanie i karmienie zwierząt, posiłki zjadał w pośpiechu i bez przyjemności, na żadne głupstwa w jego życiu nie było miejsca. Co noc czytał, dokąd tylko mógł — nauczył się wlewać do lampy jak najmniej oliwy, by gasła sama, gdy głowa opadnie mu na ręce i zaśnie przy stole nad książkami. Zrozumiał teraz, dlaczego Bóg obdarzył go dużym, mocnym ciałem i dobrymi oczyma, wykorzystywał zatem siły do granic możliwości, uparcie dążąc do zdobycia wiedzy.

Któregoś wieczora, wiedząc tylko, że dłużej uczyć się nie może i musi dokądś uciec, wymknął się z domu i zanurzył w nocne życie majdanów. Przywykł już do wyglądu rozległych miejskich placów za dnia, otwartych spalonych słońcem przestrzeni, na których tu i ówdzie widoczni byli nieliczni przechodnie, a w skrawkach cienia spały skulone postacie. Teraz stwierdził, że nocą majdany kipią życiem, pełne rozhukanych Persów z gminu oddających się zabawie.

Zdawało się, że wszyscy mówią i śmieją się naraz, podnosząc gwar, który mógłby zagłuszyć kilka jarmarków w Glastonbury. Tu grupa śpiewających kuglarzy popisowała się zonglerką pięcioma piłeczkami tak zabawnie i zręcznie, że Rob zapragnął się do nich przyłączyć; gdzie indziej zmagali się ze sobą muskularni zapaśnicy o ciałach lśniących od zwierzęcego tłuszczu, który miał utrudnić uchwyt przeciwnikowi, widzowie zaś hałaśliwie udzielali im rad i robili zakłady; tam znów lalkarze wystawiali jakąś sprośną sztukę, akrobaci wywijali kozły, a sprzedawcy jadła i innych produktów wyrywali sobie klientów spośród przechodniów.

Rob zatrzymał się przy oświetlonym pochodniami kramie z książkami i wziął do ręki pierwszą z brzegu księgę. Okazała się zbiorem rycin: każda przedstawiała tę samą parę, mężczyznę i kobietę, w umiejętnie oddanych pozycjach miłosnych, jakie by mu nawet do głowy nie przyszły.

— Wszystkie sześćdziesiąt cztery w obrazkach, panie — zachwalał sprzedawca.

Rob nie miał pojęcia, do czego odnosi się ta liczba. Wiedział, że sprzedawanie i posiadanie wizerunków ludzkiej postaci zakazane jest przez muzułmańskie prawo, gdyż Koran głosi, że jedynym stwórcą wszystkiego, co żyje, jest Allah (niech będzie pochwalony!). Ponieważ jednak książka go zafascynowała, kupił ją.

Wszedł do gospody, w której panował ogłuszający gwar, i poprosił o wino.

— Nie ma wina. To czajchana, herbaciarnia — oznajmił zniewieściały służący. — Możecie dostać czaj lub szorbet albo wodę różaną z kardamonem.

— Co to jest czaj?

— Wspaniały napój. Pochodzi z Indii. Chyba sprowadza się go Jedwabnym Szlakiem.

Rob zamówił czaj i tacę słodczy.

— Mamy tu ustronną izbę. Życzycie sobie chłopca, panie?

— Nie.

Przyniesiono napój, bardzo gorący, bursztynowego koloru, o nijakim, cierpkim smaku. Robowi trudno było orzec, czy mu posmakował, w przeciwieństwie do słodczy, którymi się zjadał. Z galerii nad arkadami przy majdanie dobiegała płaczliwa melodia, jak stwierdził, rzuciwszy okiem na drugą stronę placu, dobywana z lśniących, długich na osiem stóp

miedzianych trąb. Siedział w słabo oświetlonej czajchance, przyglądał się tłumowi i pił herbatę za herbatą, póki jakiś opowiadacz nie uraczył klientów historią o Dżamszidzie, czwartym z bohaterskich królów. Mitologia pociągała Roba równie mało jak pederastia, zapłacił więc słudze i przebił się przez tłum na skraj placu. Tam przystanął i chwilę się przyglądał ciągnionym przez muły powozom, które objeżdżały majdan w koło, słyszał już bowiem o nich od innych studentów. Wreszcie zdecydował się przywołać dobrze utrzymany wóz z wymalowaną na drzwiczkach lilią.

W środku było ciemno. Kobieta zaczęła, aż muły szarpną, i dopiero wtedy się poruszyła. Wkrótce Robowi wzrok przywykł do ciemności i wtedy zobaczył, z kim ma do czynienia: była stara, mogłaby być jego matką. Zaspokoila go, ponieważ była uczciwą ladacznicą, i choć nie udawała namiętności ani rozkoszy, zajęła się nim delikatnie i umiejętnie.

Potem pociągnęła za linkę dając znak, że skończyli, a rajfur na koźle ściągnął lejce i zatrzymał muły.

— Zawieź mnie do Jahudii! — zawołał Rob. — Zapłacę za jej czas.

Leżeli przyjaźnie, kołysząc się przy ruchach powozu.

— Jak cię nazywają? — zapytał.

— Lorna — odparła, nie pytając o jego imię, była bowiem odpowiednio przyuczona.

— Ja jestem Jesse ben Beniamin.

— Miło cię poznać, zimmi — rzekła nieśmiało i dotknęła jego karku. — Mięśnie masz napięte jak liny. Czego się obawia tak wielki młody człowiek jak ty?

— Obawiam się, że jestem wołem, gdy powinienem być lisem — odpowiedział uśmiechając się w ciemnościach.

— Wcale nie jesteś wołem, sama się przekonałam—oświadczyła sucho. — Czym się zajmujesz?

— Studiuję w maristanie, żeby zostać medykiem.

— Och, jak „Pierwszy z Książąt"! Mój krewniak jest kucharzem jego pierwszej żony, odkąd Ibn Sina zamieszkał w Isfahanie.

— Znasz imię jego córki? — zapytał po chwili.

— On nie ma córki. W ogóle nie ma dzieci. Ma dwie żony, Reriję Pobożną, która jest stara i schorowana, i Despinę Brzydka, która jest młoda i piękna, Allah jednak, niech Jego imię będzie pochwalone! żadnej nie pobłogosławił dziecięciem.

— Rozumiem — powiedział Rob.

Zanim powóz dojechał do Jahudii, raz jeszcze skorzystał z jej usług, teraz w wygodniejszy sposób, potem wskazał woźnicy drogę do swego domu i hojnie zapłacił za to, że dzięki nim mógł wrócić, zapalić lampę i stawić czoło swoim największym przyjaciółkom i najgroźniejszym przeciwniczkom: książkom.



## Rozrywki szacha

Rob żył w dużym mieście i wśród ludzi, prowadził jednak życie samotnika. Co rano spotykał się z kolegami i co wieczór z nimi rozstawał, wiedział, że Karim, Abbas i kilku innych mieszkają w celach madrasy, przypuszczał też, że Mirdin i inni Żydzi mają domy gdzieś w Jahudii, ale pojęcia nie miał, jak wygląda ich życie poza szkołą i szpitalem. Prawdopodobnie bardzo było podobne do jego życia, wypełnione czytaniem i nauką. Był zbyt zajęty, aby doskwierala mu samotność.

Tylko przez dwanaście tygodni zajmował się przyjmowaniem pacjentów do szpitala, potem zaś wyznaczono mu obowiązek, który z największym trudem znosił — obsługę sądu. Pomocnicy medyków musieli się tam udawać w dniach, kiedy kalendar wykonywał wyroki, i teraz wypadła jego kolej.

Wnętrznosci mu się wywracały pierwszego dnia, gdy znalazłszy się w więzieniu, przeszedł obok karkanów. Strażnik wprowadził go do lochu, w którym jakiś człowiek rzucał się i jęczał. Nie miał prawej dłoni, a kikut owinięty był niebieską szmatą omotaną grubym konopnym sznurem, powyżej zaś wystawało straszliwie opuchnięte ramię.

— Słyszysz mnie? Jestem Jesse.

— Tak, panie — mruknął więzień.

— Jak się nazywasz?

— Dżahel.

— Dżahelu, kiedy odcięto ci rękę?

— Dwa tygodnie temu — wtrącił się strażnik.

Pod szmatą Rob znalazł opatrunek z końskiego nawozu. Jako balwierz często spotykał się z takim jego zastosowaniem i wiedział, że rzadko kiedy działa skutecznie, a może być wręcz szkodliwy. Strząsnął nawóz. Ramię tuż nad miejscem amputacji podwiązane było kawałkiem konopnego sznurka, który wskutek opuchlizny wpił się w ciało, tak że ręka już zaczynała czernieć. Rob przeciął sznurek, powoli i ostrożnie obmył kikut, zwilżył go różaną wodą z drzewem sandałowym i zamiast nawozu obłożył kamforą. Kiedy odchodził, Dżahel wprawdzie nadal jęczał, ale odczuwał znaczną ulgę.

Opatrunek skazańca w lochu okazało się najmniejszym przeżyciem tego dnia, gdyż potem Roba zaprowadzono na więzienny dziedziniec, gdzie przystępowano do wymierzania kar. W większości były to kary takie same, jakie oglądał sam siedząc w więzieniu, tyle że wtedy, zamknięty w karkanie, mógł uciec w nieświadomość. Teraz tkwił struchlały wśród mułłów, którzy modlili się zawodząc, podczas gdy muskularny strażnik unosił w górę za wielki w stosunku do swego wzrostu zakrzywiony miecz. Więzień, mężczyzna o poszarzałej twarzy oskarżony o podżeganie i bunt, siłą ciśnięty na kolana, leżał z policzkiem na pniu.

— Kocham szacha! Całuję jego święte stopy! — wykrzykiwał, na próżno usiłując umknąć kary. Jednakże nikt nie zareagował na jego wołania i miecz świsnął mu nad głową. Cios był czysty, głowa skazańca potoczyła się pod karkan z oczyma jeszcze wytrzeszczonymi w udreć lęku.

Zaraz usunięto zwłoki i kat przystąpił do otwierania brzucha młodemu człowiekowi, którego przyłapano z cudzą żoną. Tym razem posłużył się długim wąskim sztyletem i ciał z lewa na prawo, skutecznie wypruwając wnętrznosci cudzołożnika.

Na szczęście wśród skazanych nie było morderców, których by rozciągano i ćwiartowano, a następnie rzucono na pożarcie psom i sępom.

Z usług Roba zaczęto korzystać przy łagodniejszych karach. Pierwszy był złodziej, jeszcze niedorosły, który spaskudził się ze strachu i bólu, kiedy mu odcinano dłoń. W pobliżu stał gar gorącej smoły, lecz nie była Robowi potrzebna, ponieważ siła ciosu przy amputacji zasklepiła kikut, wystarczyło go więc obmyć i opatrzyć.

Więcej sprawiła mu kłopotu tęga kobieta skazana za drwiny z Koranu, przestępstwo, którego się dopuściła po raz wtóry, a zatem karane wyrwaniem języka. Jej bezsłowny ochrypli wrzask długo dławili potoki krwi, nim Robowi udało się zacisnąć naczyńka krwionośne.

Opatrywał tych nieszczęśników i wzbierała w nim kipiąca nienawiść do muzułmańskiej sprawiedliwości i sądów Kandrasy.

— A oto jedno z waszych najważniejszych narzędzi — mówił Ibn Sina uroczyście do studentów medycyny. Uniósł w górę szklane naczynie na mocz, którego właściwa nazwa, jak im powiedział, brzmiała matula. Miało kształt dzwonu z szerokim wywiniętym brzegiem. Ibn Sina osobiście nauczył wydmuchiwać, jak sporządzać matule dla medyków i studentów.

Rob już wiedział, że jeśli w moczu znajduje się krew lub ropa, to coś jest nie w porządku. Ale Ibn Sina o samym moczu wykladał przez dwa tygodnie!

Czy jest rzadki, czy stężony? Rozważali i omawiali najmniejsze różnice woni: czy czuje się w nim ślad słodczy cukru? kredowy zapach wskazujący na obecność kamieni? kwaśny zapach oznaczający suchoty? a może tylko bagienną zgniliznę, charakterystyczną woń moczu człowieka, który jadł szparagi? Zastanawiali się, czy chory oddaje mocz obficie, co świadczy, że wypłukuje z ciała chorobę, czy też skąpo, co może być znakiem, że wewnętrzna gorączka wysysa z organizmu płyny.

Co do koloru, Ibn Sina nauczył ich patrzeć na mocz okiem artysty malarza, rozróżnić dwadzieścia jeden odcieni, od bezbarwnego poprzez żółty, ciemną ochrę i brąz aż po kolor czarny świadczący o różnych kombinacjach contentae albo obecności ciał nierozpuszczalnych. Po co tyle gadania na temat szczyń? — ze znużeniem pomyślał Rob i zapytał:

— Dlaczego mocz jest taki ważny? Ibn Sina się uśmiechnął.

— Pochodzi z wnętrza organizmu, gdzie się dzieją ważne rzeczy — odparł mistrz medycyny i przeczytał studentom fragmenty z Galena wskazujące na to, że organami, które wydzielają mocz, są nerki: „Każdy rzeźnik to wie, ogląda bowiem co dzień położenie nerek i przewód (zwany ureter) prowadzący od każdej nerki do pęcherza, a zbadawszy ich budowę wnioskuje, czemu służą i jaka jest natura ich działania.”

Ten wykład rozwścieczył Roba. Czyż medycy muszą się radzić rzeźników i uczyć na zdechłych owcach i świniach, jak zbudowani są ludzie? Przecież diabło ważne jest wiedzieć, co się dzieje w ludzkich wnętrznościach. Dlaczego do nich nie zajrzą? Skoro nierządnicę i pijacy bez trudu potrafią ujść mułom Kandrasy, dlaczegożto medycy mieliby się bać tych świętych mężów, gdy idzie o zdobycie wiedzy? Nikt nie wspominał o okaleczeniu na życie wieczne ani o dniu zmartwychwstania, gdy religijny sąd odcinał więźniowi głowę, rękę czy język albo rozpruwał mu brzuch!

Nazajutrz wcześniej rano dwóch pałacowych strażników podległych Chuffowi przyjechało do Roba na zaprzężonym w muła wozie, wyładowanym zapasami żywności.

— Jego królewska mość wybiera się dziś z odwiedzinami, panie, i życzy sobie, żebyście mu towarzyszyli — powiedział jeden z żołnierzy.

O co idzie teraz? zastanowił się Rob.

— Dowódca Bram prosi, żebyście się pośpieszyli. — Żołnierz dyskretnie odchrząknął. — Najlepiej byłoby chyba, panie, gdybyście włożyli swoje najlepsze szaty.

— Jestem w swoich najlepszych szatach — rzekł Rob, usadowili go więc z tyłu na wozie,

na workach z ryżem, i zaraz ruszyli.

Wyjechali z miasta za dworzanami podążającymi konno i w lektykach, wśród wszelkiego rodzaju wozów z ekwipunkiem i żywnością. Rob, chociaż zajmował skromne miejsce, czuł się zgoła królewsko — wszak nigdy jeszcze nikt go nie wiozł drogami wysypanymi świeżym piaskiem i skropionymi wodą. Ta połowa gościńca, którą według żołnierzy miał jechać szach, zasłana była kwiatami.

Celem podróży okazał się dom Rotuna ibn Nasra, dowódcy wojska, dalekiego krewniaka Ali i honorowego dyrektora madrasy.

— To on — powiedział jeden z żołnierzy wskazując na rozpromienionego tłuszciocha, który nie milknąc ani na chwilę, przybierał wielkopańskie pozy.

Piękną jego siedzibę otaczały rozległe grunta. Przyjęcie miało się rozpocząć w dużym wypiełgnowanym ogrodzie, pośrodku którego pluskała marmurowa fontanna. Wokoło sadzawki rozłożono kobierce przetykane jedwabiem i złotem, zarzucone bogato haftowanymi poduszkami. Służący uwijali się roznosząc tace pełne słodczy, ciast, wonnych win i napojów. Przed boczną furką do ogrodu eunuch z obnażonym mieczem strzegł Trzeciej Furty, prowadzącej do haremu. Muzułmańskie prawo jedynie panu domu pozwalało wchodzić do części domu przeznaczonej dla kobiet i każdy intruz płci męskiej naraziłby się na rozprucie brzucha, toteż Rob bez żalu oddalił się od Trzeciej Furty. Żołnierze dali mu do zrozumienia, że nie oczekują jego pomocy przy rozładowywaniu wozu czy jakiejś innej pracy, poszukał więc wyjścia z ogrodu na przyległe otwarte pole pełne zwierząt, wysoko urodzonych gości, służby i licznie przybyłych komediantów, którzy ćwiczyli swoje sztuczki, jak się wydawało, wszyscy naraz.

Zgromadzono tu całą czworonożną arystokrację. W odstępach co dwadzieścia kroków stało uwiązanych blisko tuzin najwspanialszych białych arabów, jakie kiedykolwiek oglądał, nerwowych, dumnych, o ciemnych zuchwałych ślepiach. Uprząż na nich zasługiwała na to, by bliżej jej się przyjrzeć: cztery uzdy wysadzone były szmaragdami, dwie rubinami, trzy diamentami, a trzy innymi barwnymi kamieniami, których nazw nie znał. Wierzchowce były w długich, przypominających derki czaprakach ze złotego brokatu naszywanego perłami, a uwiązano je na splecionych z jedwabiu i złota sznurach do pierścieni wbitych w ziemię grubymi złotymi ćwiekami.

W odległości trzydziestu kroków od koni umieszczono dzikie zwierzęta: dwa lwy, tygrysa i leoparda, wszystkie o wspaniałych kształtach, każde na osobnym szerokim szkarłatnym dywanie, uwiązane w ten sam sposób co konie przed złotymi misami z wodą.

Kilka białych antylop o długich, prostych jak strzały rogach — w ogóle niepodobnych do angielskich jeleni — stało w zagrodzie za dzikimi zwierzętami i nerwowo wpatrywało się w drapieżne koty, które sennie patrzyły na nie zmrużonymi ślepiami.

Rob jednak niewiele czasu spędził przy zwierzętach, nie zwrócił też uwagi na gladiatorów, zapaśników, łuczników i innych; przepchnął się dalej, w kierunku czegoś olbrzymiego, co natychmiast przyciągnęło jego uwagę, i wreszcie stanął, oddalony na długość wyciągniętej ręki, przed pierwszym oglądanym w życiu żywym słoniem.

Zwierzę było potężniejsze, niż się spodziewał, dużo większe od brązowych statuetek słoni, które oglądał w Konstantynopolu. Wzrostem o połowę przewyższało rosnącego mężczyznę. Każda z jego czterech nóg stanowiła grubą kolumnę zakończoną okrągłą stopą. Pomarszczona skóra wydawała się za obszerna, miała barwę szarą w duże różowe łaty jak placki mchu na skale. Wypukły grzbiet sterczał nad barkami i zadem, u którego zwisała gruba lina ogona zakończonego chwostem. Różowe ślepka wydawały się maleńkie w porównaniu z olbrzymim łbem, choć nie były mniejsze od oczu konia. Na ściętym czole zwierzę miało dwie wypukłości, jak gdyby bezskutecznie wyrzynały mu się rogi. Łagodnie wachlujące uszy wielkością niemal dorównywały wojennym tarczom, ale najbardziej niezwykłą cechą tego

osobliwego zwierzęcia był jego nos, dłuższy i grubszy od ogona.

Słoniem zajmował się drobnej budowy Hindus w przepasanej szarfą szarej koszuli, spodniach i białym turbanie; zapytany przez Roba, odpowiedział, że nazywa się Harsza i jest mahutem, czyli opiekunem słoni. Słoń był bojowym wierzchowcem szacha Ali i nazywał się Zu, co stanowiło skróconą formę imienia Zulkarnain, czyli „Dwuurogi”, na cześć groźnych kostnych wyrostków, zakrzywionych i długością równych wzrostowi Roba, sterczących z górnej szczęki potwora.

— Jak ruszamy do boju—dumnie oświadczył Hindus—Zu ma nałożoną zbroję, a do kłów przywiązane długie ostre miecze. Przyuczony jest do zabijania, tak że kiedy jego wysokość szarżuje, Zu zaczyna trąbić. Robi wtedy tyle hałasu i wygląda tak groźnie, że wrogom krew krzepnie w żyłach.

Mahut nieustannie poganiał służących, którzy wiadrami nosili wodę. Wlewano ją do dużego złotego naczynia, a zwierzę wsysało ją nosem, po czym strzykało nią do paszczy!

Rob tkwił przy słoniu, dopóki grzmiot bębnów i cymbałów nie oznajmił przybycia szacha. Wtedy wraz z innymi gośćmi wrócił do ogrodu.

Szach Ala odziany był w prostą białą szatę w przeciwieństwie do gości wystrojonych jak na największą galę. Przyjął czołobitny pokłon skinieniem głowy i zajął miejsce na wspaniałym krześle górującym nad poduszkami wokół sadzawki.

Przyjęcie zaczęło się od występu szermierzy machających bułatami z taką siłą i gracją, że zebrani umilkli wsłuchani w szczęk stali uderzającej o stal podczas walki, która przypominała raczej rytualny taniec. Rob zauważył, że bułat lżejszy jest od angielskiego miecza, a cięższy od francuskiego. Posługiwanie się nim wymagało zarówno zręczności, potrzebnej w pojedynku, by zadać pchnięcie, jak i silnych nadgarstków i ramion zaprawionych w bojach rębaczy. Żałował, kiedy ten występ dobiegł końca.

Kuglarze wspaniale i z wielkim staraniem przedstawili sianie w ziemi ziarna, podlewanie go i okrywanie płachtą. W szczytowym momencie akrobacji jeden z nich za murem spadających ciał podciągnął płachtę, wbił w ziemię pokrytą listkami gałązkę i nakrył ją z powrotem. Sposób, w jaki pozostali odwrócili uwagę patrzących, dla Roba był widoczny jak na dłoni, gdyż tego oczekiwał, toteż rozbawiło go, kiedy po zdjęciu płachty widzowie nagrodzili oklaskami „magicznie wyrosłe drzewko”. Szach Ala nie ukrywał zniecierpliwienia, zaczęły się więc zapasy, władca zaś zażądał, aby mu podano jego łuk. Jął naciągać cięciwę i puszczać, popisując się przed dworzanami łatwością, z jaką posługiwał się tą ciężką bronią. Siedzący najbliżej szeptem wyrażali podziw dla jego siły, inni zaś wykorzystywali swobodniejszy nastrój, by porozmawiać. Rob teraz dopiero zrozumiał, dlaczego został zaproszony: jako Europejczyk był takim samym dziwowiskiem jak te zwierzęta czy komedianci, toteż Persowie zasypywali go pytaniami.

— Czy macie szacha w... no, w tym waszym kraju?

— W Anglii. Tak, mamy króla. Nazywa się Kanut.

— Czy twoi rodacy są wojownikami i jeżdżą konno? — spytał z ciekawością jakiś starzec o mądrym spojrzeniu.

— O, tak, to wielcy wojownicy i świetni jeźdźcy.

— A jaka tam pogoda i klimat?

Powiedział im, że w Anglii jest zimniej i więcej deszczów.

— A jedzenie?

— Inne niż wasze, bez tylu przypraw. Nie znamy pilawu. Ta wiadomość poruszyła ich do głębi.

— Nie znają pilawu!... — powtórzył stary z pogardą. Otoczyli Roba, lecz raczej z ciekawością niż przyjaźnią, tak że poczuł się w tym tłumie osamotniony. W tejże chwili szach

wstał z krzesła.

— Chodźmy do koni! — wykrzyknął z niecierpliwością i tłum popłynął za nim na pobliskie pole, zostawiając zapaśników, którzy nadal zmagali się z postękiwaniem.

— Piłka i kij! — zawołał ktoś i zerwała się burza oklasków.

— Zagrajmy — zgodził się szach.

Wybrał trzech mężczyzn na towarzyszy oraz czterech jako przeciwników. Konie, które stajenni przyprowadzili na pole, były krzepkimi kucami, przynajmniej o piędź niższymi od wymuskanych białych rumaków. Gdy wszyscy gracze siedzieli już w siodle, dostali po długim, zagiętym na końcu kiju.

Na krańcach podłużnego pola tkwiły po obu stronach dwie kamienne kolumny, oddalone od siebie mniej więcej o osiem kroków. Obie drużyny galopem podjechały do tych bramek i rzędem ustawiły się przed nimi, jedna grupa jeźdźców naprzeciw drugiej niczym dwa wrogie wojska. Oficer mający pełnić rolę sędziego stanął z boku i pchnął drewnianą kulę wielkości jabłka na środek pola.

I wtedy się zaczęło! Popędzane konie pomknęły ku sobie wściekłym galopem, jeźdźcy zakrzyknęli wymachując kijami.

Boże! — pomyślał przerażony Rob. Czegoś takiego jeszcze nie widział! Trzy konie wpadły na siebie z obrzydliwym łomotem, jeden z nich wywrócił się do góry brzuchem, wyrzucając w powietrze jeźdźca., szach tymczasem wycelował kijem i zamachnąwszy się mocno, uderzył w drewnianą piłkę. Koń na ziemi piskliwie rżał dźwigając się i próbując stanąć na złamanej pęcinie. Podbiegło kilku stajennych, poderżnęli mu gardziel i zwlekli go z pola, zanim jeszcze jeździec stanął na nogi — prawą ręką przytrzymał lewą, szczerząc zaciśnięte zęby.

Robowi przyszło na myśl, że ręka może być złamana, podszedł zatem do rannego.

— Mogę wam pomóc, panie? — zapytał.

— Jesteś medykiem?

— Balwierzem i studentem w maristanie. Szlachcic skrzywił się, spoglądając na niego ze zdumieniem i oburzeniem.

— Nie, nie... Musimy wezwać al-Dżuzdzaniego — powiedział, a po chwili go odprowadzono.

Do gry natychmiast przyłączył się inny jeździec. Obydwie drużyny najwidoczniej zapomniały, że to zabawa, nie walka: przeciwnicy nacierali na siebie końmi, starając się trafić piłkę i posłać ją między dwa słupy, niebezpiecznie przy tym wywijali kijami w kłębowisku ludzkich i zwierzęcych ciał, nawet własne wierzchowce narażając na ciosy — szach na przykład często uderzał w piłkę tuż za tańczącymi kopytami lub pod brzuchem swego konia.

Władca nie miał w grze żadnych przywilejów. Ludzie, którzy by bez wątpienia zapłacili głową za jedno krzywe spojrzenie na niego, teraz najwidoczniej robili co mogli, aby go nie dopuścić do piłki, z pochrząkiwań zaś i szeptów widzów Rob wnioskował, że nie byłiby niezadowoleni, gdyby szacha ktoś uderzył albo zrzucił z konia.

Do tego jednak nie doszło. Podobnie jak jego towarzysze, szach jeździł brawurowo i z wprawą oszołamiającą widzów: kierował koniem bez posługiwania się rękami, w których trzymał kij, i na pozór niezbyt mocno obejmował go nogami. Mimo to wciąż pewnie siedział w siodle galopując, jakby stanowili jedno ze zwierzęciem. Takiej mistrzowskiej jazdy konnej Rob jeszcze nie oglądał. Zrobiło mu się gorąco ze wstydu na myśl o tym starcu, na którego pytanie o angielskich jeźdźców z taką swadą odpowiedział, że są znakomici.

Wierzchowce także zasługiwały na najwyższy podziw, galopowały bowiem za piłką, a ściągnięte, stawały w miejscu, zawracały i rzucały się galopem w przeciwnym kierunku, za każdym razem tylko dzięki nieuchwytej dla zmysłów intuicji nie wpadając na kamienne

słupy bramki.

W powietrzu unosił się dławiący kurz, widzowie aż ochrypli od wrzasku. Ilekroć ktoś trafił piłką między słupy, grzmiały bębny i brzękały cymbały. Kiedy drużyna szacha miała pięć trafień na trzy trafienia przeciwników, gra się skończyła. Oczy Ali błyszczały zadowoleniem, gdy zsiadał z konia, ponieważ trafił dwukrotnie. Po wyprowadzeniu kuców dla uczczenia zwycięstwa uwiązano pośrodku pola dwa byki i wypuszczono na nie dwa lwy. Rob nie mógł pojąć, czemu nie pozwolono zwierzętom walczyć, ledwie bowiem uwolniono z uwięzi drapieżniki, ludzie powalili byki na ziemię, roztrzaskali im łby toporami i koty rzuciły się na drgające jeszcze mięso. W końcu domyślił się, że ludzie wtrącili się, bo przecież szach jest Lwem Persji, byłoby zatem niestosowne i w najwyższym stopniu złowróźbne, gdyby przypadkiem byk odniósł zwycięstwo nad symbolem niezachwianej potęgi króla królów.

W ogrodzie cztery zawołowane kobiety kołysząc miękko ciałami tańczyły przy wtórze piszczałek; jednocześnie poeta opiewał hurysy, młode zmysłowe dziewice w raj. Imam Kandrasa nie mógłby mieć najmniejszych zastrzeżeń do moralności tancerek. Mimo że chwilami to krągły pośladek, to stercząca pierś łyskały spod luźnych, powiewnych czarnych sukni, odsłonięte były tylko natarte czerwoną henną gestykulujące dłonie i stopy, na które zgromadzeni wielmoże spoglądali łakomie, gdyż przywodziły im na pamięć inne pomalowane henną miejsca, zasłonięte szatami.

Szach Ala niebawem wstał z krzesła, opuścił gości zgromadzonych wokół sadzawki i nie zważając na eunucha z obnażonym mieczem, wszedł do haremu. Rob był chyba jedyną osobą, która spoglądała za władcą, kiedy Chuff, Dowódca Bram, zjawił się przy Trzeciej Furcie i stanął przy niej wraz z eunuchem. Wesołe rozmowy rozbrzmiały głośniej, w pobliżu Rotun ibn Nasr, gospodarz tego wspaniałego przyjęcia i pan domu, roześmiał się za głośno z własnego dowcipu, jak gdyby Ala nie udawał się właśnie na oczach całego dworu do jego żon.

Więc tego można się spodziewać po najpotężniejszym władcy świata? — pomyślał Rob.

Po godzinie szach, z wyglądu uszczęśliwiony, wrócił na przyjęcie. Chuff, odchodząc spod Trzeciej Furty, dał niedostrzegalny znak i zaczęła się uczta.

Na obrusach z brokatu ustawiono najdelikatniejszą zastawę. Wniesiono cztery rodzaje chleba i jedenaście rodzajów pilawu w tak wielkich srebrnych misach, że jedna zaspokoiłaby apetyt wszystkich zgromadzonych. Ryż w każdej z mis był innego koloru i smaku, przyprawiony odpowiednio szafranem, cukrem, różnymi gatunkami pieprzu, cynamonem, goździkami, rabarborem, sokiem z granatów albo cytrynowym. Na czterech olbrzymich drewnianych tacach podano po tuzinie sztuk pieczonego ptactwa, na dwóch duszone szynki antylopy, na jednej całą górę gotowanej baraniny, na czterech jagnięta upieczone w całości na rożnie, delikatne, soczyste i chrupiące.

Ach, Balwierz, Balwierz, jaka szkoda, że cię tu nie ma! — westchnął w duchu Rob. On, którego taki mistrz uczył cenić dobrą strawę, w ostatnich miesiącach miał już więcej niż dosyć pośpiesznie zjadanych spartańskich posiłków, na jakich poprzestawał, by cały czas poświęcić studiom. Teraz westchnął i niczego nie pominął, wszystkiego próbując z chęcią.

Gdy cienie się wydłużyły i zapadł zmierzch, niewolnicy przytwierdzili grube stoczki do rogowych pancerzy żywych żółwi i zapalili je. Wniesiono na drogach cztery olbrzymie kotły: jeden pełen kremu z ubitych kurzych jaj, drugi tłustego bulionu z ziołami, trzeci pikantnie przyprawionego siekanego mięsa, a ostatni pokrojonej na dzwonka nie znanej Robowi smażonej ryby, białej i dzielącej się na płatki jak płastuga, lecz delikatnej jak pstrąg.

Kiedy zapadła noc, odezwały się nocne ptaki. Oprócz nich słychać było jedynie ciche szepty, odgłosy odbijania się, gryzienia i żucia. Od czasu do czasu poruszył się któryś z żółwi, a wtedy światło padające od umieszczonej na nim świeczki przesunęło się i migotało niby drżące na wodzie światło księżyca.

A oni wciąż jedli.

Nie zabrakło też misy zimowej sałatki z marynowanych warzyw, a także misy rzymskiej sałaty z ostrą zieloną papryką, jakiej Rob dotąd jeszcze nie kosztował. Przed każdym biesiadnikiem postawiono głęboką czarkę ze słodko-ostrym szербetem, na koniec zaś słudzy wnieśli bukłaki wina i kubeczki, ciasta, orzechy w miodzie i solone pestki.

Rob siedział sam, pociągając przednie wino. Z nikim nie rozmawiał, przyglądał się tylko i słuchał z taką samą ciekawością, z jaką próbował jedzenia.

Kiedy bukłaki z winem zostały opróżnione, służba wniosła nowe z niewyczerpanych zapasów samego szacha. Co rusz ktoś odchodził na stronę ulżyć sobie lub zwymiotować, niektórzy upili się i spali jak zabici. Żółwie zbiły się w gromadkę, może ze zdenerwowania, tworząc w jednym kącie małą sadzawkę światła, resztę ogrodu zaś zostawiając w ciemnościach. Młody eunuch o wysokim słodkim głosie zaczął śpiewać z towarzyszeniem liry o wojownikach i miłości, nie bacząc, że obok niego kłóć się dwaj goście.

— Ty zafajdany psie — warczał jeden zapitym głosem.

— Żydowska gębo! — prychnął drugi.

Zwarli się i potoczyli na ziemię, walcząc zaciekle, póki ktoś ich nie rozdzielił.

Przyszła wreszcie chwila, że szach również zwymiotował, potem stracił przytomność i odniesiono go do powozu. Rob wymknął się za nim.

Nie było księżyca, więc z trudem znajdował drogę z posiadłości Rotuna ibn Nasra do miasta. Opanowany dziwnym rozgoryczeniem, z przemożnej jakiejś potrzeby szedł częścią drogi przeznaczoną dla szacha, raz nawet się zatrzymał i długo, z satysfakcją sikał na rozsypane kwiaty.

Mijali go konni i powozy, lecz nikt nie zaofiarował się go podwieźć, toteż powrót do Isfahanu zajął mu wiele godzin. Straż miejska tyłu już przepuściła powracających z przyjęcia maruderów, że i jego żołnierz wpuścił za bramę ze znużonym machnięciem ręki.

W połowie drogi przez miasto Rob zatrzymał się, usiadł na jakimś niskim murku i zadumał się nad tym najdziwniejszym z miast, w którym Koran wszystkiego zakazywał, a ludzie wszystkiego się dopuszczali; mężczyźni wolno było mieć cztery żony, ale większość chętnie ryzykowała życie, byle przespać się z innymi kobietami, sam władca zaś używał sobie, z kim mu się podobało; Prorok zakazał picia wina, uznawszy to za grzech, każdy jednak wiecznie spragniony był wina i wielu piło je w nadmiarze, a wielkie składy win należały do samego szacha...

Głowiąc się nad zagadką, jaką okazała się Persja, chwiejnym krokiem poszedł dalej do domu pod perłowym już niebem, odprowadzany przyjemnym dla ucha głosem muezina z minaretu Meczetu Piątkowego.

## Wyprawa medyków

Ibn Sina już przywykł do pobożnych pogroźek imama Kandrasy, który nie miał władzy nad szachem, lecz coraz surowiej napominał jego doradców, że picie wina i rozpusta sprowadzą gniew sił wyższych od tronu. Dla wzbudzenia lęku w wiernych wezyr zbierał za granicą wieści i przedstawiał niezbite dowody, że Allah (nie masz potężniejszego niż On!) wrze gniewem na wszystkich grzeszników świata.

Podróżni z Jedwabnego Szlaku donosili o klęskach trzęsienia ziemi i plagach mgieł w Chinach w dorzeczu Jangcy i Huang-ho. W Indiach po roku suszy przyszły wprawdzie ulewne wiosenne deszcze, jednakże wschodzące zasiewy pożarła plaga szarańczy. Wielkie sztormy natarły na wybrzeże Morza Arabskiego powodując powodzie, w których wielu ludzi utonęło, a w Egipcie nastał głód spowodowany zbyt niskim przyborem Nilu. W Beludżystanie wybuchła dymiąca góra wylewając rzekę płynnej skały. Dwóch mułłów z Nainu doniosło, że we śnie ukazały im się demony. Równy na miesiąc przed postem ramazanu wystąpiło częściowe zaćmienie słońca, po którym wydało się, że całe niebo płonie—pojawiły się na nim dziwne ognie niebieskie. Najpewniejszego dowodu niezadowolenia Allaha dostarczyli królewscy astrologowie, którzy z drżeniem i lękiem donieśli, że w ciągu dwóch miesięcy należy oczekiwać niespotykanej koniunkcji trzech głównych planet, Saturna, Jowisza i Marsa, pod znakiem Wodnika. Nie było zgody co do dokładnej daty tego wydarzenia, nikt jednak nie kwestionował jego wagi. Nawet Ibn Sina z powagą wysłuchał tej wiadomości, wiedział bowiem, że już Arystoteles pisał o groźbie, jaką niesie koniunkcja Marsa z Jowiszem.

Wydało się więc, że tak było przeznaczone z góry, kiedy pewnego jasnego a strasznego ranka Kandrasa wezwał Ibn Sina i powiadomił go, że w Szkazie, największym mieście Farsu, wybuchła zaraza.

— Jaka zaraza? — zapytał medyk.

— Czarna śmierć — odpowiedział imam.

Ibn Sina pobladł, choć miał nadzieję, że imam się myli, czarna śmierć bowiem omijała Persję od trzydziestu lat. Ale jego umysł w jednej chwili ogarnął wagę problemu.

— Natychmiast trzeba wysłać żołnierzy na Korzenny Szlak, żeby zawrócili wszystkie karawany i podróżnych z południa. A do Farsu musimy wyprawić medyków.

— Podatki z Farsu nie dają dużego dochodu — zauważył imam, Ibn Sina pokręcił jednak głową.

— We własnym interesie nie wolno nam dopuścić do rozszerzenia się zarazy. Czarna śmierć szybko się przenosi.

Ibn Sina nim wrócił do siebie, doszedł do wniosku, że nie może wysłać grupy swoich kolegów, gdyby bowiem plaga dosięgła Isfahanu, medycy będą potrzebni na miejscu. Zdecydował zatem, że wyśle jednego medyka z grupą pomocników.

Wyprawę należy wykorzystać do tego, by przy okazji utemperować najlepszych i najsilniejszych, postanowił. Zastanowiwszy się chwilę, wziął pióro, atrament i papier i napisał:

Hakim Fazil ibn Parwiz, przywódca Sulejman al-Gamal, student trzeciego roku Jesse ben Benjamin, student pierwszego roku Mirdin Askari, student drugiego roku.

W wyprawie winni również wziąć udział niektórzy najsłabsi kandydaci na medyków, należy bowiem spożytkować tę jedyną, zesłaną przez Allaha okazję, by mogli poprawić słabe wyniki w nauce i mimo wszystko zostać medykami. Z tą myślą dodał do listy nazwiska:



Omar Nehawend, student trzeciego roku Abbas Sari, student trzeciego roku Ali Rasrid, student pierwszego roku Karim Harun, student siódmego roku.

Gdy wybrani młodzi ludzie się zebrali i usłyszeli od Pierwszego Medyka, że wysyła ich do Farsu, do walki z czarną śmiercią, zmieszali się dziwnie i unikali spojrzenia w oczy i jemu, i sobie nawzajem.

— Każdy z was musi być uzbrojony — rzekł Ibn Sina — bo nie da się przewidzieć ludzkiego zachowania podczas plagi.

Ali Rasrid wydał z siebie przeciągłe bolesne westchnienie. Był szesnastoletnim okrągłolicym chłopcem o łagodnych oczach i tak tęsknił za rodziną pozostałą w Hamadanie, że dniem i nocą popłakiwał, nie potrafiąc się zająć studiami.

Rob skupił się z wysiłkiem na tym, co mówił Ibn Sina.

— ...nie umiemy wam wskazać, jak z nią walczyć, bo za naszego życia nie występowała, ale mamy księgę spisana przed trzystu laty przez medyków, którzy przeżyli tę plagę w różnych miejscach. Damy wam tę księgę. Jest w niej niewątpliwie dużo teorii i rad niewielkiej wartości, ale wśród nich mogą się znaleźć i użyteczne wskazówki. — Ibn Sina podrapał się w brodę. — Gdyby przyczyną czarnej śmierci były przenoszone powietrzem wyziewy zgnilizny, myślę, że w pobliżu zarówno chorych, jak i zdrowych powinniście palić wielkie ogniska z aromatycznego drewna. Zdrowi muszą obmywać się winem i octem, skraplać octem domy, mogą też wachać kamforę i inne substancje eteryczne... Dbajcie, żeby robili to również chorzy. Wam radzę trzymać przy nosie nasączone octem gąbki, kiedy będziecie mieć styczność z chorymi, i zawsze przegotowywać wodę przed wypiciem dla oczyszczenia jej od wszelkich nieczystości. I pamiętajcie o czystości dłoni, bo jak mówi Koran, diabeł kryje się pod paznokciami... — Ibn Sina odchrząknął. — Ci, co przeżyją plagę, nie mogą zaraz wracać do Isfahanu, żeby nie przywlec zarazy tutaj. Udacie się do domu na Skale Ibrahima, jeden dzień drogi na wschód od miasta Nain i trzy dni na wschód stąd. Tam spędzicie miesiąc przed powrotem. Zrozumieliście?

— Tak, panie — powiedział hakim Fazil ibn Parwiz drżącym głosem, przemawiając w imieniu wszystkich z racji swego stanowiska. Młody M po cichu płakał. Przystojna twarz Karima Haruna pociemniała od złych przeczuć.

Na koniec odezwał się Mirdin Askari:

— Mam żonę i dzieci... muszę wszystko ułożyć. Żeby mieć pewność, że nic im się nie stanie, gdybym... Ibn Sina skinął głową.

— Ci, na których spoczywają jakieś obowiązki, mają na ułożenie swoich spraw tylko kilka godzin.

Rob nie wiedział, że Mirdin ma żonę i dzieci. Żyd był zawsze skryty i niezależny, pewien siebie w sali wykładowej i w maristanie. Teraz jednak zbieleńszymi wargami odmawiał cichą modlitwę.

Rob był nie mniej od innych przestraszony, że go wysyłają na wyprawę, z której może nie wrócić, lecz postarał się tego nie okazywać. Pocieszał się przy tym, że przynajmniej nie będzie musiał dłużej służyć w więzieniu.

— Jeszcze jedno—dodał Ibn Sina ogarniając ich ojcowskim spojrzeniem. — Musicie starannie wszystko zapisywać dla tych, którzy będą walczyli z następną zarazą. I pamiętajcie, żeby zapiski zostawić w miejscu, w którym będzie można je znaleźć, gdyby wam się coś stało.

Nazajutrz rano, gdy słońce rumieniło wierzchołki drzew, z hałasem przejechali przez most nad Rzeką Życia, każdy na dobrym koniu i prowadząc jucznego konia lub muła.

Po jakimś czasie Rob poradził Fazilowi, by jeden jechał przodem jako zwiadowca, drugi zaś daleko za nimi w straży tylnej. Młody hakim udał, że się zastanawia, po czym głośno

wydał odpowiednie polecenia, w nocy natomiast od razu się zgodził, gdy Rob podsunął taki sposób pełnienia straży, jaki stosowała karawana Kerla Fritty.

Siedząc przy ognisku z gałęzi głogu, na przemian żartowali lub wpadali w ponury nastrój.

— Moim zdaniem najmądrzejsze, co wymyślił Galen, to postępowanie, jakie zaleca medykowi w czasie zarazy—oświadczył posepnie Sulejman al-Gamal. — Powiada mianowicie, że medyk powinien uciekać od zarazy, aby przeżyć i dalej leczyć ludzi. Sam też dokładnie tak postąpił.

— Ja uważam, że lepsze jest to, co mówi wielki medyk Razi — wtrącił Karim.

Trzy krótkie słowa przepędzą zarazę Zawsze i wszędzie: szybko, daleko i czekać. Szybko się zbieraj, uciekaj daleko od razu, A do powrotu nie śpiesz się, zaczekaj.

Ich śmiech zabrzmiał nazbyt głośno.

Pierwszy pełnił wartę Sulejman, nie zdziwili się zatem zbyt po przebudzeniu stwierdziwszy, że wymknął się w nocy zabierając swoje konie. Poruszyło ich to jednak wszystkich i mocno przygnębiło. Następnego wieczora Fazil po rozbiciu obozu wyznaczył na strażnika Mirdina. Wybór okazał się trafny — Askari pilnował ich jak należy. Trzeciej nocy obozu strzegł Omar Nehawend, który ochoczo poszedł w ślady Sulejmana i uciekł razem z końmi.

Kiedy tylko odkryto, że zbiegł, Fazil zwołał towarzyszy.

— To nie grzech bać się czarnej śmierci, inaczej wszyscy zasługiwali by na wieczne potępienie — powiedział. — Nie jest też grzechem brać przykład z Galena i Raziego i uciekać... Choć ja jestem tego samego zdania co Ibn Sina: uważam, że medyk powinien walczyć z zarazą, nie rejterować. Grzechem jest pozostawić towarzyszy nie strzeżonych. A jeszcze większym wykładać się z jucznym koniem i zapasami potrzebnymi chorym i umierającym.—Popatrzył na nich surowo.—Powiadam więc, jeśli jeszcze który chce odejść, niech idzie teraz. I klnę się na honor, pozwolę mu odejść nie uznając tego za hańbę i nie chowając urazy.

Słysząc było tylko ich oddechy. Nikt nie wystąpił. Po chwili milczenia odezwał się Rob:

— Tak, każdemu wolno odejść. Ale jeśli odchodząc zostawi nas nie strzeżonych i bezbronych albo zabierze ze sobą zapasy potrzebne chorym, do których jedziemy, moim zdaniem należy go ścigać i zabić.

Znowu nikt się nie odzywał, aż w końcu Mirdin oblizał wargi i rzekł:

— Zgadzam się.

— Tak — poparł go Fazil.

— I ja się zgadzam — powiedział Abbas Safi.

— Ja też — wyszeptał Ali.

— I ja! — oświadczył Karim.

Każdy z nich wiedział, że nie jest to czcza pogroźka, lecz uroczysta przysięga.

Dwie noce później na Roba wypadła kolej strzeżenia obozu. Rozbili go w skalistym wąwozie, w którym światło księżyca malowało potworne kształty na spiętrzonych głazach. Ta długa i samotna noc dała mu okazję pomyśleć o smutnych sprawach, kiedy indziej skutecznie wypieranych z pamięci, wspomniawszy więc braci i siostrę, i umarłych bliskich. Długo też rozmyślał o kobiecie, której pozwolił odejść.

Nad ranem, gdy stał w cieniu wielkiego głazu niedaleko śpiących towarzyszy, dostrzegł, że jeden gotuje się do ucieczki. Był to Karim Harun. Wymknął się z obozu bacząc, by nie zakłócić niczyjego snu, a znalazłszy się w pewnej odległości, ruszył lekkim biegiem wzdłuż szlaku i wkrótce zniknął Robowi z oczu. Ani nie zabrał zapasów, ani nie zostawił towarzyszy bez opieki, toteż Rob nie próbował go zatrzymać. Doznał jednak gorzkiego zawodu, polubił

już bowiem przystojnego kpiarza, który od tylu lat studiował medycynę.

Jakaś godzinę później dobył miecza, spłoszony dźwiękiem kroków zbliżających się w szarym świetle ranka. Podniósł się z miejsca i... zagroził drogę Karimowi, który ciężko dysząc, z twarzą i koszulą mokrą od potu, stanął przed nim ze zdumieniem patrząc na obnażoną broń.

— Widziałem, jak odbiegasz—wyjaśnił Rob —i myślałem, że uciekasz.

— Odbiegłem... — wysapał Karim, z trudem chwytając oddech.—Odbiegłem... i przybiegłem. Jestem biegaczem—powiedział i uśmiechnął się, gdy Rob chował miecz.

Karim biegał co rano, wracając zlany potem. Abbas Safi opowiadał śmieszne historyjki, śpiewał sprośne piosenki i miał dar bezlitosnego przedrzeźniania innych. Hakim Fazi! był zapaśnikiem i wieczorami na popasach powalał ich wszystkich, mając pewne kłopoty tylko z Robem i Kadmem. Mirdin okazał się najlepszym z nich kucharzem, ochocho też podjął się obowiązku gotowania wieczornych posiłków. Młody Ali, w którego żyłach płynęła krew beduina, znakomicie jeździł konno, toteż nade wszystko lubił pełnić obowiązki zwiadowcy, wyjeżdżając daleko przed nich. Wkrótce oczy mu błyszczały już nie łzami, lecz zapalem i kipiał młodzieńczą energią, za którą wszyscy go polubili.

Wzrastające poczucie wspólnoty było miłe, a długa podróż mogłaby być całkiem przyjemna, gdyby nie to, że w obozach i w czasie postojów hakim Fazil czytał im „Księgę zarazy” otrzymaną od Ibn Siny. Księga podawała setki wskazówek sławnych ludzi, którym wydawało się, że wiedzą, jak walczyć z zarazą. Niejaki Lamna z Kairu zapewniał, iż niezawodną metodą jest pojenie pacjenta jego własnym moczem i jednocześnie recytowanie stosownych zaklęć skierowanych do Allaha (niech będzie pochwalone Jego imię!).

Al-Hadżar z Bagdadu doradzał ssanie w czasie epidemii ściągającego soku granatu lub śliwki, a ibn Mutillah z Jerozolimy gorliwie polecał spożywanie soczewicy, indyjskiej fasoli, pestek dyni i czerwonej glinki. Rad było tyle, że oszołomiona ekipa medyków przestała w nich dostrzegać jakikolwiek sens. Prócz tego Ibn Sina sporządził do księgi addendę, w której spisał zabiegi, jakie jemu wydawały się rozsądne: palenie silnie dymiących ognisk, zmywanie ścian wodą wapienną i spryskiwanie ich octem, podawanie ofiarom zarazy soków owocowych. Po naradzie wysłannicy z Isfahanu zgodnie postanowili stosować się do zaleceń nauczyciela, a wszystkie inne rady zignorować.

Ósmego dnia na postoju Fazil wyczytał z księgi, że z każdych pięciu medyków, którzy walczyli z czarną śmiercią podczas zarazy w Kairze, czterech na nią zmarło. Nic więc dziwnego, że w dalszą drogę ruszyli w melancholijnym nastroju, jak gdyby dostali wiadomość, iż los ich został przypieczętowany.

Na drugi dzień rano przybyli do niewielkiej wsi. Okazało się, że to Nardiz i że są już niedaleko Szirazu. Mieszkańcy wsi powitali ich z uszanowaniem, gdy hakim Fazil oznajmił, że są medykami z Isfahanu wysłanymi przez szacha Alę na pomoc ludziom dotkniętym plagą.

— Nie mamy tu zarazy, hakimie—powiedział naczelnik wsi z wdzięcznością. — Ale dochodzą nas słuchy, że śmierć i cierpienie szerzą się w Szirazie.

Jechali teraz gotowi na wszystko, ale w każdej z mijanych kolejno wsi ludzie byli zdrowi. Kiedy dotarli do górskiej kotliny w Naksz-e Huştam, ujrzeni potężne skalne grobowce, miejsce spoczynku czterech pokoleń perskich władców. Tu, ponad chłostaną wiatrem kotliną, leżeli Dariusz Wielki, Kserkses, Artakserkses i Dariusz II patrząc na wojny, zarazy i najazdy, i przemijanie wszystkiego. Gdy czterej muzułmanie zatrzymali się na drugą modlitwę, Rob i Mirdin stanęli przed jednym z grobowców i ze zdumieniem patrzyli na wyryty napis:

Jam jest potężny Kserkses, król królów, władca krain zamieszkałych przez liczne ludy,  
król całego wielkiego świata, syn króla Dariusza, Achamenidy.

Jadąc dalej, minęli olbrzymie rumowisko połamanych rowkowanych kolumn i

rozrzuconych kamieni. Karim powiedział Robowi, że to Persepolis, miasto zniszczone przez Aleksandra Wielkiego dziewięćset lat przed narodzeniem Proroka (niech Bóg go błogosławi!).

Niedaleko od ruin tego starożytnego miasta natknęli się na chłopską zagrodę. Dom stał cichy, słychać było tylko pobekiwanie kilku pasących się za nim owiec, miły dźwięk czysto niosący się w powietrzu słonecznego dnia. Nie opodal zauważyli siedzącego pod drzewem pasterza, lecz gdy podjechali bliżej, okazało się, że jest martwy.

Hakim, podobnie jak pozostali, osadził tylko konie, gapiąc się oniemiały na ciało. Ponieważ nie wziął sprawy w swoje ręce, Rob zsiadł z wierzchowca, by zbadać trupa: był już sztywny. Zbyt długo nie żył, by dało mu się zamknąć szeroko otwarte oczy, zwierzęta zdążyły mu nadgryźć nogi i prawą dłoń. Koszulę z przodu miał czarną od krwi. Gdy Rob wydobył nóż i rozciął koszulę, nie znalazł śladów zarazy, lecz ciętą ranę nad sercem na tyle dużą, że mogła być zadana mieczem.

— Rozejrzyjmy się po okolicy — powiedział.

Dom okazał się opuszczony. Na polu za domem znaleźli szczątki kilkuset zarżniętych owiec, wielu objęzonych do czysta przez wilki. Całe pole wokoło było zdeptane — najwyraźniej zatrzymał się tu jakiś oddział wojska w poszukiwaniu mięsa i pasterz zginął z rąk żołnierzy.

Fazil, który przez cały czas patrzył szklistym wzrokiem, nie wydał ani jednej wskazówki czy polecenia. Rob z własnej inicjatywy ułożył zatem ciało pasterza na boku, razem usypali nad nim kopiec z kamieni i większych głazów, by ustrzec szczątki przed zwierzętami, i z ulgą opuścili to miejsce.

Po jakimś czasie pojawiła się przed nimi wspaniała posiadłość, otoczony uprawnymi polami okazały dom, który też wyglądał na opuszczony. Mimo to zsiadli z koni.

Karim długo i głośno się dobijał, zanim odsłonięto niewielki otwór w drzwiach i ukazało się w nim czyjeś oko.

— Odejdźcie — usłyszeli.

— Jesteśmy grupą medyków z Isfahanu w drodze do Szirazu — powiedział Karim.

— A ja jestem Ismail Kupiec. Mogę wam powiedzieć, że w Szirazie mało kto pozostał przy życiu. Siedem tygodni temu przybyło tu wojsko Turków Seldżuków. Większość z nas schroniła się przed nimi z kobietami, dziećmi i zwierzętami w murach Szirazu. Seldżycy nas oblegali, ale że wybuchła wśród nich czarna śmierć, po paru dniach odступili. Zanim jednak odeszli, z katapulty cisnęli za wały, do zatłoczonego miasta, ciała dwóch zmarłych od zarazy żołnierzy. Jak tylko się wynieśli, usunęliśmy te dwa trupy z miasta i spalili... Niestety, było za późno, zaraza już się wśród nas pojawiła. Teraz hakim Fazil odzyskał mowę.

— Straszna ta zaraza? — zagadnął.

— Nie można sobie wyobrazić straszniejszej — odparł głos zza drzwi. — Niektórzy okazują się na nią odporni, jak na przykład ja, dzięki niech będą Allahowi, którego miłosierdzie jest bez granic, ale większość tych, co się znaleźli w obrębie murów, umiera.

— Co na to medycy z Szirazu? — zapytał Rob.

— W mieście zostało dwóch balwierzy i czterech medyków, wszyscy inni uciekli, jak tylko Seldżycy odступili. Balwierze i dwóch medyków dotąd się trudzili przy ratowaniu ludzi, póki sami nie padli, a nie trzeba było na to długo czekać. Potem jeszcze jednego powaliła zaraza, tak że jak niecałe dwa dni temu opuszczałem miasto, przy chorych został tylko jeden medyk.

— Wygląda więc na to, że bardzo jesteśmy potrzebni w Szirazie — zauważył Karim.

— Mam wielki czysty dom — powiedział ten za drzwiami — i duży zapas konopi, które

zapobiegną wszelkim kłopotom. Otworzę wam drzwi, bo wpuszczając medyków zapewnię sobie opiekę. Zaczekamy, aż zaraza się wypali, a wtedy w Szirazie wszyscy skorzystamy. Który z was przyjmie schronienie w moim domu?

Stali w zupełnym milczeniu.

— Ja — rzekł wreszcie ochrypłym głosem Fazil.

— Nie czyn tego, hakimie — rzekł Rob.

— Jesteś naszym przywódcą i jedynym medykiem — dodał Karim.

Fazil jakby ich nie słyszał.

— Wejdę do ciebie, kupcze.

— Ja też — odezwał się Abbas Safi.

Obaj zsunęli się z koni. Nie było słyhać, jak kupiec odsuwa ciężki rygiel. Mignęła im blada brodata twarz, gdy drzwi uchylily się na tyle, by tamci mogli się przez nie wślizgnąć, po czym zatrzaśnięto je i na powrót zaryglowano.

Ci, którzy zostali przed domem, czuli się jak rozbitkowie na otwartym morzu. Karim spojrział na Roba.

— Może mają słuszość — mruknał. Mirdin nic nie powiedział, twarz miał jednak zmartwioną i niepewną. Młodemu Alemu znowu zbierało się na płacz.

— „Księga zarazy”!... — ocknał się naraz Rob, przypomniawszy sobie, że Fazil wiozł ją w dużej sakwie przewieszzonej na pasku przez szyję. Podeszedł do drzwi i załomotał.

— Odejdź — poprosił Fazil głosem, w którym zabrzmiało przerażenie. Bez wątpienia bał się otworzyć drzwi, by się na niego nie rzucili.

— Posłuchaj, ty wężygówno — warknał Rob nagle rozwścieczony — jak nie dostaniemy „Księgi zarazy”, to zaraz cały ten dom zniknie pod stosem drew i gałęzi, który z rozkoszą podpalę, podrabiany medyku!

Natychmiast dało się słyszeć ponowne odsuwanie rygla. Drzwi się otworzyły i ciśnięta przez nie księga upadła im pod stopy.

Rob podniósł ją i wsiadł na konia. Wściekłość mu minęła, gdy odjeżdżał, jakąś bowiem częstką swojej istoty pożałował, że nie znajduje się wraz z Fazilem i Abbasem Safim w bezpiecznym domu kupca.

Ujechał spory kawałek drogi, zanim zmusił się, by popatrzeć za siebie. Mirdin Askari i Karim Harun zostali daleko w tyle, ale podążali za nim. Pochód zamykał młody Ali Raszid, prowadzący jucznego konia Fazila i muła Abbasa Safiego.

## Czarna śmierć

Szlak przecinał bagnistą równinę niemal w linii prostej, a dalej, pnąc się wśród skalistych nagich gór, które przemierzali całe dwa dni, stał się jednym pasmem udreki. W końcu jednak zjechali z gór kierując się już wprost do Szirazu i trzeciego dnia rano daleko przed sobą ujrzeli dym. Zbliżywszy się, napotkali ludzi palących ciała pod murami miasta. Za Szirazem widoczne były ściany sławnego Tang-i Allahu Akbar, czyli Wąwozu Wielkiego Allaha. Rob dostrzegł dziesiątki krążących nad nim wielkich czarnych ptaków i wtedy zrozumiał, że wreszcie znaleźli zarazę.

W bramie nie napotkali straży, miasto zaś wyglądało jak splądrowane. Rozplanowano je wygodnie, wzniesiono z różowego kamienia wśród wielu ogrodów, wszędzie jednak pniaki znaczyły miejsca, w których niegdyś majestatyczne zielone drzewa dawały cień—na stopy pogrzebowe ścięto nawet krzewy róż.

Jechali pustymi ulicami jak we śnie. Wreszcie wypatrzyli kulejącego mężczyznę, ale kiedy go pozdrowili ruszając w jego kierunku, uciekł za domy. Wkrótce spotkali innego przechodnia i tym razem otoczyli go koźmi, gdy próbował uciec, a Rob dobył miecza.

— Odpowiadaj, to nic ci nie zrobimy. Gdzie medycy? Mężczyzna był przerażony. Do nosa i ust przyciskał małą torebkę zawierającą prawdopodobnie aromatyczne zioła.

— U kalandara — wyjąkał wskazując w górę ulicy.

Po drodze minęli wóz ze zwłokami. Dwóch krzepkich grabarzy, z twarzami zasłoniętymi szczelniej niż mużłmanki, zatrzymało się, by ciało małego chłopca zabrać z pobocza ulicy, gdzie je zostawiono. Na wozie leżały już trzy trupy dorosłych: mężczyzny i dwóch kobiet.

Kiedy w ratuszu przedstawili się jako medycy z Isfahanu, tęgi mężczyzna o wyglądzie żołnierza i zniedołężniały starzec wpatrzyli się w nich ze zdumieniem. Obaj mieli twarze zapadnięte i szeroko otwarte oczy ludzi, którzy od dawna nie spali.

— Jestem Dehbid Hafiz, kalendar Szirazu — oznajmił młodszy. — A to hakim Isfari Sandżar, nasz ostatni medyk.

— Dlaczego nikogo nie ma na ulicach? — zapytał Karim.

— Było nas tu czternaście tysięcy — odparł Hafiz — a z nadejściem Seldżuków jeszcze cztery tysiące schroniło się w murach miasta. Po wybuchu zarazy jedna trzecia uciekła z Szirazu

— dodał z goryczą—w tym wszyscy bogaci i władze, ciesząc się, że mogą zostawić majątek pod opieką kalandara i straży. Blisko sześć tysięcy umarło. Kogo czarna śmierć jeszcze nie dosięgła, ten kryje się w domu i błaga Allaha, by pozwolił mu przeżyć.

— Czym ich leczycie, hakimie? — zapytał Karim.

— Nic nie pomaga na zarazę — odpowiedział starzec.

— Medyk może liczyć tylko na to, że przyniesie trochę ulgi umierającym.

— Nie jesteśmy jeszcze medykami — wyjaśnił Rob — lecz studentami medycyny, przysyła nas tu Ibn Sina, nasz mistrz, i uczynimy, co nam każecie.

— Nic wam nie każę, róbcie, co się da — rzekł szorstko hakim Isfari Sandżar. — Dam wam tylko jedną radę — dodał. — Jeżeli przeżyjecie, co rano przy posiłku zjadajcie kawałek przypieczonego chleba umoczony w occie winnym, a ilekroć przyjdzie wam z kimś rozmawiać, przedtem wypijcie wina.

Wtedy dopiero Rob pojął, że to, co wziął za niedołężność starości, jest tylko stanem

znacznego upojenia alkoholem.

Zapiski grupy medyków z Isfahanu:

Ktokolwiek znajdzie te zapiski po naszej śmierci, zostanie szczerze nagrodzony, jeśli dostarczy je Abu Ali al-Husajnowi ibn Abdullahowi Ibn Sinie, Pierwszemu Medykowi maristanu w Isfahanie.

Spisane 19 dnia miesiąca robi I, 413 roku od Hidżry.

Jesteśmy w Szirazie od czterech dni, w tym czasie zmarły 243 osoby. Zaraza zaczyna się od łagodnej gorączki, potem przychodzi ból głowy, czasami ostry. Gorączka wzrasta tuż przed wystąpieniem chorobowych zmian w pachwinie, pod pachami i za uszami, pospolicie zwanych guzami. „Księga zarazy” wspomina takie guzy, według hakima ibn al-Chatiba z Andaluzji powstające za sprawą diabła i zawsze w kształcie węża. Te, które oglądamy tutaj, nie są węzowate, lecz okrągłe i wypukłe, jak guzy nowotworowe. Mogą być wielkości śliwki, ale na ogół bywają rozmiaru ziarnka gorczycy. Często występują też krwawe wymioty, co zawsze zapowiada bliską śmierć. Większość chorych umiera w ciągu dwóch dni od pokazania się guzów. Niektórzy mają szczęście i guz im pęka. Kiedy to nastąpi, z chorego jakby wychodziły złe humory i możliwy jest wtedy powrót do zdrowia.

Sporządził Jesse hen Beniamin, student.

Znaleźli szpital założony w więzieniu, z którego wypuszczono skazańców. Wypełniony był umarłymi i umierającymi oraz dopiero co powalonymi chorobą w tak wielkiej liczbie, że nie sposób było komukolwiek przynieść ulgę. Zewsząd podnosiły się jęki i krzyki, w powietrzu stał ciężki zaduch krwawych wymiocin, nie mytych ciał i ludzkich odchodów.

Rob naradził się ze swymi trzema towarzyszami, po czym udał się do kalandara i zażądał, by oddano im do użytku cytadelę, w której mieszkali żołnierze. Uzyskawszy zezwolenie, przeszedł przez całe więzienie od pacjenta do pacjenta, pokrzepiając ich słowem i ściskając za ręce.

Jego dłonie odbierały straszne na ogół posłanie: naczynie życia stało się dziurawe jak sito.

Ludzi bliskich śmierci przeniesiono do cytadeli. Ponieważ stanowili olbrzymią większość ofiar choroby, tych, którzy jeszcze nie umierali, można było pielęgnować w miejscu czystszej i nie tak przepełnionym.

Trwała perska zima, noce były bardzo chłodne, popołudnia ciepłe. Szczyty gór pokryte śniegiem lśniły oślepiająco i rankami medykom przydawały się kożuchy. Nad wąwozem coraz większymi chmarami unosiły się czarne sępy.

— Wasi ludzie wrzucają trupy do wąwozu, zamiast je palić

— zwrócił uwagę Rob kalendarowi. Hafiz przytaknął skinieniem głowy.

— Zakazałem tego, ale sami widzicie, że brakuje drewna.

— Każdy musi być spalony. Bez wyjątku — przykazał mu stanowczo Rob, w tej bowiem sprawie Ibn Sina był nieugięty.

— Musicie uczynić co w waszej mocy, żeby na pewno wszystkie zwłoki palono.

Tego dnia po południu trzech ludzi ścięto za wrzucanie ciał do wąwozu i egzekucja powiększyła jeszcze żniwo nacierającej zewsząd śmierci. Nie to było celem Roba, Hafiz wszakże miał do niego żal.

— A skąd mam wziąć ludzi do zbierania drewna?... Przecież w mieście nie ostało się ani jedno drzewo!

— Wyślijcie żołnierzy w góry, niech tam narąbiają dREW

— poradził Rob.

— Nie wróćą.

Rob polecił zatem Alemu, by udał się z żołnierzami do opuszczonych domów. W większości były wzniesione z kamienia, lecz miały drewniane drzwi, okiennice i grube belki stropowe. M zapędził żołnierzy do zrywania wszystkiego, co było z drewna, i niebawem za murami miasta rozgorzały stosy.

Studenci starali się być posłuszni poleceniom Ibn Siny i oddychać przez nasączone winnym octem gąbki, utrudniało im to jednak pracę, wkrótce z nich zatem zrezygnowali. Idąc za przykładem hakima Isfariiego Sandżara co dzień wmuszali w siebie moczony w winnym occie chleb i wypijali sporo wina. Czasami zanim noc zapadła, byli równie pijani jak stary medyk.

Mirdin po pijanemu opowiedział im o swojej żonie Farze i synkach, Dawidzie i Isacharze, którzy w Isfahanie czekali na jego powrót. Mówił z nostalgią o domu ojca nad Morzem Arabskim i rodzinie skupującej perły wzdłuż wybrzeża.

— Lubię cię — wyznał Robowi. — Jak możesz być przyjacielem mojego okropnego kuzyna Ariji?

Rob teraz dopiero zrozumiał przyczynę jego początkowego chłodu.

— Ja przyjacielem Ariji? Nie jestem jego przyjacielem! To wredny zasraniec!

— Rzeczywiście wredny! I zasraniec!... — zawołał Mirdin i zaczęli się śmiać do rozpuku.

Przystojny Karim snuł opowieści o swoich miłosnych podbojach i obiecywał, że jak wrócą do Isfahanu, poszuka dla młodego Alego pary najpiękniejszych cycuszków we Wschodnim Kalifacie. Tak samo jak w podróży nadal co rano biegał, tyle że teraz po mieście umarłych. Czasami dopóty im dokuczał, dopóki razem z nim nie zapuścili się biegiem w bezлюдne ulice między domami pustymi i takimi, w których kulili się nerwowo jeszcze nie zarażeni chorobą. Po drodze mijali zwłoki wyłożone na ulicę, by zabrał je wóz grabarzy. Robili co mogli, byle tylko uciec od straszego obrazu rzeczywistości, i chodzili pijani nie tylko winem — byli przecież młodzi i pełni życia, a osaczyła ich śmierć, wszelkimi sposobami próbowali więc przezwyciężyć strach udając, że są nieśmiertelni i niepokonani.

Zapiski grupy medyków z Isfahanu:

Spisane 28 dnia miesiąca robi I, 413 roku od Hidżry

Puszczanie krwi, stawianie baniek i środki przeczyszczające niewielki przynoszą skutek. Związek występowania guzów ze śmiertelnością w tej zarazie jest interesujący, potwierdza się bowiem, że jeśli guz pęka lub stale wydziela z siebie zieloną ciecz, chory może przeżyć.

Możliwe, że wielu zabija straszliwie wysoka gorączka, która spala tłuszcz w ciele. Jednak gdy guzy ropieją, gorączka gwałtownie spada i zaczyna się powrót do zdrowia.

Dokonawszy tego spostrzeżenia, staraliśmy się przyspieszyć dojrzewanie guzów, by mogły pęknąć, stosując kataplazmy z gorzycy i cebulek lili, kataplazmy ze zmiążdżonych fig i gotowanej cebuli z dodatkiem masła oraz różne ściągające plastry. Czasem przecinaliśmy guzy, lecząc je jak wrzody, ale z niewielkim powodzeniem. Obrzmienia te jednak, po części wskutek podrażnienia, a po części pod wpływem gwałtownego działania środków ściągających, często tak twardniały, że nie można ich było przeciąć żadnym instrumentem. Próbowaliśmy je zatem wypalać środkami żrącymi — z miernym skutkiem. Wielu umarło szalejąc z bólu, inni podczas operacji, można by więc powiedzieć, żeśmy biedaków poddali śmiertelnej torturze. Niektórych wszakże uratowaliśmy. Może by i tak przeżyli bez naszej pomocy, lecz pociechą jest nam wiara, że uratowaliśmy bodaj tych nielicznych.

Sporządził Jesse hen Beniamin, student.

— Łapiduchy! — wrzasnął człowiek, którego dwóch jego służących cisnęło bezceremonialnie na posadzkę domu zarazy i uciekło bez wątpienia po to, by go okraść, co stało się przestępstwem pospolitym czasu zarazy, choroba niszczyła bowiem dusze również



szybko jak ciała. Spostrzegłszy guzy u dzieci, oszalali z przerażenia rodzice porzucali je bez chwili wahania. Tego ranka ścięto trzech mężczyzn i kobietę za plądrowanie domów, a jednego żołnierza wychłostano za gwałt na umierającej. Karim, który przewodził żołnierzom uzbrojonym w cebry wody wapiennej do zlewania domów dotkniętych zarazą, twierdził, że nie ma wystętku, z jakim by się nie spotkał, i utrzymywał, że oglądane gwałty świadczą wyraźnie, iż mnóstwo ludzi chwyta się życia poprzez cielesne rozpasanie.

Tuż przed południem kalendar, który sam nigdy nie wchodził do domu zarazy, przysłał bladego jak ściana, trzęsącego się żołnierza po Roba i Mirdina, wyszli więc na ulicę, gdzie zastali Chafiza, dla ochrony przed zarazą wachającego jabłko nadziane korzeniami.

— Musicie wiedzieć, że liczba zmarłych spadła wczoraj do trzydziestu siedmiu — oznajmił im tryumfalnie. Była to istotna poprawa, gdyż w dniu najsilniejszego ataku choroby, w trzecim tygodniu od jej wybuchu, zginęło 268 osób.

Chafiz twierdził, że według jego obliczeń Sziraz utracił 801 mężczyzn, 502 kobiety, 3193 dzieci, 566 niewolników, 1417 niewolnic, 2 chrześcijan i 32 żydów.

Rob i Mirdin wymienili porozumiewawcze spojrzenia, bo nie uszło ich uwagi, według jakiego kryterium kalendar ułożył listę.

Wtedy zobaczyli idącego ulicą Alego. Wyglądał jakoś dziwnie. Minąłby ich nie zauważając, gdyby Rob nie zawołał go po imieniu. Podeszedłszy do niego spostrzegł nieobecne spojrzenie chłopca. Gdy dotknął jego czoła i poczuł znajomy straszliwy żar, zamarło w nim serce.

— M — powiedział łagodnie — musisz wejść ze mną do środka.

Wielu już widzieli umierających, ale przyglądanie się, z jaką szybkością choroba opanowuje Alego Raszida, było dla Roba, Karima i Mirdina niczym uczestniczenie w jego cierpieniu. Od czasu do czasu rzucał się wstrząsany nagłym spazmem, jakby coś gryzło go w żołądku. Szarpały nim konwulsje bólu, cały się przeżył i skręcał w najdziwniejsze pozy. Obmyli go octem i wczesnym popołudniem zaświtała im nadzieja, gdyż w dotyku był niemal chłodny, lecz gorączka jakby tylko zbierała siły: kiedy przyszedł nowy atak, ciało Alego płonęło jeszcze większym żarem, wargi mu popękały, oczy się wywróciły. Wśród jęków i krzyków innych zarażonych jego głos niemal ginał, ale trzech koledzy słyszeli te straszne skargi wyraźnie, okoliczności bowiem zbliżyły go do nich jak brata.

Po zapadnięciu nocy czuwali przy nim na zmianę. Przed świtem Rob przyszedł zmienić Mirdina. Chłopak leżał rozciągnięty jak na torturach na skotłowanym posłaniu. Oczy miał nieprzytomne, gorączka go wyniszczyła, zniekształciła okrągłą młodzieńczą twarz, uwypuklając wydatne kości policzkowe i sępi nos beduina.

Rob ujął Alego za rękę i wyczuł znajome wygasanie.

Od czasu do czasu, byle coś robić, zamiast trwać w bezradnej beczynności, przesuwiał palce na przegub dłoni Alego i wyczuwał tętno, słabe i nierówne jak trzepot skrzydeł szarpiącego się ptaka.

Nim Karim przyszedł zmienić Roba, M nie żył. Nie mogli dłużej udawać, że są nieśmiertelni. Stało się oczywiste, że wkrótce przyjdzie kolej na innego, i teraz dopiero naprawdę poznali, czym jest lęk.

Odprawdzili ciało Alego na stos, a kiedy płonęło, każdy pomodlił się po swojemu.

Tego ranka byli świadkami przełomu. Do domu zarazy przynoszono wyraźnie mniej chorych. Trzy dni później kalendar, ledwie mogąc ukryć ton nadziei w głosie, zameldował, że w przeddzień umarło tylko jedenaście osób.

Przechodząc obok domu zarazy Rob zauważył masę zdechłych i zdychających szczurów i coś szczególnego wpadło mu w oko, gdy się im przyjrzał: gryzonie cierpiały na zarazę, niemal wszystkie miały niewielkie, ale widoczne guzy. Wyszukawszy zdechłego tak

niedawno, że jego ciepłe jeszcze futro roilo się od pcheł, położył zwierzę na dużym płaskim kamieniu i rozciął je nożem równie dokładnie, jakby mu zaglądał przez ramię al-Dżuzdzani czy któryś inny wykładowca anatomii.

Zapiski grupy medyków z Isfahanu:

Spisane 5 dnia miesiąca robi II, 413 roku od Hidzry

Podobnie jak ludzie padło też wiele różnych zwierząt, dochodzą nas wieści, że w okolicy Szirazu od zarazy giną konie, krowy, owce, wielbłądy, psy, koty i ptaki.

Pouczająca była sekcja sześciu zabitych przez zarazę szczurów. Zewnętrzne oznaki okazały się podobne do tych, jakie występują u ludzi: wytrzeszczone oczy, ściągnięte mięśnie, rozwarte usta, język wywalony i szerniały, guzy w okolicy krocza lub za uchem. Przeprowadzona na szczurach sekcja pokazuje wyraźnie, dlaczego chirurgiczne usunięcie guzów jest najczęściej nieskuteczne. Ta patologiczna zmiana ma głębokie, podobne jak marchew korzenie, które po usunięciu samego guza pozostają w ofercie i dokonują dalszych zniszczeń.

Po otwarciu szczurom brzuchów znalazłem u wszystkich ujście żołądków i górną część wnętrzości zabarwione zieloną żółcią. Jelita niżej pokrywały plamy. Wątroby wszystkich sześciu gryzoni były uschłe, a serca skurczone. Żołądek jednego szczura był, że tak powiem, obdarty wewnątrz z błony.

Czy u ludzi dotkniętych tą chorobą występują te same wewnętrzne objawy? Student Karim Harun twierdzi, że według Galena anatomia wnętrzości człowieka jest taka sama jak anatomia świni i małpy, inna wszelako od szczurzej.

Nie znając przyczyn śmierci od zarazy u człowieka, możemy jednak mieć tę gorzką pewność, że są one natury wewnętrznej, a zatem pozostają niedostępne naszym badaniom.

Sporządził Jesse ben Beniamin, student.

Dwa dni później, pracując w domu zarazy, Rob poczuł wewnętrzny niepokój, ociążałość, słabość w kolanach, trudności w oddychaniu i pieczenie w środku, jak gdyby zjadł za wiele przypraw, mimo że tego nie zrobił. Sensacje te nie mijały, a przeciwnie, wzmagaly się przez całe pracowite popołudnie. Staral się nie zważać na nie, dopóki spojrzawszy na twarz jednej z ofiar zarazy — rozpaloną i zniekształconą, z błyszczącymi oczyma wychodzącymi z orbit — nie odniósł wrażenia, że ogląda samego siebie.

Udał się do Mirdina i Karima. Odpowiedź wyczytał w ich oczach.

Zanim im pozwolił zaprowadzić się na posłanie, uparł się, że przyniesie „Księgę zarazy” oraz swoje notatki i odda je Mirdinowi.

— Gdyby żaden z nas nie przeżył, niech będą przy ostatnim, żeby ktoś je znalazł i odesłał Ibn Sinie.

— Tak będzie, Jesse — przyrzekł Karim i Rob się uspokoił. Teraz kamień spadł mu z serca. Najgorsze się stało, był więc wolny, wyzwolony z okropnej niewoli strachu.

— Jeden z nas przy tobie zostanie — obiecał zasmucony poczciwy Mirdin.

— Nie, nie, mnóstwo ludzi was tu potrzebuje — sprzeciwił się, jednakże potem czuł, że czuwają przy nim.

Postanowił obserwować każde z osobna stadium choroby i zapisywać je w pamięci, dotrwał jednak tylko do ataku wysokiej gorączki i tak strasznego bólu głowy, że od niego rozboleła go skóra na całym ciele. Derka za bardzo mu ciążyła, uwierała go, więc ją odrzucił. Zapadł w sen.

Przyśniło mu się, że siedzi i rozmawia z wysokim, kościstym Dickiem Bukerelem, dawno zmarłym starszym cechu cieśli w Londynie. Po przebudzeniu gorączka jeszcze bardziej mu dokuczala, szalejąc w jego wnętrzościach z coraz większą siłą.

W czasie niespokojnej nocy dręczyły go straszniejsze sny, walczył w nich z

niedźwiedziem, który stawał się stopniowo coraz wyższy i chudszy, aż się przemienił w Czarnego Rycerza, a wszystkie ofiary zarazy ustawiły się w koło i przyglądały ich zażartej walce, w której żaden nie mógł powalić drugiego.

Rano zbudzili go żołnierze wynoszący zwłoki z domu zarazy nawóz pogrzebowy. Jako student medycyny oswojony był z tym widokiem, ale czym innym było patrzeć nań z pozycji chorego. Serce się w nim kołatało, słyszał dalekie buczenie w uszach.

Ociężałość wszystkich członków była większa niż przed położeniem się do łóżka, a w środku palił go ogień.

— Wody... — wydyszał.

Mirdin pobiegł po wodę, lecz kiedy Rob uniósł się, żeby się napić, każdy oddech sprawiał mu okrutne cierpienie. Z początku nie wiedział, skąd rozchodzi się ból, wreszcie jednak zrozumiał i wtedy wymienili z Mirdinem przerażone spojrzenia: pod lewym ramieniem miał olbrzymi purpurowy guz.

Rob chwycił Mirdina za rękę.

— Nie rozcinaj go! I nie przypiekaj... Obiecujesz? Mirdin wyrwał rękę i pchnął Roba z powrotem na posłanie.

— Obiecuję, Jesse — powiedział łagodnie i pobiegł po Karima.

Uwiązali mu rękę z tyłu, za głową, do oparcia łóżka, w ten sposób odsłaniając guz. Nagrzali różanej wody i nasączyli nią szmatki na okłady, z oddaniem je zmieniając, kiedy stygły.

Płonął od gorączki większej, niż miał kiedykolwiek, czy to w życiu dorosłym, czy w dzieciństwie, a cały ból skupił się w guzie i nie ustępował, tak że w końcu Rob schronił się w zapomnienie. Myślami uciekł daleko od tego miejsca, znalazł chłód w pszenicznym cieniu i pieścił ją, dotykał jej ust, całował twarz i rude włosy osłaniające go ciemną mgiełką.

Usłyszał, jak Karim modli się po persku, a Mirdin po hebrajsku. Gdy Mirdin doszedł do „Szma Israel”, Rob się przyłączył: „Słuchaj, Izraelu. Pan jest naszym Bogiem, jeden jest Pan. I będziesz kochał Pana Boga swego z całego serca swego...”

Bał się umierać z żydowskim Pismem na ustach, jął zatem rozpaczliwie szukać chrześcijańskiej modlitwy. Wreszcie przyszła mu na pamięć pieśń, którą księża śpiewali za jego chłopięcych lat:

Jesus Christus natus est. Jesus Christus crucifixus est. Jesus Christus sepultus est. Amen.

Na posadzce tuż przy posłaniu usiadł jego brat Samuel. Niewątpliwie przyszedł po niego, by służyć mu za przewodnika. Wydawał się nie zmieniony, miał nawet ten sam ironiczny i kpiący wyraz twarzy. Rob właściwie nie wiedział, co mu powiedzieć — on przecież wyrósł na mężczyznę, a Samuel wciąż był chłopcem jak wtedy, gdy umarł.

Ból był bodaj jeszcze większy. Straszliwy.

— Chodź, Samuelu! — zawołał. — Idziemy.

Ale Samuel siedział tylko wpatrując się w niego.

Potem Rob poczuł taką rozkoszną, nagłą ulgę w bolącym ramieniu, że szarpnęła nim jak nowy ból. Nie mógł sobie pozwolić na złudną nadzieję, więc zmusił się i czekał cierpliwie, aż ktoś przyjdzie.

Po jakimś czasie, który zdawał się trwać niezwykle długo, uświadomił sobie, że stoi nad nim Karim.

— Mirdin! Mirdin! — wołał. — Chwała niech będzie Allahowi!... Guz pękł!

Pochyliły się nad nim dwie roześmiane twarze, jedna ciemna i ładna, druga brzydka, ale obie dobrotliwe jak twarze świętych.

— Założę tampon, żeby odsączyć — powiedział Mirdin i przez chwilę zbyt byli zajęci,

by dziękować Bogu.

Rob miał wrażenie, że przepłynął najburzliwsze morze i teraz się unosił na spokojnych przybrzeżnych wodach. Wracał do zdrowia równie szybko i bez przeszkód jak inni chorzy, których obserwował. Czuł się jeszcze osłabiony i niepewnie na nogach, co było naturalnym następstwem wysokiej gorączki, wróciła mu wszakże jasność umysłu i nie myliły się już zdarzenia przeszłe z teraźniejszymi. Narzekał, że beczynnienie się wyleguje, lecz jego towarzysze nie chcieli nawet słuchać o pomocy i kazali mu spokojnie leżeć w łóżku.

— Dla ciebie praktyka medyczna to wszystko — bystro zauważył któregoś ranka Karim.—Wiedziałem o tym, toteż nie protestowałem, kiedy objąłeś przywództwo nad naszą grupą.

Rob już otwierał usta, by zaprzeczyć, ale prędko je zamknął uświadomiwszy sobie, że Karim mówi prawdę.

— Byłem wściekły, jak na przywódcę wyznaczono Fazila ibn Parwiza — ciągnął Karim. — Dobrze zdaje egzaminy i profesorowie wysoko go oceniają, ale jako praktykujący medyk jest dopustem bożym. Co więcej, zaczął praktykę dwa lata po mnie i już został hakimem, a ja ciągle jestem studentem.

— No to jak mogłeś zgodzić się na mnie jako przywódcę? Przecież ja nie praktykuję jeszcze nawet roku...

— To co innego, z tobą nie można się równać. Ty jesteś niewolnikiem leczenia — odparł Karim, a Rob się uśmiechnął.

— Przyglądałem ci się w tych trudnych tygodniach — powiedział. — Czyżbyś nie służył temu samemu panu?

— Nie—odparł spokojnie Karim.—Och, nie zrozum mnie źle, chcę być jak najlepszym medykiem. Ale co najmniej tak samo chcę być bogaty. Tobie natomiast wcale nie zależy na bogactwie, prawda, Jesse?... — Kiedy Rob pokręcił głową, Karim mówił dalej: — Urodziłem się we wsi Karsz pod Hamadanem. Byłem dzieckiem, jak szach Abdallah, ojciec szacha Ali, przeprowadzał przez nasz kraj wielkie wojska przeciwko bandom seldzuckich Turków. Dokądkolwiek przybywały jego wojska, szło z nimi nieszczęście: pustoszyli kraj jak szarańcza. Zjadali zbiory i inwentarz, żywność, od której zależało życie lub śmierć ich własnego ludu. Po przejściu wojsk umieraliśmy z głodu... Miałem pięć lat. Matka złapała dopiero co urodzoną córeczkę za nogi i roztrzaskała jej główkę o kamień. Podobno wielu popadło w kanibalizm i wierzę, że tak było... Pierwszy umarł mój ojciec, po nim matka. Przez rok żyłem na ulicy z żebrakami i sam żebrałem, na koniec wziął mnie do siebie Żaki Omar, dawny przyjaciel mojego ojca. Był znanym biegaczem. Wykształcił mnie i nauczył biegania. I przez dziewięć lat używał mojego ciała.

Karim umilkł na chwilę. Ciszę zakłócały tylko słabe jęki chorego w drugim końcu sali.

— Miałem piętnaście lat, kiedy umarł — podjął. — Jego rodzina mnie przepędziła, ale przedtem załatwił mi przyjęcie do madrasy, przyjechałem więc do Isfahanu, po raz pierwszy wolny. Przyrzekłem sobie, że jeśli będę miał synów, zabezpieczę ich odpowiednio, a takie zabezpieczenie daje tylko bogactwo.

Na dwóch odległych krańcach świata jako dzieci przeżyli takie same katastrofy, pomyślał Rob. On także, gdyby miał mniej szczęścia albo gdyby Balwierz był innym człowiekiem...

Rozmowę przerwało im przybycie Mirdina, który usiadł na posadzce z drugiej strony posłania.

— Wczoraj w Szirazie nikt nie umarł — oznajmił.

— Chwała Allahowi! — powiedział Karim.

— Nikt nie umarł!—powtórzył Robi ujął ich obu za ręce. Karim i Mirdin też uściśniły sobie dłonie. Nie byli zdolni śmiać się ani płakać, jak starcy, którzy razem przeżyli życie. Tak

złączeni siedzieli i patrzyli na siebie rozkoszując się świadomością, że przetrwali.

Minęło jeszcze dziewięć dni, nim orzekli, że Rob ma dosyć sił, by ruszyć w drogę. Wieść o końcu zarazy już się rozeszła. Miały wprawdzie upłynąć całe lata, zanim w Szirazie wyrosną drzewa, lecz mieszkańcy zaczęli już wracać, a ten i ów sprowadzał drewno na budulec. Wyjeżdżając z miasta, minęli dom, w którym cieśle zawieszali okiennice, w kilku innych wprawiano drzwi.

Radzi byli, że zostawiają to miasto za sobą i wracają na północ.

Podróżowali bez pośpiechu. Gdy zajechali pod dom Ismaila Kupca, zsiadli z koni i zakolatali, nikt jednak nie odpowiedział.

Mirdin zmarszczył nos.

— Czuję trupy w pobliżu — powiedział cichym głosem.

W środku znaleźli rozkładające się ciała kupca i hakima Fazila. Po Abbasie Safim nie było śladu—zapewne uciekł z tego „bezpiecznego schronienia”, gdy zobaczył, że czarna śmierć dopadła tamtych dwóch.

Rob i jego towarzysze mieli więc do spełnienia ostatnią posługę przed opuszczeniem ziemi zarazy, toteż pomodlili się i spalili ciała, roznieciwszy wielkie ognisko z kosztownych sprzętów kupca.

Ośmiu ich opuszczało Isfahan w grupie medyków, z Szirazu wracało trzech.

## Kości zamordowanego

Isfahan, pełen zdrowych ludzi śmiejących się i sprzeczących, wydał się Robowi nierealny. Przez jakiś czas dziwnie mu było obracać się między nimi, odnosił bowiem wrażenie, że świat stanął na głowie.

Ibn Sina zasmucił się, ale nie zdziwił, dowiedziawszy się o ucieczce i śmierci ich towarzyszy. Skwapliwie przyjął od Roba notatki — w ciągu tego miesiąca, który trzej studenci spędzili w domu na Skale Ibrahima, aby mieć pewność, że nie przywloką ze sobą zarazy, Rob wiele spisał, zdając szczegółowy raport z pracy w Szirazie. Wyraźnie w nim zaznaczył, że koledzy uratowali mu życie, nie szczędząc słów gorącej pochwały.

— Karim też?—zapytał go obcesowo Ibn Sina, gdy byli sami.

Rob zawahał się, wydało mu się bowiem zarozumiałstwem oceniać kolegę, w końcu zaczerpnął tchu i odpowiedział na pytanie:

— Może miał kłopoty z egzaminami, ale jest już wspaniałym medykiem, w nieszczęściu spokojnym i zdecydowanym, i wrażliwym na cierpienie innych.

Ibn Sina wyglądał na zadowolonego.

— Musisz teraz iść do Rajskiego Domu i zdać sprawę szachowi. Pilnie chce pomówić o obecności wojsk seldżuckich w Szirazie — powiedział.

Zima dogorywała, lecz jeszcze trwała, toteż w pałacu panował chłód. Ciężkie buty Chuffa dzwoniły na kamiennej posadzce, gdy Rob szedł za nim przez ciemne korytarze.

Szach Ala siedział sam przy wielkim stole.

— Jesse ben Beniamin, wasza królewska wysokość — zaanonsował go Dowódca Bram i wycofał się, gdy Rob bił czołem w pokłonie.

— Wolno ci usiąść ze mną, zimmi. Musisz naciągnąć na kolana brzeg kobierca ze stołu — pouczył go władca. Gdy Rob to uczynił, doznał miłego zaskoczenia: stół ustawiono nad kratą w posadzce, przez którą wiało miłe ciepło z piecyków umieszczonych pod spodem.

Rob wiedział, że nie wolno mu za długo i nazbyt otwarcie przyglądać się władcy, lecz to, co dostrzegł, wystarczyło dla potwierdzenia bazarowych plotek o ciągłym rozkojarzeniu szacha. Oczy mu płonęły jak ślepia wilka, skóra na jego szczupłej, jastrzębiej twarzy wisiała luźno, co niewątpliwie świadczyło o nadużywaniu wina.

Przed szachem leżała deska podzielona na kwadraty na przemian jasne i ciemne, zastawiona wymyślnie rzeźbionymi figurami. Przy niej stał dzban z winem i kubki. Ala nalał wina dla siebie i gościa i swoje szybko wypił.

— Pij, pij, chciałbym zrobić z ciebie wesołego Żyda — rzekł. Jego płonące oczy patrzyły rozkazująco.

— Zechciejcie mi łaskawie pozwolić, bym uchylił się od tego. Wino nie czyni mnie wesołym, wasza wysokość. Staję się po nim dzikusiem i gburem, toteż nie mogę rozkoszować się jego smakiem tak jak ci, którzy w tym względzie więcej mają szczęścia — odparł Rob i spostrzegł, że pozyskał uwagę szacha.

— Wino sprawia, że budzę się co rano z silnym bólem w oczach i drżeniem rąk. Jesteś medykiem, jakie widzisz na to lekarstwo?

Rob się uśmiechnął.

— Mniej wina, wasza wysokość, a więcej jazdy konnej na czystym perskim powietrzu.

Przenikliwe oczy badały twarz Roba, szukając beczelności, ale jej nie znalazły.

— Więc musisz jeździć ze mną, zimmi.

— Jestem do usług, wasza wysokość.

Ala machnął ręką na znak, że to zrozumiałe.

— Dobrze. Pomówmy o Seldżukach w Szirazie. Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Słuchał uważnie, gdy Rob szczegółowo relacjonował wszystko, co wiedział o siłach, które najechały Sziraz. Gdy skończył, szach skinął głową.

— Wróg okrążył nas z północnego zachodu, dążąc do zajęcia pozycji na południowym wschodzie. Gdyby Seldżuchy podbili i zajęli Fars, Isfahan stałby się łatwym kąskiem dla ich ostrych kłów. — Uderzył dłonią w stół. — Chwała Allahowi, że zesłał na nich zarazę! Jak wróca, będziemy gotowi na przyjęcie gości. — Przyniósł dużą pokratkowaną deskę tak, że znalazła się pomiędzy nimi. — Znasz tę rozrywkę? — zapytał.

— Nie, wasza wysokość.

— To nasza prastara gra. Nazywa się szatrendż, „cierpienie króla”, bo jeden z walczących władców przegrywa. Na ogół jednak znana jest jako „gra szacha”, idzie w niej bowiem o wojnę. — Uśmiechnął się rozbawiony. — Nauczę cię gry szacha, zimmi... — Podał Robowi jedną z figur, przedstawiającą słonia, by się przekonał, jak jest jedwabiście gładka. — Zostały zrobione ze słoniowego kła — wyjaśnił. — Otóż widzisz, obaj stajemy w takim samym szyku: król pośrodku, jego wierny towarzysz, generał, tuż obok. Po obu stronach stają słonie rzucając na tron miły, ciemny jak indygo cień. Za słoniami idą dwa wielbłądy z ludźmi do szybkich poleceń na grzbiecie. Za nimi dwaj konni gotowi do walki, gdy przyjdzie pora. Na każdej flance tej linii bojowej stoi roch, żołnierz, z uniesionymi do ust złożonymi dłońmi, z których pije krew wroga. W pierwszej linii ruszają piechurzy, których obowiązkiem jest śpieszyć z pomocą innym. Gdy piechur przedrze się przez całe pole walki przeciwnika, staje jako bohater przy królu, mianowany generałem.

Dzielny generał nigdy się w walce nie oddala od króla dalej jak o jeden kwadrat. Potężne słonie przebiegają trzy kwadraty i ogarniają wzrokiem pole walki w zasięgu dwóch mil. Wielbłąd z tętentem i parskaniem przebiega trzy kwadraty, tu i tędy. Konie również się posuwają o trzy kwadraty, a przeskakując je omijają jeden kwadrat. Waleczni rochowie biegają na wszystkie strony, po całym polu walki.

— Każdy pion — ciągnął — porusza się po własnym torze, nigdzie nie zbaczając. Ktokolwiek w czasie walki zbliży się do króla, woła: „Ustąp, szachu!” i król musi się wycofać ze swego kwadratu. Jeśli król przeciwnika, jego koń, roch, generał, słoń lub całe wojsko zastąpią mu drogę, musi ze zmarszczonymi brwiami rozejrzeć się na cztery strony. Gdy widzi, że jego wojsko zostało odepchnięte, a drogę zagraadza mu wróg na lewo i prawo, z przodu i z tyłu, ginie ze zmęczenia i pragnienia, jak chce los przeznaczony obrotami nieba pokonanemu w walce... — Dolał sobie wina, wypił i spojrzał groźnie na Roba. — Rozumiesz?

— Zdaje się, że tak, wasza wysokość — odpowiedział ostrożnie Rob.

— To zaczynamy.

Rob popełniał błędy, przesuwając niektóre pionki nie tak jak trzeba i szach za każdym razem go poprawiał groźnie mrużąc. Gra nie trwała długo, bardzo szybko bowiem wojska Roba zostały pokonane, a król ujęty.

— Jeszcze raz — rzekł Ala z zadowoleniem.

Drugie starcie skończyło się niemal równie szybko jak pierwsze, lecz Rob już się zorientował, że szach przewiduje jego ruchy, zastawiał bowiem zasadzki i wciągał go w pułapki, jakby toczyli prawdziwą wojnę.

Gdy druga partia dobiegła końca, Ala odprawił go ruchem dłoni.

— Biegły gracz może unikać klęski całymi dniami—powiedział na pożegnanie. — Kto

wygrywa w grę szacha, zdolny jest rządzić światem. Ale spisałeś się dobrze jak na pierwszy raz. To nie hańba dla ciebie dostać szatrandż, ostatecznie jesteś tylko Żydem.

Jakże miło było znaleźć się z powrotem w małym domku w Jahudii i wrócić do codziennych trudnych obowiązków w maristanie i salach wykładowych! Ku wielkiemu zadowoleniu Roba zwolniono go z posług więziennego chirurga, w zamian asystował czas jakiś na oddziale złamań i razem z Mirdinem służył jako pomocnik hakimowi Dżalalowi ul-Dinowi. Małomówny szczupły Dżalal należał do czołowych przedstawicieli środowiska medyków Isfahanu, cieszył się poważaniem i powodzeniem, różnił się jednak znacznie od większości swoich kolegów.

— Więc to ty jesteś Jesse, ten balwierz? Słyszałem o tobie — powiedział, gdy Rob się przed nim stawiał.

— Tak, mistrzu.

— Nie dzielam powszechnej pogardy dla balwierzy. Co prawda większość to istotnie złodzieje i głupcy, ale są wśród nich także ludzie uczciwi i zdolni. Dawno temu uprawiałem inny zawód, będący w pogardzie u perskich medyków: byłem wędrownym nastawiaczem kości. I jak widać, nie przestałem nim być, kiedy zdobyłem tytuł hakima. Ale choć nie potępiam cię jako balwierza, musisz zapracować na moje uznanie. Jeżeli go nie zdobędziesz, dostaniesz taką nauczkę, że się nie pozbierasz, Europejczyku.

Zarówno Rob, jak Mirdin z radością przykładali się do pracy. Dżalal ul-Din był sławnym specjalistą od składania kości, wynalazcą przeróżnych wyściełanych łubków i wyciągów. Nauczył ich posługiwać się palcami jak oczami, by „zajrzeć” pod posiniaczone i poranione ciało i uzyskać obraz złamania na tyle jasny, ażeby zastosować najlepszy sposób leczenia. Dżalalowi nadzwyczaj zręcznie szło składanie potrzaskanych kości i umieszczanie ich odłamków we właściwym miejscu tak, by natura mogła je znów połączyć.

— Zdaje się, że jakoś dziwnie ciekawi go zbrodnia — z niezadowoleniem zauważył Mirdin w kilka dni po tym, jak rozpoczęli pracę w charakterze asystentów Dżalala. Rob zgodził się z nim, sam bowiem słyszał, jak medyk niezwykle długo rozwodził się na temat mordercy, który w tym tygodniu przyznał się do winy przed sądem imama Kandrasy. Był to niejaki Tachr-e Ajn, pasterz: dwa lata wcześniej dopuścił się sodomii na innym pasterzu, imieniem Kifti al-Ullah, a potem zabił go i pogrzebał ciało w płytkim grobie za murami miasta. Sąd skazał mordercę, którego niezwłocznie ścięto i poćwiartowano.

Parę dni później, gdy Rob i Mirdin zgłosili się do Dżalala, medyk powiedział im, że ciało zamordowanego ma być wydobyte z tymczasowego grobu i ponownie pogrzebane na mużułmańskim cmentarzu przy wtórce modlitwy zapewniającej duszy dostanie się do raju.

— Chodźmy tam — powiedział Dżalal. — To rzadka okazja. Dziś będziemy grabarzami.

Nie wtajemniczył ich, kogo przekupił, ale wkrótce obaj studenci i medyk, prowadząc obładowanego osła, wyruszyli za mułłą i żołnierzem kalandara na odludne zbocze, które Tachr-e Ajn wskazał przed straceniem jako miejsce pochówku swej ofiary.

— Kopcie ostrożnie—pouczył ich Dżalal, gdy wzięli się do łopat.

Niebawem znaleźli kości dłoni, a wkrótce potem odkopali cały szkielet i ułożyli szczątki Kiftiego al-Ullaha na derce.

— Czas coś zjeść — oznajmił wtedy Dżalal, odprowadzając osła w cień drzewa, z dala od grobu. Odpięli juki i wydobyli pieczone ptactwo, wspaniałe pilaw, wielkie daktyle, miodowe ciastka i dzban szerbetu. Żołnierz z mułłą ochoczo zabrali się do jedzenia, Dżalal i jego asystenci zaś, rezygnując z ciężkich potraw i nieuniknionej potem drzemki, pośpieszyli z powrotem do szkieletu.

Ziemia spełniła swoje zadanie — kości były czyste wyjąwszy rdzawą plamę wokół miejsca, w którym sztylet Tachra przebił mostek. Ukłękli nad szczątkami mówiąc szeptem,



zapomniałszy prawie, że kiedyś były one człowiekiem noszącym imię Kifti.

— Zwróćcie uwagę na kość udową — rzekł Dżalal — największą i najsilniejszą kość człowieka. Sami teraz widzicie, dlaczego trudno jest złożyć złamanie uda... A tu macie dwanaście par żeber. Zobaczcie, tworzą coś na kształt klatki, która osłania serce i płuca. Czyż to nie cudowne?

Zupełnie czym innym jest oglądać kości ludzkie zamiast owczych, pomyślał Rob.

— Mistrzu, a widzieliście... ludzkie serce i płuca?... — zapytał Dżalal.

— Nie. Ale Galen powiada, że są bardzo podobne do świńskich. Świńskie widzieliśmy wszyscy.

— A jeśli nie są takie same?

— Są takie same—rzekł przekornie Dżalal. — Nie marnujmy wspaniałej okazji do nauki, bo zaraz tamci dwaj wrócą. Widzicie?... Górne siedem par żeber przytwierdza do mostka giętka tkanka łączna. Następne trzy łączy zwykła tkanka, a ostatnie dwie pary nie są niczym przytwierdzone. Czyż Allah, wielki i potężny, nie jest najwspanialszym wynalazcą, zimmi? Czyż szkielet, na którym zbudował człowieka, nie jest cudowny?

Rozkoszowali się tą naukową ucztą w palącym słońcu, siedząc w kucki na lekcji anatomii zamordowanego.

Potem Rob i Mirdin długo pławili się w łaźni dla akademików, zmywając z siebie dotknięcie grobu i zmęczenie mięśni nie nawykłych do łopaty. Tam właśnie znalazł ich Karim, po którego minie Rob natychmiast poznał, że coś się stało.

— Mam powtarzać egzamin — oświadczył.

— Ale przecież tego chciałeś!

Karim zerknął na dwóch wykładowców rozmawiających w drugim końcu łaźni i zniżył głos.

— Boję się. Już prawie straciłem nadzieję... To będzie trzeci egzamin. Jeśli tym razem nie zdam, wszystko przepadnie. — Spojrzał na nich pośpiesznie. — Teraz mogę przynajmniej być asystentem...

— Zdasz galopem, jak przystało na biegacza — dodał mu otuchy Mirdin.

Karim jednak poważnie podchodził do sprawy egzaminu.

— Nie martwię się o część medyczną, tylko o filozofię i prawo — powiedział.

— Kiedy? — zapytał Rob.

— Za sześć tygodni.

— No to mamy dość czasu.

— Tak, będę się z tobą uczył filozofii — rzekł spokojnie Mirdin. — Jesse popracuje z tobą nad prawem.

Rob jęknął w duchu, nie uważał się bowiem za jurystę, ale przecież razem przeżyli zarazę, łączyło ich podobnie tragiczne dzieciństwo, wiedział zatem, że musi spróbować.

— Zaczynamy dziś wieczorem — oświadczył sięgając po ręcznik.

— Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś był przez siedem lat praktykantem, a potem został medykiem — rzekł Karim, nie skrywając przerażenia, co jeszcze bardziej ich zbliżyło.

— Zdasz — z przekonaniem oznajmił Mirdin, a Rob mu przytaknął.

— Muszę — powiedział Karim.

## Zagadka

Przez dwa tygodnie Ibn Sina zapraszał Roba do siebie na obiady.

— Oho, mistrz znalazł sobie ulubieńca — żartował Mirdin, lecz w jego śmiechu brzmiała duma, nie zawiść.

— To dobrze, że się tobą interesuje — orzekł poważnie Karim. — Al-Dżuzdżani był w młodości protegowanym Ibn Siny i został znakomitym medykiem.

Rob skrzywił się, nawet z nimi nie chcąc się dzielić swoimi przeżyciami. Nie umiał ocenić, ile korzystał mogąc przez cały wieczór sam na sam obcować z Ibn Siną. Któregoś wieczora na przykład rozmawiali o ciałach niebieskich, a raczej Ibn Sina mówił, Rob zaś słuchał. Kiedy indziej Ibn Sina długo rozwodził się na temat teorii greckich filozofów. Jakże ogromną miał wiedzę! I potrafił uczyć jakby mimochodem, zupełnie bez wysiłku!

Rob przeciwnie, zanim mógł coś przekazać Karimowi, najpierw sam musiał się tego nauczyć. Postanowił przez sześć tygodni nie chodzić na żadne wykłady poza wybranymi z prawa i prawodawstwa. Doszedł w sumie do wniosku, że pomaganie Karimowi nie będzie tylko bezinteresownym dowodem przyjaźni, gdyż tę akurat dziedzinę mocno zaniedbał. Ucząc zatem Karima, sam się przygotowywał na dzień własnej próby.

Religia muzułmańska uznaje dwa rodzaje prawa: fikh, czyli naukę prawa, i szariat, prawo boskie objawione przez Allaha. Jeśli do tego dodało się surmę, prawdę i sprawiedliwość objawione w przykładowym życiu i słowach Mahometa, dawało to sumę nauk tak zawiłych i skomplikowanych, że ich badacz miał prawo się załamać.

Karim starał się, ale widoczne było, że to dla niego ciężka próba.

— Za dużo tego jest — mówił. Wysiłek było po nim widać. Po raz pierwszy od siedmiu lat, wyjąwszy okres, kiedy walczyli z zarazą w Szirazie, nie chodził co dzień do maristanu i wyznał Robowi, że się czuje nieswojo, jak ryba wyjęta z wody, bez codziennego obowiązku opieki nad chorymi.

Co rano o pierwszym brzasku, zanim się spotkał z Robem, by zgłębiać prawo, a następnie z Mirdinem dla studiowania filozofii i filozofów, biegał zgodnie ze swym zwyczajem. Rob kiedyś spróbował pobiec razem z nim, ale wnet został z tyłu, Karim biegł bowiem, jakby uciekał przed swymi obawami. Kilka razy Rob dotrzymywał mu kroku konno, na kasztanku, gdy Karim mknął przez budzące się ze snu miasto, mijał śmiejących się do niego strażników przy głównej bramie murów miejskich, przekraczał most na Rzece Życia i wydostawał się na pola. Rob miał wrażenie, że biegnie, gdzie go oczy poniosą, wcale nie dbając o kierunek. Stopy mu się unosiły i opadały, nogi poruszały się w równym, monotonnym rytmie, uspokajając go i rozluźniając jak dawka bangu, silnego naparu z nasion konopi podawanego cierpiącym nieuleczalnie chorym. Roba martwiło to codzienne wydatkowanie energii.

— Bieganie odbiera Karimowi siły — uzalił się Mirdinowi

— a powinien teraz wszystkie poświęcać nauce.

Jednakże mądry Mirdin pociągnął się za nos, potarł po długiej końskiej szczęce i pokręcił głową.

— Nie, myślę, że bez biegania nie zniósłby tych trudnych dni

— orzekł i Rob miał dość rozsądku, by mu ustąpić, pokładał bowiem wielką wiarę w praktycznej mądrości Mirdina, dorównującej jego wiedzy.

Pewnego ranka otrzymał wezwanie od Ibn Siny, wyruszył więc na swoim kasztanku Aleją Tysiąca Ogrodów i dalej polną drogą prowadzącą do pięknego domu medyka.

Odźwierny odebrał od niego konia, kiedy zaś Rob stanął przed kamiennymi drzwiami, Ibn Sina już czekał z powitaniem.

— Idzie o moją żonę, byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał ją zbadać — powiedział.

Rob uklonił się zmieszany — Ibn Sina miał wszak wielu znakomitych kolegów, którzy za zaszczyt by sobie poczytali zbadanie jego żony. Mimo wszystko udał się za mistrzem do drzwi, przez które weszli na kamienne schody podobne do wnętrza muszli ślimaka i wspięli się na północną wieżę.

Leżąca na łożu stara kobieta patrzyła na nich tępo nie widzącym wzrokiem. Ibn Sina ukląkł przy niej.

— Rezija... — szepnął.

Miała spękane suche wargi. Ibn Sina zwilżył chustkę w różanej wodzie i z czułością otarł jej usta i twarz. Miał za sobą doświadczenie całego życia, potrafił zatem wygodnie urządzić pokój chorej, ale nawet czystość otoczenia, świeżo zmieniona bielizna i smużki wonnego dymu unoszące się z kadzielnich mis nie były w stanie zagłuszyć przykrej woni jej choroby.

Kości zdawały się przebijać przezroczystą skórę kobiety. Rezija twarz miała woskowoblada, siwe włosy mocno przerzedzone. Jej mąż słynął jako największy medyk świata, lecz nie mógł jej pomóc — była w ostatnim stadium choroby kości. Na jej chudych ramionach i dolnej części nóg widniały wielkie guzy. Kostki i stopy miała spuchnięte od gromadzącego się płynu. Prawe biodro było w znacznym stopniu zniszczone przez chorobę i Rob wiedział, że gdyby uniósł koszulę, na całym ciele zobaczyłby również duże guzy, które niewątpliwie pokrywały jej wnętrzności sądząc po smrodzie w pokoju.

Nie dla potwierdzenia straszliwej i oczywistej diagnozy wezwał go Ibn Sina. Rob zrozumiał teraz, czego po nim oczekuje, ujął więc obie kruche dłonie chorej w swoje i przemówił łagodnym głosem. Przytrzymał je dłużej, niż było trzeba, patrząc kobiecie w oczy, które przez moment, jak mu się wydało, spojrzały przytomniej.

— Daud? — wyszeptala i uścisk jej dłoni stał się silniejszy. Rob spojrzał pytająco na Ibn Sine.

— To jej brat, od wielu lat nie żyje.

Oczy kobiety na powrót wypełniła pustka, palce ściskające ręce Roba zwiotczały. Położył dłonie chorej z powrotem na łożu i obaj wyszli z wieży.

— Kiedy?

— Niedługo, hakimie baszo. Myślę, że to kwestia dni. — Rob poczuł się niezręcznie. Ten człowiek stał o wiele za. wysoko w porównaniu z nim, by mu składać zwykłe wyrazy współczucia. — Nic nie można dla niej zrobić?

Ibn Sine zadrżały usta.

— Mogę jej tylko okazywać miłość podawaniem coraz silniejszych naparów.

Odprowadził praktykanta do frontowych drzwi dziękując mu za przybycie, po czym wrócił do cierpiącej żony.

— Panie... — przemówił ktoś do Roba. Odwrócił się i ujrzał olbrzymiego eunucha, który pilnował drugiej żony Ibn Siny.

— Proszę za mną.

Przeszli przez furtkę w murze ogrodu, potem przez wejście tak niskie, że obaj musieli się pochylić, prowadzące do drugiego ogrodu, pod południową wieżą.

— O co chodzi? — zapytał krótko Rob niewolnika.

Eunuch nie odpowiedział. W tej chwili coś przyciągnęło uwagę Roba: podniósł wzrok na małe okienko w górze, skąd przyglądała mu się kobieta w kwefie. Ich oczy spotkały się na moment i zaraz kobieta z szelestem welonów cofnęła się do

środku.

Rob odwrócił się do eunucha, który uśmiechnął się, lekko wzruszając ramionami.

— Kazała mi was przyprowadzić. Pragnęła spojrzeć na was, panie.

Może śniłby o niej tej nocy, lecz nie miał czasu — studiował prawo własności. Kiedy oliwa w lampie już się dopalała, usłyszał na ulicy przybliżający się stukot kopyt, które ucichły pod jego drzwiami, po czym rozległo się pukanie.

Sięgnął po miecz, gdyż przyszli mu na myśl złodzieje. Na odwiedzin było o wiele za późno.

— Kto tam?

— Wasif, panie.

Nie znał żadnego Wasifa, ale wydało mu się, że poznaje głos. Z bronią w pogotowiu otworzył drzwi i okazało się, że się nie mylił. Był to eunuch Ibn Siny trzymający za wodze osła.

— Hakim cię przysłał?

— Nie, panie, ona. Pragnie, żebyś do niej przyszedł.

Rob zaniemówił. Eunuch miał na tyle rozumu, że się nie uśmiechnął, ale w głębi jego poważnych oczu zalśnił błysk na widok zdumienia rimmiego.

— Zaczekaj — powiedział szorstko Rob i zamknął drzwi.

Wyszedł obmywszy się w pośpiechu, dosiadł na oklep kasztanka i ruszył ciemnymi uliczkami za olbrzymim niewolnikiem, którego stopy wlokły się żłobiąc w kurzu koleiny, gdy jechał okrakiem na osła. Przechodzili między cichymi uspionymi domami, skręcili w uliczkę, gdzie głębszy piach stłumił odgłos kopyt, a następnie wyjechali na pole leżące za murem posiadłości Ibn Siny i przez furtkę w murze dostali się pod same drzwi południowej wieży. Eunuch otworzył je i z ukłonem wpuścił Roba.

Wszystko wyglądało jak w niezliczonych rojeniach, które snuł nocami, leżąc samotnie podniecony: ciemna kamienna studnia, bliźniaczo podobna do schodów w północnej wieży, wiodła spiralnymi schodami w górę niczym w muszli lodzika prosto do przestronnej komnaty haremowej. W świetle lampy ujrzał na szerokim, zarzuconym poduszkami łożu czekającą na niego perską kobietę, która przysposobiła się do miłości. Dłonie, stopy i wzniesienie łonowe pomalowane miała henną i śliskie od oliwy. Jej piersi sprawiły mu zawód — były niewiele większe od piersi chłopca.

Zdjął jej welon z twarzy.

Włosy miała czarne, również namaszczone oliwą i gładko ściągnięte na okrągłej czaszce. Wyobrażał sobie niedostępne spojrzeniem rysy jakiejś królowej Saby czy Kleopatry, a tu zaskoczony zobaczył młodą dziewczynę o drżących ustach, które w tej chwili nerwowo oblizywała ruchliwym różowym językiem. Miała twarz w kształcie serca, piękną, ze spiczastym podbródkiem i krótkim prostym nosem. W prawym nozdrzu tkwiło metalowe kółeczko, nie większe jak na jego mały palec.

Za długo już przebywał w tym kraju — jej odkryte rysy były dla niego bardziej podniecające niż wygolone ciało.

— Dlaczego nazywają cię Despiną Brzydką?

— Na polecenie Ibn Siny. Po to, aby zmylić Złe Oko — odparła, gdy Rob spoczął obok niej na łożu.

Nazajutrz rano znowu uczyli się z Karimem fikhu, prawa dotyczącego małżeństwa i rozwodów.

— Kto sporządza kontrakt ślubny?

— Mąż i przedstawia go żonie, on też wpisuje do umowy mahr, wysokość posagu.

— Ilu potrzeba świadków?

— Nie wiem. Dwóch?

— Tak, dwóch. Kto ma w haremie większe prawa, druga czy czwarta żona?

— Wszystkie mają równe prawa.

Przeszli do prawa rozwodowego i podstaw rozwodu: bezpłodności, kłótliwego charakteru i cudzołóstwa.

Szariat nakazywał za cudzołóstwo karą ukamienowaniem, lecz od dwóch wieków praktycznie tego nie przestrzegano. Mogło się zdarzyć, że cudzołożnicę będącą żoną człowieka bogatego i wpływowego skazywano na ścięcie w więzieniu, lecz niewiernym żonom biedaków najczęściej wymierzano trzciną surową chłostę i rozwodzono się z nimi lub nie, zależnie od woli męża.

Karim całkiem nieźle sobie radził z szariatem, wyrósł bowiem w pobożnym domu i znał prawa religijne. Bał się natomiast prawa fikh, ponieważ zawierało wiele różnorodnych przepisów i wiedział, że wszystkich nie zdoła zapamiętać. Rob wziął to pod uwagę.

— Gdybyś nie mógł sobie przypomnieć właściwych sformułowań fikh, przejdź do szariatu albo sunny — podsunął.

— Podstawą wszystkich praw są nauki i pisma Mahometa, a zatem jeżeli nie pamiętasz jakiegoś prawa, szukaj odpowiedzi w religii albo życiu proroka, może to ich zadowoli... — Westchnął. — Warto spróbować. Tymczasem módlmy się i starajmy zapamiętać tyle praw z fikhu, ile tylko zdołamy.

Na drugi dzień po południu w szpitalu towarzyszył al-Dżuzdzaniemu w obchodzie i wraz z innymi zatrzymał się przy łożu chudego chłopca o szczurzej twarzy imieniem Bilal. Siedział przy nim wieśniak o tępych spojrzeniu człowieka pogodzonego już ze wszystkim.

— Rozstrój psychiczny — orzekł al-Dżuzdzani. — Oto przykład, jak kolka może wyczerpać ducha. Ile ma lat?

Onieśmielony, lecz zaszczycony, że zwrócono się do niego, wieśniak pochylił głowę.

— To jego dziesiąta wiosna, panie.

— Jak dawno chory?

— Dwa tygodnie. To choroba boku. Zabiła już dwóch jego stryjów i mojego ojca. Straszny ból. Chwyta i puszcza, chwyta i puszcza... Ale trzy dni temu chwycił i nie puszcza.

Pielęgniarski, z uniżeniem odnoszący się do al-Dżuzdzanego, chcąc zapewne, aby skończyli już z chłopakiem i poszli dalej, wtrącił, że chłopiec dostaje wyłącznie szербet i słodzone soki.

— Cokolwiek zje, wymiotuje albo wydalą — dodał. Al-Dżuzdzani skinął głową.

— Zbadaj go, Jesse — polecił.

Rob odrzucił pled. Pod brodą chłopiec miał bliznę, całkowicie wygojoną i nie związaną z chorobą. Kiedy przyłożył dłoń do chudego policzka, Bilal spróbował się poruszyć, lecz nie miał sił. Rob pogłaskał go po ramieniu.

— Jest rozpalony... — Powoli przesunął palce w dół. Gdy dotknął brzucha, chłopiec krzyknął. — Po lewej stronie brzuch ma miękki, po prawej twardy.

Starając się dotykać jak najdelikatniej, Rob zakreślił palcami bolesne miejsce, od pępka w prawą stronę brzucha, z przykrością!; zadając chłopcu tortury każdym muśnięciem palca. Kiedy odwrócił potem Bilala na brzuch, okazało się, że odbył ma zaczerwieniony i obolały. Naciągnawszy z powrotem na chorego pled, ujął drobne dłonie — znowu wyszczerzyła się do niego w drwiącym uśmiechu twarz Czarnego Rycerza.

— Czy on umrze, panie? — zapytał rzeczowo ojciec.

— Tak — powiedział Rob i ojciec kiwnął głową.

Nikt nie śmiał się z tego wyroku. Po powrocie z Szirazu Mirdin i Karim opowiadali w maristanie to i owo i wieść się rozniosła. Rob zauważył, że już nikt nie żartuje, ilekroć się ośmieli przepowiedzieć czyjaś śmierć.

— Choroba boku jest opisana u Corneliusa Celsusa. Macie to przeczytać — polecił al-Dżuzdzani, przechodząc do następnego łóżka.

Gdy odwiedzili ostatniego pacjenta, Rob udał się do Domu Mądrości i poprosił Jusufa ul-Gamala, bibliotekarza, by mu pomógł znaleźć, co ten Rzymianin pisze o chorobie boku. Zafascynowało go, kiedy się dowiedział, że Celsus otwierał ciała zmarłych dla zdobycia większej wiedzy, aczkolwiek niewiele jej było w opisie tej konkretnej dolegliwości, którą Celsus określił jako rozstrój grubego jelita przy kątnicy (jelicie ślepym) połączony z ostrym zapaleniem i bólem w prawej części brzucha.

Przeczytawszy wszystko o chorobie, Rob wrócił do sali, w której leżał Bilal. Jego ojciec już poszedł. Nad chłopcem jak wielki kruk sterczał surowy mułła wyśpiewując płaczliwie wyjątki z Koranu, a dziecko nieruchomym spojrzeniem wpatrywało się w jego czarne szaty. Na niskim stolicku pielęgniarz zostawił trzy okrągłe jak piłeczki perskie granaty na wieczorny posiłek. Rob wziął owoce i zaczął je podrzucać, najpierw po jednym, potem dwa, a wkrótce już wszystkie trzy tańczyły nad jego głową, przelatując z ręki do ręki. Jak za dawnych czasów, Bilalu. Wyszedł co prawda z wprawy, lecz żonglowanie trzema owocami nie było trudne, toteż pokazywał istne cuda.

Oczy chorego chłopca otwarły się szeroko — były teraz okrągłe jak fruujące w powietrzu granaty.

— Brakuje nam tylko muzyki! — zawołał Rob.

Nie znał ani jednej perskiej piosenki, a potrzebował czegoś skocznego, toteż w końcu zaintonował starą sprośną marynarską śpiewkę.

Kiedyś pieściłaś mnie oczami, Dziś w twych ramionach leżę. Hej, pohulamy, jak się spotkamy, Przysięgam już nie wierzę!

Nie była to piosenka odpowiednia dla umierającego dziecka, ale przecież uroczysty nastrój stwarzał modlitwą mułła, który w zdumieniu wytrzeszczył oczy na te figle, Rob zaś dawał chłopcu na koniec trochę radości. W każdym razie nikogo nie obrażał, bo nie rozumieli słów. Zdążył odegrać przed Bilalem całe przedstawienie, zanim zobaczył, że dziecko chwytając śmiertelne konwulsje, wyginając w łuk drobne ciało. Nie przestając śpiewać, czuł pod palcami, jak ostatnie uderzenia tętna rozplývają się i nikną w szyi Bilala.

Zamknął mu oczy, otarł nos, ułożył i obmył ciało, przygładził włosy, podwiązał szczękę.

Mułła wciąż siedział ze skrzyżowanymi nogami śpiewając wyjątki z Koranu. Oczy mu płonęły — potrafił jednocześnie modlić się i nienawidzić. Zapewne oskarży zimniego o świętokradztwo, pomyślał Rob, ale w jego doniesieniu nie będzie wzmianki, że Bilal przed śmiercią się uśmiechnął.

Cztery razy w tygodniu nocą przyjeżdżał po niego Wasif. Rob zostawał w haremie na wieży do wczesnych godzin ranka. Udzielali sobie z Despiną Brzydką lekcji języków.

— Fajfus — mówił Rob po angielsku, Despina zaś ze śmiechem powtarzała dodając:

— U nas mówimy lingam. A to moja joni. Twierdziła, że są dobrani.

— Mężczyzna jest jak zając, byk albo koń. Ty jesteś jak byk. Kobieta jest jak łania, kobyła albo słonica i ja jestem jak łania. To dobrze. Trudno byłoby zającowi sprawić radość słonicy — wywodziła z powagą.

Ona była nauczycielką, on uczniem, jakby z powrotem stał się chłopcem i nigdy przedtem nikogo nie kochał. Robiła rzeczy, które znał z rycin w książce kupionej niegdyś na majdanie,

i takie, których nigdy nie widział, nawet na obrazku. Nauczyła go ksziraniraha, uścisku mleka i wody, pozycji małżonki Indry, połączenia ust, anparisztaka.

Z początku ciekawiło go i zachwycało, gdy przerabiali „w tył zwrot”, „pukanie do drzwi”, „swadźbę kowala”. Znudziło mu się, gdy postanowiła go nauczyć odpowiednich dźwięków, sut lub piat, które zamiast jęków należało wydawać przy szczytowaniu.

— Nigdy się po prostu nie odprężasz, jak sobie dogadzasz? — zdumiał się Rob.—To gorsze niż uczenie się na pamięć fikhu!

— Przyjemniej jest, jak się to umie — stwierdziła urażona. Nie przejął się tonem napomnienia w jej głosie. Uświadomił sobie też, że woli, jeśli kobiety nie gołą włosów na ciele.

— Stary ci nie wystarcza? — zapytał pewnego razu.

— Kiedyś wystarczał aż nadto. Był sławny z potencji. Kochał wino i kobiety, a jak był w nastroju, potrafił zrobić węza... Samicę węza — dodała i w oczach zaśniły jej łzy, kiedy się uśmiechnęła. — Ale nie sypia ze mną od dwóch lat. Przestał, jak tamta ciężko zachorowała.

Despina opowiedziała Robowi, że całe życie należała do Ibn Siny. Była dzieckiem dwojga jego niewolników, Hinduski i wiernego sługi, Persa. Matka umarła, kiedy Despina miała sześć lat, a stary ożenił się z nią po śmierci ojca i nigdy nie zwrócił jej wolności.

Rob dotknął palcem kółka w jej nosie, symbolu niewolnictwa.

— Dlaczego?

— Jako jego własność, no i druga żona, jestem zabezpieczona podwójnie.

— A gdyby teraz tu przyszedł? — spytał Rob, myśląc o jedynych schodach.

— Na dole stoi Wasif i zajmie go czymś. Zresztą siedzi z Reziją i nie puszcza jej ręki.

Popatrzył na Despinę i kiwnął głową. Mimo woli ogarniało go coraz silniejsze poczucie winy. Polubił tę drobną, piękną dziewczynę o oliwkowej skórze, małych piersiach, miękkim brzuszku i gorących ustach. Smuciło go, że wie dzie życie więźnia w wygodnym zamknięciu. Wiedział, że muzułmański obyczaj więzi kobietę przez większość życia w domu i ogrodach, i za nic Despiny nie winił, ale zanim ją poznał, zdążył przecież pokochać starego Ibn Sine o wspaniałym umyśle i wielkim nosie.

Wstał i zaczął się ubierać.

— Zostanę twoim przyjacielem.

Nie była głupia. Przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

— Przychodziłeś tu niemal co noc i już się mną nasyciłeś. Ale znów przyjdiesz, jeżeli przyślesz Wasifa za dwa tygodnie.

Pocałował ją w nos tuż nad kółkiem.

Powoli wracając na kasztanku w świetle księżyca zastanawiał się, czy nie popełnił wielkiego głupstwa.

Jedenaście dni później Wasif zapukał w nocy do jego drzwi.

Omal się nie okazało, że Despina miała słusność: Rob doznał wielkiej pokusy i niewiele brakowało, by na znak zgody skinął głową. Dawny Rob J. aniby się zawahał dodać dalszy ciąg do tej historii i do końca życia mógłby opowiadać wszędzie tam, gdzie mężczyźni chętnie się przy kieliszku, jak to wrócił do młodej żony, kiedy stary mąż siedział w innej części domu. Ale Jesse ben Beniamin pokręcił głową.

— Powiedz swojej pani, że nie mogę już do niej przychodzić.

Wasifowi błysnęły oczy pod ciężkimi uczernionymi powiekami, uśmiechnął się i pełen pogardy dla nieśmiałego Żyda skierował osła w powrotną drogę.

Rezija Pobożna umarła trzy dni później rano, kiedy muezini w całym mieście zawodzili wzywając na pierwszą modlitwę, skończyła więc życie w porze stosownej dla pobożnej

muzułmanki. W madrasie i maristanie mówiono, że Ibn Sina własnoręcznie przygotował jej ciało i wyprawił prosty pogrzeb, do którego dopuścił tylko paru modlących się mułłów. Nie przychodził jednak do szkoły ani do szpitala i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa.

Wieczorem w tydzień po tym, jak odeszła Rezija, Rob na głównym majdanie natknął się na pijącego al-Dżuzdzaniego.

— Siadaj, zimmi — zaprosił go al-Dżuzdzani i skinął, by przyniesiono więcej wina.

— Jak miewa się Pierwszy Medyk, hakimie? Al-Dżuzdzani jednak jakby nie usłyszał jego pytania.

— On myśli, że ty jesteś inny. że jesteś wyjątkowym studentem — powiedział z żalem w głosie.

Gdyby nie to, że Rob był studentem, a al-Dżuzdzani sławnym al-Dżuzdzaniem, pomyślałby, że ten człowiek mu zazdrości.

— Jeżeli nie jesteś wyjątkowy, zimmi, będziesz się ze mną liczył. — Al-Dżuzdzani wlepił w niego błyszczące oczy i Rob zorientował się, że chirurg jest zupełnie pijany. Milczeli, kiedy podawano wino. — Miałem siedemnaście lat, gdyśmy się spotkali w Dżurdzanie. Ibn Sina był ledwie parę lat ode mnie starszy, ale na Allaha, czułem się tak, jakbym spojrzał w słońce! Mój ojciec zawarł z nim umowę: Ibn Sina przyjmie mnie na praktykę medyczną, a ja zostanę jego zaufanym sługą. Al-Dżuzdzani napił się, pogrążony w myślach.

— Służyłem mu. Uczył mnie matematyki na Almageście\*. Przepisałem pod jego dyktando kilka ksiąg, w tym część „Kanonu medycyny”, po pięćdziesiąt stron każdego pięknego dnia... Towarzyszyłem mu kilka razy, kiedy wyjeżdżał z Dżurdzanu. W Hamadanie emir mianował go wezyrem, ale doszło do buntu wojska i Ibn Sina wtrącono do więzienia. Najpierw grozili, że go zabiją, potem go zwolnili... Miał szczęście, ten kobyli syn! Wkrótce emira powaliła kolka, Ibn Sina go wyleczył i znowu dostał wezyrat!...

— Czy był medykiem, więźniem, czy wezyrem — ciągnął al-Dżuzdzani — nie opuszczałem go. Stał się w tej samej mierze moim przyjacielem co panem. Co wieczór uczniowie zbierali się w jego domu, a ja czytałem na głos jego księgę o leczeniu na zmianę z kimś, kto już znał „Kanon”. Rezija dbała, żebyśmy zawsze dobrze się żywili. Jak kończyliśmy, wypijaliśmy dużo wina i szliśmy szukać kobiet. Był najweselszym z kompanów i bawił się tak samo, jak pracował. Pięknych kochanek miał, ile chciał... Może był w tym wyjątkowo dobry, tak jak we wszystkim przewyższając innych mężczyzn. Rezija wiedziała, ale mimo to go kochała... — Odwrócił wzrok. — Teraz ona w grobie, a on się zżera. Do tego stopnia, że odsuwa starych przyjaciół, samotnie co dzień wybiera się do miasta i rozdaje jałmużnę.

— Hakimie... — przerwał mu łagodnie Rob. Al-Dżuzdzani otworzył szeroko oczy.

— Hakimie, nie odprowadzić was do domu?

— Zostaw mnie teraz, zimmi.

Rob skinął głową, podziękował mu za wino i odszedł.

Odczekawszy tydzień, tym razem w biały dzień pojechał do domu Ibn Siny i zostawił konia człowiekowi u bramy.

Ibn Sina był sam. W oczach miał spokój. Usiedli wygodnie, porozmawiali i pomilczeli.

— Kiedy się z nią żeniłeś, panie, byłeś już medykiem?

\* Almagest (gr. Megak synlaksis) — Wielka Wykładnia, 13-tomowe dzieło astronoma, matematyka i geografii greckiego Klaudiusza Ptolemeusza (ok. 140 po Chr.ł, kompendium ówczesnej wiedzy).

— Zostałem hakimem mając szesnaście lat. Pobraliśmy się, jak miałem dziesięć, tego roku, kiedy się nauczyłem na pamięć Koranu, tego roku, w którym zacząłem naukę o



lecniczych ziołach.

Rob zdumiał się niepomierne.

— Ja w tym wieku nauczyłem się zawodu oszusta, balwierza — wspomniał i opowiedział Ibn Sini, jak Balwierz przyjął go do terminu, gdy został sierotą.

— Czym się zajmował twój ojciec?

— Był cieślą.

— Wiem o europejskich cechach. Słyszałem — powiedział powoli Ibn Sina — że w Europie niewielu jest Żydów i nie przyjmują ich do cechów.

On wie! pomyślał zaniepokojony Rob.

— Niektórych przyjmują — mruknął.

Zdawało się, że łagodne oczy Ibn Siny przeszywają go na wylot. Rob nie mógł się pozbyć przeświadczenia, że został zdemaskowany.

— Tak rozpaczliwie pragniesz osiąść sztukę leczenia i wiedzę?

— Tak, mistrzu...

Ibn Sina westchnął, skinął głową i odwrócił wzrok.

No! odetchnął Rob, niesłusznie się bałem; zaczęli rozmawiać o czym innym.

Ibn Sina wspominał czasy, kiedy jako chłopiec po raz pierwszy ujrzał Reziję.

— Pochodziła z Buchary, była młodsza ode mnie o cztery lata. Nasi ojcowie pełnili funkcję poborców podatkowych i ułożyli nasze małżeństwo z przyjaźni. Mieliśmy tylko niewielkie trudności ze strony jej dziadka, który zarzucał mojemu ojcu, że jest szyitą i oddając chwałę Bogu zażywa haszyszu. Ale wkrótce się pobraliśmy. Nigdy mnie nie zawiodła... — Stary medyk zwrócił oczy na Roba. — Nie straciłeś zapła. Czego ty właściwie pragniesz?

— Być dobrym medykiem — odparł Rob i dodał w duchu: Takim, jakich tylko ty wychowujesz. Miał jednak wrażenie, że Ibn Sina zrozumiał.

— Już jesteś lekarzem. A co do godności... — Ibn Sina wzruszył ramionami. — Żeby być dobrym medykiem, musisz umieć rozwiązać zagadkę nie do rozwiązania.

— Jaką zagadkę? — zapytał Rob zaintrygowany.

Stary człowiek uśmiechnął się smutno. — Może któregoś dnia się dowiesz. To część zagadki — powiedział.

## Egzamin

Tego popołudnia, kiedy Karim zdawał egzamin, Rob pełnił swoje zwykłe obowiązki ze szczególną energią i uwagą, starając się odwrócić myśli od tego, co miało się niedługo wydarzyć w sali zebrań Domu Mądrości. Razem z Mirdinem zwerbowali na pomocnika i szpiega Jusufa ul-Gamala, dobrotliwego bibliotekarza. Krzątając się przy swoich zajęciach w bibliotece, Jusuf mógł wyśledzić, kto będzie egzaminował. Mirdin czekał na wiadomości na zewnątrz i stopniowo dostarczał je Robowi.

— Z filozofii będzie pytał Sajjed Sa'di — powiadomił najpierw Jusuf Mirdina i biegiem wrócił do środka. Nie było to źle, filozof mógł sprawić pewne kłopoty, ale nie będzie się szczególnie starał oblać kandydata.

Dalsze jednak wieści były przerażające.

Z prawa miał pytać Nadir Buch, autokratyczny legalista z brodą jak łopata, który oblał Karima podczas pierwszego egzaminu! Mułła Abul Bakr egzaminował z teologii, a sam Książę Medyków z medycyny. Rob liczył na to, że w komisji jako egzaminator z chirurgii zasiądzie Dżalal, widział go jednak przy zwykłych zajęciach, dogładającego pacjentów. Niebawem wpadł Mirdin i szepnął, że przybył ostatni członek komisji, ibn al-Natali, którego żaden z nich dobrze nie znał.

Rob skupił się na pracy, pomagając Dżalalowi umieścić na wyciągu, zmyślnym urzędzeniu z linek pomysłu chirurga, zwichnięte ramię pacjenta, strażnika pałacowego, którego kuc zrzucił podczas gry w piłkę i kij. Kiedy chory legł wreszcie jak dzikie zwierzę w petach, zdumiał się tak raptowną ulgą w bólu.

— Poleżysz teraz kilka tygodni beczynnie, gdy inni uginają się pod brzemieniem obowiązków służby w wojsku — powiedział wesoło Dżalal. Poleciał Robowi, by podał środki ściągające i dopilnował kwaśnej diety, zanim się nie upewni, że u strażnika nie wywiązało się zapalenie ani krwiak.

Na koniec Rob jeszcze mocno, choć bez przesady, obwiązał ramię pacjenta chustami, by uniemożliwić ruchy, a uporawszy się z tym, pomaszerował do Domu Mądrości, gdzie zasiadł nad Celsusem. Usiłował podsłuchiwać głosy dobiegające z sali egzaminacyjnej, lecz brzmiały za cicho, by można rozróżnić słowa, tak że wreszcie dał sobie z tym spokój i wyszedł czekać na schodach madrasy, gdzie zaraz przyłączył się do niego Mirdin.

— Jeszcze nie skończyli — powiadomił go Rob.

— Mam nadzieję, że nie będą się z tym zbyt bawili — westchnął Mirdin. — Karim nie jest z tych, co potrafią stawić czoło dłuższej próbie.

— Nie jestem pewien, czy potrafi stawić czoło jakiegokolwiek próbie. Rano przez godzinę rzygał.

Mirdin usiadł na schodach obok Roba. Porozmawiali chwilę o pacjentach, ale temat szybko im się wyczerpał i zamilkli. Rob siedział skrzywiony, Mirdin wzdychał.

Upłynęło więcej czasu, niż przypuszczali, zanim Rob ujrzał Karima przedzierającego się do nich przez grupę studentów.

— Idzie!... — rzekł podnosząc się z miejsca.

— Jaką ma minę? — spytał żywo Mirdin. Rob nie potrafił odpowiedzieć — uczynił to za niego Karim, który z daleka zawołał:

— Macie mówić do mnie „hakimie”, wy uczniaki!

Rzucili się w dół ze schodów.

Ściskali się i szturchali, krzyczeli i tańczyli podnosząc taką wrzawę, że przechodzący właśnie Dawud Hosein aż pobladł z oburzenia na takie zachowanie studentów jego akademii.

Resztę tego dnia i wieczór mieli zapamiętać do końca życia.

— Zapraszam do mnie—powiedział Mirdin.—Musimy to uczcić!

Po raz pierwszy szli do jego domu, po raz pierwszy jeden z ich trójki otwierał przed pozostałymi swój prywatny świat.

Mirdin mieszkał w dwóch wynajętych izbach tuż przy synagodze Domu Syjonu, w innej części Jahudii niż Rob. Jego żona, Fara, nieśmiała niska ciemnowłosa kobieta o krótkich nogach i spokojnych oczach, miło ich zaskoczyła, podając słodkie ciasteczka i wino, najwidoczniej zawczasu przygotowane na tę okazję. Fary ani na krok nie odstępowali dwaj pyzaci synkowie, Dawid i Isachar. Spełniwszy stosowne toasty trzej przyjaciele wybrali się z powrotem do miasta i wyszukali krawca, który zdjął miarę na czarne szaty medyka dla świeżo upieczonego hakima.

— Taki wieczór spędza się na majdanach! — oświadczył potem Rob, zasiedli więc w gospodzie otwartej na wielki centralny plac miasta, zając miejsca wspaniałe perskie potrawy i raz po raz zamawiając muskat, którego Kanmowi właściwie nie było trzeba, kręciło mu się już bowiem w głowie z samej radości, że oto otrzymał upragniony stopień medyka.

— Ibn Sina — opowiadał wciąż pod wrażeniem — bez przerwy zadawał mi pytania z medycyny. „O czym świadczy pot, kandydacie?... Bardzo dobrze, wyczerpująco... A główne objawy potrzebne do postawienia diagnozy? Zechcecie teraz omówić środki higieny zalecane podróżnym na morzu, a potem na lądzie...” Zupełnie jakby wiedział, że moją mocną stroną jest medycyna, a słabą inne dziedziny. Sajjed Sa'di kazał mi omówić twierdzenie Platona, że wszyscy ludzie pragną szczęścia. Dobrze, że przestudiowaliśmy je tak dokładnie, Mirdinie. Odpowiedziałem wyczerpująco, a w wielu miejscach nawiązałem do myśli Proroka, że szczęście to nagroda Allaha za posłuszeństwo i wierność w modlitwie. I tak przebrnąłem przez jedno niebezpieczeństwo.

— A co z Nadirem Buchem? — zapytał Rob.

— Och, co ja przeżyłemz tym prawnikiem!...—Karim aż się wstrząsnął. — Kazał mi omówić stanowisko fikhu w sprawie karania zbrodniarzy. Wszystkie myśli mi uciekły. Powiedziałem więc, że wszelka kara opiera się na pismach Mahometa (niech będzie pochwalony!), które głoszą, że na tym świecie wszyscy jesteśmy mniej lub bardziej zależni nawzajem od siebie, ale w ostateczności zależymy zawsze od Allaha, teraz i na wieki. Czas oddzieli dobrych i niewinnych od złych i buntowników. Każdy, kto zbłądzi, będzie ukarany, a każdy posłuszny osiągnie całkowitą harmonię z Powszechną Wolą Boga, na której opiera się fikh. Sąd nad duszą należy do Allaha, który zadba o ukaranie grzeszników.

Rob szeroko otworzył oczy.

— A cóż to znaczy?

— Nie wiem. I wtedy też nie miałem pojęcia. Jak to powiedziałem, Nadir Buch zaczął trawić moją odpowiedź, szukając pewnie, czego by się tu przyczepić. Już otwierał usta, żeby zażądać wyjaśnień albo zadać następne pytanie, co by mnie zgubiło, ale wtedy Ibn Sina zapytał mnie o humor krwi, a ja powtórzyłem jego własne słowa z dwóch ksiąg, które o tym napisał... I było po egzaminie! Zaśmiewali się do łez, pili i dolewali wina do kubków.

Kiedy już mieli dosyć, potykając się dobrnęli do uliczki za majdanem i przywołali zaprzężony w osła powóz z lilią na drzwiczkach. Rob siadł na koźle obok rajfura, Mirdin zasnął z głową na obfitym łonie ladacznicy Lorny, Karim zaś, oparłszy głowę o jej kolana, śpiewał czule pieśni.

Spokojne oczy Fary zaokrągliły się od troski, kiedy na pół wnieśli jej męża do mieszkania.

— Chory?

— Pijany. Jak my wszyscy — wyjaśnił Rob i wrócili do powozu, który zawiózł ich do domku w Jahudii. Obaj z Karimem tuż za drzwiami padli na podłogę i zasnęli w ubraniach.

W nocy Roba obudził cichy chrapliwy dźwięk. Domyślił się, że to Karim płacze. O świcie obudził się znowu — tym razem jego gość wstawał.

Rob jęknął. W ogóle nie powinienem był pić, pomyślał przygnębiony.

— Wybacz, że cię budzę, ale muszę pobiegać.

— Pobiegać? Dzisiaj?... Po takim wieczorze?!...

— Muszę się przygotowywać do chatiru.

— Co to jest chatir?

— Zawody w bieganiu.

Karim po cichu wymknął się z domku i uszu Roba dobiegł oddalający się tupot jego kroków. Leżąc na podłodze słuchał naszczekiwania kundli, coraz odleglejszego w miarę tego, jak świeżo upieczony medyk, przemykający niby dzinn wąskimi uliczkami Jahudii, odbiegał od jego domu.

## Przejażdżka

— Chatir to nasz bieg narodowy, doroczne zawody niemal tak stare jak sama Persja— wyjaśnił Robowi Karim. —Odbywa się dla uczczenia końca ramazanu, nakazanego przez naszą religię miesięcznego postu. Na początku, w tak zamierzchłych czasach, że nie pamiętamy już imienia króla, który pierwszy patronował wyścigowi, były to zawody o stanowisko chatira szacha, gońca, ale od wieków przyciągały do Isfahanu najlep

szych biegaczy Persji i innych krajów i z czasem stały się wielkim wydarzeniem.

Trasa zaczynała się u bram Rajskiego Domu i wiała się ulicami Isfahanu na długości dziesięciu i połowy rzymskiej mili kończąc się przed rzędem słupów na dziedzińcu pałacu. U każdego słupa wisiała rzemienna pętla z dwunastoma strzałami dla poszczególnych biegaczy. Ilekroć który dobiegł do swojego słupa, wyjmował z pętli strzałę, wkładał ją do kołczanu na plecach i zawracał, by zrobić kolejne okrążenie. Biegi tradycyjnie zaczynały się wraz z wezwaniem na pierwszą modlitwę i były morderczym sprawdzianem wytrzymałości. W dzień upalny i duszny zwycięzcą ogłaszano tego, kto najdłużej wytrwał w biegu. W dni chłodne czasami ktoś kończył wszystkie dwanaście okrążeń, przebiegłszy 126 rzymskich mil, zazwyczaj wyjmując ostatnią strzałę w jakiś czas po piątej modlitwie. Choć dawni zawodnicy osiągalni podobno lepsze wyniki, większość przebiegała całą trasę mniej więcej w czternaście godzin. ;

— Nikt dzisiaj nie pamięta, żeby ktoś ukończył bieg w czasie '; poniżej trzynastu godzin — powiedział Karim. — Szach Ala ' ogłosił, że kto pokona całą trasę w ciągu dwunastu lub mniej godzin, w nagrodę zostanie obdarowany wspaniałym chylatem, poza tym zarobi pięćset sztuk złota i honorowy tytuł Pierwszego Chatira, z którym się łączy przyzwoita roczna pensja.

— To dlatego tak się przykładałeś? Dlatego co dzień tyle biegałeś? — domyślił się Rob. — Myślisz, że możesz wygrać?

Karim wyszczerzył zęby i wrzucił ramionami.

— Każdy biegacz marzy o wygraniu chatiru. Pewnie, że chciałbym wygrać chatir i zdobyć chylat. Bo widzisz, dobrze jest być medykiem... ale jeszcze lepiej jest być bogatym medykiem w Isfahanie.

Pogoda się zmieniła, powietrze było tak przesycone wilgocią i łagodne, że zdawało się pieścić swym dotknięciem skórę, gdy Rob wychodził z domu. Miało się wrażenie, że cały świat rozkwita młodością. Rzeką Życia dniami i nocą spływały z hukiem wody z topniejących w górach śniegów. W Londynie był mglisty kwiecień, ale w Isfahanie panował miesiąc szaban, miłszy i słodszy od angielskiego maja. Zaniedbane drzewka morelowe w małym ogródku Roba stały w olśniewającej bieli kwiecica, gdy któregoś ranka pod drzwi jego domku zajechał Chuff przywożąc życzenie szacha Ali, by zimmi towarzyszył mu tego dnia w przejażdżce.

Rob, zdziwiony, że szach pamięta o złożonej mu obietnicy uczestniczenia w jego konnych przejażdżkach, z ociąganiem zastosował się do życzenia, obawiając się nieco spędzać czas z przebiegłym władcą.

W stajniach Rajskiego Domu kazano mu zaczekać. Trwało to dość długo, wreszcie jednak pojawił się Ala z tak licznym orszakiem, że Rob nie wierzył własnym oczom.

— Bywaj, zimmi!

— Wasza wysokość...

Szach niecierpliwym machnięciem ręki zbył pokłon, pragnąc widać, by jak najszybciej znaleźli się w siodłach.

Zapuscili się galopem daleko między wzgórza — szach na białym arabie tak lotnym i pełnym gracji, że prawie fruwał. Rob jechał za nim. Wkrótce władca ściągnął konia do lekkiego kłusa i skinieniem ręki przywołał Roba do swego boku.

— Wspaniały z ciebie medyk, żeś mi przepisał jazdę konną, Jesse. Tonąłem już w tym dworskim gnoju. Jakże miło jest znaleźć się z dala od tłumu, prawda?

— O, tak, wasza wysokość.

Chwilę później Rob obejrzał się ukradkiem. Cały ten tłum jechał za nimi: Chuff z gwardzistami nie spuszczała z monarchy czujnego oka, stajenni podążali z zapasowymi wierzchowcami i jucznymi zwierzętami, wozy toczyły się z łoskotem przez nagie wertepy.

— Nie chciałbyś konia z większym ogniem? Rob uśmiechnął się.

— Szkoda dla mnie takiej hojności, wasza wysokość. Ten koń jest w sam raz na moje umiejętności jeździeckie — odparł, nie dodając, że w gruncie rzeczy polubił już swego wałacha.

Ala parsknęła z pogardą.

— Widać, żeś nie jest Persem. Żaden Pers nie przepuściłby okazji, żeby zamienić wierzchowca na lepszego. My jazdę konną przedkładamy nad wszystko, a dzieci płci męskiej rodzą się z maleńkim siodłem między nogami. — Z wyczuciem wbił piętę w boki araba. Koń uskoczył przed uschlłym drzewem, władca zaś odwrócił się w siodle, przez lewe ramię wypuścił z wielkiego łuku strzałę za siebie i ryknął gromkim śmiechem, kiedy ciężki grot chybił celu.

— Wiesz jaka historia łączy się z tym ćwiczeniem? — zapytał.

— Nie, wasza wysokość. Podczas przyjęcia wydanego na waszą cześć widziałem, że robili to konni.

— Tak, często ćwiczymy się w takim strzelaniu i niektórzy są w nim nadzwyczaj zręczni. Nazywamy je partyjskim. Prawie tysiąc lat temu Partowie byli jednym z ludów zamieszkujących nasze ziemie. Żyli na wschód od Medii, na terenach, których większą część zajmują dzikie góry, a resztę jeszcze straszliwsza od nich pustynia, Daszt-e Kawir.

— Znam Daszt-e Kawir. Przebyłem część tej pustyni w drodze do Isfahanu.

— Wiesz w takim razie, jacy ludzie są zdolni na niej wyżyć... — rzekł Ala, mocno ściągając cugle, by jego wierzchowiec trzymał się boku wałacha. — Trwała wtedy walka o władzę nad Rzymem. Brał w niej udział wśród innych starzejący się Krassus, namiestnik Syrii, który umyślił sobie, że swoim rywalem, Cezarowi i Pompejuszowi, dorówna albo ich nawet przewyższy, jeśli dokona jakiegoś podboju. Postanowił więc wyzwać Fartów.

— Wojskami Fartów — ciągnął szach — siłą równymi jednej czwartej rzymskich legionów Krassusa, dowodził wódz z rodu Surenow. Wojska te składały się w przeważającej części z łuczników na małych szybkich perskich koniach i niewielkiego oddziału zbrojnej jazdy, katafraktów, z długimi śmiercionośnymi włóczniami. Legiony Krassusa ruszyły na Surena, który wycofał się na Daszt-e Kawir. Zamiast zawrócić wtedy na północ, do Armenii, Krassus puścił się w pościg za Partami przez pustynię. I tam stało się coś niesamowitego: oddział katafraktów zaatakował Rzymian, nie dając im szansy sformowania klasycznego obronnego czworoboku. Po pierwszej szarzy ciężkozbrojna jazda się cofnęła, a wystąpili łucznicy. Łuki mieli takie jak mój, potężniejsze niż rzymskie. Ich strzały przeszywały rzymskie tarcze, napierśniki i nagolenniki, a przy tym zaskoczyli legionistów, bo niby się cofali, ale celnie razili wroga strzelając przez ramię.

— Partyjski strzał — powiedział Rob.

— Partyjski strzał — przytaknęła szach. — Z początku Rzymianie nie tracili ducha licząc

na to, że Partom zabraknie strzał, ale Suren wiozł ich zapas na jucznych wielbłądach. Skutek tego był taki, że Rzymianie nie mogli stoczyć walki, do jakiej przywykli, w bliskim starciu. Widząc, co się dzieje, Krassus dla odwrócenia uwagi Fartów pchnął na nich oddział pod dowództwem swego syna, którego głowę odesłano mu potem zatkniętą na perskiej włóczni. Rzymianie uciekli pod osłoną nocy — najpotężniejsza armia świata! Uszło ich dziesięć tysięcy pod wodzą Kasjusza, przyszłego zabójcy Cezara. Dziesięć tysięcy wzięto do niewoli, a dwadzieścia tysięcy łącznie z Krassusem zginęło. Straty Fartów były nieznaczne i od tego czasu każdy perski wyrostek ćwiczy partyjski strzał.

Ala popuścił cugli swemu koniowi i wycelował z łuku jeszcze raz, tym razem krzyząc z zachwytu, kiedy strzała mocno wbiła się w pień drzewa. Potem wysoko uniósł łuk, co było sygnałem dla podążającej w tyle świty, by się zbliżyła.

Przyniesiono i rozwinięto gruby dywan, nad nim żołnierze rozbili królewski namiot, a po chwili, podczas gdy trzech muzyków cicho przygrywało na cymbałach, wniesiono jedzenie.

Ala usiadł i skinał na Roba, by przyłączył się do niego. Podano piersi najróżniejszego ptactwa upieczone z wonnymi przyprawami, smakowity pilaw, chleb, melony, które musiano zimą przechowywać w jaskini, i trzy rodzaje wina. Rob posilał się z przyjemnością, szach natomiast niewiele zjadł, ochoczo za to popijał wino, mieszając wszystkie trzy gatunki.

Po posiłku władca wyraził wolę zagrania w grę szacha, natychmiast wniesiono więc tablicę i ustawiono figury. Rob pamiętał, jakie każdej z nich są przypisane ruchy, szach jednak bez trudu trzy razy pod rząd go pokonał, mimo że kazał przynieść więcej wina i szybko się z nim uporał.

— Kandrasa ma zamiar wydać edykt zaostrzający kary za picie wina—rzekł Ala, kiedy skończyli grać, a ponieważ Rob się nie odezwał, nie znalazłszy bezpiecznej odpowiedzi, szach mówił dalej:—Opowiem ci o Kandrasie, zimmi. On uważa, z gruntu się myląc, że tron istnieje głównie po to, żeby karać wykroczenia przeciwko Koranowi. Tymczasem zadaniem tronu jest zapewnić narodowi potęgę, nie zaś troszczyć się o drobne grzeszki pospólstwa. Ale imam uważa się za karzącą prawą rękę Allaha. Nie wystarcza mu, że będąc niegdyś imamem małego meczetu w Medii, doszedł do wysokiej godności wezyra szacha Persji. Jest spokrewniony z Abbasydami, w jego żyłach płynie krew kalifów Bagdadu, dlatego chciałby któregoś dnia otrzymać władzę nad Isfahanem i z wysokości mojego tronu uderzać bogobojną pięścią.

Teraz Rob nie mógłby odpowiedzieć, nawet gdyby znalazł właściwe słowa, ogarnęło go bowiem przerażenie. Szach, któremu wino rozwiązało język, stawiał go w ryzykownym położeniu:

mógł po wytrzeźwieniu pożałować swych słów i bez trudu prędko pozbyć się świadka.

Władca jednak nie okazywał najmniejszego zakłopotania. Przyniesiono mu szczerze zatkany gąsiorek, który rzucił Robowi, i poszedł z powrotem do koni. Nawet nie próbowali polować, jechali tylko przed siebie leniwie, czując coraz cięższy upał i miłe znużenie. Wzgórza mieniły się od różnobarwnych kwiatów, czerwonych, żółtych i białych kielichów na grubych łodygach. Rob nie widział takich kwiatów w Anglii. Spytał o nie szacha, lecz ten nie potrafił ich nazwać, wiedział jedynie, że nie wyrastają z nasienia, tylko z bulwy jak cebule.

— Pokażę ci miejsce, którego nigdy nikomu nie wolno ci zdradzić — rzekł wreszcie Ala i pierwszy przedarł się przez zarośla do osłoniętego paprocią wejścia grotu, gdzie w ciepłym zaduchu przypominającym fetor zgniłych jaj leżała sadzawka brunatnej wody otoczona szarymi głazami, które pokrywały sine lizsaje porostów. Władca zrzucił z siebie odzienie. — No, na co czekasz, głupi zimmi? Rozbieraj się!... — ponaglił.

Rob posłuchał niechętnie, a ściągając z siebie ubranie zastanawiał się, czy szach nie należy do tych, którzy znajdują upodobanie w mężczyznach. Władca jednak zaraz wszedł do wody i bezwstydnie, ale bez pożądania szacował go wzrokiem.

— Przynies tu wino... Natura niezbyt hojnie cię obdarowała, Europejczyku — zauważył.

Rob już miał powiedzieć, że mimo wszystko przyrodzenie ma większe od królewskiego, lecz uzmysłowił sobie, że nie byłoby to grzeczne. Okazało się wszakże, iż szach jest bardziej domyślny, niż Rob sądził.

— Ja nie muszę być zbudowany jak ogier — zaśmiał się.

I tak mogę mieć każdą kobietę. Nigdy nie biorę jednej więcej jak raz, wiesz? To dlatego każdy wydaje dla mnie tylko jedno przyjęcie, chyba że bierze drugą żonę.

Rob ostrożnie zanurzył się w gorącej wodzie, którą czuć było złożami mineralnymi, szach otworzył zaś dzban z winem, napił się, rozparł wygodnie i zamknął oczy. Pot zalewał mu policzki i czoło, część ciała znajdującą się nad powierzchnią wody miał równie moką jak ta, która była zanurzona. Rob przyglądał mu się, ciekaw, jak to jest być najwyższym władcą.

— Kiedy straciłeś dziewictwo? — zapytał Ala nie otwierając oczu.

Rob opowiedział mu o angielskiej wdowie, która go wtajemniczyła w rozkosze ciała.

— Ja też miałem wtedy dwanaście lat — rzekł szach, kiedy Rob skończył.—Ojciec rozkazał swojej siostrze, żeby zaczęła ze mną sypiać, jak każe nasz obyczaj w przypadku młodych księżąt. Bardzo mądry zresztą... Ciotka była czuła niemal jak matka i dużo mnie nauczyła. Potem przez długie lata myślałem, że po każdym chędożeniu dostaje się miseczkę ciepłego mleka i słodczyce...

Siedząc z zamkniętymi oczami w wodzie, moczyli się w rozkoszonym milczeniu.

— Zostanę królem królów, Europejczyku — po dłuższym czasie odezwał się znowu szach.

— Jesteś królem królów, panie.

— Tak mnie nazywają.

Władca otworzył oczy i spojrzał prosto na Roba przenikliwym wzrokiem.

— Kserkses, Aleksander, Cyrus, Dariusz... Wszyscy byli wielcy i choć nie każdy urodził się Persem, umierali jako królowie perscy. W Isfahanie ja jestem królem. Na zachodzie nad licznymi plemionami wędrownych seldzuckich Turków panuje Togrul beg. Na wschodzie sułtanem wiernych górali Gazny jest Mahmud. Dalej, w Indiach, rządzi parudziesięciu słabych radzów, ale oni stanowią zagrożenie tylko dla siebie nawzajem. Jedyni silni władcy, którzy się liczą, to Mahmud, Togrul beg i ja. Kiedy nadjeżdżam, chanowie i begler-begowie dużych i małych miast wybiegają przed bramy z daninami i pochlebstwem... Ale ja wiem, że ci sami chanowie i beglerbegowie taki sam hołd oddawaliby i Mahmudowi, i Togrul begowi, gdyby ich podbili...

— Kiedyś, dawno temu — ciągnął szach w zadumie — był już taki czas jak teraz, czas małych królestw walczących o wielkie imperium. Przyszła w końcu pora, że cała władza znalazła się w rękach dwóch ludzi. Wtedy Ardeszir stoczył pojedynek z Ardewanem na oczach swoich wojsk. Dwóch wielkich, zakutych w zbroje mężów krążyło wokół siebie na pustyni. Walka się skończyła, gdy Ardewan padł od ciosu maczugi, i pierwszym, który przybrał miano szachinszacha, był Ardeszir. Nie chciałbyś być takim królem królów?

Rob pokręcił głową.

— Chcę być tylko medykiem.

Na twarzy władcy pojawiło się zdumienie.

— To coś nowego! Odkąd żyję, nikt nie pominął okazji, żeby mi pochlebić, a ty nie zamieniłbyś się ze mną, to widać... Dowiadywałem się o ciebie — ciągnął. — Mówią, że się wyróżniasz jako praktykant medyczny. Że wiele się po tobie spodziewają, jak już zostaniesz hakimem... Będę potrzebował ludzi, którzy potrafią dokonać wielkich rzeczy nie nadskakując mi... Bo wiedz, że użyję całej swojej przebiegłości i władzy, żeby usunąć Kandrasę. Szachowie zawsze musieli walczyć o utrzymanie Persji. Wystawię wojska przeciwko innym



władcom i kiedy się z nimi uporam, Persja znowu będzie imperium, a ja prawdziwym szachinszachem... — Chwycił Roba za rękę. — Zostaniesz moim przyjacielem, Jesse ben Beniaminie?

Rob wiedział, że ten sprytny myśliwy zwabił go w zasadzkę, zabiegając o jego przyszłą lojalność dla własnych celów. I robił to z zimnym wyrachowaniem. Ten władca na pewno był kimś więcej niż tylko pijanym rozpustnikiem. Rob wolałby się nie mieszać do polityki, toteż żałował teraz, że wybrał się na tę przejażdżkę. Niestety, już się stało, a dobrze pamiętał o swoich długach.

Uścisnął przegub ręki szacha.

— Masz moją wierność, wasza wysokość. Ala skinął głową. Na powrót odchylił się do tyłu, w ciepło sadzawki, i podrapał się po piersi.

— No, a jak ci się podoba w tym moim ulubionym miejscu?

— Śmierdzi siarką jak bździny, wasza wysokość. Władca ledwie uchylił powiek i bez słowa uśmiechnął się tylko lekko. Po chwili znów przemówił.

— Możesz tu sprowadzić kobietę, jak zechcesz, zimmi — powiedział leniwie.

— To mi się nie podoba — orzekł Mirdin, kiedy dowiedział się o przejażdżce Roba z szachem. — On jest nieobliczalny i niebezpieczny.

— To dla ciebie wielka szansa — zawyrokował Karim.

— Nie prosiłem o nią — powiedział Rob.

Ku jego uldze dni płynęły, a szach go nie wzywał. Ponieważ czuł potrzebę obcowania z przyjaciółmi, którzy nie są królami, większość wolnego czasu spędzał z Mirdinem i Karimem.

Karim wchodził w życie młodego medyka: pracował jak dotychczas w maristanie, ale teraz dostawał niewielką pensję od al-Dżuzdzaniego za codzienne badanie chorych i opiekę nad pacjentami po zabiegach chirurgicznych. Mając dla siebie więcej czasu i trochę więcej pieniędzy, bywał na majdanach i w zamtuzach.

— Chodź ze mną — namawiał kiedyś Roba. — Zaprowadzę cię do kochanicy czarnej jak kruk i gładkiej jak jedwab. Rob uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Nie chcę takiej.

— A jakiej?

— Rudej jak ogień. Karim się roześmiał.

— Takich nie ma.

— Potrzebne wam żony — spokojnie powiedział Mirdin przyjaciołom, lecz żaden go nie słuchał. Rob wkładał całą energię w studia, Karim nadal uganiał się za kobietami, a jego seksualny apetyt bawił wszystkich w szpitalu. Znając jego historię, Rob wiedział, że pod tą piękną twarzą i ciałem atlety kryje się samotny mały chłopiec szukający miłości kobiety, by zatrzeć straszne wspomnienia. Biegał teraz więcej niż dotąd, od tego zaczynając i na tym kończąc każdy dzień, ponadto systematycznie uprawiał intensywne ćwiczenia fizyczne. Nauczył Roba i Mirdina posługiwać się bułatem, zakrzywioną perską szablą, bronią cięższą od tej, do jakiej przywykł Rob, wymagającą siły i giętkości przegubów. Karim kazał im ćwiczyć ręce — musieli podnosić i opuszczać ciężkie kamienie po jednym w każdej dłoni, i przrzucać je z przodu do tyłu, by wyrobić sobie sprawne nadgarstki. Mirdin okazał się marnym atletą, nie nadawał się też na szermierza. Z pogodą przyjął jednak tę porażkę, przy jego zdolnościach umysłowych bowiem nie miało właściwie znaczenia, że z szablą w dłoni nikomu nie zagrozi.

Po zapadnięciu zmroku rzadko teraz widywali Karima — nagle przestał namawiać Roba, by mu towarzyszył do zamtuzów, i wyznał przyjaciołom, że wdał się w romans z zamężną kobietą i jest zakochany. Mirdin za to coraz częściej zapraszał Roba na wieczerzę do swego mieszkania w pobliżu synagogi Domu Syjonu.

Kiedyś na skrzyni u Mirdina Rob ze zdumieniem ujrzał podzieloną na kwadraty deskę, jaką przedtem widział tylko dwa razy w życiu.

— Czy to gra szacha? — zapytał.

— Tak. Znasz ją? W mojej rodzinie gra się w nią od wieków.

Te figury były drewniane, ale gra taka sama jak ta, w którą Rob grał z szachem, tyle że Mirdin zamiast dążyć do prędkiego miażdżącego zwycięstwa, skupiał się na uczeniu, tak że niebawem dzięki jego cierpliwym wskazówkom Rob zaczął pojmować wszystkie subtelności rozgrywki.

Dzięki skromnemu Mirdinowi zaznawał w jego domu krótkich chwil spokoju. Pewnego ciepłego wieczoru, po prostym posiłku, na który zjedli jarzynowy pilaw przygotowany przez Farę, poszedł z Mirdinem powiedzieć dobranoc sześcioletniemu Isacharowi.

— Czy nasz Ojciec w niebiesiech patrzy na mnie, abba?

— spytał malec.

— Tak, Isacharze. Widzi cię zawsze.

— A dlaczego ja Go nie mogę zobaczyć?

— Bo jest niewidzialny.

Chłopiec miał okrągłe śniade policzki i poważne oczy, zęby i dolną szczękę nieproporcjonalnie długie — już teraz było widać, że odziedziczył po ojcu pospolity wygląd, ale i jego łagodność.

— Jeżeli jest niewidzialny, to skąd wie, jak sam wygląda?

— nie ustępował.

Rob uśmiechnął się szeroko. Z ust maluczkich i dzieci... pomyślał. Odpowiedz na to pytanie, Mirdinie, mężu uczony w prawie ustnym i pisanym, mistrzu gry szacha, filozofie i medyku...

Ale Mirdin sprostał zadaniu.

— Tora mówi, że Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, a zatem starczy, że spojrzysz na ciebie, synku, a widzisz siebie. — Ucałował chłopca. — Dobranoc, Isacharze.

— Dobranoc, abba. Dobranoc, Jesse.

— Śpij dobrze, Isacharze — rzekł Rob, pocałował chłopca i razem z przyjacielem wyszedł z sypialnej izby.

## Pięć dni drogi na zachód

Pewnego dnia do Isfahanu przybyła z Anatolii duża karawana i w maristanie zjawił się młody poganiacz z koszykiem suszonych fig dla Żyda imieniem Jesse. Młodzieńcem tym okazał się Sadi, najstarszy syn Dehbida Hafiza, kalandara Szirazu, a figi były darem wyrażającym wdzięczność i miłość jego ojca dla ludzi, którzy walczyli z zarazą w Szirazie.

Sadi i Rob zasiedli do czaju, zjadając wielkie i mięsiste pyszne figi, pełne skryształonego cukru. Sadi kupił je w Midjacie od poganiacza, który na wielbłądach przywiózł je aż z Izmiru, a więc przewędrował całą Turcję. Teraz wybierał się z powrotem na wschód, do Szirazu, opętany wielką przygodą wędrówki, dumny, że ten medyk prosi, by zabrał isfahańskie wina w darze dla swego czcigodnego ojca, Dehbida Hafiza.

Karawany były jedynym źródłem wiadomości, toteż Rob dokładnie wypytywał młodzieńca. Z jego słów wynikało, że kiedy karawana opuszczała Sziraz, nowych przypadków zarazy już nie notowano. Raz w górach wschodniej Medii zobaczyli z dala wojska seldzuckie, lecz wszystko wskazywało na to, że był to mały oddział, nie zaatakował bowiem nawet karawany, chwala Allahowi! W Gaznie ludzie cierpieli na dziwną swędzącą wysypkę i mistrz karawany nie pozwolił się tam zatrzymać, by poganiacze nie zarazili się od miejscowych kobiet tą nie znaną chorobą. W Hamadanie zarazy nie było, ale jakiś cudzoziemiec, chrześcijanin, przywłókł do krajów muzułmańskich europejską gorączkę i mułlowie zakazali ludności kontaktów z niewiernymi diabłami.

— Jak się objawia ta choroba? — spytał Rob.

Sadi ibn Dehbid zawahał się. Nie był medykiem i nie zaprzętał sobie głowy takimi sprawami. Wiedział tylko, że nikt się do chorego nie zbliża poza jego córką.

— To ten chrześcijanin ma córkę?

Sadi nie potrafił opisać chorego ani jego córki, ale przypomniał sobie, że widział ich Budi, handlarz wielbłądów jadący z karawaną. Razem odszukali chytrookiego zasuszonego handlarza, który strzykał czerwoną śliną przez zęby poczerniałe od żucia betelu.

Budi utrzymywał, że ledwie pamięta tych chrześcijan, ale gdy Rob wsunął mu w rękę monetę, odzyskał pamięć na tyle, by sobie przypomnieć, że widział ich o pięć dni drogi na zachód i o pół dnia drogi od miasta Datur. Ojciec był w średnim wieku, bez brody, miał długie siwe włosy. Ubranie nosił cudzoziemskie, czarne jak szaty mułłów. Kobieta była młoda, wysoka i miała dziwne włosy, trochę jaśniejsze od henny.

Rob wbił w niego przerażone spojrzenie.

— Czy ten Europejczyk wyglądał na bardzo chorego? Budi uśmiechnął się uprzejmie.

— Nie wiem, panie. Był chory.

— A słudzy? Nie mieli sług?

— Nie widziałem, żeby im kto usługiwał.

Niewątpliwie płatni słudzy uciekli, wytłumaczył sobie Rob.

— Czy wyglądało na to, że córka ma dość żywności? — pytał dalej.

— Ja sam jej dałem koszyk groszku i trzy chleby, panie. Teraz Rob przeszył go takim wzrokiem, aż Budi nie na żarty się wystraszył.

— Za coś jej dał jedzenie?

Handlarz wielbłądów wzruszył ramionami, odwrócił się, pogrzebał w worku i wydobył nóż, trzymając go za ostrze. Na każdym perskim targu można było kupić noże znacznie

lepsze i piękniejsze, ten jednak stanowił niezbity dowód, gdyż ostatni raz Rob widział go u pasa Jamesa Geikiego Cullena.

Rob wiedział, że jeśli zwierzy się Karimowi i Mirdinowi, uprą się, by mu towarzyszyć, a chciał jechać sam. Zostawił dla nich zatem wiadomość u Jusufa ul-Gamala.

— Powiedzcie im, że wezwano mnie w prywatnej sprawie. Wyjaśnię wszystko po powrocie — polecił bibliotekarzowi. Poza tym powiadomił tylko Dżalalą.

— Wyjeżdżasz na jakiś czas? A to dlaczego? — spytał medyk z niezadowoleniem.

— Dla mnie to bardzo ważne. Idzie o kobietę...

— Ano, tak... — mruknął Dżalal. Narzekał i utyskiwał, dopóki go Rob nie przekonał, że nie brakuje praktykantów do obsłużenia szpitala, kłopotu więc miał nie będzie, tak że w końcu skinieniem głowy udzielił swego przyzwolenia.

Rob wyruszył na drugi dzień rano. Wyprawa była daleka i zbyt ni pośpiech nie pomógłby jego planom, nie dawał jednak spocząć kasztankowi, gdyż nie schodził mu z oczu obraz samotnej kobiety z chorym ojcem na pustkowiu w obcym kraju.

Pogoda była letnia, miedziane słońce osuszyło już spływające wody, toteż słony kurz Persji pokrył go całego i wciskał się w juki przy siodle. Rob zjadał ten pył z żywnością i wypijał z wodą, na której osiadał w postaci cienkiego kożucha. Wszędzie dzikie kwiaty spalone były na brąz, mimo to natykał się na ludzi uprawiających kamienistą ziemię — umieli odpowiednio kiero-1 wać zasoby wody, nawadniając winnice i sady daktylowe tak samo, jak czynili od tysięcy lat.

Nikt go nie napastował ani nie zatrzymywał, parł więc przed siebie zawzięty i w ponurym nastroju i nieoczekiwanie już czwartego dnia o zmierzchu minął miasteczko Datur. Nocą niewiele mógł zdziałać, przystanął więc na popas, a nazajutrz o wschodzie słońca już siedział w siodle. Wczesnym przedpołudniem w maleńkiej wsi Kuszel zagadnięty kupiec przyjął od niego monetę, sprawdził ją przygryzając, po czym oświadczył, że wszyscy wiedzą o tych chrześcijanach. Żyją w domu stojącym kawałek drogi na zachód, w bok od wadi Ahmada.

Wyschłego koryta rzeki, wadi, Rob nie mógł znaleźć, natknął się jednak na dwóch pasterzy, starca i chłopca, z kozami. Zapytany o miejsce pobytu chrześcijan stary splunął.

Rob dobył miecza. Wróciła mu niemal już zapomniana zdolność do popełnienia zbrodni. Stary to wyczuł, toteż nie spuszczać oka z miecza, uniósł rękę i wskazał drogę, a Rob nie zwlekając popędził konia w tamtym kierunku. Odjechał już spory kawałek, gdy młody pastuch włożył w procę kamień, który za plecami Roba zagrzechotał po skalistym gruncie.

Znienacka znalazł się nad wadi. Koryto rzeki prawie wyschło, choć wcześniej, na wiosnę, musiała nim płynąć woda, gdyż w ocienionych miejscach tu i ówdzie coś się zieleniło. Ujechał spory kawałek jego skrajem, zanim dojrzał małą chatkę z kamieni zlepionych rzeczonym mułem. Mary gotowała przed nią pranie, a spostrzegłszy jeźdźca, jak dzikie zwierzę skoczyła do domu. Zanim zsiadł z konia, przywlokła coś ciężkiego i podparła drzwi.

— Mary!... — zawołał Rob.

— To ty?!

— Ja.

Zapadła cisza, potem usłyszał jakieś szuranie — odsuwała kamień, którym zapała drzwi. Najpierw je lekko uchyliła, dopiero po chwili otworzyła szerzej. Rob zrozumiał, że go nie poznała w perskim ubraniu, na głowie miał jednak skórzany żydowski kapelus, który nosił, kiedy razem wędrowali z karawaną.

Mary stała przed nim z ojcowskim mieczem w rękę. Wszystko, przez co przeszła, wypisane miała na twarzy, która wychudła uwydatniając oczy, szerokie kości policzkowe i długi cienki nos. Na wargach wyskoczyły jej wypryski i Rob przypomniał sobie, że dostawała ich, ilekroć była wyczerpana. Policzki miała usmolone od sadzy, jaśniały na nich tylko dwie

brudzy wymyte łzami wyciskanymi przez dym z ogniska. Ale kiedy zamrugła, dojrzał w niej dawną rozsądną Mary.

— Pomóż mi, proszę... — powiedziała i szybko wprowadziła Roba do chatki.

Serce w nim zamarło, gdy zobaczył Jamesa Cullena. Nie musiał dotykać rąk owczarza — i bez tego wiedział, że jest umierający. Mary także musiała być tego świadoma, lecz patrzyła na Roba tak, jakby oczekiwała, że uleczy jej ojca samym dotknięciem.

W izbie śmierdziało odchodami Cullena.

— Ma biegunkę? — spytał Rob rzeczowo.

Mary przytaknęła znużonym skinieniem głowy i bezdźwięcznym głosem wyrecytowała szczegóły. Gorączka zaczęła się parę tygodni wcześniej od wymiotów i straszliwego bólu z prawej strony brzucha. Mary troskliwie zajęła się ojcem. Po jakimś czasie temperatura spadła i ku jej wielkiej uldze Cullen zaczął wracać do zdrowia. Przez kilka tygodni systematycznie przybierał na wadze i niemal już wyzdrowiał, gdy naraz dolegliwości powróciły, tym razem ostrzejsze.

Twarz Cullena była blada, zapadnięta, oczy pozbawione blasku, tętno prawie niewyczuwalne. Trapiły go na zmianę gorączka i zimnica, miał jednocześnie biegunkę i torsje.

— Służący myśleli, że to zaraza, i uciekli — powiedziała Mary.

— Nie, to nie zaraza — uspokoił ją Rob. Wymiociny nie były czarne, Cullen nie miał guzów, co w sumie było niewielką pociechą, brzuch z prawej strony stwardniał bowiem jak deska. Gdy Rob nacisnął ręką, Cullen, mimo że wydawał się pogrążony w głębokim omdleniu, głośno krzyknął.

Rob wiedział, co mu jest. Kiedy ostatnio miał do czynienia z tą chorobą, zonglował piłeczkami i śpiewał, aby pewien chłopczyk mógł umrzeć bez strachu.

— Dostał rozstroju jelita grubego — wyjaśnił. — Nazywają to czasem chorobą boku. Trucizna z wnętrzości rozeszła się już na całe ciało.

— Jaka jest jej przyczyna?

— Mógł nastąpić skręt jelita albo coś je zatkało. Oboje uzmysłowili sobie całą bezradność Roba wynikającą z ograniczoności wiedzy medycznej, choć starał się uczynić dla Jamesa Cullena co w jego mocy, aby mu pomóc: robił lewatywy z mętnych naparów rumianku, a gdy nie pomagały, podawał mu rabarbar i sole, zastosował gorące okłady na brzuch, wtedy jednak już wiedział, że to na nic.

Nie odstępował łóżka Szkota czuwając przy nim z Mary, którą chętnie by odesłał do drugiej izby, aby trochę odpoczęła, gdyby nie miał pewności, że koniec jest bliski. Już wkrótce będzie miała mnóstwo czasu na odpoczynek.

Przyszła wreszcie w środku nocy ta chwila. Cullen tylko lekko się unióś i szarpnął.

— Wszystko w porządku, ojcze — szepnęła Mary rozcierając mu rękę, ale już się wymknął, cicho i spokojnie, tak że przez chwilę ani ona, ani Rob nie wiedzieli, że nie żyje.

Na parę dni przed śmiercią Mary przestała ojca golić, teraz więc trzeba było zeskrobać z jego twarzy siwą szczecinę. Rob uczesał go i trzymał na rękach, gdy Mary z suchymi oczami myła ciało.

— Dobrze, że mogę to zrobić — powiedziała. — Nie dane mi było pomóc przy matce.... Tę bliznę — mówiła wskazując na prawym udzie ojca podłużną szramę — ma od czasu, jak osaczył w krzakach dzika. Miałam wtedy jedenaście lat. Całą zimę musiał potem przesiedzieć w domu. Robiliśmy razem szopkę na Boże Narodzenie i wtedy poznałam go bliżej.

Po przygotowaniu ciała Rob nanosił ze strumienia wody i nagrzał nad ogniem. Gdy Mary się myła, wziął się za kopanie grobu, co się okazało nadzwyczaj ciężką pracą, ponieważ grunt był skalisty. Nie miał narzędzi, toteż w końcu ziemię rozbijał na przemian mieczem Cullena i

grubą zaostrzoną gałęzią, pomagając sobie także gołymi rękami. Kiedy grób był gotowy, zrobił krzyż z dwóch kijów związanych pasem nieboszczyka.

Mary włożyła czarną suknię, w której ją niegdyś poznał, po czym Rob wyniósł Cullena owiniętego w całun z wełnianego koca przywiezionego z domu, ze Szkocji, tak pięknego i ciepłego, aż szkoda go było kłaść do grobu.

Nad grobem oczywiście nie miał kto odprawić mszy żałobnej, Rob zaś nie mógł nawet odmówić modlitw towarzyszących pogrzebowi, nie ufał bowiem swojej łacinie. Zdołał sobie jednak przypomnieć psalm, który ongi śpiewała jego

mama.

Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.

Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć:

orzeźwia moją duszę.

Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach

przez wzgląd na swoje imię.

Chociażbym chodził ciemną doliną,

zła się nie ulęknę,

bo Ty jesteś ze mną.

Twój kij i Twoja laska

są tym, co mnie pociesza.

Stół dla mnie zastawiasz

wobec mych przeciwników;

namaszczasz mi głowę olejkami;

mój kielich jest przeobfity.

Tak, dobroć i łaska pójdą w ślad za mną

przez wszystkie dni mego życia

i zamieszkać w domu Pańskim

po najdłuższe czasy.

Skończywszy śpiewać, zasypał grób i zatknął na nim krzyż, po czym odszedł, zostawiając Mary samą. Klęczała przy mogile ojca, coś szepcząc bezgłośnie.

Rob wiedział od Mary, że obydwa konie jej ojciec puścił luzem, by same szukały sobie paszy wśród rzadkiej roślinności w okolicach wadi, pojechał więc rozejrzeć się za nimi. Po drodze natknął się na otoczoną płotem z kolczastych krzewów zagrodę, w której znalazł kości czterech owiec, niewątpliwie zagryzionych i pożartych przez dzikie zwierzęta. Cullen z pewnością kupił ich dużo więcej, lecz rozkradli je ludzie... Co za zwariowany Szkot! Nigdy by nie przewiózł stada do Szkocji! A teraz on już nie wróci do domu, córkę zaś zostawił samą w tym wrogim kraju.

Na skraju niewielkiej kamienistej kotliny znalazł szczątki Cullenowego siwka. Możliwe, że na przykład złamał nogę i stał się łatwą zdobyczą dla drapieżników. Kości były ogryzione niemal do czysta, ale Rob poznał, że to robota szakali, wrócił więc do świeżego grobu i umocnił go ciężkimi płaskimi kamieniami, żeby zwierzęta nie wygrzebały ciała.

Karego wierzchowca Mary znalazł w drugim końcu wadi —uciekł jak najdalej od uczyt szakali. Rob beztrudu nałożył uzdę, koń spragniony był bowiem bezpieczeństwa, jakie mu zapewniała służba człowiekowi.

Po powrocie do chaty zastał Mary spokojną, choć bardzo bladą.

— Co bym zrobiła, gdybyś się nie zjawił? — powiedziała. Roześmiał się,

przypomniawszy sobie zaparte kamieniem drzwi i miecz w jej dłoni.

— Na pewno byś sobie poradziła. Głosem całkowicie opanowanym wyznała:

— Chciałabym jechać z tobą do Isfahanu.

— Bardzo tego pragnę — odparł Rob i serce w nim podskoczyło, ale ostudziły go następne słowa Mary:

— Czy jest tam karawanseraj?

— Tak. I wielki w nim ruch.

— Przyłączę się do strzeżonej karawany jadącej na zachód. Chcę dotrzeć do jakiegoś portu, z którego będę mogła popłynąć do domu.

Podszedł i ujął ją za ręce, od przyjazdu tutaj po raz pierwszy jej dotykając. Palce miała szorstkie od pracy — jej dłonie niczym nie przypominały dłoni kobiety z haremu, ale pragnął nie wypuszczać ich z rąk.

— Mary, popełniłem straszny błąd... Nie mogę cię znowu stracić — powiedział. Patrzyła na niego spokojnym wzrokiem. — Jedź ze mną do Isfahanu, ale zostań.

Byłoby mu łatwiej, gdyby nie czuł, że musi wyznać jej wszystko o Jessem ben Beniaminie i powodach tej maskarady.

Jakiś prąd przebiegł pomiędzy ich palcami, w jej oczach ujrzał jednak gniew i coś na kształt grozy.

— Tyle jest kłamstw w twoim życiu — powiedziała spokojnie, odsunęła się od niego i wyszła z chaty.

Rob podszedł do drzwi i patrzył za Mary, gdy odchodziła kamienistym korytem wyschłej rzeki. Nie było jej tak długo, aż zaczął się niepokoić, lecz w końcu wróciła.

— Powiedz, po co to udawanie? — spytała. — I czy warto?

Wstydził się przed nią bardzo, ale pragnął Mary i wiedział, że należy się jej prawda, toteż zmusił się, by motywy swego postępowania ująć w słowa.

— Widzisz, to sprawa powołania — zaczął. — Tak jakby Bóg powiedział: „Stwarzając istoty ludzkie popełniłem błędy i powołuję cię do pracy nad naprawieniem niektórych...” Ja tego nie chciałem, samo mnie wybrało.

Mary przeraziły jego słowa.

— Przecież to bluźnierstwo uważać się za kogoś, kto naprawia boskie błędy!

— Nie, nie — zaprzeczył łagodnie. — Dobry medyk jest tylko Jego narzędziem.

Kiwnęła głową i wydało mu się, że widzi teraz w jej oczach błysk zrozumienia, może nawet zazdrości.

— Zawsze będę musiała dzielić się tobą z kochanką. Wyczuła w jakiś sposób Despinę, pomyślał niemądrze i powiedział:

— Chcę tylko ciebie.

— Nie. Chcesz swojej pracy i ona będzie na pierwszym miejscu, przed rodziną, przed wszystkim. Ale tak cię pokochałam, Rob!... Chcę być twoją żoną... — szepnęła, a Rob objął ją i przytulił. — Cullenowie biorą ślub w kościele — dodała z twarzą ukrytą na jego ramieniu.

— Nawet gdybyśmy znaleźli w Persji księdza, nie dałby ślubu chrześcijance i żydowi. Musimy wszystkim mówić, że pobraliśmy się jeszcze w Konstantynopolu. Jak skończę naukę medycyny, wrócimy do Anglii i weźmiemy ślub jak należy.

— A tymczasem? — spytała przygnębiona.

— Sami się sobie zaślubimy.

Ujął obydwie jej dłonie w swoją, spojrzeli na siebie z powagą.

— Potrzebne są jakieś słowa nawet przy takim ślubie — zauważyła Mary.

— Biorę cię za żonę, Mary Cullen — oświadczył Rob ochryłym głosem. — Przysięgam, że będę o ciebie dbać i strzec cię, i dam ci swoją miłość...

Żałował, że nie znajduje lepszych słów, ale był głęboko wzruszony i z trudem panował nad tym, co mówi.

— Robercie Jeremy Cole, biorę cię za męża — powiedziała Mary wyraźnie. — Przysięgam, że pójdę za tobą wszędzie i zawsze będę dbała o twoje dobro. Masz moją miłość, odkąd cię pierwszy raz ujrzałam...

Tak mocno chwyciła Roba za rękę, aż go zabolalo i poczuł całą siłę tętniącego w niej życia. Wiedział, że przy tym świeżym grobie przed domem radość jest nie na miejscu, mimo to ogarnęło go dziwne pomieszanie uczuć. Pomyślał, że ich ślubowanie lepsze jest od wielu, jakie słyszał w kościele.

Kiedy wyruszali, załadował rzeczy Mary na kasztanka, zostawiając jej pod wierzch karosza, co rano zaś przekładał juki z jednego na drugiego. Czasami, chociaż nieczęsto, wsiadali oboje na jednego konia, gdy droga była równa i teren płaski, na ogół wszakże Mary jechała, a Rob prowadził zwierzęta pieszo. Podróżowali więc powoli — ale przecież nigdzie się nie spieszyli.

Mary była bardziej milcząca niż niegdyś. Świadom jej żalu po ojcu, Rob nie próbował się do niej zbliżyć. Drugiego dnia podróży do Isfahanu, kiedy rozbili obóz na polance w przydrożnych zaroślach, leżąc już na posłaniu usłyszał, że Mary wreszcie płacze.

— Skoroś jest pomocnikiem Boga i naprawiasz Jego błędy, to dlaczego nie mogłeś go uratować? — rzuciła w końcu z pretensją.

— Za mało umiem — odparł.

Płacz przyszedł późno i teraz nie mogła go pohamować. Rob objął ją i przytulił. Gdy już leżała z głową na jego ramieniu, zaczął całować najpierw jej mokrą od łez twarz, potem usta, słodkie, zapraszające, o znajomym smaku. Rozcierał jej plecy i gładził rozkoszne wgłębienie u nasady kręgosłupa, a gdy pocałunki nabrały mocy i poczuł w ustach jej język, sięgnął pod bieliznę. Znowu zapłakała, lecz otworzyła się pod jego palcami.

W Robię jednak nad pożądaniem przeważyła troska i poczucie wdzięczności, toteż ich zespolenie było jak delikatne, czułe kołysanie — ledwie się poruszali. Długo trwali złączeni, wreszcie w Robię zapłonęła rozkosz. Pragnąc uleczyć, sam został uleczony; pragnąc pocieszyć, doznał pocieszenia, lecz aby i jej zmysły zaspokoić, musiał posłużyć się ręką.

Przytulił ją potem i szeptem opowiadał o Isfahanie i Jahudii, o madrasie, szpitalu i o Ibn Sinie. A także o przyjaciółach, muzułmaninie i żydzie, Mirdinie i Karimie.

— Mają żony? — spytała Mary.

— Mirdin tak, Karim ma wiele kobiet.

Usnęli w swoich objęciach.

W szarym świetle ranka obudziło Roba skrzywienie siodła, powolny tętent kopyt na piaszczystej drodze, czyjś ostry kaszel i rozmowa przejeżdżających.

Wyjrzał nad ramieniem Mary przez kolczaste krzaki oddzielające ich kryjówkę od drogi i zobaczył konny oddział wojska. Żołnierze wyglądali groźnie, mieli takie same wschodnie szable jak żołnierze szacha Ali, lecz łuki krótsze od perskich.

Z ich przyodziewku zostały łaichmany, białe niegdyś turbany pociemniały od potu i brudu, przycajony w strachu Rob poczuł też zalatujący od nich smród. Tylko czekał, że któryś z jego koni ich zdradzi parsknięciem albo jakiś jeździec zajrzy za krzaki i spostrzeże wędrowców. Mignęła mu znajoma twarz — poznał chana Hadada, porywczego posła Seldżuków na dwór szacha Ali.

A więc to wojownicy Seldżuków! Obok siwowłosego chana Hadada jechał inny znajomy Roba, mułła Musa ibn Abbas, główny doradca imama Mirzy abul Kandrasy, perskiego



wezyra. W sumie doliczył się jeszcze sześciu mułłów i dziewięćdziesięciu sześciu żołnierzy, nie wiedział jednak, ilu ich przejechało, gdy jeszcze spał.

Szczęśliwie ani kasztanek, ani karosz nie zarżał, nie zdradził ich też żaden inny dźwięk, ostatni z Seldżuków w końcu minął miejsce, gdzie popasali, i Rob ośmielił się odetchnąć, nasłuchując cichnącego w oddali tętentu.

Teraz ucałował żonę, żeby ją obudzić, nie tracąc czasu zwinął obozowisko i wyruszyli, miał już bowiem powód do pośpiechu.

## Charir

— Wzięłaś sobie żonę? Nie spodziewałem się, że pójdziesz za moją radą—powiedział Mirdin rozpromieniony. — Kto ułożył to małżeństwo?

— Nikt. To znaczy — szybko dodał Rob — umowa małżeńska zawarta była ponad rok temu, ale można ją było wypełnić dopiero teraz.

— Jak ona się nazywa? — zapytał Karim.

— Mary Cullen. Jest Szkotką. Poznałem ją i jej ojca w karawanie, kiedy jechałem na Wschód...

Opowiedział im coś niecoś o Jamesie Cullenie, jego chorobie i śmierci. Mirdin sprawiał wrażenie, że prawie nie słucha.

— Szkotką?... — zapytał. — Czyli Europejka!

— Tak. Pochodzi z północy mojego kraju.

— Chrześcijanka? Rob potwierdził.

Muszę zobaczyć Europejkę — oznajmił Karim. — Ładna?

— Piękna! — zawołał Rob i Karim się roześmiał. — Ale chcę, żebyście sami osądzili. — Odwrócił się, żeby objąć zaproszeniem także Mirdina, lecz przyjaciel już odszedł.

Rob nie miał wielkiej chęci donosić szachowi, co widział, pamiętał jednak, że przyrzekał mu lojalność, toteż nie miał wyboru. Kiedy się zjawił w pałacu i zażądał widzenia z władcą, Chuffjak zawsze powitał go surowym uśmiechem.

— Z czym przychodzisz? — spytał.

Rob w milczeniu pokręcił głową. Dowódca Bram obrzucił go kamiennym spojrzeniem, kazał mu jednak zaczekać i poszedł powiedzieć szachowi, że cudzoziemski zimmi Jesse pragnie go widzieć, po czym już bez zwłoki zaprowadził go przed oblicze władcy.

Od Ali czuć było alkohol, lecz w miarę trzeźwo wysłuchał przyniesionej przez Roba wiadomości, że jego wezyr wysyła swych pobożnych podwładnych na narady z wrogami szacha.

— Nie miałem żadnych doniesień o wypadkach w Hamadanie

— rzekł z namysłem Ala — czyli nie był to oddział seldżuckich najeźdźców. Spotkali się więc niewątpliwie po to, żeby knuć zdradę. — Przyjrzał się Robowi spod opuszczonych powiek.

— Z kim o tym mówiłeś?

— Z nikim, wasza wysokość.

— Niech tak zostanie.

Na tym władca zakończył rozmowę, ustawił za to między nimi tablicę do gry szacha. Okazał wyraźne zadowolenie, znalazłszy w Robie trudniejszego niż dotychczas przeciwnika.

— Ach, zimmi, stajesz się sprytny i podstępny jak Pers!

— pochwalił.

Robowi istotnie przez jakiś czas udawało się opierać, ale wreszcie poniósł miażdżącą klęskę i skończyło się jak zawsze szachtrandzem. Mimo to obaj doszli do wniosku, że nastąpił zwrot w ich rozgrywkach: bardziej teraz przypominały walkę, a Rob mógłby nawet dłużej się bronić, gdyby mu nie było tak pilno wrócić do żony.

Pięknieszego miasta jak Isfahan Mary nie widziała w życiu, może jednak wydał jej się

tak piękny dlatego, że była tu z Robem. Spodobał się jej też domek w Jahudii mimo całej nędzy żydowskiej dzielnicy. Dom nie był tak duży jak ten, w którym mieszkała z ojcem nad wadi w okolicy Hamadanu, za to solidniej zbudowany.

Na jej nalegania Rob kupił gipsu i parę prostych narzędzi i zaraz pierwszego dnia gdy Mary została sama, zajęła się naprawą domu. Była akurat pełnia upalnego perskiego lata, toteż jej ciemna żałobna suknia z długimi rękawami wkrótce zwilgotniała od potu.

W połowie przedpołudnia do drzwi zapukał gość — najpiękniejszy mężczyzna, jakiego zdarzyło jej się oglądać. Przyniósł kosz czarnych śliwek i postawił go tak, by dotknąć przy okazji jej rudych włosów, co Mary spłoszyło. Cmoknął z podziwu i zrobił zdumioną minę, oslepiając ją białymi jak śnieg zębami w smagłej twarzy. Zaczął coś mówić ze swadą i uczuciem, głosem miłym dla ucha, lecz po persku.

— Wybaczcie... — przerwała mu Mary.

— Ach... — rzekł ze zrozumieniem i położywszy rękę na piersi dodał: — Karim.

W jednej chwili strach jej minął.

— Aaa... — ucieszyła się. — Jesteś przyjacielem mojego męża. Opowiadał mi o tobie.

Karim uśmiechnął się promiennie i podprowadził ją do krzesła, namawiając słowami, których nie była w stanie zrozumieć, żeby usiadła i zjadła słodką śliwkę, a kiedy to zrobiła, wymieszał odpowiednio gips, zalepił trzy pęknięcia w ścianach i umocował parapet w oknie. Bez skrupułów pozwoliła mu też pomóc sobie w wycinaniu wybująco zdziczałych głógów w ogrodzie.

Rob po powrocie do domu jeszcze zastał Karima, Mary nalegała więc, żeby zjadł z nimi posiłek. Musieli odłożyć to do zapadnięcia zmroku, gdyż trwał post ramazanu, dziewiątego miesiąca roku.

— Lubię Karima — powiedziała Robowi, kiedy gość poszedł. — Kiedy poznam tego drugiego... Mirdina? Rob pocałował ją i pokręcił głową.

— Nie wiem — odparł.

Ramazan wydał się Mary jakimś przedziwnym świętem. Rob już drugi ramazan spędził w Isfahanie, pouczył ją więc, że to miesiąc powagi, ale choć winien być poświęcony modlitwie i umartwieniom, wszyscy zdają się myśleć wyłącznie o jedzeniu, gdyż muzułmanom nie wolno w tym czasie przyjmować pokarmów ani napojów od świtu aż do zachodu słońca. Z targów i ulic zniknęli sprzedawcy żywności, majdany przez cały miesiąc stały puste i głuche, podczas gdy wierni w gronie przyjaciół i krewnych gromadzili się nocami, żeby się najeść i wzmocnić przed kolejnym dniem postu.

— W zeszłym roku podczas ramazanu byliśmy w Anatolii — powiedziała w zadumie Mary. — Ojciec kupił od jednego pastucha jagnięta i wydał ucztę dla muzułmańskich służących.

— Możemy wydać obiad ramazanu.

— Byłoby to miłe, ale jestem w żałobie — przypomniała.

W rzeczywistości szarpały nią sprzeczne uczucia: chwilami czuła się jak okaleczona przez śmierć ojca, kiedy indziej, uświadomiwszy sobie, że jest żoną Roba, odchodziła od zmysłów ze szczęścia.

Podczas rzadkich wypraw do miasta miała wrażenie, że ludzie spoglądają na nią wrogo. Jej czarna żałobna suknia nie różniła się zbyt wiele od strojów innych kobiet w Jahudii, niewątpliwie jednak odkryta ruda głowa wyróżniała ją jako Europejkę. Próbowwała nosić podróżny kapelusz z szerokim rondem, lecz zauważyła, że i tak kobiety ją wytykają palcem na ulicy i nie zmniejsza się ich chłód w stosunku do niej.

W innych okolicznościach czułaby się pewnie samotna, skoro w tym kipiącym życiu mieście mogła się porozumieć z jednym tylko człowiekiem, tymczasem przepełniała ją

poczucie niczym nie zmaconej intymności, jak gdyby na całym świecie żyli tylko ona i jej świeżo poślubiony mąż.

W upływającym już miesiącu ramazan odwiedzał ich wyłącznie Karim Harun, kilka razy też miała okazję oglądać młodego perskiego medyka w jego szalonym biegu ulicami miasta— ten widok pozbawiał ją tchu, zupełnie jakby patrzyła na jelenia. Rob opowiedział jej o chatirze, biegu, który miał się odbyć w pierwszy z trzech dni święta zwanego Bairam, obchodzonego z okazji zakończenia długiego postu.

— Obiecałem zająć się Karimem podczas biegu — dodał.

— Tylko ty będziesz nad nim czuwał?

— Mirdin też przyjdzie. Ale sądzę, że przydamy mu się obaj.

W jego głosie zabrzmiało pytanie i Mary zrozumiała, że Rob się martwi, czy ona aby nie poczyta tego za brak szacunku dla jej ojca.

— Musisz więc tam być — oświadczyła stanowczo.

— Sam bieg nie jest świętem... Nawet osoba w żałobie może mu się przyglądać i nikt nie będzie jej miał tego za złe — dodał jeszcze Rob.

Mary zastanawiała się nad tym w okresie poprzedzającym święto Bairam i w końcu doszła do wniosku, że Rob ma słuszość: powinna obejrzeć chatir.

Pierwszego dnia miesiąca szawwal rano wstał gęsty od mgły, która obudziła w Karimie nadzieję, że będzie to dobry dzień do biegu. Spał źle, budząc się co chwila, ale powiedział sobie, że inni zawodnicy też zapewne tak samo spędzili tę noc, starając się zapomnieć choć na chwilę o biegu.

Wstał, ugotował sobie wielki gar fasoli z ryżem i posypał ten nader prosty pilaw starannie odmierzoną miarką nasion selera. Najadł się bardziej niż do syta, jak gdyby nagrzewał piec, po czym wrócił na posłanie, położył się i zaczął czekać, aż ziarenka selera zrobią swoje. Starał się w tym czasie o niczym nie myśleć, dodając sobie odwagi modlitwą.

O Allahu, daj mi lotne i pewne nogi na ten dzień. Niech moje piersi staną się niezawodne jak miechy, Mięśnie zaś silne i sprężyste jak młode drzewka. Daj jasność moim myślom i ostrość zmysłom, A moje oczy niechaj zawsze będą wpatrzone w Ciebie.

Nie modlił się o zwycięstwo — w dzieciństwie Żaki Omar za często mu powtarzał: „Każdy tchórzliwy biegacz modli się o zwycięstwo. Jakże to mąci sąd Allahowi! Lepiej Go prosić o szybkość i wytrwałość i nimi się posłużyć, biorąc na siebie odpowiedzialność za zwycięstwo lub porażkę.”

Gdy poczuł potrzebę, wstał, kucnął nad cebrem i siedział na nim dotąd, aż się całkowicie wypróżnił. Dość ziaren selera okazała się właściwa. Kiedy skończył, czuł, że ma puste wnętrze, lecz nie jest osłabiony, a zatem zdoła pewnie uniknąć kurczów hamujących prędkość biegacza.

Nagrzał potem wody, umył się w misce przy świetle świecy i szybko wytarł, gdyż ustępująca noc była chłodna, po czym namaścił się oliwą dla ochrony przed słońcem, dwukrotnie smarując miejsca, w których mogłyby powstać bolesne otarcia: brodawki piersi, pachy, pachwinę i penis, rowek między pośladkami, a na końcu stopy, szczególnie dbając o czubki palców u nóg.

Uczyniwszy to, włożył płócienną przepaskę na biodra i takąż koszulę, lekkie skórzane buty gońca i barwną czapkę z piórami, na szyi zawiesił kołczan i amulet w szmacianym woreczku. Na ramiona zarzucił jeszcze płaszcz dla ochrony przed chłodem, po czym wyszedł z domu.

Ruszył z początku powoli, potem przyspieszył i niebawem poczuł, jak ciepło rozluźnia mu mięśnie i stawy. Niewielu jeszcze było ludzi na ulicach, toteż nikt nie zauważył, gdy wszedł w krzaki, żeby nerwowo ostatni raz jeszcze ulżyć pęcherzowi. Zanim jednak znalazł

się na miejscu startu przy zwodzonym moście do Rajskiego Domu, już zebrały się tam setki widzów. Ostrożnie przecisnął się przez tłum i tak jak się wcześniej umówili, odszukał w ostatnich szeregach Mirdina. Tam też niedługo potem znalazł ich Jesse ben Beniamin, który z Mirdinem przywitał się sztywno. Coś między nimi zaszło, zauważył Karim, lecz natychmiast odsunął od siebie tę myśl — teraz ma myśleć tylko o biegu.

Jesse obejrzał go, roześmiał się i dotknął woreczka, który Karim zawiesił sobie na szyi.

— A tu co masz? — zapytał.

— To na szczęście. Od mojej damy — odparł Karim i natychmiast się zreflektował: nie powinien rozmawiać przed biegiem, nie może. Obdarzył Mirdina i Jessego krótkim uśmiechem, aby wiedzieli, że nie chce ich urazić, po czym zamknął oczy i uciekł w pustkę, izolując się od głośnych rozmów i chełpliwych śmiechów wokoło. Trudniej było się odciąć od zapachów oliwy i zwierzęcych tłuszczów, wyziewów ciał i przepoconych ubrań.

Raz jeszcze się pomodlił.

Gdy otworzył oczy, mgła była już perłowa. Przebijając ją wzrokiem, dostrzegł idealnie okrągły czerwony dysk słońca. Powietrze, dotąd rześkie, już stało się duszne. Z ukłuciem łęku zdał sobie sprawę, że dzień będzie bezlitośnie upalny.

To nie zależało od niego. Inszallah.

Zdjął płaszcz i oddał go Jessemu.

— Bóg z tobą — rzekł pobladły Mirdin.

— Biegnij z Bogiem, Karimie — powiedział Jesse.

Nie odpowiedział. Dokoła zapanowało całkowite milczenie. Biegacze i widzowie utkwili oczy w najbliższym minarecie przy Meczezie Piątkowym, gdzie Karim dostrzegł maleńką postać w czerni wspinającą się na wieżę.

Za chwilę dobiegło ich niepokojące wezwanie do pierwszej modlitwy i Karim padł na ziemię twarzą ku wschodowi, w stronę

Mekki.

Zaraz po modlitwie zerwał się jeden wielki ryk. Krzyczeli biegacze i widzowie. Karim aż zadrżał, takie to było przejmujące. Okrzyki zachęty mieszały się z wezwaniami do Allaha, a niejeden z obecnych po prostu wył mrozącym krew w żyłach głosem człowieka, który rzuca się na nieprzyjacielskie mury.

Z tyłu, gdzie stał Karim, ruch wśród pierwszych biegaczy można było tylko wyczuć, ale z doświadczenia wiedział, że część rzuciła się do przodu, aby się znaleźć w pierwszym szeregu, i przepychają się teraz siłą nie zważając na to, że mogą kogoś stratować. Na poturbowanie narażeni byli nawet ci, co wstali od modlitwy nie zwlekając, gdyż w zamieszaniu powstałym w głównym nurcie, w którym poszły w ruch ręce i nogi, każdy mógł oberwać po twarzy albo dostać kopniaka, skrócić nogę lub upaść popchnięty przez kogoś. Dlatego też Karim cierpliwie i z pogardą zaczął z tyłu, aż falami odpłyną przed nim biegacze, denerwujący go podnoszonym tumultem.

Wreszcie i on pobiegł. Chatir się zaczął i Karim ruszył w ogonie długiego węża zawodników.

Biegł bardzo wolno. Pierwsze pięć i jedna czwarta mili miały mu zabrać wiele czasu, lecz było to zgodne z jego planem. Mógł wprawdzie zająć pozycję w bardzo licznej pierwszej grupie rywali, a następnie—pod warunkiem że nie odniósłby obrażeń w przepychance — przesunąć się do przodu na tyle, żeby się znaleźć daleko przed innymi prowadzącymi, wtedy musiałby jednak zużyć zbyt wiele energii na samym starcie. Wybrał zatem bezpieczniejszy sposób.

Wybiegli szerokimi Bramami Raju i skręcili w lewo, w długą ponad milę Aleję Tysiąca Ogrodów prowadzącą w dół, potem trasa wiodła pod górę na lekko pochyłe wzgórze w

pierwszej połowie okrążenia i krótkie, lecz bardziej strome wzniesienie za nawrotem. Dalej skręcała w prawo w liczącą zaledwie ćwierć mili ulicę Apostołów, która łagodnie opadała, gdy biegli w jedną stronę, w drugą zaś zmuszała do mozolnej wspinaczki. Minąwszy ją, zawodnicy znowu skręcili w lewo, w Aleję Alego i Fatimy prowadzącą aż do madrasy.

W stawce znajdowali się różni ludzie. Ponieważ wśród młodych arystokratów panowała moda na pokonanie połowy okrążenia w wyścigu, eleganci w jedwabnych letnich szatach biegli ramię w ramię z zawodnikami w łachmanach. Karim trzymał się z tyłu, bo na razie był to nie tyle wyścig co pędzący tłum, radośnie podniecony zakończeniem ramazanu. Taki początek biegu dawał mu pewną korzyść, gdyż powolne tempo stopniowo pobudzało jego krążenie.

Widzowie przyszli, ale było za wcześnie, by wzdłuż ulic stał zwarty tłum — bieg miał trwać długo, dlatego większość mieszkańców miasta wybierała się później. Mijając madrasę Karim zerknął na podłużny dach piętrowego maristanu, gdyż na nim, jak mu powiedziała ta, od której dostał amulet — lok jej włosów w sakiewce — mąż zapewnił jej miejsce dla oglądania chatiru. Jej tam na razie nie było, za to na ulicy przed szpitalem stało dwóch pielęgniarzy wołając: „Hakim! Hakim!...” Karim w biegu pomachał im ręką, świadom zawodu, jaki zapewne poczuli ujrawszy go na końcu stawki.

Zawodnicy przebyli tereny madrasy, kierując się na centralny majdan, gdzie ustawiono dwa wielkie otwarte namioty: jeden, przeznaczony dla dworzan, wysłany dywanami i obwieszony brokatami, mieścił stoły uginające się od wytwornych potraw i win; w drugim, przygotowanym dla biegaczy niskiego urodzenia, znajdował się chleb, pilaw i szербet. Obydwa wyglądały jednakowo zachęcająco, tak że w nich zakończyła bieg niemal połowa uczestników, którzy z okrzykami radości rzucili się na poczęstunek.

Karim należał do tych, co minęli namioty i okrążywszy kamienne słupy na polu do gry w piłkę i kij, zawrócili w kierunku Rajskiego Domu.

Teraz było ich mniej, biegli w pewnej odległości jeden od drugiego i Karim wreszcie miał przestrzeń potrzebną do rozwinięcia swego tempa.

Mógł teraz postąpić jak ci, którzy dalej parli naprzód, aby parę pierwszych okrążeń przebiec szybko wykorzystując poranny chłód, wołał wszakże pójść za wskazówkami Zakiego Omara. Od niego to nauczył się, że sekret wygrywania długich dystansów polega na wybraniu i niezmiennym utrzymywaniu takiego tempa, żeby ostatek sił zachować na końcówkę. Właściwe tempo potrafił przyjąć, potrafił je też zachować, nie wypadając ani na chwilę z rytmu regularnego końskiego kłusa. Rzymska mila liczyła tysiąc pięciostopowych kroków, lecz Karim robił mniej więcej tysiąc dwieście kroków na milę, każdy jego krok bowiem mierzył nieco ponad cztery stopy. Biegł idealnie wyprostowany, z wysoko uniesioną głową, a odgłos stóp uderzających miarowo o ziemię brzmiał w jego uszach jak głos przyjaciela.

Zaczął już wyprzedzać niektórych biegaczy, choć wiedział, że w większości nie są to poważni przeciwnicy, i biegł swobodnie, kiedy wrócił pod bramy pałacu i włożył pierwszą strzałę do swego kołczana.

Mirdin podał mu balsam do natarcia skóry dla ochrony przed działaniem słońca, ale go nie przyjął, i wodę, której napił się z chęcią, aczkolwiek oszczędnie.

— Jesteś czterdziesty drugi — powiedział Jesse, a on skinął głową i ruszył dalej.

Teraz biegł w pełnym świetle dnia. Słońce jeszcze stało nisko, lecz mocno już grzało, wyraźnie zapowiadając skwar. Nie było to niczym nieoczekiwanym. Czasami Allah miał zmiłowanie dla biegnących, większość chatirów jednak z powodu upału stawała się istną udręką. Szczytowym osiągnięciem w sportowej karierze Zakiego Omara było zdobycie drugiego miejsca w dwóch chatkach: raz kiedy Karim miał dwanaście lat, a powtórnie w roku, w którym ukończył czternaście. Pamiętał swoje przerażenie na widok wyczerpania

malującego się na czerwonej twarzy Zakiego i jego oczu wychodzących z orbit. Żaki dwukrotnie pokonał wtedy trasę stanowiącą kres jego możliwości, ale w obu wyścigach znalazł się inny biegacz, który potrafił biec dłużej i dalej od niego...

Karim, który postanowił zwyciężyć, wyrzucił tę myśl z głowy.

Wzgórza na pozór nie dały mu się bardziej we znaki niż za pierwszym okrążeniem — pokonał je wręcz niepostrzeżenie dla samego siebie. Wszędzie gęstniały tłumy, był bowiem piękny słoneczny poranek i Isfahan radował się świętem. Sklepy i warsztaty na ogół pozamykano, a ludzie stali lub siedzieli wzdłuż trasy: osobno grupy Ormian, Hindusów, Żydów, osobno grupy członków towarzystw naukowych i różnych religii.

Gdy Karim powtórnie przebiegając obok szpitala znowu nie zobaczył kobiety, która obiecała tam być, poczuł ukłucie zawodu. Możliwe, że ostatecznie mąż nie pozwolił jej przyjść.

Przed szkołą zbici w gęsty tłum widzowie pozdrowili go machaniem rąk, kiedy zaś dobiegał do majdanu, ujrzał, że już się na nim rozszalała zabawa jak w czwartkowy wieczór. Przed rzeszami gapiów popisywali się muzykanci, żonglerzy, szermierze, akrobaci, tancerze i magicy, a uczestnicy biegu okrążali ich skrajem placu niemal nie zauważeni.

Karim zaczynał już mijać wyczerpanych zawodników, którzy leżeli albo siedzieli na poboczu drogi. Kiedy wkładał drugą strzałę do swego kołczanu, Mirdin znowu chciał mu dać maść chroniącą skórę przed promieniami słońca, lecz Karim jej nie wziął — tylko dlatego, jak w duchu przyznał ze wstydem, że posmarowany wyglądałby nieładnie, a pragnął, aby ona go takim nie oglądała. Maść zresztą w każdej chwili będzie mógł dostać, ponieważ umówili się, że od tego okrążenia Jesse ruszy za nim na kasztanku. Karim znał siebie: zbliżała się pierwsza próba sił, niezmiennie bowiem po 25 rzymskich milach odczuwał wyczerpanie.

Kłopoty zaczęły się niemal jak zaplanowane: w połowie wzniesienia w Alei Tysiąca Ogrodów poczuł na pięcie prawej stopy otarcie. Nie sposób było przebiec tak długiego dystansu nie kalecząc stóp i Karim wiedział, że musi zignorować tę dolegliwość, wkrótce jednak doszedł do niej klujący ból w prawym boku, który narastał, aż wzmógł się tak, że zatykało go, ilekroć się uraził w prawą stopę. Dał znak Jessemu, który wiozł przy siodle bukłak z wodą, ale łyk ciepłej wody niewiele pomógł.

Za to kiedy się zbliżył do madrasy, natychmiast dostrzegł na dachu szpitala kobietę, której wypatrywał, i wszystko, co mu dokuczało, ustąpiło jak ręką odjął.

Rob, podążający za Karimem niby giermek za rycerzem, dojrzał Mary znalazłszy się przy maristanie. Uśmiechnęli się do siebie. Nie wyróżniałaby się w swojej żałobnej sukni wśród zebranych tam kobiet, gdyby nie to, że ona jedna wychodząc na ulicę nie zasłaniała twarzy gęstą czarną zasłoną. Inne zebrane na dachu szpitala kobiety stały w pewnym od niej oddaleniu, jakby bały się zarazić jej europejskim obyczajem. Towarzyszyli im niewolnicy — Rob poznał eunucha Wasifa stojącego za drobną postacią w nieforemnej czarnej sukni. Nie widział twarzy Despiny pod kwefem z końskiego włosia, dostrzegł jednak błysk jej oczu. Popatrzył w tym samym co ona kierunku i jego wzrok padł na Karima. Ale zobaczył jeszcze coś, co niemal pozbawiło go tchu: Karim też zauważył Despinę i utkwiał w niej spojrzenie, a mijając szpital, uniósł dłoń i dotknął sakiewki zawieszanej na szyi.

Dla Roba było to jak publiczne wyznanie, jednakże ton okrzyków i wiwatów się nie zmienił. Rozglądał się po tłumie, gdy przejeżdżał obok madrasy, szukał wzrokiem Ibn Siny, lecz nie znalazł go wśród widzów.

Karim starał się zapomnieć o bólu w boku, dopóki nie zelżał, i nie zważać na obolałe stopy. Wyczerpanie już zaczęło się dawać we znaki wielu zawodnikom. Wzdłuż całej trasy zbierano na wozy zaprzężone w osły biegaczy niezdolnych do dalszej rywalizacji.

Włożywszy do kołczanu trzecią strzałę, Karim pozwolił, aby Mirdin natarł go maścią z olejku różanego i muszkatolowego oraz z cynamonu, która zabarwiła jego jasnobrunatną

skórę na żółto, lecz skutecznie chroniła przed słońcem. Równocześnie Jesse wymasował mu nogi, na koniec zaś Mirdin przybliżył kubek do jego spękanych ust, podając mu więcej wody, niż sobie życzył.

— Nie! Będę musiał sikać! — zaprotestował Karim.

— Za bardzo się pocisz, żebyś sikał — odparł Mirdin.

Karim wiedział, że przyjaciel ma słuszość, toteż wypił wodę i po chwili był już daleko.

Kiedy tym razem mijali szkołę, wiedział, że ona widzi zjawę: topiący się na jego ciele żółty tłuszcz położyłby strumyki potu, oblepiła warstwa kurzu.

Słońce stało już wysoko i paliło ziemię tak, że droga parzyła stopy przez skórzane podeszwy butów. Stojący wzdłuż trasy widzowie podawali zawodnikom naczynia z wodą, czasem więc Karim na moment zwalniał, polewał sobie głowę, po czym mknął dalej bez słowa podziękii.

Jesse na chwilę zostawił go samego, kiedy do kołczanu włożył czwartą strzałę, i zaraz pojawił się na czarnym wierzchołku żony, niewątpliwie zostawiwszy kasztanka, żeby się napił i odpoczął w chłodzie cienia. Mirdin bez przerwy czuwał przy słupie ze strzałami, przyglądając się innym biegaczom, tak jak się umówili.

Karim co rusz mijał teraz tych, którzy ustali: jeden z zawodników stał pośrodku drogi zgięty w pół, szarpany torsjami, choć nic nie mógł zwrócić; to znów Hindus, który już zaczął utykać, wymamrotał coś pod nosem, zrzucił z nóg buty, przebiegł kilka kroków zostawiając czerwone ślady pokrwawionych stóp, po czym spokojnie stanął, by zaczekać na wóz...

Gdy Karim za piątym okrążeniem przebiegał obok maristanu, Despiny nie było już na dachu. Może przestraszyła się jego wyglądu?... Nie miało to znaczenia, ponieważ ją zobaczył i teraz od czasu do czasu zaciskał palce na sakiewce z kosmykiem jej gęstych czarnych włosów, który własnoręcznie uciął.

Miejscami wozy, biegacze i zwierzęta, na których jechali pomocnicy, wzbijały straszny kurz. Karimowi ów pył wciskał się do nosa i gardła, wywołując kaszel. Coraz trudniej było mu znosić przykrą rzeczywistość, zaczął więc od niej uciekać, aż stłumił wszelkie odczucia, dzięki czemu wszystkie siły mógł skupić na ciele, aby posłusznie wykonywało to, co już robiło tyle razy.

Wezwanie do drugiej modlitwy wstrząsnęło nim do głębi.

Na całej trasie biegacze i widzowie padli na ziemię twarzami w kierunku Mekki. Karim leżał wstrząsany dreszczem — jego ciało nie mogło uwierzyć, że nikt od niego nic nie żąda bodaj przez tak krótką chwilę. Marzyło mu się zdjęcie butów, ale wiedział, że już by ich nie włożył na spuchnięte stopy. Gdy modlitwa się skończyła, nie od razu zerwał się z ziemi.

— Ilu? — zapytał.

— Osiemnastu. Teraz to jest wyścig — odparł Jesse.

Karim ruszył dalej, zmuszając się do biegu w skwarze, od którego powietrze aż drżało. Cokolwiek mówił Jesse, on wiedział, że to jeszcze nie wyścig.

Wzniesienia pokonał z większym trudem niż dotąd, ale nadal utrzymywał równe tempo. W słońcu prostopadle prażącym głowę to właśnie będzie najtrudniejsze, gdy nadejdzie chwila prawdziwej próby. Pomyślał o Zakim, wiedział, że gdyby żył, biegłby dalej, póki by nie zdobył przynajmniej drugiego miejsca. Ale Karim drugie miejsce zostawiał sobie na potem. Za rok jego ciało może się okazać za stare na taką udrekę, musi zatem zwyciężyć dzisiaj.

Ta myśl sprawiła, że uruchomił zapasy sił, których inni już z siebie nie potrafili wykrzesać. Kiedy wsuwał szóstą strzałę do kołczanu, zapytał Mirdina:

— Ilu?

— Zostało sześciu — powiedział ze zdumieniem w głosie Mirdin, Karim zaś kiwnął głową i pobiegł dalej. Teraz to był wyścig.



Miał przed sobą trzech biegaczy. Jednego, niskiego Hindusa drobnej budowy, zamierzał właśnie wyprzedzić. Jakież osiem

dziesiąt kroków przed Hindusem biegł młodzieniec, w którym Karim rozpoznał żołnierza z gwardii pałacowej, ale nie wiedział, jak ma na imię. Daleko zaś w przodzie, choć na tyle blisko, że dało się go poznać, prowadził znany biegacz z Hamadanu, Karat.

Hindus wyraźnie zwolnił, odzyskał jednak wcześniejsze tempo, kiedy Karim się z nim zrównał, i pobiegli razem, ramię w ramię. Skórę miał bardzo ciemną, niemal hebanową, pod nią przy każdym ruchu lśniły w słońcu długie płaskie mięśnie.

Żaki miał ciemną skórę, pomyślał Karim, co było dodatkowym atutem w palącym słońcu, on za to potrzebował żółtej maści, jego bowiem skóra była w kolorze jasnego rzemienia. Żaki mawiał, że to dlatego, iż któraś z jego przodkiń przespała się z jednym z jasnowłosych Greków Aleksandra. Karim uważał, że istotnie coś takiego musiało się zdarzyć — było w końcu kilka greckich najazdów, a znał jasnoskórych Persów i Persjanki o śnieżnobiałych piersiach.

Raptem nie wiadomo skąd wyskoczył łąciaty piesek i ujadając popędził za nimi.

Kiedy mijali rezydencje przy Alei Tysiąca Ogrodów, widzowie podawali zawodnikom plastry melona i kubki z szербetem, ale Karim niczego nie chciał w obawie, że dostanie kurczów. Wziął tylko od kogoś wodę w naczyniu i wlał ją do czapki, którą zaraz na powrót włożył. Zaznał chwilowej ulgi, woda wszakże z niesłychaną szybkością wyparowała w słońcu. Hindus natomiast porwał z czyichś rąk zielonego melona i błyskawicznie pożarł go w biegu, a skórkę odrzucił za siebie.

Razem wyprzedzili młodego żołnierza. Odpadł już z zawodów zostając o całe okrążenie za nimi, miał bowiem tylko pięć strzał w kołczanie. Na jego koszuli widniały dwie ciemnoczerwone smużki krwi z otartych do żywego ciała sutek, przy każdym kroku nogi uginały mu się lekko w kolanach i jasne było, że nie ubiegnie wiele dalej.

Hindus odsłonił w uśmiechu białe zęby patrząc na Karima, który z niepokojem stwierdził, że rywal bez trudu utrzymuje tempo, a twarz ma wprawdzie czujną, lecz nie widać na niej zbytniego napięcia. Intuicja mu podpowiedziała, że tamten jest od niego silniejszy i mniej zmęczony. Mógł również okazać się szybszy.

Naraz łąciaty pies, który od jakiegoś czasu biegł równo z nimi, skręcił raptownie chcąc przeciąć im drogę. Karim zdążył uskoczyć, żeby go wyminąć, i otarł się tylko o ciepłą sierść, Hindusowi się to nie udało: pies wpadł mu prosto pod nogi.

Karim zawrócił, by pomóc rywalowi, który chciał się podnieść, lecz nie był w stanie: prawą stopę miał nienaturalnie wykręconą. Siedząc na drodze, z niedowierzaniem patrzył na własną nogę, jakby nie potrafił pojąć, że dla niego wyścig się skończył.

— Biegnij! — zawołał Jesse do Karima. — Ja się nim zajmę! Ty biegnij!...

Karim ruszył więc dalej, i to tak, jakby siły Hindusa przeszły w niego, jakby to Allah przemówił głosem zimniego, naprawdę bowiem uwierzył, że zwycięstwo może jemu przyspaść w udziale.

Przez większą część tego okrążenia biegł w pewnej odległości za Karatem. Na ulicy Apostołów, gdy niemal udało mu się go doścignąć, tamten się obejrzał. Spotkali się przed laty w Hamadanie i Karim zorientował się po oczach Karata, że on go też poznaje—zobaczył w jego wzroku niegdysiejszą pogardę: „Ach, to chłopczyk Zakiego Omara...”

Harat przyspieszył i wkrótce znowu go wyprzedzał o jakieś dwieście kroków.

Kiedy Karim wziął siódmą strzałę, Mirdin podał mu wodę i smarując go żółtą maścią powiedział:

— Jesteś czwarty. Prowadzi jakiś Afgańczyk, nie znam jego imienia... Mahdawi, biegacz z Reju, jest drugi, dalej Harat i ty.

Przez półtora okrążenia szedł za Karatem jak ktoś, kto zna swoje miejsce, zastanawiając się chwilami nad tymi dwoma biegnącymi tak daleko z przodu, że ich nie widział. W Gaznie, w wysokich górach, Afganowie biegali po niebosiężnych stokach, gdzie powietrze było rozrzedzone, i podobno nie męczyli się biegając na terenach położonych niżej. Słyszał też, że i Mahdawi z Reju jest dobrym biegaczem.

Zbiegając krótką stromą pochyłością Alei Tysiąca Ogrodów minął stojącego na skraju drogi wyczerpanego biegacza, który płacząc trzymał się za prawy bok. Wkrótce Jesse przyniósł wiadomość, że był to Mahdawi.

Karima także znowu rozboleła w boku, doskwierały mu też obie stopy. Wezwanie do trzeciej modlitwy zaskoczyło go tuż przed rozpoczęciem dziewiątego okrążenia. Przed wyścigiem bał się trzeciej modlitwy, ponieważ o tej porze słońce nie stoi już wysoko i mięśnie mogłyby mu zeszywnieć z chłodu, okazało się jednak, że upał nie zelżał. Przygniótł go teraz jak gruby koc, gdy leżał na ziemi w czasie modlitwy, a kiedy wstał i pobiegł dalej, pocił się nadal.

Choć tempo utrzymywał nie zmienione, wydało mu się, że dogania Harata, jak gdyby biegacz z Hamadanu zwolnił. Tak też było w istocie. Karim w końcu zrównał się z nim, a wtedy Harat spróbował poderwać się do wyścigu, jednakże wnet zaczął głośno dyszeć i potykać się — pokonał go skwar. Karim jako medyk wiedział, że Harat może umrzeć, jeśli doznał porażenia słońcem, od którego czerwienieje twarz i wysycha skóra, lecz zaraz się uspokoił, bo rywal miał twarz bladą i wilgotną. Mimo to zatrzymał się, kiedy biegacz znowu potknął się i przystanął. Harat miał w sobie dość jeszcze siły, żeby zgromić go wzrokiem i zawołać:

— Biegnij, przeklęty!

Karim nie kazał się namawiać.

Spoglądając z pierwszego wzniesienia w dół, w prosty odcinek białej drogi, w oddali dojrzał małą figurkę podbiegającą pod górę. Był to Afgańczyk, który na jego oczach upadł, dźwignął się na nogi i ruszył dalej, znikając w końcu za zakrętem w ulicę Apostołów. Karim, choć trudno było mu się powściągnąć, utrzymał swoje tempo i zobaczył tamtego wtedy dopiero, gdy dobiegł do Alei Alego i Fatimy.

Odległość między nimi była dużo mniejsza. Afgańczyk znowu upadł i wstał, ale biegł teraz nierówno. Może i przywykł do rozrzedzonego powietrza, tyle że w górach Gazny było chłodno, toteż upał Isfahanu sprzyjał Karimowi, który wciąż zmniejszał dzielącą ich odległość.

Przebiegając obok maristanu, nie widział ani nie słyszał nikogo, skupiwszy uwagę na rywalu. Doścignął go po czwartym, ostatnim upadku. Afgańczykowi przyniesiono wodę i okładano go mokrymi ręcznikami, gdy leżał dysząc jak wyrzucona z wody ryba — krępy mężczyzna o szerokich ramionach i ciemnej skórze. Lekko skośne brązowe oczy łagodnie patrzyły na Karima, kiedy go mijał.

Zwycięstwo przyniosło Karimowi więcej udręki niż radości, teraz bowiem musiał podjąć decyzję: bieg wygrał, ale czy stać go na podjęcie walki o chylat szacha? „Królewskie szaty”, pięćset sztuk złota i honorowe, lecz dobrze płatne stanowisko Pierwszego Chabra należało się każdemu, kto przebiegnie całą trasę wynoszącą 126 mil rzymskich w czasie krótszym niż dwanaście godzin.

Okrażając majdan, znalazł się twarzą do słońca. Przez cały dzień pokonał niemal 95 mil. To by wystarczyło, aż do bólu pragnął oddać dziewięć zdobytych strzał i odebrać pieniężną nagrodę, a potem przyłączyć się do pozostałych zawodników chlapiących się już w Rzece Życia. Pragnął pławić się w ich zawiści i podziwie, i w samej rzece, zanurzyć się w srebrnej wodzie, na co z nawiązką zasłużył.

Słońce wisiało nad horyzontem. Czy zdąży? Czy zachował jeszcze dość sił? Czy taka jest

wola Allaha? Czasu zostało już niewiele i może nie zdoła przebiec owych 31 mil, zanim wezwanie do czwartej modlitwy zapowie zachód słońca?... Choć się wahał, wiedział, że tylko pełne zwycięstwo skuteczniej niż wszystkie kobiety świata przepędzi Zakiego Omara z jego złych snów.

Toteż gdy wyjął kolejną strzałę, zamiast skrócić do namiotu urzędników, ruszył do dziesiątego okrążenia. Biała droga leżała teraz przed nim pusta, ścigał się tylko z czarnym dzinnem człowieka, dla którego pragnął być synem, lecz on uczynił z niego męską ladacznicę.

Kiedy w wyścigu został tylko jeden biegacz i chatir był rozstrzygnięty, widzowie zaczęli się rozchodzić. Ktokolwiek wszakże wzdłuż trasy ujrzał biegnącego samotnie Karima, natychmiast zawracał zrozumiawszy, że zwycięzca próbuje zdobyć chylat szacha.

Mieszkańcy Isfahanu dobrze znali reguły rządzące dorocznym chatirem, a także cenę całodziennego biegu w obezwładniającym upale, zerwał się zatem jeden ochrypli ryk podziwu i niósł Karima przez całe okrążenie, które zrobił niemal z przyjemnością. Przy szpitalu zdołał dostrzec promieniejące dumą twarze al-Dżuzdzaniego, pielęgniarza Rumiego, bibliotekarza Jusufa, hadżiego Dawuda Hoseina, nawet Ibn Siny. Na widok starego medyka wzrokiem natychmiast pobiegł na dach szpitala i ujrzał ją — wróciła! Teraz już wiedział, że prawdziwą nagrodę otrzyma wtedy dopiero, kiedy znowu znajdzie się z nią sam na sam.

Niestety, w drugiej połowie okrążenia pojawiły się kłopoty, i to z tych najgorszych. Często brał od ludzi wodę i polewał nią głowę, a teraz w chwili nieuwagi spowodowanej zmęczeniem zachlapał sobie lewy but. Wilgotna skóra natychmiast zaczęła ocierać zmęczoną stopę. Być może spowodowało to niewielką zmianę jego tempa, ponadto wkrótce złapały go kurcze w udzie. Co gorsza, kiedy dotarł do Bram Raju, słońce ujrzał niżej, niż oczekiwał — świeciło tuż nad dalekimi wzgórzami. Rozpoczynając przedostatnie tak upragnione okrążenie, widział, jak jego dysk szybko gaśnie, zląkł się więc, że nie zdąży, i podupadł na duchu.

Wszystko mu teraz ciążyło. Utrzymywał nadal tempo, ale nogi miał jak kamienie, pełen strzał kołczan przy każdym kroku boleśnie uderzał go w plecy, przeszkadzał mu nawet woreczek z kosmykiem włosów. Jeszcze częściej polewał głowę wodą i wyraźnie czuł, że słabnie.

Mieszkańców Isfahanu tymczasem ogarnęła dziwna gorączka. Każdy przeżywał ostatni etap biegu, jakby był Karimem Harunem: kobiety krzyczały, mężczyźni składali rozliczne ślubowania, wychwalali głośno biegacza, wzywali Allaha, zaklinali Proroka i dwunastu imamów męczenników... Kierując się okrzykami, które go poprzedzały, polewali ulicę, nim nadbiegł, rzucali mu kwiaty pod nogi, biegli przy nim wachlując go albo spryskując mu twarz, ramiona i nogi pachnącą wodą.

Karim czuł, że wcielają się w niego bez reszty, i zarażał się ich zapałem, jego krok odzyskiwał siłę i pewność. Stopy unosiły się i opadały, unosiły i opadały... Utrzymywał ciągle równe tempo, tyle że już nie uciekał przed bólem, lecz pokonywał śmiertelne zmęczenie, koncentrując się na bólu w boku, bólu w stopach, bólu we wszystkich członkach...

Kiedy wyjmował jedenastą strzałę, słońce zaczynało się chować za wzgórze — miało teraz kształt złotego półkrażka.

Biegł w zmierzchającym świetle, zataczał ostatnie koło w swoim tańcu — najpierw pod górę na wzniesienie, potem w dół stromą Aleją Tysiąca Ogrodów, dalej kawałek płaską drogą i znów się wspinał na długie zbocze... Serce waliło mu jak młot.

Dobiegłszy do Alei Alego i Fatimy, polał sobie głowę wodą i w ogóle tego nie poczuł. Przystawał też odczuwać ból, ale wciąż biegł dalej i dalej. Kiedy dotarł w okolice szkoły, nie szukał już wzrokiem znajomych, bardziej go bowiem zajmowało to, że stracił czucie w członkach.

Mimo to jego stopy nadal unosiły się i opadały niosąc go coraz dalej, tup, tup, tup...

Tym razem na majdanie nikt nie przyglądał się występom, Karim jednak nie słyszał towarzyszącego mu ryku ani nikogo nie widział: zamknięty w swoim ogłuchłym świecie, zmierzał do kresu długiego, chylącego się ku końcowi dnia.

W Alei Tysiąca Ogrodów ujrzał bezkształtne, gasnące czerwone światło na wzgórzach. Wydawało mu się, że powoli, och! jakże powoli pokonuje płaski odcinek drogi i pnie się pod górę, na wzniesienie — ostatnie!

Wreszcie pomknął w dół. Był to odcinek najbardziej niebezpieczny, bo gdyby na pozbawionych czucia nogach potknął się i upadł, już by się nie podniósł.

Kiedy wziął zakręt i wbiegł w Bramy Raju, słońca na niebie nie było. Teraz na jawie postrzegał zamazany tłum ludzi, który jakby unosił się nad ziemią w milczeniu go ponaglając, oczyma ducha zaś widział, jak muezin wchodzi na wąskie, kręte schody meczetu, wspina się na maleńki balkonik wysokiej wieży i czeka, aż zgaśnie ostatni promień dnia...

Karim wiedział, że zostały mu krótkie chwile.

Siłą woli próbował zmusić zdrętwiałe nogi do wydłużenia kroku, choć odrobinę przyspieszyć. Przed nim jakiś chłopczyk wyrwał się ojcu, wyskoczył na drogę i zamarł bez ruchu, wytrzeszczając oczy na olbrzyma, który pędził ku niemu.

Karim w biegu chwycił dziecko i posadził sobie na ramionach, a wtedy jeden potężny ryk wstrząsnął ziemią. Gdy dopadł z chłopcem do słupów, szach Ala już czekał, a gdy wyszarpnął dwunastą strzałę, Ala zdjął turban i zamienił go na czapkę z piórami gońca.

Napór tłumu powstrzymało wołanie muezinów z minaretów całego miasta. Ludzie zwrócili się twarzami w kierunku Mekki i padli na ziemię do modlitwy. Dziecko, które Karim wciąż trzymał na rękach, rozplakało się, puścił je zatem. Po modlitwie podniósł się, a wtedy wielmoże wraz z szachem otoczyli go jak ujadające szczenięta. Z tyłu gawiedź znowu się rozwrzeszczała, tłum natarł upominając się o niego, zupełnie jakby Karim Harun nagle zawładnął Persją.

**Część piąta**  
**Wojenne obowiązki chirurga**

## Zaufanie

— Dlaczego tak mnie nie lubią? — zapytała kiedyś Mary męża.

— Nie wiem—odparł, nie próbując zaprzeczać, bo przecież nie była głupia: gdy z sąsiedztwa przydreptała do nich najmłodsza córeczka Halewiego, jej matka, Judyta, która już nie przynosiła w podarunku ciepłego chleba obcemu Żydowi, podbiegła i bez słowa chwyciła dziecko, by je uchronić przed zbrukaniem; na żydowskim targu, gdzie Rob zaprowadził Mary, okazało się, że nikt już się do niego nie uśmiecha jako do Żyda z chylatem, przestał też być ulubionym klientem straganiarki Hindy; spotkane inne sąsiadki, Naomi i jej tęga córka Lea, z lodowatą miną odwróciły wzrok, jakby zupełnie zapomniały, że Jakub ben Raszi napomykał kiedyś Robowi podczas szabatowej wieczerzy, iż mógłby wejść do ich szewskiej rodziny.

Dokądkolwiek się ruszył, w całej Jahudii na jego widok Żydzi milkli i tylko się gapili. Widział znaczące trącanie się łokciami, żywą niechęć w podchwyconych przypadkiem spojrzeniach, a nawet słyszał, jak reb Aszer Jakobi, obrzeczacz gminy, wyklina go za to, że jest Żydem, który skosztował owocu zakazanego. Powiedział sobie, że ani trochę się tym nie przejmuje, bo czymże w końcu są dla niego mieszkańcy żydowskiej dzielnicy? Inaczej wszakże sprawy się miały, gdy szło o Mirdina Askarięgo. Rob przestał się łudzić — Mirdin go unikał. Rankami brakowało mu teraz jego szerokiego uśmiechu, w którym odsłaniał wielkie zęby, i kojącego koleżeństwa, gdyż Mirdin z nieodmiennie kamienną obojętnością przyjmował jego krótkie pozdrowienie i odchodził.

Wreszcie pewnego dnia odszukał Mirdina, rozciągniętego w cieniu orzecha na terenie madrasy nad dwudziestym, ostatnim tomem „Al-Hawi” Razięgo.

— Razi jest dobry. „Al-Hawi” obejmuje całość medycyny, — powiedział niezręcznie Mirdin.

— Przeczytałem dwanaście tomów. Niedługo zabieram się do pozostałych. — Rob popatrzył na niego. — Co w tym złego, że znalazłem ukochaną? f Mirdin spojrzał wyzywająco. — Jak mogłeś ożenić się z obcą? — Mirdin, ona jest klejnotem.

— „Miód wycieka z warg obcej, podniebienie jej gładkie jak olej.” To niewierna, Jesse! Głupcze, jesteśmy ludem rozproszonym i osaczonym, walczymy o przeżycie. Ilekroć któryś z nas żeni się z kobietą nie naszej wiary, odcina przyszłe pokolenia. Jeżeli tego nie rozumiesz, nie jesteś człowiekiem, za jakiego cię miałem, i nie chcę być twoim przyjacielem.

Rob zwodził sam siebie: zależało mu jednak na mieszkańcach żydowskiej dzielnicy, którzy przyjęli go ongiś bez zastrzeżeń. A na tym człowieku zależało mu najbardziej, bo obdarzył go przyjaźnią, Rob zaś nie miał tyłu przyjaciół, by tak łatwo pogodzić się z decyzją Mirdina.

— Nie jestem tym, za kogo mnie uważałeś — oświadczył czując, że musi Mirdinowi powiedzieć prawdę, i mając pewność, że może mu zaufać. — Moja żona nie jest kobietą innej wiary.

— To chrześcijanka.

— No właśnie.

Krew odpłynęła Mirdinowi z twarzy.

— Czy to głupi żart?... — zapytał, a ponieważ Rob nie odpowiedział, zabrał książkę i dźwignął się na nogi.—Odstępca! Jeśli to prawda... jeśli nie oszalałeś... ryzykujesz nie tylko własną głową, narażasz też mnie. Sprawdź w fikhu, a zobaczysz, że mówiąc mi o tym, czynisz mnie współwinnym przestępstwa i oszustwa, chyba że na ciebie doniosę. — Splunął. — Synu Złego, narażasz moje dzieci!... Przeklinam dzień, w którym cię poznałem — rzucił i z pośpiechem odszedł.

Mijał dzień za dniem, lecz ludzie kalandara nie przychodzili po Roba. Mirdin nie doniósł.

W szpitalu jego małżeństwo nie stwarzało problemów. Wśród medyków krążyła plotka, że się ożenił z chrześcijanką, ale ponieważ i tak go uważano za dziwaka — cudzoziemca, Żyda, który od więzienia doszedł do chylatu — więc ten nieprzystojny związek uznano za jeszcze jedno dziwactwo. Poza tym w społeczności muzułmańskiej, gdzie każdemu wolno było mieć cztery żony, wzięcie sobie kobiety niewielkie wywoływało poruszenie.

Niemniej Rob głęboko odczuł utratę przyjaźni Mirdina. Karima w tych dniach też widywał rzadko: dworscy wielmoże całkowicie zagarnęli go dla siebie i dniem i nocą fetowali na przyjęciach. Od chatiru jego imię było na ustach wszystkich.

Robowi zostawało więc towarzystwo żony, która też miała tylko jego. Bez trudu weszli we wspólne życie. Dom potrzebował Mary, dzięki niej stał się przytulniejszy i wygodniejszy. Rob spędzał z nią każdą wolną chwilę, a kiedy się rozstawali, przyłapywał się na tym, że wspomina jej wilgotne różowe ciało, łagodną linię długiego nosa i żywość inteligentnego spojrzenia.

Jeździli na wzgórze i kochali się w ciepłych siarkowych wodach tajemnej sadzawki szacha. Starą hinduską księgę z ilustracjami Rob położył na widocznym miejscu i przekonał się, że Mary ją przestudiowała, gdy spróbował przedstawić w niej pozycję. Jedne przynosiły im rozkosz, inne ich rozbawiały, toteż często śmiali się wesoło w łóżku wśród nowych zmysłowych igraszek. W każdej wszakże sytuacji Rob pozostawał naukowcem i badaczem.

— Co sprawia, że jesteś taka wilgotna? Jak studnia, która mnie wsysa... — dziwował się kiedyś i dostał za to kulakiem w żebra, choć Mary także nie wstydziała się ciekawości.

— Tak go lubię, kiedy jest mały... miękki i gładki jak atlas. Jak to się dzieje, że się zmienia? Kiedyś niania mi powiedziała, że staje się długi, gruby i twardy, jak się wypełnia powietrzem. Myślisz, że dlatego?

Pokręcił głową.

— Nie powietrzem. Wypełnia się krwią z arterii. Widziałem raz wisielca, fajfusa miał sztywnego i tak pełnego krwi, że był czerwony jak łosoś.

— Nie wiem cię, Robercie Jeremy Cole!

— To reakcja na zapach albo widok. Jednego razu w czasie morderczej podróży mój koń ledwie powłóczył nogami ze zmęczenia. W pewnej chwili zwęszył kobyłę i jeszcześmy jej nie zobaczyli, a już członek i mięśnie stwardniały mu jak drewno. Pokłusował do niej z takim zapalem, że go musiałem hamować.

Rob tak bardzo kochał Mary, że wynagradzała mu każdą stratę, mimo to któregoś dnia serce w nim podskoczyło, kiedy w drzwiach domu stanęła znajoma postać i schyliła głowę na powitanie.

— Wejdz, Mirdinie — zaprosił Rob.

Przedstawiona gościowi Mary przyjrzała mu się, po czym podała wino i ciasteczka i niemal natychmiast zostawiła ich samych — poszła nakarmić zwierzęta wiedzona instynktem, który Rob nauczył się w niej cenić.

— Naprawdę jesteś chrześcijaninem? — zapytał Mirdin wprost, a gdy Rob skinął twierdząco głową, zaproponował:

— Mogę cię zabrać daleko stąd, do miasteczka w Farsie, gdzie mój krewniak jest rabinem. Jeśli poprosisz tamtejszych uczonych o nawrócenie, może się zgodzą ci pomóc. Wtedy nie będziesz musiał kłamać i oszukiwać.

Rob spojrzał na niego i powoli pokręcił głową.

Mirdin westchnął.

— Gdybyś był łotrem, zgodziłbyś się od razu. Ale ty jesteś człowiekiem uczciwym i

stałym, a przy tym niezwykłym medykiem. Dlatego nie mogę odwrócić się od ciebie.

— Dziękuję ci.

— Nie nazywasz się Jesse ben Beniamin.

— Nie. Naprawdę się nazywam...

Mirdin ostrzegawczo potrząsnął głową, unosząc rękę.

— Nie mów. Tego ci nie wolno. I dla mnie, i dla innych musisz pozostać Jessem ben Beniaminem... — Popatrzył na Roba z podziwem. — Wtopiłeś się w Jahudiję, chociaż czasami razisz obcością. Mówiłem sobie, że to dlatego, że twój ojciec był europejskim Żydem, apostatą, który odszedł od naszego obyczaju i nie zadbał o to, żeby przekazać synowi Tradycję... Ale musisz być stale czujny, żeby nie popełnić najmniejszego błędu. Jeśli ktoś odkryje twoje oszustwo, staniesz przed sądem mułłów. A to będzie oznaczało pewną śmierć, w dodatku ściąganie zagrożenie na miejscowych Żydów, choć nie ponoszą winy za twoje oszustwo. W Persji jednak łatwo karze się niewinnych.

— Jesteś pewien, że chcesz ryzykować razem ze mną?

— zapytał spokojnie Rob.

— Przemyślałem to. Nie wyobrażam sobie zerwania naszej przyjaźni.

— Cieszę się.

— Ale nie za darmo—przestrzegł Mirdin, a że Rob czekał, co powie dalej, ciągnął: — Musisz wiedzieć, kogo udajesz. Być Żydem to coś więcej niż włożyć kaftan i zapuścić brodę.

— Jakże mam zdobyć tę wiedzę?

— Musisz się nauczyć Bożych przykazań.

— Znam dziesięcioro przykazań — rzekł Rob. Mirdin pokręcił głową.

— Dekalog to zaledwie mała częśćka praw zawartych w Torze, która obejmuje w sumie sześćset trzydzieści przykazań. Ich musisz się nauczyć. Musisz też przestudiować Talmud, czyli komentarze do wszystkich praw. Tylko wtedy poznasz ducha mojego narodu.

— Mirdinie, to gorsze niż fikh!... Prawo muzułmańskie już wystarczająco daje mi w kość — jęknął Rob z rozpaczą w głosie. Mirdinowi błysnęły oczy.

— Taka jest moja cena.

Rob widząc, że Mirdin nie żartuje, rzekł wreszcie z westchnieniem:

— A niech cię!... Zgoda.

I wtedy po raz pierwszy Mirdin się uśmiechnął. Nalał sobie wina i zlekceważywszy europejski stół i krzesła, usiadł na podłodze z podwiniętymi nogami.

— Więc zaczynamy. Pierwsze przykazanie brzmi: „Bądź płodny i rozmnażaj się”.

Jakże cieszył się Rob, że może oglądać ciepłą pospolitą twarz Mirdina w swoim domu!

— Staram się, Mirdinie — powiedział szczerząc zęby do przyjaciela. — Robię, co mogę!



## Kształtowanie Jessego

— Na imię ma Mary, jak matka Jezui—powiedział Mirdin żonie po hebrajsku.

— Na imię jej Fara — rzekł Rob po angielsku do Mary.

Kobiety przyjrzały się sobie.

Mirdin przyprowadził do nich Farę i swoich śniadych synków. Z braku wspólnego języka kobiety nie mogły rozmawiać, niemniej wkrótce się porozumiały wśród chichotów, gestykulacji, przewracania oczami i okrzyków bezsilności. Być może Mirdin nakazał Farze zaprzyjaźnić się z Mary, od początku jednak, chociaż były tak różne pod każdym względem, połączył je wzajemny szacunek.

Fara pokazała Mary, jak powinna upinać swe długie rude włosy i przed wyjściem z domu nakrywać je chustką, by nie rzucały się w oczy. Wprawdzie niektóre Żydówki na wzór muzułmanek zasłaniały także twarze, wiele jednak poprzestawało na włosach. Samo to sprawiło, że Mary przestała zwracać na siebie uwagę. Od Fary dowiedziała się, na których straganach produkty są dobre i mięso świeże, których kupców należy unikać. Nauczyła się też od niej, jak przyrządzać koszerne mięso, jak je moczyć i solić, by się pozbyć nadmiaru krwi, jak je później przesypywać mielonym tureckim pieprzem, czosnkiem, liśćmi laurowymi i solą w glinianym garnku, który przykryty stawiało się w gorących węglach. Mięso piekło się powoli przez cały długi szabat — było to znakomite danie, wonne i kruche, zwane czuleniem, i szybko stało się ulubioną potrawą Roba.

— Jakżebym chciała z nią pogadać, spytać o różne rzeczy i różne rzeczy jej powiedzieć!  
— żaliła się Mary Robowi.

— Będę cię uczył Języka — zaproponował, lecz Mary nie chciała nawet słyszeć o żadnym języku, ani o żydowskim, ani o perskim.

— Nie zapamiętuję tak łatwo obcych słów jak ty — powiedziała. — Trzeba było wielu lat, żebym się nauczyła angielskiego, i musiałam harować jak niewolnica, żeby opanować łacinę. Przecież niedługo wracamy do kraju, a tam będę miała do czynienia tylko z celtyckim.

— Przyjdzie i na to czas—rzekł Rob, nie obiecując żadnego konkretnego terminu.

Mirdin postanowił, że postara się, aby Jahudija z powrotem zaakceptowała Jessego ben Beniamina. W końcu, jak powiedział Robowi, od czasów króla Salomona, a nawet jeszcze przed nim, Żydzi brali obce kobiety za żony i nadal żyli w swojej społeczności, co dzień jednak świadczyli swoim postępowaniem, że nie odstąpili wiary przodków.

Idąc za radą Mirdina, Rob dwa razy na dzień chadzał na spotkania modlitewne w Jahudii: rano na szacharit do małej synagogi zwanej Domem Pokoju, którą szczególnie lubił, i pod koniec dnia na maariw do synagogi Domu Syjonu w pobliżu domu Mirdina. Nie sprawiało mu to przykrości. Kiwanie się w zadumie w rytm wyśpiewywanych modlitw zawsze go uspokajało.

Coraz łatwiej przychodziło mu posługiwać się Językiem, toteż bywało, że zapominał, iż chodzenie do synagogi to część mistyfikacji, i chwilami miał nawet wrażenie, że jego modły docierają do Boga. Modlił się bowiem nie jako żyd Jesse czy chrześcijanin Rob, lecz jako człowiek szukający zrozumienia i pociechy. Wrażenia tego doznawał niekiedy w żydowskiej świątyni, choć wszyscy wokół mamrotali słowa błogosławieństw tak stare, że mógł być ich używać syn cieśli z Nazaretu, a on zwracał się do Jezusa, Matki Bożej albo do jednego ze świętych, do których modliła się niegdyś jego mama.

Wraz z upływem czasu Rob budził coraz mniejsze zainteresowanie, wreszcie w ogóle

przestano zwracać na niego uwagę. Mieszkańcy Jahudii przywykli do widoku rosnącego angielskiego Żyda, który w Sukkot, święto zbiorów, machał w synagodze Domu Pokoju na cztery strony świata wiązką gałązek palmy i aromatycznej cytryny, pościł wraz z innymi w Jom Kipur i uczestniczył w procesji wokół synagogi z okazji święta dziękczynienia za ofiarowanie narodowi izraelskiemu Tory. Jakub ben Raszi powiedział Mirdinowi, że Jesse ben Beniamin wyraźnie chce odpokutować pochopne związanie się małżeństwem z obcą kobietą.

Tylko Mirdin nie dał się zwieść, zauważał bowiem w zachowaniu Roba różnicę, jaka istnieje między przyjęciem barw ochronnych a prawdziwą wiarą.

— O jedno cię proszę — powiedział. — Nie wolno ci nigdy być dziesiątym.

Rob zrozumiał. Gdyby pobożni Żydzi szukali dziesiątego do minjanu, czyli grupy dziesięciu mężczyzn wymaganej przez Prawo dla odprawienia publicznych modłów, dopuściłby się występku niewybaczalnego przyłączając się do nich. Bez wahania przyrzekł to Mirdinowi i obietnicy dotrzymał.

Niemal co dzień znajdowali trochę czasu na roztrząsanie przykazań. Nie używali Księgi, Mirdin bowiem znał je jako Prawo przekazywane ustnie.

— Wszyscy są zgodni co do tego, że Tora zawiera sześćset trzynaście przykazań — wyjaśnił — ale nie ma zgody co do szczegółowej wykładni. Jeden uczoney uważa dany nakaz za osobne przykazanie, według innego może on stanowić rozwinięcie poprzedniego. Ja ci podaję wersję przekazywaną w mojej rodzinie od wielu pokoleń. Prawa nauczył mnie ojciec, reb Mulka Askari z Maskatu. \*•"

Mirdin wytłumaczył Robowi, że 248 micwot to nakazy, na przykład zalecenie, aby Żyd opiekował się wdową i sierotą, a 365 to zakazy, jak ten, który głosi, że Żydowi nie wolno przyjmować łapówki. Uczenie się micwot od Mirdina było przyjemniejsze od innych studiów, Rob wiedział bowiem, że nie będzie egzaminu. Lubił nad kubkiem wina słuchać żydowskiego Prawa i wkrótce okazało się, że te nauki pomagają mu w studiach nad prawem muzułmańskim.

Miał teraz więcej pracy, ale każdy dzień go cieszył. Był świadom, że życie w Isfahanie jest dla niego łatwiejsze niż dla Mary. Mimo że śpieszył do niej pod koniec każdego dnia, co rano zostawiał ją samą w domu i z nowym zapalem szedł do maristanu i madrasy. W tym roku studiował Galena. Wczytując się w jego opisy anatomiczne, poznawał to, czego nie mógł zobaczyć, gdy patrzył na pacjenta: czym różnią się arterie od żył, jak badać tętno, na czym polega praca serca, które niby zaciskająca się i otwierająca bez ustanku pięść tłoczy krew podczas skurczu i wypełnia się nią przy rozkurczu.

Praktykę u Dżalala, pracę przy jego wyciągach i łubkach Rob zakończył, kiedy przydzielono go al-Dżuzdzaniemu, u którego miał za zadanie dbać o narzędzia chirurgiczne.

— On mnie nie lubi. Nie pozwala mi nic robić prócz mycia i ostrzenia narzędzi — poskarżył się Karimowi, który ponad rok spędził usługując al-Dżuzdzaniemu.

— Od tego zaczyna u niego każdy student — pocieszył go Karim. — Nie wolno ci się zniechęcać.

Karimowi łatwo było teraz doradzać cierpliwość. W skład jego chylatu wchodził wielki elegancki dom, a pacjentami młodego hakima były głównie rodziny dworzan. Wśród wysoko urodzonych do dobrego tonu należało wspomnianie od niechcienia, że ktoś się leczy u bohatera perskiego sportu, Chatira Karima, tak szybko więc pozyskał klientelę, że byłby człowiekiem zamożnym nawet bez pieniężnej nagrody i pensji przyznanej przez szacha. Odziewał się w kosztowne szaty, u przyjaciół zjawiał się ze wspaniałymi darami, przysmakami i napojami, raz nawet przyniósł gruby hamadański dywan na podłogę jako podarunek ślubny dla Mary i Roba. Posyłał Mary uwodzicielskie spojrzenia i czynił jej po persku szokujące wyznania, których na szczęście nie rozumiała, choć domyślała się ich treści.

Szybko jednak go polubiła i traktowała jak niesforemego brata.

Rob spodziewał się, że w szpitalu uwielbienie dla Karima będzie okazywane bardziej powściągliwie, ale był w błędzie. Młody hakim odwiedzał swoich pacjentów zawsze w asyście tłumu studentów, jakby był najmądrzejszy z mądrych, i Rob nie mógł zaprzeczyć, kiedy Mirdin ze śmiechem zauważył, że najlepszy sposób, by zostać wziętym medykem, to odnieść zwycięstwo w chatirze.

Od czasu do czasu al-Dżuzdżani przerywał Robowi pracę i pytał o nazwę mytego właśnie narzędzia lub jego zastosowanie. Było ich o wiele więcej, niż on używał jako balwierz, każdemu bowiem zabiegowi chirurgicznemu służył specjalny instrument. Mył więc i ostrzył noże zaokrąglone, noże zakrzywione, skalpele, piłki do cięcia kości, łyżeczki do uszu, sondy, nożyki do przecinania cyst, świdry do usuwania obcych ciał z kości...

Ostatecznie Rob doszedł do wniosku, że metoda al-Dżuzdżaniego jest całkiem sensowna, gdy pod koniec drugiego tygodnia zaczął mu asystować w sali operacyjnej maristanu i wystarczyło, że chirurg szeptem czegoś zażądał, a on potrafił natychmiast wybrać i podać właściwy instrument.

Oprócz niego jeszcze dwóch studentów terminowało u al-Dżuzdżaniego — i to od miesięcy. Nieskomplikowanym zabiegom, jakie wolno im było wykonywać, zawsze towarzyszyły sarkastyczne uwagi mistrza i jego ścisły nadzór. Rob przez dziesięć tygodni asystował tylko i przyglądał się operacjom, nim al-Dżuzdżani pozwolił mu wykonać jedno cięcie, bacznie patrząc studentowi na ręce. Okazja się nadarzyła, gdy trzeba było usunąć palec wskazujący tragarzowi, któremu wielbłąd zmiażdżył dłoń kopytem.

Rob nie na darmo przyglądał się, jak pracuje stary chirurg. Al-Dżuzdżani zawsze stosował krępulec, używając w tym celu cienkiej rzemiennej opaski podobnej do tych, jakimi się posługiwano przy puszczeniu krwi. Teraz Rob zręcznie zacisnął krępulec i bez wahania dokonał amputacji, którą przecież wykonywał wiele razy przez wszystkie te lata, kiedy był balwierzem. Wtedy zawsze przeszkadzała mu w pracy krew, toteż z radością wykorzystał technikę al-Dżuzdżaniego — dzięki niej nałożył skórę na kikut nie kłopotząc się osuszaniem, a pacjent nie utracił prawie wcale krwi.

Al-Dżuzdżani przyglądał się zabiegowi uważnie, ze zwykłym marsem na czole. Gdy Rob skończył, chirurg odwrócił się bez słowa pochwały, ale też ani go nie zburczał, ani nie wytknął mu, że lepiej byłoby zrobić to inaczej. Rob uprzątnął stół po operacji z poczuciem tryumfu i świadomością, że odniósł małe zwycięstwo.

## Czwórka przyjaciół

Jeżeli król królów w rezultacie odkryć Roba poczynił jakieś kroki, by ograniczyć władzę swego wezyra, to uczynił to niepostrzeżenie dla wszystkich. Co więcej, mułlowie Kandrasy wydawali się bardziej jeszcze wszechobecni niż dotąd, a także surowsi i energiczniejsi w pilnowaniu, by w Isfahanie wcielać w życie wierne Koranowi poglądy imama na obyczaje obowiązujące muzułmanina.

Minęło siedem miesięcy, a władca nie wzywał Roba, którego to cieszyło, bo niewiele miał czasu, kiedy dzień podzielił między żonę a studia medyczne. Aż pewnego ranka ku przerażeniu Mary przysłano po niego — jak zwykle żołnierzy.

— Szach życzy sobie, panie, żebyś wybrał się z nim na przejażdżkę — oświadczył dowódca.

— Wszystko w porządku — uspokoił Rob żonę i pojechał za żołnierzami.

W wielkich stajniach za Rajskim Domem zastał Mirdina Askariego z twarzą szarą jak popiół. Przeanalizowali sytuację i zgodnie doszli do wniosku, że zawdzięczają to wezwanie Karimowi, który został ulubionym kompanem Ali, odkąd zyskał sławę pierwszego biegacza.

I nie pomylili się. Niebawem do stajni wkroczył szach, a tuż za nim Karim, witający przyjaciół najszczerzym ze swoich uśmiechów. Uśmiech ten przybladł nieco, gdy szach się pochylił nad Mirdinem, który mruczał coś w swoim języku, upadłszy na twarz w pokłonie.

— Ejże! Gadaj po persku, chcemy wiedzieć, co mówisz — napomniał go władca.

— To błogosławieństwo, panie. Modlitwa odmawiana przez Żydów, kiedy oglądają króla — udało się wybąkać Mirdinowi. — Bądź pochwalony, Wiekuisty, Boże nasz, Królu wszechświata, który błogosławisz człowiekowi na swoją chwałę...

— Żydzi zanoszą modły dziękczynne oglądając szacha? — zapytał Ala, zdumiony i zadowolony.

Rob wiedział, że to modlitwa „Baruch Atta”, odmawiana przez pobożnych Żydów na widok każdego władcy, ale ani on, ani Mirdin nie uznali za stosowne wspomnieć o tej różnicy. Ala zatem we wspaniałym humorze dosiadł swojego siwka i wyjechali za nim na spokojne pola.

— Podobno wzięłeś Europejkę za żonę! — zawołał władca do Roba, odwracając się w siodle.

— To prawda, wasza wysokość.

— Słyszałem, że ma włosy jak malowane henną.

— Tak, wasza wysokość.

— Kobieta powinna mieć włosy czarne.

Rob nie mógł sprzeciwić się królowi i nie widział potrzeby, by to czynić. Przeciwnie, rad był, że jego żona nie budzi w Ali zainteresowania.

Dzień ten spędzili w większej części tak jak wtedy, gdy Rob pierwszy raz towarzyszył szachowi w przejażdżce. Wyprawa różniła się tylko tym, że teraz byli z nim przyjaciele, na których rozkładał się ciężar uwagi szacha, napięcie było więc mniejsze. Ala z zachwytem odkrył, że Mirdin posiada głęboką wiedzę o historii Persji, toteż kiedy powoli wjeżdżali na wzgórze, we dwóch toczyli dysputę o złupieniu przez Aleksandra starożytnego Persepolis, co Ala jako Pers komentował z oburzeniem, jako wojownik zaś pochwalał.

Przed południem Ala z Karimem stoczyli w cieniu walkę na bułaty, a Rob z Mirdinem

tymczasem, nie zważając na szczęk broni, spokojnie rozmawiali o niciach chirurgicznych — porównywali zalety jedwabiu, lnu (który jak zgodnie uznali, zbyt łatwo się rozkładał, końskiego włosia i włosa ludzkiego, najchętniej używanego przez Ibn Sine. W południe podano obfity posiłek i napoje pod osłoną królewskiego namiotu, po czym władca po kolei wszystkich trzech przyjaciół pokonał w grze szacha, choć Mirdin walczył dzielnie i jednej partii omal nie wygrał, dzięki czemu tym słodsze było zwycięstwo Ali.

Potem w tajemnej jaskini Ali wszyscy czterej moczyli się w przyjaznym nastroju, kojąc ciało w ciepłej wodzie sadzawki, a ducha niewyczerpanymi zapasami wspaniałego wina.

Karim z uznaniem posmakował wino, nim je przełknął, i uśmiechnął się do Ali.

— Byłem nędzarzem... Mówiłem już o tym waszej wysokości? — zagadnął, a gdy władca odwzajemniwszy uśmiech pokiwał głową, Karim dodał:—Teraz żebrak pije wino z królem królów.

— Tak, wybrałem na przyjaciół żebraka i dwóch Żydów... — Śmiech szacha rozbrzmiał głośnie i niósł się dłużej niż ich śmiechy. — Mam względem mojego Pierwszego Chatira wielkie i szczytne plany, a tego zimniego lubię od dawna — powiedział szturchając Roba przyjaźnie, choć nieco po pijacku. — A teraz się okazuje, że jeszcze jeden zimmi jest wspaniałym, godnym uznania człowiekiem! Musisz zostać w Isfahanie po skończeniu madrasy, Mirdinie Askari. Będiesz służył mi jako dworski medyk.

Mirdin zaczerwienił się ze zmieszania.

— Panie, zaszczyt to dla mnie wielki i błagam, nie czuj urazy, ale bądź tak dobry i pozwól mi wrócić do kraju nad wielką zatoką, jak zostanę hakimem. Mój ojciec jest już stary i niedołężny. Będę pierwszym medykiem w rodzinie i chciałbym, żeby mnie na jej łonie zobaczył przed śmiercią.

Ala beztrąsko skinął głową.

— A czymże się zajmuje twoja rodzina nad wielką zatoką?

— Mężczyźni, wasza wysokość, odkąd pamiętamy, objeżdżają wybrzeże i skupują perły od nurków.

— Perły! A to się dobrze składa, bo ja też kupuję perły, jak się trafią piękne. Przyczynisz się do świetności swojej rodziny, zimmi, każ im tylko znaleźć dla mnie największą perłę bez skazy... Kupię ją, a wtedy twoja rodzina stanie się bogata.

W drodze powrotnej wszyscy chwiali się w siodłach. Władca, usiłujący trzymać się prosto, przez cały czas odnosił się do nich z sympatią, jej stałość wszakże zależna była od bolesnego, acz nieuniknionego procesu trzeźwienia. Po przybyciu do królewskich stajen, gdy otoczyli ich słudzy i pochlebcy szacha, Ala oznajmił tak głośno, że usłyszało go pół dworu:

— Jesteśmy czwórka przyjaciół!... Czwórką zwykłych uczciwych ludzi, którzy zostali przyjaciółmi!

Szybko się to rozniosło po całym mieście, jak wszystkie plotki dotyczące szacha.

— Z niektórymi przyjaciółmi trzeba być ostrożnym — ostrzegł Roba Ibn Sina pewnego ranka jakiś tydzień później.

Spotkali się na przyjęciu wydanym dla szacha przez Fatha Alego, bogatego kupca, który zaopatrywał w wina Rajski Dom i większość wysoko urodzonych dworzan. Rob ucieszył się bardzo, ujrawszy tam Ibn Sine, odkąd bowiem przywiózł do Isfahanu Mary, Pierwszy Medyk z właściwą mu delikatnością rzadko go zapraszał wieczorami. Teraz przechadzając się razem minęli otoczonego wielbicielami Karima, który wydał się Robowi w równej mierze więzieniem i przedmiotem uwielbienia.

Obecność ich jako ludzi obdarowanych chylatem była obowiązkowa, Roba jednak nudziły te przyjęcia. Może i różniły się w szczegółach, lecz na ogół przebiegały tak samo. Denerwowało go poza tym, że marnotrawi na nich czas.

— O ileż bym wolał pracować w maristanie! Tam jest moje miejsce — powiedział.

Ibn Sina rozejrzał się ostrożnie. Przechadzali się sami po posiadłości kupca korzystając z chwili swobody, gdyż szach przed paroma chwilami wszedł do harem Fatha Alego.

— Nigdy ci nie wolno zapominać, że stosunki z monarchą to nie to samo co stosunki ze zwykłymi ludźmi — przestrzegł stary medyk.—Król to całkiem inny człowiek niż ty lub ja. Beztrąsko opuści dłoń, a komuś takiemu jak my obcinają głowę, kiwnie palcem i daruje komuś życie. Władzy absolutnej nie oprze się nikt urodzony z kobiety. Najlepszemu człowiekowi potrafi zawrócić w głowie.

Rob wzruszył ramionami.

— Wcale nie szukam towarzystwa szacha, nie mam też zamiaru mieszać się do polityki. Ibn Sina kiwnął głową z aprobatą.

— Władcy Wschodu lubią mianować medyków swoimi wezyrami, bo uważają, że ten, kto leczy, już w jakiś sposób cieszy się łaską Allaha. Wiem, jak kuszące może być takie stanowisko, sam zakosztowałem upajającego wina władzy. Dwa razy, jak byłem młodszy, przyjąłem tytuł wezyra w Hamadanie. Okazało się to bardziej niebezpieczne niż uprawianie zawodu medyka. Za pierwszym razem ledwie uniknąłem egzekucji. Wtrącono mnie do twierdzy Fardadżan, gdzie gnilem przez wiele miesięcy. Po wyjściu z Fardadżanu, wiedząc, że nawet jako wezyr nie byłbym bezpieczny w Hamadanie, z al-Dżuzdżanim i całym domem przenieśliem się do Isfahanu i od tej chwili jestem pod opieką Ali.

Zawrócili do ogrodów, w których odbywało się przyjęcie.

— Na szczęście dla Persji szach Ala pozwala wybitnym medykom wykonywać zawód — zauważył Rob. Ibn Sina uśmiechnął się.

— Sława wielkiego króla popierającego sztukę i naukę to element jego planów — rzekł sucho. — Już w młodości marzył o wielkim mocarstwie. Teraz musi dążyć do rozszerzenia wpływów, starając się poznać nieprzyjaciół, zanim oni pożrą jego.

— Seldżuci... — mruknął Rob.

— O, tak, gdybym był wezyrem w Isfahanie, najbardziej bym się obawiał Seldżuków — przyznał Ibn Sina. — Ale najczulej nasz władca obserwuje Mahmuda z Gazny, bo stworzeni są obydwaj z tej samej gliny. Ala dwa razy najechał Indie i zdobył dwadzieścia osiem bojowych słoni. Mahmud ma bliżej, napadał więc na Indie częściej i bojowych słoni ma z górą pięćdziesiąt. Ala mu zawiści i boi się go. Jeśli chce dalej realizować swoje marzenia, musi się najpierw pozbyć Mahmuda... — Ibn Sina przystanął i położył dłoń na ramieniu Roba.

— Powinieneś bardzo uważać. Mądrzy ludzie mówią, że dni Kandrasy jako wezyra są policzone. I że jego miejsce zajmie młody medyk.

Rob nic nie powiedział, ale nagle wspomniawszy słowa szacha o szczytnych planach, jakie ma dla Karima.

— Ci mądrzy ludzie mają słuszość — ciągnął Ibn Sina.

— Tyle że wcześniej Kandrasa uderzy bez litości w każdego, w kim się dopatrzy przyjaciela lub sprzymierzeńca swojego rywala... Nie wystarczy samemu nie mieć politycznych ambicji. Kiedy medyk ma do czynienia z ludźmi u władzy, musi nauczyć się giętkości, inaczej nie przeżyje.

Rob nie był pewien, czy potrafi być giętki.

— Nie przejmuj się zbytnio — dodał stary medyk. — Ala często i szybko zmienia zamiary. Nigdy nie można mieć pewności, co zrobi.

Ruszyli dalej i wrócili do ogrodów na krótko przed tym, jak człowiek, o którym mówili, wyszedł z harem Fatha Alego odprężony i w dobrym nastroju.

Po południu tego samego dnia Robowi nasunęło się pytanie, czy Ibn Sinie zdarzyło się

kiedy wydać przyjęcie dla swego protektora szacha. Podeszedł do Chuffa i mimochodem go o to zagadnął.

Posiwiwały Dowódca Bram zmrzął oczy w skupieniu, pomyślał chwile, wreszcie kiwnął głową.

— Tak, parę lat temu — powiedział.

Szach na pewno się nie interesował pierwszą żoną Ibn Siny, można było więc przyjąć, że kiedy upomniał się o swoje prawa suwerena, chodziło mu o Despinę. Rob wyobraził sobie szacha, jak wspina się na kręte schody wieży strzeżone przez Chuffa... włązi na drobne, rozkoszne ciało dziewczyny.

Teraz Rob zafascynowany spojrzał na tych trzech mężczyzn. Każdego otaczał tłum możliwych i usługowych wielbicieli. Wokół szacha kłębili się dworzacy pochlebcy; Ibn Sina, poważny i opanowany, spokojnie odpowiadał na pytania ludzi o wyglądzie uczonych; Karima jak zwykle ledwie było widać pośród ciżby wielbicieli pragnących z nim porozmawiać, dotknąć jego szat, zanurzyć się w podniecającym blasku jego sławy.

Persja widać każdemu przyprowadzała rogi.

Rob swobodnie i z wyczuciem posługiwał się instrumentami chirurgicznymi, jak gdyby były naturalnymi częściami jego rąk. Al-Dżuzdzani poświęcał mu coraz więcej swego cennego czasu, z niewyczerpaną cierpliwością pokazując, jak wykonywać coraz to inne zabiegi. Persowie potrafili unieruchamiać i znieczulać pacjentów — po wypiciu kleiku jęczmiennego, w którym przez wiele dni moczyło się konopie, pacjent wprawdzie zachowywał przytomność, ale czuł znacznie mniejszy ból. Rob spędził dwa tygodnie u mistrzów farmacji w chazanat asz-szaracie na nauce przyrządzania mikstur usypiających. Trudno było przewidzieć i kontrolować ich działanie, czasem jednak pozwalały chirurgom spokojnie operować, zapobiegając konwulsyjnym drganiom, jękowi i krzykom bólu.

Recepty na owe mikstury bardziej przypominały magię niż medycynę: „Weź mięso owcze. Oczyść je z sadła i pokrój na kawałki, obtocz je dokładnie ze wszystkich stron w gotowanych ziarnach lulka czarnego. Trzymaj w kamiennym dzbanie przykryte końskim nawozem, dopóki nie wylęgną się robaki. Następnie umieść robaki w szklanym naczyniu i poczekaj, aż wyschną. W potrzebie weź dwie części robaków i jedną część sproszkowanego opium i umieść w nosie chorego.”

Opium uzyskiwano z soku pewnego wschodniego kwiatu, maku. Rósł na polach Isfahanu, ale potrzeby przewyższały możliwości uprawiających go chłopów, był stosowany bowiem nie tylko do wyrobu leków, ale także podczas obrzędów odprawianych w meczetach ismailitów, toteż część przywożono z Turcji i Gazny. Opium stanowiło podstawowy składnik leku znieczulającego, na który recepta brzmiała: „Weź czystego opium i gałki muszkatowej. Zmiel, zagotuj razem i odstaw na czterdzieści dni, by naciągnęło w starym winie. Potem trzymaj naczynie w słońcu. Mieszanka niezadługo przemieni się w pastę. Zrobiona z niej pigułka każdego natychmiast pozbawi przytomności i czucia.”

Na ogół jednak stosowali inny przepis, który Ibn Sina uważał za lepszy: „Weź równe części lulka czarnego, opium, wilczomleczka i lukrecji. Zmiel każde z osobna i wszystkie razem wymieszaj w moździerz. Szczypta mikstury położona na dowolnym pożywieniu sprawi, że ten, kto je spożyje, natychmiast zapadnie w sen.”

Wbrew podejrzeniom Roba, że al-Dżuzdzani jest mu niechętny z powodu jego bliskich stosunków z Ibn Siną, już wkrótce z ręcznie posługiwał się wszystkimi instrumentami chirurgicznymi. Inni studenci al-Dżuzdzaniana uważali, że nowemu praktykantowi dostaje się więcej ciekawej pracy, aniżeli mu się należy, z tego też powodu stali się dokuczliwi, złośliwie dogadując Robowi z zazdrości. Nie zważał na to, uczył się bowiem więcej, niż mógł zamaryć.

Któregoś dnia po południu, wykonawszy po raz pierwszy zabieg, który budził w nim

zawsze podziw i oszołomienie, mianowicie zdjęcie z oślepych oczu katarakty, spróbował podziękować al-Dżuzdzaniemu, lecz chirurg obcesowo mu przerwał:

— Masz dar do krajania. Mało kto go posiada, a to, że cię szczególnie przyuczam, robię dla własnej korzyści, bo mam zamiar porządnie zaprząć cię do pracy.

W rzeczy samej, Rob dzień w dzień dokonywał amputacji, opatrywał rany, nakłuwał brzuchy, by ulżyć naciskowi i odprowadzić zebrane w jamie brzusznej płyny, usuwał hemoroidy i żyłaki...

— Zdaje mi się, że zanadto zaczynasz lubić krajanie — zauważył chytrze Mirdin, gdy pewnego wieczora siedzieli u niego nad grą szacha. W sąsiedniej izbie Fara się przysłuchiwała, jak Mary usypia jej synków celtycką kołysanką w języku Szkotów.

— Ciągnie mnie do tego — przyznał Rob. Zastanawiał się ostatnio, czy nie zostać chirurgiem po zdobyciu tytułu hakima.

W Anglii co prawda chirurg uważany był za kogoś gorszego od medyka, w Persji jednak nosił tytuł ustad i cieszył się równym szacunkiem i powodzeniem. Rob wszakże miał wątpliwości.

— Chirurgia daje satysfakcję w czasie operacji, tyle że jesteśmy ograniczeni do operowania zewnętrznych części ciała. Wnętrze jest tajemnicą, którą przekazują nam księgi Uczące z górą tysięcy lat. Prawie nic nie wiemy o wnętrznościach człowieka.

— Tak musi pozostać — powiedział ze spokojem Mirdin i zbił mu rocha jednym ze swoich pionków. — Chrześcijanie, żydzi i muzułmanie zgodnie uznają zagładanie do ludzkiego ciała za grzech profanacji.

— Nie mówię o profanacji. Mówię o chirurgii, o sekcji. Starożytni nie krępowali nauki potępianiem czegokolwiek jako grzech. Ta odrobina wiedzy, jaką posiadamy, pochodzi od najdawniejszych Greków, którzy swobodnie mogli zaglądać do wnętrza ludzkiego ciała. Rozcinali umarłych i badali, jak człowiek jest zbudowany w środku. W tych dawnych czasach na jedno mgnienie rzucili promień światła na całą medycynę, a potem świat znowu ogarnęły ciemności. — Zadumał się ze szkoda dla rozgrywki, tak że Mirdin zbił mu szybko następnego rocha i jednego wielbłąda. — Myślę, że w ciągu tych długich mrocznych wieków tu i ówdzie musiały w skrytości płonąć małe ogniska — dodał jakby od niechcienia i jego słowa odwróciły uwagę Mirdina od szachownicy.

— — mam na myśli ludzi, których stać było na to, żeby po kryjomu otwierać ciała zmarłych. Wbrew zakazom kapłanów, bo chcieli spełniać misję medyków ku chwale Pana.

Mirdin szeroko otworzył oczy.

— Dobry Boże!... Przecież takich brano za czarowników!

— Nie mogli przekazywać innym swojej wiedzy, ale zdobywali ją przynajmniej dla siebie.

Na twarzy Mirdina pojawił się przestrah. Rob uśmiechnął się do niego.

— Nie, ja bym tego nie zrobił — uspokoił przyjaciela.

— Dość mam kłopotów udając Żyda. Brak mi odwagi, jakiej by do tego trzeba.

— Musimy być wdzięczni za małe dary — rzekł oschłym tonem Mirdin. Przyjaciel na tyle zdołał go zaniepokoić i odwrócić jego uwagę, że grał słabo i oddał niemal jednego po drugim słońca i dwa konie. Rob jednak nie nauczył się jeszcze wykorzystywać okazji i przeciw do zwycięstwa, toteż Mirdin szybko opanował sytuację, zwarł szyki i w kilkunastu ruchach znowu pognębił Roba zaskakując go szatrandżem, atakiem na króla.



## Nadzieje Mary

Mary nie miała innej przyjaciółki poza Farą, lecz to jej wystarczało. Często godzinami przesiadywały razem i rozmawiały, porozumiewając się bez zwykłych w pogawędce pytań i odpowiedzi. Czasami Mary mówiła, a Fara słuchała potoku niezrozumiałych celtyckich słów, kiedy indziej Fara snuła swoje wywody w Języku, choć Mary niczego nie pojmowała. Jednakże dla obu słowa były dziwnie nieistotne, liczyła się natomiast gra uczuć malujących się na twarzy, wymowne gesty rąk, ton głosu, sekrety przekazywane wzrokiem.

W ten sposób dzieliły się swoimi przeżyciami, co dla Mary było nawet lepsze, mogła bowiem mówić o sprawach, o których by nie wspomniała osobie znanej tak krótko. Zwierzała się więc Farze ze smutku po stracie ojca, z tęsknoty za chrześcijańską mszą, z całej swojej nostalgii, kiedy w małym domku w Jahudii, otoczona chłodem i niechęcią, przestała śnić o młodej pięknej kobiecie, jaką niegdyś była Jura Cullen, i wreszcie w pełni sobie uświadomiła, że matka dawno nie żyje. Mówiła też o rzeczach, o jakich by nawet nie pisała, choćby nawet przyjaźniły się z Farą nie wiedzieć jak długo: o tym, jak bardzo kocha Roba, aż czasami przesywają dreszcz nie do opanowania, o chwilach, kiedy ogarnia ją takie pożądanie, że teraz dopiero rozumie grzejące się kobyły... I że już nigdy nie będzie mogła patrzeć, jak tryk pokrywa owcę, by nie pomyśleć o własnych członkach oplatających Roba, o jego smaku w swoich ustach, zapachu jego twardego ciepłego ciała w nozdrzach, o tym gorącym cudownym przedłużeniu jego ciała, które sprawia, że stapiają się w jedno we wspólnych zmaganiach.

Nie wiedziała, czy Fara również mówi o takich sprawach, ale wkrótce własne oczy i uszy jej powiedziały, że zwierzenia żony Mirdina dotyczą rzeczy ważnych, intymnych. I te dwie tak różne kobiety połączyła miłość i wielki szacunek, więź przyjaźni.

Pewnego ranka Mirdin roześmiał się i klepnął Roba po ramieniu.

— Wypełniłeś przykazanie rozmnażania się. Mary jest w ciąży, ty europejski tryku!

— Nieprawda!

— Prawda—orzekł stanowczo Mirdin.—Zobaczysz. Fara się nie myli.

Dwa dni później rano Mary pobladła i zwróciła wszystko, co zjadła i wypła. Rob musiał wyszorować klepisko i przynieść świeżego piasku. Mdłości zaczęły ją dręczyć regularnie, a kiedy miesięczna dolegliwość się nie pojawiła, wszystko stało się jasne. Właściwie nie powinno to być niespodzianką, gdyż w miłości byli niezmordowani, Mary jednak od jakiegoś czasu podejrzewała, że Bóg może nie błogosławi ich związkowi.

Zwykle kobiecą przypadłość przechodziła ciężko i boleśnie, z radością więc przyjęła wyzwolenie od niej, mimo że mdłości nie były zbyt korzystną odmianą. Rob podtrzymywał jej głowę i obmywał ją, gdy chorowała, myśląc o mającym przyjść na świat dziecku z zachwytem i troską, niepokoił się bowiem, co też wyrośnie z jego nasienia. Teraz jeszcze gorliwiej wieczorami rozbierał żonę, ciesząc się jako urodzony badacz, że na jej ciele ma okazję obserwować najmniejsze nawet zmiany spowodowane odmiennym stanem: rozszerzające się coraz ciemniejsze aureole wokół brodawek jej piersi, które zaczynały wzbierać pokarmem, pierwsze nieznaczące zaokrąglenie brzucha, zmiany w wyrazie twarzy spowodowane lekkim obrzmieniem warg i nosa. Nalegał, aby kładła się na brzuchu, pragnąc oszacować odkładanie się tłuszczu na biodrach i pośladkach i niewielkie zgrubienie nóg. Mary z początku cieszyła ta uwaga, w końcu jednak zaczęła ją niecierpliwieć.

— A palce u nóg? — spytała kiedyś gderliwie. — Co z palcami u nóg?

Rob z powagą obejrzał jej stopy i zameldował, że palce pozostały nie zmienione.

Chirurgia straciła dla Roba cały powab wskutek wstrętu, jaki czuł do kastracji.

Produkowanie eunuchów było w Persji powszechnie praktykowane. Dokonywano dwóch rodzajów kastracji. Wybrani do strzeżenia haremów przystojni mężczyźni, którzy się rzadko stykali z domowymi kobietami, cierpieli tylko utratę jąder. Gdy szło o usługujących wewnątrz haremów, w cenie byli mężczyźni nieładni, zwłaszcza z takimi zniekształceniami, jak zmiądzony lub z natury krzywy nos, brzydkie usta, grube wargi i szerniałe lub krzywe zęby. Aby się stali istotami całkowicie bezpłciowymi, pozbawiano ich w ogóle genitaliów, tak że musieli nosić przy sobie rurki, którymi się posługiwali przy oddawaniu moczu.

Często kastrowano młodych chłopców. Czasem byli posyłani do szkoły dla eunuchów w Bagdadzie, w której kształcono ich na śpiewaków i muzyków albo gruntownie uczono zasad handlu, dokonywania zakupów i zarządzania. Wychodzili z niej jako wysoko cenieni służący, przedstawiający dużą wartość dla właściciela, jak niewolnik Wasif, eunuch Ibn Siny.

Technika kastracji była prosta — chirurg chwycił lewą ręką to, co miało być amputowane, a prawą, w której trzymał ostrą brzytwę, odcinał genitalia jednym ruchem, gdyż sprawą zasadniczą była szybkość. Krwawiącą ranę natychmiast zalepiano okładem z ciepłego popiołu. W ten sposób mężczyzna na zawsze tracił męskość. Al-Dżuzdzani poza tym wyjaśnił Robowi, że kiedy dokonuje się kastracji w charakterze kary, nie stosuje się czasem okładu z popiołu i pozwala, by operowany się wykrwawił.

Któregoś dnia wieczorem Rob, po powrocie do domu patrząc na żonę, starał się nie myśleć o tym, że żaden z operowanych przez niego mężczyzn nie wypełni kobiety życiem. Położył rękę na jej ciepłym brzuchu, niezbyt jeszcze zaokrąglonym.

— Wkrótce będzie tej wielkości co zielony melon — powiedziała.

— Chcę go zobaczyć, kiedy stanie się jak arbuz.

W Domu Mądrości przeczytał wszystko o płodzie. Ibn Sina pisał, że po zamknięciu się macicy wokół nasienia życie kształtuje się w trzech stadiach. Według niego w pierwszym stadium skrzep przekształcał się w maleńkie serce, w drugim pojawiał się inny skrzep i z niego rozwijała się wątroba, a w trzecim formowały się wszystkie główne organy.

— Znalazłam kościół — oznajmiła naraz Mary.

— Chrześcijański? — zapytał i zdumiał się, kiedy twierdząco skinęła głową, nie słyszał bowiem o żadnym kościele w Isfahanie.

Okazało się, że tydzień wcześniej Mary z Farą wybrały się na ormiański targpo pszenicę. Przez omyłkę skręciły w jakiś zaułek, wąski i śmierdzący szczynami, i tam natknęły się na kościół pod wezwaniem Michała Archanioła.

— Wschodni katolicy? — domyślił się. Znowu skinęła głową.

— To smutny maleńki kościółek, służy garstce najbiedniejszych ormiańskich wyrobników. Pozwalają mu działać pewnie dlatego, że nikomu nie może zagrażać.

Mary dwa razy poszła tam sama, stawała w pobliżu i z zazdrością patrzyła na wchodzących i wychodzących obdartych Ormian.

— Mszę na pewno odprawiają po grecku — hamował ją Rob. — Nie będziemy nawet mogli odpowiadać.

— Ale czczą Eucharystię. Na ołtarzu obecny jest Chrystus.

— Gdybyśmy tam poszli, ryzykowalibyśmy moje życie. Idź do synagogi z Farą i po cichu módl się po swojemu. Ja w synagodze modłę się do Pana Jezusa i świętych.

Podniosła głowę i po raz pierwszy Rob zobaczył, jakim ogniem mogą zapłonąć jej oczy.

— Nie potrzebuję, żeby jakiś Żyd pozwalał mi się modlić — powiedziała z pasją.

Mirdin przyznał słusność Robowi, gdy ten postanowił zrezygnować z zawodu chirurga.

— Idzie nie tylko o kastrację, chociaż jest okropna — tłumaczył swoją decyzję. — Ale

tam, gdzie do obsługi sądu mułłów brakuje studentów medycyny, wzywa się chirurga do więźniów, którym wymierzono karę. Wolę wykorzystywać wiedzę i umiejętności do leczenia chorób i przynoszenia ulgi w bólu niż do opatrywania ran i kikutów po odcięciu zdrowych członków i organów.

Siedzieli we wczesnym porannym słońcu na kamiennych schodach madrasy. Mirdin westchnął, gdy Rob mu opowiedział o Mary i jej tęsknocie za kościołem.

— Musisz odmawiać z nią wasze modlitwy, kiedy jesteście sami — poradził. — I jak najprędzej zabrać ją do swoich.

Rob skinął głową, w zamyśleniu przypatrując się przyjacielowi. Mirdin był niemiły i pełen nienawiści, gdy uważał Roba za żyda, który wyrzekł się swojej wiary, ale odkąd się dowiedział, że jest gojem, stał się najlepszym przyjacielem.

— Zauważyłeś? — zapytał bez pośpiechu — każda wiara głosi, że tylko dla niej Bóg ma serce i ucho. My, wy i muzułmanie, wszyscy twierdzimy, że tylko nasza religia jest prawdziwa. Nie przyszło ci do głowy, że wszyscy się mylimy?

— A może wszystkie trzy religie mają słuszość? — rzekł na to Mirdin.

Roba ogarnęła czułość. Mirdin wkrótce zda egzaminy na medyka i wróci do rodziny w Maskacie, on także pojedzie do ojczystego kraju, jak zostanie hakimem. Z pewnością nigdy się już nie zobaczą.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, był pewien, że przyjaciel podziela jego myśli.

— Spotkamy się w raju?

Mirdin spojrzał na niego z powagą.

— Spotkamy się. Przysięgasz uroczyście? Rob uśmiechnął się.

— Przysięgam uroczyście. Uścisnęli sobie przeguby dłoni.

— Granicę między życiem a rajem wyobrażam sobie jak rzekę — powiedział Mirdin. — Gdyby przez rzekę prowadziło wiele mostów, to czy Boga bardzo by obchodziło, który most wybierze wędrowiec?

— Chyba nie — zgodził się z nim Rob.

Pozegnali się serdecznie i każdy pospieszył do swoich zajęć.

Rob z dwoma jeszcze studentami wysłuchał na oddziale chirurgicznym ostrzeżeń al-Dżuzdzanego, by zachowali w sekrecie wszystko, co dotyczy operacji, którą zaraz wykonają. Nie chciał wymieniać imienia pacjentki ze względu na jej reputację, ale wyjawiał im, że to bliska krewna znanego i potężnego człowieka i że ma raka piersi. Z uwagi na tę ciężką chorobę złamią religijny zakaz, aurat, który nie pozwala nikomu poza mężem oglądać ciała kobiety od szyi do kolan, gdyż przestrzeganie go w tym wypadku uniemożliwiłoby operację.

Kobietę, napojoną narkotykami i winem, przywieziono nieprzytomną. Była pełnych kształtów i ciężka, spod chusty związanej na głowie wymykały się kosmyki siwych włosów. Luźna zasłona okrywała całe jej ciało z wyjątkiem piersi, dużych, miękkich i obwisłych, co świadczyło, że nie jest już młoda.

Al-Dżuzdzani polecił każdemu studentowi delikatnie obmacać obydwie piersi, aby poznali, jak w dotknięciu przedstawia się guz, widoczny na lewej piersi jako narośl długości kciuka i niemal trzykroć tej grubości.

Rob przyglądał się z największym zainteresowaniem. Nigdy jeszcze nie widział rozciętej kobiecej piersi. Kiedy al-Dżuzdzani zagłębił nóż w miękkie ciało znacznie poniżej guza, chcąc go wydobyć w całości, z rany popłynęła krew. Kobieta jęczała, toteż chirurg pracował szybko, by skończyć, zanim chora się obudzi.

Pierś stanowił mięsień, szare komórkowate ciało i kawałki żółtego tłuszczu jak w pieczonym kurczaku. Wyraźnie widzieli kilka różowych kanalików mlecznych zbiegających

się w brodawce niczym rozgałęzienia rzeki spływające do zatoki. Al-Dżuzdzani pewno przeciął któryś z kanalików, gdyż z brodawki wyciekł zaczerwieniony płyn jak kropla różowego mleka.

Stary medyk usunął guz i teraz pospiesznie zaszywał ranę. Można by powiedzieć, że jest zdenerwowany, gdyby coś takiego mieściło się komukolwiek w głowie. To krewna szacha, pomyślał naraz Rob. Może ciotka, może nawet ta sama, o której szach opowiadał mu w grocie, ta, co wprowadziła Alę w życie seksualne.

Wyniesiono ją jęczącą i prawie całkiem już rozbudzoną, jak tylko pierś została zeszyta. Al-Dżuzdzani westchnął.

— Nie ma na to lekarstwa. Rak ją w końcu zabije, możemy tylko próbować zwolnić postępy choroby.

Ujrawszy przed maristanem Ibn Sine, poszedł zdać mu sprawę z operacji, podczas gdy studenci sprząтали salę. Niebawem Ibn Sina odszukał Roba, krótko z nim porozmawiał, na koniec poklepał go po ramieniu i odszedł.

Rob, oszołomiony tym, co usłyszał od Pierwszego Medyka, z oddziału chirurgicznego skierował się do apteki, gdzie pracował Mirdin. Spotkali się w korytarzu wiodącym do działu farmacji. Rob dostrzegł na twarzy Mirdina te same uczucia, jakie i nim targały.

— Ty też? — zapytał.

Mirdin potwierdził skinieniem głowy, dodając:

— Za dwa tygodnie, tak?

— Tak.—Rob poczuł smak paniki.—Nie jestem przygotowany do egzaminu, Mirdinie. Ty siedzisz tu cztery lata, a ja raptem trzy. Nie jestem jeszcze gotów.

Mirdin uśmiechnął się, zapominając o własnym zdenerwowaniu.

— Ależ jesteś. Byłeś przecież balwierzem, poza tym każdy, kto cię uczył, już cię zna. Mamy do egzaminu dwa tygodnie, żeby pouczyć się razem.

## Rysunek ramienia

Ibn Sina urodził się w maleńkiej osadzie Afszanach pod miasteczkiem Charmażan. Wkrótce po jego urodzeniu rodzina przeniosła się do pobliskiej Buchary. Był jeszcze małym chłopcem, gdy jego ojciec, poborca podatkowy, postarał się o nauczycieli Koranu i literatury, tak że zanim skończył dziesięć lat, umiał na pamięć Koran i znał niemal całą literaturę muzułmańską. Potem ojciec poznał uczonego sprzedawcę warzyw zwanego Mahmudem Matematykiem, który nauczył chłopca hinduskich rachunków i algebry. Nim uzdolnionemu młodzieńcowi puścił się pierwszy wąż, zdobył dyplom prawnika. Jął wtedy zgłębiać geometrię Euklidesową, nauczyciele zaś błagali ojca, by mu pozwolił całkowicie poświęcić się nauce.

Studia medyczne rozpoczął w wieku lat jedenastu, a nie mając szesnastu wygłaszał wykłady dla starszych od siebie medyków. Większość czasu zajmowała mu wszakże praktyka prawnicza. I chociaż przez całe życie miał być jurystą i filozofem, rozumiał, że wprawdzie uczone te zajęcia cieszą się szczególnym szacunkiem Persów, wśród których żył, lecz dla jednostki nie ma nic ważniejszego nad zdrowie i życie. Los sprawił, że w młodym wieku Ibn Sina służył kilku władcom, dzięki swemu geniuszowi strzegąc ich zdrowia, i mimo że w tym czasie napisał także dziesiątki rozpraw o prawie i filozofii — dość, żeby zyskać zaszczytny przydomek Drugiego Nauczyciela (Pierwszym był Mahomet — sławę i uwielbienie, które szły za nim, dokądkolwiek się udał, zdobył jako Księżę Medyków.

W Isfahanie z uchodźcy politycznego od razu stał się hakimbaszą, Pierwszym Medykiem. Wkrótce stwierdził, że do miasta ściągnęło wielu medyków, a jeszcze więcej samozwańczo głosiło się medykami. Niewielu używających tego tytułu miało za sobą tak jak on pilne studia i genialny umysł, jakim się wyróżniał na polu medycyny, toteż rozumiał, że potrzebne są jakieś kryteria pozwalające orzekać, kto się kwalifikuje do wykonywania zawodu, a kto nie. W Bagdadzie od stu lat z górą poddawano kandydatów na medyków egzaminom, Ibn Sina przekonał więc społeczność medyczną, że w Isfahanie decydują

ce słowo mieć powinna madrasa z nim jako głównym egzaminatorem w dziedzinie medycyny.

Ibn Sina był najwybitniejszym medykiem Wschodniego i Zachodniego Kalifatu, działał jednak w ośrodku naukowym nie cieszącym się sławą szkoły, która by zapewniała jakieś szczególnie dogodne warunki kształcenia. Akademia w Toledo miała własny Dom Mądrości, uniwersytet w Bagdadzie Szkołę Tłumaczy, Kair szczycił się wielowiekową solidną tradycją medyczną. Każdy z tych ośrodków posiadał bogatą, szeroko znaną bibliotekę, w Isfahanie natomiast była tylko mała madrasa i biblioteka uzależniona od darów większej i bogatszej instytucji w Bagdadzie. Tutejszy maristan stanowił mniejszą, uboższą wersję wielkiego Adudi w Bagdadzie. W tej sytuacji osoba Ibn Siny musiała zastąpić brak instytucjonalnego rozmachu i świetności.

Ibn Sina przyznawał się do grzechu pychy. Jego osobista sława nie mogła już doznać żadnego uszczerbku, ale był bardzo drażliwy, jeśli szło o poziom kształconych przez niego medyków.

Ósmego dnia miesiąca szawwal karawana z Bagdadu przyniosła mu list od ibn Sabura Jakuta, głównego egzaminatora w dziedzinie medycyny w Bagdadzie. W pierwszej połowie miesiąca zulkada zamierzał odwiedzić isfahański maristan. Ibn Sina od dawna znał ibn Sabura, toteż z góry musiał uzbroić się przeciwko protekcyjnemu tonowi i nieustannym przechwałkom rywala. Był w pełni świadom, że pomimo wszystkich kosztownych

udogodnień, jakimi dysponuje szkoła w Bagdadzie, egzaminy przeprowadza się tam z karygodną niedbałością. On tymczasem miał w swojej madrasie dwóch studentów, którymi mógł się poszczycić, lepszych bowiem w życiu nie spotkał. Dlatego też od pierwszej chwili wiedział, co ma uczynić, by pokazać bagdadzkim kręgom medycznym, jakich medyków kształci Ibn Sina w Isfahanie.

Ze względu właśnie na przyjazd ibn Sabura Jakuta wezwano Jessego ben Beniamina i Mirdina Askariego na egzamin mający rozstrzygnąć o przyznaniu im lub odmówieniu tytułu hakima.

Ibn Sabur Jakut był prawie taki sam, jakim go zapamiętał Ibn Sina. Powodzenie dodało jego oczom o nabrzmiąłych powiekach z lekka władczygo wyrazu, we włosach miał więcej siwizny niż dwanaście lat wcześniej, kiedy się poznali w Hamadanie, i nosił strojne bogate szaty z pstrokatej materii, świadczące o jego stanowisku i powodzeniu, lecz mimo ich doskonałego

kroju nie mógł ukryć, że znacznie przytył w pasie od tamtej pory. Obszedł madrasę i maristan z uśmiechem na ustach, w łaskawym nastroju, napomykając wśród westchnień, jakim luksusem musi być zaprzątanie sobie głowy problemami w tak niewielkiej skali.

Wydało się, że znamienity gość z zadowoleniem przyjął zaproszenie do komisji mającej egzaminować dwóch kandydatów do tytułu hakima.

W szkole isfahańskiej nie było za wielu znakomitych nauczycieli, jednakże na czele większości wydziałów stali uczeni wystarczająco uznani, aby Ibn Sina mógł bez trudu skompletować komisję egzaminacyjną, która wzbudziłaby szacunek w Kairze i Toledo. Al-Dżuzdzani miał więc pytać z chirurgii, imam Jusuf Dżamali z Meczetu Piątkowego z teologii, z prawa i prawoznawstwa Musa ibn Abbas, mułła imama Mirzy abul Kandraszy, wezyra Persji, Ibn Sina zaś postanowił sprawdzać wiadomości z filozofii. Co do medycyny natomiast, to dyskretnie zachęcono gościa z Bagdadu do zadawania jak najtrudniejszych pytań.

Ibn Sina w ogóle się nie przejmował, że obaj jego studenci są Żydami. Zdarzali się oczywiście tępi Hebrajczycy, którzy zostawali kiepskimi lekarzami, lecz zdążył się niejednokrotnie przekonać, że najinteligentniejsi spośród tych, co przybywali do szkoły w Isfahanie, połowę drogi mieli już za sobą, gdyż naukowe dociekania i dysputy, poszukiwanie prawdy i przeprowadzanie dowodów na nią stanowiły część ich religii, toteż zaprawieni byli w nich na długo przedtem, nim zaczęli się kształcić na hakimów.

Pierwszego wezwano Mirdina Askariego. Jego nieładna twarz o długiej szczęce była czujna, lecz spokojna, i kiedy Musa ibn Abbas zadał pytanie na temat praw własności, odpowiedział bez popisów, ale wyczerpująco, cytując przykłady i precedensy z fikhu i szariat. Kiedy potem Jusuf Dżamali zaczął zadawać pytania z pogranicza prawa i teologii, pozostali egzaminatorzy aż zeszywnieli, wszelkie obawy jednak, że kandydatowi zaszkodzi to, iż nie jest wyznawcą prawdziwej wiary, rozproszyła głęboka wiedza Mirdina. Posługiwał się przykładami z życia Proroka, po argumenty sięgał do jego pism, zwracał uwagę na prawne i społeczne różnice między religią muzułmańską a swoją w sprawach istotnych, w mniej ważnych cytował Torę na poparcie Koranu i Koran na poparcie Tory. Posługuje się umysłem jak mieczem, pomyślał Ibn Sina, zadaje finty i paruje,

451

a od czasu do czasu wymierza celne cięcie. Wykształcenie miał tak wszechstronne, że chociaż wszyscy słuchający dorównywali mu mniej więcej erudycją, jego wiedza wprawiała ich w podziw graniczący z osłupieniem.

Ibn Sabur, gdy przyszła jego kolej, jął szyć pytaniami niczym strzałami. Odpowiedzi zawsze padały bez wahania, nigdy jednak nie wyrażały zdania Mirdina Askariego. Nie, były to cytaty z Ibn Siny, Raziego czy Galena albo Hipokratesa, raz też Mirdin przytoczył dzieło „O niskich gorączkach” ibn Sabura Jakuta, a medyk z Bagdadu z kamienną twarzą siedział

słuchając, jak wracają doń jego własne słowa.

Egzamin trwał znacznie dłużej niż zazwyczaj, aż wreszcie kandydat po ostatniej odpowiedzi umilkł i patrzył wyczekująco na komisję, której członkowie więcej pytań nie mieli. Ibn Sina zatem uprzejmie podziękował Mirdinowi i posłał po Jessego ben Beniamina.

Wyczuł osobliwą zmianę atmosfery, gdy wszedł drugi kandydat, wystarczająco rosły i krzepki, by wizualnie stanowić wyzwanie dla grupy starszych, ascetycznie wyglądających mężczyzn. Skórę miał ogorzałą od słońca Wschodu i Zachodu, spojrzenie szeroko rozstawionych oczu znużone i niewinne oraz ostry złamany nos, który nadawał mu wygląd raczej harpunnika niż lekarza. Jego wielkie kwadratowe dłonie zdawały się stworzone do gięcia żelaza, lecz Ibn Sina wiedział, z jaką czułością potrafią gładzić rozpalone twarze chorych i jak pewnie kierują nożem, tnąc cierpiące ciało. Jego umysł od dawna był umysłem medyka.

Ibn Sina rozmyślnie jako pierwszego wezwał na egzamin Mirdina, pragnął bowiem przygotować scenę, gdyż Jesse ben Beniamin różnił się od studentów, do jakich tutejsze autorytety przywykły. Z pewnością nie zdołałby się wykazać zaletami podczas normalnego akademickiego egzaminu. W ciągu trzech lat pilnej nauki opanował wymagany materiał, lecz jego wiedza nie była tak głęboka jak Mirdina. Teraz, mimo że był bardziej zdenerwowany niż Askari, prezentował się całkiem korzystnie.

Wbił wzrok w Musę ibn Abbasa i zdawało się, że wargi mu zbieleły. Zaufany mułła imama Kandrasy zauważył to spojrzenie, niemal zuchwale, i zniecierliwiony zaczął od pytania politycznego, którego niebezpiecznego charakteru nie starał się ukryć.

— Czy królestwo należy do meczetu czy do pałacu? Odpowiedź Roba nie była tak imponująco szybka i pewna jak odpowiedzi Mirdina.

— Mówi o tym Koran — rzekł, kalecząc język obcym akcentem. — Allah powiada w surze drugiej: „ja umieszczę na ziemi namiestnika”. A w surze trzydziestej ósmej zadanie szacha określone jest tymi słowami: „O, Dawidzie! Uczyniliśmy ciebie namiestnikiem na ziemi. Rozsądzaj więc między ludźmi według prawdy, nie idź za namiętnością, bo sprowadzi cię z drogi Boga”. A zatem królestwo należy do Boga.

Oddając królestwo Bogu, Rob unikał wyboru pomiędzy Kandrą a szachem, jego odpowiedź była zatem mądra, a przy tym prawidłowa — mułła przyjął ją bez zastrzeżeń.

Z kolei ibn Sabur zapytał go o różnicę między odrą a ospą. Rob zacytował traktat Raziiego „Podział chorób”, zaznaczając, że symptomem, który zapowiada ospę, jest gorączka i ból w plecach, przy odrze natomiast pojawia się wyższa gorączka i chory czuje niepokój. Powołał się dalej na Ibn Sina, jakby go tam nie było, mówiąc, że w księdze czwartej „Kanonu medycyny” pisze, iż wysypka przy odrze wychodzi zazwyczaj cała od razu, ospowa zaś stopniowo.

Odpowiadał spokojnie i pewnie, nie próbując wykorzystać doświadczenia nabytego podczas zarazy, co mógłby uczynić człowiek mniejszego formatu. Ibn Sina wiedział, że jest godny tytułu medyka. Wśród egzaminatorów tylko on i al-Dżuzdzani byli świadomi, ile wysiłku kosztowały tego człowieka ostatnie trzy lata.

— A jak byś leczył złamane kolano? — postawił następne pytanie al-Dżuzdzani.

— Jeżeli noga jest wyprostowana, trzeba ją unieruchomić pomiędzy dwiema łąbkami. Przy zgiętej posłużyłbym się łąbkami, które hakim Dżalal ul-Din wynalazł zarówno dla kolana, jak i dla złamanego albo wybitego łokcia... — Przed gościem z Bagdadu leżały przybory do pisania i Rob wyciągnął rękę w ich stronę. — Mogę to narysować, żeby pokazać położenie łąbków — powiedział.

Ibn Sina zamarł z przerażenia. Ten zimmi, chociaż był Europejczykiem, musiał wiedzieć, że każdego, kto nakreśli wizerunek człowieka, całego czy bodaj jego części, czeka ogień piekielny. Dla prawego muzułmanina grzechem było nawet spojrzeć na taki obrazek. Twórca

rysunku zaś, dopuściwszy się w obecności mułły i imama obrazy Boga i naraziwszy na zgorzenie ich poczucie moralności, musiałby pożegnać się z tytułem hakima i stanąć przed mużulmańskim sądem.

Na twarzach egzaminatorów odbiły się różne uczucia. Al-Dżuzdzani miał minę wyrażającą ogromny żal, na ustach ibn Sabura drżał słaby uśmiezek, imam był zakłopotany, a mułła już kipiał gniewem.

Pióro Roba tylko fruwało między kałamarzem a papierem i po chwili stało się — rysunek był gotowy. Rob wręczył go ibn Saburowi i mąż z Bagdadu popatrzył zdumiony. Gdy podał go al-Dżuzdzaniemu, chirurg nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

Dla Ibn Siny czas jakby się zatrzymał, póki rysunek nie dotarł do niego. Kiedy wreszcie Pierwszy Medyk otrzymał arkusz papieru, ujrzał na nim... konar! Ponad wszelką wątpliwość był to zgięty konar morelowego drzewka, narysowany bowiem został razem z liśćmi. Rolę uszkodzonego stawu kolanowego pełnił tu złamany sęk, ujęty w łubki powyżej i poniżej miejsca pęknięcia.

Więcej pytań na temat złamań kości nie zadano.

Ibn Sina spojrział na Jessego, starając się ukryć zarówno ulgę, jak i wzruszenie. Z wielką przyjemnością zerknął na twarz gościa z Bagdadu, po czym rozsiadłszy się wygodniej, jął zadawać studentowi najbardziej intrygujące pytania filozoficzne, jakie potrafił wymyślić, uspokojony, że madrasę w Isfahanie stać jeszcze na to, by się czymś popisać.

Rob przeżył wstrząs, zobaczywszy w komisji zausznika wezyra, Musę ibn Abbasa, którego widział na potajemnym spotkaniu z posłem Seldżuków. Szybko jednak przypomniał sobie, że sam wtedy nie był widziany, a więc obecność mułły wśród egzaminatorów niczym szczególnym mu nie grozi.

Kiedy egzamin się skończył, udał się prosto do skrzydła maristanu, w którym leżeli pacjenci chirurgii, już wcześniej bowiem obaj z Mirdinem zgodnie uznali, że za trudno by im było beczynnie czekać na wyrok. Najlepiej czas oczekiwania spędzić przy pracy, podjął więc swoje obowiązki: badanie pacjentów, zmienianie opatrunków, zdejmowanie szwów — codzienne zajęcia, do których już przywykł.

Czas mijał, a wiadomość nie nadchodziła.

Później na chirurgię przyszedł Dżalal ul-Din. Musiało to oznaczać, że egzaminatorzy się rozeszli. Roba kusilo, żeby zapytać, czy zna decyzję, ale nie zdobył się na to. Dżalal pozdrowił go jak zwykle, niczym nie zdradzając, że wie o udreće, jaką sprawia mu czekanie.

Dzień wcześniej utrudzili się razem nad stratowanym przez byka pasterzem. Pod kopytami bydłęcia przedramię biedaka złamało się jak słomka w dwóch miejscach, a zanim inni pasterze go odciągnęli, byk nadział go jeszcze na rogi. Rob oczyścił i zeszył poszarpane mięśnie ramienia i ręki, Dżalal zaś nastawił złamania i założył łubki. Zbadawszy teraz pacjenta chirurg wyraził niezadowolone, że gruby płócienny opatrunek zawadza łubkom.

— Nie można by zdjąć opatrunku? Rob stropił się, bo Dżalal przecież dobrze znał odpowiedź. Mimo to powiedział:

— Za wcześnie.

Dżalal wzruszył ramionami, spojrział ciepło na Roba i uśmiechnął się.

— Niechaj zostanie, jak mówicie, hakimie—rzekł i wyszedł z sali.

W ten sposób Rob się dowiedział. Z wrażenia zakręciło mu się w głowie i jakiś czas stał bez ruchu.

Do rzeczywistości przywołały go zwykle obowiązki. Zostało mu jeszcze czterech chorych do obejrzenia, podjął więc obchód. Musiał się o nich zatroszczyć, jak przystało na dobrego medyka, toteż na wzór promienia słonecznego, który koncentruje swój blask w kryształach, on na każdym kolejno skupiał swoje myśli.



Dopiero opatrzwszy ostatniego pacjenta znów poddał się uczuciom. Ogarnęła go wtedy najczystsza radość, jakiej kiedykolwiek w życiu zaznał. Niemal jak pijany pospieszył do domu, by powiedzieć Mary.

## Rozkaz

Został hakimem na sześć dni przed dwudziestą czwartą rocznicą swych urodzin i przez wiele tygodni potem chodził szczęśliwy. Ucieszył się, że Mirdin nie zaproponował, by poszli uczcić świeżo zdobyty tytuł na majdanie. Nawet się nie zastanawiając czuł, że ta zmiana w ich życiu jest zbyt ważna, aby ją fetować pijackim wieczorem. Obydwie rodziny spotkały się natomiast w domu Askarich na uroczystej wspólnej wieczerzy. Rob i Mirdin towarzyszyli też sobie nawzajem przy zdejmowaniu miary na czarny strój hakima.

— Wracasz zaraz do Maskatu? — zapytał Rob przyjaciela.

— Nie, zostaję na kilka miesięcy, muszę się jeszcze nauczyć różnych rzeczy w aptece. A ty? Kiedy wracasz do Europy?

— Mary nie powinna się teraz wybierać w taką podróż. Najlepiej będzie, jak zaczekamy, aż dziecko się urodzi i na tyle nabierze sił, żeby zniosło podróż.—Uśmiechnął się do Mirdina.

— Twoi krewniacy będą świętować, jak ich medyk wróci do domu. Dałeś im już znać, że szach chce od nich kupić wielką perłę?

Mirdin pokręcił głową.

— Oni jeżdżą po wsiach poławiaczy perel i skupują małe niedojrzałe perełki. Handlują nimi na miarki z kupcami, którzy je odprzedają do wyszywania sukien. Naprawdę trudno by im było zebrać sumę potrzebną na zakup dużych perel. I nie kwapiliby się do handlu z szachem, bo królowie rzadko są skłonni uczciwie płacić za wielkie perły, które tak lubią. Ja tam wolałbym, żeby Ala zapomniał o „fortunie” obiecanej moim krewniakom.

— Wczoraj wieczorem cały dwór rozpytywał o ciebie, wszyscy żalowali, że cię nie ma — powiedział szach.

— Zajmowałem się chorą kobietą w beznadziejnym stanie

— odparł Karim.

W rzeczywistości wieczór spędził u Despiny. Oboje znajdowali się w „beznadziejnym stanie”. Po raz pierwszy od pięciu dni udało mu się wyrwać zabiegającym o jego względy zepsutym dworzanom, dlatego też droga mu była każda spędzona z nią chwila.

— Mam na dworze chorych potrzebujących twojej mądrości — oświadczył zrzędlawie Ala.

— Tak jest, wasza wysokość.

Ala wyraźnie okazywał mu swą królewską łaskę, lecz Karim był już znużony krewnymi wielmożów przychodzącymi do niego często z wymagowanymi dolegliwościami. Brakowało mu prawdziwej krzątaniny w maristanie, gdzie zawsze był potrzebny jako medyk, a nie ozdoba. Mimo to ilekroć wjeżdżał do Rajskiego Domu witany salutem straży, wciąż na nowo odczuwał wzruszenie. Często myślał o tym, jak by się zdumiał Żaki Omar na widok swego chłopca towarzyszącego konno królowi Persji.

— ...mam pewne plany, Karimie—mówił szach. —Przygotowuję coś naprawdę dużego.

— Niechaj waszym planom Allah sprzyja, panie.

— Musisz wezwać na spotkanie swoich przyjaciół, tych dwóch Żydów. Chcę pomówić z wami trzema.

— Tak jest, wasza miłość.

Dwa dni później Roba i Mirdina wezwano na przejażdżkę z szachem. Dzięki niej mogli zobaczyć się z Karimem, który w tych dniach był nieuchwytny, ponieważ władca nie puszczał

go od siebie na krok. Ku radości Karima trzech młodzi medycy spotkali się na stajennym podwórzu Rajskiego Domu i przed przybyciem szacha zdążyli omówić przebieg egzaminu, a kiedy władca się zjawił, dosiedli koni i wyjechali z nim na pola.

Przywykli już do tych wycieczek, dziś jednak wyjątkowo długo ćwiczyli strzał partyjski, który jedynie Karim i Ala potrafili wykonać, i to nie zawsze z powodzeniem. Potem smacznie zjedli, nie rozmawiając o niczym poważnym, dopóki wszyscy czterej nie zasiedli w ciepłej wodzie sadzawki w grocie, popijając wino.

Wtedy Ala ze spokojem im oświadczył, że za pięć dni wyrusza z Isfahanu na czele dużego oddziału wojska.

— Przeciwko komu, wasza wysokość? — zapytał Rob.

— Na zagrody słoni w północno-zachodnich Indiach.

— Panie, czy wolno mi jechać z tobą? — natychmiast poprosił Karim i oczy mu zabłyśły.

— Liczę, że wszyscy trzech pojedziecie — odparł Ala.

Zaczął szerzej opowiadać, pochlebiając im, że trójkę przyjaciół wtajemnicza w swoje najskrytsze plany. Otóż na zachodzie Seldżycy najwyraźniej gotowali się do wojny, w Gaznie zaś sułtan Mahmud zachowywał się bardziej wojowniczo niż dotychczas i należało się nim zająć. Nadszedł zatem czas, by Ala zebrał siły. Jego szpiedzy donosili, że w Mansurze słaby hinduski garnizon strzeże licznego stada słoni, uznał przeto, iż taki wypadek będzie pożytecznym ćwiczeniem dla wojska i co ważniejsze, pozwoli mu się zaopatrzyć w te bezcenne zwierzęta, które okryte zbroją są straszliwą bronią decydującą o losach walki.

— Mam jeszcze jeden cel — dodał Ala. Sięgnął do pochwy leżącej na brzegu sadzawki i wydobył sztylet o ostrzu z jakiejś dziwnej błękitnej stali pokrytej drobnym spiralnym wzorem.

— Metal, z którego zrobiono to ostrze, jest tylko w Indiach. Nie przypomina żadnego ze znanych nam metali. Daje lepsze klingi niż nasza stal, jest trwalszy, a przy tym tak twardy, że tnie naszą broń. Poszukamy mieczy zrobionych z tej błękitnej stali, bo każde wojsko zwycięży, byle miało takiej broni pod dostatkiem.

— Podał im sztylet, aby każdy mógł sprawdzić, jak twardy jest i ostry. — Jedziesz z nami? — zapytał Roba.

Obaj wiedzieli, że to rozkaz, nie prośba. Dla Roba przyszła pora spłacenia długu.

— Jadę, wasza wysokość — powiedział starając się, by zabrzmiało to radośnie. W głowie mu się zakręciło nie tylko od wina, serce zabiło jak oszalałe.

— A ty, zimmi? — zwrócił się szach do Mirdina, który zbladł.

— Panie, udzieliłeś mi pozwolenia na powrót do rodziny w Maskatie.

— Pozwolenie! Oczywiście, że masz pozwolenie. Teraz sam musisz decydować, czy jedziesz z nami, czy nie — rzekł na to sztywno Ala.

Karim szybko chwycił bukłak i nalał wszystkim wina do pucharów.

— Jedź do Indii, Mirdinie.

— Nie jestem żołnierzem... — odparł Mirdin powoli. Popatrzył na Roba.

— Jedź z nami — usłyszał Rob własny głos. — Nie omówiliśmy jeszcze nawet trzech przykazań. Będziemy mogli studiować je w drodze.

— Chirurdzy będą nam potrzebni — wtrącił Karim. — Poza tym czyżby Jesse był jedynym walecznym Żydem, jakiego znam?

Był to zwyczajny dobroduszny żart, lecz spojrzenie Mirdina stwardniało.

— Bzdury gadasz, Karimie, ogłupiło cię wino — odezwał się Rob, biorąc przyjaciela w obronę.

— Jadę — oświadczył Mirdin i wszyscy zakrzyknęli z radości.

— Pomyślcie tylko — rzekł z satysfakcją Ala — czwórka przyjaciół razem wyrusza na Indie!

Tego dnia po południu Rob odwiedził Netkę Akuszerkę. Była chuda, surową kobietą, jeszcze niestara, o ostrym nosie w woskowej twarzy i napastliwych, małych jak rodzynki oczach. Przyjęła go niezbyt gościnnie i bez zdziwienia wysłuchała, z czym przychodzi. Wyjaśnił jej tylko, że musi wyjechać. Poznał po jej minie, że nic to dla niej niezwykłego, iż mąż udaje się w podróż zostawiając żonę w domu samą ze swym cierpieniem.

— Widziałam twoją żonę. To ta ruda niewierna.

— Tak, jest chrześcijanką z Europy. Netka popatrzyła nań w zamyśleniu, a potem jakby się zdecydowała.

— Dobrze. Zajmę się nią, jak przyjdzie jej czas. Gdyby były jakieś trudności, zamieszkać u was przez ostatnie tygodnie.

— Dziękuję. — Wręczył jej pięć monet, w tym cztery złote.

— Wystarczy?

— Wystarczy.

Zamiast pójść do domu, nieproszony udał się do domu Ibn Siny, który przyjął go i wysłuchał z powagą.

— A jeżeli zginiesz w Indiach? — rzekł potem. — W podobnej wyprawie poległ mój rodzony brat Ali. Może nie pomyślałeś o takiej ewentualności, bo jesteś młody i silny, widzisz przed sobą tylko życie. Ale co wtedy będzie?

— Zostawiam żonie pieniądze. Niewiele z tego należy do mnie, większość to pieniądze jej ojca — odparł Rob uczciwie.

— Jeżeli zginę, czy załatwicie dla niej i dla dziecka powrotną podróż do domu?

Ibn Sina potakująco skinął głową.

— Musisz uważać na siebie, żebym nie musiał się tym zajmować.—Uśmiechnął się. — Myślałeś nad tą zagadką, którą ci kiedyś zadałem?

Rob zamarł ze zdumienia, że umysł tej miary może się zajmować dziecinnymi zabawami.

— Nie, hakimbaszo.

— Nieważne. Jeśli Allah zechce, będziesz miał mnóstwo czasu na jej rozwiązanie — powiedział i dodał szorstko:

— A teraz usiądź bliżej, hakimie. Myślę, że dobrze zrobimy poświęcając chwilę sposobom leczenia ran.

O wyjeździe powiedział Mary, gdy już leżeli w łóżku. Wyjaśnił, że nie ma wyboru, jest zobowiązany spłacić dług Ali, poza tym prośba szacha o udział w wyprawie równa się rozkazowi.

— Nie muszę ci chyba mówić, że ani ja, ani Mirdin nie pakowalibyśmy się w tę awanturę, gdybyśmy mogli tego uniknąć

— zapewnił żonę.

Nie wdawał się w opowiadanie, co może mu grozić, uprzedził ją tylko, że zapewnił usługi Netki w czasie porodu, a w razie innych kłopotów pomoże jej Ibn Sina.

Musiała się przerazić, lecz nie wpadła w panikę. Rob odniósł wrażenie, że słyszy w jej głosie gniew, kiedy zaczęła wypytywać o szczegóły, ale mógł to być skutek poczucia winy, bo w głębi ducha wiedział, że w jakiejś mierze podnieca go wymarsz na wojnę, spełnienie dziecinnych snów.

Raz tej nocy położył lekko rękę na jej brzuchu i poczuł widoczne zaokrąglenie.

— Może nie uda ci się go zobaczyć, jak będzie wielkości arbuza — powiedziała w ciemnościach.

— Na pewno do tego czasu wrócę — zapewnił ją.

Niebawem nadszedł dzień rozstania. Mary zamknęła się w sobie, na powrót stała się tą twardą kobietą, którą Rob odnalazł, gdy w wadi Ahmada dzielnie broniła ojca na łożu śmierci.

Kiedy wyruszał, była na dworze, czesząc zgrzeblem swego karoza. Oczy miała suche całując go i patrząc, jak odjeżdża

—wysoka, zgrubiała w pasie kobieta, której rosła sylwetka tak wyglądała, jakby Mary nieustannie była zmęczona.

## Osobliwy wierzchowiec

Oddział nie prezentował się okazale jak na wojsko ruszające z wyprawą, był jednak za duży jak na wycieczkę: sześciuset ludzi na koniach i wielbłądach i dwudziestu czterech na słońiach.

Chuff odebrał Robowi kasztanka natychmiast, jak tylko zajechał na plac musztry na majdanie.

— Odbierzesz go sobie po powrocie do Isfahanu. Idą tylko konie oswojone z zapachem słoni.

Kasztanka dołączono do tabunu wierzchowców, które miano odprowadzić do królewskich stajni, Robowi zaś, ku jego konsternacji a wielkiej ucieście Mirdina, przydzielono podstępna siwą wielbłądzicę, która przeżuając spojrzała na niego wyniosłe i ściągnęła miękkie wargi, szczerząc zęby.

Mirdinowi dano brunatnego wielbłąda. Od dziecka jeździł na tych zwierzętach, pokazał więc Robowi, jak się skręca cugle i wyszczekuje komendę, aby dromader ugiął przednie nogi i ukląkł, a następnie zgiął tylne nogi i położył się na ziemi. Jeździec sadowił się w siodle bokiem, szarpał za cugle i znowu wydawał komendę, zwierzak zaś prostował nogi i wstawał, powtarzając cały manewr w odwrotnej kolejności.

Pieszycy żołnierzy było dwustu pięćdziesięciu, konnych dwustu i stu pięćdziesięciu na wielbłądach. Szach, który przybył niebawem, prezentował się doprawdy okazale. Jego słoń o jard przewyższał wszystkie pozostałe, na groźne kły nałożone miał ozdobne obrączki. Na łbie samca siedział mahut, który kierował słońem bodąc go piętami w okolicy uszu. Władca rozparł się wyprostowany w wyłożonym poduszkami palankinie zamocowanym na wielkim wypukłym grzbiecie, wspaniały w granatowych jedwabiach i czerwonym turbanie. Zgromadzony tłum ryknął na pożegnanie, choć niektórzy może wznosili okrzyki na cześć bohatera chatiru, bo tuż za królewskim słońem jechał Karim na nerwowym siwym arabie o dzikich ślepiach.

Chuff grzmącym ochrypłym głosem wydał rozkaz i pognął wierzchowca galopem za słońem króla i Karimem, za nim kolejno w równym szyku ruszyły pozostałe słońie, a dalej konie, wielbłądy i setki jucznych osłów z rozciętymi nozdrzami, by mogły czerpać więcej powietrza przy ciężkiej pracy. Pochód zamykała piechota.

Tym razem także, podobnie jak w karawanie, Rob znalazł się w odległości trzech czwartych od czoła kolumny, w związku z czym doszedł do wniosku, że widać takie już pisane mu jest miejsce podróżowania w dużych grupach. Oznaczało to, że wraz z Mirdinem musieli jechać w nie opadających ani na chwilę chmurach kurzu. Przewidziawszy to, obaj zmienili turbany na skórzane żydowskie kapelusze, które lepiej osłaniały przed kurzem i słońcem.

Wielbłądzica Roba okazała się przykrym wierzchowcem. Kiedy uklękła i usiadł całym swoim niemalym ciężarem na jej grzbiecie, głośno kwiknęła, chwilę pochrząkała, wreszcie ze stękaniem dźwignęła się na nogi. Jazda na niej była niesamowita: Rob siedział wyżej niż na koniu, kołysało nim i podrzucało, nie czuł też pod siedzeniem ani łuta mięśni czy tłuszczu.

Gdy przekraczali most nad Rzeką Życia, Mirdin obejrzał się na niego i wyszczerzył zęby.

— Musisz ją polubić! — zawołał do przyjaciela.

Rob nie zdołał polubić wielbłądzicy. Przy każdej okazji bydlę pluło na niego śliną przemieszaną z ropą, jak zły pies kłapało zębami, aż musiał jej związać pysk, i niczym

narowisty muł wściekle wierzgało, mierząc w niego kopytami. Ani na chwilę nie mógł spuścić jej z oka.

Mimo wszystko podobała mu się ta jazda z wojskiem. Mając żołnierzy przed sobą i za plecami, czuł się jak w dawnej rzymskiej kohorcie i chętnie sobie wyobrażał, że jest częścią legionu niosącego ze sobą wszędzie rzymską kulturę. Złudzenie to pryskało każdego dnia późnym popołudniem, nie rozbijali bowiem porządnego rzymskiego obozu. Szach miał namiot, miękkie dywany, muzykantów, kucharzy i tłumy służby na każde zawołanie, pozostali zaś szukali sobie miejsca na gołej ziemi i każdy zawijał się we własny płaszcz. Na popasach smród ludzkich i zwierzęcych odchodów był wszechobecny, a jeśli przybywali nad strumień, to nim odeszli, stawał się rynsztokiem.

W nocy, leżąc w ciemności na twardej ziemi, Mirdin nadal uczył Roba Prawa objawionego przez żydowskiego Boga. Uczenie i przyswajanie sobie wiedzy, zajęcie tak znajome, pomagało im zapomnieć o niewygodzie i strachu. Szło im dobrze, omawiali bowiem przykazania dziesiątkami, Rob uznał więc w końcu, że marsz na wojnę idealnie służy studiom. Ponadto spokojny belferski głos Mirdina działał nań kojąco, niósł jakby nadzieję, że dożyją lepszych czasów.

Przez tydzień korzystali z własnych zapasów, potem zgodnie z planem prowiant się skończył. Wyznaczono wtedy stu piechurów jako furazerów, którzy zdążali przodem przed główną grupą, umiejętnie przeczesując okolice. Powszednim widokiem stali się wkrótce ludzie prowadzący kozy lub pędzący owce, taszczący rozgdakane ptactwo i rozmaite produkty. Wybierano co najlepsze dla szacha, resztę zaś dzielono i noc w noc nad setką ognisk warzyło się jadło, by napełnić brzuchy najeźdźców.

Na każdym postoju odbywał się apel chorych, i to w polu widzenia królewskiego namiotu, aby zniechęcić symulantów. Mimo to kolejki do medyków ustawiały się długie. Któregoś wieczora przyszedł tam do nich Karim.

— Chcesz popracować? — ucieszył się Rob. — Przyda nam się pomoc.

— Nie wolno mi. Mam nie opuszczać szacha.

— Aaa... — mruknął Mirdin. Karim uśmiechnął się krzywo.

— Potrzebujecie więcej jedzenia?

— Mamy dosyć.

— Mogę zdobyć, co chcecie. Nim dojedziemy do zagród słoni w Mansurze, upłynie kilka miesięcy. Nie zaszkodzi zadbać, żeby w czasie marszu żyło wam się jak najwygodniej.

Rob przypomniał sobie historię, którą opowiedział mu Karim w Szirarie, gdy walczyli z zarazą — o tym, jak smutno skończyli jego rodzice podczas przemarszu wojsk. Otóż to dzieciom, pomyślał, rodzice rozbijają główki o skałę, by im oszczędzić głodowej śmierci, jaką niesie przeciąganie perskich oddziałów!

Potem zawstydził się swojej niechęci do przyjaciela, nie on przecież ponosił winę za tę wyprawę na Indie.

— Mam prośbę — powiedział. — W każdym obozie powinno się z czterech stron kopać rowy, żeby służyły jako latryny. Załatw to.

Karim kiwnął głową.

Zalecenie wykonano bez zwłoki ogłaszając zarazem, że wprowadza się je na żądanie medyków. Nie przysporzyło im to popularności, teraz bowiem co wieczór wyznaczano zmęczonych żołnierzy do kopania rowów i każdy, kto się zbudził w nocy z bólem brzucha, musiał po omacku szukać latryny. Ci, których przyłapano na łamaniu polecenia, dostawali kije. Smród jednak panował w obozie mniejszy i miło było się nie martwić, czy przy zwijaniu obozu rankiem nie wdepnie się w ludzkie łajno.

Większość żołnierzy patrzyła na medyków z tępą pogardą. Nie uszło uwagi ogółu, że

Mirdin stawił się na wyprawę bez broni, i Chuff musiał wymyślić jakiś pretekst, aby zaopatrzyć go w miecz gwardzisty, którego zresztą medyk zwykle zapominał. Wyróżniały ich też skórzane kapelusze, a także zwyczaj wstawania wczesnym rankiem i wychodzenia poza obóz, gdzie nakładali modlitewne szale oraz filakterie, po czym odmawiali modlitwy. Mirdin nie potrafił zrozumieć postępowania Roba.

— Nie ma tu innych Żydów — zauważył — nikt ci się nie przygląda i o nic nie podejrzewa, więc dlaczego się ze mną modlisz? — Roześmiał się, gdy Rob wzruszył ramionami. — Myślę, że po trosze stałeś się żydem.

— Nie — zdecydowanie odparł Rob i opowiedział Mirdinowi, jak to w dniu, w którym przeistoczył się w Żyda, udał się do bazyliki Mądrości Bożej w Konstantynopolu i przyrzekł Jezusowi, że nigdy się Go nie zaprze. Mirdin skinął głową już się nie śmiejąc.

Obaj mieli dość rozumu, aby dalej tego problemu nie zgłębiać. Wiedzieli, że są sprawy, w których nigdy nie będą zgodni, bo każdy wyrósł w innej wierze i inaczej pojmuje godność człowieka, lecz wystarczało unikać takich pułapek, by cieszyć się wzajem swoją przyjaźnią — przyjaźnią ludzi rozsądnych, medyków chwilowo przemienionych w nie najlepszych żołnierzy.

Kiedy dotarli do Szirazu, uprzedzony wcześniej kalendar wyszedł im naprzeciw z karawaną jucznych zwierząt obładowanych prowiantem. Był to dar oszczędzający całej prowincji doszczętnego złupienia przez furażerów. Pokłoniwszy się szachowi, kalendar serdecznie powitał Roba, Mirdina i Karima, po czym we czwórkę zasiedli przy winie, by wspominać czasy zarazy. Potem Rob z Mirdinem odprowadzili go aż do bram miasta.

Wracając ulegli pokusie i rozgrzani winem, na płaskim równym odcinku drogi popędzili wielbłądy do wyścigu. Było to dla Roba objawieniem: kołyszący i podrygujący chód zwierzęcia zniknął, gdy ruszyło biegiem. Teraz jego krok się wydłużył, stał się płynny, wielbłądzica niosła Roba lotem strzały. Z łatwością utrzymywał się na jej grzbiecie, doznając miłych wrażeń: leciał, unosił się w powietrzu, mknął jak wicher.

Wtedy to pojął, dlaczego perscy Żydzi zamiast przyjętej powszechnie nazwy używali hebrajskiego określenia gemalim letusim — latające wielbłądy, siwa wielbłądzica pędziła bowiem bez opamiętania. Po raz pierwszy poczuł do niej wtedy sympatię.

— Dalej, staruszko! Dalej, mała! — wołał gnając w stronę obozu.

Zwyciężył Mirdin na brunatnym wielbłądzie, lecz wyścig wprowadził Roba w dobry humor. Wyprosił u poganiaczy słoni dodatkową rację paszy dla swego wierzchowca, który w podzięcie ugryzł go w ramię. Wielbłądzica nie przecięła skóry, ale przez kilka dni chodził z paskudnym bolesnym siniakiem. Wtedy to nazwał ją Suką.



## Indie

Minąwszy Sziraz wkroczyli na Korzenny Szlak i posuwali się nim, dopóki w pobliżu Ormuzu nie musieli zbroczyć w kierunku wybrzeża, aby ominąć góry w głębi lądu. Mimo zimy powietrze nad zatoką było ciepłe i wonne. Czasem po rozbiciu obozu pod koniec dnia żołnierze i zwierzęta schodzili z rozgrzanych piaszczystych plaż zażyć kąpieli w ciepłej słonej wodzie pod okiem strażników nerwowo wypatrujących rekinów. Spotykani teraz ludzie mogli być zarówno Beludżami, jak i Persami. Byli to rybacy albo rolnicy uprawiający daktyle i granaty w oazach, które powyrastały na przybrzeżnym piasku. Mieszkali w namiotach lub wylepionych mułem kamiennych domach z płaskimi dachami. Od czasu do czasu perska kolumna posuwała się którymś z wadi, gdzie ludzie żyli w jaskiniach. Robowi ten kraj wydał się biedny, Mirdin za to z dnia na dzień wpadał w coraz większe uniesienie i spoglądał wokoło z rosnącą czułością w oczach. Kiedy przybyli do rybackiej wsi Tiz, ujął Roba za rękę i zaprowadził go na brzeg.

— Po drugiej stronie — powiedział wskazując błękitną zatokę — leży Maskat. Stąd łódź może nas w parę godzin zawieźć do domu mojego ojca.

Było to tak blisko, że aż kusilo, by odwiedzić rodzinę, lecz nazajutrz z rana zwinęli obóz i z każdym krokiem zaczęli się oddalać od domu Askarich.

Niemal w miesiąc od wyruszenia z Isfahanu wojsko szacha Ali przekroczyło granicę Persji. Wtedy też zaprowadzono pewne zmiany: szach rozkazał mianowicie, by co noc rozstawiano trzy pierścienie straży wokół obozu i co rano zmieniano hasło. Ktokolwiek nie znając go próbował dostać się do obozu, ginął.

Znalazszy się na obcej ziemi, żołnierze pofolgowali chęci grabieży i pewnego dnia sprowadzili do obozu kobiety, pędząc je jak bydło. Szach oświadczył, że pozwoli na kobiety w obozie tylko tej nocy, nigdy więcej. Oddziałowi liczącemu sześciuset ludzi i tak trudno by było podejść do Mansury niepostrzeżenie, toteż nie chciał, aby ich jeszcze poprzedzały pogłoski o chwytanych po drodze brankach.

Zanosilo się na noc szaleństwa. Rob i Mirdin zauważyli, że Karim starannie wybrał cztery kobiety.

— Po co mu aż cztery? — zdziwił się Rob.

— Nie wybiera ich dla siebie — powiedział Mirdin. Tak było w istocie, Karim poprowadził bowiem kobiety do królewskiego namiotu.

— I widzisz, po cośmy się męczyli pomagając mu zdać egzamin i zostać medykiem? — rzekł Mirdin z goryczą. Rob nic nie odpowiedział.

Pojmane kobiety przechodziły z rąk do rąk. Żołnierze losowali kolejność, grupkami przyglądając się rozpuście, której towarzyszyły wiwaty gapiów. Nawet strażników rozpuszczono, by i oni mogli skorzystać z pierwszych zdobyczy.

Mirdin z Robem usiedli na uboczu z bukłakiem cierpkiego wina. Przez jakiś czas próbowali zająć się nauką, ale nie był to właściwy moment na powtarzanie boskiego Prawa.

— Nauczyłeś mnie ponad czterystu przykazań — zauważył ze zdumieniem Rob. — Niedługo skończymy.

— Ledwie ci je wyliczyłem — sprostował Mirdin. — Są mędrcy, którzy przez całe życie zgłębiają komentarze do jednego tylko prawa.

W ciemnościach nocy rozlegały się dokoła pijackie wrzaski.

Robowi od lat udawało się unikać trunków, teraz jednak poczuł osamotnienie i pożądanie

wcale nie umniejszone szpetotą tego, co działo się wokół, pił zatem wino z nadmierną ochotą, aż niebawem uderzyło mu do głowy. Mirdin, zdumiony zachowaniem przyjaciela, zwykle tak umiarkowanego i rozsądnego, nie mógł pojąć, co się z nim stało. Doszło w końcu do tego, że jakiś żołnierz, popchnąwszy Roba, byłby posmakował gniewu medyka, gdyby sprawy nie załagodził Mirdin, który uspokoił go jak zepsute dziecko i odprowadził na miejsce noclegu.

Kiedy nazajutrz Rob się obudził, kobiet już nie było, a za swoją głupotę zapłacił jazdą na wielbłądzie ze straszliwym bólem głowy. Mirdin, wiecznie żądny wiedzy medycznej, jeszcze ów ból jątrzył dokładnie o niego wypytyjąc i dał Robowi spokój wtedy dopiero, kiedy w pełni zrozumiał, że niektórzy ludzie winni unikać wina jak trucizny lub złego uroku.

Mirdin nie pomyślał o tym, by na wojnę zabrać broń, wziął za to grę szacha, która okazała się błogosławieństwem, co wieczór bowiem grali aż do zapadnięcia nocy. Teraz dopiero rozgrywki stały się ciekawe, los ich długo się ważył i bywało nawet, że Rob, jeśli szczęście mu dopisało, wygrywał.

Pewnego razu, gdy siedzieli przy grze, zwierzył się przyjacielowi ze swojej troski o Mary.

— Na pewno ma się świetnie. Fara mówi, że rodzenie to prastara umiejętność kobiet — rzekł na to wesoło Mirdin.

Rob na głos jął się zastanawiać, czy dziecko będzie chłopcem, czy dziewczynką.

— A w ile dni po ustaniu miesiączki zostało poczęte? — spytał Mirdin, ujrzawszy zaś, że Rob wzruszył ramionami, ciągnął:—Al-Habib pisze, że jeśli do stosunku dochodzi między pierwszym a piątym dniem po ustaniu krwawienia, to będzie chłopak, a jeżeli między piątym a ósmym, szykuje się dziewczynka... — urwał i Rob wiedział dlaczego, al-Habib pisał bowiem również, że jeśli do stosunku doszło po piętnastym dniu, dziecko może być hermafrodytą.

— U al-Habiba stoi też, że ciemnoocy ojcowie płodzą synów, a niebieskoocy córki. Tyle że ja pochodzę z kraju, gdzie większość mężczyzn ma niebieskie oczy, a zawsze płodzili wielu synów — powiedział przekornie Rob.

— Niewątpliwie al-Habib pisał tylko o normalnych ludziach, tych ze Wschodu — zauważył Mirdin.

Czasami zamiast spędzać czas przy grze szacha, powtarzali nauki Ibn Siny o opatrywaniu ran zadanych w bitwie albo przeglądali swój ekwipunek, upewniając się, czy mają wszystko, co potrzebne chirurgom. Opłaciło się to robić, bo pewnego wieczora poproszono ich do namiotu szacha na wieczerzę, przy której musieli zdać sprawę z tego, jak są przygotowani. Karim, również uczestniczący w posiłku, powitał przyjaciół dziwnie zmieszany —jak się okazało dlatego, że jemu właśnie polecono ich wypytać i ocenić stan gotowości.

Kiedy słudzy wnieśli wodę i ręczniki do obmycia rąk przed jedzeniem, szach zanurzył dłonie w pięknie cyzelowanej misie i wytarł je jasnoniebieskim lnianym ręcznikiem z haftowanymi złotą nicią wersetami z Koranu.

— Powiedzcie, jak będziecie opatrywać rany cięte — rzekł Karim.

Rob powtórzył zalecenia Ibn Siny: należy zagotować oliwę i wlać ją do rany tak gorącą, jak to możliwe, by zapobiec ropieniu i powstaniu szkodliwych humorów.

Karim aprobująco kiwnął głową.

Szach słuchał tego blady, zaraz też stanowczo polecił, że gdyby jego śmiertelnie raniono, mają mu podać środek znieczulający, jak tylko muła zacznie odmawiać nad nim modlitwy za konających.

Posiłek jak na królewski stół był prosty: ptactwo z różną z letnimi jarzynami zebrany po drodze, lepiej za to przygotowany niż strawa, do jakiej Rob z Mirdinem przywykli, podany w dodatku na talerzach. Kiedy wieczerza dobiegła końca, trzech muzykantów jęło

przygrywać na cymbałach, Mirdin zaś zmierzył się z szachem w grze jego imienia — i oczywiście bez trudu został pokonany.

Była to miła odmiana w monotonnym trybie ich życia, Rob wszakże bez przykrości pożegnał władcę. Nie zazdrościł Karimowi, który teraz często zamiast na swoim wierzchowcu, jechał na słoniu imieniem Zu w palankinie szacha. Słonie jednakże nadal go fascynowały i ilekroć miał okazję zbliżyć się do tych zwierząt, dokładnie im się przyglądał. Niektóre dźwigały na sobie zbroję podobną do tej, jaką nosili ludzie. Na pięciu słońiach jechało dwudziestu dodatkowych mahutów zabranych przez szacha z myślą o tym, że zajmą się zwierzętami zdobytymi w Mansurze. Wszyscy byli Hindusami wziętymi do niewoli we wcześniejszych najazdach, lecz traktowano ich bardzo dobrze i sownie wynagradzano, przedstawiali bowiem wielką wartość, a władca był pewien ich lojalności.

Słonie pasły się same. Pod koniec każdego dnia mali ciemnoskórzy poganiacze prowadzili je w zarośla, gdzie najadały się do syta trawy, liści, drobnych gałązek i kory, często z zaskakującą łatwością obalając całe drzewa, by dostać się do pożywienia. Pewnego wieczora żerujące słonie wypłoszyły z drzew stadko jazgotliwych niewielkich włochatych stworzeń o kształtach przypominających ludzkie, lecz z ogonami. Rob wiedział z książek, że to małpy. Potem już co dzień spotykali małpy, a także wielobarwne ptaki i od czasu do czasu na ziemi i drzewach węże. Marsza, mahut szacha, powiedział Robowi, że ukąszenie niektórych jest śmiertelne.

— Jak ugryzą, trzeba to miejsce naciąć nożem, wyssać cały jad i wypluć, a potem zabić nieduże zwierzę i jego wątrobę przyłożyć do rany, żeby odciągnęła jad. Tylko że wysysać ukąszenie może człowiek, który nie ma w ustach najmniejszej ranki, boby się jad i jemu przedostał do krwi. A wtedy umiera się, nim zapadnie noc — ostrzegł.

Mijali po drodze posągi Buddy, grubego siedzącego bożka, i ten i ów niepewnie z niego pokpiwał, lecz nikt go nie obrażał, bo chociaż Persowie nieustannie dodawali sobie otuchy powtarzając, że jedynym prawdziwym Bogiem jest Allah, te prastare figury miały w sobie jakąś nieuchwytną i groźną siłę, która im uświadamiała, że są daleko od domu. Patrząc na olbrzymie kamienne bożki, Rob bronił się przed nimi odmawianiem Pater Noster, modlitwy, której nauczyli go mnisi w szkole u Świętego Mateusza.

Pewnego wieczora chyba także Mirdin potrzebował jakiejś ochrony przed Buddą, gdyż leżąc na gołej ziemi, otoczony perskim wojskiem, wyjątkowo entuzjastycznie wykładał Robowi Prawo.

Doszli wtedy do 524 przykazania, które brzmiało dość zagadkowo: „Gdy kto popełni grzech, który śmiercią ma być karany, a skazany na śmierć zostanie powieszony, nie zostanie na drzewie trup jego, ale tegoż dnia będzie pogrzebany.”

— Właśnie dlatego nie badamy umarłych, jak to robili pogańscy Grecy — zwrócił uwagę Mirdin. Roba przeszedł dreszcz, poderwał się i usiadł. — Mędrcy i uczeni — ciągnął Mirdin — wywiedli z tego przykazania trzy prawa. — Po pierwsze, jeśli z czią mamy traktować ciało skazańca, to niewątpliwie równie szybko należy powierzyć ziemi ciało człowieka zacnego, żeby go ustrzec przed taką samą hańbą. Po drugie, każdy, kto przetrzymuje ciało nie pochowane przez noc, łamie Prawo. I po trzecie, ciało musi spocząć w ziemi całe, nie tknięte nożem, bo gdyby pozostał z niego bodaj skrawek, oznaczałoby to, że pochówku jakby w ogóle nie dokonano.

— A więc stąd się wzięła cała bieda! — zauważył ze zdumieniem Rob. — Dlatego, że to przykazanie zabrania zostawiać ciało zbrodniarza bez pochówku, chrześcijanie, muzułmanie i żydzi nie pozwalają medykom badać tego, co chcą leczyć!

— To przykazanie boskie — przypomniał surowo Mirdin.

Rob położył się z powrotem i zapatrzył w mrok. W pobliżu głośno chrapał jakiś piechur, nieco dalej ktoś kaszlnął i splunął. Po raz setny chyba Rob zadał sobie pytanie, co robi wśród

tych ludzi.

— Uważam, że wasz obyczaj nie szanuje umarłych. Pakujecie ich do ziemi w takim pośpiechu, jakbyście nie mogli się doczekać, żeby pozbyć się ich z oczu.

— Prawda, nie cackamy się z trupem. Za to po pogrzebie czcimy pamięć zmarłego w czasie sziry: żałobnicy spędzają w jego domu siedem dni na smutku i modlitwie.

Rob w przypiływie rozżalenia wpadł we wściekłość, jakby się upił mocnym trunkiem.

— W tym nie ma ani krzty sensu. To bezrozumne przykazanie — rzucił wzburzony.

— Nie będziesz gadał, że Bóg jest bez rozumu!

— Nie mówię o Słowie Bożym, tylko o ludzkiej interpretacji Jego Słowa. Więzi ona świat w niewiedzy i ciemnocie od tysięcy lat.

Przez chwilę Mirdin milczał.

— Nikt nie wymaga, żebyś zgadzał się z naszym Prawem — powiedział wreszcie. — Nikomu też nie zależy na twojej wiedzy czy uczciwości. Umówiliśmy się tylko, że będziesz się uczył boskiego Prawa.

— Tak, zgodziłem się uczyć. Ale nie zgadzam się zamykać oczu na głupotę i powstrzymywać się od sądu. Tym razem Mirdin nie odpowiedział.

Dwa dni później przybyli wreszcie nad rzekę Indus. Parę mil dalej na północ znajdował się wygodny bród, ale dowiedzieli się od mahutów, że czasem strzeże go wojsko, kolumna cofnęła się więc trochę na południe, do innego brodu. Okazał się głębszy, w związku z tym Chuff odkomenderował grupę żołnierzy do zbijania tratw. Kto potrafił, przepłynął wraz ze zwierzętami na drugi brzeg, pozostali zaś przeprawili się na tratwach, odpychając się od dna tyczkami. Niektóre słonie przeszły po dnie całe zanurzone z wyjątkiem trąb uniesionych nad wodą, by mogły oddychać, a w miejscach, gdzie rzeka była za głęboka nawet dla nich, przepłynęły jak konie.

Na drugim brzegu sformowali od nowa szyki i ruszyli dalej na północ, w kierunku Mansury, szerokim łukiem omijając strzeżony bród.

Karim wezwał Mirdina i Roba do szacha i przez jakiś czas jechali z władcą na grzbiecie Zu. Rob musiał się szczególnie skupiać, by słuchać tego, co mówi szach, tak odmienny był świat oglądany z grzbietu słonia.

Szpiedzy Ali donieśli mu jeszcze w Isfahanie, że Mansura jest słabo strzeżona. Stary radża, który był wymagającym wodzem, niedawno zmarł, a jego synowie okazali się podobno kiepskimi żołnierzami i niedostatecznie obsadzali garnizony.

— Muszę teraz wysłać zwiadowców, żeby to potwierdzili — mówił szach. — Pojedziecie wy, bo przyszło mi na myśl, że dwóch żydowskich kupców nie wywoła najmniejszych podejrzeń, jeśli podjedzie blisko Mansury.

Rob oparł się pokusie i nie spojrzął na Mirdina.

— Musicie mieć oczy otwarte i wypatrywać paści na słonie w pobliżu miasta. Czasem są to drewniane ramy nabite ostrymi żelaznymi pikami. Zakopują je w płytkich rowach przed wałami miejskimi. To zguba dla słoni, dlatego musimy sprawdzić, czy ich tu nie ma, żeby nie narazić naszych zwierząt.

Rob skinął głową. Z wysokości grzbietu słonia wszystko wydawało się wykonalne.

— Tak jest, wasza wysokość — odpowiedział szachowi.

W oczekiwaniu na powrót zwiadowców najeźdźcy rozbili obóz. Rob i Mirdin zostawili w nim wielbłądy, które były wierzchowcami bojowymi, hodowanymi ze względu na ich szybkość, nie jako zwierzęta juczne, i wyruszyli na osłach.

Był rześki słoneczny poranek. W bujnym gąszczu skrzekliwie nawoływały się ptaki, z drzewa wymyślało im stadko małąp.

— Chętnie bym zrobił sekcję małpy — odezwał się Rob.

Mirdin wciąż był na niego zagniewany, a rola tajnego zwiadowcy jeszcze mniej sprawiała mu przyjemności niż rola żołnierza.

— Po co? — zapytał.

— Ba, żeby odkryć, co się da — odparł Rob. — Tak jak Galen kroił małpy Barbarii, żeby się czegoś nauczyć.

— Myślałem, że chcesz być medykiem.

— Właśnie to znaczy być medykiem.

— Nie. To znaczy być badaczem. Medykiem będę ja, bo postanowiłem do końca swoich dni opiekować się chorymi w Maskacie. To właśnie jest zadanie medyka. Ty się nie możesz zdecydować, czym chcesz być: chirurgiem, badaczem wnętrza ludzkiego ciała, medykiem czy... akuszerem! Chciałbyś robić wszystko!

Rob uśmiechnął się do przyjaciela, nic już nie mówiąc. Niewiele miał na swoją obronę, a zarzuty Mirdina w dużej mierze były słuszne.

Jechali jakiś czas w milczeniu. Dwa razy natknęli się na Hindusów: raz był to wieśniak stojący po kostki w błocie przydrożnego rowu nawadniającego, za drugim razem dwaj mężczyźni taszczący drogą zawieszony na drągu kosz pełen żółtych śliwek, a dwaj pozdrowili ich w języku, którego ani Rob, ani Mirdin nie rozumieli, toteż mogli odpowiedzieć tylko uśmiechem. Rob miał nadzieję, że ludzie ci nie trafią do obozu, teraz bowiem każdy, kto by się natknął na najeźdźców, natychmiast zostałby wzięty do niewoli lub zabity.

Wkrótce potem wyszło na nich zza zakrętu drogi kilku ludzi prowadzących osły i Mirdin po raz pierwszy szeroko uśmiechnął się do Roba, gdyż ci podróżni mieli na głowach takie same jak oni przyprószone pyłem skórzane kapelusze i czarne kaftany noszące ślady uciążliwej podróży.

— Szalom! — zawołał Rob, gdy się zbliżyli.

— Szalom alejchem! Co za spotkanie!

W imieniu wędrowców mówił ich przywódca nazwiskiem Hillel Naftali, kupiec korzenny z Ahwazu, prostoduszny uśmiechnięty człowiek z jaskrawym truskawkowym znamieniem na całym policzku pod lewym okiem. Rob z Mirdinem odnieśli wrażenie, że chętnie przez cały dzień by przedstawiał swoich towarzyszy i wyliczał ich parantele. Jednym z nich był jego brat Ari, drugim syn, a pozostali trzech zięciami. Naftali nie znał ojca Mirdina, lecz słyszał o zajmującej się skupowaniem pereł rodzinie Askarich z Maskatu, wyliczanie znajomych trwało więc bez końca, póki nie doszli do dalekiego kuzyna Naftalego, którego Mirdin znał, co upewniło obu, że nie są sobie całkiem obcy.

— Jedziecie z północy? — zapytał Mirdin.

— Byliśmy w Multanie. To niedaleko stąd — odpowiedział Naftali z zadowoleniem świadczącym o sporej wartości zawartych tam transakcji. — A dokąd wy jedziecie?

— Do Mansury. Handlujemy wszystkim po trosze — rzekł Rob, tamci zaś z szacunkiem pokiwali głowami. — Znacie Mansurę?

— Bardzo dobrze. Właśnie tam spędziliśmy ostatnią noc. U Ezry ben Husika, który handluje ziarnistym pieprzem. Wielce czcigodny człowiek, zawsze można liczyć na jego wspaniałą gościnność.

— To pewnie widzieliście tamtejszy garnizon? — zapytał Rob.

— Garnizon? — powtórzył zdumiony Naftali, szeroko otwierając oczy.

— Ilu żołnierzy strzeże Mansury? — spytał spokojnie Mirdin.

Zrozumieli wreszcie i Naftali aż się cofnął przerażony.

— W takie sprawy się nie mieszamy — powiedział cicho, prawie szeptem.

Zaczęli zawracać, jeszcze chwila, a byliby odjechali. Rob zrozumiał, że czas okazać lojalność.

— Nie ujedziecie tędy daleko, to grozi śmiercią. I nie zawracajcie do Mansury.

Wpatrzyli się w niego pobladli.

— Więc dokąd mamy się udać? — zapytał Naftali.

— Zjedźcie z drogi i ukryjcie się w lesie. Siedźcie tam, ile będzie trzeba... póki nie usłyszycie, że przeszła duża grupa ludzi. Jak przejdą, wróćcie na drogę i jak najszybciej ruszajcie do Ahwazu.

— Wdzięczniśmy wam za ostrzeżenie — podziękował przygnębiony Naftali.

— Czy możemy bezpiecznie dojechać do Mansury?—zapytał jeszcze Mirdin.

Kupiec twierdząco skinął głową.

— Tak, wszyscy przywykli do widoku żydowskich kupców.

Robowi to jednak nie wystarczyło. Przypomniał sobie mowę rąk, której go nauczył Loeb w drodze do Isfahanu, owe tajemne znaki pomagające żydowskim kupcom na Wschodzie załatwiać interesy bez słów. Wyciągnął rękę i wykręcił dłoń pytając w ten sposób: „Ilu?”

Naftali znowu zdumiony szeroko otworzył oczy. Wreszcie dotknął prawą dłonią lewego łokcia wykonując ruch oznaczający setki i rozpostarł pięć palców, potem chowając kciuk lewej dłoni rozpostarł pozostałe palce i przyłożył je do prawego łokcia.

— Dziewięciuset żołnierzy? — upewnił się Rob. Naftali kiwnął głową.

— Szalom — powiedział z lekką kpina.

— Pokój z wami — pożegnał go Rob.

Wyszedszy z lasu, ujrzeli Mansurę. Osiedle leżało w niewielkiej kotlinie u stóp skalistego zbocza. Z góry widać było garnizon: baraki, place musztry, zagrody dla koni i zagrodę dla słońi. Zwiadowcy perskiego szacha uważnie przyjrzeni się ich rozmieszczeniu i wbili je sobie w pamięć.

Zarówno osadę, jak i garnizon otaczała pojedyncza szczelna palisada. Bale, z których była zbudowana, zaostrzono na końcach, aby utrudnić przedostanie się górą. Kiedy się do niej zbliżyli, Rob dźgnął końcem kija swojego osła. Zwierzę poderwało się do biegu, on zaś wśród krzyków i śmiechu dzieciarni pognął za nim wokół ogrodzenia, podczas gdy Mirdin zajechał z drugiej strony, by wyglądało na to, że chce odciąć osła drogę.

Nigdzie nie trafili na ślad pułapek na słońie.

Nie zwlekając zawrócili na zachód. Droga do obozu nie zabrała im wiele czasu. Hasłem tego dnia było słowo mahdi, zbawca. Okrzyknęli się trzem liniami straży i zaraz Chuff poprowadził ich przed oblicze szacha.

Ala skrzywił się usłyszawszy o dziewięciuset żołnierzach, gdyż dotąd szpiedzy go przekonywali, że Mansura dysponuje o wiele słabszą obroną. Nie stracił jednak bojowego ducha.

— Jeżeli zdołamy ich zaskoczyć, zyskamy przewagę — oświadczył pewnym głosem.

Rob i Mirdin narysowali patykami na ziemi szczegóły umocnień i rozmieszczenie zagród dla słońi. Szach uważnie wysłuchał ich relacji, po czym przystąpił do układania planu ataku.

Żołnierze tymczasem przeglądali ekwipunek, nacierali oliwą uprząż i ostrzyli miecze, aby były jak brzytwa. Słońie natomiast napojono winem.

— Nie dostały dużo. Tyle, żeby się rozjuszyły i były chętne do walki — wyjaśnił Harsza Robowi, który ze zdumieniem pokręcił głową. — Dajemy im wino tylko przed bitwą.

Zwierzęta jakby rozumiały. Dreptały niespokojnie i mahutowie musieli bardzo uważać przy rozpakowywaniu ich zbroi, które następnie założono im i umocowano. Na słońiowe kły nasadzono specjalne długie i ciężkie miecze z wydrążeniami w miejscu rękojeści. Broń owa

przydała jeszcze groźniejszego wyglądu tym stworom będącym wcieleniem zwierzęcej siły.

Kiedy szach zarządził wymarsz, wszyscy nerwowo się poderwali.

Ruszyli dalej Korzennym Szlakiem posuwając się bardzo wolno, ponieważ najważniejsze było zgranie ich działań w czasie, a władca chciał przybyć do Mansury z końcem dnia. W drodze nikt się nie odzywał. Nie spotkali nikogo prócz paru nieszczęśników, których bez zwłoki schwytano, związano i oddano pod straż piechurów, by nie podnieśli alarmu. Rob mijając miejsce, gdzie rozstali się z Żydami z Ahwazu, pomyślał, że ukryli się pewnie w pobliżu i nasłuchują teraz odgłosu kopyt, tupotu ludzkich stóp i cichego pobrzękiwania zbroi na słońiach.

Wyszli z lasu, gdy zmierzch zaczynał ogarniać świat. Pod osłoną półmroku perskie wojsko ustawiło się w szyku na szczycie wzgórza. Za każdym słońiem, na którym plecami do siebie siedziało czterech łuczników, stanęli uzbrojeni w miecze jeźdźcy na koniach i wielbłądach, a za nimi piechurzy z włóczniami i bułatami.

Na dany znak dwa słońie bez zbroi, niosące na grzbietach tylko mahutów, ruszyły w kierunku Mansury. Wszyscy patrzyli ze wzgórza, jak w łagodnym szarym zmierzchu kroczą powoli do miasta. Przed nimi migotały płomienie kuchennych ognisk, nad którymi indyjskie kobiety przygotowywały wieczorny posiłek.

Szach uniósł w górę dłoń, gdy słońie znalazły się przy ostrokole i wparły się łbami w pale, natarły na ogrodzenie. Rozległ się trzask i łoskot, palisada zachwiała się i runęła.

Szach opuścił dłoń.

Ochoczo ruszyły w dół słońie, za nimi skoczyły galopem konie i wielbłądy. W osadzie podniosły się pierwsze słabe krzyki.

Rob dobył miecza, by zachęcić nim Sukę do biegu, lecz wielbłądźcy nie trzeba było popędzać. Najpierw słyhać było tylko szybki łomot kopyt i szczęk zbroi, potem z sześciuset gardeł wydarł się krzyk bojowy, któremu zawtórowały zwierzęta: wielbłądy stęknęły, przerażająco zatrały słońie.

Rob ze zjezonym włosem zawył jak zwierzę, gdy wojsko szacha Ali runęło na Mansurę.

## Hinduski kowal

Roba porwał pęd wydarzeń, które układały mu się przed oczami w migające obrazy. Rozpędzona wielbłądzica przedarła się przez szczątki palisady. Kiedy gnał przez osadę, lęk na twarzach rozpieczęchających się w popłochu ludzi dawał mu dziwne przekonanie, że jego nic nie może zranić; ogarnęło go poczucie własnej siły i jednocześnie wstydu jak ten, który przeżył dawno temu w Anglii drażniąc starego Żyda.

Gdy dotarł do garnizonu, wrzała już tam zacięta walka. Hindusi walczyli pieszo, ale ponieważ znali słonie, wiedzieli, jak się przed nimi bronić: uzbrojeni w długie włócznie, usiłowali wykluć im ślepią. Poradzili sobie w ten sposób z jednym z nie uzbrojonych słoni, które obaliły palisadę. Jego mahut pewno zginął, nigdzie bowiem nie było go widać, a zwierzę straciło oboje oczu i stało drżące, żałośnie trąbiąc.

Naraz Rob ujrzał przed sobą wykrzywioną brunatną twarz i wymierzoną w siebie broń. Odruchowo ciął mieczem — ostrze weszło w gardło Hindusa. Napastnik padł, a Rob odwrócił się do nacierających z drugiej strony i jął rąbać na oślep.

Niektórzy Hindusi, uzbrojeni w topory i bułaty, usiłowali odpierać słonie tnąc je po trąbach i grubych jak pnie nogach, była to jednak nierówna walka. Słonie z szeroko jak żagle rozpostartymi uszami, z trąbami zwiniętymi za morderczo uzbrojonymi kłami, nacierały niczym taranujące okręty, raz po raz uderzając na padających licznie Hindusów. Olbrzymie zwierzęta unosiły wysoko nogi niby w jakimś dzikim tańcu i opuszczały je z siłą, od której drżała ziemia. Kto dostał się pod ich kopyta, miażdżony był jak winogrono. Wszędzie wokoło szalała bitwa, rozbrzmiewały przerażające krzyki, dyszenie, trąbienie słoni, przekleństwa, wołania i jęki konających.

W pobliżu Zu, największego ze słoni, okrytego w dodatku królewskim rzędem, skupiło się więcej napastników niż gdzie indziej. Rob dojrzał Chuffa, który straciwszy konia, walczył pieszo w pobliżu szacha, wywijając ciężkim mieczem nad głową wśród groźnych zaklęć i przekleństw. Dosiadający słonia władca szyl strzałami z łuku.

Bitwa wrzała w najlepsze, żołnierze z furją robili bronią. Wszyscy zapamiętali się w walce, nic prócz niej nie istniało.

Pchnąwszy wielbłądzicę za Hindusem, który włócznią odparował jego cios i uciekał, Rob natknął się na spieszonego Mirdina z mieczem u boku, jakby go w ogóle nie dobywał. Trzymał pod ramiona rannego i na nic nie zważając usiłował go wynieść z pola bitwy.

Ten widok otrzeźwił Roba jak kubeł zimnej wody. Przymknął oczy, ściągnął wodze wielbłądzicy i zsunął się z niej, zanim zdążyła przykłęknąć. Podszedł do Mirdina i dźwignął razem z nim rannego, który już szarzał na twarzy od rany w szyi.

Od tej chwili zapomniał o zabijaniu. Całkowicie pochłonęła go praca medyka.

Układali rannych w jakiejś chacie, znosząc ich po jednym w czasie bitwy, lecz w żaden sposób nie mogli im pomóc, gdyż wszystkie ich starannie dobrane środki zostały na grzbietach kilku osłów rozproszonych nie wiadomo gdzie. Nie mieli więc ani opium, ani oliwy, ani tobołków z czystym płótnem, a jeśli potrzebowali go do zatamowania krwi, wykorzystywali odzienie poległych.

Bardzo szybko walka przemieniła się w rzeź. Hindusi zostali zaskoczeni, toteż zaledwie połowa ich zdołała dopaść broni, reszta zaś broniła się kijami i kamieniami. Mnóstwo ich wyginęło, lecz walczyli rozpaczliwie świadomi, że gdyby się poddali, czekałaby ich haniebna egzekucja albo niewola i los eunuchów w Persji.



Już dawno zmrok zapadł, a krwawe żniwa wciąż trwały. Rob z mieczem w jednej, a pochodnią w drugiej ręce udał się do pobliskiej chaty. Zastał w niej niewysokiego szczupłego mężczyznę, jego żonę i dwoje małych dzieci. Cztery ciemne twarze zwróciły się ku niemu ze wzrokiem utkwionym w mieczu.

— Uciekajcie, zanim was kto zobaczy — rzekł do mężczyzny. — Póki jeszcze czas.

Nie rozumieli po persku i mężczyzna powiedział coś w ich dziwnym języku.

Rob podszedł do drzwi, wskazał na ciemniejący w oddali masyw lasu, po czym odwrócił się i zaczął ich ponaglać gestami. Hindus skinął głową na znak, że zrozumiał. Wyglądał na przerażonego, w lesie bowiem mogły być dzikie zwierzęta, mimo to wraz z rodziną w jednej chwili zniknął za drzwiami.

W tej chacie Rob znalazł lampy, w innych oliwę i płótno i przyniósł to wszystko do rannych.

Późną nocą, gdy ustały ostatnie potyczki, a Persowie dobili wszystkich rannych nieprzyjaciół, zaczęła się grabież i gwałty. Rob z Mirdinem i garstką żołnierzy przy świetle pochodni przepatrzyli całe pole bitwy. Nie zbierali zabitych ani konających, szukając tylko tych, których można było jeszcze uratować. Wtedy też Mirdin odnalazł obydwa bezcenne juczne osły i przy świetle lamp medycy zabrali się do zalewania ran wrzącą oliwą, zszywania i opatrywania. Dokonali amputacji czterech kończyn zbyt pooharatanych, aby je ratować, lecz jeden z rannych i tak zmarł. Na tej pracy zeszała im cała straszna noc.

Mieli trzydziestu jeden pacjentów, a kiedy brzask oświetlił miasto budzące swym widokiem grozę, znaleźli jeszcze siedmiu rannych.

Po pierwszej modlitwie Chuff przybył z rozkazem, by medycy w pierwszej kolejności opatrzyli pięć słoni. Trzy z nich miały rany cięte nóg, jednemu strzała przeszła ucho, a piąty utracił trąbę — na polecenie Roba tego słonia oraz oślepionego żołnierze dobili.

Po rannym posiłku złożonym z pilawu mahutowie weszli do zagród słoni w Mansurze i zabrali się do segregowania zwierząt, przemawiając do nich łagodnie i zmuszając je, by się przesuwały z miejsca na miejsce, za pomocą zakrzywionych ościeni zwanych ankusami, którymi chwyтали słonie za uszy.

— Tedy, ojczcie — mówili do zwierząt.

— Rusz się, córko. Spokojnie, synu! Pokażcie, co potraficie, moje dzieci!

— Ukłęknij, matko, daj mi wsiąść na swój piękny łeb!

Tym sposobem mahuci oddzielili zwierzęta przyuczone od tych, które były jeszcze na pół dzikie. Do Isfahanu mogli zabrać tylko spokojne słonie, posłuszne przewodnikom w drodze powrotnej. Dzikie natomiast mieli wypuścić na wolność.

Niebawem do głosów mahutów przyłączył się inny dźwięk — brzęczenie wielkich much, które wyczuły padlinę. Smród wzmagający się w miarę, jak rosła temperatura, wkrótce miał stać się nie do zniesienia. Dziewięćdziesięciu trzech Persów poległo, przeżyło poddając się zaledwie stu trzem Hindusów. Szach zezwolił im służyć żołnierzom jako tragarze, co przyjęli skwapliwie i z ulgą. W ciągu paru lat uda im się może zdobyć zaufanie Persów i uzyskać pozwolenie na służbę w perskim wojsku, a miłszy im był los żołnierza niż eunucha. Zaraz też zabrali się do kopania zbiorowej mogiły dla poległych najeźdźców.

Kiedy Mirdin popatrzył Robowi w oczy, jego wzrok powiedział: Jest gorzej, niż się obawiałem. Rob zgadzał się z tym zdaniem, ale jedno go pocieszało: że wszystko się skończyło i teraz już wróca do domu.

Niestety, zjawił się u nich Karim i rozwiął ich nadzieje. Otóż Chuff zabił hinduskiego oficera, ale przedtem miecz wroga niemal przeciął na dwoje szeroką perską klingę wykonaną z miększej stali. Karim przyniósł ten miecz i pokazał im głęboką szczyrbę. Zdobywczy

hinduski miecz, wykuty z drogocennej, cyzelowanej w ślimacznice stali, nosił teraz szach, który osobiście nadzorował przepytywanie jeńców, póki się nie dowiedział, że broń ta jest dziełem rzemieślnika imieniem Dhan Yangalil z Kauszambi, wsi położonej o trzy dni drogi na północ od Mansury.

— Ala postanowił ruszać do Kauszambi — oświadczył Karim.

Szach umyślił sobie bowiem, że jeśli uda mu się dostać hinduskiego kowala, to zabierze go do Isfahanu, gdzie będzie wyrabiał broń z cyzelowanej stali, która pomoże perskiemu władcy dokonać podboju sąsiednich krain i przywrócić Persji dawną świetność.

Łatwo było to powiedzieć, trudniej wykonać.

Kauszambi było jeszcze jedną niewielką osadą na zachodnim brzegu Indusu, złożoną z kilkudziesięciu rozchwianych drewnianych chat, które zapadały się w ziemię przy czterech piaszczystych ulicach prowadzących do garnizonu. Tym razem także udało im się zaatakować zniecka—podkradli się lasem, który spychał osadę na sam brzeg rzeki. Gdy hinduscy żołnierze ujrzeli napastników, wypadli z garnizonu jak stado spłoszonych małp i zniknęli w gęstwinie.

Zachwycony szach uznał, że to najłatwiejsze ze zwycięstw zawdzięcza tchórzostwu nieprzyjaciela. Nie tracąc czasu, przyłożył jednemu ze schwytanych Hindusów miecz do gardła i kazał się prowadzić do Dhany Yangalila. Płatnerz okazał się zylastym mężczyzną o oczach, które niczemu się nie dziwiły, i siwej brodzie usiłującej osłonić twarz ni to młodą, ni starą. Chętnie zgodził się jechać do Isfahanu i pracować dla szacha, oświadczył jednak, że wolałby śmierć, gdyby nie pozwolono mu zabrać żony, dwóch synów i córki, jak również materiałów potrzebnych do wyrobu cyzelowanej broni, w tym dużego zapasu twardej hinduskiej stali w sztabach. Szach na ten warunek przystał natychmiast.

Zanim jednak zdążyli opuścić tę miejscowość, zwiadowcy przynieśli nader niepokojącą wieść: otóż żołnierze hinduscy bynajmniej nie uciekli, lecz zajęli pozycje w lesie i wzdłuż drogi i czekają na każdego, kto spróbuje wydostać się z Kauszambi.

Szach wiedział, że Hindusi nie mogą ich oblegać bez końca. Podobnie jak w Mansurze żołnierze ci byli słabo uzbrojeni, co więcej, musieli się żywić dzikimi owocami. Oficerowie szacha uświadomili mu wszakże, iż wróg niechybnie pchnął gońców po posiłki, aczkolwiek najbliższe oddziały o liczącej się sile bojowej, o jakich wiadano, znajdowały się w Sehwanie oddalonym o sześć dni drogi.

— Musicie wejść do lasu i oczyścić go z wojska — rozkazał Ala.

Pięciuset Persów podzielono na dziesięć spieszonych oddziałów po pięćdziesięciu żołnierzy w każdym. Weszli w gęste zarośla w pogoni za nieprzyjacielem, jakby polowali na dziką zwierzynę. Kiedy natknęli się na Hindusów, wywiązała się zawzięta, krwawa i długa walka.

Ala rozkazał wynosić z lasu wszystkich poległych, żeby nieprzyjaciel nie mógł ich przeliczyć i oszacować strat perskiego wojska. Zwłoki zabitych układano w szarym kurzu jednej z ulic Kauszambi, aby jeńcy z Mansury pochowali ich w zbiorowych grobach. Pierwszym ciałem, jakie przyniesiono na samym początku leśnej bitwy, było ciało Dowódcy Bram. Chuff zginął od hinduskiej strzały, która trafiła go w plecy. Był żołnierzem karnym, surowym, rzadko pozwalającym sobie na uśmiech, trudnym do zastąpienia. Przez lata stał się legendą—w bliznach na jego ciele zapisana była jak w księdze historia kampanii, które odbył w służbie dwóch szachów.

Przez cały dzień perscy żołnierze przychodzili oglądać zwłoki Chuffa. Jego śmierć obudziła w nich zimny gniew, tym razem więc nie brali jeńców, zabijając każdego, nawet tych, którzy chcieli się poddać. Taka postawa wzmogła tylko zaciętość Hindusów, świadomych, że nie mogą liczyć na łaskę. Okrutna walka nie słabła ani na chwilę, świszczały strzały o szczybatych grotach, rozbrzmiewał wrzask ludzi, zajadle robiących ostrym żelazem.

W ciągu dnia dwakroć zbierano rannych na polanie, a jeden z medyków wychodził pod silną strażą, by udzielić im pierwszej pomocy i zabrać opatrzonych do osady. Bitwa trwała trzy dni. Z trzydziestu ośmiu ranionych w Mansurze jedenastu umarło, nim Persowie opuścili tę miejscowość, dalszych szesnastu wyzionęło ducha w czasie trzydniowego marszu do Kauszambi. Do jedenastu, którzy wyżyli dzięki opiece Mirdina i Roba, doszło teraz trzydziestu sześciu świeżo okaleczonych w leśnej bitwie, poległo zaś następnych czterdziestu siedmiu Persów.

Mirdin dokonał jeszcze jednej amputacji, a Rob trzech, w tym raz pozostało mu tylko zszyć skórę na kikucie ręki równo odciętej poniżej łokcia. Z początku opatrywali rany tak, jak ich nauczył Ibn Sina: grzali oliwę i jak najgorętszą zalewali rany, by zapobiec ropieniu, lecz zabrakło jej rankiem ostatniego dnia. Przypomniawszy sobie, że jako balwierz zalewał zranienia meteglinem, Rob wziął bukłak wina i przed założeniem opatrunku obmywał każdą świeżą ranę.

Ostatnia potyczka w leśnej bitwie rozpętała się trzeciego dnia tuż po świcie. W połowie przedpołudnia odstawiono do Kauszambi nową partię rannych, na noszach przyniesiono także zwłoki owinięte w zdobyczny hinduski koc.

— Macie przynosić tylko rannych — przypomniał surowo Rob.

Tragarze postawili jednak nosze, niepewnie na niego zerkając. I naraz Rob spostrzegł, że spod okrycia wystają buty Mirdina.

— Gdyby to był zwykły żołnierz, położylibyśmy go na ulicy — wyjaśnił jeden z noszowych. — Ale że to hakim, przynosimy go do hakima.

Opowiedzieli, jak wracali już, gdy z zarośli wyskoczył na nich uzbrojony w topór Hindus. Żołnierze dopadli go w jednej chwili, niemniej zdążył wymierzyć cios Mirdinowi.

Rob podziękował im i Persowie odeszli.

Kiedy został sam ze zwłokami, zsunął koc i przekonał się, że to rzeczywiście Mirdin. Twarz miał wykrzywioną, zastygłą w wyrazie zaskoczenia i lekkiego żalu.

Rob zamknął mu delikatnie powieki i podwiązał nieładny podbródek. Poruszał się właściwie bezmyślnie, jak zamroczony. Od czasu do czasu odchodził, by pocieszyć umierających i zająć się rannymi, lecz potem wracał i siadał obok przyjaciela. W pewnej chwili ucałował zimne usta, nie wierzył jednak, żeby Mirdin o tym wiedział. To samo odczuł, gdy spróbował potrzymać go za rękę. Mirdina po prostu już wśród żywych nie było. I Rob miał tylko nadzieję, że przekroczył któryś z tych swoich mostów.

W końcu rzucił się w wir pracy, postanowiwszy przyjaciela zostawić i więcej do niego nie wracać. Przyniesiono między innymi żołnierza z okaleczoną prawą ręką, wykonał zatem ostatnią w tej wyprawie amputację, odejmując dłoń tuż nad stawem nadgarstka. Gdy w południe wrócił do Mirdina, do trupa zleciały się już muchy.

Zdjął koc z ciała — Mirdin miał rozplataną toporem klatkę piersiową. Pochylił się nad ziejącą raną i udało mu się rozszerzyć ją rękami...

Rob stracił poczucie rzeczywistości albo od odoru śmierci wiszącego w namiocie, albo od zapachu rozgrzanej, zmiażdżonej stopami trawy. Jęki rannych, brzęczenie much, dalekie krzyki i odgłosy walki ucichły. Nie pamiętał już, że jego przyjaciel nie żyje, zapomniał o przygniatającym ciężarze bólu.

Po raz pierwszy zajrzał w głąb ludzkiego ciała i dotknął serca.

## Czterej przyjaciele

Obmył Mirdina, obciął mu paznokcie, uczesał go i owinał szalem modlitewnym, z którego, jak chciał obyczaj, odciął połowę frędzli.

Potem odszukał Karima, który zmrużył oczy usłyszawszy o śmierci przyjaciela, jakby go ta wiadomość uderzyła w twarz.

— Nie chcę, żeby leżał w zbiorowym grobie — powiedział Rob. — Rodzina na pewno po niego przyjedzie i zabierze go do Maskatu, żeby spoczął wśród swoich.

Wybrali miejsce u stóp głazu tak wielkiego, że słonie nie zdołałyby go poruszyć, i dokładnie odmierzyli krokami odległość od głazu do skraju pobliskiej drogi. Karim dzięki swoim przywilejom zdobył pergamin, pióro i atrament i po wykopaniu grobu Rob sporządził szczegółowy plan okolicy. Później jeszcze narysuje wyraźną mapę i wyśle ją do Maskatu. Jeśli rodzina nie otrzyma niepodważalnego świadectwa, że Mirdin zginął, Fara zostanie uznana za agunę, porzuconą żonę, i nigdy nie będzie mogła wyjść powtórnie za męż. Takie jest Prawo. Mirdin nauczył go Roba.

— Szach pewno zechce tu przyjść — powiedział do Karima i patrzył potem, jak młody hakim podchodzi do szacha. Ala pił z oficerami, świętując zwycięstwo. Przez chwilę słuchał Karima, po czym odprawił go niecierpliwym gestem.

Rob poczuł przyływ nienawiści, wspomniawszy słowa władcy wypowiedziane ongiś w grocie: „Jesteśmy czwórką przyjaciół.”

Karim po powrocie od szacha zakłopotany oświadczył, że powinni przystąpić do pochówku. Mamrotał urywki jakiejś muzułmańskiej modlitwy, gdy zasypywali grób, Rob natomiast nawet nie próbował się modlić. Mirdin zasługiwał na to, by głosy oplakujących go wzniosły się w haszkawocie, lamencie pogrzebowym, i odmówiły kadiszu. Do odmówienia kadiszu potrzeba było jednak dziesięciu Żydów, on zaś był tylko chrześcijaninem udającym Żyda, stał więc niemy i otepiały, gdy ziemia zamykała się nad przyjacielem.

Tego dnia po południu Persowie nie znaleźli już w lesie Hindusów. Droga z Kauszambi stała otworem.

Szach nowym Dowódcą Bram mianował weterana o twardym spojrzeniu imieniem Farhad, który przystąpił do wydawania rozkazów, rykiem starając się ponaglić przygotowania do wymarszu.

W atmosferze powszechnego tryumfu Ala podsumował swoje straty i zyski z wyprawy: zdobył upragnionego hinduskiego płatnerza; w Mansurze przypadły mu co prawda dwa słonie, w zamian wszakże prowadzili do Isfahanu dwadzieścia osiem nowych. Dodatkowe cztery młode zdrowe słonie mahutowie znaleźli w zagrodzie w Kauszambi. Były to robocze zwierzęta, nie szkolone do walki, mimo to cenne. Hinduskimi końmi, małymi i słabymi, Persowie wzgardzili, w Mansurze jednak w ich ręce wpadło stadko wspaniałych szybkich wielbłądów, w Kauszambi zaś dziesiątki juczyń.

Szach promieniał z zadowolenia — pod tym względem wyprawa sownie się opłaciła.

Z sześciuset ludzi, którzy wyszli z szachem z Isfahanu, stu dwudziestu poległo, a Rob opiekował się czterdziestoma siedmioma rannymi. Wielu doznało poważnych obrażeń i pewnie skonają w czasie podróży, lecz o pozostawieniu ich w splądrowanej osadzie nie mogło być mowy: każdego znalezionej tam Persa czekała niechybna śmierć z ręki przybyłych nowych sił hinduskich.

Rob rozesłał żołnierzy po wszystkich chatach, by pozbierali wszelkie tkaniny i koce,

które kazał mocować na dwóch dragach, sporządzając w ten sposób nosze. W drodze mieli je dźwigać pojmani w niewolę Hindusi.

Uciążliwy forsowny marsz do miejsca, gdzie można się było bez walki przeprowić przez rzekę, zajął im trzy i pół dnia. Zaraz na początku przeprawy nurt porwał dwóch ludzi, którzy utonęli. Mimo płytkiej wody prąd pośrodku Indusu był silny, toteż powyżej brodu mahutowie ustawili szeregiem słonie, by woda rozbijała się o nie jak o żywą zaporę, co pokazało jeszcze jedną możliwość wykorzystania tych zwierząt.

Spośród pacjentów Roba pierwsi pomarli najciężej ranni: z przeszytymi kłatkami piersiowymi lub rozplatanymi brzuchami oraz człowiek z raną szyi. Jednego tylko dnia sześciu wyzionęło ducha. Po dwóch tygodniach marszu kolumna znalazła się w Beludżystanie, gdzie rozbito obóz w polu. Rob umieścił rannych w stodole bez ścian. Spotkawszy Farhada, poprosił o posłuchanie u szacha, lecz Dowódca Bram, przejęty powagą swojej funkcji, zwyczajnie go zbył. Na szczęście usłyszał to Karim, który natychmiast zaprowadził Roba do namiotu szacha.

— Zostało mi dwudziestu dwóch pacjentów, wasza wysokość — rzekł Rob. — Ale muszą jakiś czas poleżeć bez ruchu albo oni też umrą.

— Nie mogę czekać na rannych — odparł władca, spragniony tryumfalnego wjazdu do Isfahanu.

— Proszę, pozwólcie mi zostać z nimi, panie. Szach szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

— Ale Karim z tobą nie zostanie — przestrzegł. — Potrzebuję go i wróci ze mną.

Rob kiwnął głową.

Przydzielono mu piętnastu Hindusów i dwudziestu siedmiu żołnierzy do dźwigania noszy, zostawiono także pięć rannych słoni z dwoma mahutami, aby zwierzęta nadal były pod jego opieką. Karim zaś postarał się, żeby z podopiecznymi Roba podzielono się ryżem. Nazajutrz rano obóz wypełnił się jak zwykle gorączkową krzątaniną, potem kolumna wyszła na szlak i kiedy ostatni Persowie zniknęli, Rob został sam ze swymi pacjentami i garstką żołnierzy. Nagle zabrakło mu hałasu, który zakłócał wprawdzie spokój, ale jednocześnie był miły dla ucha.

Odoczynek dobrze zrobił rannym: mieli osłonę przed słońcem i kurzem, nie musieli też znosić trudów podróży, ciągłego szarpania i kołysania. Dwóch zmarło pierwszego dnia, jeszcze jeden czwartego, ale pozostali byli ludźmi zahartowanymi, silnymi i decyzją Roba, by zatrzymać się w Beludżystanie, pozwoliła im przeżyć.

Z początku żołnierze niechętnie pełnili nowe obowiązki. Ich towarzysze wkrótce mieli się znaleźć w Isfahanie, bezpieczni i radośnie witani jako zwycięzcy, podczas gdy im przypadło znosić dalsze ryzyko i wykonywać brudną robotę. Drugiej nocy dwóch zbrojnych strażników wykradło się z obozu i więcej ich nie widzieli. Bezbronni Hindusi nie próbowali uciekać, nie zrobili też tego pozostali strażnicy. Oni swe życie poświęcili rzemiosłu żołnierskiemu, toteż rozumieli, że następnym razem każdy z nich może doznać szkody z ręki wroga, i wdzięczni byli hakimowi ryzykującemu własne bezpieczeństwo, by nieść pomoc ich towarzyszom.

Rob co rano posyłał grupki żołnierzy na polowanie, z którego przynosili drobną zwierzynę. Oprawiano ją i duszono z ryżem. W takich warunkach ranni z dnia na dzień odzyskiwali siły.

Słonie leczyl tak samo jak ludzi, regularnie zmieniał im opatrunki i przemywał rany winem. Olbrzymie zwierzęta stały spokojnie, nawet kiedy zadawał im ból, jak gdyby rozumiały, że jest ich dobroczyńcą. Równie dzielnie trzymali się ludzie, choć rany im ropiały i Rob musiał przecinać szwy, by otworzyć podgojone ciało, oczyścić je z ropy i przemyć winem przed ponownym zeszyciem.

W tym czasie Rob dokonał dziwnego odkrycia: niemal w każdym przypadku, w którym

zastosował wrzącą oliwę, rany się zaogniały, puchły i wypełniały ropą. Wielu takich pacjentów umierało, podczas gdy większość tych, których opatrzył po wyczerpaniu się oliwy, nie ropiała i przeżyła. Zaczął robić zapiski, przeczuwał bowiem, że dla tego jednego spostrzeżenia jego udział w wyprawie na Indie może się okazać coś wart. Wino już mu się kończyło, lecz nie na darmo wyrabiał niegdyś driakiew „dobrą na wszystko” — nauczył się, że wszędzie, gdzie są wieśniacy, znajdzie się też gąsiorek z mocnym trunkiem. Miał zamiar dokupić alkoholu w drodze.

Gdy wreszcie po upływie trzech tygodni zwinęli obóz, czterech rannych na tyle wydobrzało, że mogli jechać sami. W tej sytuacji dwunastu żołnierzy szło bez obciążenia, toteż niosący nosze mogli się zmieniać i zawsze każdy znajdował chwilę odpoczynku. Rob przy pierwszej okazji sprowadził swoją grupkę z Korzennego Szlaku i ruszył okrężną drogą. Podróż miała przez to potrwać tydzień dłużej, co przygnębiło żołnierzy, Rob nie chciał jednak narażać małej karawany — niebezpiecznie było postępować śladem licznych wojsk szacha przez kraj, w którym nienasytzeni perscy furażerowie zasiali nienawiść i zostawili spustoszone spichrze.

Ponieważ trzy słonie nadal kulały, szły bez obciążenia, za to tego, który otrzymał niegroźne cięcia w trąbę, dosiadał Rob. Rad był, że nie musi jechać na Suce, chętnie by już nigdy nie wsiadł na wielbłąda. Zupełnie inaczej podróżowało się na szerokim grzbiecie słonia — zapewniał wygodę, stabilność i królewski widok na świat.

Wygodą w drodze sprawiała, że mógł rozmyślać do woli. Ani na chwilę nie opuszczała go pamięć o Mirdinie, toteż niewiele dawały mu radości oglądane cuda, mimo że je zauważał

— chmara zrywających się nagle tysiący ptaków, zachód słońca, od którego niebo stanęło w płomieniach, czy też upadek słonia, który postawił nogę na skraju stromego urwiska, a kiedy ziemia się pod nim zarwała, odruchowo przysiadł i jak dziecko zjechał na zadzie po pochyłości.

Jezu, myślał, czy też Szaddaj albo Allahu, czy jak cię tam zwa! Jak mogłeś dopuścić do takiej straty?... Władcy prowadzą poddanych na wojnę, którą przeżywają głównie nędznicy i źli, myślał z goryczą. Tymczasem człowiekowi o cechach świętego i takim rozumie, że zazdrościli mu go mędrcy, Bóg pozwolił zginąć. Mirdin niczego wszak w życiu nie pragnął, tylko leczyć i służyć drugim.

Dotarli do miasta późnym popołudniem. Ukazało się Robowi takie jak wówczas, gdy ujrzał je po raz pierwszy — białe budowle o niebieskich cieniach i dachach odbijających różową poświatę piaszczystych wydm. Skierowali się prosto do maristanu, gdzie osiemnastu rannych przekazał innym pod opiekę.

Potem udali się do Rajskiego Domu. Tam Rob pozbył się odpowiedzialności za zwierzęta, żołnierzy i jeńców. Uczyniwszy to, upomniał się o swego kasztanka. Znajdujący się akurat w pobliżu Farhad, nowy Dowódca Bram, usłyszał to i zabronił stajennemu tracić czas na szukanie jednego konia w tabunie.

— Daj hakimowi innego wierzchowca — rozkazał.

— Chuff mi obiecał, że dostanę z powrotem mojego konia

— upierał się Rob, w duchu sobie powiedziawszy, że nie wszystko przecież musi się zmienić.

— Chuff nie żyje.

— To nie ma nic do rzeczy — odparł, sam zaskoczony nieustępliwością swego tonu i spojrzenia. Wracał z rzezi, od której aż go mdliło, i musiał się jakoś wyładować.—Chcę dostać tego samego konia.

Farhad znał się na ludziach, a w słowach hakima usłyszał wyzwanie. Na burdzie z tym ammim nic nie zyskiwał, wiele zaś mógł stracić, wzruszył więc ramionami i odszedł.

Rob długo jeździł ze stajennym wśród tabunu. Zanim jeszcze wypatrzył wałacha, poczuł wstyd z powodu swego postępowania. Oddzielili konia od innych i osiodłali, a czuwający nad tym z dala Farhad nie ukrywał pogardy dla Żyda, który o tak nędzną szkapę gotów był się bić.

W zapadającym zmierzchu kasztanek ochoczo pogalopował do Jahudii.

Usłyszawszy jakieś hałasy u zwierząt, Mary wzięła miecz ojca i lampę i otworzyła drzwi dzielące dom od stajni.

Wrócił!... Rob wrócił!"

Tylem wprowadzał do boksu rozsiodłanego już kasztanka. Obejrzał się i w słabym świetle Mary zobaczyła, jak wychudł — wyglądał jak tamten szczupły, jeszcze nie całkiem oswojony chłopak, którego poznała w karawanie Kerla Fritty.

Trzema krokami podszedł do niej i przygarnął ją bez słowa, potem dłonią dotknął jej płaskiego brzucha.

— Poszło dobrze?

Zaśmiała się niepewnie. Była jeszcze zmęczona i obolała, ledwie bowiem pięć dni się spóźnił, by nie słyszeć jej oszalałych krzyków.

— Twój syn potrzebował dwóch dni, żeby przyjść na świat.

— Syn!...

Przyłożył wielką dłoń do jej policzka. Pod tym dotknięciem fala ulgi wyzwoliła w Mary dreszcze, tak żeomal nie wylała oliwy z lampy. Płomień zamigotał. Kiedy Roba nie było, Mary zebrała wszystkie siły, opancerzyła się, stała się twarda jak rzemień. Szczytem luksusu było teraz znowu mieć kogoś, komu można ufać, kto jest zdolny ją osłonić. Przemienić z rzemienia w jedwab.

Odłożyła miecz, wzięła go za rękę i wprowadziła do domu, gdzie w wyścielonym koszyku spało dziecko. Nagle Mary oczyma Roba spojrzała na tego małego człowieczka, na małą, okrągłą czerwoną buzię opuchniętą po trudach narodzin, ciemnawy puch na główce. Zirytowała się raptem, bo nie potrafiła po minie męża poznać, czy jest rozczarowany, czy się cieszy. Gdy podniósł wzrok, w jego twarzy z radością mieszała się udręka.

— Jak Fara? — zapytał.

— Karim ją zawiadomił. Obchodziłam razem z nią sziwę. Przez siedem dni. Potem zabrała Dawida i Isachara i przyłączyła się do karawany idącej do Maskatu. Z pomocą Bożą są już wśród krewnych.

— Ciężko ci będzie bez niej.

— Jej jest ciężiej — powiedziała gorzko.

Dziecko cichutko zapłakało. Rob wydobył syna z koszyka i podał mu swój mały palec, który niemowlę skwapliwie chwyciło.

Mary była w uszytej przez Farę luźnej sukni, ściągniętej tasiemką pod szyją. Rozwiązała tasiemkę, obnażyła pełne piersi i wzięła od niego dziecko. Kiedy zaczęła karmić, Rob wyciągnął się na macie przy nich. Przysunął głowę do wolnej piersi i po chwili Mary poczuła wilgoć na jego policzku.

Nigdy nie widziała, by jej ojciec czy jakikolwiek inny mężczyzna płakał. Przeraziły ją konwulsje wstrząsające Robem.

— Mój najdroższy, kochany... — wyszeptwała.

Wolną ręką instynktownie nakierowała jego głowę, póki ustami nie dotknął brodawki. Był delikatniejszym oseskiem niż jego syn, a kiedy ssal ją i przelykał pokarm, czuła wielkie wzruszenie, ale i tkliwe rozbawienie — przynajmniej raz on dostawał coś, co powstało w jej ciele. Przelotnie pomyślała o Farze i z poczuciem winy podziękowała Świętej Dziewicy, że to nie ona straciła męża.

Tych dwoje ust, jedno maleńkie, drugie duże i znajome, napełniło ją łaskoczącym ciepłem. Być może sprawiła to moc Matki Boskiej i Świętych Pańskich, ale przez moment wszyscy troje połączyli się w jedno.

Wreszcie Rob usiadł, a kiedy się pochylił, żeby ją pocałować, poczuła na jego ustach smak własnego pokarmu.

— Nie jestem Rzymianinem — powiedział.



# **Część szósta**

## **Hakim**

## Asystent Pierwszego Medyka

Pierwszego dnia po powrocie do domu Rob obejrzał swojego męskiego potomka przy dziennym świetle i stwierdził, że dziecko jest piękne, ma ciemnoniebieskie oczy Anglika, duże dłonie i stopy. Z czułością policzył maleńkie paluszki u rąk i nóg i nacieszył się trochę krzywymi nóżkami. Niemowlę było silne. Namaszczone przez matkę, pachniało jak tłocznia oliwy. Potem zapachniało mniej pięknie i Rob po raz pierwszy od czasu, gdy opiekował się braćmi i siostrą, zmienił pieluszkę. W głębi ducha wciąż jeszcze marzył, że odnajdzie kiedyś Williama Stewarta, Annę Mary i Jonathana Cartera. Cóż by to była za radość, pokazać bratanka dawno utraconym Cole'om!

Posprzeczała się z Mary o obrzezanie.

— To mu nie zaszkodzi — przekonywał Rob. — Każdego tutaj poddają obrzezaniu, muzułmanina i żyda, a w ten prosty sposób łatwiej zostanie uznany za swojego.

— Wcale nie chcę, żeby go w Persji uznano za swojego — odparła ze znużeniem Mary. — Chcę, żeby go uznano za swojego w kraju, gdzie nikogo się nie przycina ani nie przyszywa, tylko pozwala żyć zgodnie z naturą.

Rob wybuchnął śmiechem, a Mary płaczem, lecz utulił ją zaraz i najprędzej jak mógł wyrwał się z domu, by porozmawiać z Ibn Sina.

Księżę Medyków powitał go serdecznie, dziękując Allahowi za zachowanie go przy życiu i ze smutkiem wspominając Mirdina. Z wielką uwagą wysłuchał sprawozdania Roba o sposobach leczenia i amputacjach przeprowadzonych przy okazji dwóch bitew, szczególnie zainteresowany stwierdzoną przezeń różnicą między skutecznością wrzącej oliwy a zastosowanym do obmywania otwartych ran winem.

Okazało się, że Ibn Sine bardziej obchodzi prawda naukowa niż własna nieomyślność. Mimo że spostrzeżenia jego ucznia sprzeczne były z tym, co sam głosił, nalegał, aby Rob opisał swoje odkrycia.

— Wszystko, co dotyczy zastosowania wina na rany, powinno być tematem twojego pierwszego wykładu jako hakima — oświadczył i Rob zgodził się ze swym mentorem.

Potem stary medyk spojrział na niego i rzekł:

— Chciałbym, żebyś pracował ze mną, Jesse ben Beniaminie. Jako mój asystent.

Rob nawet o tym nie marzył. Chciał powiedzieć Pierwszemu Medykowi, że przybył do Isfahanu — z tak daleka, przez obce kraje, pokonując tyle przeciwności — tylko po to, aby dotknąć rąbka jego szaty.

Ale skinał jedynie głowę.

— Hakimbaszo, ogromnie bym tego pragnął.

Mary tę wiadomość przyjęła ze spokojem. Dość długo przebywała już w Isfahanie, toteż nie przyszło jej nawet do głowy, by mąż mógł odrzucić taki zaszczyt, zapewniający prócz przyzwoitego wynagrodzenia jeszcze wymierny prestiż i szacunek, jakim otaczano każdego, kto był związany z tym człowiekiem, czczonym niby półbóg i kochanym bardziej od władcy.

Rob wziął ją w ramiona ujrzawszy, jak bardzo się cieszy z jego powodzenia.

— Zabiorę cię do domu, Mary, obiecuję. Ale jeszcze nie teraz. Proszę, zaufaj mi.

Tak też zrobiła. Uznała jednak, że skoro mają zostać tu dłużej, to ona musi się zmienić, nagiąć do obyczajów tego kraju. Choć niechętnie, ustąpiła zatem w kwestii obrzezania.

Rob udał się po radę do Netki Akuszerki.

— Chodź — powiedziała i zaprowadziła go dwie ulice dalej, do reba Aszera Jakobiego, mohela.

— A więc chcesz obrzezać syna — rzekł mohel i w zamyśleniu wpatrzył się zmrużonymi oczyma w Netkę, drapiąc się palcami po brodzie. — Ale matka to gojka!...

— To nie musi być berit ze wszystkimi modlitwami—oświadczyła zniecierpliwiona Netka. Podjąwszy się tak poważnej sprawy jak odebranie porodu syna niewiernej, z łatwością teraz weszła w rolę obrończyni. — Jeżeli ojciec prosi dla syna o pieczęć Abrahama, świętym obowiązkiem jest go obrzezać, może nie?

— Tak... — przyznał reb Aszer. — A gdzie twój ojciec? Czy będzie trzymał dziecko? — spytał Roba.

— Mój ojciec nie żyje. Reb Aszer westchnął.

— A inni członkowie rodziny będą obecni?

— Tylko moja żona. Nie mam tu innej rodziny. Dziecko będę trzymał sam.

— To uroczysta chwila — łagodnym głosem odezwała się Netka. — Jeśli się zgodzisz, przyjdą moi synowie, Szemuel i Chofni, i paru sąsiadów...

Rob kiwnął głową, że się zgadza.

— Zajmę się wszystkim — obiecała Netka.

Nazajutrz w domu Jessego ben Beniamina pierwsza zjawiała się Netka i jej dwaj krzepcy synowie, kamieniarze, potem przyszła Hinda, swarliwa straganiarka z żydowskiego targu, z synem, Wysokim Isakiem, siwowłosym uczonym o nieprzytomnych oczach. Hinda wciąż jeszcze odnosiła się do Mary z rezerwą, mimo to przyniosła podarek—powijaki dla dziecka. Jakub Szewc i jego żona Naomi ofiarowali im pękata flaszkę wina. Na uroczystość przybył też Micah Halew, piekarz, a jego żona Judyta przyniosła dwie słodkie chałki.

Trzymając dziecko na wznak na kolanach, Rob przeżył chwilę niepewności, gdy reb Aszer ścinał napletek z maleńkiego członka, mówiąc:

— Niechaj wejdzie do królestwa Tory, małżeństwa i dobrych uczynków...

Dziecko zapłakało, a sąsiedzi unieśli pucharki z winem i wygłosili toasty. Rob nadał synowi żydowskie imię: Mirdin ben Jesse.

Dla Mary każda chwila tej uroczystości była trudna do zniesienia. Godzinę później, kiedy wszyscy się pożegnali, a ona i Rob zostali z dzieckiem sami, zamoczyła palce w kleiku i lekko dotknęła czoła, brody, a potem jednego i drugiego ucha syna.

— Robercie Jamesie Cole, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego — powiedziała wyraźnie, nadając mu imiona ojca i dziadka.

Odtąd gdy byli sami, nazywała męża Robem, a syna wołała Rob J.

„Do Wielce Szanownego Reba Mulki Askariego, kupca perłowego z Maskatu:

Bądźcie pozdrowieni! Niezjący wasz syn Mirdin był moim przyjacielem. Niechaj spoczywa w pokoju.

Służyliśmy obaj jako medycy w Indiach, skąd przywiozłem te parę rzeczy, które teraz przesyłam wam za uprzejmym pośrednictwem reba Moszego ben Zawila, kupca z Gomy. Jego karawana wyrusza dziś do waszego miasta z oliwą w wykazie towarów.

Reb Mosze odda wam pergamin z dokładną mapą wskazującą miejsce pochówku Mirdina w osadzie Kauszambi, by jego kości mogły pewnego dnia zostać przeniesione, jeśli taka będzie wasza wola. Przesyłam także tefilin, którymi co rano owijał swą rękę i które, jak wiem od niego, były waszym podarunkiem, gdy wstąpił do minjanu osiągnąwszy cztertnasty rok życia. Poza tym wysyłam figury i tablicę do gry szacha, nad którą spędziliśmy z Mirdinem niejedną szczęśliwą godzinę. Nie miał z sobą w Indiach nic więcej. Został oczywiście pochowany w tałesie.

Proszę Boga, aby zesłał na nas światło zrozumienia w waszej i naszej żałobie. Z odejściem Mirdina zgasło ono w moim życiu. Był najwspanialszym człowiekiem z tych,

których cenilem. Wiem, że Mirdin przebywa u Haszem, i mam nadzieję zasłużyć na to, by pewnego dnia się z nim spotkać.

Raczie przekazać ode mnie wyrazy przyjaźni i szacunku wdowie po nim i jego dzielnym synkom oraz powiadomić ich, że moja żona powiła zdrowego syna, Mirdina ben Jessego, i śle im serdeczne życzenia pomyślności.

Jiworechach Adonaj wejiszmorecha, niech Bóg was błogosławi i zachowa.

Hakim Jesse ben Beniamin."

Od lat asystentem Ibn Siny był al-Dżuzdżani. On również został wielkim chirurgiem i spośród wszystkich asystentów mistrza, którym też się powiodło, osiągnął największą sławę. Hakimbasha wymagał od swych asystentów ciężkiej pracy, stanowisko to było zatem jakby dalszym ciągiem studiów, stwarzało okazję do kontynuowania nauki. Od samego początku obowiązki Roba nie ograniczały się jedynie do towarzyszenia Ibn Sinie i podawania mu narzędzi, jak bywało u innych, mniej wymagających, sławnych medyków: Ibn Sina co prawda żądał, aby w trudniejszych przypadkach zasięgnięto jego rady, ale młody hakim cieszył się zaufaniem mistrza i miał pracować samodzielnie.

Był to dla Roba szczęśliwy okres. W madrasie wygłosił wykład o obmywaniu winem otwartych ran. Przybyło niewiele osób, ponieważ tego ranka bawiący z krótką wizytą medyk z Reju miał wykład o miłości fizycznej. Hakimowie zawsze tłumnie uczęszczali na wykłady dotyczące życia seksualnego, co dziwiło Roba, gdyż w Europie kunsztem miłości nie zajmowali się medycy. On także jednak bywał na wielu takich wykładach i czy to dzięki nauce z nich wyniesionej, czy też wbrew niej jego małżeństwo było udane.

Mary szybko przyszła do siebie po porodzie. Posłuchali wskazań Ibn Siny, który zalecał mężowi i żonie przez sześć tygodni po porodzie wstrzeźliwość i radził delikatnie nacierać oliwą i mieszkanką miodu z kleikiem jęczmiennym zewnętrzne narządy płciowe matki. Kuracja ta zdziałała cuda. Wprawdzie sześć tygodni czekania obojgu wydawało się wiecznością, ale kiedy minęły, Mary odpowiedziała na pieszczoty Roba z takim samym jak przedtem zapalem.

Kilka tygodni później zaczęła tracić pokarm. Zaskoczyło ich to, gdyż do tej pory miała go wiele, mówiła, że ma w sobie rzekę mleka i mogłaby wyżywić cały świat. Kiedy karmiła dziecko, bolesny ucisk w piersiach ustępował, ale zbyt szybko ustąpił całkowicie i teraz cierpiała słysząc słabutki płacz głodnego synka. Zrozumieli, że muszą się rozejrzeć za mamką, Rob porozmawiał więc z akuszerkami i za ich pośrednictwem znalazł zdrową nieładną Ormiankę imieniem Priska, która miała pokarmu aż za wiele i dla swojej nowo narodzonej córeczki, i dla synka hakima. Mary cztery razy w ciągu dnia zносиła dziecko do warsztatu rymarskiego męża Priski, Dikrana, i czekała, aż mały Rob się naje. Na noc Priska przychodziła do ich domku w Jahudii i spała w drugiej izbie z obojgiem dzieci, a Mary i Rob kochali się, starając się to robić dyskretnie, potem zaś zapadali w niczym nie zakłócany sen.

Mary czuła się zaspokojona i promieniała szczęściem. Cała rozkwitła dzięki odzyskanej pewności siebie. Chwilami Rob owi się wydawało, że uważa za wyłącznie swoje dzieło tę małą krzykliwą istotkę, którą spłodzili razem, lecz tym bardziej ją kochał.

W pierwszym tygodniu miesiąca szaban karawana reba Moszego ben Zawila zmierzająca do Gomy znowu znalazła się w Isfahanie. Kupiec przywiózł dary od reba Mulki Askariego i jego synowej Fary. Fara przysłała małemu Mirdinowi ben Jessemu sześć płóciennych koszulek, uszytych z miłością i staraniem, a jej teść ofiarował Robowi grę szacha należącą kiedyś do jego zmarłego syna.

Wtedy ostatni raz Mary zapłakała za Farą. Kiedy otarła oczy, Rob ustawił figury na tablicy i nauczył ją tej gry. Często potem grywali. Nie spodziewał się wiele, była to bowiem gra wojowników, nie dla kobiet, Mary jednak szybko pojęła zasady i zbijała jego figury wydając dzikie okrzyki, jakich by się nie powstydział seldzucki rabuś. Wkrótce nabrała

znacznej wprawy w posługiwaniu się królewskim wojskiem, co wprawdzie wydawało się niezbyt naturalne u kobiety, dla Roba wszakże nie było wielkim zaskoczeniem, gdyż dawno już stwierdził, że Mary Cullen jest istotą nadzwyczajną.

Ramazan, miesiąc postu, zaskoczył Karima nie przygotowanego, tak pogrążonego w grzechu, że czystość i wyznanie grzechów nierozdzielnie związane z postem wydały mu się nieosiągalne, a sama myśl o nich bolesna. Nawet modlitwy i umartwienia nie były w stanie wygnać z jego myśli Despiny i nie słabnącego pożądanego. Przeciwnie, ponieważ teraz Ibn Sina spędzał kilka wieczorów w tygodniu w meczetach i na wieczerzach z mułłami i badaczami Koranu, ramazan stał się dla kochanków okresem bezpiecznych spotkań. Widywali się zatem nie rzadziej niż zawsze.

W czasie ramazanu szach także zajęty był pobożnymi zebraniem i innymi związanymi z tym okresem obowiązkami, toteż Karimowi zdarzyło się po raz pierwszy od wielu miesięcy znowu zejść do maristanu. Na szczęście wypadło to tego dnia, kiedy Ibn Sina nie było w szpitalu, poszedł bowiem odwiedzić jednego z dworzan złożonego gorączką. Karimowi nie było obce poczucie winy: Ibn Sina zawsze traktował go dobrze i sprawiedliwie, niechętnie więc przebywał w towarzystwie męża Despiny.

Wizyta w szpitalu okazała się okrutnym rozczarowaniem. Studenci medycyny szli za nim przez sale jak zwykle — może nawet liczniej niż niegdyś, urosła bowiem wokół niego legenda — ale nie znał żadnego z chorych. Wszyscy, których kiedyś leczył, albo pomarli, albo dawno wyzdrowieli. I tak jak ongiś przechodził przez te sale z pewnością wynikającą z wiedzy, tak teraz stwierdził, że się waha, zadaje nerwowe pytania, niepewny, na co ma zwrócić uwagę u chorych, którymi zajmował się kto inny.

Udało mu się skończyć obchód nie zrobiwszy z siebie błazna, lecz miał przykrą świadomość, że jeśli nie znajdzie czasu na poważną praktykę, wkrótce straci umiejętności z takim trudem zdobywane przez długie lata. Tymczasem nie miał wyboru — szach go zapewniał, że obu ich czeka wspólna przyszłość, wobec której medycyna przestanie się liczyć.

W tym roku nie brał udziału w chatirze. Nie ćwiczył i ważył zbyt wiele jak na biegacza, obserwował więc wyścig razem z szachem.

Pierwszy dzień święta Bairam wstał jeszcze gorętszy od tego, kiedy on zwyciężył, toteż zawodnicy pokonywali trasę bardzo wolno. Król ponowił obietnicę chylatu dla każdego, kto zdoła powtórzyć wyczyn Karima i ukończyć wszystkie dwanaście okrążeń przed ostatnią modlitwą, lecz tego dnia jasne było, że nikt stu dwudziestu sześciu mil nie przebiegnie.

Bieg stał się wyścigiem gdzieś w piątym okrążeniu i ograniczył się do walki między Karatem z Hamadanu a młodym żołnierzem nazwiskiem Nafis Dżurdżis. Obaj poprzedniego roku wzięli za szybkie tempo, tak że zakończyli bieg omdleniem. Teraz z kolei, chcąc tego uniknąć, pobiegli za wolno.

Karim okrzykami dodawał odwagi Nafisowi, robiąc to zdaniem szacha dlatego, że Nafis przeżył wraz z nimi wyprawę do Indii. Naprawdę jednak, choć Karimowi podobał się młody żołnierz, popierał go, ponieważ nie chciał, aby zwyciężył Harat, którego jako dziecko znał w Hamadanie, a gdy po latach ponownie się spotkali, wciąż jeszcze czuł jego pogardę dla chłopaczka Zakiego Omara.

Nafis wszakże opadł z sił po wyjęciu ósmej strzały i odtąd w biegu został już tylko Harat. Było późne popołudnie, upał stał się nieznośny. Harat roztropnie dał znak, że poprzestanie na zwycięstwie, jakie mu zapewniało dokończenie tego okrążenia.

Karim wraz z szachem spory kawałek wyprzedzili biegacza, aby go przywitać na linii kończącej bieg — Ala na dzikim siwym rumaku, młody hakim na podrzucającym łbem arabie. Karimowi nastrój poprawił się na trasie, widzowie bowiem wyraźnie mieli świadomość, że wiele upłynie czasu, zanim ktoś jemu dorówna w chatirze, jeżeli w ogóle

człowiek taki się znajdzie. Sławili go za to wśród okrzyków radości, witając w nim też bohatera spod Mansury i Kauszambi. Szach promieniał, Karim zaś, mający wkrótce zostać wezyrem Persji, mógł sobie pozwolić na łaskawe spojrzenie na ubogiego Karata, który uprawiał tylko kawałek nędznej ziemi.

Gdy mijali madrasę, na dachu szpitala zobaczył eunucha Wasifa, a obok niego Despinę w kwefie. Na jej widok drgnęło w nim serce i uśmiechnął się. O ileż lepiej czuł się przejeżdżając przed nią na bezcennym koniu, w szatach z jedwabiu i płótna, niż biegnąc na omdlałych nogach, śmierdzący potem, na poły oślepy ze zmęczenia!

W pobliżu Despiny jakaś kobieta bez kwefu, zniecierpliwiona upałem, zdjęła czarną chustę i jakby naśladując konia Karima, potrząsnęła głową. Jej długie włosy rozsypały się i rozwiały na wietrze. Słońce załśniło w nich wspaniale, zapalając wszystkie odcienie złota i czerwieni.

— To żona ziniiniego? Ta Europejka, tak?—zapytał jadący obok szach.

— Tak, wasza wysokość. Kobieta naszego przyjaciela, Jessego ben Beniamina.

— Tak też myślałem, że to pewno ona — powiedział Ala.

Król przyglądał się kobiecie bez nakrycia głowy, póki jej nie minęli. O nic już nie pytał i wkrótce Karimowi udało się zająć go rozmową o hinduskim kowalu Dbanie Yangelilu i mieczach, które wyrabiał dla szacha w nowej kuźni za stajniami Rajskiego Domu.

Propozycja

Rob nadal zaczynał każdy dzień w synagodze Domu Pokoju. Robił to po części dlatego, że osobliwe połączenie śpiewnych żydowskich modłów z cichą chrześcijańską modlitwą stało się dla niego czymś miłym i krzepiącym, głównym wszakże powodem odwiedzania świątyni było to, że w ten właśnie sposób spłacał dług, jaki zaciągnął u Mirdina. Nie potrafił jednak przestać progą Domu Syjonu, synagogi Mirdina.

W Domu Pokoju uczeni wprawdzie co dzień zasiadali do dysput nad prawem i prostą byłoby rzeczą poprosić jednego z nich o wyłożenie osiemdziesięciu dziewięciu nakazów, których jeszcze nie zgłębił, lecz nie miał serca dokończyć nauki bez Mirdina. Mówił sobie, że fałszywemu żydowi tak samo wystarczą pięćset dwadzieścia cztery nakazy jak sześćset trzystaście, i uciekał myślą do innych spraw.

Nie było tematu, o jakim by jego mistrz nie pisał. Jako student Rob miał okazję przeczytać wiele jego rozpraw medycznych, ale teraz poznawał inne dzieła Ibn Siny i jeszcze bardziej go podziwiał. Ibn Sina pisał o muzyce, poezji i astronomii, o metafizyce i myśli Wschodu, o filozofii i intelekcie czynnym, był też autorem komentarzy do wszystkich pism Arystotelesa. Uwięziony w twierdzy Fardadżan, napisał księgę zatytułowaną „Przewodnik”, sumującą wszystkie rodzaje filozofii. Istniał nawet jego podręcznik wojskowości, „Dowodzenie i zaopatrzenie żołnierzy, oddziałów niewolniczych i armii”, który przydałby się Robowi przed wyprawą do Indii w roli polowego medyka. Pisał o matematyce, duszy ludzkiej i istocie smutku. I wciąż od nowa pisał o religii muzułmańskiej, którą odziedziczył po ojcu i pomimo wiedzy będącej treścią jego życia, był w stanie przyjmować bezkrytycznie.

Dlatego właśnie ludzie go kochali. Widzieli bowiem, że chociaż posiada luksusową posiadłość i inne owoce królewskiego chylatu, chociaż sławni mędrcy i uczeni przybywają z całego świata, by zgłębiać jego myśli, chociaż królowie ubiegają się o zaszczyt, jaki im przynosi miano jego protektorów — pomimo tego Ibn Sina jak najnędzniejszy z nędznych unosi wzrok do nieba i woła:

La ilaha illa-i-lah.

Nie masz boga prócz Boga,

I Mahometa, Proroka Jego.

Co rano przed pierwszą modlitwą zbierał się przed jego domem tłum liczący kilkaset

osób. Byli w nim żebracy, mułowie, pasterze, kupcy, biedni i bogaci, ludzie wszelkiego stanu. Książę Medyków wnosił dywanik modlitewny i oddawał cześć Bogu razem ze swymi wielbicielami, a gdy jechał do maristanu, oni szli przy jego koniu, sławiąc Proroka i recytując wersety Koranu.

Kilka razy w tygodniu wieczorem zbierali się w jego domu studenci. Zazwyczaj odbywały się wtedy odczyty medyczne. Przez ćwierć wieku co tydzień al-Dżuzdzani czytał na głos dzieła Ibn Siny, najczęściej fragmenty sławnego „Kanonu medycyny”.

Teraz czasami Roba proszono, by czytał Ibn Siny „Księgę uzdrowienia”. Wywiązywały się potem ożywione dyskusje, połączenie przyjęcia i debaty klinicznej, często wesołe i zawsze pouczające.

— W jaki sposób krew dopływa do palców? — wołał na przykład al-Dżuzdzani, powtarzając pytanie jednego ze studentów. — Zapomniałeś, co mówi Galen? Serce to pompa, która przetacza krew.

— Tak, tak — wtrącał Ibn Sina. — A wiatr popycha żaglowce. Tylko jak znajdują drogę powrotną do Bahrajnu?

Wychodząc od mistrza, Rob często widywał eunucha Wasifa stojącego w cieniu przy drzwiach do południowej wieży. Pewnego wieczora wymknął się na pola za murem posiadłości Ibn Siny i nie zdziwił się, zobaczywszy tam uwięzowanego i niecierpliwie szarpiącego łbem siwego araba Karima. Wracając do własnego, nie ukrytego konia, zerknął ku szczytowi okrągłej kamiennej wieży. Przez szpary w oknach migotało drażniące żółte światło. Przypomniawszy sobie wtedy bez zazdrości i żalu, że Despina lubi się kochać przy świetle sześciu świec.

Ibn Sina zaczął wprowadzać Roba w sprawy niewytłumaczalne.

— Jest w nas coś dziwnego, jedni zwą to umysłem, inni duszą, a ma to wielki wpływ na nasze ciało i zdrowie. Po raz pierwszy zetknąłem się z dowodem na istnienie tego, kiedy jako młody człowiek, jeszcze mieszkając w Sucharze, zaczynałem się interesować zjawiskiem, które mnie pchnęło do napisania traktatu „O pulsie”. Miałem pacjenta, młodzieńca w moim wieku imieniem Ahmad. Stracił apetyt i wychudł. Jego ojciec, bogaty kupiec, zaniepokoił się i błagał mnie o pomoc. Zbadałem Ahmada i nie znalazłem żadnej choroby. Zwlekałem jednak z odejściem i wtedy stało się coś dziwnego. Trzymałem go za rękę w przegubie i po przyjacielsku gawędziłem o miastach w okolicy Suchary. Tętno miał słabe i równe, dopóki nie wspomniawszy wsi Afsane, w której się urodziłem. Wtedy w jego nadgarstku wyczułem taki trzepot, aż się przeraziłem.

— Znałem dobrze tę wieś — ciągnął Ibn Sina — więc zacząłem wymieniać różne ulice bez żadnego skutku, dopóki nie doszedłem do Zaułka Jedenastego Imama. Tętno znów przyspieszyło i stało się nierówne. Nie pamiętałem wszystkich rodzin mieszkających przy tej uliczce, ale pociągnąłem Ahmada za język i wydało się, że mieszka tam niejaki ibn Razi, który zajmuje się obróbką miedzi i ma trzy córki. Najstarsza zaś, Ripka, to wielka piękność. Kiedy Ahmad wymienił imię tej kobiety, kołatanie w jego przegubie przypomniawszy mi trzepot skrzydeł zranionego ptaka... Powiedziałem zatem jego ojcu, że wyleczenie młodzieńca zależy od małżeństwa z ową Ripką. Małżeństwo ułożono i ślub się odbył. Wkrótce potem Ahmadowi wrócił apetyt, a jak spotkałem go kilka lat później, był zadowolonym z życia tęgim mężczyzną.

— Galen mówi — wyjaśniał stary medyk — że serce i wszystkie arterie pulsują tym samym rytmem, tak że sądząc po jednej można wydać sąd o wszystkich, oraz że powolne i regularne tętno świadczy o dobrym zdrowiu. Ale odkąd zetknąłem się z przypadkiem Ahmada, przekonałem się, że zbadanie tętna pozwala orzec, czy pacjent jest wzburzony, czy spokojny. Czyniłem to wielokrotnie i tętno okazało się zwiastunem, który nigdy nie kłamie.

W ten sposób Rob się dowiedział, że poza swoim darem pozwalającym ocenić siłę

żywną może jeszcze korzystać z tętna jako dodatkowego wskaźnika mówiącego o zdrowiu i nastroju pacjenta. Okazji do zastosowania tego w praktyce mu nie brakowało. Zrozpaczeni ludzie tłoczyli się do Księcia Medyków oczekując cudownych uzdrowień. Bogaci czy biedni, wszyscy spotykali się z takim samym przyjęciem, choć tylko nieliczni mogli zostać pacjentami Ibn Siny i Roba, większość bowiem kierowano do innych medyków.

Do pacjentów Ibn Siny należały przede wszystkim wysoko postawione osobistości z otoczenia szacha i oczywiście sam władca. Toteż pewnego ranka mistrz posłał Roba do Rajskiego Domu, gdzie Siddha, żona hinduskiego płatnerza Dhany Yangalila, dostała ataku kolki.

Potrzebując tłumacza, Rob przyjął usługi osobistego mahuta szacha, Hindusa imieniem Marsza. Siddha okazała się miłą krągłolicą kobietą o siwiejących włosach. Rodzina Yangalilów czciła Buddę, nie dotyczył ich więc zakaz auratu i Rob mógł obmacać jej brzuch bez obawy, że ktoś doniesie o tym mułom. Po dokładnym badaniu doszedł do wniosku, że to sprawa diety, dowiedział się bowiem od Harszy, że ani Yangalilowie, ani żaden z mahutów nie otrzymują wystarczającej ilości kminku, kurkumy i pieprzu — przypraw, do których przywykli od urodzenia, wpływających na ich prawidłowe trawienie. Osobiście zadbał, aby dostarczono im te dodatki. Już wcześniej zdobył uznanie niektórych mahutów, opatrując ranione w bitwie słonie, teraz pozyskał sobie jeszcze wdzięczność Yangalilów.

Przywiózł potem do nich w odwiedziny Mary i Roba, z nadzieją, że wspólne problemy ludzi przesiedlonych do Persji staną się fundamentem przyjaźni. Niestety, tym razem nie pojawiła się owa iskra porozumienia, jaka niegdyś natychmiast połączyła Mary z Farą. Zakłopotane kobiety patrzyły tylko na siebie sztywno, aczkolwiek uprzejmie, Mary zaś starała się nie przyglądać zbyt długo okągłej czarnej kumkum pośrodku czoła Siddhy. Więcej już Rob nie przywiózł swojej rodziny do Yangalilów, zjawiał się jednak u nich sam, zafascynowany tym, czego Dhana Yangalil potrafił dokonać ze stalą.

Nad wykopany w ziemi płytkim dołem Dhana wznosił piec hutniczy o glinianych ścianach otoczonych grubszą zewnętrzną obudową z kamieni i mułu. Wszystko to opasane było obręczami ze świeżego drewna. Piec wysokością sięgał ramion dorosłego mężczyzny, szerokość miał jednego kroku i zwężał się nieznacznie u szczytu, aby skupić żar i aby ściany się nie zawaliły.

W piecu tym Dhana wytapiał żelazo spalając węgiel drzewny, którego warstwy ułożone były na przemian z perską rudą w grudkach od wielkości grochu do orzecha. Wokół pieca wykopany był niegłęboki rów. Siedząc z nogami w rowie na zewnętrznym jego skraju Dhana poruszał miechami sporządzonymi ze zdartej w całości koziej skóry i dokładnie odmierzonym strumieniem wdmuchiwał powietrze w rozpaloną masę. Nad najgorętszym płomieniem ruda topiła się i skapywała kroplami metalowego deszczu. Przesączały się one przez piec i spływały na dół jako mieszanka węgla drzewnego, żużlu i żelaza, zwana łupą.

Po zakończeniu wytapiania Dhana rozbijał zalepione gliną ujście pieca, by wydobyć łupę, uszlachetnianą następnie przez silne kucie, które wymagało wielokrotnego rozpalania paleniska w jego kuźni. Większość żelaza wytopionego z rudy przepadała, pomieszana z żużlem, ale z tego, co zostawało, uzyskiwał szlachetny kowalny metal.

Był on jednak miękki w przeciwieństwie do bardzo twardych sztab hinduskiej stali przywiezionych z Kauszambi na słoniach. Kilka z nich Dhana stopił w tyglu, po czym ugasił ogień. Po wystudzeniu stal była nadzwyczaj krucha, połamał ją więc i ułożył na bryłach uszlachetnionego żelaza.

Teraz, pocąc się wśród swych kowadeł, szczypiec, dłut, sztanc i młotów, chudy Hindus o mięśniach jak wężowe sploty trudził się, żeby połączyć metal twardy z miękkim. Wywijając młotem jak opętany, kuł warstwy żelaza i stali, zwijał je, ciął, składał i znowu kuł, raz jeszcze zwijał warstwy blachy i dalej walił młotem, mieszając metale jak garncarz glinę lub kobieta



ciasto na chleb.

Przyglądając mu się, Rob pomyślał, że nigdy nie zdołałby się nauczyć czegoś tak skomplikowanego, wymagającego tylu wysublimowanych umiejętności, które hinduscy kowale przekazywali sobie od wielu pokoleń. Zyskał jednak pewne pojęcie o istocie przemian zachodzących w metalach, zadawał bowiem Dhanie niezliczone pytania.

Dhana wykuł bułat, zakrzywioną szablę, i utwardził go w sadzy, po czym wytrawił w kwasie z cedratu, uzyskując doskonałą klingę o przydymionym niebieskawym odcieniu. Wykonana z samego żelaza, byłaby miękka i tępa. Zrobiona z samej twardej hinduskiej stali łatwo by się kruszyła. Dzięki umiejętnościom Dhany uzyskała giętkość i ostrze zdolne w powietrzu przeciąć nitkę.

Miecze, które szach kazał wykuć Dhanie, nie były przeznaczone dla królów. Miały być zwykłą, niczym nie zdobioną żołnierską bronią i służyć w przyszłej wojnie, zapewniając Persji niezbędną przewagę.

— Jeszcze tydzień, dwa, a zabraknie mu hinduskiej stali — zauważył pewnego dnia Harsza.

Mimo to Dhana postanowił zrobić Robowi sztylet z wdzięczności za to, co hakim uczynił dla jego rodziny i mahutów. Rob jednak z żalem odmówił przyjęcia prezentu. Broń była piękna, lecz nie chciał już mieć do czynienia z zabijaniem. Nie mogąc się wszakże powstrzymać, rozwiązał swą sakwę i pokazał Dhanie skalpel, kilka różnych noży i dwa używane przy amputacjach: jeden z ostrzem zakrzywionym i cienkim, drugi szeroki i ząbkowany do przecinania kości.

Dhana szeroko się uśmiechnął, ukazując wiele szczerb po zębach, i pokiwał głową. Tydzień później wręczył Robowi instrumenty z doskonałej stali, pozwalającej uzyskać najcieńsze ostrze, które mogło zachować ostrość dłużej niż wszystkie narzędzia chirurgiczne, jakie dotąd oglądał. Wiedział, że go przeżyją. Był to królewski dar i wymagał w zamian daru równie wspaniałego, w tej chwili jednak Rob był nazbyt przejęty, aby o tym pomyśleć. Dhana zauważywszy jego wielką radość, rozpromienił się w jej blasku. Nie potrafiąc się porozumieć za pomocą słów, padli sobie w objęcia. Razem naoliwili stalowe przedmioty, każdy z osobna owinęli szmatami i Rob zabrał je w swej skórzanej sakwie.

Kiedy uradowany jechał z Rajskiego Domu, spotkał powracającą grupę myśliwych z szachem na czele. W prostym myśliwskim stroju Ala wyglądał tak samo jak wtedy, gdy Rob przed laty ujrzał go po raz pierwszy.

Rob zatrzymał konia i pokłonił się żywiąc nadzieję, że go miną, lecz chwilę później przyklusował do niego Farhad, Dowódca Bram, na zgrabnym wierzchowcu.

— Jego wysokość życzy sobie, żebyś się zbliżył — oznajmił i zawrócił konia.

Rob podjechał za nim do szacha.

— Ach, zimmi, jedź kawałek ze mną — rzekł Ala i dał znak towarzyszącym mu żołnierzom, aby zostali z tyłu, sam zaś z Robem skierował konia w stronę pałacu. — Nie nagrodziłem cię za twoje zasługi w Indiach.

Rob zdumiał się. Myślał, że wszystkie nagrody za służbę w wyprawie na Indie dawno zostały już rozdane. Kilku oficerów awansowano, żołnierze dostali pieniądze. Karima szach tak mocno publicznie wychwalał, że oczekiwano jego nominacji na przeróżne wysokie stanowiska. Rob cieszył się, że o nim zapomniano, szczęśliwy, iż wyprawa przeszła już do historii.

— Mam zamiar obdarzyć cię następnym chylatem, upoważniającym do większego domu i wielkich włości, gdzie mógłbyś podejmować króla.

— Nie potrzebuję chylatu, panie — odparł Rob i oschłym tonem podziękował szachowi za hojność. — Mój udział w wyprawie był skromnym wyrazem tego, jak jestem wdzięczny

waszej wysokości.

Uprzejmiej byłoby wspomnieć o miłości do monarchy, lecz na to nie mógł się zdobyć, a zresztą i tak najwyraźniej szach nie wziął sobie jego słów do serca.

— Tak czy inaczej zasługujesz na nagrodę.

— Proszę więc, niechaj mój władca pozwoli mi w nagrodę pozostać w Jahudii, w moim domku, w którym żyję wygodnie i w szczęściu.

Szach przez chwilę patrzył nań twardym wzrokiem, wreszcie skinął głową.

— Zostaw mnie, zimmi — rozkazał.

Ubódł piętami wierzchowca, który poderwał się do galopu. Eskorta ruszyła za władcą, z łomotem kopyt przemykając obok Roba.

Pograżony w myślach zawrócił kasztanka do domu, by pokazać Mary wspaniałe instrumenty.

## Maristan w Izadżu

Tego roku na Persję wcześniej spadła ciężka zima. Pewnego ranka wszystkie górskie szczyty pobielały, a nazajutrz silny zimny wiatr zasypał Isfahan mieszanką soli, piasku i śniegu. Kupcy na targach ponakrywali płachtami towary i czekali wiosny. Pękacii w grubych, długich po kostki kabach, kulili się nad piecykami z węglem drzewnym, rozgrzewając się plotkami o władcy. Chociaż najczęściej śmiali się w kułak z wybryków Ali albo patrzyli na nie krzywo, lecz z rezygnacją, po ostatnim skandalu twarz niejednego wyciągnęła się i skurczyła bynajmniej nie z powodu zimnych wiatrów.

Otóż widząc codzienne pijatyki i rozpustę szacha imam Mirza abul Kandrasy wysłał swojego przyjaciela i zaufanego, mułłę Musę ibn Abbasa, by porozmawiał z królem i przypomniał mu, że mocny trunek wstrętny jest Allahowi i zakazany przez Koran.

Władca od wielu już godzin pił, gdy przyjął wysłańca wezyra. Z powagą wysłuchał Musy, a pojąwszy, z czym przychodzi, i dosłyszawszy w jego słowach ostrożny ton nagany, zstąpił z tronu i zbliżył się do niego.

Zmieszany, lecz nie wiedząc, jak by inaczej się zachować, Musa mówił dalej. Nagle, ani trochę nie zmieniawszy wyrazu twarzy, król oblał winem głowę starca ku zaskoczeniu wszystkich obecnych, dworzan, służących i niewolników. Słuchając do końca jego napomnień, polewał Musę całego, moczając mu brodę i szaty, a następnie odprawił go skinieniem dłoni i odesłał do Kandrasy, mokrego i ostatecznie upokorzonego.

Okazał tym pogardę dla świętych mężów Isfahanu i powszechnie uznano ten uczynek za dowód, że nadchodzi kres Kandrasy jako wezyra. Mułłowie przyzwyczaili się do wpływów i przywilejów, jakie mu zawdzięczali, toteż nazajutrz rano we wszystkich meczetach miasta usłyszano niejasne i niepokojące proroctwa na temat przyszłości Persji.

Karim Harun przyszedł naradzić się z Ibn Siną i Robem w sprawie Ali.

— On nie jest taki. Potrafi być najbardziej bezinteresownym kompanem, wesołym i serdecznym. Widziałeś go w Indiach, zimmi. To najdzielniejszy z wojowników, przy tym jest ambitny i pragnie zostać wielkim szachinszachem tylko dlatego, że jeszcze większe żywi ambicje względem Persji.

Słuchali go w milczeniu.

— Próbowałem go powstrzymać od picia — ciągnął Karim. Spojrzał żałośnie na swego dawnego nauczyciela i na przyjaciela. Ibn Sina westchnął.

— Najbardziej niebezpieczny jest wczesnym rankiem, gdy się budzi z mdłościami po wypitym poprzedniego dnia winie. Ale wystarczy wtedy podać mu napar z senesu, żeby go oczyścić z trucizny i uwolnić od bólu głowy, a potem posypać mu potrawy sproszkowanym armeńskim kamieniem, żeby się pozbył melancholii. Tyle że nic go nie chroni przed nim samym. Kiedy pije, trzeba go unikać, jeżeli to możliwe. — Ze smutkiem popatrzył na Karima. — Ty też strzeż się chodząc po mieście. Ludzie wiedzą, że jesteś faworytem szacha, i powszechnie uważają cię za rywala Kandrasy. Masz teraz potężnych wrogów, którym bardzo zależy, żeby ci odciąć drogę do władzy.

Rob uchwycił spojrzenie Karima.

— Musisz się starać, żeby twoje życie było bez zarzutu — powiedział znacząco. — Wrogowie wykorzystają każdą twoją słabość.

Przypomniał sobie, jak brzydził się sam sobą, kiedy przyprawiał mistrzowi rogi. Znając Karima, wiedział, że mimo ambicji i miłości do tej kobiety, jest w gruncie rzeczy dobrym

człowiekiem, domyślał się zatem, ile go kosztuje zdradzanie Ibn Siny.

Karim skinął potakująco głową. Odchodząc, z uśmiechem uściśnął rękę Robowi, który odpowiedział tym samym, nie wyobrażał sobie bowiem, że mógłby postąpić inaczej. Karim zachował swój urok, choć brak mu było dawnej bez troski. Rob dojrzał na jego twarzy wielkie napięcie i nerwowy niepokój i popatrzył za przyjacielem ze współczuciem.

Niebieskie oczy małego Roba bez lęku spoglądały na świat. Próbował już pełzać, bardzo się też rodzice ucieszyli, kiedy nauczył się pić z kubeczka. Za radą Ibn Siny Rob spróbował go karmić wielbłądzim mlekiem, które według mistrza stanowiło najzdrowszy pokarm dla dziecka. Miało silny charakterystyczny zapach i pływały w nim żółtawe grudki jak w maślanec, ale malec pił je żarłocznie. Priska przestała go więc karmić piersią, Rob zaś co rano przynosił w kamionce wielbłądzie mleko z ormiańskiego targu. Dawna mamka, zawsze tuląca któreś z własnych dzieci, widywała go z rymarskiego straganu męża.

— Panie zimmi! Panie zimmi! Jak miewa się mój malutki? — wołała i obdarzała go promiennym uśmiechem, ilekroć ją zapewnił, że dziecko ma się dobrze.

Z powodu przejmującego zimna do medyków tłumnie zgłaszali się pacjenci z katarą, bólem kości, zapaleniem i obrzmieniem stawów. Pliniusz Młodszy pisał, że dla pozbycia się kataru należy pocałować włochaty pyszczek myszy, Ibn Sina jednak głosił, że Pliniusz Młodszy nie nadaje się do czytania. Miał swoje własne ulubione lekarstwo przeciwko zaflegmieniu i reumatycznym zesztywnieniom. Dokładnie pouczył Roba, jak mieszać po dwa dirhamy kastoreum, isfahańskiego galbanum, śmierdzącej asafetydy, zwykłej asafetydy, nasion selera, syryjskiej kozieradki, galbanum, kotewki kolącej, opopanaksu, żywicy rucianej i pestek dyni. Składniki te po wysuszeniu należało utłuc. Gummy moczono przez noc w oliwie i dopiero potem tłuczono, po czym zalewano ciepłym miodem odcedzonym z piany i wilgotną miksturę ucierano z suchymi składnikami. Powstałą w ten sposób maść wkładano do polewanego naczynia.

— Dawką jest jeden miskal—powiedział Ibn Sina.—Działa skutecznie, jeśli taka jest wola Boga.

Rob odwiedzał zagrody słoni, gdzie siakali nosami i kaszleli mahutowie, gorzej znoszący porę tak niepodobną do łagodnych zim w Indiach. Zaglądał do nich trzy dni z rzędu, podając dymnicę i szałwie oraz maść Ibn Siny, lecz osiągnął tak nikłe rezultaty, że lepiej by zrobił pojąc ich driakwią, którą leczył jako balwierz. Słonie też nie prezentowały się tak wspaniale jak w czasie bitwy: obwieszane derkami, które im miały zapewnić ciepło, wyglądały teraz jak namioty.

Któregoś dnia stojąc z Harszą przyglądał się słoniowi Zu, wielkiemu samcowi szacha opychającemu się sianem.

— Biedne moje dzieci — mówił z czułością Harsza. — Kiedyś, przed Buddą, Brahmanem, Wisznu i Sziwą, słonie były wszechmocne i do nich modlił się mój lud. Teraz znalazły się o tyle niżej od bogów, że chwyta się je i zmusza, by słuchały ludzi.

Zu zadrzał, kiedy tak mu się przyglądali, Rob przepisał zatem zwierzęciu na rozgrzewkę picie wiadrami ciepłej wody.

Harsza jednak miał wątpliwości, czy to w ogóle potrzebne.

— Przecież używaliśmy ich do pracy i spisywały się dobrze mimo zimna.

Rob, który naczytał się o słoniach w Domu Mądrości, zapytał:

— Słyszałeś o Hannibalu?

— Nie — przyznał mahut.

— To był żołnierz, wielki wódz.

— Tak wielki jak szach Ala?

— Co najmniej, ale żył w dawnych czasach. Swoje wojska z trzydziestu siedmiu słoniami

przeprowadził przez Alpy, straszliwe wysokie góry, strome i pokryte śniegiem... I nie utracił ani jednego zwierzęcia. Tyle że słonie osłabły z zimna i braku schronienia. Później, przy przekraczaniu mniejszych gór, padły wszystkie oprócz jednego. Z tego nauka, że musisz dać im trochę spokoju i trzymać je w cieple.

Harsza z szacunkiem skinął głową.

— Wiesz, hakimie, że ktoś cię śledzi? — zapytał, a widząc zdumienie Roba, dodał: — Ten, co siedzi tam, na słońcu.

Jakiś człowiek skulony w kabie przycupnął oparty plecami o ścianę, chroniąc się przed zimnym wiatrem.

— Jesteś pewien?

— Tak, hakimie, wczoraj też widziałem, jak za tobą chodził. Nawet teraz nie spuszcza cię z oka.

— Czy jak będę stąd wychodził, możesz ostrożnie pójść za nim, żebyśmy się dowiedzieli, kim on jest? Harszy zabłysły oczy.

— Tak, hakimie.

Tego dnia późnym wieczorem Harsza zjawił się w Jahudii i zapukał do domu Roba.

— Ten człowiek szedł za tobą do samego domu, hakimie, później cię tu zostawił i ruszył w stronę Meczetu Piątkowego. Byłem bardzo przebiegły, o czcigodny, i stałem się niewidzialny. On wszedł do domu mułły w podartej kabie, a po niedługim czasie pojawił się w czarnych szatach. Tak ubrany był w meczecie na ostatniej modlitwie. To mułła, hakimie.

Rob podziękował mu, zamyślony, i Harsza odszedł.

Mułłę nasłali przyjaciele Kandrasy, tego był pewien. Niewątpliwie śledzono Karima, gdy szedł na spotkanie z Ibn Siną i Robem, a potem sprawdzono, jak blisko Rob jest związany z kandydatem na nowego wezyra.

Uznano widać, że nie jest groźny, bo kiedy na drugi dzień rozejrzał się uważnie, nie dostrzegł, żeby ktoś szedł jego tropem, i o ile wiedział, w najbliższych dniach już nikt go nie śledził.

Wciąż było zimno, ale już blisko wiosny. Śnieg bielił się jeszcze tylko na wierzchołkach sinoszarych gór, w ogrodzie zaś nagie gałęzie drzewek morelowych pokryły się maleńkimi, idealnie okrągłymi czarnymi pączkami.

Pewnego ranka przyszło po Roba dwóch żołnierzy z poleceniem, by udał się do Rajskiego Domu. W zimnej kamiennej sali tronowej stali w grupkach dworzanie tak przemarznięci, aż wargi im posiniały. Nie było wśród nich Karima. Szach siedział przy stole umieszczonym nad kratą w podłodze, przez którą szło ciepło pieca. Kiedy Rob złożył mu należny pokłon, władca skinął, by usiadł z nim. Roba zaraz ogarnęło miłe ciepło, podtrzymywane przez grubą filcową narzutę na stole.

Figury do gry szacha już były ustawione i Ala, nie odzywając się słowem, zrobił pierwszy ruch.

— Ach, zimmi, stałeś się zgłodniałym kotem — zauważył po jakimś czasie.

Tak było w istocie: Rob nauczył się atakować.

Szach grał z marsem na twarzy, nie odrywając oczu od szachownicy. Rob posłużył się dwoma słoniami, by dokonać wyłomu w szeregach władcy, i szybko zdobył wielbłąda, konia i gońca oraz trzech piechurów.

Obecni przyglądali się grze w skupionym, powściągliwym milczeniu. Niewątpliwie jedni byli przerażeni, a inni zachwyceni widząc, że jakiś niewierny Europejczyk pokonuje szacha.

Król jednak był doświadczonym przebiegłym wodzem — dumnemu z mistrzowskiej strategii Robowi podsunął jeszcze parę figur, po czym wciągnął nieprzyjacielskie wojsko w

zasadzkę, wykorzystując dwa słonie z większą pomysłowością niż Hannibal swoje trzydzieści siedem. Rob, choć utracił słonie i konnych, nadal stawiał zawzięty opór, przywołując w pamięci wszystko, czego nauczył go Mirdin. Upłynęło sporo czasu, zanim gra zakończyła się dla niego szatrandżem. Kiedy było po wszystkim, dworzanie oklaskali zwycięstwo władcy, który raczył okazać zadowolenie.

Zdjął potem z palca gruby złoty pierścień i wsunął go w prawą dłoń Roba.

— A co się tyczy chylatu — rzekł — to zostajesz nim obdarzony. Będiesz miał dom na tyle duży, żeby podejmować króla.

Dom z haremem. A w haremie będzie Mary.

Obecni wielmoże patrzyli, bacznie słuchając.

— Z dumą i wdzięcznością będę nosił ten pierścień, wasza wysokość—odparł Rob. — Jeśli zaś idzie o chylat... Wystarcza mi hojność, jaką już okazałeś, panie, pozostanę więc w swoim domu.

Mówił tonem pełnym szacunku, lecz nazbyt stanowczym i nie dość szybko spuścił oczy na znak poddania. I wszyscy wyraźnie usłyszeli, co szachowi odpowiedział ten zimmi.

Zanim wstał następnego dnia, wieść o tym dotarła do Ibn Siny. Nie na darmo Pierwszy Medyk dwukrotnie był wezyrem. Miał na dworze i wśród służby Rajskiego Domu informatorów, toteż z różnych źródeł się dowiedział o niemądrej porywczoci swego żydowskiego asystenta.

Jak zawsze w krytycznych momentach, Ibn Sina usiadł i głęboko się zastanowił. Wiedział, że jego obecność w stolicy jest dla władcy powodem do dumy, może się bowiem dzięki temu porównywać z bagdadzkimi kalifami jako kulturalny monarcha i protektor nauki. Jednakże Ibn Sina znał też granice swoich wpływów i świadom był, że nie uratuje Jessego ben Beniamina, jeżeli otwarcie się za nim wstawi.

Ala od dziecka pragnął się znaleźć w gronie największych szachów, być władcą, którego sława nie przemienie. Obecnie gotował się do wojny mającej mu przynieść nieśmiertelność lub pogrześć go w niepamięci, toteż za nic nie mógł pozwolić, aby ktokolwiek sprzeciwił się jego woli.

Ibn Sina wiedział, że król każe zabić Jessego ben Beniamina.

Być może nieznanym mordercom polecono już napaść na młodego hakima gdzieś na ulicy, mógł też zostać zatrzymany przez żołnierzy, postawiony przed mużmańskim sądem i skazany. Ala miał zmysł polityczny i umiałby z największą dla siebie korzyścią posłużyć się tą egzekucją.

Ibn Sina od lat zgłębiał charakter szacha i znał jego sposób rozumowania, wiedział zatem, co trzeba zrobić.

Tego dnia w maristanie wezwał do siebie wszystkich współpracowników.

— Doszła mnie wieść, że w mieście Izadz jest pewna liczba chorych w zbyt ciężkim stanie, żeby znieśli podróż do naszego szpitala—powiedział, nie mijając się zresztą z prawdą. — W tej sytuacji — dodał zwracając się do Jessego ben Beniamina

— musisz jechać do Izadzu i urządzić maristan dla leczenia tych ludzi.

Kiedy już uzgodnili, jakie zioła i leki musi zabrać ze sobą na jucznym osle, a jakie medykamenty znajdzie na miejscu, oraz omówili historie choroby znanych mu przypadków, Jesse pożegnał się i bez zwłoki wyruszył.

Izadz leżał na południu, oddalony o trzy dni mozolnej, uciążliwej jazdy, a zorganizowanie szpitala wymagało co najmniej dalszych trzech dni. W ten sposób Ibn Sina zyskiwał aż nadto czasu, by wcielić w życie swoje zamiary.

Nazajutrz po południu wybrał się samotnie do Jahudii, prosto do domu swego asystenta.

Otworzyła mu drzwi kobieta z dzieckiem na ręku. Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie i chwilowe zmieszanie, gdy ujrzała w swoich progach Księcia Medyków, lecz prędko się opanowała i z należąca uprzejmością zaprosiła go do domu. Był prosty, ale dobrze utrzymany i wygodnie urządzony, ściany miał obite kobiercami, klepisko wyłożone dywanami. Z godnym pochwałą pośpiechem postawiła przed Ibn Siną kamienną misę ciasteczek sezamowych i szербet z różanej wody przyprawionej kardamonem.

Ibn Sina nie wziął pod uwagę tego, że nie będzie znała języka. Kiedy się odezwał, okazało się, że Europejka zna tylko parę perskich słów.

Liczył na długą i przekonującą rozmowę. Chciał jej powiedzieć, że zapragnął tego rosłego młodego cudzoziemca, jak skąpiec pragnie skarbu, a mężczyzna kobiety, odkąd zdał sobie sprawę ze szlachetności umysłu i zamiłowań jej męża. Zapragnął tego Europejczyka dla medycyny, ponieważ stało się dla niego jasne, że Bóg stworzył Jessego ben Beniamina na uzdrowiciela.

— On zabłyśnie jak gwiazda. Już wysoko zaszedł, ale potrzeba mu jeszcze czasu, na tym nie koniec... — mówił.

— Wszyscy władcy są szaleni. Człowiekowi, który posiada władzę absolutną, równie łatwo jest pozbawić kogoś życia, jak obdarować chylatem. Ale jeżeli teraz uciekniecie, po wsze czasy będziecie tego żalowali. Jesse przyjechał przecież z tak daleka, tyle ryzykował... Wiem, że nie jest Żydem...

Kobieta siedziała trzymając dziecko na rękach i patrzyła na Ibn Sine ze wzrastającym napięciem. Bez powodzenia spróbował mówić po hebrajsku, potem po turecku, wreszcie przeszedł na arabski. Był filologiem i lingwistą, lecz niewiele znał języków europejskich, wszystkich uczył się bowiem tylko na użytek swoich studiów. Przemówił wreszcie do niej po grecku—też nie odpowiedziała. Na koniec zagadnął po łacinie i wtedy zauważył, że lekko poruszyła głową i zamrugła.

— Rex te venire ad se mit. Si non, maritus necabitur. Król chce, żebyś do niego przyszła. Jeśli nie pójdziesz, twój mąż zginie.

— Quid dicasit Co mówisz? — zapytała.

Powtórzył bardzo wolno.

Dziecko na jej rękach zaczęło kaprysić, ale kobieta nie zwróciła na nie uwagi. Wlepiała oczy w Ibn Sine, z twarzy odpłynęła jej krew. Była to twarz jak z kamienia, medyk dostrzegł jednak w niej coś, czego przedtem nie zauważył. Starzec znał ludzi i teraz dopiero trochę się uspokoił, dojrzał bowiem siłę tej kobiety. On wszystko urządzi, a ona zrobi, co konieczne.

Przyszli po nią niewolnicy z lektyką. Nie wiedziała, co począć z małym Robem, więc wzięła go ze sobą. Okazało się to szczęśliwym rozwiązaniem, gdyż dziecko przyjął w haremie Rajskiego Domu tłum zachwyconych kobiet.

Zaprowadzono Mary do łaźni, co było krępujące. Wiedziała od Roba, że muzułmańskie kobiety mają obowiązek co dziesięć dni usuwać włosy łonowe środkiem depilującym z wapna z arsenikiem. Podobnie wyskubywały i goliły włosy pod pachami—raz na tydzień mężatki, raz na dwa tygodnie wdowy i raz na miesiąc dziewice. Służebne przyglądały się jej z niesmakiem.

Gdy była już umyta, podały jej trzy tace z wonnościami i szminkami, lecz skorzystała tylko z odrobiny pachnidła. Potem zaprowadzono ją do jakiejś komnaty i polecono czekać. Znajdował się tam jedynie szeroki siennik, poduszki, koce i zamknięta szalka, na której stała miska z wodą. Gdzieś w pobliżu grali muzykanci. Wydawało jej się, że długo już czeka, i zrobiło jej się zimno, narzuciła więc na siebie koc.

W końcu do komnaty wszedł szach. Mary wpadła w przerażenie, lecz władca się roześmiał ujrzawszy, że stoi nakryta z głową kocem. Gestem rozkazał, by go z siebie zrzuciła,

a potem niecierpliwie skinał, żeby zdjęła także suknię. Wiedziała, że jest chuda w porównaniu z większością muzułmanek, ponadto perskie kobiety na każdym kroku dawały jej do zrozumienia, że piegi to kara Allaha zesłana na kobietę na tyle bezwstydną, by nie nosić na twarzy zasłony.

Szach dotknął bujnych rudych włosów na jej głowie, chwycił je garścią i podniósł do nosa. Nie uperfumowała włosów i król się skrzywił nie czując pachnidła.

Na chwilę Mary udało się uciec myślą do dziecka. Czy Rob J. podroślszy będzie pamiętał, że go tu przywiozła? Czy zapamięta okrzyki zachwyty i pieszczotliwe głosy tych kobiet? uśmiechające się nad nim czułe twarze? pieszczące go ręce?

Ręce szacha wciąż dotykały jej głowy. Mówił po persku, lecz nie wiedziała, czy do siebie, czy do niej. Nie śmiała bodaj pokręcić głową na znak, że nie rozumie, aby nie wziął tego gestu za odmowę.

Z kolei zwrócił uwagę na jej wznórek łonowy i dokładnie mu się przyjrzał. Najbardziej zaciekawiły go włosy. — Henna? — zapytał.

To słowo rozumiała, zapewniła go więc, w języku, którego oczywiście nie pojmował, że nie zawdzięcza ich koloru hennie. Delikatnie ujął pasmo jej włosów w palce i spróbował zmyć rudy barwnik.

Po chwili zdjął luźną bawełnianą szatę, pod którą nic na sobie nie miał. Był szeroki w ramionach, gruby w pasie, z wystającym owłosionym brzuchem. W ogóle całe ciało miał owłosione. Jego członek wydawał się mniejszy od członka Roba i ciemniejszy.

Jadąc w lektyce do pałacu, Mary snuła różne fantazje. W jednej z nich płakała i tłumaczyła, że chrześcijankom Jezus zakazał stosunków pozamałżeńskich, szach zaś, zupełnie jak w historiach o świętych, ulitował się jej łzom i odesłał ją do domu. W innym marzeniu przymus, jaki znosiła dla ratowania męża, pozwalał jej przeżyć najbardziej wyuzdaną rozpustę, zaznać rozkoszy od nieziemskiego kochanka, który wybrał ją, choć najpiękniejsze kobiety Persji mogły do niego należeć.

Rzeczywistość wszakże w niczym nie przypominała fantazji. Szach najpierw obejrzał jej piersi dotykając brodawek — być może barwą różniły się od tych, do jakich przywykł. Były twarde, stęzałe z zimna, lecz nie zajęły jego uwagi na długo. Kiedy pchnął ją na siennik, w duchu pomodliła się do Matki Boskiej, której imię nosiła. Niechętnym była naczyniem, wyschła z łęku i gniewu na tego mężczyznę, który o mały włos nie wydał wyroku śmierci na jej męża. Nie doświadczyła wcale owych słodkich pieszczot, jakimi Rob potrafił ją rozpalić, tak że cała się rozpływała. Członek króla nie sterczał, lecz obwisał, szach miał zatem trudności z wepchnięciem go i uciekł się do pomocy oliwy, ale w złości wylał ją na Mary zamiast na siebie. Wreszcie naoliwiony wcisnął się w nią. Leżała z zamkniętymi oczami.

Ją wykapano, władca jednak nie wziął kąpieli, co Mary bez trudu stwierdziła. Był bez wigoru, wydawał się niemal znudzony, gdy cicho sapiąc robił swoje. Wkrótce sła-bitko, całkiem nie po królewsku jak na tak postawnego mężczyznę, drgnął i wydał jęk, w którym zabrzmiała nuta obrzydzenia. Potem król królów wydobył się z Mary z cichym cmoknięciem oliwy i wyszedł z komnaty bez słowa, nawet się nie obejrzawszy, ona zaś, lepka i upokorzona, leżała, jak ją zostawił, nie wiedząc, co teraz zrobić. Na łzy sobie w każdym razie nie pozwoliła.

Po jakimś czasie przyszły po nią te same kobiety i zabrały ją do syna. Narzuciwszy pospiesznie odzienie, przygarnęła małego Roba. Wyprawiając ją do domu, kobiety włożyły do lektyki sznurkową torbę pełną zielonych melonów. Gdy Mary znalazła się z synkiem w Jahudii, miała ochotę wyrzucić melony na drogę, doszła jednak do wniosku, że łatwiej będzie wnieść owoce do domu i odesłać lektykę.

Na targowiskach melony sprzedawano nędzne i często już nadpsute, przechowywano je bowiem w jaskiniach przez całą zimę. Te były w znakomitym stanie i w pełni dojrzałe, a



także nadzwyczaj smaczne, co razem stwierdzili, kiedy Rob wrócił wypełniwszy zadanie w Izadzu.

## Beduinka

Czymś niezwykłym było wchodzić do tej świątyni, jaką dla Roba był maristan: chłodnej, przesyconej wyziewami chorób i drażniącym zapachem leków, pełnej jęków, krzyków i krzątania — muzyki szpitala. Kiedy wkraczał do maristanu, wciąż tak samo pozbawiał go tchu i przyprawiał o silniejsze bicie serca widok stadka studentów, podążających za nim jak gęsi za matką.

Za nim, który tak niedawno podążał za innymi!

Zatrzymywał się i pozwalał jednemu ze studentów wyrecytować historię choroby, potem zbliżał się do postania i rozmawiał z pacjentem, oglądał go, badał, dotykał, wachał jak lis jajko. Próbował przechrzyć Czarnego Rycerza. Na koniec omawiał przypadek choroby czy zranienia z towarzyszącą mu grupą, wysłuchując opinii nierzadko bezwartościowych i absurdalnych, czasami jednak znakomitych. Dla studentów była to nauka, dla Roba okazja do kształtowania ich umysłów w krytyczne narzędzia analizujące i proponujące metodę leczenia, dokonujące wyboru, tak że czasami ucząc, wyciągał wnioski, które inaczej byłyby mu umknęły.

Ibn Sina zachęcał go także do głoszenia wykładów, których studenci przychodzili słuchać, lecz w tej roli nigdy się nie czuł zupełnie swobodny — stał i pocił się jak mysz, omawiając temat gruntownie podbudowany wiedzą książkową. Nie zapominał, jak wygląda, niemal od wszystkich wyższy i z tym złamanym nosem, i jak mówi, gdyż teraz na tyle biegle posługiwał się ich językiem, że zdawał sobie sprawę ze swego obcego akcentu.

Ponieważ Ibn Sina domagał się również, by pisał, ułożył krótką rozprawkę o zastosowaniu wina przy leczeniu ran. Namozolił się nad nią, ale nie był zadowolony, nawet kiedy została ukończona, przepisana i znalazła się w Domu Mądrości.

Zdawał sobie sprawę, że musi przekazywać swoją wiedzę i umiejętności, tak jak jemu je przekazano, Mirdin się jednak mylił — Rob nie chciał robić wszystkiego. Nie zamierzał całkowicie wzorować się na Ibn Sinie, ponieważ nie miał ambicji zostać filozofem, nauczycielem i teologiem, nie czuł potrzeby pisania i uczenia. Musiał się uczyć sam i wciąż szukać odpowiedzi, aby wiedzieć, co zrobić, gdy przyjdzie mu działać. Temu wyzwaniu musiał wiecznie stawiać czoło, ilekroć bowiem ujął rękę człowieka chorego, zawsze czuł tę samą magiczną siłę, którą odkrył w sobie, kiedy miał dziesięć lat.

Pewnego ranka beduiński budowniczy namiotów przyprowadził do maristanu swą córeczkę imieniem Sitara. Bardzo źle się czuła, miała mdłości, wymiotowała, a z prawej strony stwardniałego brzucha, w jego dolnej części, dręczył ją straszliwy ból. Rob wiedział, co jej jest, ale nie miał pojęcia, jak leczyć tę chorobę. Dziewczynka jęczała i ledwie mogła odpowiadać, mimo to gruntownie ją wypytał, szukając jakiejś wskazówki. Dał małej na przeczyszczanie, spróbował gorących i zimnych okładów, a w nocy opowiedział Mary o Beduinie, prosząc, by się za nią modliła.

Mary posmutniała na myśl o młodej dziewczynie cierpiącej na tę samą chorobę co niegdyś James Geikie Cullen. Przypomniał jej się ojciec, który spoczywał w nie odwiedzanym przez nikogo grobie w wadi Ahmada w Hamadanie.

Nazajutrz Rob puścił Beduinie krew, podał jej leki i zioła, nic jednak nie pomagało. Bezsilnie patrzył, jak wzrasta jej gorączka, oczy stają się szkliste i cała więdnie niczym liść ścięty mrozem. Trzeciego dnia umarła.

Uważnie, szczególnie po szczególe, przemyślał historię jej choroby. ;

Była zdrowa, nim przyszły bolesne ataki, które ją zabiły. ' Dwunastoletnia, ledwie dojrzała dziewczyna... Cóż miała wspólnego z jego teściem lub z tamtym małym chłopcem? Nie widział nic, co by tych troje łączyło, a przecież wszystkich zabiło dokładnie to samo.

Rozdźwięk pomiędzy szachem Alą a jego wezyrem przybrał bardziej publiczny wyraz w czasie dworskiej audiencji. Imam zasiadł na niższym tronie, po prawej ręce władcy, jak chciał zwyczaj, i zwrócił się do szacha wprawdzie z szacunkiem, lecz tak ozięble, że stało się to dowodem własni wyraźnym dla wszystkich obecnych.

Tego dnia wieczorem Rob siedział z Ibn Siną w jego domu nad grą szacha. Była to bardziej lekcja niż rozgrywka, jakby człowiek dorosły grał z dzieckiem. Miało się wrażenie, że Ibn Sina z góry obmyślił całą partię, nie wahał się bowiem przy żadnym ruchu. Rob nie potrafił odeprzeć jego ataku, pojął jednak, że musi planować naprzód, i szybko częścią jego strategii stało się przewidywanie.

— Na ulicach i majdanach grupki ludzi zmagają się po cichu — odezwał się w pewnej chwili.

— Niepokoją się i nie wiedzą, co myśleć, gdy kapłani Allaha są skłóceni z władcą Rajskiego Domu. Obawiają się tego, co może przynieść ta niezgoda — odparł Ibn Sina i zbił mu rocha swoim jeźdźcem. — Ale to minie. Zawsze mija, a przeżywa ten, kogo Bóg otacza opieką.

Grali jakiś czas w milczeniu, potem Rob opowiedział mistrzowi o śmierci Beduinki, wyliczył symptomy i opisał niepokojące go dwa inne przypadki tej samej choroby brzucha.

— Moja matka też na imię miała Sitara — westchnął Ibn Sina, lecz nie potrafił wytłumaczyć śmierci dziewczyny. — Na wiele pytań nie jest nam dane poznać odpowiedzi.

— I nie poznamy ich, jeżeli nie będziemy szukać — powoli rzekł Rob.

Ibn Sina wzruszył ramionami. Uznał za stosowne zmienić temat i opowiedział Robowi trochę dworskich plotek, między innymi tę, że król szykuje wyprawę do Indii — tym razem nie zbrojny najazd, lecz wyprawę kupców upoważnionych przez szacha do zakupu indyjskiej stali lub rudy, z której się ją wytapia, gdyż Dhanie Yangalilowi zabrakło surowca do wyrobu cyzelowanych błękitnych kling, które tak sobie ceni szach.

— Zabronił im wracać bez całej karawany rudy albo twardej stali, nawet gdyby musieli przemierzyć cały Jedwabny Szlak.

— Co jest na końcu Jedwabnego Szlaku?

— Czungkuo. Olbrzymi kraj.

— A dalej?

Ibn Sina wzruszył ramionami.

— Woda. Oceany.

— Mówili mi podróżnicy, że świat jest płaski i otoczony ogniem. Że nie sposób zapuścić się dalej, żeby nie wpaść w ogień piekielny.

— Podróżnicy wygadują bzdury — z pogardą rzekł Ibn Sina. — To nieprawda. Czytałem, że poza granicami zamieszkanego przez ludzi świata jest tylko sól i piasek, jak Daszt-e Kawir. Inni piszą, że wielką część świata stanowi lód. — W zamyśleniu popatrzył na Roba. — Co jest za granicami twojego kraju?

— Brytania to wyspa. Za nią leży ocean, a dalej Dania, kraj ludzi Północy, z którego pochodzi nasz król. A jeszcze dalej znajduje się kraina lodu.

— Na północ od Persji, za Gazną, rozciąga się kraj Rusów i za nim też jest kraina lodu. Tak, myślę, że to prawda, że dużą część świata pokrywa lód — powiedział Ibn Sina. — Ale na jego krańcach nie ma żadnego ognistego piekła. Ludzie myślący zawsze wiedzieli, że ziemia jest okrągła jak śliwka. Płynąłeś morzem, wiesz zatem, że patrząc z daleka na płynący statek, dostrzegasz najpierw na horyzoncie szczyt masztu, potem stopniowo coraz więcej, bo

żegluję po wypukłej powierzchni ziemi.

Stary medyk pokonał Roba w grze szacha, podstępnie i jakby mimochodem biorąc w zasadzkę jego króla, po czym przywołał niewolnika, by przyniósł winnego szербetu i miseczkę orzeszków pistacjowych.

— Nie pamiętasz astronoma Ptolemeusza? — spytał. Rob uśmiechnął się. Astronomii ledwie liźnął, tyle, by sprostać wymaganiom madrasy.

— Tego starożytnego Greka, który pisał w Egipcie?

— Właśnie. Pisał, że ziemia jest okrągła. Zawieszona pod wklęsłym firmamentem, stanowi środek wszechświata. Wokół niej krążą słońce i księżyc, dając nam dzień i noc.

— Kulista ziemia — rzekł w zadumie Rob — której powierzchnię pokrywają morza i lądy, góry i rzeki, lasy, pustynie i obszary pokryte lodem... Ciekawe, czy jest w środku pusta, czy pełna? A jeśli pełna, to jakiej natury jest jej środek?

Stary człowiek z uśmiechem wzruszył ramionami. Znalazł się w swoim żywiole.

— Tego nie wiemy. Ziemia jest olbrzymia, sam wiesz, skoro taki jej szmat przewędrowałeś. A my, słabi ludzie, nie jesteśmy w stanie dokopać się na tyle głęboko, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

— Ale gdybyście byli zdolni, mistrzu, zajrzeć do środka ziemi... zrobilibyście to?

— Oczywiście!

— No i widzicie!... Jesteście zdolni zajrzeć do wnętrza ludzkiego ciała i nie zaglądacie. Uśmiech Ibn Siny zbladł.

— Człowiek niedaleko odszedł od stanu dzikości i musi w życiu stosować się do praw. Gdyby nie one, wrócilibyśmy do dawnej zwierzęcej natury i zginęli. Jedno z tych praw zabrania okaleczania umarłych, których Prorok pewnego dnia wywiedzie z grobów.

— Skąd bierze się ta choroba brzucha? Ibn Sina znowu wzruszył ramionami.

— Otwórz brzuch wieprza i zbadaj tę zagadkę. Organa świni są takie same jak organa człowieka.

— Jesteście tego pewni, mistrzu?

— Całkowicie. Tak stoi w księgach od czasów Galena, któremu bracia Grecy nie pozwalali rozcinać ludzi. Żydzi i chrześcijanie mają podobny zakaz. Wstręt do sekcji jest wspólny wszystkim. — Ibn Sina spojrział na niego z czułą troską. — Przewyciężyłeś wiele trudności, żeby zostać medykiem. Ale kiedy będziesz leczył, pamiętaj, nie wolno ci łamać praw religii i sprzeciwiać się powszechnej woli. Jeśli nie będziesz tej zasady przestrzegał, siła tych praw cię zniszczy.

Rob jechał do domu tak zapatrzony w niebo, że jasne punkciki tańczyły mu przed oczami. Z planet umiał odnaleźć tylko księżyc, Saturna i światło, które mogło być Jowiszem, lśniło bowiem wyraźnym blaskiem w poświacie gwiazd.

Zrozumiał już, że Ibn Sina nie jest półbogiem. Książę Medyków to tylko starzejący się uczonec, uwięziony między medycyną a wiarą, w której wzrósł w pobożności. Wprawdzie wiedząc, że i on podlega ludzkim ograniczeniom, tym mocniej kochał starego medyka, ale czuł się zarazem w jakiś sposób oszukany, jak mały chłopiec, który zdał sobie sprawę ze słabości ojca.

Przybywszy do Jahudii w zamyśleniu oporządził kasztanka. Mary i dziecko już spały, rozebrał się więc ostrożnie, po cichu, i położył, lecz nie usnął, rozmyślając o przyczynach choroby brzucha.

W środku nocy Mary nagle zbudziła się i wybiegła na dwór, krztusząc się i wymiotując. Rob wyszedł za nią. Opełnany myślą o chorobie, która zabrała jej ojca, uświadomił sobie, że pierwszym objawem są wymioty. Wbrew protestom Mary zbadał ją, gdy wróciła do domu, jej

brzuch wszakże był miękki i nie miała gorączki, w końcu pozwolił jej zatem wrócić na posłanie.

Po jakimś czasie głosem pełnym niepokoju, jak w sennym koszmarze, zawołała:

— Rob! — I po chwili znowu: — Mój Rob!...

— Cicho, bo zbudzisz małego — szepnął. Zdziwiło go to, ponieważ dotąd nie miewała złych snów. Poglaskał ją po głowie i uspokoił, Mary zaś jakoś rozpaczliwie przyciągnęła go do siebie.

— Jestem, jestem, kochanie...

Przemawiał do niej cicho i czule po angielsku, persku i hebrajsku, dopóki się nie uspokoiła.

Wkrótce potem zerwała się jeszcze raz, lecz dotknęła twarzy męża, westchnęła, otoczyła ramionami jego głowę i Rob legł przytulony policzkiem do jej miękkiej piersi. Niebawem jego także ukołysało do snu słodkie, niespieszne bicie serca Mary.

## Karim

Coraz mocniej przygrzewające słońce sprawiało, że z ziemi wychylały się bladozielone pędy, w miarę jak wiosna ogarniała Isfahan. W powietrzu śmigały ptaki znoszące w dziobach słomki i gałązki na gniazda, ze strumieni i wąwozów potoki wody spływały do Rzeki Życia, huczącej przyborem. Rob odnosił wrażenie, że ująwszy w dłonie ręce ziemi, poczuł rozpetaną odwieczną żywotność natury. Jednym z przykładów jej płodności była Mary. Wciąż miewała mdłości, nawet coraz mocniejsze, lecz tym razem nie potrzebowali Fary, aby im powiedziała, że Mary jest w ciąży. Rob nie posiadał się z radości, mimo że miała kapryśne nastroje i łatwiej niż zawsze wpadała w rozdrażnienie. Spędzał teraz więcej czasu z synem. Buzia małego rozjaśniała się na jego widok, dziecko szczebiotało i kręciło się niczym ucieszone szczenię, w dodatku Rob nauczył je targać ojca z radości.

— Pociągnij tatę za brodę — mówił i aż pęczniał z dumy, że chłopiec tak mocno szarpie.—Pociągnij tatę za uszy... Pociągnij tatę za nos...

W tym samym tygodniu, kiedy dziecko postawiło pierwszy ostrożny krok, zaczęło też mówić. Nic dziwnego, że pierwszym jego słowem było „tata”. Głos wzywającego go maleństwa nappełnił Roba takim podziwem i miłością, że trudno mu było uwierzyć we własne szczęście.

Pewnego spokojnego popołudnia namówił Mary, by poszła z nim na ormiański targ. Niósł malca na rękach, na targu zaś postawił go niedaleko straganu rymarza, aby sam przeszedł kilka kroków dzielących go jeszcze do Priski, która aż zapiszczała z radości i chwyciła chłopca w ramiona.

Wracając przez Jahudię, z uśmiechem pozdrawiali ludzi, bo chociaż Mary od wyjazdu Fary nie pozyskała serca żadnej z kobiet, nikt też nie wyklinał już europejskiej niewiernej i Żydzi z dzielnicy przywykli do niej.

Później, gdy Mary gotowała pilaw, a Rob przycinał jedno z drzewek morelowych, dwie córeczki Micaha Halewa, piekarza, przybiegły z sąsiedniego domu i bawiły się w ogrodzie z jego synem. Roba cieszyły ich dziecinne krzyki i niemądre zabawy.

Żydzi w Jahudii nie są tacy źli, powiedział sobie, i Isfahan nie jest najgorszym miejscem.

Któregoś dnia, dowiedziawszy się, że al-Dżuzdżani ma dokonać pokazowej sekcji świni, Rob zgłosił się jako jego asystent. Zwierzę okazało się potężnym knurem z morderczymi kłami wielkimi jak u słonia, złośliwymi ślepiami, długim cielskiem pokrytym twardą siwą szczeciną i wielkim owłosionym członkiem. Zostało zabite dzień wcześniej, co dawało się już wyczuć węchem, ponieważ jednak karmione było ziarnem, po otwarciu żołądka rozszedł się lekko kwaśny zapach fermentującego piwa. Rob nauczył się już nie traktować tego rodzaju zapachów jako przykre czy miłe. Wszystkie były interesujące, gdyż każdy o czymś świadczył. Ani nos wszakże, ani oczy, ani ręce zanurzone we wnętrznościach zwierzęcia, gdy je badał poszukując śladów choroby, nie nauczyły go niczego o chorobie brzucha. Al-Dżuzdżani, bardziej zainteresowany udzielaniem pouczeń studentom niż udostępnieniem wieprza Robowi, słusznie się irtował, że asystent tak długo grzebie się we wnętrznościach.

Po lekcji, niczym nie wzbogaciwszy swojej wiedzy, Rob poszedł do maristanu na spotkanie z Ibn Siną. Jedno spojrzenie na Pierwszego Medyka powiedziało mu, że coś się stało.

— Chodzi o moją Despinę i Karima Maruna...—rzekł stary medyk. — Zostali zatrzymani.

— Usiądźcie, panie, i uspokójcie się — poprosił łagodnie Rob, gdyż Ibn Sina był roztrzęsiony, półprzytomny i wyglądał bardzo staro.

A zatem spełniły się najgorsze obawy Roba. Zmusił się, by zadać niezbędne pytania, i nie był zaskoczony, dowiedziawszy się, że Despinę i Karima zatrzymano pod zarzutem cudzołóstwa. Tego ranka szpiedzy Kandrasy udali się za Karimem do domu Ibn Siny, potem zaś mułowie z żołnierzami wpadli do wieży i przyłapali kochanków.

— A co z eunuchem? — spytał Rob.

Ibn Sina rzucił na niego okiem i Rob znienawidził sam siebie uświadamiając sobie, ile zdradza jego pytanie. Mistrz jednak tylko pokręcił głową.

— Wasif nie żyje. Gdyby go nie zabili podstępnie, nie dostaliby się do wieży.

— Jak możemy pomóc Karimowi i Despinie?

— Pomóc im może tylko szach — powiedział Ibn Sina.

— Musimy zwrócić się do niego.

Kiedy jechali ulicami Isfahanu, ludzie odwracali oczy, nie chcąc zawstydząć Ibn Siny współczuciem.

W Rajskim Domu Dowódca Bram powitał Księcia Medyków tak samo jak zwykle uprzejmie, lecz zamiast przed oblicze szacha zaprowadził ich do sali, gdzie oczekiwało się na posłuchania.

Farhad zostawił ich, niebawem zaś wrócił z wieścią, że król żałuje, ale dziś nie może poświęcić im czasu.

— Zaczekamy tutaj — rzekł na to Ibn Sina. — Może nadarzy się okazja.

Farhadowi niebывałą przyjemność sprawiało oglądanie upadku wielkich. Uśmiechnął się, gdy Rob się przed nim skłonił.

Czekali całe popołudnie, w końcu Rob odwiózł Ibn Sine do domu.

Nazajutrz rano wrócili. Farhad i tym razem starał się być uprzejmy. Wprowadzeni do tej samej sali, czekali przez nikogo nie niepokojeni, dopóki nawet dla nich nie stało się jasne, że król ich nie przyjmie. Mimo to nie odchodzili.

Ibn Sina prawie się nie odzywał. Raz tylko westchnął i powiedział:

— Zawsze była dla mnie jak córka... — A po chwili dodał:

— Szachowi łatwiej jest przyjąć otwarty cios i pogodzić się z drobną porażką, niż rzucić wyzwanie wezyrowi.

Cały następny dzień także przesiedzieli w Rajskim Domu, choć powoli zaczynało do nich docierać, że mimo zaszczytnej pozycji Ibn Siny jako Księcia Medyków i szczególnych względów, jakimi cieszył się Karim jako faworyt króla, władca nie kiwnie palcem.

— Szach poświęci Karima, żeby uniknąć otwartej wojny z Kandrasą — stwierdził wreszcie ponuro Rob. — To jakby partia gry szacha: Karim jest w niej figurą, na której mu zbytnio nie zależy.

— Za dwa dni przypada publiczna audiencja — rzekł Ibn Sina. — Musimy ułatwić szachowi przyjście im z pomocą. Publicznie zwrócę się do króla z prośbą o ułaskawienie. Jestem mężem tej kobiety, a Karim to ulubieniec ludu. Głos tłumu poprze moją prośbę, żeby ratować bohatera chatiru. Szach przychyli się do prośby zgodnie z wolą poddanych.

Gdyby tak się stało, dowodził, Karim dostałby może dwadzieścia kijów, a Despina chłostę i wyrok dożywotniego zamknięcia w domu swego pana.

Jednakże wychodząc z Rajskiego Domu spotkali al-Dżuzdzanego, który na nich czekał. Mistrz chirurgii kochał Ibn Sine jak wszyscy i powodowany tą miłością, przynosił im złą nowinę. Otóż Karima i Despinę postawiono przed muzułmańskim sądem. Zeznawało trzech świadków, sami świątobliwi mułowie. Zapewne chcąc uniknąć tortur zarówno Despina, jak i

Karim nie próbowali się bronić. Przewodniczący sadowi mufti skazał oboje na śmierć, którą mieli ponieść nazajutrz rano.

— Despina odda głowę — powiedział al-Dżuzdzani. — Karim jest skazany na rozplatanie brzucha.

Spojrzeli na siebie z przerażeniem. Rob czekał, że Ibn Sina powie przyjacielowi, jak można jeszcze uratować Karima i Despinę, lecz starzec pokręcił głową.

— Nie możemy odwrócić wyroku — oświadczył z ciężkim sercem. — Możemy im tylko zapewnić łżejszą śmierć.

— Musimy się więc tym zająć — rzekł łagodnie al-Dżuzdzani. — Trzeba przekupić ludzi i w miejsce studenta podstawić w więzieniu zaufanego medyka.

Pomimo wiosennego ciepła Rob poczuł nagły chłód.

— Niech to będę ja — powiedział.

Tę noc spędził bezsennie. Wstał przed świtem i wyruszył na kasztanku przez ciemne miasto. Przy domu Ibn Siny odniósł wrażenie, że lada chwila zobaczy w mroku eunucha Wasifa. W komnatach na wieży nie było widać najmniejszego promyka światła.

Ibn Sina daj mu dzban winnego soku.

— Jest w nim duża domieszka leku usypiającego i bang, proszek z czystych nasion konopi—wyjaśnił. — W tym właśnie leży niebezpieczeństwo, bo muszą tego dużo wypić, ale gdyby któreś wypilo za dużo i nie było w stanie chodzić, kiedy ich wezwą, umrzesz razem z nimi.

Rob skinął głową na znak, że zrozumiał.

— Wszystko w rękach Boga.

— Wszystko w rękach Boga — powtórzył Ibn Sina. Zanim Rob wyszedł z izby, sędziwy mędrzec już recytował Koran.

W więzieniu Rob powiedział strażom, że jest medykiem, więc dano mu eskortę i udali się najpierw do cel kobiecych. Z jednej z nich dobiegał na przemian kobiecy śpiew i płacz. Rob przeraził się, że ten straszliwy głos należy do Despiny, na szczęście okazało się, że nie.

Czekała w maleńkiej celi. Była nie umyta i nie uperfumowana, włosy wisiały jej w niechlujnych strąkach, drobne delikatne ciało okrywała brudna czarna szata. Dla Roba na zawsze miała pozostać Kobietą, połączeniem Annę Mary, jego siostry, Mary, jego żony, oraz ładaczniczki, która go obsłużyła w powozie z majdanu — uosobieniem każdej skrzywdzonej przez świat kobiety.

Oczy miała pełne nie wylanych łez, lecz nie chciała bangu.

— Musisz to wypić — namawiał ją. — To ci pomoże. Potrząsnęła głową. Jej przerażone oczy mówiły: wkrótce będę w raju.

— Podaj to jemu — wyszeptala, wobec czego Rob pożegnał się z Despiną.

Jego kroki budziły echo, gdy szedł za żołnierzem przez korytarz, potem w dół dwie kondygnacje niżej, do innego kamiennego tunelu i kolejnej maleńkiej celi.

Jego przyjaciel był blady jak płótno.

— Bywaj, Europejczyku.

— Bywaj, Karimie.

Uścisnęli się, mocno obejmując jeden drugiego.

— Czy ona...

— Widziałem się z nią. Nieźle się trzyma. Karim westchnął.

— Od tygodni z nią nie rozmawiałem! Chciałem tylko usłyszeć jej głos, rozumiesz?... Byłem pewien, że tego dnia nikt za mną nie szedł.



Rob skinął głową.

Karimowi drżały usta. Gdy Rob podał mu dzban, chwycił go, przechylił i pił, aż opróżnił w dwóch trzecich.

— Podziała — zapewnił go Rob. — Ibn Sina osobiście przyrządził napój.

— Starzec, którego czcisz... — westchnął Karim. — Często marzyłem, żeby go otruć i w ten sposób dostać Despinę.

— Każdy miewa złe myśli. Ty swoich nie zrealizowałeś. — Z jakiegoś powodu Robowi się wydawało, że koniecznie musi to dotrzeć do świadomości Karima, zanim narkotyki zaczną działać. — Rozumiesz?

Karim kiwnął głową. Rob przyjrzał mu się bacznie. Cały czas drżał z obawy, czy przyjaciel nie wypił za dużo bangu. Gdyby napar za mocno podziałał, sąd muftiego zebrałby się powtórnie, aby skazać drugiego medyka.

Karimowi jęły opadać powieki. Był w pełni przytomny, lecz wołał nie rozmawiać. Siedzieli w milczeniu, dopóki nie usłyszeli zbliżających się korytarzem kroków.

— Karimie... — szepnął Rob. Karim zamrugnął.

— To już?

— Pomyśl o zwycięstwie w chatirze — powiedział z czułością Rob. Kroki się zatrzymały, drzwi otworzyły. Po Karima przyszło trzech żołnierzy i dwóch mułłów. — Pomyśl o najszcześniejszym dniu swojego życia...

— Może Żaki Omar był dobrym człowiekiem... — rzekł w zadumie Karim i uśmiechnął się do Roba blade, bez wyrazu.

Dwóch żołnierzy wzięło go pod ręce. Rob ruszył tuż za nimi przez korytarz i dalej, po schodach, aż znaleźli się na dziedzińcu, gdzie blask słońca podziałał nań niczym uderzenie miedzianego młota. Ranek był łagodny i piękny, dopełniając miary okrucieństwa. Widział, że pod Karimem uginają się kolana, lecz wszyscy postronni mogli myśleć, że to ze strachu.

Minęli podwójny rząd karkanów i podeszli do pni, które Rob pamiętał z oglądanych tu koszmarnych scen. Obok postaci w czerni na zbroczonej krwią ziemi leżało coś strasznego, bang jednak pomieszał szyki mułłom — Karim tego nie dojrzał.

Kat wyglądał na niewiele starszego od Roba. Był niskim mężczyzną o posturze byka, rozłożystych ramionach i obojętnym spojrzeniu. Za jego siłę i klingę cieką jak włos zapłacił Ibn Sina.

Karim oczy miał szkliste, gdy żołnierze go podprowadzili do pnia. Nie było żadnych pożegnań. Kat uderzył szybko i pewnie, ostrze wbiło się w serce i zadało śmierć od razu, za co oprawca również wziął zapłatę. Rob usłyszał tylko, jak przyjaciel wydaje odgłos przypominający westchnienie niezadowolenia.

Pozostało jeszcze zadbać, by Despinę i Karima wyniesiono z więzienia na cmentarz za murami miasta. Zapłacił dobrze za odśpiewanie modłów nad świeżymi grobami — jak na ironię podjęli się tego ci sami mułłowie, co asystowali przy wykonywaniu wyroku na obojgu.

Po pogrzebie sam wypił resztę naparu pozostałą w dzbanie i puścił kasztanka luzem, by zaniósł go do domu. Znalazszy się w pobliżu Rajskiego Domu, ściągnął wodze i spojrzał na pałac. Tego dnia wyglądał szczególnie pięknie, barwne chorągwie trzepotały na wiosennym wietrze, słońce migotało w proporczykach i halabardach, oślepiało blaskiem odbitym w broni straży.

Rob słyszał głos szacha. „Jesteśmy czwórka przyjaciół... Jesteśmy czwórka przyjaciół...”

Uniósł rękę i potrząsnął pięścią.

— NIEGODZIWIY! — zawołał.

Jego głos, pobiegłszy ku murom, dotarł do strażników, którzy drgnęli zaniepokojeni. Do

najdalej wysuniętego posterunku zszedł oficer.

— Co to za jeden? Wiecie? — spytał

— Tak jest. Zdaje się, że to hakim Jesse. Ten zimmi.

Przyjrzeni się postaci na koniu, zobaczyli, że raz jeszcze potrząsa pięścią, zauważyli dzban na wino i luźno puszczone wodze konia. Oficer wiedział, że ten Żyd nie wrócił razem z wojskiem z Indii, lecz został z rannymi żołnierzami.

— Wygląda, że opił się wina — roześmiał się — ale to poczciwy psubrat. Dajmy mu spokój — powiedział, patrzyli więc tylko, jak kasztanek niesie medyka ku bramom miasta.

## Posępne miasto

Tak więc z trójki przyjaciół jeden Rob pozostał przy życiu. Na myśl, że zarówno Mirdin, jak i Karim leżą już w grobie, ogarniała go mieszanina wściekłości, żalu i smutku. Ich śmierć jednak w jakiś przewrotny sposób sprawiła, że życie stało się dla niego słodkie jak pocałunek ukochanej. Rozkoszne było wszystko co zwykłe i codzienne: głęboki haust powietrza w płucach, długi strumień oddawanego moczu, niemrawe pierdnięcie; czerstwy chleb w ustach, gdy był głodny, sen, gdy był zmęczony; dotknięcie wydętego brzucha żony, odgłos jej pochrapywania. Łaskotał synka w brzusek i gulgoczący wrzask rozbawionego dziecka napępiał mu oczy łzami.

Cieszył się wszystkim, mimo że Isfahan stał się teraz ponurym miastem. Skoro bowiem Allah i imam Kandraza zdołali pokonać zwycięzcę chatiru, bohatera Isfahanu, to czyż zwykły człowiek ośmieliłby się łamać prawa zaprowadzone przez Proroka?

Zniknęły gdzieś nierządnice, zamarło bujne nocne życie majdanów. Mułlowie parami przemierzali ulice miasta, pilnie wypatrując twarzy nieszczelnie zakrytej zasłoną, mężczyzny opieszale padającego do modlitwy na wezwanie muezina, właściciela herbaciarni na tyle niemądrego, by sprzedawać wino. Nawet w Jahudii Żydówki, które dotąd nakrywały tylko włosy, zaczęły teraz nosić muzułmańskie zasłony na twarzach.

Jedni ukradkiem wzdychali z żalu za muzyką i weselem dawnych nocy, inni wyrażali zadowolenie, w maristanie zaś hadzi Dawud Hosein składał dzięki Allahowi podczas porannej modlitwy: „Meczet i państwo wyszły z jednego łona i połączyły się, by nigdy już się nie rozdzielić.”

Każdego rana więcej wielbicieli przybywało pod dom Ibn Siny i przyłączało się do jego modlitw, teraz jednak Książę Medyków po modłach wchodził do domu i pokazywał się wtedy dopiero, gdy nadchodził czas następnej modlitwy. Oddał się bez reszty żałobie i rozmyślaniom nad sobą, nie pojawiał się nawet w maristanie, by uczyć albo leczyć. Chorymi, którzy sobie nie życzyli, aby ich dotykał zimmi, opiekował się al-Dżuzdzani, takich wszakże nie było wielu, toteż Rob, zajmujący się pacjentami Ibn Siny i własnymi, nie miał chwili wolnego czasu.

Któregoś ranka przywędrował do szpitala wychudzony starzec o smrodliwym oddechu i brudnych stopach. Kasem ibn Sadi miał nogi krzywe jak żuraw i wrzecionowatą, pogryzioną przez mole bródkę. Nie znał swego wieku i nie miał domu, gdyż przez prawie całe życie był poganiaczem w karawanach.

— Zwędrowałem cały świat, panie — przechwalał się.

— Europę też? Stamtąd pochodzę.

— Prawie cały świat—poprawił. Przyznał się, że nie ma żadnej rodziny, ale czuwa nad nim Allah. — Przyjechałem tu wczoraj z karawaną, która przywiozła wełnę i daktylę z Gomy. W drodze jak zły dżum schwycił mnie ból.

— Ból? Gdzie?

Kasem jęcząc chwycił się za prawy bok.

— Masz mdłości?

— Panie, rzygam już wnętrznościami i strasznie osłabłem. Ale jakem przysnął, Allah mi powiedział, że niedaleko jest ktoś, kto mnie uzdrowi. Zbudziłem się i popytałem ludzi, gdzie tu w pobliżu leczą, i skierowali mnie do tego maristanu.

Zaprowadzono go na posłanie, obmyto i nakarmiono lekką strawą. Był pierwszym

pacjentem z rozstrojem żołądka, którego Rob mógł obserwować w początkowym stadium choroby. Tyle że jeden Allah może wiedział, jak uzdrowić Kasema, Rob nie miał bowiem pojęcia.

Długie godziny przesiedział w bibliotece, aż w końcu uprzejmy Jusuf ul-Gamal z Domu Mądrości zapytał, czego tak wytrwale szuka.

— Tajemnicy choroby brzucha — wyznał Rob. — Szukam zapisków starożytnych, którzy otwierali ludzki brzuch, zanim tego zakazano.

Sędziwy bibliotekarz mrugnął i lekko kiwnął głową.

— Spróbuję ci pomóc. Zobaczymy, co da się zrobić—obiecał.

Ibn Sina był nieosiągalny, Rob udał się zatem do al-Dżuzdzaniego, któremu brak było jednak tej cierpliwości, jaką miał Książę Medyków.

— Ludzie często umierają na rozstrój—rzekł al-Dżuzdzani Robowi — ale bywa, że przychodzą do maristanu z bólem i pieczeniem w prawej stronie dolnej części brzucha, potem im to mija, więc odsyłamy ich do domu.

— Dlaczego jednym mija, a innym nie?

Al-Dżuzdzani wzruszył ramionami i popatrzył na Roba niecierpliwie. Nie miał ochoty poświęcać temu tematowi więcej czasu.

Kasemowi ból istotnie po paru dniach przeszedł, ale Rob nie chciał go wypuścić z maristanu.

— Dokąd pójdziesz, człowieku? — zapytał. Starzec wzruszył ramionami.

— Poszukam jakiejś karawany, hakimie, one mi są domem.

— Nie wszyscy, którzy tu przychodzą, są w stanie wyjść. Niektórzy umierają, rozumiesz? Kasem poważnie skinął głową.

— Każdy musi kiedyś umrzeć.

— Mycie umarłych i przygotowywanie ich do pogrzebu to służba dla Allaha. Możesz podjąć się tej pracy?

— Tak, hakimie. To zbożna praca, jak mówisz — oświadczył uroczyście stary. — Allah mnie tu sprowadził, więc może chce, żebym został.

Obok dwóch sal służących jako szpitalna kostnica znajdowała się mała komórka. Razem ją wyprzątnęli i odtąd stała się mieszkaniem Kasema ibn Sadiego.

— Jak chorzy zostaną nakarmieni, dostaniesz i ty strawę — obiecał Rob. — Tu będziesz jadał i spał, a kąpać się możesz w łaźniach maristanu.

— Tak jest, hakimie.

Rob dał mu matę do spania i glinianą lampkę, a stary rozwinąwszy modlitewny dywanik orzekł, że to najwspanialszy dom, jaki miał w życiu.

Minęły prawie dwa tygodnie, nim w wypełnionym pracą życiu Rob znalazł wolną chwilę, by spotkać się z Jusufem ul-Gamalem w Domu Mądrości. Pragnąc wyrazić bibliotekarzowi wdzięczność za okazaną pomoc, przyniósł mu podarunek. Wprawdzie wszędzie na straganach wzrok nęciły wielkie smakowite orzeszki pistacji, ale Jusufowi niewiele pozostało zębów, Rob więc zamiast orzechów kupił trzciniowy koszyk dorodnych słodkich daktyli.

Późnym wieczorem zasiedli w Domu Mądrości z Jusufem do tych owoców. W bibliotece poza nimi nikogo nie było.

— Cofnąłem się w czasie — rzekł Jusuf — tak daleko, jak mogłem. Do starożytności. Okazuje się, że nawet Egipcjan, których sławę w dziedzinie balsamowania znasz, uczono, że otwieranie ciał zmarłych jest złe i niegodne.

— No to... to jak w takim razie robili mumie?

— To byli obłudnicy. Opłacali ludzi pogardzanych, zwanych parasytami, aby to oni

dopuszczali się grzechu dokonując zakazanego pierwszego nacięcia. Natychmiast po jego wykonaniu paraszyta uciekał, żeby go nie ukamienowano, ale w ten sposób przyznawał się do winy, co pozwalało już godnym balsamistom wydobyć organa z brzucha i przystąpić do zabiegów zabezpieczających przed zepsuciem.

— Czy badali usunięte organa? Może gdzieś spisali swoje spostrzeżenia?

— Balsamowali umarłych przez pięć tysięcy lat, w sumie wypatroszyli prawie trzy czwarte miliarda ludzi zmarłych od wszelakich chorób, a ich wnętrzności umieszczali w naczyniach z gliny, wapienia albo alabastru lub po prostu je wyrzucali. Nie ma jednak żadnych świadectw, żeby kiedykolwiek te organa badali.

— Grecy... no, tu było inaczej. Ale też działo się to nad Nilem. — Jusuf zaczerpnął następną garść daktyli. — Aleksander Wielki, niczym piękny młody bóg wojny, przemknął przez nasz kraj jak burza dziewięćset lat przed narodzeniem Mahometa. Podbił świat starożytny i na północno-zachodnim krańcu delty Nilu, na skrawku ziemi między Morzem Śródziemnym a jeziorem Mareotis, założył wdzięczne miasto, któremu nadał własne imię.

— Dziesięć lat później — ciągnął bibliotekarz — zmarł na gorączkę bagiennej, lecz Aleksandria już była centrum greckiej kultury. Kiedy upadło imperium Aleksandra, Egipt razem z tym nowym miastem dostał się Ptolemeuszowi Macedońskiemu, jednemu z najbardziej uczonych towarzyszy Aleksandra. Ptolemeusz założył Muzeum Aleksandryjskie, pierwszy uniwersytet na świecie i wielką Bibliotekę Aleksandryjską. Rozkwitły tam wszystkie gałęzie wiedzy, a szkoła medycyny przyciągała najbardziej obiecujących uczonych z całego świata. Po raz pierwszy i jedyne w długiej historii ludzkości podstawą wiedzy medycznej stała się anatomia, a sekcję ludzkiego ciała stosowano na szeroką skalę przez następne trzysta lat.

Rob niecierpliwie pochylił się w jego stronę.

— A więc można przeczytać ich opisy chorób atakujących wewnętrzne organy?

Jusuf pokręcił przecząco głową.

— Księgi z tej znakomitej biblioteki przepadły trzydzieści lat przed początkiem ery chrześcijańskiej, kiedy legiony Oktawiana zrabowały Aleksandrię. Rzymianie zniszczyli wtedy większość ksiąg aleksandryjskich medyków, a te resztki, które się zachowały, zebrał dla potomnych Celsus w swym dziele pod tytułem „De re medicina”, ale jest w nim tylko krótka wzmianka o „chorobie grubego jelita atakującej tę jego część, w której, jak wspominałem, znajduje się jelito ślepe, połączonej z ostrym zapaleniem i gwałtownym bólem występującym głównie po prawej stronie”.

Rob chrząknął rozczarowany.

— Znam ten cytat. Posługuje się nim w swoich wykładach Ibn Sina.

Jusuf wzruszył ramionami.

— A więc moje poszukiwania w przeszłości nic ci nie dają: jesteś dokładnie tam, gdzie byłeś, zanim je zacząłem. Spostrzeżenia, których szukasz, po prostu nie istnieją.

Rob ponuro skinął głową.

— A dlaczego przypuszczasz — zaciekawił się Jusuf — że ten jedyny krótki moment w dziejach medycyny, kiedy otwierano ludzkie ciało, nastąpił za Greków?

— Bo nie dane im było czcić jedyne potężnego Boga, który by im zabraniał profanowania swoich stworzeń. Mieli zamiast niego samych nierządników, słabych i kłótliwych bogów i boginie.

Bibliotekarz wypluł w stuloną dłoń garść daktylowych pestek i słodko się uśmiechnął.

— Wolno im było dokonywać autopsji, ponieważ w końcu byli tylko barbarzyńcami, hakimie — powiedział.

## Dwaj przybysze

Mary była w zbyt zaawansowanej ciąży, by jeździć konno, wybrała się więc pieszo po żywność dla rodziny, osioł zaś dźwigał zakupy i małego Roba, przytroczonego w rzemiennych szelkach do grzbietu zwierzęcia. Ciężar nie narodzonego dziecka męczył ją, bolały ją plecy, posuwała się więc powoli z jednego targu na drugi. Na ormiańskim jak zwykle zatrzymała się przy straganie rymarza, aby się napić szербetu i przełamać gorącym plackiem perskiego chleba z Priską.

Priska zawsze okazywała radość na widok swojej dawnej pani i dziecka, które wykarmiła, tego dnia jednak była szczególnie wylewna. Mary, chociaż usilnie się starała nauczyć perskiego, wciąż znała zaledwie parę słów. Z gadaniny Priski pojęła niewiele: obcy, z daleka, jak hakim, jak ty.

Nie mogąc się zrozumieć, pożegnały się mocno zawiedzione, toteż wieczorem Mary nie potrafiła ukryć zdenerwowania, gdy opowiadała mężowi o tym wydarzeniu. Rob tymczasem wiedział, co Priska chciała jej powiedzieć, wieść bowiem szybko dotarła do maristanu.

— Do Isfahanu przyjechał jakiś Europejczyk — oznajmił krótko.

— Z jakiego kraju?

— Z Anglii. To kupiec.

— Anglik? — Mary szeroko otworzyła oczy, w których zabłysło zainteresowanie i podniecenie, twarz jej oblał rumieniec, rękę bezwiednie przycisnęła do piersi. — Czemu zaraz do niego nie poszedłeś?

— Mary...

— Musisz go odwiedzić! Wiesz, gdzie się zatrzymał?

— W dzielnicy ormiańskiej, dlatego Priska o nim wiedziała. Podobno na razie chciał się ograniczyć do kontaktów z chrześcijanami, ale — Rob się uśmiechnął — jak zobaczył nory, w których żyje ta garstka ormiańskich chrześcijan, prędko wynajął od muzułmanina lepszy dom.

— Musisz do niego napisać. Zaproś go na wieczerzę.

— Nie znam nawet jego nazwiska.

— Czy to ważne? Wynajmij posłańca. Każdy w ormiańskiej dzielnicy wskaże mu drogę... Rob! Przecież on nam powie, co słyhać w kraju!

Ostatnią rzeczą, o jakiej Rob marzył, był kontakt z chrześcijaninem z Anglii. Wiedział jednak, że nie może pozbawić Mary możliwości dowiedzenia się czegoś o miejscach bliższych jej sercu niż Persja, usiadł więc i napisał list.

— Jestem Bostock. Charles Bostock.

Rob przypomniał go sobie od razu. Kiedy jako chłopiec balwierza wracał do Londynu po raz pierwszy, odkąd to miasto opuścił, dwa dni jechali w długim szeregu juczych koni Bostocka, obładowanych solą z warzelnii w Arundel, przyłączywszy się do karawany dla bezpieczeństwa, jakie zapewniała. Na postojach popisywali się zonglerką i kupiec dał Robowi dwa pensy na wydatki w Londynie.

— Jesse ben Beniamin, medyk.

— Wasze zaproszenie napisane jest po angielsku. I mówicie moim językiem.

Rob mógł mu dać tylko jedną odpowiedź, tę, której udzielał każdemu w Isfahanie.

— Wychowałem się w mieście Leeds — wyjaśnił. Ta sytuacja bardziej go bawiła, niż

niepokoiła. Minęło przecież czternaście lat. Szczeniak, jakim byłem wtedy, wyrósł na dziwnego psa, pomyślał, i mało prawdopodobne, żeby Bostock skojarzył małego żonglera z roslącym żydowskim medykiem, który ściągnął go do swego domu w Persji. — A to moja żona, Mary, jest Szkotką z Północy.

— Witajcie, pani.

Mary ogromnie chciała się wystroić na przyjęcie gościa, lecz z powodu wielkiego brzucha nie mogła włożyć niebieskiej sukni i miała na sobie szeroką jak namiot czarną szatę. Wymyte rude włosy lśniły za to wspaniale. Przewięzała je haftowaną przepaską ozdobioną jedynym klejnotem, jaki posiadała, wisiorkiem z perełkami opadającym między brwiami.

Bostock nadal nosił długie włosy ściągnięte z tyłu wstążką zawiązaną na kokardę, teraz wszakże był raczej siwy niż jasnowłosy. Strojne ubranie z czerwonego aksamitu, przybrane brudnymi koronkami, było za ciepłe na tutejszy klimat i zbyt kosztowne na tę okazję. Rob nie widział dotąd oczu, które by tak otwarcie ważyły i szacowały wartość każdego zwierzęcia, domu, ich ubrań i sprzętów. I które by z taką ciekawością i niechęcią mierzyły krzepkiego brodatego Żyda, jego celtycką rudą żonę zaokrągloną od ciąży i śpiące dziecko, jeszcze jeden dowód bezwstydnego związku łączącego tę mieszaną parę.

Mimo nie ukrywanego niezadowolenia gość równie jak oni był spragniony dźwięku ojczyściej mowy, toteż wkrótce zawiązała się rozmowa. Rob i Mary, nie mogąc się pohamować, zasypali przybysza pytaniami:

— Znacie Szkocję?

— W jakich czasach wyjeżdżaliście z Londynu, złych czy dobrych?

— Panował wtedy pokój?

— Czy Kanut nadal jest królem?...

Bostock drogo musiał płacić za wieczerzę, choć wieści, jakie przynosił, pochodziły niemal sprzed dwóch lat. Nic nie wiedział o ziemiach zamieszkałych przez Szkotów ani o północy Anglii. Czasy nadal były pomyślne i Londyn się rozrastał, co roku wznoszono więcej domów, coraz powszechniej korzystano też z udogodnienia, jakim dla handlu okazała się Tamiza. Na dwa miesiące przed jego wyjazdem, opowiadał, król Kanut zmarł śmiercią naturalną, a kiedy wylądował w Calais, dowiedział się o śmierci Roberta, diuka Normandii.

— Po obu stronach Kanału rządzą teraz bastardi—mówił. — W Normandii Wilhelm, syn z nieprawego łoża Roberta, choć to jeszcze dziecko, został diukiem Normandii dzięki pomocy przyjaciół i krewniaków zmarłego ojca... W Anglii sukcesja prawnie należała się Harthakanutowi, synowi Kanut i królowej Emmy, ale Harthakanut od lat prowadził niegodne Brytyjczyka życie w Danii, toteż tron uzurpował sobie jego młodszy przyrodni brat. Dziś królem Anglii jest więc Harold Zająconogi, uznany przez Kanuta bastard, którego władca miał z mało znanej kobiety z Northampton, niejakej Aengutu.

— A co się dzieje z Edwardem i Alfredem, książętami, których Emma zrodziła królowi Ethelredowi, nim została żoną Kanuta? — spytał Rob.

— Są w Normandii na dworze diuka Wilhelma i można przypuszczać, że z wielkim zainteresowaniem patrzą, co też słychać po drugiej stronie Kanału — odparł Bostock.

Rob z żoną byli ogromnie spragnieni szczegółów z kraju, zdążyli jednak zgłodnieć, apetyt zaś wszystkim pobudziły jeszcze zapachy gotowanego przez Mary posiłku. Wzrok kupca nieco złagodniał, gdy ujrzał, co podała na jego cześć: dwa dobrze natarte oliwą bażanty, nadziewane na perski sposób ryżem z winogronami, długo i powoli duszone w garnku, letnią sałatkę i słodkie melony oraz ciasto na miodzie z morelami. A także, co nie mniej ważne, kupiony drogo i z narażeniem życia bukłak dobrego różowego wina. Mary wybrała się po nie z Robem na żydowski targ do Hindy, która najpierw gwałtownie się wyparła, jakoby miała wino, rozglądając się trwożliwie, czy kto nie dosłyszał ich pytania. Po wielu prośbach i za

trzykrotnie wyższą cenę wygrzebała z worka z ziarnem buklak. Mary przyniosła go do domu ukryty przed mułami w chuście ze śpiącym dzieckiem.

Bostock skwapliwie zabrał się do jedzenia, nasyciwszy się zaś, beknął głośno i oświadczył, że za parę dni wraca do Europy.

— Jak już przybyłem do Konstantynopola, gdzie załatwiałem interesy Kościoła, nie mogłem się oprzeć, żeby nie wybrać się dalej na wschód. Czy wiecie, że król Anglii obiecał

nadać szlachectwo każdemu kupcowi podróżnikowi, który się poważy odbyć trzy wyprawy do obcych krajów, żeby przetrzeć drogę dla angielskiego handlu?... Dla wolnego człowieka piękny to sposób pozyskania szlachectwa, a przy tym wielkich zysków. „Jedwab!”, pomyślałem zaraz. Gdybym się wybrał Jedwabnym Szlakiem, mógłbym sprowadzić towar, za który kupiłbym cały Londyn! Jak już dotarłem do Persji, uradowany nakupiłem zamiast jedwabiu dywanów i cienkich tkanin. Ale więcej tu nie przyjadę, bo zysk z tego niewielki... Muszę przecie opłacić całą armię strażników, żeby przewieźć je do Anglii.

Rob chciał porównać szlak swojej podróży na Wschód z drogą, jaką przebył Bostock, gdy ten naraz wyznał, że z Anglii udał się najpierw do Rzymu.

— Połączyłem interes z zadaniem, które poruczył mi Ethelnot, arcybiskup Canterbury. Na Lateranie papież Benedykt Dziewiąty obiecał mnie hojnie wynagrodzić za expeditiones in terra et mari i w imię Jezusa Chrystusa przykazał mi po drodze zajechać do Konstantynopola z papieskimi listami dla patriarchy Aleksęgo.

— Jesteście więc papieskim posłem, panie! — zawołała Mary.

Nie tyle posłem, co gońcem, pomyślał trzeźwo Rob, ale Bostocka nad wyraz ucieszyło zdumienie Mary.

— Od sześciuset lat Kościół zachodni spiera się ze wschodnim — powiedział kupiec, aż pęczniąc z dumy. — W Konstantynopolu uważa się Aleksęgo za równego papieżowi, co wywołuje wielkie oburzenie w Rzymie. Ci potępińcy, kapłani podlegli patriarche, żyją z kobietami... żenią się! I ani się nie modlą do Jezusa i Maryi, ani nie czczą jak należy Trójcy Świętej. Toteż między Rzymem a Konstantynopolem stale kursują wysłannicy z listami, w których papież gani patriarchę...

Dzban był już pusty, Rob zabrał go więc do drugiej izby, by dolać wina z buklaka. Skorzystał z tego Bostock i zapytał Mary:

— Jesteś chrześcijanką?

— Tak — odparła.

— Więc jak się dostałaś temu Żydowi? Porwali cię i sprzedali piraci albo muzułmanie?

— Jestem jego żoną — powiedziała wyraźnie.

W izbie obok Rob przerwał nalewanie wina i słuchał z ustami rozciągniętymi w niewesołym uśmiechu. Ten Anglik taką żywił dla niego pogardę, że nie zatroszczył się nawet, by ściszyć głos.

— Zapewnię w karawanie miejsce tobie i dziecku. Możesz mieć lektykę i tragarzy, dopóki nie urodzisz i nie będziesz mogła dosiadać konia.

— To niemożliwe, panie. Należę do mojego męża z wolnej woli — odpowiedziała Mary i chłodno mu podziękowała.

Bostock oświadczył z uprzejmą powagą, że spełnił chrześcijański obowiązek, takiej bowiem przysługi oczekiwaliby od współwyznawców, gdyby nie dał Boże jego córka znalazła się w podobnych okolicznościach.

Rob wrócił do stołu. Ręka go swędziała, by dać nauczkę Bostockowi, lecz dla niego był Jessem ben Beniaminem, zachował się więc ze wschodnią gościnnością i dolał gościowi wina, zamiast go udusić. Rozmowa jednak już się nie kleiła. Niemal natychmiast po zakończeniu posiłku Anglik pożegnał się i Rob z Mary zostali sami.



Zajęci byli każde własnymi myślami sprząając ze stołu. Wreszcie Mary zagadnęła:

— Wrócimy kiedy do kraju? Roba zdumiało jej pytanie.

— No pewnie!

— Więc Bostock nie był moją jedyną okazją?

— Przysięgam. Oczy jej zabłysły.

— Ten kupiec słusznie robi, że najmuje całą armię do obrony. To taka niebezpieczna podróż... Za daleka, żeby dwoje dzieci dojechało żywe.

Wyczuł w niej jakąś obcość, mimo to objął ją ostrożnie.

— Jak dojedziemy do Konstantynopola, będę mógł się przyznać, że jestem chrześcijaninem, i przyłączymy się do jakiejś silnej karawany.

— A stąd do Konstantynopola?

— Jadąc tutaj, poznałem pewną tajemnicę — odparł Rob, pomagając jej się położyć. Miała z tym teraz trudności, a nawet jak już leżała, to jakkolwiek przyjęła pozycję, wkrótce coś ją zaczynało boleć. Rob przytulił ją i pogłaskał, przemawiając uspokajająco jak do dziecka. — W drodze z Isfahanu do Konstantynopola pozostanę Jessem ben Beniaminem. W każdej wsi, gdzie żyją żydzi, ktoś nas przyjmie na noc, nakarmi, pomoże przebyć następny etap. To tak jakbyśmy się przeprawiali przez groźną rzekę skacząc z jednego bezpiecznego kamienia na drugi... — Dotknął jej twarzy, położył dłoń na wzdętym brzuchu. Poczłł ruchy nie narodzonego dziecka i wypełniły go wdzięczność i współczucie dla Mary. Tak właśnie odbędziemy podróż, przyrzekł sobie w duchu. Nie potrafił jednak powiedzieć, kiedy wyruszą.

Rob przywykł już spać skulony przy wielkim twardym brzuchu Mary, ale którejś nocy zbudził się czując wszędzie wilgoć i ciepło. Oprzytomniawszy, zerwał się, wciągnął ubranie i pobiegł po Netkę Akuszerkę. Chociaż przywykła, że w środku nocy ludzie dobijają się do jej drzwi, wyjrzała zła i niezadowolona, uciszyła go i kazała cierpliwie poczekać.

— Wody już odeszły — ponaglał ją gorączkowo.

— Dobrze, dobrze — gderiała.

Wkrótce ruszyli przez ciemne ulice całą karawaną. Rob oświetlał drogę pochodnią, Netka szła za nim z worem czystych szmat, a za nimi podążało jej dwóch krępych synów uginających się pod ciężarem krzesła porodowego.

Kiedy Chofni i Szemuel ustawili krzesło jak tron przy palenisku, Netka poleciła Robowi rozpałcić ogień, gdyż noc była zimna. Mary usadowiła się na krześle jak naga królowa. Synowie Netki wyszli już wcześniej, zabierając ze sobą małego Roba, by zająć się nim przez czas porodu. W Jahudii tego rodzaju przysługi były na porządku dziennym między sąsiadami, nawet gdy szło o gojkę.

Z nadejściem pierwszych bólów cała królewskość Mary znikła, a ostry urywany wrzask dobywający się z jej gardła napęlił Roba przerażeniem. Netka tymczasem zajęła się składaniem i porządkowaniem szmat, ani trochę się nie przejmując, gdy Mary ze szlochcem czepiała się uchwyty krzesła, wystarczająco solidnego na szczęście, by wytrzymać jej szamotaninę. Po nogach cały czas przebiegały jej dreszcze, w chwilach zaś skurczów kopała nimi i rzucała. Po trzecim ataku bólu Rob stanął za nią i przytrzymał jej ramiona na oparciu krzesła. Mary z wyszczerzonymi zębami warczała jak wilczyca. Nie zdziwiłby się, gdyby zawyla albo go ugryzła.

Odcinał już ludziom ręce i nogi, uodpornił się na widok najpaskudniejszych chorób, teraz jednak czuł, jak krew mu zastyga w żyłach. Akuszerka spojrziała na niego surowo, palcami jak szpony chwyciła go za skórę na ramieniu i ścisnęła. Bolesne uszczypnięcie przywróciło mu władzę nad zmysłami i pozwoliło się nie zhańbić.

— Wynos się stąd — rozkazała Netka. — No już!

Wyszedł zatem do ogrodu, stanął i w ciemnościach nasłuchiwał dobiegających z domu

odgłosów. Było chłodno i cicho. Przez moment pomyślał o zmijach wylazących z kamiennego muru, lecz stwierdził, że nie dba o nie. Nie czuł upływu czasu, w porę wszakże przypomniał sobie, że trzeba dorzucić dREW do ognia, wszedł więc z powrotem do domu.

Mary kolana miała szeroko rozchylone.

— Teraz będziesz parła — surowo mówiła Netka. — Do roboty, moja miła, do roboty!

Rob jak zaczarowany patrzył, gdy pomiędzy udami Mary pojawił się czubek główki dziecka, przypominający wilgotną zaczerwienioną tonsurę mnicha. Nie wytrzymał jednak — uciekł z powrotem do ogrodu. Siedział tam długo, dopóki nie usłyszał cieniutkiego płaczu. Wtedy wrócił do domu i zobaczył dziecko.

— Jeszcze jeden chłopak — powiedziała rześko Netka, ocierając koniuszkiem palca śluz z maleńkich ust noworodka.

Gruba jak postronek pępowina wydawała się sina w słabym świetle świtu.

— Poszło dużo łatwiej niż za pierwszym razem — wyszeptała Mary.

Netka sprawnie obmywała dziecko i Mary, krzepiąco pogadując, na koniec dała Robowi łożysko, każąc zakopać je w ogrodzie. Z zadowoleniem kiwnęła głową, gdy wręczył jej szczerą zapłatę, i poszła do domu.

Kiedy zostali w sypialnej izbie sami, uściskali się, a potem Mary poprosiła o wodę i ochrzciła dziecko nadając mu imiona Thomas Scott. Rob wziął synka na ręce i obejrzał: był nieco mniejszy niż jego starszy brat, ale nie żaden karzeł — silny, rumiany chłopak o okrągłych brązowych oczach i ciemnej czuprynie, już połyskującej rudo jak włosy matki. Z oczu i kształtu głowy, z szerokich ust i długich wąskich paluszków noworodek, jak się Robowi wydawało, bardzo był podobny do jego braci, Williama Stewarta i Jonathana Cartera zaraz po urodzeniu.

— Dziecko Cole'ów zawsze łatwo było rozpoznać — powiedział do Mary.

## Diagnoza

Kasem już dwa miesiące zajmował się w maristanie zmarłymi, gdy znowu dopadł go ból brzucha.

— Jak cię boli? — zapytał Rob.

— Bardzo, hakimie — odparł, choć niewątpliwie ból nie był tak silny jak poprzednio.

— Czy to ból tępy czy ostry?

— Tak jakby siedział we mnie dzinn i szarpał, pazurami rozdzierał mnie od środka.

Były poganiacz wyglądał na mocno przerażonego myślą, że dostał się może we władanie złego ducha. Wlepił błagalne spojrzenie w Roba szukając zaprzeczenia. Nie gorączkował, jak w czasie ataku, który sprowadził go do maristanu, nie miał też twardego brzucha. Rob polecił mu często zażywać odmierzone porcje mieszanki miodu z winem, które Kasem przyjmował nad wyraz gorliwie, gdyż był pijakiem i z przykrością znosił narzuconą przez religię abstynencję. Dzięki tej kuracji spędził parę tygodni w błogim upojeniu, próżnując i rozprawiając z innymi chorymi w szpitalu. A było o czym plotkować.

Według najświeższych pogłosek imam Kandrasa uciekł z miasta, choć odniósł nad szachem wyraźne zwycięstwo — i polityczne, i taktyczne. Mówiono, że schronił się u seldżuckich Turków i zamierza wrócić z seldżucką armią, by obalić Alę i na perskim tronie osadzić surowego muzułmańskiego władcę. Może nawet sam planował na nim zasiąść.

Tymczasem życie płynęło zwykłym trybem. Ponurzy mułowie nadal dwójkami przemierzali ulice, przebiegły stary imam zostawił bowiem w Isfahanie swego zausznika, Musę ibn Abbasa, jako strażnika wiary.

Szach w ogóle nie opuszczał Rajskiego Domu, jakby się ukrywał, nie udzielał też posłuchań. Odkąd stracono Karima, Rob nie miał od niego znaku życia. Przeszono go wzywać na przyjęcia, polowania czy pogawędki przy grze szacha — krótko mówiąc, ani razu nie został zaproszony do Rajskiego Domu. Kiedy potrzebowano tam medyka, w miejsce niedysponowanego Ibn Siny sprowadzano al-Dżuzdżaniego lub kogoś innego, nigdy Roba.

Jednakże szach o nim nie zapomniał—przysłał podarek dla nowo narodzonego syna zunmiego. Dostarczono go na hebrajską uroczystość nadania dziecku imienia.

Tym razem Rob wiedział, że winien osobiście zaprosić na nią sąsiadów. Reb Aszer Jakobi, mohel, pomodlił się, by dziecko rosło silne i spełniało dobre uczynki, i ściał chłopcu napletek. Małństwu dano do ssania szmatkę umoczoną w winie, by przestało płakać z bólu, po czym ogłoszono w Języku, że jest Tomem, synem Jessego.

Szach nie uczcił żadnym podarunkiem narodzin małego Roba, teraz jednak przysłał piękny dywanik z jasnoniebieskiej wełny przetykanej świetlistą srebrną nicią w tym samym odcieniu, z wytłoczonym ciemniejszym błękitnym herbem królewskiego rodu Samanidów.

Robowi spodobał się dywanik i byłby go położył na podłodze przy kołysce, gdyby nie Mary, która kapryśnie oświadczyła, że sobie tego nie życzy. Kupiła skrzynkę z sandałowego drewna, chroniącego przed molami, i do niej schowała prezent od szacha.

Robowi przypadł w udziale zaszczyt uczestniczenia w komisji egzaminacyjnej. Wiedział, że zasiada w niej w zastępstwie nieobecnego Ibn-Siny, i czuł się zawstydzony na myśl, iż ktoś mógłby go posądzić o pychę i płynącą z niej chęć zajęcia miejsca Księcia Medyków. Na to jednak nie było rady, postarał się więc wypaść jak najlepiej.

Przygotował się do tej roli, jakby sam był kandydatem, a nie egzaminatorem. Tak obmyślił pytania, by studenta nie pogrążyć, lecz wydobyć jego wiedzę, i uważnie słuchał

odpowiedzi. Komisja przepytala czterech kandydatow i zgodnie mianowala trzech medykow, z czwartym natomiast byl klopot. Gabri Baizawi studiowal medycyne od pieciu lat. Juz dwa razy nie sprostal egzaminom, ale jego ojciec byl bogatym i wplywowym czlowiekiem, pozyskal sobie pochlebstwem hadziego Dawuda Hoseina, administratora madrasy, ktory zazadal, by Baizawiego przepytano jeszcze raz.

Rob studiowal razem z nim, totez wiedzial, ze to leniwy nicpon i z chorymi obchodzi sie zle i nieuważnie. Po raz trzeci przystapil do egzaminu, jak sie okazalo, slabo przygotowany.

Rob wiedzial, co by zrobil Ibn Sina.

— Odrzucam kandydata — powiedzial stanowczo i bez wielkiego zalu. Pozostali egzaminatorzy bez wahania wyrazili podobna opinie i komisja sie rozwiadzala.

Kilka dni pozniej do maristanu przyszedl Ibn Sina.

— Witamy z powrotem, panie! — rzekl uradowany Rob. Ibn Sina pokrecil glowa.

— Nie wracam.

Wygladal na zmeczonego i wyczerpanego i powiedzial Robowi, ze przychodzi do kolegow po porade medyczna. Chcial o nia prosic al-Dzuzdzaniego i Jessego ben Beniamina.

Zasiedli we trojke w jednej z sal, w ktorych badano pacjentow, i najpierw postarali sie odtworzyc cala historie choroby, jak sam mistrz ich nauczyl. Ibn Sina dotad spokojnie czekal w nadziei, ze wkrótce przyjdzie do siebie i na powrot podejmie swoje obowiazki. Nie podnosil sie jednak po przezytym niedawno podwojnym ciosie, jakim byla dla niego utrata najpierw Rezii, a potem Despiny, zaczal tez czuc sie i wygladac coraz gorzej. Byl stale znuzony i slaby, niezdolny do wykonywania najprostszych nawet czynnosci. Z poczatku przypisywal te objawy ostrej melancholii.

— Wszyscy dobrze wiemy — mowil—jak dziwne i straszliwe rzeczy potrafi czynic duch z cialem.

Tymczasem ostatnio zaczely mu dokuczac czeste wypróżnienia, a stolec mial zmieszany ze sluzem, ropą i krwia. Dlatego wlasnie poprosil ich o zbadanie.

Wykonali je tak drobiazgowo i skrupulatnie, jakby juz nigdy nie mieli miec okazji do zbadania czlowieka. Ibn Sina siedzial posluszny i cierplivy, pozwalajac sie szturchac, naciskac, opukiwac, osluchiwac i wypytywac.

Gdy skonczyli, al-Dzuzdzani, choc pobladly, twarz przyoblekl w pogodny wyraz.

— To krwawa biegunka, mistrzu — powiedzial — spowodowana przykrymi przezytymi.

Robowi wszakze intuicja mowila co innego. Popatrzyl na ukochanego nauczyciela.

— Ja sudge, ze to szirri, wczesne stadium. Ibn Sina zamrugal.

— Rak wnetrznosci? — zapytal tak spokojnie, jakby mowil o pacjencie, ktorego widzi pierwszy raz.

Rob skinal glowa, starajac sie nie myslec o meczarniach, jakie sprowadza ta choroba.

Al-Dzuzdzani az poczerwienial ze zlosci, ze ktos wyrazil odmienne niz on zdanie, lecz Ibn Sina go ugłaskal. Dopiero teraz Rob pojal, dlaczego stary medyk zwrócił się do nich obu: wiedzial, ze al-Dzuzdzani zaslepiony miłoscia nie dopuscil do siebie okropnej prawdy.

Poczul slabosc w nogach. Ujal dloni Ibn Siny, oczy ich sie spotkaly. Nie odrywali od siebie wzroku.

— Macie jeszcze sily, mistrzu—rzekl Rob. — Musicie dbac o wypróżnienia, zeby nie gromadzila sie w was czarna zolc, ktora powoduje szybszy rozrost raka.—Pierwszy Medyk skinal glowa, Rob zas dodal: — Daj Boze, zebym sie pomyлил w diagnozie.

— Modlitwa nie zawadzi — odparl Ibn Sina z bladym usmiechem.

Rob spytal jeszcze mistrza, czy moglby go w najblizszym czasie odwiedzic i spedzic z nim wieczor nad gra szacha, starzec zas zapewnil, ze Jesse ben Benjamin zawsze jest mile

widziany w jego domu.

## Zielone melony

Pewnego skwarne go dnia pod koniec lata, gdy pył aż dusił w powietrzu, z mgielki upału na północnym wschodzie wyłoniła się karawana stu szesnastu wielbłądów z dzwoneczkami. Kroczące równym szeregiem zwierzęta pluły zaropiałą śliną pod ciężarem pakunków z rudą żelaza, gdy późnym popołudniem weszły w kręte ulice Isfahanu. Szach spodziewał się, że Dhana Yangalil z tej rudy wytopi błękitną stal na wiele mieczy. Niestety, miało się z czasem okazać, że zawarte w niej żelazo jest do tego celu za miękkie. Tymczasem przyniesiona przez karawanę wieść wywołała wśród części mieszkańców miasta niespokojne poruszenie.

Człowieka imieniem Chendi, przywódcę karawany, wezwano do pałacu, by szczegółowo powtórzył wszystko szachowi, a następnie zabrano go do maristanu, żeby to samo zrelacjonował medykom.

Otóż Mahmud, sułtan Gazny, od wielu miesięcy ciężko chorował. Miał gorączkę, a w piersiach zebrało mu się tyle ropy, że na plecach powstał rozległy miękki naciek. Jego medycy orzekli, że jeśli chce żyć, to zawartość nacieku trzeba odciągnąć. Chendi utrzymywał, że sułtanowi oblepiono całe plecy cienką warstwą glinki garncarskiej.

— Dlaczego?—zapytał jeden ze świeżo upieczonych medyków.

Chendi wzruszył ramionami, lecz al-Dżuzdżani, który przewodził w maristanie pod nieobecność Ibn Siny, wyjaśnił:

— Glinkę należy uważnie obserwować, bo miejsce, które pierwsze wyschnie, wskaże najbardziej rozpaloną część skóry, a więc najdogodniejszą do wykonania nacięcia.

— Jak chirurdzy rozcięli pęcherz — ciągnął Chendi — trysnęła z niego ropa. Potem założyli sączki, żeby ściągnąć pozostałą.

— Czy skalpel miał zaokrąglone ostrze czy spiczaste? — spytał al-Dżuzdżani i natychmiast zawtórowali mu inni:

— Czy go znieczulili?

— Czy sączki zrobiono z blachy czy z lnianych nici?

— Czy ropa była ciemna czy biała?

— Czy były w niej ślady krwi?

— Wybaczcie, czcigodni panowie, ale jestem tylko dowódcą poganiaczy, nie hakimem! — zawołał ze złością Chendi. — Nie potrafię odpowiedzieć na takie pytania. Wiem tylko jeszcze jedno...

— Cóż takiego? — zagadnął al-Dżuzdżani.

— W trzy dni po tym, jak medycy nacięli pęcherz, sułtan Gazny nie żył.

Byli dwoma młodymi lwami: Ala i Mahmud. Każdy z nich młodo zasiadł na tronie po silnym ojcu i jeden nie spuszczał drugiego z oka, a oba królestwa czekały świadome, że pewnego dnia dojdzie do starcia, że Gazna wchłonie Persję albo Persja Gaznę.

Nigdy do tego nie doszło. Otoczyli się wojskami i czasem dochodziło do potyczek, lecz obaj zwlekali czując, że czasy nie sprzyjają otwartej wojnie. Ala wszakże nie przestawał myśleć o Mahmudzie, często o nim śnił. I zawsze był to taki sam sen: wojska zebrane i gotowe do wymarszu, Ala zaś wyjeżdża sam przeciw zaciekłym afgańskim współplemieńcom Mahmuda, wyzywając do walki sułtana jak Ardaszir wyzwał Ardewana: ten, który wyjdzie ze starcia żywy, obwoła się wybrańcem losu, prawdziwym, uświęconym bojem królem królów.

I oto wkroczył między nich Allah — szach Ala zatem nigdy nie zmierzy się z

Mahmudem. W ciągu czterech dni od przybycia karawany wrócili do Isfahanu kolejno trzej doświadczeni szpiedzy i każdy wiele czasu spędził w Rajskim Domu. Z ich doniesień zaczął się szachowi wyłaniać jasny obraz tego, co zaszło w Gaznie.

Natychmiast po śmierci sułtana władzę chciał przejąć syn Mahmuda, Mohammad, lecz udaremnił to jego brat, Abu Said Masud, młody wojownik cieszący się silnym poparciem wojska. W parę godzin Mohammada pojmano i zakuto w kajdany, a sułtanem obwołano Masuda. Pogrzeb zmarłego Mahmuda przemienił się w dziką orgię żalu i pożegnania z jednej strony, radosnego powitania z drugiej. Kiedy zakończyły się obrzędy, Masud zwołał dowódców i ogłosił, że zamierza dokonać tego, na co nigdy nie poważył się jego ojciec: wyruszyć niebawem na Isfahan. Ta ostatnia wieść sprawiła, że Ala wreszcie pokazał się poddanym.

Planowany najazd nie był mu niemiły, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, Masud był porywczy i niedoświadczony, toteż szach cieszył się, że będzie miał okazję zmierzyć swoje doświadczenie dowódcy z tym, co potrafi ten wyrostek. Po drugie zaś, wiedząc, że każdy Pers w głębi ducha kocha wojnę, przebiegły Ala był pewien, iż lud przyjmie ją jak wyzwolenie od religijnych zakazów, których musiał przestrzegać pod bacznym okiem mułłów.

Władca zwołał jedną po drugiej kilka narad, które jak za dawnych czasów przemieniły się w skromne uczty z winem i pojawiającymi się w stosownym momencie kobietami. Wspólnie ze swoimi dowódcami przestudiował uważnie mapy i doszedł do wniosku, że z Gazny prowadzi tylko jeden szlak dostępny dla tak licznego wojska: Masud będzie musiał przejść przez gliniaste pasma gór i pogórze na północ od Daszt-e Kawir, by ominąć wielką pustynię, i zapuści się z wojskiem w okolice Hamadanu. Tam dopiero zawróci na południe.

Ala postanowił zatem, że wojsko perskie pomaszeruje do Hamadanu i spotka się z wrogiem, zanim ten uderzy na Isfahan.

Przygotowania do wojny były jedynym tematem rozmów w całym mieście i mimo usiłowań Roba nie udawało się ich uniknąć nawet w maristanie. On odsuwał myśl o groźbie wojny, ponieważ nie chciał brać w niej udziału. Swój dług wobec Ali, aczkolwiek wielki, już spłacił, a wyprawa do Indii uświadomiła mu, że nie chce nigdy więcej iść na wojnę. Tymczasem gryzł się, w każdej chwili spodziewając się wezwania od władcy, i ciężko pracował.

Kasemowi ustąpiły bóle brzucha, mimo to ku jego radości hakim nadal przepisywał mu codziennie picie wina, pozwalając zarazem zajmować się kostnicą. Rob opiekował się większą niż dotychczas liczbą pacjentów, gdyż al-Dżuzdzani przejął wiele obowiązków Pierwszego Medyka i część pacjentów przekazał innym. Wszystkich w osłupienie wprowadziła wieść, że Ibn Sina ochotniczo stanął na czele medyków, którzy mieli iść z wojskiem szacha na północ. Robowi powiedział o tym al-Dżuzdzani, któremu albo już przeszedł gniew, albo skrzątnie go ukrywał.

— To marnotrawstwo posyłać taki umysł na wojnę — oburzył się.

Al-Dżuzdzani wzruszył ramionami.

— Mistrz chce przeżyć jeszcze jedną, ostatnią wyprawę.

— Jest stary i nie przeżyje.

— Zawsze miał wygląd starca, ale nie skończył jeszcze sześćdziesięciu lat.—Al-Dżuzdzani westchnął z goryczą.—Według mnie liczy na zabłąkaną strzałę albo włócznię... Śmierć szybsza od tej, która chyba go czeka, nie będzie tragedią.

Ibn Sina szybko ogłosił nazwiska jedenastu medyków mających razem z nim wyruszyć na wojnę. Czterej byli studentami, trzech świeżo upieczonymi hakimami, pozostali czterej weteranami medycyny.

Teraz al-Dżuzdzani został Pierwszym Medykiem zarówno z tytułu, jak i faktycznie.

Smutna to była nominacja, uświadamiała bowiem społeczności lekarskiej, że Ibn Sina już nie wróci, aby jej przewodzić.

Ku zdumieniu i konsternacji Roba jego wyznaczono do pełnienia części obowiązków, jakie dotychczas u boku Ibn Siny wykonywał al-Dżuzdzani, mimo że ten ostatni mógł wybrać kogoś bardziej doświadczonego. Ponadto, ponieważ pięciu spośród dwunastu wykładowców odchodziło z wojskiem, dowiedział się, że częściej ma wykładać i udzielać lekcji w czasie obchodu chorych w maristanie. Mianowano go także stałym członkiem komisji egzaminacyjnej i wcielono do komisji nadzorującej współpracę szpitala ze szkołą. Pierwsze zebranie tej komisji, w którym uczestniczył, odbyło się w wykwintnym domu Rotuna ibn Nasra, zarządcy szkoły. Był to zarząd tytularny, toteż ibn Nasr nie kwapił się do udziału w zebraniach, tym razem wszakże udostępnił swój dom i polecił, aby medyków podjęto wspianą ucztą.

Na początek podano plastry wielkiego zielonego melona o szczególnym smaku i tak słodkiego, że rozpływał się w ustach. Rob tylko raz dotąd próbował melona tego gatunku i już miał wygłosić na ten temat jakąś uwagę, gdy dawny jego nauczyciel, Dżalal ul-Din, uśmiechnął się do niego szeroko i powiedział:

— Za ten przepyszny owoc możemy być wdzięczni nowej żonie naszego zarządcy.

— Jak to? — nie rozumiał Rob.

Mistrz składania i nastawiania kości mrugnął znacząco.

— Rotun ibn Nasr, jak chyba wiesz, jest dowódcą wojskowym i kuzynem szacha. Król odwiedził go w zeszłym tygodniu, żeby ułożyć plan wojny, i zapewne poznał jego najmłodszą żonę. Gdzie Ala zasieje swoje nasienie, tam zawsze pojawiają się w darze jego ulubione melony. A jeśli to nasienie wyda męski owoc, pojawia się książęcy dar, dywan Samanidów.

Rob nie dotrwał do końca przyjęcia—wymówił się chorobą i z zamętem w głowie pojechał prosto do domu. Mały Rob bawił się w ogrodzie z matką, niemowlę zaś leżało w kołysce. Wziął Toma na ręce i obejrzał: zwyczajne niemowlę. To samo, które kochał, kiedy z rana wychodził z domu.

Położył dziecko z powrotem, podszedł do skrzyni z sandałowego drewna i wyjął dywan podarowany przez szacha. Rozpostarł go na podłodze przy kołysce.

Gdy podniósł wzrok, w drzwiach stała Mary.

Spojrzeli na siebie. Dotarła do niego prawda, jednocześnie przytłoczyły go ból i litość, jaką poczuł dla żony. Podszedł do niej, pragnąc ją przytulić, stwierdził jednak, że tylko ze wszystkich sił ścisną jej ramiona. Chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł z siebie wydobyć słowa.

Mary wyrwała mu się i roztała ramiona.

— Nie pozwoliłeś nam stąd wyjechać. I tylko dzięki mnie wszyscy żyjemy — rzekła z pogardą. Jej spojrzenie stwardniało, smutek w oczach ustąpił miejsca czemuś, co w niczym nie przypominało miłości.

Tego dnia po południu wyprowadziła się z ich wspólnej dotąd izby. Kupiła wąski siennik i umieściła go między posłaniami dzieci, tuż przy dywanie książąt z rodu Samanidów.



## 70 Izba Kasema

Rob przez całą noc nie zmrządził oka. Czuł się bardzo dziwnie, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg i musiał odbyć długą drogę w powietrzu. Nic dziwnego, że ludzie w jego sytuacji zabijają matkę i dziecko, pomyślał, wiedział jednak, że Tom i Mary są bezpieczni w sąsiedniej izbie. Dręczyły go szalone myśli, ale nie był szalony.

Rano poszedł do maristanu, lecz i tam nie wszystko było w porządku. Ibn Sina zabrał na wojnę czterech pielęgniarzy do dzwigania noszy i zbierania rannych, al-Dżuzdzani zaś nie znalazł jeszcze na ich miejsce nowych, którzy by odpowiadali jego wymaganiom. Pozostali pielęgniarze, mocno przepracowani, chodzili ponurzy, toteż Rob obszedł pacjentów nie czekając na pomocnika: tu i ówdzie przystawał, by doprowadzić do porządku coś, czego pielęgniarz nie zdążył dopatrzeć, obmywał rozpalone twarze i zwilżał wodą spragnione wyschłe wargi.

W trakcie obchodu natknął się na Kasema ibn Sadiego, który jęcząc leżał z twarzą błądą jak serwatka. Podłoga przy nim zapaskudzona była wymiocinami. Stary wyznał, że gdy poczuł się źle, opuścił izbę przy kostnicy i położył się wśród chorych, wiedząc, że Rob go znajdzie podczas obchodu pacjentów. Jak się okazało, miał kilka ataków choroby w poprzednim tygodniu.

— Dlaczego nic nie powiedziałaś?! — obruszył się Rob.

— Panie, miałem wino. Piłem je i ból ustępował. Ale teraz wino już nie pomaga, hakimie, i ból jest nie do zniesienia.

Gorączkował, lecz nie był rozpalony, brzuch miał obolały, ale miękki. Chwilami, gdy chwycił go gwałtowniejszy ból, dyszał jak pies. Miał obłożony język i nieświeży oddech.

— Przygotuję ci napar.

— Niech was Allah błogosławi, panie.

Rob udał się prosto do apteki. Rozpuścił w ulubionym czerwonym winie Kasema środki uśmierzające i bang i pospieszył do pacjenta. W jego oczach widział lęk przed najgorszym, gdy starzec pił miksturę.

Przez cienkie płócienne zasłony, które wisały w otwartych oknach maristanu, dochodził do wnętrza rosnący gwar. Za

intrigowany Rob wyszedł w końcu przed szpital—hałas brał się stąd, że całe miasto wyległo na ulice pożegnać wojsko.

Podążył za innymi na majdany. Armia była tak duża, że nie mieściła się na placach. Płynęła ulicami, zalewając całą centralną dzielnicę miasta. Liczyła nie setki, jak w wyprawie na Indie, lecz tysiące ludzi. Szły więc długie szeregi piechoty, jeszcze dłuższe lekkozbrojnych, za nimi oszczepnicy, dalej lansjerzy na koniach i wreszcie zbrojna w miecze kawaleria na śmigłych konikach i wielbłędach. Nacisk tłumu był straszliwy, gwar ogłuszający: głośnie pożegnania, płacz i krzyki kobiet, sprośne żarty i rozkazy, słowa pożegnania i otuchy.

Rob, jakby płynął pod prąd fali, przepychał się do przodu wśród smrodu ludzkich wyziewów zmieszanych z odorem wielbłądniego potu i końskiego nawozu. Odblask słońca w polerowanej zbroi oślepiał. Na czele kolumny szły słonie. Naliczył ich trzydzieści cztery — szach zabierał więc wszystkie bojowe słonie.

Nie zobaczył Ibn Siny. Pożegnał się z kilkoma idącymi z wojskiem medykami, Ibn Sina natomiast ani sam nie przyszedł, ani nie wezwał Roba, co jasno wskazywało, że woli odejść

bez słów.

W pochodzie szli także królewscy muzykanci. Jedni grali na długich złotych trąbkach, inni potrząsali srebrnymi dzwoneczkami, poprzedzając wielkiego słonia Zu, zbliżającego się rozkołysanym krokiem. Mahut Marsza ubrany był na biało, szach zaś miał na sobie niebieskie szaty i czerwony turban, strój stosowny do wymarszu na wojnę.

Tłum ryknął w uniesieniu na widok walecznego władcy. Gdy szach podniósł rękę w królewskim pozdrowieniu, wszyscy pojęli, że swemu ludowi obiecuje Gaznę. Rob patrzył na sztywny kark monarchy, który dla tłumu nie był w tej chwili Alą, lecz Kserksesem, Dariuszem i Cyrusem Wielkim — uosobieniem wszystkich wielkich zdobywców.

„Jesteśmy czwórką przyjaciół... Jesteśmy czwórką przyjaciół...” Robowi aż zakręciło się w głowie, gdy pomyślał, ile miał okazji, aby z łatwością go zabić. Stał daleko w ludzkiej cizbie. Nawet gdyby się zdołał przepchać do przodu i rzucić na króla, ścięto by go w jednej chwili.

Zawrócił. Nie został z innymi, by do końca obejrzeć paradny wymarsz ludzi idących po chwałę lub śmierć. Wyrwał się z tłumu i szedł przed siebie tak długo, aż znalazł się na brzegu Zajendy, Rzeki Życia. Tam zdjął z palca pierścień z litego złota, dar od Ali za służbę w Indiach, i cisnął go w brunatną wodę. Z oddali niósł się przeciągły ryk tłumu, gdy Rob zmierzał z powrotem do maristanu.

Mikstura skutecznie oszołomiła Kasema, wyglądał jednak na ciężko chorego. Spojrzenie miał bez wyrazu, twarz bladą i zapadłą. Dygotał, mimo że dzień był ciepły, Rob przykrył go więc kocem. Wkrótce koc przesiąkł potem, a twarz starca płonęła od gorączki.

Późnym popołudniem ból tak się wzmógł, że Kasem krzyknął, kiedy Rob dotknął jego brzucha. W tej sytuacji postanowił zostać w maristanie i często podchodził do posłania Kasema.

Wieczorem zaczęła się agonია i wtedy przysłała też całkowita ulga. Przez jakiś czas starzec oddychał spokojnie i równo, potem zasnął. Rob już dopuścił do siebie nadzieję, lecz po paru godzinach gorączka wróciła, ciało Kasema zapłonęło jeszcze mocniej, tętno stało się szybkie i chwilami ledwie wyczuwalne. Miotał się na posłaniu i majaczył.

— Nuwas! — wołał. — Och, Nuwas...

Przemawiał to do swego ojca, to do stryja imieniem Nili, to znów do owego Nuwasa.

Rob ujął jego ręce i serce w nim zamarło. Nie puszczał ich, gdyż nic już nie mógł mu teraz dać poza swoją obecnością i tą nędzną pociechą, jaką niesie dotknięcie drugiego człowieka. W końcu ciężki oddech po prostu zwolnił, a potem ustał. Kasem umarł, Rob zaś wciąż trzymał jego pokryte odciskami dłonie.

Jedną rękę podłożył pod sękaty kolana, drugą pod nagie kościste ramiona, zaniósł ciało do kostnicy, po czym wszedł do sąsiedniej izby. Śmierdziało w niej, będzie musiał dopilnować, by ją wyszorowano. Usiadł wśród skromnego dobytku zmarłego starca. Niewiele tego było: jedno zapasowe ubranie, wytarte i stare, obszarpany dywanik modlitewny, kilka arkuszy papieru i wyprawna skóra, na której Kasem polecił skrybie wypisać kilka wersetów z Koranu, dwie flaszki zakazanego wina, bochenek czerstwego ormiańskiego chleba i miska skwaśniałych zielonych oliwek, tandetny sztylet z wyszczerbionym ostrzem.

Minęła północ i prawie cały szpital już spał, od czasu do czasu zakrzyczał tylko lub zapłakał któryś z pacjentów. Nikt nie widział, jak Rob wynosił nędzne mienie Kasema z izdebki.

Kiedy dźwigał do niej drewniany stół, spotkał pielęgniarza, którego niedobór pomocników rozzuchwalał na tyle, że przemknął obok hakima odwracając wzrok, aby go nie obarczył dodatkową pracą.

W izdebce Rob z jednej strony stołu podłożył pod nogi deskę, by mieć pochyły blat, z

drugiej zaś ustawił na podłodze miskę. Potrzebował dużo światła, przeszukał więc cały szpital i wykradł cztery lampy i kilkanaście świec, które rozmieścił dokoła stołu jak przy ołtarzu. Potem przyniósł z kostnicy zwłoki Kasema i położył je na stole.

Jeszcze gdy Kasem leżał umierający, Rob postanowił złamać zakaz. Teraz jednak, kiedy nadszedł ten moment, stwierdził, że z trudem oddycha. Nie był starożytnym Egipcjaninem i nie mógł wezwać parasyty, żeby otworzył ciało i na siebie wziął grzech. Odpowiedzialność za czyn i sam grzech miały spaść na niego.

Zakrzywionym ostrym nożem chirurgicznym zrobił nacięcie przez brzuch od krocza po mostek. Ciało rozstąpiło się z szelestem i zaczęło krwawić.

Sam nie wiedział, od czego zacząć. Odsunął skórę z mostka i wtedy nerwy go zawiodły. Miał w życiu tylko dwóch bliskich przyjaciół i obaj umarli z okrutnie rozplataną jamą brzuszną. Jeśli teraz jego przyłapią, umrze w ten sam sposób, a wcześniej będzie go czekać obdarcie ze skóry, najstraszliwsza tortura.

Wyszedł z izdebki i nerwowo przeszukał szpital, jednakże ci, którzy nie spali, nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Wciąż czuł się tak, jakby ziemia otwierała mu się pod nogami i poruszał się w powietrzu, a teraz jeszcze wydało mu się, że zagłęda w przepaść.

Przyniósł do zaimprovizowanego laboratorium drobno ząbkowaną piłkę do cięcia kości i wyciął w mostku otwór podobny do tego, od którego zginął w Indiach Mirdin. W dole rozcięcia rozkroił ciało od krocza do środka uda. Powstały w ten sposób duży, niezgrabny płat udało mu się odchylić — odsłonił jamę brzuszną. Ukazała się czerwona tkanka ściany żołądka, białawe włókna mięśni i — chociaż Kasem był tak chudy — żółte grudki tłuszczu.

Cienka wewnętrzna błona przepony była zaogniona i pokryta jakąś krzepnącą substancją. Chociaż Robowi wzrok niemal zaćmiło z przejęcia, wnętrzości wydały mu się zdrowe poza jelitem cienkim, silnie zaczerwienionym w wielu miejscach. Najcieńsze nawet naczynka tak były wypełnione krwią, że wyglądały, jakby wstrzyknięto do nich czerwony wosk. Nieduży workowaty odcinek jelita, nienaturalnie szerniały, przywarł do przepony. Kiedy ostrożnie spróbował go oderwać i pociągnął, błony popękały odsłaniając niewielką ilość ropy, czyli infekcję, która spowodowała u Kasema owe straszliwe bóle. Bóle zapewne ustąpiły, gdy chora tkanka pękła. Wtedy to najpewniej z ogniska zapalnego wylał się do jamy brzusznej rzadki, ciemny, cuchnący płyn. Rob zanurzył w nim palec i ciekawie powąchał, ten płyn bowiem mógł być trucizną, która spowodowała gorączkę i śmierć.

Miał ochotę zbadać inne jeszcze organy, za bardzo jednak się bał. Starannie zaszył rozcięcie, aby Kasem ibn Sadi był cały, gdyby się kiedyś okazało, że święci mężowie mieli rację co do zmartwychwstania, potem skrzyżował mu ręce w nadgarstkach, związał je i szerokim kawałkiem płótna opasał starcowi biodra. Na koniec dokładnie owinął ciało całunem i zaniósł je do kostnicy, gotowe do pochówku z samego rana.

— Dziękuję ci, Kasemie — powiedział uroczyście na pożegnanie. — Spoczywaj w pokoju.

Ze świecą poszedł do łaźni w maristanie, wyszorował się do czysta i zmienił ubranie. Nadal jednak wydawało mu się, że czuje na sobie odór śmierci, natarł więc dłonie i ramiona pachnidłem.

Wciąż dręczył go strach, nawet kiedy znalazł się na zewnątrz otoczony ciemnościami nocy. Nie mógł uwierzyć, że poważył się otworzyć ludzkie ciało.

Na posłaniu legł tuż przed świtem. Spał jeszcze mocno, gdy Mary wstała. Poczula w domu obcy zapach, kwiatowy zapach innej kobiety, i jej twarz stężała jak kamień. Ta woń była niby morowe powietrze, które zarażało ich dom.

## Błąd Ibn Siny

Jusuf ul-Gamal skinął na Roba, zapraszając go do biblioteki, cienistej świątyni wiedzy.

— Chce ci pokazać skarb — powiedział.

Skarbem owym była gruba księga, w której Rob natychmiast rozpoznał nową kopię największego dzieła Ibn Siny „Kanonu medycyny”.

— „Kanon” należy do Domu Mądrości — wyjaśnił bibliotekarz. — Tę kopię zrobił znajomy skryba. Jest na sprzedaż.

Ach!... Rob wziął księgę do ręki. Była pięknie wykonana, wszystkie karty koloru kości słoniowej wypełniono wyraźnym czarnym pismem. Był to kodeks, księga powstała z wielu składek, czyli pociętych i złożonych razem ogromnych arkuszy welinu, aby swobodnie można było odwracać każdą kartę. Całość misternie oprawiono w okładki z miękkiej jagnięcej skóry.

— Bardzo droga? — Jusuf przytaknął skinieniem głowy. — Ile za nią chce skryba?

— Sprzeda za osiemdziesiąt srebrnych baiz. Potrzebuje pieniędzy.

Rob ściągnął wargi, świadom, że tyle nie ma. Mary posiadała nawet więcej, zostały jej przecież pieniądze po ojcu, tyle że on i Mary... Pokręcił głową, a Jusuf westchnął.

— Pomyślałem, że powinna być wasza.

— Kiedy musicie ją sprzedać? Jusuf wzruszył ramionami.

— Dwa tygodnie mogę zaczekać.

— To w porządku. Zaczekajcie, proszę. Bibliotekarz przyjrzał mu się podejrzliwie.

— A zdobędziecie przez ten czas pieniądze, hakimie?

— Jeśli Bóg da. Jusuf się uśmiechnął.

— Tak. Inszallah.

Na drzwiach izdebki przy kostnicy Rob założył mocny skobel zamykany na dużą kłódkę, do środka wstawił drugi stół, przyniósł kleszcze, widełki, mały nóż, kilka ostrych skalpeli i dłuto zwane przez kamieniarzy gwoździem, tablicę do rysowania, papier, węgle i ołówki, szczypce, glinę i wosk, pióra i kałamarz.

Któregoś dnia zabrał na targ paru silnych studentów i nie bez trudu przytaszczyli razem świeżo ubitego wieprza. Kiedy zapowiedział, że w izdebce będzie przeprowadzał sekcje zwierząt, nikt bodaj nie dopatrzył się w tym niczego dziwnego.

Jeszcze tej samej nocy sam przyniósł i położył na pustym stole zwłoki młodej kobiety zmarłej parę godzin wcześniej. Na imię miała Melia.

Tym razem nie bał się tak jak poprzednio, do pracy przystępował zatem z większym zapałem. Przemyślał swoje

obawy i doszedł do wniosku, że do tego, co robi, nie pchają go czary czy złe duchy. Skoro dane mu było zostać medykiem po to, by chronić najpiękniejsze dzieło boskie, to Wszchemocny się nie pogniewa, jeżeli uda mu się zdobyć więcej wiedzy o tak złożonym i ciekawym stworzeniu.

Rozciął wieprza i kobietę i przygotował się do dokładnego porównania ich anatomii.

Zaraz na początku natrafił na przeszkodę, zaczął bowiem oględziny od siedliska choroby brzucha. Jelito ślepe świni, workowata kiszka, od której odchodziło jelito grube, było długie, mierzyło niemal osiemnaście cali. W porównaniu z nim jelito ślepe kobiety okazało się maleńkie — miało zaledwie dwa lub trzy cale długości i grubość małego palca Roba. I... do tego maleńkiego jelita było uczepione... coś. Wyglądało jak różowy robaczek wykopany w

ogrodzie i włożony do brzucha kobiety.

Rozkrojony na drugim stole wieprz nie miał żadnego robaczkowego wyrostka, ba! we wnętrznościach świni Rob nigdy czegoś takiego nie widział.

Nie wyciągał pochopnych wniosków. Najpierw pomyślał, że tak małe jelito ślepe u tej kobiety może być anomalią, a ten maleńki wyrostek to jakiś rzadki guz lub inna narośl. Przygotował ciało Meili do pogrzebu równie starannie jak zwłoki Kasema i odniósł je do kostnicy.

W następne noce wszakże otworzył jeszcze ciało młodzieńca, kobiety w średnim wieku i sześciomiesięcznego chłopca i u wszystkich po kolei z rosnącym podnieceniem znajdował taki sam maleńki wyrostek. „Robaczek” stanowił część każdego człowieka — jeden niewielki dowód, że ludzkie organy różnią się od świńskich.

— Niech cię лихо, Ibn Sino — szepnął, gdy dotarła doń prawda. — Myliłeś się, przekłety starcze!

Wbrew temu, co pisał Celsus, wbrew temu, czego nauczano od tysiąca lat, mężczyźni i kobiety są inni niż reszta stworzeń. A skoro tak jest, to kto wie, ile jeszcze wspaniałych tajemnic pozostaje do odkrycia, jeśli się ich poszuka w ludzkich ciałach.

Całe życie Rob spędził sam, dopóki nie spotkał Mary, i teraz znowu żył samotnie. Nie mógł tego znieść. Wróciwszy którejs nocy do domu, położył się przy niej pomiędzy posłaniami obojga śpiących dzieci. Nie zrobił najmniejszego ruchu, by ją dotknąć, a mimo to odwróciła się do niego jak dzikie zwierzę i wymierzyła 551

mu w twarz bolesny cios. Była roslą kobietą, wystarczająco silną, aby zadać ból. Przycisnęła jej rękę do boków.

— Oszalałaś?... — oburzył się.

— Nie przychodź do mnie od swoich perskich nałożnic! — syknęła.

— Ach, chodzi ci o pachnidło! — domyślił się. — Używam go, bo robię sekcje zwierząt w maristanie i potem śmierdzą.

Przez chwilę nic nie mówiła, wreszcie spróbowała się uwolnić. Poczul na sobie jej znajome ciało, kiedy się wrywała, i zapach jej rudych włosów w nozdrzach.

— Mary!...

Uspokoila się trochę, może za sprawą tonu jego głosu. Nachylił się nad nią, by ją pocałować, i mimo że nie zdziwiłby się, gdyby go wtedy ugryzła w usta czy szyję, nie zrobiła tego. Dopiero po chwili poczul, że oddaje mu pocałunki. Puścił jej rękę i z nieopisaną wdzięcznością dotknął piersi, twardej, lecz nie stęzałych jak u trupa.

Mary wydawała ciche jęki — nie wiedział, czy płacze, czy jest tylko podniecona. Spróbował pachnących mlekiem brodawek i musnął ustami pępek. W tym ciepłym brzuchu mieściły się, niczym kłębowisko morskich stworzeń, poskręcane i splecione lśniące, różowe i szare trzewia, członki Mary nie były jednak sztywne i zimne, a w dole jej łona najpierw jednym palcem, potem dwoma odnalazł śliskie ciepło miejsca, gdzie powstaje życie.

Kiedy w nią wtargnął, niczym dwie klaszczące dłonie zwarli się w starciu, w którym jakby chcieli zniszczyć to, czemu nie mogli spojrzeć w twarz. Egzorcyzmowali dzinna. W tym miłosnym zmaganiu Mary wymierzała Robowi karę, orząc mu plecy paznokciami. W ciemnościach rozlegało się tylko ciche sapanie i rytmiczne mlaśnięcia towarzyszące aktowi połączenia dwojga ludzi, aż wreszcie Mary krzyknęła i zaraz Rob jej zawtórował. Wyrwało to ze snu dzieci: Tom się rozplakał, Rob J. obudził się z krzykiem. I wszyscy czworo śmiali się lub płakali, przy czym dorośli krasili śmiech łzami.

Minęło trochę czasu, zanim się uspokoili. Mały Rob zasnął z powrotem, niemowlę dostało pierś i Mary karmiąc je, po cichu opowiedziała mężowi, jak przyszedł do niej Ibn Sina i pouczył ją, co ma zrobić. Rob dowiedział się więc, w jaki sposób ukochana kobieta i starzec

uratowali mu życie.

Interwencja Ibn Siny była dla niego zaskoczeniem i wstrząsem. Co do reszty, to mógł się tylko domyślać, ile musiała przeżyć Mary. Kiedy Tom zasnął, wziął ją w ramiona i zapewniał, że na zawsze pozostanie jego wybranką, gładził jej rude włosy i całował biały kark, na którym piegi występować nie śmiały. Gdy i ona usnęła, długo leżał wpatrzony w ciemny strop.

Przez najbliższe dni Mary często się uśmiechała, lecz Roba zasmucało i gniewało, że widzi w tych uśmiechach cień lęku, chociaż starał się całym postępowaniem dowodzić swojej miłości i wdzięczności.

Pewnego ranka, udzielając pomocy choremu dziecku w domu jednego z dworzan, zobaczył przy posłaniu niebieski dywanik królewskiego rodu Samanidów. Przyjrząwszy się chłopcu, zauważył śniadą skórę, nos już zakrzywiony i coś szczególnego w oczach. Twarz ta wydała mu się znajoma — jakby widział swego młodszego syna.

Tego dnia przerwał zajęcia w maristanie, wrócił do domu, wziął na ręce małego Toma i podniósł go do światła. Chłopiec z twarzy jakby był bratem tamtego chorego dziecka. A jednak chwilami wydawał się Robowi podobny do Willuma, jego rodzzonego brata... Kochali się z Mary przed jego wyjazdem do Izadzu na polecenie Ibn Siny i kiedy wrócił do domu. Kto wie, czy Tom nie jest owocem jego nasienia?

Zmienił dziecku pieluszkę, dotknął maleńkiej rączki, ucałował mięciutki policzek i włożył malca z powrotem do kołyski.

Tej nocy kochali się z Mary czule i delikatnie, co przyniosło ulgę obojgu, aczkolwiek ich doznania różniły się od tych, jakie wspólnie ongiś przeżywali. Potem Rob wyszedł z domu i posiedział w zalanym księżycową poświatą ogrodzie przy resztkach jesiennych kwiatów, o które Mary tak bardzo dbała.

Zdążył już pojąć, że w życiu wszystko podlega zmianom. Mary nie była już tą młodą kobietą, która tak ufnie poszła za nim w łan pszenicy, ani on tym młodzieńcem, który ją tam zaprowadził.

Miał zatem kolejny dług wobec szacha, i to nie najmniejszy spośród tych, które pragnął mu spłacić do ostatka.

## „Przezroczysty człowiek”

Na wschodzie podniosła się tak wielka chmura kurzu, że wszyscy się spodziewali olbrzymiej karawany, a może nawet kilku karawan zdążających razem. Tymczasem do miasta zbliżało się wojsko.

Gdy podeszło pod bramy, można już było poznać, że to afgańscy żołnierze z Gazny. Stanęli pod murami, a ich dowódca, młodzieniec w granatowej szacie i śnieżnobiałym turbanie, wkroczył do Isfahanu w asyście czterech oficerów. Nie miał kto go zatrzymać. Wojska wyszły pod wodzą szacha do Hamadanu i bram strzegła tylko garstka starych kawalerzystów, którzy zniknęli z nadejściem obcych oddziałów, tak że sułtan Masud — gdyż był to on — wjechał do miasta bez przeszkód. Przed Meczetem Piątkowym on i jego asysta zsiadli z koni i weszli do środka, gdzie się podobno przyłączyli do wiernych zgromadzonych na trzecią modlitwę, a następnie przez kilka godzin rozmawiali na osobności z imamem Musą ibn Abbasem i grupą jego zaufanych mułłów.

Większość mieszkańców Isfahanu nie widziała Masuda, lecz Rob i al-Dżuzdzani, gdy rozeszła się wieść o jego przybyciu, znaleźli się wśród tych, którzy weszli na mury, by przyjrzeć się wojskom Gazny. Żołnierze odziani byli w obszarpane spodnie i długie luźne koszule, wyglądali jednak dzielnie. Niektórzy końcami turbanów owinęli usta i nosy dla osłony przed kurzem i piaskiem. Każdy za małym siodłem na nędznym koniku wiozł zwiniętą watowaną matę do spania. Pełni byli animuszu. Sięgali do strzał i potrząsali łukami, spozierając na bogate miasto pełne bezbronnych kobiet, jak wilki patrzą na stado zajęcy, przestrzegali jednak dyscypliny i czekali, nie dopuszczając się żadnych gwałtów, gdy ich wódz przebywał w meczecie. Rob ciekaw był, czy nie ma wśród nich Afgańczyka, który tak dobrze pobiegł w zawodach chatiru z Karimem.

— Czego może chcieć Masud od mułłów? — zagadnął al-Dżuzdzaniego.

— Pewno szpiedzy mu donieśli o kłopotach, jakie miał szach z mułłami. Myślę, że zamierza niedługo objąć tu rządy i targuje się o błogosławieństwo i posłuszeństwo meczetów.

Mogło tak być, bo wkrótce Masud z asystą wrócił do swoich oddziałów — miasta nie złupiono. Sułtan był młody, nieledwie chłopiec; mogliby z Alą uchodzić za krewniaków, obaj bowiem mieli takie same dumne, okrutne twarze drapieżców. Rob z al-Dżuzdzaniem patrzyli, jak Masud zdejmując z głowy czysty biały turban, który następnie starannie schowano, i przed wyruszeniem w dalszą drogę wkłada czarny.

Najeźdźcy odjechali na północ tropem wojsk Ali.

— Szach się mylił sądząc, że nadejdą od strony Hamadanu — zauważył Rob.

— Myślę, że główne siły Gazny już są w Hamadanie — rzekł z namysłem al-Dżuzdzani.

Rob musiał się zgodzić ze zdaniem al-Dżuzdzaniego, gdyż odchodzący Afgańczycy liczebnością znacznie ustępowali armii perskiej, nie mieli też z sobą słońi bojowych. Na pewno zatem główne siły Gazny znajdowały się gdzie indziej.

— Czy to znaczy, że Masud szykuje zasadzkę? — zapytał, a kiedy al-Dżuzdzani twierdząco skinął głową, zawołał: — Możemy ostrzec Persów!

— Za późno, inaczej Masud nie zostawiłby nas przy życiu. W każdym razie — dodał al-Dżuzdzani z ironią — niewielkie ma znaczenie, czy Ala pokona Masuda, czy Masud Alę. Jeżeli imam Kandrasa naprawdę zdecydował się sprowadzić do Isfahanu Seldżuków, to ostatecznym zwycięzcą nie będzie ani Masud, ani Ala. Turcy Seldżuków to straszny lud, a tyłu ich co ziarenek piachu na pustyni.

— Co się stanie z maristanem, jak przyjdą Seldzucy albo Masud zajmie miasto?

Al-Dżuzdzani wzruszył ramionami.

— Przez jakiś czas będzie zamknięty, a my wszyscy poszukamy ratunku w ukryciu. Potem wyjdziemy z nor i życie potoczy się zwykłym trybem... Razem z naszym mistrzem służyłem już kilku władcom. Monarchowie przychodzą i odchodzą, a medycy zawsze są potrzebni — dodał.

Rob poprosił Mary o pieniądze na książkę i „Kanon medycyny” stał się jego własnością. Z czcią wziął do ręki kopię dzieła Ibn Siny. Nigdy dotąd nie posiadał swojej książki. Z tej tak bardzo się cieszył, że poprzysiągł sobie, iż na jednej nie poprzestanie. Nie spędzał wszakże nad nią zbyt wiele czasu, gdyż ciągnęło go do izdebki Kasema.

Na sekcje poświęcał kilka nocy w tygodniu, zaczął też robić użytek z materiałów do rysowania, ale mimo wielkich chęci nie mógł już pracować więcej — potrzebował pewnego minimum snu, by móc w ciągu dnia pełnić swoje obowiązki w maristanie.

U jednego z badanych, młodego człowieka, który zginął od ciosu noża podczas burdy w winiarni, znalazł ów mały wyrostek jelita ślepego powiększony, zaczerwieniony i chropowaty z wierzchu, domyślił się więc, że ogląda chorobę brzucha w jej najwcześniejszym stadium, gdy pacjent zaczyna odczuwać pierwsze sporadyczne bóle. Miał zatem teraz obraz postępów choroby od początku aż do śmierci pacjenta. Wyciągnięte wnioski skrupulatnie zapisał:

„Stwierdzony rozstrój brzucha z pęknięciem u sześciu pacjentów. Wszyscy zmarli. Pierwszym wyraźnym symptomem choroby jest nagły ból brzucha, zazwyczaj silny, rzadko słaby.

Czasem towarzyszy mu zimnica, częściej nudności i wymioty.

Po bólu brzucha przychodzi gorączka jako kolejny stale

występujący objaw.

Przy badaniu dotykiem prawej części brzucha wyczuwa się ograniczony opór, często z silnym bólem przy naciskaniu, oraz napięcie i stwardnienie mięśni brzucha. Zależy to od stanu wyrostka na jelicie ślepym, który wyglądem nie różni się od tłustej różowej dżdżownicy. Podrażniony lub w stanie zapalnym organ ten czerwienieje, a następnie czernieje, wypełnia się ropą i na koniec pęka, a jego zawartość wylewa się do jamy brzusznej. W takim wypadku szybko następuje śmierć, z reguły w pół godziny do trzydziestu sześciu godzin od wystąpienia gorączki."

Rozcinał i badał jedynie te części ciała, które można było ukryć pod całunem, co wykluczało stopy i głowę, dając mu poczucie niedosytu. Robowi nie wystarczało już badanie mózgu świni. Nadal wprawdzie żywił bezgraniczny szacunek dla Ibn Siny, uświadomił sobie jednak, że mistrza błędnie uczono pewnych szczegółów budowy szkieletu i układu mięśni, uczniom swoim przekazywał zatem mylne informacje.

Rob pracował cierpliwie, odsłaniając i rysując mięśnie przypominające druty albo zwoje sznurków. Jedne z obu końców mocował do kości postronek, inne postronek miały tylko po jednej stronie, jeszcze inne zaś przyczepione były płasko; niektóre miały zaokrąglone kształty, inne były proste, a jeszcze inne złożone, o dwóch brzuścach, co najwidoczniej dawało tę korzyść, że jeśli jeden brzusiec uległ uszkodzeniu, drugi przejmował jego funkcje. Kiedy zaczynał, niewiele wiedział, lecz stopniowo, wiecznie rozgorączkowany, nieprzytomny z podniecenia, uczył się coraz więcej. Sporządzał szkice kości i stawów, ich kształtu i pozycji, w pełni świadom, jak bezcenne będą w nauczaniu młodych medyków metod leczenia zerwań mięśni i złamań kości.

Ukończywszy pracę, zawsze owijał ciało w całun i odnosił do kostnicy, a szkice zabierał ze sobą. Przestało go dręczyć poczucie, że zagląda w otchłań własnego potępienia, nigdy jednak nie tracił świadomości, jak straszny czekałby go koniec, gdyby został przyłapany.



Pracując przy nierównym migotliwym świetle lamp w maleńkiej dusznej izbie, podskakiwał na każdy szmer i zamierał z przerażenia, kiedy — rzadko co prawda — ktoś przechodził obok drzwi.

Powody do obaw, jak się okazało, miał poważne.

Któregoś dnia wczesnym rankiem wynosił do kostnicy ciało starszej kobiety. Już za drzwiami izdebki podniósł wzrok i zobaczył pielęgniarza nadchodzącego ze zwłokami mężczyzny. Głowa kobiety opadła, jedna jej ręka zakotłowała się, gdy Rob bez słowa przystanął patrząc na pielęgniarza, który uprzejmie pochylił głowę.

— Pomóc, hakimie?

— Nie jest ciężka.

Wszedł przed pielęgniarzem do kostnicy, położyli ciała jedno obok drugiego i wyszli.

Pierwszą świnia, którą poddawał sekcji, mógł się zajmować ledwie przez cztery dni, szybko się bowiem zepsuła i musiał się jej pozbyć. Ale z otwieranych ludzkich żołądków i wnętrzości wydobywał się o wiele gorszy odór, ohydniejszy od słodkawego smrodu nieświeżej wieprzowiny. Mimo mydła i wody cała izba nim prześmierdła.

Któregoś ranka kupił nową świnia. Po południu tego dnia, przechodząc obok dawnej izdebki Kasema, zastał tam hadźiego Dawuda Hoseina szarpiącego zamkniętymi drzwiami.

— Dlaczego są zamknięte? — jął wypytywać nerwowo hadźi. — Co tam jest w środku?

— To izba, w której robię sekcję świni — odpowiedział spokojnie Rob.

Zastępca dyrektora szkoły popatrzył na niego z obrzydzeniem. W tych dniach Dawud Hosein na wszystko spoglądał surowo i podejrzliwie, mułowie bowiem delegowali go do pilnowania, czy w maristanie i madrasie nikt nie łamie przepisów muzułmańskiego prawa. Rob tego dnia kilka razy widział go, jak czai się i węszy, dlatego też wieczorem wcześniej poszedł do domu, a nazajutrz rano ujrzał zamek w drzwiach izdebki wyłamany. Wewnątrz wszystko niby było tak, jak zostawił... z tym że niezupełnie. Świnia leżała na stole przykryta, za to instrumenty były wyraźnie poprzekładane, choć niczego nie brakowało. Nic na niego nie znaleźli, na razie był więc bezpieczny, włamanie jednak podziałało na niego jak kubeł zimnej wody. Wiedział, że prędzej czy później wszystko się wyda, lecz zdobywał drogocenną wiedzę, oglądał cudowne rzeczy i gotów był swoje badania kontynuować.

Odczekał dwa dni, nie niepokoiony w tym czasie przez hadźiego. Potem podczas spokojnej rozmowy z Robem umarł w szpitalu pewien starzec. W nocy otworzył jego ciało, by sprawdzić, co było przyczyną łagodnej śmierci, i odkrył, że arteria zasilająca serce i dolne członki była wyschnięta i skurczona jak opadły liść.

Później w ciele zmarłego dziecka zobaczył, skąd wziął swą nazwę rak — nowotwór jak drapieżny krab rozpostarł na wszystkie strony swoje kleszcze. W innych zwłokach natrafił na wątrobę żółtą i jakby zdrewniałą, choć normalnie narząd ten był miękki, intensywnej czerwono-brązowej barwy.

W następnym tygodniu wykonał sekcję kobiety w kilkumiesięcznej ciąży i zrobił rysunek macicy w rozdętym brzuchu. Jak odwrócona szklanka kryła w swym wnętrzu kształtujące się życie. Wyrysowaną kobietę obdarzył twarzą Despiny, której nigdy nie było dane urodzić dziecka. Podpisał ten rysunek „Brzemienna”.

Pewnej nocy zaś usiadł przy stole sekcyjnym i narysował młodzieńca o rysach Karima. Nie osiągnął wprawdzie całkowitego podobieństwa, jednakże każdy, kto lubił młodego hakima, mógł go łatwo rozpoznać. Przedstawił jego postać tak, jakby miała skórę ze szkła. To, czego sam na własne oczy nie zobaczył w ludzkim ciele, oddał według Galena. Wiedział, że w niektórych szczegółach rysunek jest jeszcze niedokładny, mimo to nawet on uznał go za znakomity, gdyż pokazywał organy i naczynia krwionośne jakby widziane boskim okiem w nieprzejrzystym ludzkim ciele.

Kiedy go skończył, w uniesieniu złożył swój podpis, postawił datę i zatytułował swoje dzieło: „Przezroczysty człowiek”.

## Dom w Hamadanie

Przez cały ten czas do miasta nie nadchodziły żadne wieści o wojnie. Przygotowane wcześniej cztery karawany z uzupełnieniami wyruszyły na poszukiwanie armii, a ponieważ nie wracały, przypuszczano, że odnalazły perskie wojska i wchłonęła je wojna. Wreszcie któregoś popołudnia, tuż przed czwartą modlitwą, konny goniec przyniósł wieść najgorszą z możliwych.

Tak jak przypuszczano, tron armii Masuda odnalazł Persów i związał ich walką, zanim sułtan przybył do Isfahanu. Jak się okazało, Masud wysłał dwóch starszych wodzów, Abu Sahla Hamadaniego i Taska Farrasza, aby poprowadzili część oddziałów przewidzianym w Isfahanie szlakiem. Dowódcy znakomicie zaplanowali i przeprowadzili główny atak. Rozdzielili mianowicie wojska, ukryli się w pobliżu wsi Karadz, przodem zaś wysłali zwiad. Kiedy Persowie nadciągnęli, oddziały dowodzone przez Abu Sahla Hamadaniego wysypały się z jednej strony Karadzu, a z drugiej, okrążywszy wieś, wypadli Afganowie Taska Farrasza. Runęli na ludzi szacha Ali z obu flank, szybko sformowali szyki i obydwie części wojsk Gazny połączyły się, rozwijając szeroki półkolisty front na podobieństwo sieci.

Persowie walczyli dzielnie, choć atak ich zaskoczył, wróg miał jednak nad nimi przewagę liczebną i taktyczną, toteż przez wiele dni wciąż ustępowali pola. A potem ich tyły zaatakował inny oddział, pod wodzą samego Masuda. Rozgorzała wówczas walka jeszcze rozpaczliwsza i okrutniejsza, mimo że klęska była nieunikniona: z przodu napierały przeważające siły dwóch wodzów z Gazny, z tyłu zaś kawaleria suhana, nieliczna, lecz kąśliwa, która wciągnęła ich w bój przypominający historyczną bitwę starożytnych Persów z Rzymianami — tyle że tym razem Persowie mieli do czynienia z wrogiem bardzo dokuczliwym i nieuchwytnym, żołnierze Masuda bowiem bez ustanku ponawiali uderzenia, za każdym razem jakby rozplywając się w powietrzu i pojawiając na innym odcinku tyłów.

Na koniec, gdy wykrwawieni Persowie wystarczająco już byli osłabieni i dezorientowani, Masud pod osłoną burzy piaskowej pchnął na nich wszystkie swoje siły do rozstrzygającego ataku.

Nazajutrz rano słońce oświetliło piasek kłębiący się jeszcze nad trupami ludzi i zwierząt. Większość żołnierzy perskich poległa, część zdołała umknąć—podobno, jak mówił posłaniec, uratował się również szach Ala, lecz nie było to pewne.

— Co się stało z Ibn Siną? — zapytał al-Dżuzdzani.

— Opuścił wojsko na długo przed dotarciem do Karadzu, hakimie. Dostał ataku straszliwej kolki, która go obezwładniła, i za przyzwoleniem szacha najmłodszy z chirurgów, niejaki al-Guri, zabrał go do Hamadanu, gdzie Ibn Sina posiada dom, który niegdyś należał do jego ojca.

— Znam ten dom — powiedział al-Dżuzdzani. Rob wiedział, że al-Dżuzdzani tam pojedzie.

— Pozwólcie i mnie jechać — poprosił.

Na moment w oczach starszego medyka zabłysła płynąca z zazdrości niechęć, rozsądek jednak wnet zwyciężył i al-Dżuzdzani skinął przyzwalająco głową.

— Ruszamy bez zwłoki — oświadczył.

Droga była uciążliwa, jechali w posępnym nastroju. Poganiali konie nie wiedząc, czy po przybyciu zastaną jeszcze Ibn Sine żywego. Al-Dżuzdzani aż oniemiał z rozpaczy i trudno się było temu dziwić: Rob kochał Ibn Sine od niewielu stosunkowo lat, podczas gdy al-

Dżuzdzani związany był z Księciem Medyków od zarania swego życia.

Musieli skierować się na wschód, by ominąć łukiem teren ogarnięty wojną, która jak wszyscy wiedzieli, ciągle trwała. Kiedy jednak dojechali do miasta, okazało się senne i spokojne, jakby straszliwa rzeź, jaka odbyła się zaledwie parę mil od jego murów, w ogóle nie miała miejsca.

Robowi dom Ibn Siny w Hamadanie wydał się odpowiedniejszy dla Księcia Medyków niż wielka posiadłość w Isfahanie. Zbudowany z kamieni i mułu, przypominał szaty noszone zwykle przez Ibn Sine, niepozorne, sfatygowane i wygodne. Przesycony był jednak odorem choroby.

Al-Dżuzdzani zazdrośnie poprosił Roba, by zaczekał przed drzwiami izby, w której leżał Ibn Sina. Parę chwil później Rob dosłyszał cichy szmer głosów, a potem, ku jego zaskoczeniu i zaniepokojeniu, wyraźny odgłos uderzenia, po czym z izby wyszedł młody medyk, al-Guri. Twarz miał pobladła i płakał. Precisnął się obok Roba bez powitania i wypadł z domu.

Chwilę później wyszedł al-Dżuzdzani, a za nim starszy wiekiem mułła.

— Ten młody szarlatan przyczynił się do zguby Ibn Siny. Jak tu przybyli, al-Guri podał mistrzowi nasiona selera, żeby odprowadzić wiatry kolki. Tylko że zamiast dwóch danak nasion odmierzył pięć dirhamów. Przez to Ibn Sina utracił wiele krwi.

Jeden dirham zawierał sześć danak, co znaczyło, że choremu podano dawkę silnie przeczyszczającego środka piętnastokrotnie przewyższającą zalecenia.

Al-Dżuzdzani popatrzył na Roba.

— I to ja zasiadałem w komisji, która przyjmowała egzamin al-Guriego!... — rzekł z goryczą.

— Nie mogliście zajrzeć w przyszłość i przewidzieć tego błędu — próbował go uspokoić Rob, al-Dżuzdzani jednak był niepokieszony.

— Co za okrutna ironia losu! — powiedział. — Żeby do zguby wielkiego medyka przyczynił się taki głupi hakim!

— Czy mistrz jest przytomny? Mułła przytaknął skinieniem głowy.

— Wyzwolił niewolników i rozdał majątek ubogim.

— Mogę do niego wejść?

Al-Dżuzdzani machnął ręką.

Znalazszy się w izbie, Rob doznał wstrząsu. W ciągu tych czterech miesięcy, odkąd Ibn Siny nie widział, prawie nic z niego nie zostało. Oczy, które miał teraz zamknięte, zapadły się w głąb czaszki, twarz jakby się skurczyła, a skóra przybrała barwę wosku. Al-Guri wyrządził mu krzywdę, lecz ten błąd w sztuce przyspieszył tylko nieuniknione skutki raka żołądka.

Rob ujął jego dłonie i wyczuł tak niewiele życia, że nie mógł wydobyć z siebie głosu. Ibn Sina otworzył oczy i przenikliwy wzrok wbił w Roba, który poczuł, że chory przejrzał jego myśli, nie musiał zatem udawać.

— Powiedźcie, mistrzu — odezwał się z goryczą—dlaczego medyk, mimo że dużo może zrobić, jest jak liść na wietrze, a prawdziwą władzę ma jeden Allah?

Nie wiedzieć czemu jakiś blask rozjaśnił wyniszczone rysy starca. I nagle Rob pojął, dlaczego Ibn Sina próbuje się uśmiechnąć.

— Więc to jest ta zagadka? — zapytał niepewnym głosem.

— To jest ta zagadka... Europejczyku. Całe życie... musisz poświęcić... na szukanie odpowiedzi.

— Mistrzu?

Ibn Sina znów zamknął oczy i nie odpowiedział. Rob jakiś czas siedział przy nim w milczeniu.

— Mogłem jechać gdzie indziej, nie udawać Żyda — rzekł wreszcie po angielsku. — Do Zachodniego Kalifatu... do Toledo, Kordoby... Ale usłyszałem o pewnym człowieku, o Awicennie, którego arabskie imię zaczarowało mnie niby zaklęcie i przejęło dreszczem jak zimnica: Abu Ali al-Husajn ibn Abdullah Ibn Sina.

Stary medyk prócz swego imienia nie zrozumiał ani słowa, otworzył wszakże oczy i lekko ścisnął ręce Roba.

— Chciałem dotknąć chociaż rąbka waszej szaty..!. Największego medyka świata — wyszeptał Rob. Rodzonego ojca, zmęczonego, sponiewieranego cieślę, ledwie pamiętał. Balwierz traktował go dobrze, ale nie obdarzył uczuciem. Ibn Sina był jedynym ojcem, jakiego poznało jego serce. W tej chwili Rob zapomniał o wszystkim, czym u mistrza pogardzał, pragnął bowiem tylko jednego.

— Pobłogosławcie mi, mistrzu — poprosił.

Urywane słowa Ibn Siny były słowami arabskimi, lecz Rob nie musiał ich rozumieć. Wiedział, że Ibn Sina już dawno udzielił mu swego błogosławieństwa.

Ucałował starca na pożegnanie. Kiedy wyszedł, przy łożu z powrotem się usadowił muła, czytając na głos Koran.

## Król królów

Do Isfahanu Rob wrócił sam. Al-Dżuzdzani pozostał w Hamadanie; wyraźnie dał do zrozumienia, że pragnie zostać sam z umierającym mistrzem w jego ostatnich chwilach.

— Nie zobaczymy już Ibn Siny — rzekł z czułością Rob po powrocie do Mary, która odwróciła głowę i rozplakała się jak dziecko.

Jak tylko odpoczął, pospieszył do maristanu. Bez Ibn Siny i al-Dżuzdzaniego w szpitalu zapanowało rozprzężenie, całe dni więc spędzał na badaniu pacjentów i wykonywaniu zabiegów. Ponadto zrobił wykład o leczeniu ran i — co było niemiłym obowiązkiem — spotkał się z hadżim Dawudem Hoseinem w sprawach dotyczących zarządzania szkołą. Ze względu na niepewne czasy wielu studentów porzuciło praktykę i wróciło do domów za miastem, hadżi narzekał zatem, że w maristanie nie ma kto pracować. Na szczęście było również odpowiednio mniej pacjentów, gdyż ludzie instynktownie bardziej się obawiali grożącego najazdu niż chorób.

Tej nocy Mary oczy miała zaczerwienione i opuchnięte i przywarli do siebie z niemal już zapomnianą czułością, a wychodząc rankiem z małego domku w Jahudii, Rob wyczuł w powietrzu zmianę jak wilgoć przed burzą w Anglii.

Na żydowskim targu stragany były wyjątkowo puste, Hinda gorączkowo pakowała swoje towary.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Wojska Masuda...

Podjechał do murów.

Gdy wspiął się na schody, na szczycie zastał szeregi dziwnie milczących ludzi i od razu zobaczył przyczynę ich obaw: liczne wojska Gazny zgromadzone pod miastem. Piechurzy Masuda zajmowali połowę niewielkiej równiny za zachodnim murem miejskim, oddziały na koniach i wielbłądach stały obozem za wzgórzami, a bojowe słonie uwiązano na wyższych zboczach, w pobliżu namiotów i szałasów wielmożów i dowódców, których proporce łopotwały na suchym wietrze. Pośrodku obozowiska, górując nad innymi, powiewał długi proporzec Gaznawidów z łbem czarnej pantery na pomarańczowym polu.

Według szacunku Roba ta armia Gazny była czterokrotnie silniejsza od oddziału, który Masud przeprowadził przez Isfahan w drodze na zachód.

— Dlaczego nie wchodzi do miasta? — zapytał jednego z żołnierzy kalandara.

— Ścigali szacha, a on jest w mieście.

— I to ich zatrzymuje pod murami?

— Masud żąda, żeby poddani go wydali. Mówi, że jeśli wydamy szacha, daruje nam życie. Jeżeli nie, to wzniesie z naszych kości stos pośrodku głównego majdanu.

— I co? Wydadzą szacha?

Żołnierz zgromił go spojrzeniem i splunął.

— Jesteśmy Persami. A on jest naszym królem.

Rob kiwnął głową, lecz nie uwierzył żołnierzowi.

Zszedł z murów i zawrócił konia do domu. Angielski miecz trzymał dotąd w ukryciu, zawinięty w nasączone tłuszczem szmaty. Teraz uwiązał go u boku i polecił Mary, by wydobyla miecz ojca i po jego wyjściu zabarykadowała drzwi. Następnie dosiadł konia i pojechał do Rajskiego Domu.

W Alei Alego i Fatimy tu i ówdzie stały niespokojne grupki mieszkańców Isfahanu. Znacznie mniej było ich w szerokiej Alei Tysiąca Ogrodów, a u bram Rajskiego Domu nikogo. Ta zazwyczaj idealnie utrzymana ulica nosiła oznaki zaniedbania. Dozorcy ostatnio nie sprząтали ani nie przycinali zieleni. W głębi ulicy stał tylko samotny strażnik.

Zaczeplnie wystąpił naprzód, gdy Rob się zbliżył.

— Jestem Jesse, hakim z maristanu. Przybywam na wezwanie szacha.

Strażnik był nieledwie chłopcem i minę miał niepewną, niemal wystraszoną. Zastanawiał się chwilę, po czym skinął głową, odsunął się i przepuścił konia.

Rob minął sztuczny las stworzony dla królów, zielone pole do gry w piłkę i kij, dwa tory wyścigowe i pawilony.

Zatrzymał się za stajniami, przy domu podarowanym Dhanie Yangalilowi. Hinduski płatnerz i jego starszy syn musieli jechać z perskim wojskiem do Hamadanu. Rob nie wiedział, czy przeżyli, ale ich rodzina zniknęła. Mały domek stał opuszczony, ktoś zburzył gliniane ściany hutniczego pieca wzniesionego z takim staraniem przez Dhanę.

Długim eleganckim podjazdem ruszył do Rajskiego Domu. Na blankach pałacu nie widział strażników. Głucho zadudniły kopyta jego konia na zwodzonym moście. Uwiązał wierzchowca przed wielką bramą.

W Rajskim Domu kroki Roba budziły echo w pustych korytarzach. Dotarli do sali posłuchań, w której zawsze stawał przed królem, ujrzał Alę. Szach siedział ze skrzyżowanymi nogami w kącie na podłodze. Przed nim stał dzban do

połowy napełniony winem i tablica do gry szacha z zadaniem do rozwiązania.

Szach był równie nieświeży i zaniedbany jak jego ogrody. Brodę miał nie przyciętą, oczy sino podkrążone i zeszczupłał, przez co jego nos bardziej niż kiedykolwiek upodobił się do ostrego dzioba.

Spojrzał na Roba, który stanął przed nim z ręką na rękojeści miecza.

— I cóż, zimmi? Przychodzisz się odegrać?

Minęła chwila, nim Rob pojął, że Ala mówi o grze szacha, ustawiając od razu figury na tablicy. Wzruszył ramionami i zdjął dłoń z rękojeści miecza, tak go układając, by wygodnie usiąść na posadzce naprzeciw króla.

— Nowe wojska—rzekł Ala z humorem i wykonał pierwszy ruch piechurem z kości słoniowej. Rob przesunął czarnego żołnierza.

— Gdzie Farhad? Poległ? — zapytał. Nie spodziewał się zastać Alę samego. Myślał, że będzie musiał przedtem zabić Dowódcę Bram.

— Farhad nie poległ. Uciekł.—Ala zbił czarnego żołnierza białym jeźdźcem, a Rob zaraz posłużył się jednym ze swoich hebanowych jeźdźców, by zbić białego piechura.

— Chuff by was nie porzucił, panie.

— Nie, Chuff by nie uciekł — przyznał bezmyślnie Ala. Długo wpatrywał się w tablicę, wreszcie ze skraju pierwszej linii przesunął wyciętego z kości słoniowej rocha, figurkę mordercy z dłońmi stulonymi przy ustach, pijącego krew wroga.

Teraz Rob wciągnął Alę w przygotowaną zasadzkę — oddał swojego jeźdźca za białego rocha.

Szach szeroko otworzył oczy. Odtąd jego ruchy były lepiej przemyślane, dłużej się zastanawiał nad kolejnym posunięciem. Oczy mu zabłysły, gdy zdobył drugiego czarnego jeźdźca, ale ostudziła go utrata słonia.

— Co się stało ze słoniem Zu? — spytał w pewnej chwili Rob.

— Ach, to był naprawdę dobry słoń... Jego też straciłem pod Karadzem.

— A co z mahutem Harszą?

— Zginał, zanim padł słoń. Dostał w pierś włócznią. — Nie częstując Roba, łyknął wina prosto ze dzbana, aż połało mu się trochę na i tak brudny już kaftan. Otarł usta i brodę grzbietem dłoni. — Dość gadania — oświadczył i zabrał się do gry, gdyż hebanowe figury miały lekką przewagę.

Ala okazał się zawziętym przeciwnikiem. Próbował wszystkich podstępów, które kiedyś tak mu się udawały, ale Rob nie darmo przez ostatnie lata walczył z tęższymi od siebie graczami. Mirdin go nauczył, kiedy śmiało atakować, a kiedy zachować ostrożność, Ibn Sina zaś jak przewidywać i obmyślać wiele ruchów naprzód. Teraz grał zatem tak, jakby wprowadzał Alę w ślepe zaułki, w których figury z kości słoniowej czekała niechybna zguba.

Czas mijał. Twarz szacha pokryła się potem, mimo że kamienne ściany i posadzka utrzymywały w sali chłód. Rob miał wrażenie, że jego ruchami kierują po części Mirdin i Ibn Sina. Przyszła w końcu chwila, gdy z figur z kości słoniowej pozostał na tablicy jedynie król, wódz i wielbłąd, a niebawem, wytrzymując spojrzenie władcy, Rob zbił swoim wodzem wielbłąda.

Ala ustawił swojego wodza przed figurą króla, blokując linię ataku, Rob wszakże miał jeszcze pięć figur: króla, wodza, rocha, wielbłąda i piechura, toteż nie zwlekając przesunął nie zagrożonego piechura na drugą stronę tablicy, gdzie przepisy gry pozwalały mu go wymienić na rocha. Po czym w trzech ruchach, poświęciwszy świeżo zdobytego rocha, zbił wodza z kości słoniowej, a po dwóch następnych ruchach czarny wódz zagroził jasnemu królowi.

— Usuń się, szachu — rzekł cichym głosem. Powtórzył te słowa trzy razy, umieszczając swoje figury tak, że w końcu zagrożony biały król nie miał dokąd uciec.

— Szatrandż — powiedział wreszcie.

— Tak. Upadek króla — przytaknął Ala i zmiotł pozostałe figury z tablicy.

Spojrzeni na siebie, Rob znów z dłonią na rękojeści miecza.

— Masud ogłosił, że jeśli poddani was nie wydadzą, panie, jego wojska wymordują ludzi i splądrują miasto.

— I tak to zrobią, czy mnie kto wyda, czy nie — odparł szach. — Jedną ma tylko szansę Isfahan. — Dźwignął się na nogi i Rob też wstał, bo człowiek niskiego urodzenia nie mógł siedzieć przy stojącym władcy. — Wyzwę Masuda. Niech król potyka się z królem.

Rob przybył, aby szacha zabić, nie zaś podziwiać go czy lubić, toteż zmarszczył brwi.

Ala naciągnął wielki łuk, z którym mało kto by sobie poradził, i dokręcił cięciwę. Wskazał na wiszący na ścianie naprzeciwko miecz z cyzelowanej stali, dzieło Dhany Yangalila.

— Podaj mi tę broń, zimmi.

Rob przyniósł miecz i patrzył, jak Ala go przypasuje.

— Ruszacie przeciwko Masudowi?

— Zdaje się, że pora.

— Chcecie, żebym wam towarzyszył?

— Nie!

Rob zauważył, że Alę aż wstrząsnął dreszcz pogardy na samą wzmiankę o tym, że Żyd mógłby wystąpić jako rycerz władcy Persji. Nie rozgniewał się jednak, przeciwnie, poczuł ulgę: owo „nie” wypowiedziane zostało porywczo i władca zaraz go pożałował, a on nie widział ani sensu, ani powodu do chwały w umieraniu u boku szacha Ali.

Sępia twarz króla złagodniała.

— Mężna to była propozycja — powiedział, zanim wyszedł. — Zastanów się, czego byś chciał w nagrodę. Jak wrócę, dostaniesz chylat.

Wąskimi schodami Rob wspiął się na najwyższe blanki Rajskiego Domu i z tej zawrotnej



wysokości ujrzał domy najbogatszej dzielnicy Isfahanu, Persów stojących na murach miasta, równinę za murami i obóz wojsk Gazny rozciągający się aż na wzgórza.

Długo czekał na wietrze rozwiewającym mu włosy i brodę. Ala się nie pojawiał. Po jakimś czasie zaczął sobie wyrzucać, że nie zabił szacha, pewien, że ten wystrychnął go na dudka i uciekł.

W końcu go jednak zobaczył.

Ze swego miejsca nie widział zachodniej bramy, ujrzał zatem szacha dopiero na równinie za murami miasta. Jechał na ulubionym wierzchowcu, pięknym w swej dzikości białym arabie, który rzucał łbem i niczym w tańcu przebierał kopytami.

Rob patrzył, jak Ala jedzie prosto do obozu nieprzyjaciela. Kiedy się wystarczająco zbliżył, ściągnął cugle, stanął w strzemionach i rzucił swoje wyzwanie. Rob nie dosłyszał słów, dobiegło go tylko cienkie niezrozumiałe wołanie. Część perskich żołnierzy dosłyszała jednak króla. Ci ludzie wyrosli na legendzie Ardewana i Ardeszira, na opowieści o ich pojedynku, pierwszym, który rozstrzygnął o wyborze szachinszacha, toteż na murach Isfahanu rozbrzmiały wiwaty. Z obozu Gazny, z tej części, w której stały namioty oficerów, wyjechała grupka konnych. Człowiek na czele był w białym turbanie, ale Rob nie miał pewności, czy to Masud. Widać jednak niezależnie od tego, czy słyszał czy nie o Ardewanie i Ardeszirze oraz o pradawnym starciu o prawo do miana króla królów, nie dbał o legendy. Z szeregów wroga wypadł bowiem oddział łuczników na rącznych koniach.

Biały arab był najszybszym wierzchowcem, jakiego Rob w życiu oglądał, lecz Ala nie próbował uciec. Znowu stanął w strzemionach. I Rob był pewien, że tym razem młodego sułtana, który nie chciał z nim walczyć, obrzucił pogroźkami i wyzwiskami.

Łucznicy już go dopadali, gdy Ala nagotował łuk i pomknął na swym białym koniu. Tyle że nie miał dokąd uciekać. W pełnym galopie odwrócił się w siodle i partyjskim sposobem wypuścił strzałę, która powaliła jadącego przodem żołnierza, co wzbudziło okrzyki podziwu wśród widzów na murach. Niemal równocześnie szacha dosięgną! grad strzał wypuszczonych w odpowiedzi.

Cztery strzały trafiły także wierzchowca. Z pyska konia rzygnęła czerwona krew, ogier zwolnił, potem przystanął chwiejąc się na nogach, wreszcie runął na ziemię razem z martwym jeźdźcem.

Roba znienacka ogarnął smutek.

Patrzył, jak łucznicy przywiązują szacha za nogi i wloką do obozu wojsk Gazny, znacząc swe przejście wzbijanym tumanem szarego pyłu. Z powodów, których nie rozumiał, szczególnie go zabolalo, że powlekli króla twarzą do ziemi.

Zaprowadził kasztanka do zagrody za królewskimi stajniami i rozsiodłał. Nie lada zadaniem okazało się otworenie samemu ciężkiej bramy, ale i tu, tak jak w innych zabudowaniach Rajskiego Domu, nie było służby. Musiał zatem sam sobie poradzić.

— Żegnaj, przyjacielu — powiedział, klepnął konia po zadzie, a gdy kasztanek przyłączył się do tabunu, zamknął starannie bramę. Jeden Bóg wie, kto do rana zostanie właścicielem jego konia.

W zagrodzie dla wielbłądów wybrał z uprzęży wiszącej w otwartej szopie kantary, po czym wyszukał dwie młode, silne wielbłądzice, jakich potrzebował. Klęczały przeżuając i spokojnie czekały, aż podejdzie.

Pierwsza spróbowała ugryźć go w ramię, gdy zbliżył się z uzdą, ale Mirdin, ten najłagodniejszy z ludzi, nauczył go obchodzić się z wielbłądami, dzielił więc zwierzę z taką siłą, że zza wielkich jak łopaty żółtych zębów ze świstem wydobyło się sapnięcie. Wielbłądzica natychmiast go usłuchała, druga zaś nie sprawiała kłopotu, jakby wyciągnęła wnioski z obserwacji. Wsiadł na większą, mniejszą wziął na postronek.

W bramie wiodącej do Rajskiego Domu nie było już młodego strażnika, a gdy Rob wjechał do miasta, zdało mu się, że Isfahan ogarnęło szaleństwo: we wszystkich kierunkach pędzili objuczeni ludzie z wielbładami dźwigającymi ich dobytek; w Alei Alego i Fatimy kotłował się tłum; obok Roba przemknął uciekający koń płosząc jego wielbłądzice; na targach niektórzy kupcy porzucili swoje towary... Zauważył, że ludzie łakomym wzrokiem patrzą na jego wielbłądy, wyjął więc miecz z pochwy i położył go przed sobą. Musiał szerokim łukiem ominąć wschodnią dzielnicę, by dostać się do Jahudii, ponieważ już na ćwierć mili przed wschodnią bramą zawracano tych, którzy chcieli się przez nią wydostać z Isfahanu, by nie natknąć się na wrogich żołnierzy obozujących za zachodnim murem.

Gdy dotarł do domu, na jego wołanie Mary otworzyła drzwi z twarzą jak popiół i mieczem ojca w dłoni.

— Wracamy do kraju — oznajmił.

Na jej twarzy widniało przerażenie, lecz usta poruszały się w dziękczynnej modlitwie.

Rob zdjął turban i perskie szaty, włożył czarny kaftan i skórzany żydowski kapelusz, po czym spakował rzeczy: kopię „Kanonu medycyny” Ibn Siny, swoje rysunki anatomiczne zwinięte i ukryte w długim bambusie, notatki medyczne, skrzynkę z instrumentami, grę Mirdina, trochę żywności i leków, miecz ojca Mary i skrzynkę z jej pieniędzmi. Wszystko to załadował na mniejszą wielbłądzicę. Większa miała przytroczony do grzbietu z jednej strony trzcinowy kosz, z drugiej worek z tkaniny o rzadkim splocie.

Rob przyniósł w małej fiolce odrobinę bangu, umoczył w nim palec i podał go do ssania małemu Robowi, a potem Tomowi. Gdy chłopcy usnęli, umieścił starszego w koszu, niemowlę zaś w worku. Ich matka dosiadła niosącej dzieci wielbłądzicy.

Jeszcze przed nocą na dobre opuścili mały domek w Jahudii, bali się bowiem zwlekać — wróg lada chwila mógł wejść do miasta — lecz zanim dotarli do opuszczonej przez strażę zachodniej bramy, ściemniło się zupełnie. Szlak polowań, którym wyruszyli na wzgórze, biegł tak blisko ognisk obozu wojsk Gazny, że słyszeli śpiewy, nawoływania i ochryple wrzaski żołnierzy nabierających animuszu przed wkroczeniem do miasta. W pewnej chwili wydało im się, że prosto na nich galopuje pokrzykując jakiś jeździec, ale tętent kopyt rozpułynał się w oddali.

Czas płynął, kończyło się powoli działanie bangu. Mały Rob najpierw zaczął pojękiwać, potem się rozpłakał. Robowi ten dźwięk wydał się złowieszczo groźny, Mary wyjęła więc chłopca z kosza i uciszyła go piersią.

Nie słyszeli za sobą pogoni. Wkrótce ogniska obozu zostały daleko w tyle, a kiedy Rob spojrzął na drogę, którą przebyli, nisko na niebie spostrzegł różową lunę. To płonął Isfahan.

Jechali całą noc. W pierwszym słabym świetle poranka stwierdził, że minęli już wzgórze. Dokoła nigdzie nie widział żołnierzy. Ciało miał odrętwiałe, a nogi... wiedział, że jeśli się zatrzyma, pojawi się nowy wróg: ból.

Obaj chłopcy już płakali, szara na twarzy żona jechała z zamkniętymi oczami, mimo to Rob nie przystanął. Zaciśnął zęby i powłókł się dalej na utrudzonych nogach, prowadząc wielbłądy na zachód, w kierunku pierwszej wsi zamieszkaanej przez Żydów.

# **Część siódma**

## **Po powrocie**

## Londyn

Przeprawa przez wielki Kanał zakończyła się późnym popołudniem 24 marca roku pańskiego 1043 wylądowaniem w Queens Hythe. Może gdyby przybyli do Londynu w ciepły słoneczny dzień, ich życie potoczyłoby się inaczej, Mary jednak już od pierwszej chwili, gdy znalazła się w wilgotnym mroku, w wiosennej lodowatej mżawce, z młodszym synem na ręku umęczonym jak jego ojciec morską chorobą od Francji aż do końca podróży, zniechęciła się do tego miasta.

Ich statek ledwie miał gdzie przybić. Samych wielkich czarnych okrętów wojennych, kołyszących się na kotwicy, Rob naliczył z górą czterdzieści, prócz nich zaś stał w porcie cały tłum wszelkiego rodzaju statków handlowych. Wszyscy czworo byli bardzo wyczerpani podróżą. Udali się do jednej z gospód na targowisku w Southwark, którą Rob pamiętał, okazała się jednak nędzną norą pełną robactwa, co przygnębiło ich jeszcze bardziej.

Nazajutrz o pierwszym brzasku wybrał się sam na poszukiwanie lepszego lokum, idąc najpierw groblą, a dalej przez Most Londyński, który najmniej się zmienił przez te wszystkie lata. Londyn bowiem bardzo się rozrósł. Tam, gdzie niegdyś rozciągały się łąki i sady, Rob ujrzał nieznane budowle i ulice równie kręte jak uliczki Jahudii, północnej części miasta zaś wcale nie poznał. W czasach jego dzieciństwa stały tu dworki otoczone polami i ogrodami, siedziby starych rodów. Teraz część ich sprzedano i na terenach tych osiedli ludzie wykonujący brudniejsze zawody. Mieściły się tu mieszkania i warsztaty ślusarzy, złotników, a także rzemieślników pracujących w srebrze i miedzi. Rob nie chciał mieszkać w okolicy zasnutej mgłą dymu drzewnego i smrodem garbarni, rozbrzmiewającej dzwonieniem młotów uderzających o kowadła i hukiem pieców hutniczych.

Żadna dzielnica mu nie odpowiadała: Cripplegate leżało tuż przy nie osuszonym mokradle, Holborn i Fleet Street daleko od centrum Londynu, w Cheapside skupiło się zbyt wielu drobnych handlarzy. Niżej położona część miasta jeszcze bardziej się zagęściła, ale tu spędził pierwsze lata życia i jak stwierdził, ciągnęło go z powrotem na nabrzeże.

Najważniejszą ulicą Londynu była Thames Street. W ubogich wąskich zaułkach, odchodzących z jednej strony od Puddle Dock, z drugiej od Tower Hill, gnieździł się tragarze, dokerzy, służący i wszyscy inni z klas pozbawionych wszelkich przywilejów, lecz długa Thames Street wraz z nabrzeżami była kwitnącym centrum przywozu i wywozu towarów oraz handlu hurtowego. Po jej południowej stronie wał rzeczny i nabrzeża wymuszały zabudowę w mniej więcej równej linii, po północnej za to panował chaos: ulica miejscami się zwężała, miejscami rozszerzała, gdzieś tam wielkie domy wysuwały frontowe ściany z facjatami jak ciężarne brzuchy, tu i ówdzie wychylał się otoczony płotem ogródek lub cofał się w głąb skład, a o każdej porze dnia i nocy roiło się tu od zwierząt i ludzi, których żywą falę i gwar Rob dobrze pamiętał.

W jakiejś tawernie zapytał o mieszkanie do wynajęcia i wskazano mu jedno niedaleko Walbrook. Okazało się położone tuż przy małym kościółku Świętego Asafa, uznał więc, że przypadnie do gustu Mary. Przyziemie domu zajmował właściciel, Peter Lound, piętro było do wynajęcia. Składało się z jednej małej i jednej dużej izby mieszkalnej, z których strome schody prowadziły na ruchliwą ulicę. Nie znalazł w mieszkaniu śladu pluskiew, cena wydała mu się uczciwa, a i dzielnica była dobra, bo przy ulicach po lepszej stronie, na zboczach wznoszącym się ku północy, mieszkali i mieli swe sklepy bogaci kupcy.

Nie tracąc czasu wrócił do Southwark po rodzinę.

— To jeszcze nie żaden pałac, ale chyba się nada? — zapytał żonę, gdy przyprowadził ją na miejsce.

Odpowiedź onieśmiałonej Mary zagłuszyło nagle donośne — bardzo donośne —

dzwonienie u Świętego Asafa.

Kiedy się tylko wprowadzili, Rob natychmiast udał się do malarza szyldów i zamówił dębową tabliczkę z napisem pociągniętym czarną farbą. Przybił ją na drzwiach domu przy Thames Street, by wszystkim było wiadomo, że tu mieszka Robert Jeremy Cole, medyk.

Z początku miło było Mary znaleźć się wśród Brytyjczyków i mówić po angielsku, mimo że nadal zwracając się do synów używała celtyckiego, chciała bowiem, żeby znali język Szkotów.

Łatwość, z jaką w Londynie można było wszystko dostać, przyprawiała ją o zawrót głowy. Zaraz wyszukała szwaczkę i zamówiła sobie suknię z przyzwoitego brązowego sukna. Wolałaby niebieską jak ta, którą dostała niegdyś od ojca, błękitną niby letnie niebo, to jednak oczywiście było niemożliwe. Ale i nowa suknia była ładna, długa, z paskiem, wysokim okrągłym kołnierzem i tak szerokimi rękawami, że przy nadgarstkach tworzyły się obfite bufy.

Dla Roba zamówili porządne szare spodnie i kaftan. Chociaż przeciwny był takiej rozrzutności, Mary kupiła mu także dwa czarne płaszcze, jakie nosili medycy, jeden lekki i niczym nie podbity, drugi ciepły z kapturem obszytym lisim futrem. Od dawna już potrzebował nowego ubrania, ponieważ ciągle nosił to, które kupili w Konstantynopolu, gdy kresu dobiegł pierwszy etap ich podróży żydowskim szlakiem bezpiecznych schronień, wzdłuż długiego łańcucha składającego się z wielu ogniw. Wtedy to Rob przystrzygł krzaczasty zarost w kształt koziej bródki i przebrał się w zachodni strój. Wten sposób zanim się przyłączyli do karawany, Jesse ben Beniamin zniknął, a pojawił się Robert Jeremy Cole, Anglik wracający zrodziną do kraju.

Zawsze oszczędna Mary nie wyrzuciła znoszonego kaftana, lecz wykorzystała go jako materiał na ubranka dla synów. Zachowywała ubranka małego Roba dla Toma, choć miała z tym kłopoty, bo Rob J. był duży jak na swój wiek, a Tom trochę mniejszy niż jego rówieśnicy, ponieważ w czasie podróży na Zachód przeszedł ciężką chorobę. Otóż we frankońskim mieście Freising obaj dostali zapalenia migdałków i łzawienia, złożyła ich wysoka długotrwała gorączka. Przerazona Mary już myślała, że straci synów. Na szczęście wyzdrowieli. U małego Roba choroba nie zostawiła żadnych widocznych śladów, Tomowi poraziła jednak lewą nogę, z której odpłynęła cała krew, tak że wydawała się martwa.

Cole'owie przybyli do Freising z karawaną mającą wkrótce ruszyć dalej i przewodnik oświadczył, że nie będzie czekał na chorych.

— A idźcie do diabła!... — powiedział mu Rob. Jego dzieci potrzebowały leczenia, musiał się nimi zająć. Owijał Tomowi nogę bandażami zmoczonymi w gorącej wodzie, nie sypiał nocami, aby ciągle je zmieniać, brał małą nóżkę w swoje wielkie dłonie i zginając ją w kolanie, zmuszał raz po raz mięśnie do pracy, szczypał je, ugniatał i nacierał niedźwiedzim sadłem.

Malec wracał do zdrowia, aczkolwiek powoli. W chwili porażenia chodził od niespełna roku, toteż musiał od początku nauczyć się pełzać i raczkować, a potem stawiać pierwsze kroki. Tym razem sprawiało mu to trudności, gdyż lewą nogę miał odrobinę krótszą od prawej.

Spędzili we Freising prawie rok w oczekiwaniu na wyzdrowienie Toma, a potem na karawanę zdążającą w odpowiednim kierunku. Chociaż Rob nigdy nie zdołał polubić Franków, nauczył się życzliwiej patrzeć na ich zwyczaje. Przychodzili do niego po poradę, mimo że nie znał ich języka, widzieli bowiem, z jaką troską i czułością opiekuje się swoim dzieckiem. Nadal zresztą walczył o całkowite wyleczenie Toma, który odrobinę pociągał nogą, a mimo to był chyba najruchliwszym dzieckiem w Londynie.

Prawdę mówiąc chłopcy swobodniej czuli się w Londynie niż ich matka, Mary bowiem wciąż nie mogła do miasta przywyknąć. Klimat jej zdaniem był zbyt wilgotny, a Anglicy

oziębli. Robiąc sprawunki musiała się powściągać, by mimo woli nie wdawać się w ożywione wschodnie targi, do których przywykła i które polubiła. Ludzie byli tu na ogół mniej przyjaźni, niż oczekiwała. Nawet Rob twierdził, że brak mu wylewności, jaką okazywali w rozmowach Persowie.

— Choć wszystkie te pochlebstwa warte były tyle co kozie bobki, miło się ich słuchało — oświadczył z nostalgią.

Mary martwiła się o Roba — czegoś brakowało w ich życiu małżeńskim, zatruwał je jakiś nie określony smutek. Kupiła lustro i przyjrawszy się swemu odbiciu zauważyła, że jej cera utraciła dawny blask, spieczona okrutnym słońcem w podróży. Twarz miała szczuplejszą niż kiedyś i wydatniejsze kości policzkowe, wiedziała też, że jej piersi nie są już takie same wskutek karmienia. A po tym mieście wszędzie włóczyły się ladacznice, czasem naprawdę piękne. Wcześniej czy później Rob do nich trafi. Wyobraziła go sobie, że opowiada takiej dziewczce, czego się w Persji nauczył o miłości, i przykro jej się zrobiło na myśl o tym, jak się tarzają ze śmiechu, podobnie jak niegdyś oni oboje.

Londyn jawił się jej jako czarne bagno, w którym zanurzyli się już po kostki. Nieprzypadkowo przyszło jej do głowy to porównanie, gdyż miasto śmierdziało bardziej niż wszystkie bagna, jakie mijali w podróży. Rynsztoki i brud Londynu nie były co prawda gorsze od tego, co знаła z Isfahanu, lecz tu mieszkało o wiele więcej ludzi, w niektórych dzielnicach bardzo stłoczonych, toteż i ścieki, znacznie obfitsze, śmierdziały dużo gorzej.

Kiedy po ucieczce z Isfahanu dotarli do Konstantynopola i Mary znowu znalazła się wśród ludzi będących w większości chrześcijanami, namiętnie zaczęła chodzić do kościołów, teraz jednak straciło to urok, ponieważ londyńskie kościoły ją przytłaczały. Było ich ponad sto, a więc dużo więcej niż meczetów w Isfahanie. Górowały nad wszystkimi innymi budynkami

— miasto wzniesiono między kościołami — i przemawiały grzmiącym głosem przyprowadzającym o dreszcz. Czasami miała wrażenie, że ich dzwony wzbijają potężny wiatr, który zaraz ją porwie i uniesie. Kościół Świętego Asafa, choć nieduży, dzwony miał wielkie, ich dźwięk wprawiał w drżenie cały dom przy Thames Street, kiedy przyłączały się do oszołamiającego koncertu wszystkich innych w mieście, skuteczniejszego niż cała armia muezinów. Dzwony wzywały wiernych na modlitwę, dzwony wieściły moment konsekracji w czasie mszy, dzwony ostrzegały zapóźnionych, że czas gasić ogień, dzwony ogłaszały chrzciny i śluby, aż wieże drżały, i grzmiały ponurym, uroczystym podzwonnym każdej odchodzącej duszy... Dzwony uderzały na trwogę podczas pożarów i zamieszek, witały dostojnych gości, obwieszczały każde święto i głuchym tonem oznajmiały klęski. Dla Mary stały się całym miastem. Znienawidziła te przekłete dzwony.

Pierwszą osobą, którą tabliczka sprowadziła do drzwi Cole'ów, nie był człowiek chory, lecz szczupły mężczyzna o pochyłych plecach i badawczym spojrzeniu zmrużonych rozbieganych oczu.

— Nicolas Hunne, medyk — przedstawił się i jak wróbel przekrzywił szpakowatą głowę, czekając, jak zareagują.

— Z Thames Street — dodał znacząco.

— Widziałem wasz szyld — powiedział Rob i uśmiechnął się. — Wy mieszkacie w jednym końcu ulicy, a teraz ja osiadłem w drugim. Pomiędzy nami dość jest cierpiących londyńczyków, żeby dać zajęcie kilkunastu pracowitym medykom.

Hunne pociągnął nosem.

— Nie tak dużo jest tych cierpiących, jak się wam wydaje. Nie ma też zajęcia dla tak wielu pracowitych medyków. Dość już mamy w Londynie takich, co się parają leczeniem, dlatego moim zdaniem początkujący medyk lepiej by zrobił wybierając nową dzielnicę.

Gdy spytał, gdzie mistrz Cole pobierał nauki, Rob zełgał jak sprzedawca dywanów

mówiąc, że przez sześć lat praktykował w królestwie wschodniofrankońskim.

— A ile będziecie brali? — indagował dalej gość.

— Ile będę brał? — zdziwił się Rob.

— Tak. Jaką zapłatę, człowieku. Jaką macie takse?

— Nie pomyślałem jeszcze o tym.

— No to się szybko zastanówcie. Powiem wam, ile się bierze, bo nie uchodzi, żeby przybysz podkupywał resztę. Opłaty są różne, to zależy od zamożności pacjentów... Oczywiście górnej granicy nie ma. Ale nie wolno wam zejść poniżej czterdziestu pensów za puszczanie krwi, bo to nasza główna usługa, ani poniżej trzydziestu sześciu pensów za badanie moczu.

Rob spojrzął nań badawczo. Ceny, które wymienił Hunne, były niemiłosiernie wysokie.

— Nie zwracajcie sobie głowy tą hołotą, co się gnieździ na obrzeżach Thames Street. Mają swoich balwierzy. I niech się wam nie marzy szlachta, nią się zajmuje tylko paru medyków: Dryfield, Hudson, Simpson i tacy jak oni. Ale na Thames Street jest jeszcze spora grupka bogatych kupców dojrzałych do oskubania, choć już się nauczyłem brać zapłatę, nim zacznę leczenie, bo wtedy pacjent ma największego stracha. — Obrzucił Roba przebiegłym spojrzeniem. — Możemy ze sobą konkurować i wcale nie musimy na tym tracić. Przekonałem się, jakie wrażenie robi wezwanie konsultanta, kiedy chory jest człowiekiem zamożnym... Możemy sobie nawzajem przysparzać dochodu i obu nam się opłaci... To jak? Zgoda?

Rob postąpił w stronę drzwi, popychając Hunne'a przed sobą.

— Na ogół pracuję sam. Tak wolę — rzekł chłodno. Tamten poczerwieniał. Trudno było nie zrozumieć odmowy.

— To się ucieszycie, mistrzu Cole, jak wśród medyków o was rozpowiem i żaden się do was nie zbliży — ostrzegł, krótko skinął głową i wyszedł.

Pacjenci przychodzili, ale nieczęsto.

Należało się tego spodziewać, mówił sobie Rob. Był tu nowy i musiało minąć trochę czasu, nim zostanie zauważony. Uznał, że lepiej siedzieć i czekać, niż wdawać się w nieczyste, choć przynoszące zysk układy z takimi jak Hunne.

Tymczasem zadomawiał się w Londynie. Razem z żoną i dziećmi wybrał się jednego dnia na cmentarz przy kościele Świętego Botolfa, by odwiedzić groby swoich bliskich. Ucieszeni odmianą malcy pobawili się wśród mogił. Rob w głębi serca pogodził się już z myślą, że nigdy nie odnajdzie siostry ani braci. Pocięchą i dumą była mu założona rodzina i miał nadzieję, że jego brat Samuel, mama i tata jakimś sposobem o niej wiedzą.

Na Cornhill znalazł odwiedzaną głównie przez wyrobników tawernę „Pod Lisem”, w której nawet mu się podobało. Była zrodzaju tych, w jakich jego ojciec szukał pociechy, gdy Rob był mały. Tutaj także unikał picia meteglinu, zadowolając się ciemnym piwem.

Natknął się również na przedsiębiorcę budowlanego, George'a Markhama, który należał do cechu cieśli w tym samym czasie co jego ojciec. Markham był postawnym rumianym mężczyzną o czarnych włosach siwiejących na skroniach i brodzie. Należał do innej Setki niż Nathanael Cole, ale go pamiętał. Co więcej, okazało się, że jest siostrzeńcem Richarda Bukerela, ówczesnego starszego cechu, i przyjaźnił się niegdyś z Turnerem Horne'em, mistrzem ciesielskim, u którego mieszkał Samuel, nim zginął pod kołami wozu w dokach.

— Turnera i jego żonę razem z ich najmłodszym zabiła gorączka bagienna pięć lat temu — przypomniał sobie Markham. — Była to straszna zima...

— A znacie ucznia ciesielskiego, Anthony'ego Tite'a? — zapytał go Rob.

— Był już towarzyszem stolarskim, kiedy rok temu umarł na piersi.

Rob skinął głową i przez jakiś czas popijali, siedząc w milczeniu.

Ze słów Markhama i innych bywalców „Lisa” Rob ułożył sobie obraz tego, co działo się z tronem Anglii, kiedy on przebywał na Wschodzie. Trochę się już dowiedział od Bostocka w Isfahanie, a teraz jeszcze usłyszał, że po objęciu władzy po Kanucie Harold Zająconogi okazał się słabym królem, lecz znalazł pomoc w osobie Godwina, hrabiego zachodnich Sasów. Kiedy z Normandii przybył Alfred, przyrodni brat władcy nazywający sam siebie Athelingiem, czyli następcą tronu, wojska Harolda wycięły w pień jego ludzi, jemu zaś wytopiono oczy i wtrącono go do lochu, gdzie pozostał aż do strasznej śmierci od gangreny, która mu się wdała w rany. Harold natomiast w krótkim czasie zapasł się i zapił na śmierć, a tron po nim objął inny z jego przyrodnych braci, Harthakanut, kiedy wrócił z wojny z Danią.

— Harthakanut kazał zabrać ciało Harolda z Westminsteru i rzucić je w mokradła w pobliżu wyspy Thorney — powiedział George Markham, kiedy język mu się rozwiązał pod wpływem trunku. — Ciało własnego przyrodniego brata! Jak worek gówna albo ściervo psa!... I szczątki człowieka, który za życia był królem Anglii, leżały potem w trzcinach, kołysały się na falach przyływu... Aż w końcu zakradliśmy się tam w paru po cichu. Zimno było tej nocy i gęsta mgła, prawieśmy nie widzieli księżyca. Zabraliśmy zwłoki i wywieźli łodzią. Są pochowane jak należy na cmentarzyku Świętego Klemensa. Tyleśmy przynajmniej zrobili jako chrześcijanie. — Przeżegnał się i pociągnął długi haust z kufla.

Harthakanut rządził raptem dwa lata — pewnego dnia padł martwy na uczcie weselnej. Potem władza w Anglii przypadła w udziale Edwardowi, który poślubił córkę Godwina i również znalazł się pod silnym wpływem saskiego wielmoży, ale był lubiany.

— Edward to dobry król — powiedział Markham Robowi. — Wystawił porządną flotę czarnych okrętów.

— O, tak — przyznał Rob. — Zauważyłem je. Czy są szybkie?

— Wystarczająco, żeby przegnać piratów z morskich szlaków.

Te opowieści o królach, okraszane knajpianymi anegdotami i wspominkami, tak wysuszały gardła, że trzeba je było zwilżać, co wymagało wznoszenia przy okazji licznych toastów na cześć zmarłych władców i oczywiście panującego Edwarda. W związku z tym przez kilka wieczorów Rob, niepomny na to, że źle znosi mocne trunki, chwiejnym krokiem wracał z „Lisa” do domu. Mary musiała rozbierać i kłaść do łóżka pijanego gburą. Przez to smutek na jej twarzy jeszcze się pogłębił.

— Kochany, wyjedźmy stąd — powiedziała któregoś dnia.

— A dlaczego? I dokąd mamy jechać?

— Możemy zamieszkać w Kilmarnock. Mam tam ziemię i krewniaków, którzy się ucieszą, że wracam z mężem i synami.

— Musimy jeszcze dać szansę Londynowi — łagodnie odparł Rob.

Nie był głupcem, toteż przyrzekł sobie bardziej uważać zachodząc „Pod Lisa” i w ogóle rzadziej tam bywać. Nie powiedział Mary jednego: że z Londynem wiązał duże nadzieje, nie zamierzając ograniczyć się tylko do życia w roli pijawki. W Persji przesiąkł tym, czego tutaj nie znano i co stało się częścią jego istoty. Marzył o otwartej wymianie myśli medycznej, jaka istniała w Isfahanie, do tego jednak potrzebny był szpital. Londyn byłby wspaniałym miejscem dla instytucji takiej jak maristan.

Tego roku po dłuższej niż zwykle wietrznej wiośnie nastąpiło wilgotne lato. Każdego ranka gęsta mgła okrywała nabrzeża Tamizy. Przed południem, jeśli nie padało, słońce przedzierało się przez szare chmury, budząc miasto do życia. Ta chwila odrodzenia była ulubioną porą przechadzek Roba. Pewnego dnia, szczególnie pięknego, mgła rozproszyła się w momencie, gdy mijał nabrzeże handlowe, na którym duża grupa niewolników układała ciężkie sztaby żelaza do załadowania na statek.



Przygotowali już tuzin stosów, lecz ułożyli je albo za wysoko, albo w którymś sztaby leżały nierówno. Rob zachwycił się akurat blaskiem słońca na okrytym rosą metalu, gdy woźnica dwukołowego wozu, głośno poganiając konie, trzaskając z bata i szarpiąc lejcami, cofnął zbyt gwałtownie swoje siwki, tak że tył ciężkiego pojazdu z łoskotem uderzył w jedną ze stert żelaza.

Rob dawno sobie poprzysiągł, że jego chłopcy nigdy nie będą się bawili w dokach. Nienawidził ciężkich wozów, które tu jeździły, każdy bowiem przywodził mu na myśl jego brata Samuela zmiążdżonego pod kołami. Teraz z przerażeniem patrzył na inny wypadek. Oto leżąca na wierzchu stosu sztaba zakołysała się i zaczęła zsuwać, pociągając za sobą dwie następne.

Ktoś ostrzegawczo krzyknął, ludzie jęli rozpierzchać się w popłochu. W zamieszaniu dwaj niewolnicy wpadli na innych, przewrócili się i jednego sztaba przygniotła, drugiego zaś uderzyła w nogę. Jego krzyk pchnął Roba do działania.

— Hej, podnieście to z nich. Szybko i ostrożnie, już!

— rozkazał i kilku niewolników dźwignęło sztabę.

Polecił ofiary przenieść daleko od stosów. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by się upewnić, że niewolnik przygnieciony żelazem nie żyje: pierś miał wgniecioną, zmiążdżoną tchawicę, twarz siną, nabiegłą krwią. Drugi już nie krzyczał, zemdlał bowiem, kiedy go przenoszono. I całe szczęście, że stracił przytomność, gdyż stopę miał tak strasznie pokiereszowaną, iż z całą pewnością nie było dla niej ratunku. Rob posłał jednego z niewolników do domu, do Mary, po torbę z narzędziami chirurgicznymi i zaraz, póki ranny był nieprzytomny, przystąpił do zabiegu. Naciał zdrową skórę nad raną i zaczął ją odwijać, by przygotować luźny płat skóry, po czym wkroił się w ciało.

Denerwował go odór, jaki buchnął od rannego, zwierzęcy odór człowieka odzianego w nie prane lachmany, tak przesiąknięte wonią zgnilizny od nie wysychającego na nim potu, aż smród stał się gęsty i niemal dotykalny jak część jego ciała, ogolona głowa albo ta stopa, którą odcinał. Przypomniało mu to dzień, kiedy dwaj cuchnący dokerzy przynieśli jego ojca do domu, gdzie dopadła go śmierć.

— Do diabła, a cóż ty tu robisz?!—usłyszał naraz nad sobą.

Podniósł wzrok i z trudem powściągnął zmieszanie na twarzy, bo tuż obok zobaczył człowieka, którego ostatni raz widział w domu Jessego ben Beniamina w Persji.

— Opatruję człowieka — odparł.

— Podobnoś jest medykiem.

— To prawda.

— Jestem Charles Bostock, kupiec, właściciel tego składu i doku. I taki głupi to ja nie jestem, do diaska, żeby płacić medykowskiemu za niewolnika.

Rob wzruszył ramionami. Przyniesiono mu torbę i był już gotów. Wyjął piłkę do cięcia kości, odciął zmiążdżoną stopę i zaszył płat skóry nad krwawiącym kikutem tak czysto, jakby stał nad nim al-Dżuzdzani.

Bostock nie odchodził.

— Powtarzam, ani mi się śni płacić za niewolnika—mówił.

— Nie dostaniesz ode mnie ani pół pensa.

Rob kiwnął głową. Dwoma palcami lekko uderzył niewolnika w twarz. Nieszczęśnik cicho jęknął.

— Coś ty za jeden? — dopytywał się Bostock.

— Robert Cole, medyk z Thames Street.

— Znamy się, medyku?

— O ile wiem, nie, panie — odparł Rob składając swoje rzeczy, po czym skinął głową i odszedł. Na końcu nabrzeża zaryzykował i obejrzał się: Bostock tkwił w miejscu stropiony, patrząc w ślad za nim.

Tłumaczył sobie, że w Persji Bostock widział Jessego ben Beniamina, egzotycznego Hebrajczyka w turbanie, z krzaczastą brodą i w perskich szatach, w doku zaś rozmawiał z Robertem Jeremym Cole'em, wolnym londyńczykiem w czysto angielskim ubraniu, o twarzy... zmienionej?... Czy wystarczająco zmienionej? Przecież tylko przyciął krótko brodę. Miał nadzieję, że Bostock w ogóle o nim zapomniał, równie dobrze jednak mógł go doskonale pamiętać.

Dręczył się tą sprawą, nie dawała mu spokoju. Bał się o siebie, choć o wiele bardziej martwił go los żony i dzieci, gdyby wpadł w kłopoty. Toteż gdy Mary wieczorem znowu zaczęła mówić o Kilmarnock, słuchając jej pojął, co należy zrobić.

— Tak bym chciała tam pojechać — westchnęła. — Marzę o tym, żeby chodzić po ziemi, która należy do mnie, znaleźć się z powrotem wśród moich krewnych i rodaków.

— Muszę tutaj pozalátwiać pewne sprawy — niespiesznie rzekł Rob, ujmując jej dłonie w swoje. — Ale ty z dziećmi powinnaś jechać do Kilmarnock.

— Bez ciebie?

— Tak.

Mary zeszywniała. Bładość jakby uwypukliła jej wydatne kości policzkowe i rzuciła interesujący cień na szczupłą twarz, a jej oczy, gdy wpatrzyła się w niego, wydały się większe. Kąciki ust, które zawsze zdradzały uczucia Mary, powiedziały mu, jaką przykrość jej sprawił tą propozycją

— Jeżeli tego naprawdę chcesz, wyjedziemy stąd sami — rzekła po chwili spokojnie.

W ciągu paru następnych dni Rob kilkakrotnie zmieniał zdanie. Nie było gwałtu, nie pojawiali się bowiem strażnicy, by go uwięzić, co wyraźnie świadczyło, że chociaż wydał się znajomy Bostockowi, kupiec nie skojarzył go z Jessem ben Benaminem. Korciło go, by powiedzieć Mary: „Nie jedź”, miał te słowa na końcu języka, zawsze jednak coś go powstrzymywa

ło. Chociaż nic się nie działo, nie mógł uwolnić się od lęku, uznał więc ostatecznie, że lepiej wyprawić Mary razem z chłopcami z Londynu tam, gdzie będą bezpieczni.

Kiedy znowu wrócili do rozmowy o wyjeździe, Mary poprosiła, aby Rob wysłał ich do portu w Dunbar.

— A dlaczego akurat do Dunbar? — spytał Rob.

— Bo tam mieszka rodzina MacPhee, krewni Cullenów. Zadbają, żebyśmy bezpiecznie dopłynęli do Kilmarnock.

Okazało się, że z dotarciem do Dunbar nie będzie kłopotu. Lato dobiegało końca, więc właściciele statków na gwałt wypływali w ostatnie krótkie rejsy, nim sztormy na całą zimę odetną ich od Morza Północnego. Rob dowiedział się w „Lisie” o statku pocztowym zawijającym do Dunbar. Statek nazywał się „Aelfgifu” na cześć matki Harolda Zająconogiego, a jego kapitan, posiwiasty Duńczyk, ucieszył się z dodatkowego zarobku za trójkę pasażerów, którzy wiele nie zjedzą.

„Aelfgifu” wypływał za niecałe dwa tygodnie, trzeba więc było pospieszyć się z przygotowaniami, naprawą odzieży i zdecydowaniem, co należy ze sobą zabrać, a co zostawić. Czas upływał niepostrzeżenie i oto raptem się okazało, że już tylko kilka dni dzieli ich od rozstania.

— Przyjadę do Kilmarnock, jak tylko będę mógł — obiecał Rob.

— Naprawdę przyjedziesz? — upewniała się Mary.

— Oczywiście.

W ostatnią noc przed wyjazdem powiedziała:

— Gdybyś nie mógł przyjechać...

— Przyjadę.

— Ale... gdybyś nie mógł... gdyby coś nas rozdzieliło... chcę, żebyś wiedział, że moi krewni wychowają chłopców na mężczyzn.

Zamiast uspokoić, jeszcze bardziej Roba to zaniepokoiło i tak wzmogło jego obawy, że pożałował, iż w ogóle proponował, aby się rozstawali.

Tej nocy ostrożnie pieścili swoje ciała, wracając do wszystkich znajomych miejsc niczym dwoje ślepców, którzy pragną skupić pamięć w dotyku rąk. Smutne to były pieszczoty, jakby wiedzieli, że kochają się po raz ostatni. Kiedy skończyli, Mary cichutko zapłakała, a Rob tulił ją bez słowa. Tak wiele pragnął jej powiedzieć — i nie mógł.

Nazajutrz skoro świt wsadził Mary z synami na pokład u". Statek zbudowany był na wzór mocnej łodzi wikingów, liczył jednak ledwie sześćdziesiąt stóp długości i pokład miał otwarty. Zaopatrzony był w jeden maszt wysokości trzydziestu stóp i duży prostokątny żagiel, jego kadłub obito grubymi, zachodzącymi na siebie dębowymi deskami. Czarne królewskie okręty strzegły przed piratami wód przybrzeżnych, po których pływały łodzie tego typu co „Aelfgifu”, zawijające do portów z pocztą i dla zabrania ładunku, a także w razie najłżejszej zapowiedzi sztormu. Tego rodzaju statek był więc najbezpieczniejszy.

Rob stał na nabrzeżu, patrząc na rodzinę. Mary przybrała już swoją nieulekniącą minę, zbroję, którą wkładała, ilekroć musiała się opancerzyć przeciwko groźnemu światu. Mimo że statek ledwie się kołysał, biedny Tom już cały pozieleniał i niespokojnie się kręcił.

— Dbaj o jego nogę! — zawołał Rob, pokazując na migi ruchy masowania. Skinęła głową na znak, że zrozumiała.

Wreszcie jeden z chłopców pokładowych zdjął cumę. Statek wyrwał się na wolność, gdy dwudziestu wiosłarzy pociągnęło wiosłami i porwał go silny odpływ. Mary, będąc troskliwą matką, usadowiła chłopców na ładunku pośrodku pokładu, skąd nie mogli wypaść za burtę.

Kiedy podnoszono żagiel, z małym Robem wychyliła się nad burtą, coś mówiąc do synka.

— Do widzenia, tato! — wyraźnie zawołał posłuszny cienki głosik.

— Płyńcie z Bogiem! — odkrzyknął na pożegnanie Rob.

Dziwnie szybko zniknęli mu z oczu, mimo że stojąc na nabrzeżu wyteżał wzrok. Nie miał ochoty stamtąd odchodzić. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że znalazł się oto w tym samym miejscu co wówczas, gdy mając dziewięć lat został w Londynie bez rodziny i przyjaciół, sam jak palec.

## Londyńskie Lyceum

Dziesiątego listopada tego roku głównym tematem rozmów w mieście stała się niejaka Julia Swane uwięziona jako czarownica. Oskarżano ją o to, że zamieniła swoją szesnastoletnią córkę Glynne w latającego konia, a potem tak bestialsko ją zajeżdżała, że dziewczyna została trwale okaleczona.

— Jeśli to prawda — powiedział do Roba właściciel domu — jeśli coś takiego zrobiła własnemu dziecku, to nadzwyczaj podła z niej kobieta.

Rob boleśnie odczuwał brak synów i Mary. Pierwszy jesienny sztorm przyszedł w ponad cztery tygodnie po ich wyjeździe. Na pewno zdążyli więc przybić do Dunbar i Rob modlił się, aby gdziekolwiek są, mogli bezpiecznie przeczekać porę sztormów.

Stał się na powrót samotnym wędrowcem. Odwiedził wszystkie znane niegdyś zakątki Londynu, poznał nowe okolice miasta, nie istniejące w czasach jego dzieciństwa. Stojąc przed królewskim zamkiem, który ongiś wydawał mu się szczytem monarszego przepychu, zdumiewał się różnicą pomiędzy jego angielską prostotą a zbytkiem Rajskiego Domu. Chociaż jego wysokość Edward więcej czasu spędzał w swoim zamku w Winchester, któregoś ranka Rob zobaczył go przed londyńską siedzibą. Król w milczeniu przechadzał się wśród sług i pachółków, pogrążony w myślach. Wyglądał na więcej niż czterdzieści jeden lat. Podobno włosy mu pobielewały, kiedy jeszcze jako młodzieniec usłyszał, co Harold Zająconogi uczynił z ich bratem Alfredem. Ani w połowie nie wydawał się tak królewski jak Ala, lecz Rob wspomniał, że przecież szach Ala zginął, choć z wyglądu był tak władczy, król Edward tymczasem żyje.

Tej jesieni już od świętego Michała zrobiło się zimno i nastąpiły dokuczliwe wichury, potem wcześniej przyszła ciepła, deszczowa zima. Rob często rozmyślał o najbliższych, martwiąc się, że nie wie, czy przybyli do Kilmarnock. Czuł się osamotniony i niejedną wieczór spędzał „Pod Lisem”, starał się wszakże powściągać pragnienie, nie chcąc się wdawać w burdy, jak bywało w młodości. Na dodatek trunek przynosił nie tyle ulgę co melancholie, przez co Robowi zdawało się, że upodabnia się do swego ojca, stałego bywalca szynków. Dzięki temu łatwiej mu przychodziło opierać się urokowi ladacznic i innych łatwych kobiet, tym bardziej pociągających, im silniejsze dręczyło go pożądanie. Powtarzał sobie ciągle, że jeśli nawet popija, to jednak nie wolno mu stać się drugim Nathanaelem Cole'em, żonatym mężczyzną gustującym w ulicznicach.

Nadeszło Boże Narodzenie, przykre dla Roba, boć to święto, które powinno się spędzać z rodziną. Posilił się tego dnia „Pod Lisem”: zjadł grubą kielbasę zwaną salcesonem i barani pasztet, podlewając je obficie miodem. W drodze do domu natknął się na dwóch marynarzy okładających odzianego w czarny kaftan człowieka, którego skórzany kapelusz leżał w błocie. Jeden z napastników przytrzymał mu ręce z tyłu, a drugi rąbał pięściami, aż od każdego z dudniących ciosów robiło się niedobrze.

— Przestańcie, u diabła! — krzyknął Rob. Bijący przerwał na chwilę zadawanie ciosów.

— Znikajcie, panie, pókim dobry.

— A cóż on wam zrobił?

— Popełnił zbrodnię... Tysiąc lat temu, ale już my mu zapłacimy! Odeślemy tego śmierzącego francuskiego Żyda do Normandii prosto na własny pogrzeb.

— Zostawcie go — rozkazał Rob.

— Skoro taki wam miły, zobaczymy, jak mu liżecie dupę!...

Alkohol zawsze wprawiał Roba w furję, był więc gotów do bitki. Niewiele myśląc zamachnął się i trafił pięścią w paskudną tępą gębę. Drugi marynarz puścił Żyda i odskoczył, gdy powalony dźwigał się na nogi.

— Ty świński bękarcie! złopałeś krew Zbawiciela z kapelusza tego zasranego Żyda!

Nie ścigał ich, gdy rzucili się do ucieczki. Żyd, wysoki mężczyzna w średnim wieku, stał wstrząsany łkaniem. Nos miał zakrwawiony i rozbite wargi, wyglądało jednak na to, że płacze bardziej z upokorzenia niż bólu.

— Hola, co tu się dzieje? — zagadnął jakiś człowiek, który pojawił się naraz nie wiadomo skąd. Miał kędzierzawe rude włosy i takąż brodę oraz wielki siny nos.

— Nic wielkiego. Napadnięto tego człowieka — wyjaśnił Rob.

— Hm... Na pewno nie on zaczął?

— Na pewno.

Żyd zdążył się już opanować i odzyskał mowę. Choć jasne było, że wyraża wdzięczność, mówił tylko językiem Franków.

— Rozumiecie ten język? — zapytał Rob rudego, lecz ten z pogardą pokręcił głową.

Rob już chciał przemówić do Żyda ich Językiem i życzyć mu spokojniejszego Świeta Świata, jednakże nie ośmielił się tego zrobić w obecności świadka, Żyd zaś nie zwlekając podniósł kapelusz i odszedł, zniknął też rudy przechodzień.

Zostawszy sam, Rob znalazł na nabrzeżu małą karcznię i w nagrodę zafundował sobie dzban czerwonego wina. Ponieważ karczma była ciemna i duszna, wyszedł z winem na pomost przy jednym z nabrzeży i usiadł na słupie, który być może wbijał jego ojciec. Moknąc na deszczu, chłostany wiatrem, siedział zapatrzony w załamujące się w dole groźne szare fale.

Był rad z siebie. Czyż mógłby wybrać lepszy dzień, aby zapobiec ukrzyżowaniu?

Wino nie było królewskim trunkiem i piekło w przełyku, mimo to bardzo mu smakowało.

Jest nieodrodnym synem swego ojca i potrafi wypić, jak już sobie pozwoli.

Tak, przemiana się dokonała. Jest Nathanaelem Cole'em. Jest tatą. I naraz pojął, że w jakiś dziwny sposób stał się także Mirdinem i Karimem. I Alą, i Dhaną Yangalilem... I Abu nim al-Husajnem ibn Abdullahem Ibn Siną (o tak, przede wszystkim Ibn Siną!... A także tym grubym rozbójnikiem, którego zabił przed laty, i tym starym pobożnym wieprzem, hadżim Dawudem Hoseinem...

Naraz w przebłysku świadomości bardziej oszołamiającym niż wino zrozumiał, że jest wszystkimi ludźmi i wszyscy oni stanowią jego część, i zawsze gdy walczy z tym przeklętym Czarnym Rycerzem, walczy po prostu o własne życie. Tkwiąc samotnie na pomoście, zamroczony trunkami, po raz pierwszy w pełni to pojął.

Dokończył wina i zsunął się ze słupa. Z pustym dzbanem, który wkrótce napełni lekiem lub czymś moczem, by za godziwą zapłatę go zbadać, ostrożnie stawiając kroki wrócił razem z tymi wszystkimi ludźmi w sobie z doków do bezpiecznego domu przy Thames Street.

Nie po to wyprawił z dala od siebie żonę i dzieci, aby się rozpić, powiedział sobie surowo nazajutrz, kiedy rozjaśniło mu się w głowie.

Zdecydowany dbać o wszystko, czego potrzebował do leczenia, wybrał się do zielarza, którego kram znajdował się nie opodal przy Thames Street, by odświeżyć zapasy leków, w Londynie bowiem łatwiej było pewne zioła kupić niż szukać ich na polach. Poznał już wcześniej właściciela, zrędnego niewysokiego mężczyznę, Rolfę Pollarda, niezłego farmaceutę.

— Gdzie mógłbym poznać innych medyków? — zapytał go tego dnia.

— Hm... chyba w Lyceum, mistrzu Cole. Tam regularnie spotykają się londyńscy medycy. Nie wiem dokładnie kiedy, ale na pewno dowiedzie się tego od mistrza Rufusa —

dodał Pollard wskazując na mężczyznę, który w drugim końcu kramu wachał gałązkę suszonej portulaki, by sprawdzić, jak pachnie.

Razem podeszli do tamtego i Pollard przedstawił Roba Aubreyowi Rufusowi, medykowi z Fenchurch Street.

— Mówiłem mistrzowi Cole o Lyceum medyków — powiedział — ale nie wiem, kiedy odbywają się zebrania.

Rufus, stateczny jegomość jakieś dziesięć lat starszy od Roba, przeciągnął dłonią po rzednących płowych włosach i dość uprzejmie skinął głową.

— Zbieramy się wieczorem w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca, w porze wieczery, w sali nad tawerną Dlingsworthana Cornhill. Zwykle sprowadza się to do obżarstwa. Każdy sam płaci za to, co zje i wypije.

— Trzeba mieć zaproszenie?

— Bynajmniej. Wstęp mają wszyscy londyńscy medycy. Ale jeżeli wolicie, żeby ktoś was zaprosił, no to zapraszam — rzekł układnie Rufus. Rob z uśmiechem podziękował mu i wyszedł.

W pierwszy poniedziałek nowego roku, brnąc w topniejącym śniegu, Rob udał się zatem do tawerny Dlingswortha, gdzie zastał blisko dwudziestu medyków. Siedzieli nad kuflami przy stołach, pogadując i śmiejąc się, a kiedy wszedł, powitały go ukradkowe ciekawe spojrzenia, jakimi zwykle zebrani witają nieznanego przybysza.

Najpierw zauważył Hunne'a, który skrzywił się na widok Roba i coś mruknął do towarzyszy, potem przy innym stole dojrzał Aubreya Rufusa. Ten skinął na Roba, żeby przysiadł się do niego, po czym przedstawił go czterem innym siedzącym przy stole jako przybyłego niedawno do miasta medyka, który praktykuje przy Thames Street. Spojrzenia tych ludzi w mniejszym lub większym stopniu zdradzały tę samą ostrożną niechęć, z jaką spoglądał na niego Hunne.

— U kogoście praktykowali? — zapytał niejaki Brace.

— U medyka nazwiskiem Heppmann w mieście Freising we Wschodniej Frankonii — wyjaśnił Rob. W rzeczywistości tak nazywał się we Freising gospodarz, u którego mieszkali czekając na wyzdrowienie Toma.

— Hm... — mruknął Brace, niewątpliwie wyrażając w ten sposób, co myśli o kształconych za granicą medykach. — Jak długo?

— Sześć lat.

Brace poniechał dalszego wypytywania, jego uwagę odwróciły bowiem podane na stół potrawy: przepieczony ptak z duszoną rzepą i piwo, które Rob pił powściągliwie nie chcąc zrobić z siebie błazna. Po posiłku okazało się, że tego wieczora Brace wygłasza wykład. Mówił o stawianiu baniek, napominając kolegów, by je dobrze nagrzewali, ponieważ właśnie ciepło szkła ściąga całe paskudztwo pod powierzchnię skóry, skąd można się go pozbyć przez puszczenie krwi.

— Musicie okazywać pacjentowi swoje całkowite przekonanie, że wielokrotne stawianie baniek i puszczenie krwi prowadzi do wyzdrowienia, bo wtedy będzie wierzył w kurację — podkreślił.

Wykład był źle przygotowany, a w trakcie dyskusji po nim Rob nabrał przekonania, że o puszczeniu krwi, stawianiu baniek i okolicznościach, w jakich należy je stosować lub nie, od Balwierza nauczył się więcej, zanim ukończył jedenaście lat, niż wszyscy ci medycy wiedzieli razem.

Krótko mówiąc, Lyceum go rozczarowało. Odnosił wrażenie, że londyńscy medycy myślą tylko o zapłacie i zarobkach. Rufus nawet zawistnie żartował z przewodniczącego, królewskiego medyka nazwiskiem Dryfield, gdyż ten co roku dostawał pensję i

przyodziewek.

— Można leczyć za pensję nie służąc królowi — odezwał się Rob, od razu pozyskując uwagę zebranych.

— A jakimże to sposobem? — zapytał Dryfield.

— Medyk może pracować dla szpitala, gdzie opiekuje się pacjentami i prowadzi badania nad chorobami.

— Tak, przyszło i do nas coś takiego ze Wschodu i coraz bardziej się szerzy. Podobno założono ostatnio szpital w Salerno, a w Paryżu od dawna działa Hotel Dieu. Ale pozwólcie, że was ostrzeżę: do Hotel Dieu wysyła się ludzi na śmierć i zapomina o nich. To miejsce jest piekłem.

— Szpitale nie muszą być takie jak Hotel Dieu—rzekł na to Rob, żałując, że nie może im opowiedzieć o maristanie.

— Ten system — wtrącił się Hunne — sprawdza się może wśród bardziej uległych ludów. Angielscy medycy są niezależnego ducha i muszą mieć swobodę w prowadzeniu interesów.

— Przecież medycyna to coś więcej niż interes — łagodnie zaprotestował Rob.

— To mniej niż interes — sprzeciwił się Hunne — zważywszy, jakie grosze przynosi i jak wielu pojawia się w Londynie niepożądanych przybyszy. A jakeście sobie wymyślili, że to więcej niż interes?

— Bo to jest powołanie, mistrzu Hunne — odparł Rob

— tak jak inni mają święte powołanie do Kościoła.

Brace mu przyświadczył i byłaby się wywiązała żywa dysputa, lecz przewodniczący zakaszłał na znak, że ma dosyć tej potyczki.

— Kto się podejmie wygłosić wykład w przyszłym miesiącu?

— zapytał. Na sali zapadło milczenie. — Ależ musimy się wszyscy włączyć w działalność Lyceum — powiedział niecierpliwie Dryfield.

Rob wiedział, że błędem byłoby się zgłaszać na pierwszym spotkaniu, ponieważ jednak nikt się nie odzywał, rzekł w końcu:

— Ja wygłoszę wykład, jeżeli pozwolicie. Zdziwiony Dryfield uniósł brwi.

— A na jaki temat, mistrzu?

— O rozstroju brzucha.

— O rozstroju brzucha? Mistrzu... hmm... Gowe, czy tak?

— Cole.

— No cóż, mistrzu Cole, rozstrój brzucha to doskonały temat na wykład i do pogawędki — rzekł rozpromieniony przewodniczący.

Julia Swane przyznała się do czarów. Na miękkim białym cieple po wewnętrznej stronie jej ręki, tuż pod lewym ramieniem, znaleziono piętno czarownicy. Jej córka Glynna zeznała, że matka przytrzymywała ją ze śmiechem, gdy ktoś, kogo wzięła za diabła, zażywał jej ciała. Kilka osób oskarżało Julię o rzucanie uroków. Dopiero tuż przed zanurzeniem w lodowatej Tamizie, gdy uwiązano ją do specjalnego stołka, zdecydowała się powiedzieć wszystko. Teraz współpracowała z zajmującymi się wykorzenieniem zła sługami Kościoła, którzy podobno długo ją wypytywali o wszystkie sprawy związane z czarami. Rob starał się o niej nie myśleć.

Kupił zapasioną trochę siwą kobyłę i zapewnił jej miejsce w dawnych stajniach Egglestana, teraz należących do człowieka nazwiskiem Thorne. Kobyła była niemłoda i niepozorna, ale jak sobie powiedział, nie miał przecież zamiaru używać jej do gry w piłkę i kij. Jeździł na niej, gdy wezwano go do pacjenta, czasem ktoś sam do niego przychodził. O tej

porze roku panował krup i choć wolałby stosować perskie leki, takie jak tamarynda, granat i sproszkowane figi, przyrządzał nalewki z tego, co było dostępne: z portulaki zaparzonej wodą różaną, by uzyskać płukanek na bolące gardło, naparu z suszonych fiołków na ból głowy i gorączkę, miał również mieszankę żywicy z miodem przynoszącą ulgę w zaflegmieniu i kaszlu.

Jednym z pacjentów, którzy sami go znaleźli, był Thomas Hood. Włosy i brodę miał koloru marchewki, nos czerwony. Od pierwszej chwili wydał się Robowi znajomy, nie od razu wszakże przypomniał sobie, że to przechodzień, który widział incydent z Żydem i dwoma marynarzami. Hood skarżył się na objawy przypominające pleśniawkę, lecz nie miał opryszczonych ust, gorączki ani zaczerwienionego gardła i nazbyt był ożywiony jak na chorego. Prawdę mówiąc nie przestawał zadawać osobistych pytań. U kogo Rob odbywał praktykę? Czy mieszka sam? Co? Nie ma żony ani dziecka? Jak długo jest w Londynie? Skąd przyjechał?

Ślepy by zauważył, że nie jest pacjentem, lecz szpiegiem. Rob nic konkretnego mu nie powiedział, a po zbadaniu przepisał silny środek przeczyszczający wiedząc, że Hood go nie zażyje, i wyprowadził na ulicę nie odpowiadając na dalsze pytania.

Ta wizyta jednak wyjątkowo go zaniepokoiła. Kto Hooda przysłał? W czyim imieniu zadawał te pytania? I czy tylko przypadkiem przyglądał się, gdy Rob dawał nauczki marynarzom?

Nazajutrz uzyskał odpowiedź na część z trapiących go pytań, gdy zaszedł do sprzedawcy ziół po składniki do paru leków i zastał tam znowu Aubreya Rufusa, który zjawił się w tym samym celu.

— Hunne gdzie może, źle o was mówi — ostrzegł go Rufus.

— Powiada, że za dużo macie zuchwałości, wyglądacie na łotra i oszusta i w ogóle wątpi, czy jesteście medykami. Większość medyków stara się nie dopuszczać do Lyceum takich, co nie praktykowali u Anglików.

— Co mi radzicie?

— Och, po prostu trochę odczekajcie — powiedział Rufus.

— Hunne najwyraźniej nie może się pogodzić z myślą, że miałby się z wami podzielić Thames Street. Wszyscy wiemy, że dla pieniędzy wyprułyby flaki z rodzzonego dziadka. Nikt go nie będzie słuchał.

Rob wrócił do domu uspokojony.

Rozwieje ich wątpliwości wykazując się wiedzą, postanowił i zabrał się do przygotowywania wykładu o rozstroju brzucha, jakby miał go wygłosić w madrasie. Arystoteles też wykładał w Lyceum, tym pierwszym, pod Atenami. On co prawda nie jest Arystotelesem, ale studiował u Ibn Siny i pokaże tym londyńskim medykom, czym może być wykład z zakresu medycyny.

Wzbudził oczywiście zainteresowanie, ponieważ wśród członków Lyceum nie było takiego, który by nie pochował kilku pacjentów zmarłych z powodu bóleści w prawej okolicy podbrzusza. Nie omieszkali jednak okazać mu swojej pogardy.

— Robaczek? — powtórzył rozwlekając to słowo zezowaty medyk nazwiskiem Sargent.  
— W ludzkim brzuchu jest różowy robaczek?

— Podobny do robaczka wyrostek — szybko sprostował Rob. — Połączony z jelitem ślepym. I ropiejący.

— Na rysunkach Galena nie ma na jelicie ślepym wyrostka podobnego do robaczka — wtrącił Dryfield. — Kto pisze o tym wyrostku? Może choćby słowem wspomina o nim Celsus, Rhazes, Arystoteles czy Dioscurides?

— Żaden nie pisze, co nie znaczy, że go nie ma.



— Robiliście sekcję świni, mistrzu Cole? — zapytał Hunne.

— Robiłem.

— No to wiecie, że wnętrzności ma takie same jak człowiek. Widzieliście kiedy różowy wyrostek na jelicie ślepym świni?

— Musiało się wam pomylić, mistrzu. To była wieprzowa kielbaska! — zawołał jakiś dowcipniś i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Świnia wygląda w środku prawie tak samo jak człowiek—nie tracąc cierpliwości rzekł Rob. — Jedna z różnic to właśnie mały wyrostek na ludzkim jelicie ślepym.—Rozwinął swego „Przezroczystego człowieka” i przypiął rysunek do ściany. — Raczcie popatrzeć na to. Wyrostek jest tu przedstawiony we wczesnym stadium podrażnienia.

— Przypuścmy, że ta choroba brzucha ma dokładnie takie przyczyny, jak mówicie — odezwał się medyk mówiący z wyraźnym duńskim akcentem. — Czy proponujecie jakiś sposób leczenia?

— Nie znam żadnego. Zawszad rozbrzmiały jęki.

— W takim razie nie ma znaczenia, czy znamy przyczynę choroby, czy nie! — podsumował Duńczyk, a inni zgodnie mu przyświadczyli, zapominając o niechęci do jego ludu, byle przeciwstawić się Robowi.

— Medycyna jest jak powolne budowanie muru — powiedział Rob. — Każdy z nas ma szczęście, jeżeli uda mu się dołożyć jedną cegielkę. Jeśli zdołamy wyjaśnić przyczynę choroby, to może ktoś, kto jeszcze się nie narodził, znajdzie sposób leczenia.

Znowu dokoła rozległy się jęki. Medycy skupili się przy zawieszonym na ścianie „Przezroczystym człowieku” i uważnie oglądali rysunek.

— To wasze dzieło, mości Cole? — zapytał Dryfield dostrzegłszy podpis.

— Moje.

— Jest znakomite — rzekł przewodniczący. — Co wam służyło za model?

— Człowiek z rozprutym brzuchem.

— Więc widzieliście tylko jeden taki wyrostek — zauważył Hunne. — I zapewne ten wszechpotężny głos, który was powołał, powiedział wam również, że ten różowy robaczek występuje u każdego?

Wywołało to następny wybuch śmiechu. Teraz już Rob poczuł się dotknięty.

— Uważam, że wyrostek na jelicie ślepym występuje u wszystkich ludzi. Widziałem go nie tylko u jednej osoby.

— A u ilu? U czterech?

— Co najmniej u sześciu.

Teraz zebrani wlepili oczy w niego zamiast w rysunek.

— U sześciu, mości Cole? Jak to się stało, żeście zaglądali do sześciu ludzkich ciał? — zapytał Dryfield.

— Niektórzy mieli rozcięte brzuchy w czasie wypadków, inni w walce. Nie wszyscy byli moimi pacjentami. Te przypadki obserwowałem przez dłuższy czas.

Zabrzmiało to nieprawdopodobnie nawet dla niego.

— Byli to mężczyźni i kobiety? — badał dalej Dryfield.

— Kobiety też — niechętnie wyznał Rob.

— Hm — powątpiewająco mruknął przewodniczący, wyraźnie dając do zrozumienia, że uważa Roba za łgarza.

— To te kobiety brały udział w walkach? — zagadnął Hunne głosem tak słodkim, aż Rob się roześmiał. — Rzeczywiście nadzwyczajny to zbieg okoliczności, żeście mogli zajrzeć w

ten sposób do tyłu ciał — dodał medyk i Rob, dostrzegłszy złośliwą radość w jego oczach, zrozumiał, że propozycja wygłoszenia tego wykładu była wielkim błędem.

Julia Swane nie uniknęła Tamizy. Ostatniego dnia lutego o świcie ponad dwa tysiące osób zebrało się, by przy wtórze gromkich okrzyków popatrzeć, jak oprawcy zaszywają czarownicę w worku razem z kogutem, węzem i kamieniem i rzucają w głębinę przy St. Giles.

Rob nie poszedł na topienie czarownicy, wybrał się natomiast na nabrzeże Bostocka w poszukiwaniu niewolnika, któremu amputował stopę. Nie zdołał go odnaleźć, a zapytany nadzorca powiedział lakonicznie, że nie ma go już w Londynie. Rob martwił się o niego, gdyż los niewolnika zależał od jego zdolności do pracy. Będąc w porcie, natknął się na innego, z porytymi od uderzeń bata plecami, które wyglądały tak, jakby rzemienie wżarły mu się w ciało. Wrócił do domu, przyrządził maść z owczego i świńskiego łoju, oliwy, kadzidla i tlenku miedzi, wrócił na nabrzeże i przystąpił do smarowania zaognionej skóry nieszczęśnika.

— Hej tam! A to co, u diabła? — usłyszał naraz. W ich kierunku zmierzał nadzorca. Niewolnik ujrawszy go uciekł, mimo że Rob jeszcze nie dokończył smarowania.

— To nabrzeże pana Bostocka — rzekł nadzorca. — Czy wie, że tu jesteście, panie?

— To nie ma znaczenia — odparł Rob.

Nadzorca groźnie nań popatrzył, lecz nic więcej nie powiedział, tak że Rob opuścił nabrzeże rad, iż na tym się skończyło.

Oprócz darmowych pacjentów miał też takich, którzy płacili. Popłakującą bladą kobiecinę wyleczył z krwotoków podając jej gotowane krowie mleko. Kiedy indziej przyszedł do niego w zakrwawionym kaftanie zamożny cieśla okrętowy z tak głęboko rozciętym nadgarstkiem, że niewiele brakowało, a dłoń by odpadła. Przyznał się, że okaleczył się własnoręcznie, kiedy nadużył trunków i pod wpływem pijackiego przygnębienia zapragnął skończyć z sobą. Rana była naprawdę groźna, rozcięcie sięgało niemal kości. Dzięki sekcjom przeprowadzonym w isfahańskim maristanie Rob wiedział, że w nadgarstku arteria biegnie tuż przy kości. Gdyby cieśla ciął o włos głębiej, spełniłby swoje pijackie marzenie i umarł, tymczasem uszkodził sobie ścięgna poruszające kciukiem i pierwszym palcem. Gdy Rob zeszył i opatrzył nadgarstek, cieśla palce miał sztywne i bez czucia.

— Czy odzyskam władzę w tych palcach? — spytał.

— Bóg jeden wie. Zrobiliście to fachowo. Gdybyście spróbowali jeszcze raz, myślę, że by się wam udało. Toteż jeżeli chcecie żyć, musicie unikać mocnych trunków — pouczył go Rob, bojąc się, że cieśla w pijackim zamroczeniu znowu spróbuje się targnąć na swe życie.

O tej porze roku ludzie potrzebowali środków przeczyszczających, gdyż przez całą zimę nie jedli jarzyn, Rob przyrządził zatem nalewkę z rabarbaru i rozdał ją w ciągu tygodnia. Opatrzył człowieka ugryzionego w kark przez osła, przekłuł wiele wrzodów, unieruchomił zwichnięty nadgarstek i nastawił złamany palec. Raz o północy przybiegła po niego wystraszona kobieta z rejonu Thames Street, który uznawał za ziemię niczyją — tam kończył się jego teren działania, a zaczynał teren działania Hunne'a. Żałował, że nie zwróciła się do Hunne'a, jej mąż bowiem był ciężko chory. Pracował jako stajenny u Thorne'a, trzy dni wcześniej skaleczył się w kciuk, a tego wieczora położył się do łóżka z bólem w pachwinie. Teraz szczęki miał zwarte, spieniona ślina ledwie się przedostawała przez zaciśnięte zęby, naprężone ciało wygięło się w łuk, tak że opierał się na piętach i czubku głowy. Rob nigdy jeszcze nie oglądał tej choroby, ale rozpoznał ją z opisu w księgach Ibn Siny. Był to episthotonos, „skurcz tylny”. Nie znano na nią leku i mężczyzna umarł, nim nastał ranek.

To, czego doświadczył na zebraniu Lyceum, pozostawiło mu w ustach smak popiołu. Tego poniedziałku zmusił się do uczestniczenia w zebraniu marcowym jako widz trzymający język za zębami, ale zło już się stało — wiedział, że wszyscy mają go za niemądrego pyszałka, który daje się ponosić fantazji. Jedni na jego widok kpiąco się uśmiechali, inni

patrzyli chłodno. Aubrey Rufus nie zaprosił go do swego stołu, a kiedy ich spojrzenia się spotkały, odwrócił wzrok, Rob usiadł więc z nieznanymi, którzy się do niego nie odzywali.

Wykład dotyczył złamań ramienia, przedramienia i żeber, wybicia szczęki, ramienia i łokcia. Wygłaszał go niski grubas nazwiskiem Tyle, którego aż przykro było słuchać: popełniał tyle błędów zarówno w kwestii metod, jak i faktów związanych z leczeniem, że Dżalala, nastawiacza kości z Isfahanu, doprowadziłby do szału. Rob siedział w milczeniu.

Kiedy Tyle skończył, zaczęła się ożywiona rozmowa o topieniu czarownicy.

— Takich jak ona złapią więcej, zapamiętajcie moje słowa

— powiedział Sargent — bo czarownice oddają się swoim brudnym sztuczkom grupami. Powinniśmy przy badaniu chorych szukać diabelskich znamion i donosić o nich.

— Musimy dbać o nienaganną opinię—zauważył zatroskany Dryfield—bo sporo ludzi uważa, że medycy bliscy są czarów. Mówią, że podobno medyk-czarownik może sprawić, że pacjent pieni się i sztywnieje jak trup.

Rob z niepokojem pomyślał o stajennym, który zachorował na episthotonos, nikt jednak go nie zaczął ani nie oskarżył.

— Po czym jeszcze można poznać czarowników? — zapytał Hunne.

— Wyglądają prawie tak jak inni — wyjaśnił Dryfield

— choć niektórzy mówią, że mają przycięte członki jak poganie.

Robowi moszna skurczyła się ze strachu. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, wyszedł wiedząc, że więcej tu nie wróci, nie było bowiem bezpiecznie bywać w miejscu, gdzie narażał życie. Wystarczyło wszak, aby któryś z kolegów razem z nim załatwił potrzebę...

Mimo wszystko na pocieszenie mówił sobie, że chociaż wykład w Lyceum przyniósł mu jedynie zawód i nadszarpnął jego reputację, to przecież może przynajmniej pokładać nadzieję w pracy i krzepkim zdrowiu.

Tymczasem nazajutrz z rana w domu przy Thames Street pojawił się Thomas Hood, rudowłosy szpieg, z dwoma uzbrojonymi towarzyszami.

— Czym mogę służyć? — zapytał zimno Rob. Hood się uśmiechnął.

— Jesteśmy wysłannikami sądu biskupiego.

— Ach, tak? — mruknął Rob, w jednej chwili pojmując, z czym przyszli.

Hood z wyraźną przyjemnością odchrząknął i splunął na czystą podłogę.

— Mamy cię aresztować, Robercie Jeremy Cole, i postawić przed sądem Bożym — oświadczył.

## Mnich w szarym habicie

— Dokąd mnie prowadzicie? — zapytał Rob już w drodze.

— Sąd odbędzie się w południowej kruchcie kościoła Świętego Pawła.

— O co jestem oskarżony?

Hood wzruszył ramionami i pokręcił głową.

Gdy przybyli do Świętego Pawła, wprowadzono go do małej izby pełnej czekających. U drzwi stały strażę.

Miał wrażenie, że już to kiedyś przeżywał. Kiedy przez cały ranek siedział skulony na twardej ławce, słuchając mamrotania stadka mężczyzn w zakonnych habitach, czuł się, jakby na powrót trafił do królestwa imama Kandrasy, tyle że nie jako medyk na usługach sądu. Miał świadomość swej wiedzy i wartości, ale też zdawał sobie sprawę, że w opinii Kościoła jest tak samo winny jak wszyscy sprowadzeni tu tego dnia na sąd. Lecz przecież nie był czarownikiem!

Dziękował Bogu, że zdążył wyprawić z Londynu Mary i synków. Miał ochotę poprosić, aby mu pozwolono wejść do kościoła i pomodlić się, ale wiedział, że na to nie przystaną, modlił się zatem w izdebce, gdzie czekał na swoją kolej, błagając Boga, aby go nie zaszyto w worek z kogutem, wężem i kamieniem i nie rzucono do głębokiej wody.

Martwił się o to, kto będzie przeciwko niemu świadczył: czy wezwano medyków, którzy słyszeli, jak mówił o zaglądaniu do wnętrza ludzkiego ciała? i kobietę, która przywołała go do męża plującego pianą przed samą śmiercią? i Hunne'a, tego podłego psubrąta, gotowego wymyślić każde kłamstwo i zrobić z niego czarownika, byle się go pozbyć?... Wiedział jednak, że jeśli decyzja już zapadła, świadkowie nie mają znaczenia, bo sędziowie każą mu się obnażyć i bez wątplenia znajdą na jego ciele znamię czarownika. A potem, dobry Boże... Cóż, na pewno znają nie mniej sposobów niż imam, by wymusić zeznania.

Miał aż nadto czasu, by się poddać przerażeniu. Przed oblicze sędziów wezwano go dopiero wczesnym popołudniem. Na dębowym tronie siedział złośliwie mrużąc oczy niemłody już biskup w wypłowiałym brązowym wełnianym habicie, stulę i komży. Rob zdążył już usłyszeć, że to Aelfsige, ordynariusz u Świętego Pawła, srogi w wymierzaniu kar. Na prawo od biskupa siedziało dwóch czarno odzianych księży w średnim wieku, a na lewo młody benedyktyn w surowym szarym habicie. Duchowny podsunął Robowi Pismo Święte, które kazano mu ucałować i uroczyście przysiąc, że będzie mówił samą prawdę. Biskup Aelfsige, spod oka zerkając na Roba, zaczął rzeczowo:

— Jak się nazywasz?

— Robert Jeremy Cole, ekscelencjo.

— Gdzie mieszkasz i czym się zajmujesz?

— Jestem medykiem z Thames Street. Biskup skinął na księdza po prawej.

— Czy w dniu dwudziestego piątego grudnia zeszłego roku wraz z Żydem obcokrajowcem napadłeś nie zaczepiany na imię Edgara Burstana i Williama Symessona, ludzi wolnego urodzenia i chrześcijan z parafii Świętego Olafa?

Rob na moment oniemiał, potem zaś poczuł olbrzymią ulgę

— zrozumiał, że nie będzie oskarżany o czary. Marynarze po prostu donieśli, że przyszedł z pomocą Żydowi! Zawsze to mniejsze wykroczenie, nawet gdyby mu je dowiedziono.

— To był Żyd z Normandii imieniem Dawid ben Aaron

— dodał biskup, mocno mrużąc oczy, co chyba świadczyło, że ma bardzo słaby wzrok.

— Nigdy dotąd nie słyszałem nazwiska tego Żyda ani tych, co na niego skarżą — rzekł Rob. — Ale ci marynarze przedstawili sprawę niezgodnie z prawdą. To oni bez powodu napadli na Żyda. Dlatego się wtrąciłem.

— Jesteś chrześcijaninem?

— Jestem ochrzczony.

— Czy chodzisz regularnie na mszę?

— Nie, ekscelencjo.

Biskup sapnął i ze smutkiem pokiwał głową.

— Wprowadźcie świadka — polecił benedyktynowi.

Uczucie ulgi natychmiast opuściło Roba, kiedy owego świadka zobaczył. Był nim Charles Bostock, odziany w bogate szaty, w ciężkim złotym łańcuchu na szyi i z wielkim pierścieniem na palcu. Odpowiadając na pytania wstępne sędziów, wyjaśnił, że otrzymał szlachectwo od króla Harthakanuta w nagrodę za trzy odkrywcze morskie wyprawy handlowe i że jest kanonikiem u Świętego Piotra. Duchowni odnosili się do niego z szacunkiem.

— Powiedzcie, mości Bostock, czy znacie tego człowieka? — przeszedł do rzeczy biskup.

— To Jesse ben Benjamin, żydowski medyk — oświadczył wprost Bostock.

Biskup utkwiał wzrok w kupcu.

— Jesteście pewni, że to Żyd?

— Ekscelencjo, jakieś cztery czy pięć lat temu podróżowałem po patriarchacie bizantyjskim jako kupiec i poseł jego świątobliwości papieża Benedykta. W mieście Isfahan usłyszałem o chrześcijance osieroconej w Persji przez ojca, Szkota, która poślubiła Żyda. Otrzymałszy od niej zaproszenie, nie mogłem się oprzeć i udałem się do jej domu, by sprawdzić te pogłoski. Tam ku swemu oburzeniu i wstrętowi przekonałem się, że są prawdziwe. Chrześcijanka była żoną tego człowieka.

Po raz pierwszy odezwał się mnich:

— Macie całkowitą pewność, szlachetny panie, że to ten sam człowiek?

— Absolutną, świątobliwy bracie. Zjawił się parę tygodni temu w porcie na moim nabrzeżu i próbował się domagać wysokiej zapłaty za leczenie rany jednego z moich niewolników. Oczywiście nie dostał ani pensa. Jak zobaczyłem jego twarz, pojąłem, że skądś ją znam, i tak długo nad tym rozmyślałem, aż sobie przypomniałem. To żydowski medyk z Isfahanu, nie mam co do tego wątpliwości. Gwałciciel chrześcijańskich kobiet. W Persji ta chrześcijanka już miała z nim jedno dziecko i spodziewała się drugiego.

Biskup pochylił się do przodu i rzekł do Roba:

— Na Pismo Święte cię zaklinam, przyznaj, jak się naprawdę nazywasz?

— Robert Jeremy Cole, ekscelencjo.

— On łże, to Żyd — zaoponował Bostock.

— Powiedzcie, panie — wtrącił się mnich — czyście tylko jeden raz widzieli go w Persji?

— Tak, spotkałem go tylko raz — odparł niechętnie Bostock.

— I drugi raz zobaczyliście go dopiero po prawie pięciu latach?

— Bliżej czterech niż pięciu. Ale to prawda.

— Mimo to jesteście pewni, że się nie mylicie?

— Tak, i powtarzam, że nie mam wątpliwości. Biskup kiwnął głową.

— Doskonale, mości panie. Jesteśmy wam wdzięczni za przybycie — powiedział.

Kiedy kupca wyprowadzono, duchowni utkwili wzrok w Robię, który z trudem zachowywał spokój.

— Skoroś jest wolno urodzonym londyńczykiem—rzekł po chwili biskup bez przekonania — to czy nie wydaje ci się dziwne, że stajesz przed nami oskarżony o dwie różne sprawy: po pierwsze, że pomagałeś Żydowi, i po drugie, że sam jesteś Żydem?

— Jestem Robert Jeremy Cole. Zostałem ochrzczony pół mili stąd, w kościele Świętego Botolfa. Zaświadczą o tym księgi parafialne. Moim ojcem był Nathanael, stolarz z cechu cieśli. Leży pogrzebany na cmentarzu Świętego Botolfa, tak jak i moja matka, Agnes, która za życia była szwaczką i hafciarką.

— Czy pobierałeś nauki w szkole u Świętego Botolfa?

— zimnym głosem zwrócił się do niego mnich.

— Ledwie dwa lata.

— Kto nauczał tam Pisma Świętego? Rob zamknął oczy i zmarszczył czoło.

— To był ojciec... Filibert. Tak, ojciec Filibert. Mnich spojrzał pytająco na biskupa, który wzruszył ramionami i pokręcił głową.

— Nie przypominam sobie takiego imienia.

— No to kto cię uczył łaciny?

— Brat Hugolin.

— Tak — przyznał biskup. — W szkole u Świętego Botolfa łaciny istotnie uczył brat Hugolin. Dobrze go pamiętam. Od wielu lat nie żyje. — Pociągnął się za nos i spojrzał krótkowzrocznymi oczami na Roba. Wreszcie westchnął. — Oczywiście sprawdzimy w księgach parafialnych.

— Znajdziecie tam wszystko, jak mówiłem, ekscelencjo

— zapewnił go Rob.

— Dobrze. Tymczasem oczyszczamy cię z zarzutów pod przysięgą, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Za trzy tygodnie masz stanąć przed tym sądem z dwunastoma wolnymi ludźmi jako świadkami gotowymi przysiąc, że jesteś Robertem Jeremym Cole'em, chrześcijaninem i wolnym człowiekiem. Zrozumiałeś?

Rob przytaknął skinieniem głowy i został zwolniony.

Parę minut później stał przed kościołem Świętego Pawła ledwie wierząc, że nie jest już celem napastliwych pytań sądu biskupiego.

— Mistrzu Cole! — zawołał ktoś za nim, obejrzał się wstecz i zobaczył śpieszącego za nim benedyktyna.

„Co teraz?” — pomyślał z obawą, mimo to udał się za mnichem błotnistą ulicą. Weszli do gospody, gdzie usiedli w zacisznym kącie. Mnich przedstawił się jako brat Paulinus, po czym obaj zamówili piwo.

— Wydaje się, że pod koniec sprawa przybrała korzystny dla was przebieg — zauważył zakonnik, a ponieważ Rob nie odpowiadał, Paulinus uniósł w zdziwieniu brwi. — No, uczciwy człowiek zawsze znajdzie dwunastu jak on uczciwych.

— Naprawdę urodziłem się w parafii Świętego Botolfa. Opuściłem ją w dzieciństwie— rzekł przygnębiony Rob—i zwędrowałem całą Anglię jako pomocnik balwierza. Diabelnie trudno mi będzie znaleźć dwunastu ludzi, uczciwych czy nie, którzy mnie pamiętają i zechcą przybyć do Londynu, żeby to potwierdzić.

Brat Paulinus małymi łyżkami popijał piwo.

— Jak nie znajdziesz dwunastu świadków, sprawa będzie podejrzana. Pozwolą ci wtedy dowieść niewinności przez poddanie się próbie.

Piwo w ustach Roba nabrało gorzkiego smaku.

— Jakaż to próba?

— Kościół stosuje cztery rodzaje prób: zimnej wody, gorącej wody, gorącego żelaza i konsekrowanego chleba. Mogę ci powiedzieć, że biskup Aelfsige lubi próbę gorącego żelaza. Dostaniesz do wypicia święconą wodę i pokropią ci święconą wodą rękę, która będzie użyta do próby. Rękę ty wybierasz. Potem wyjmiesz rozpalone do białości żelazo z ognia i przeniesiesz trzema krokami na odległość dziewięciu stóp, rzucisz je i podejdziesz do ołtarza, gdzie rękę ci owiną i przyłożą pieczęć na bandażach, które po trzech dniach zdejną. Jeżeli rękę będzie biała i zdrowa, ogłoszą cię niewinnym. Jeżeli się nie zgoi, zostaniesz wyklęty i przekazany władzom świeckim.

Rob starał się panować nad swymi uczuciami, lecz był pewien, że twarz mu pobladła.

— Jeżeli sumienie masz czystsze niż większość śmiertelników, moim zdaniem musisz uchodzić z Londynu — rzekł sucho Paulinus.

Przyglądali się sobie badawczo. Mnich miał mocno kędzierzawą brodę, włosy wokół tonsury szarobrunatne niczym stara słoma, oczy ciemnoszare jak łupek i jak łupek twarde... Nie dało się z nich niczego wyczytać, były to oczy człowieka zamkniętego w sobie. A wąskie jak szrama usta świadczyły o surowości i prawości. Rob gotów był przysiąc, że zobaczył tego człowieka po raz pierwszy w życiu wszedłszy rankiem do kościoła Świętego Pawła.

— Ja wiem, że nazywacie się Robert Jeremy Cole.

— Skąd ta pewność? — zdziwił się Rob.

— Zanim zostałem bratem Paulinusem ze zgromadzenia benedyktynów, nazywałem się Cole. Myślę, że jesteś moim bratem.

Rob uwierzył mu bez wahania. Od dwudziestu dwóch lat czekał na tę chwilę. Zaczęła go ogarniać coraz większa radość, a jednocześnie wyzbywał się czujności człowieka winnego, świadomego, że jest nie w porządku.

Już chciał wstać, by uściskać brata, lecz mnich nadal siedział patrząc nań ostrożnie, z wyrachowaniem, które pchnęło Roba z powrotem na stołek. W uszach wyraźnie zabrzmiał mu własny oddech.

— Jesteś starszy, niż byłby mały Roger — powiedział.

— Samuel nie żyje. Wiesz?

— Wiem.

— A więc jesteś... Jonathanem albo...

— Nie. Byłem Williamem.

— William... — powtórzył Rob. Mnich nie przestawał mu się przyglądać. — Po śmierci taty wziął cię ksiądz Lovell.

— Tak, ojciec Ranald Lovell. Zabrał mnie do klasztoru benedyktynów w Jarrow. Żył jeszcze tylko cztery lata. Potem zdecydowano za mnie, że będę oblatem—wyjaśnił Paulinus, po czym bez emocji opowiedział Robowi swoje dzieje: — Przeorem w Jarrow był ojciec Edmund, którego naprawdę kochałem. Stawiał mi wysokie wymagania i tak mną pokierował, że wstąpiłem do nowicjatu, potem zostałem mnichem i bardzo młodo rektorem klasztoru. Byłem więcej niż jego prawą ręką. To był abbas et presbyter, oddany całkowicie opus Dei, nauce, nauczaniu i pisaniu. Ja byłem surowym administratorem, zarządcą u ojca Edmunda. Nie lubiano mnie jako rektora.

— Uśmiechnął się powściągliwie. — Kiedy przed dwoma laty zmarł, nie wybrano mnie na jego miejsce, ale arcybiskup wiedział, co się dzieje w Jarrow, i kazał mi opuścić wspólnotę, która była mi rodziną. Mam złożyć śluby kapłańskie i służyć jako biskup pomocniczy Worcesteru.

Jak na spotkanie braci po tylu latach dziwnie wyzuta jest z miłości ta rozmowa, pomyślał Rob. Ogranicza się do suchego sprawozdania z przebiegu kariery, pełnego nie skrywanych nadziei i ambicji.

— Czekają cię z pewnością zaszczytne obowiązki — rzekł bez entuzjazmu.

Paulinus wzruszył ramionami.

— To zależy od Niego.

— No, ale przynajmniej potrzebuję już tylko jedenastu świadków, żeby się oczyścić z zarzutów — zauważył Rob.

— Może biskup policzy słowo zasłużonego mnicha za więcej niż jedno.

Na twarzy Paulinusa nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

— Jak zobaczyłem twoje nazwisko na skardze, zacząłem o ciebie rozpytywać. Ten Bostock, gdyby go zachęcić, mógłby ubarwić swoje zeznanie interesującymi szczegółami. Co by było, gdyby cię zapytano, czyś nie udawał Żyda i nie zapał się Kościoła, byle studiować na pogańskiej akademii?

Podeszła do nich służebna dziewczka, lecz Rob odprawił ją machnięciem ręki.

— Wtedy bym odpowiedział, że to Bóg w swej mądrości pozwolił mi zostać medykiem, bo nie po to tylko stworzył mężczyzn i kobiety, żeby cierpieli i umierali.

— Bóg ma całą armię pomazańców i oni to wykładają Jego zamiary co do ciała i duszy człowieka. Ani balwierze, ani kształceni przez pogan medycy nie są pomazańcami. Kościół stworzył stosowne prawa, żeby powstrzymywać takich jak ty.

— Próbujecie nam utrudniać i czasem wam się to udaje, ale myślę, Willum, że nie zdołacie nam przeszkodzić.

— Wyjedziesz z Londynu.

— Troszczysz się z braterskiej miłości czy z obawy, że przyszedł biskup pomocniczy Worcesteru będzie musiał się kiedyś wstydić wyklętego przez Kościół brata straconego za pogaństwo?

Na długą chwilę, zdającą się trwać bez końca, obaj zamilkli.

— Całe życie cię szukałem. Ciebie i innych. Nigdy nie przestałem wierzyć, że was odnajdę — z goryczą powiedział wreszcie Rob.

— Nie jesteśmy już dziećmi. A marzenia to nie rzeczywistość

— odparł Paulinus.

Rob kiwnął głową. Odsunął trochę zydeł od stołu.

— Wiesz coś o innych? — spytał.

— Tylko o Annę Mary.

— Gdzie ona jest?

— Nie żyje od sześciu lat.

— Och... — Nareszcie ciężko dźwignął się ze stołka. — Gdzie znajdę jej grób?

— Nie ma grobu. Zginęła w wielkim pożarze. Rob pokiwał głową i wyszedł z gospody nie oglądając się na benedyktyna.

Teraz nie tyle bał się uwięzienia, ile zabójców nasłanych przez człowieka wpływowego, by pozbyć się hańby. Pospieszył wprost do stajni Thorne'a, zapłacił i zabrał konia. W domu zabawił tyle, żeby pozbierać rzeczy, które stały się niezbędne w jego życiu. Dość miał już tego wyjeżdżania w popłochu, dość miał dalekich podróży, choć dawno już do nich przywykł i nabrał wprawy w szybkim wyruszaniu w drogę.

Brat Paulinus siedział przy wieczerzy w refektarzu kościoła Świętego Pawła, gdy jego rodzony brat opuszczał Londyn. Jechał na ciężko stąpającym koniu błotnistą drogą



prowadzącą na północ, do Lincoln, nękany przez furie, przed którymi nie mógł uciec, gdyż nosił je w sobie.

## Znajoma droga

Pierwszą noc przespał w miękkim stogu siana przy drodze. Siano było zeszlóroczne, przegniłe od spodu, nie zakopał się więc głęboko, mimo to stóg dawał trochę ciepła, poza tym noc była pogodna. Gdy się zbudził o świcie, przede wszystkim uświadomił sobie z żalem, że przy Thames Street zostawił grę szacha należącą niegdyś do Mirdina. Była mu tak droga, że przewiózł ją z Persji przez pół świata, dlatego tym boleśniej odczuł jej stratę teraz, w Anglii.

Chociaż doskwierał mu głód, nie chciał szukać pożywienia w mijanych zagrodach, gdzie by go dobrze zapamiętano i rozpoznano w razie poszukiwań. Przejechał więc pół ranka o pustym brzuchu, póki nie znalazł się we wsi, w której odbywał się targ. Kupił chleba i sera, posilił się i zaopatrzył na dalszą drogę.

W drodze rozmyślał nad tym, co mu się ostatnio przydarzyło. Doszedł do wniosku, że odnalezienie takiego brata jest gorsze, niż gdyby go nigdy nie spotkał, czuł się oszukany i zawiedziony. W końcu jednak powiedział sobie, że opłakał Willuma, gdy stracili się z oczu jako dzieci, i będzie się cieszył, jeśli już nigdy nie zobaczy mnicha Paulinusa o zimnym spojrzeniu.

— Niech cię piekło pochłonie, pomocniczy biskupie Worcesteru! — zawołał.

Ten okrzyk spłoszył ptaki, które z trzepotem skrzydeł poderwały się z drzew, koń zastrzygł uszami i skoczył w bok. Aby nikt go nie wziął za rzezimieszka, zadał w saski róg i znajomy jękliwy dźwięk cofnął go do dzieciństwa i młodości, przynosząc niejaką pociechę.

Gdyby go ścigano, to wzdłuż głównych gościńców, zboczył więc z drogi na Lincoln i posuwał się przybrzeżnymi bocznymi traktami łączącymi nadmorskie wsie. Jeździł tędy kilka razy z Balwierzem. Teraz nie uderzał w bęben i nie dawał przedstawień ani nie szukał chorych, bojąc się, że ścigają zbiegłego medyka. W żadnej wsi nikt nie poznał młodego balwierza widzianego przed laty, nie mógłby tu znaleźć świadków pozwalających mu oczyścić się z zarzutów. Byłby stracony. Zrozumiał, że miał szczęście uciekając, i ponury nastrój go opuścił. Życie wciąż jeszcze pełne było niewyczerpanych możliwości.

Niektóre miejscowości rozpoznawał, natykał się w nich na domy i kościoły spalone do fundamentów lub nowe budynki wzniesione w miejscach, gdzie wykarczowano kawałek lasu. Posuwał się mozolnie i powoli, tu i ówdzie bowiem trakty zmieniały się w koryta grząskiego błota, tak że wkrótce jego kobyła była w okropnym stanie. Niemłoda już, zajeżdżona i bez ognia, doskonale się nadawała do tego, by nieść go dostojnym krokiem na wezwania do chorych, ale nie do jazdy błotnistymi wiejskimi drogami. Robił co mógł dla zwierzęcia, często się zatrzymywał i wyciągał jak długi nad rzeką, gdy ona skubała świeżą wiosenną trawę i odpoczywała, lecz nic jej nie mogło przywrócić młodości ani uczynić z niej dziarskiego rumaka.

Skrętnie gospodarował pieniędzmi. Gdzie tylko mu pozwalano, darmo lub za zapłatą nocował na słomie w ciepłych stodołach unikając ludzi, jeżeli jednak nie dało się inaczej, szukał schronienia w gospodach.

Któregoś wieczora w karczmie portowego miasta Middlesborough siedział przypatrując się, jak dwaj marynarze wlewają w siebie koszarne ilości piwa. W pewnej chwili jeden z nich, tęgi i przysadzisty, czarnowłosy, rąbnął pięścią w stół.

— Potrzebujemy rybaka — zawołał. — Płyniemy wzdłuż brzegów do portu Eyemouth w Szkocji. Łowimy śledzia. Nie ma tu kogo chętnego?

W na poły pustej karczmie ucichł gwar, rozległy się nieliczne śmiechy, ale nikt się nie

ruszył.

„Zaryzykować?”—pomyślał Rob. Przecież o wiele szybciej dotarłby w ten sposób do celu. Nawet ocean wydawał mu się lepszy od grzęźnięcia z koniem w błocie, wstał więc i podszedł do rybaka.

— Łódź jest wasza? — zapytał.

— Tak. Ja jestem kapitanem. Zwań mnie Nee. A to Aldus.

— Na mnie wołają Jonsson — przedstawił się Rob, wymieniając pierwsze nazwisko, jakie przyszło mu do głowy, tak samo dobre jak każde inne.

Nee przyjrzał mu się z uwagą.

— Wielki niezdara — burknął, gdy wzięwszy Roba za rękę odwrócił ją dłonią do góry, szturchając pogardliwie miękką skórę.

— Potrafię pracować.

— Zobaczymy — powiedział Nee.

Tej nocy Rob oddał konia jakiemuś człowiekowi z karczmy, gdyż rano nie zdążyłby go sprzedać, a i tak niewiele by za zwierzę dostał. Ujrawszy zniszczoną łódź do połowu śledzi, pomyślał, że jest równie stara i nędzna jak jego kobyła, aczkolwiek lekko kołysała się na fali, zauważył też, że Nee i Aldus nie próżnowali zimą: szpary były dobrze uszczelnione pakułami i zalane smołą.

Kłopoty zaczęły się, jak tylko odbili od brzegu. Wychylny za burtę Rob wymiotował, a obaj rybacy klęli i grozili, że wrzucą go do morza. Mimo mdłości i torsji zmusił się w końcu do pracy. Zarzucili sieć i przez godzinę ciągnęli ją za sobą płynąc pod żaglem, potem we trzech wciągnęli ją do łodzi — była pusta. Próbowali raz za razem, ale na próżno — niewiele złowili, Nee zaś ze złości stał się opryskliwy. Rob był pewien, że gdyby nie jego wzrost, rybacy obeszliby się z nim niezbyt delikatnie.

Na wieczorny posiłek mieli suchary, ościstą wędzoną rybę i wodę śmierdzącą śledziem. Rob próbował coś przelknąć, wszystko jednak zwracał. Na domiar złego Aldus miał rozwolnienie, tak że wkrótce od kubła na nieczystości szedł taki smród, aż nos wykręcało. Smród wszakże nie mógł zrazić kogoś, kto pracował w szpitalu, Rob co rusz opróżniał więc ceber i do czysta wypłukiwał w morskiej wodzie. Być może spełnianie tej prozaicznej posługi zaskoczyło rybaków, w każdym razie przestali go kląć.

Przez całą noc leżał zziębnięty i nieszczęśliwy w łodzi, która w ciemnościach wznosiła się i opadała na fali. Raz po raz czołgał się do burty, aż nic już w nim nie pozostało, co mógłby zwymiotować. Rano od nowa zabrali się do pracy i dopiero gdy po raz szósty zarzucili sieć, poczuli, że coś się zmieniło. Pociągnęli, sieć wszakże ani drgnęła, tkwiła w wodzie jak zakotwiczona. Powoli i z wielkim trudem zaczęli ją wybierać — na pokład wylał się z niej srebrzysty rozedrgany strumień.

— Nareszcie śledź! — tryumfował Nee.

Trzy razy wyciągali sieć pełną, potem coraz mniej było w niej ryb, a kiedy w łodzi zabrakło już miejsca, skierowali się z wiatrem w stronę lądu.

Nazajutrz rano ryby odebrali kupcy, którzy sprzedawali je świeże, suszone na słońcu lub wędzone, oni zaś znowu wyszli w morze.

Robowi dłonie stwardniały i spękały od pracy, mocno piekły go od soli. Sieć często się rwała, toteż nauczył się ją naprawiać, odpowiednio wiążąc oczka. Czwartego dnia mdłości same z siebie ustąpiły i nie wróciły. „Muszę o tym powiedzieć Tomowi”, pomyślał z ulgą uświadomiwszy to sobie.

Z każdym dniem posuwali się dalej w górę wybrzeża, zawijając do coraz to innego portu, by sprzedać ostatni połów, nim się zepsuje. Czasami, w księżycowe noce, Nee wypatrywał chmary rybek maleńkich jak krople deszczu, wyskakujących z wody w ucieczce przed ławicą,

zarzucali więc sieć i ciągnęli ścieżką księżycowego blasku, łowiąc dary morza.

Nee częściej się teraz śmiał. Rob podsłuchał kiedyś, jak mówi Aldusowi, że Jonsson przyniósł im szczęście. Jeśli wieczorem zawijali do kolejnego portu, Nee stawiał załozę piwo i gorący posiłek, po czym we trzech do późna siedzieli i śpiewali. Rybacząc z nimi Rob nauczył się między innymi wielu sprośnych piosenek.

— Będzie z ciebie rybak — orzekł Nee. — Posiedzimy w Eyemouth pięć, sześć dni, żeby zreperować sieci, a potem popłyniemy z powrotem ku Middlesborough. Tak właśnie robimy: dryfujemy za śledziem od Middlesborough do Eyemouth i z powrotem. Chcesz z nami zostać?

Rob podziękował rad, że Nee mu to zaproponował, zapowiedział jednak, że rozstanie się z nimi w Eyemouth.

Przybyli tam parę dni później. W ładnie położonym zatłoczonym porcie Nee zapłacił mu parę nędznych pensów i poklepał go po plecach. Kiedy Rob wspomniał, że potrzebuje konia, poszedł z nim na drugi koniec miasta do uczciwego sprzedawcy, który polecał dwa konie do wyboru, kobyłę i wałacha. Kobyła co prawda znacznie lepiej się prezentowała, mimo to Rob oświadczył:

— Kiedyś jeden wałach przyniósł mi szczęście.

Zdecydował się zatem na wałacha, choć oczywiście nie był to arab, lecz niepozorny angielski konik o krótkich owłosionych nogach i zмирzwionej grzywie. Miał dwa lata, był silny i czujny.

Rob umocował juk za siodłem i dosiadł wierzchowca. Równocześnie z Nee unieśli rękę w geście pożegnania.

— Dobrych połowów.

— Jedź z Bogiem, Jonsson — powiedział Nee.

Rob cieszył się, że wybrał wałacha. Był lepszy, niż zapowiadał jego wygląd. Postanowił go nazwać Al-Burak na cześć konia, który według wierzeń muzułmanów uniósł Mahometa z ziemi do siódmego nieba.

Każdego popołudnia, w najcieplejszej porze dnia, starał się zatrzymać nad jeziorem lub rzeką, by Al-Burak się wykąpał. Próbował palcami rozplatać mu grzywę żalując, że nie ma mocnego drewnianego zgrzebła. Koń wydawał się niestrudzony, drogi już obsychały, toteż Rob podróżował dość szybko. Dzięki temu, że część drogi przebył rybacką łodzią, znalazł się daleko poza znajomymi terenami i teraz wszystko wydawało mu się ciekawsze, bo nowe. Przez pięć dni posuwał się wzdłuż brzegów rzeki Tweed aż do miejsca, gdzie skręcała na południe. Tutaj zoczył na północ i niebawem wjechał na wyżynę, pomiędzy pasma wzgórz. Ze sfalowanych wrzosowisk wyrastały tu gdzieniegdzie skaliste ściany, zboczami o tej porze roku wciąż jeszcze spływały obfite wody z topniejących śniegów. Przeprowadzenie przez każdy potok była więc nie byle jakim zadaniem.

Gospodarstw spotykał niewiele, zwykle leżały z dala od siebie. Jedne były wielkimi posiadłościami, inne skromnymi zagrodami, na ogół dobrze utrzymanymi. Bardzo ładnie wyglądały dzięki panującemu w nich porządkowi, jaki można utrzymać tylko ciężką pracą. Często dął w saski róg. Mieszkańcy zagród byli czujni i strzegli swego, ale też nikt nie próbował jemu wyrządzić krzywdy. Przyglądając się tej krainie i żyjącym w niej ludziom, Rob po raz pierwszy zrozumiał tęsknotę Mary. Nie widział jej od wielu długich miesięcy i czasem się zastanawiał, czy nie jedzie na próżno. Mogła przecież mieć już innego mężczyznę, na przykład tego przekłętą kuzyna.

Dobrze się żyło ludziom na tych ziemiach wprost stworzonych do hodowli owiec i krów. Szczyty wzgórz były na ogół jałowe, za to prawie wszystkie niżej położone zbocza porastały bujne pastwiska. Pomocnikami pasterzy były psy, których Rob nauczył się wystrzegać.

O pół dnia drogi za Cumnock zatrzymał się w napotkanej zagrodzie z prośbą, by mu pozwolono przemocować na sianie, i dowiedział się, że dzień wcześniej pies poszarpał gospodyni pierś.

— Dzięki Ci, Chryste! — wyszeptał jej mąż, gdy Rob powiedział, że jest medykiem.

Była postawną kobietą, matką dorosłych już dzieci. Z bólu odchodziła od zmysłów. Pies rzucił się na nią jak dzika bestia i omal jej nie rozszarpał.

— Gdzie ten pies? — spytał Rob.

— Już go nie ma — oświadczył ponuro gospodarz.

Wspólnymi siłami wmusili w kobietę trochę spirytusu. Krztusiła się pijąc, lecz bez wątpienia pomógł, gdy Rob przycinał i zeszywał poszarpane ciało. Uważał, że i bez jego pomocy by wyżyła, dzięki niemu jednak poczuła się lepiej. Wystarczyłoby, gdyby czuwał nad nią dzień czy dwa, tymczasem był u nich już cały tydzień, aż któregoś ranka uświadomił sobie, że nie wyrusza

dalej, ponieważ do Kilmarnock jest już blisko i zwyczajnie boi

••' się dotrzeć do celu podróży.

•• Wyjaśnił gospodarzowi, dokąd chce jechać, i ten wskazał mu najlepszą drogę.

Wciąż jeszcze miał świeżo w pamięci rany wieśniaczki, gdy

W dwa dni później skądś wyskoczył wielki warczący kundel i zabiegł drogę jego koniowi. Rob już dobywał miecza, lecz jakiś człowiek — pasterz — odwołał psa, po czym krótko powiedział coś po celtycku.

— Nie znam waszego języka — rzekł Rob.

— Jesteście na ziemi Cullenów.

— Tu właśnie jechałem.

— Hę? A to po co?

— Powiem to Mary Cullen. — Przyjrzał się z uwagą pasterzowi, ogorzałemu, młodemu jeszcze, ale już siwiejącemu mężczyźnie, czujnemu jak jego pies. — A wy coście za jedni?

Szkot odpowiedział mu równie bacznym spojrzeniem i z taką miną, jakby nie był pewien, czy ma ochotę cokolwiek mówić.

— Craig Cullen — odparł wreszcie.

— Ja jestem Cole. Robert Cole.

Pasterz kiwnął głową ani zaskoczony, ani przyjazny.

— Lepiej jedźcie za mną — powiedział i ruszył pieszo przodem.

Rob nie widział, żeby dał jakiś znak psu, zwierzę jednak zostało z tyłu i pobiegło tuż za koniem, tak że znalazł się między tym człowiekiem a psem. Czuł się eskortowany niczym znalezisko ze wzgórz.

Dom i obora były z kamienia, solidnej starej budowy. Gdy wjeżdżał w obejście, przyglądała mu się szepcząca między sobą gromadka dzieci. Po chwili dopiero pojął, że są wśród nich jego synowie. Mały Tom szepnął coś do brata po celtycku.

— Co on powiedział? — zainteresował się Rob.

— Zapytał: „Czy to nasz tata?” Odpowiedziałem, że tak.

Rob uśmiechnął się. Chciał obu posadzić na konia, lecz rozbiegli się z krzykiem razem z innymi, kiedy zeskoczył na ziemię. Tom wciąż utykał, biegł jednak z łatwością, co Rob stwierdził z zadowoleniem.

— Są tylko onieśmieleni. Wróć... — powiedziała Mary stając w drzwiach. Odwracała

twarz i unikała jego spojrzenia, Rob zatem pomyślał, że nie cieszy się jego przybyciem. A potem nagle znalazła się w jego ramionach, wtuliła się w nie z cudownym uczuciem. Jeżeli nawet miała innego, to już tu, na podwórzu przed oborą, dali tamtemu wiele do myślenia.

Całując ją Rob zauważył, że u góry po prawej stronie brak jej przedniego zęba.

— Zaganiałam krowę do zagrody i uderzyłam się o jej róg — wyjaśniła nieśmiało i rozplakała się. — Jestem stara i brzydka...

— Do licha! Nie żeniłem się przecie z głupim zębem—rzekł szorstko, delikatnie dotykając szczyby palcem. Poczuł wilgoć i ciepłą miękkość jej warg, kiedy go wessała. — I nie brałem głupiego zęba do łóżka — dodał, Mary zaś uśmiechnęła się, mimo że oczy jeszcze jej lśniły od łez.

— W łan pszenicy — poprawiła. — Na gołą ziemię, z myszami i wszystkim, co pełza. Jak tryk owcę.—Wytarła oczy. — Na pewno jesteś zmęczony i głodny.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do osobnego budynku z kuchnią. Dziwnie było mu patrzeć, jaka jest tu zadomowiona. Podała placki owsiane i mleko, a Rob jedząc opowiedział jej o bracie, którego odnalazł i natychmiast stracił, i o ucieczce z Londynu.

— Jakie to dla ciebie straszne i smutne... Gdyby nie to, przyjechałbyś do mnie?

— Tak, prędzej czy później... To piękny kraj. Ale surowy. Nie odrywali od siebie oczu, bez przerwy się uśmiechając.

— Łagodniejszy, kiedy jest ciepło. Nim się spostrzeżemy, przyjdzie pora na orkę.

Rob nie mógł dłużej wytrzymać przy stole z plackami owsianymi.

— Już jest pora na orkę — szepnął.

Mary nadal z łatwością się rumieniła. To się nigdy nie zmieni, pomyślał z radością.

Kiedy go prowadziła do domu mieszkalnego, spróbowali się objąć, lecz nogi im się plątały, zderzali się biodrami, toteż wkrótce chwycił ich taki śmiech, aż Rob zląkł się, by nie przeszkodził im w kochaniu. Jak się jednak wkrótce okazało, nie mieli z tym kłopotu.

## Jagnięta

Nazajutrz rano, każde wioząc dziecko przed sobą w siodle, wybrali się z Mary na czele na objazd olbrzymiej posiadłości leżącej na pagórkach. Gdziekolwiek Rob spojrzeł, wszędzie widział owce: unosiły czarne, białe i brunatne pyski znad młodej trawy, kiedy je mijali. Mary wywiozła go daleko, pokazując wszystko z dumą. Na obrzeżach wielkiego gospodarstwa znajdowało się dwadzieścia siedem małych.

— Wszyscy ci zagrodnicy to moi krewni — wyjaśniła Mary.

— Ilu w tym mężczyzn?

— Czterdziestu jeden.

— Cała twoja rodzina tu się skupiła?

— Cullenowie. Naszymi krewniakami są też rodziny Tedderów i MacPhee. MacPhee siedzą o cały ranek drogi dalej na wschód, za tymi wzgórzami. Tedderowie o dzień drogi na północ, za wąwozem i dużą rzeką.

— Ilu mężczyzn razem liczą te trzy rodziny?

— Chyba z półtorej setki. Rob ściągnął wargi.

— Toż to cała armia.

— Tak, z tym jest wygoda — zgodziła się Mary. Rob miał wrażenie, że dookoła przepływają nie kończące się strumienie owiec.

— Trzymamy stada dla runa i skór — opowiadała Mary.

— Mięso szybko się psuje, więc wszyscy się nim żywimy. Znudzi ci się baranina.

Tego ranka wprowadziła go w rodzinne interesy.

— Już się zaczęło wiosenne kocenie — powiedziała.

— Dzień i noc wszyscy musimy pomagać owcom. Część jagnięt trzeba zabić między trzecim a dziesiątym dniem życia, kiedy skórka jest najpiękniejsza.

Udzieliwszy tych informacji, przekazała go Craigowi.

Zanim wybiło południe, pasterze zaakceptowali Roba, gdy zobaczyli, że nie traci głowy przy trudniejszych porodach, potrafi też ostrzyć noże i posługiwać się nimi.

Jego natomiast zdumiał i przeraził sposób, w jaki kastrowali nowo narodzone barany. Odgryzali im mianowicie gruczoły płciowe i wypluwali do wiadra.

— Dlaczego tak robicie? — nie omieszkał zapytać Craiga, który wyszczerzył w uśmiechu zakrwawione zęby.

— Trzeba im odciąć jaja. Nie możemy mieć tylu tryków.

— Dlaczego nie używacie noża?

— Zawsześmy tak robili. Idzie najszybciej i sprawia jagnięciu najmniej bólu.

Rob poszedł do swojej skrzynki z narzędziami, wydobył skalpel z cyzelowanej stali i wkrótce Craig i reszta pasterzy niechętnie musieli przyznać, że jego sposób jest równie skuteczny. Nie przyznał się, że takiej szybkości i zręczności nabrał, kiedy robiąc z mężczyzn eunuchów, chciał oszczędzić im cierpienia.

Przekonał się tego dnia, że pasterze to ludzie niezależni i niezastąpieni w swych umiejętnościach.

— Nic dziwnego, że wybrałaś mnie — powiedział Mary później. — Każdy w tym piekielnym kraju jest twoim krewniakiem.

Rzuciła mu zmęczony uśmiech, bo przez cały dzień pracowała przy zdzieraniu skór. W izbie śmierdziało owcami, ale również krwią i mięsem, co Robowi nie było przykre, przypominało bowiem maristan i szpitalne namioty w Indiach.

— Teraz, kiedy ja tu jestem, będziesz potrzebowała jednego pasterza mniej — powiedział, a jej uśmiech zgasł.

— No wiesz!... Rozum ci odjęło? — oburzyła się. Wzięła go za rękę i poprowadziła z izby, w której zdejmowało się skóry, do innego budynku, kamiennego. Wewnątrz znajdowały się trzy bielone izby.

Jedna z nich była gabinetem. Druga wyraźnie została tak przygotowana, by służyć jako pokój badań: umieszczono w niej stoły i szafki upodabniające ją do sali, do jakiej Rob przywykł w Isfahanie. W trzeciej izbie ustawione były drewniane ławy, na których mogli siedzieć pacjenci czekający na przyjęcie przez medyka.

Powoli Rob zaczynał poznawać ludzi, wśród których teraz żył.

Niejaki Ostric na przykład był muzykantem. Ześliznął mu się nóż do zdejmowania skór i przeciął arterię w przedramieniu. Rob zręcznie zatamował krew i zeszył ranę.

— A będę mógł grać?—zapytał z niepokojem Ostric. — Na tej ręce opiera się cała kobza.

— Wszystko będzie dobrze za parę dni — zapewnił go Rob.

Kilka dni później, kiedy przechodził przez garbarnię, gdzie wyprawiano skóry, zobaczył starego ojca Craiga Cullena, Malcolma, krewniaka Mary. Zatrzymał się, bo zwrócił uwagę na jego spłaszczone i opuchnięte czubki palców, krzywo wyrastające paznokcie.

— Mielście przewlekły ostry kaszel. I częste gorączki — powiedział spokojnie staremu.

— Skąd wiesz? — zdziwił się Malcolm Cullen. Było to schorzenie zwane przez Ibn Sine „palcami Hipokratesa” i zawsze świadczyło o chorobie płuc.

— Widzę to po waszych rękach. Przyznajcie, że takie same macie palce u nóg.

Stary kiwnął głową i spytał:

— Możecie coś na to pomóc?

— Nie wiem.

Przyłożył ucho do piersi starego i usłyszał trzeszczenie podobne do tego, jakie wydaje ocet przy gotowaniu.

— Macie w sobie pełno płynu. Przyjdźcie do mnie któregoś przedpołudnia. Wywiercę otwór między żebrami i co jakiś czas po troszku będę odciągał tę wodę. A tymczasem zbadam wasz mocz, przyjrę się, jak postępuje choroba, i przepiszę okadzanie i dietę, żeby was osuszyć.

Tego wieczora Mary z uśmiechem oświadczyła Robowi:

— Oczarowałeś starego Malcolma. Opowiada wszystkim, że masz magiczną moc uzdrawiania.

— Nic jeszcze dla niego nie zrobiłem.

Nazajutrz rano czekał w izbie przyjęć sam, Malcolm jednak nie przyszedł, w ogóle nikt się nie zjawił. To samo powtórzyło się na drugi dzień. Zmartwiony zwierzył się Mary, która pokręciła głową.

— Nie przyjdą, zanim owce nie przestaną się kocić. Już tacy

— Są.

Tak też się stało. Jeszcze przez dziesięć dni nikt się nie pojawił. Kiedy nastał spokojniejszy czas pomiędzy koceniem się owiec a strzyżeniem, Rob otworzywszy pewnego dnia drzwi do poczekalni ujrzał, że wszystkie ławy są zajęte. Stary Malcolm powitał go życzeniem dobrego dnia.

Odtąd co rano zjawiali się u niego pacjenci, gdyż do wszystkich ludzkich sadyb w



wąwozach i dolinach dotarła wieść, że mąż Mary Cullen to prawdziwy uzdrowiciel. W Kilmarnock nigdy nie było medyka, toteż, jak stwierdził Rob, minie wiele lat, zanim uda się naprawić niektóre skutki domowych kuracji. Wieśniacy przyprowadzali też do niego zwierzęta, a jeśli nie mogli, nie krępowali się go wzywać do swoich obór. Stał się specjalistą od zgnilizny kopyt i zapalenia pyska. Gdy nadarzyła się okazja, wykonał sekcję krowy i paru owiec, by wiedzieć, co robi. Przekonał się, że w niczym nie są podobne do świni i człowieka.

Nocami, gdy w ciemnościach izby sypialnej z zapalem oddawali się płodzeniu kolejnego dziecka, Rob starał się wyrazić wdzięczność żonie za urządzenie izby przyjęć. Mary wyjawiała mu, że było to pierwsze, co zrobiła po powrocie do Kilmarnock, po czym pochyliwszy się nad nim dodała:

— No bo sam powiedz, hakimie, jak długo zostałbyś ze mną, gdybyś nie mógł robić tego, co lubisz?

Powiedziała to bez cienia uszczypliwości i zaraz mocno Roba pocałowała.

## Spełnienie przyrzeczenia

Rob zabierał synów do lasu i na wzgórza, gdzie szukali potrzebnych mu ziół i roślin będących składnikami leków, razem je znosili do domu, potem jedne suszyli, inne ucierali na proszek. W czasie tych wspólnie wykonywanych prac uczył ich rozróżniania ziół, pokazując każdy liść i kwiatek. Mówił, jakie zioła stosuje się na ból głowy, jakie przeciw skurczom, jakie pomagają na gorączkę, a jakie na katar, na krwotok z nosa lub odmrożenie, zaropiałe migdałki albo ból w kościach.

Craig Cullen, który wyrabiał drewniane łyżki, wykorzystał swoje umiejętności, by wykonać dla Roba zamykane skrzyneczki do bezpiecznego przechowywania ziół leczniczych. Skrzynki, podobnie jak łyżki, ozdobił wyrzeźbionymi figurkami nimf i duszków, a także różnych dzikich zwierząt. Ich widok natchnął Roba do narysowania kilku figur do gry szacha.

— Mógłbyś mi zrobić coś takiego? — zapytał Craiga, ten zaś, przyjrzawszy się krytycznie rysunkom, rzekł:

— Czemu nie?

Rob narysował więc wszystkie figury i podzieloną na kwadraty tablicę. Po otrzymaniu paru wskazówek Craig wszystkie je wyciął z drewna i odtąd Rob z Mary znowu spędzali po parę godzin nad grą, której Jessego ben Beniamina nauczył nieżyjący już perski król.

Rob postanowił nauczyć się celtyckiego. Książ co prawda nie było, lecz Mary nauczyła go złożonego z osiemnastu liter alfabetu. Teraz już wiedział, jak się zabrać do nauki obcego języka. Ciężko pracował przez całe lato i jesień, a z początkiem zimy potrafił już pisać po celtycku krótkie zdania, próbował też mówić ku ucieście pasterzy i własnych synów.

Zgodnie z jego przewidywaniami zima okazała się surowa. Ostry mróz ścisnął zaraz po święcie Matki Boskiej Gromnicznej. Nadeszła pora polowań. Pokryta śniegiem ziemia ułatwiała tropienie zwierzyny i ptactwa, podchodzenie dzikich kotów i wilków, które napadały na stada. Wieczorami przed wielkim kominkiem w świetlicy gromadzili się wszyscy domowi. Siadywał tam Craig ze swoim struganiem, inni z naprawą uprząży i wszelkimi domowymi pracami, które można było wykonywać w ciepłe i towarzystwie. Ostric przygrywał czasami na kobzie. W Kilmarnock tkano sławne wełniane sukno, najlepsze runo farbowano na kolor wrzosu, używając do tego wywaru z mchów zebranych na skałach. Sukno każdy tkał osobno, wspólnie natomiast wykonywało się w świetlicy jego wałkowanie, czyli kurczenie. Namoczone w mydlanej wodzie sukno rozciągano na stole i wszystkie kobiety razem tłukły je i tarły, przez cały czas śpiewając stosowne do tej czynności pieśni. Ich głosy i dźwięk kobzy Ostrica w uszach Roba brzmiały jakoś szczególnie.

Najbliższa kaplica oddalona była o trzy godziny jazdy, Rob więc sądził, że z łatwością uniknie spotkania z księżmi. Pewnego dnia jednak, drugiej wiosny od jego przybycia do Kilmarnock, w posiadłości Cullenów zjawił się niewysoki pulchny jegomość ze znużonym uśmiechem na twarzy.

— To ojciec Domhnall! Ojciec Domhnall! — zawołała Mary i pośpieszyła go powitać.

Niebawem przybysza otoczyła gromada serdecznie witających go ludzi. Ojciec Domhnall każdemu poświęcił krótką chwilę: tego o coś zapytał z uśmiechem, tamtego poklepał po ramieniu, innemu rzucił słowo zachęty — zachowuje się jak dobry lord wśród poddanych, pomyślał Rob.

Wreszcie duchowny podszedł do Roba i zmierzwszy go z góry na dół, powiedział:

— A więc to ty jesteś mężem Mary Cullen.

— Tak.

— Umiesz łowić ryby?

To pytanie wytrąciło Roba z równowagi.

— Łowią pstrągi.

— No pewnie. Chciałbym cię jutro z rana zabrać na łososa — rzekł Domhnall i Rob przyjął zaproszenie.

Nazajutrz wybrali się o szarym świcie nad wąski rwący strumień. Domhnall przyniósł dwa grube kije — zdaniem Roba o wiele za ciężkie — mocną linkę i dwie podłużne pierzaste przynęty ze zdradziecko ukrytymi w pięknym wnętrzu haczykami.

— Znam ludzi takich jak te przynęty — zauważył Rob, a Domhnall skinął głową, przyglądając mu się ciekawie.

Pokazał mu, jak zarzucić przynętę i ściągać ją po wodzie drobnymi szarpnięciami przypominającymi skoki małej rybki. Wielokrotnie na próżno rzucali przynętę, co wcale nie martwiło Roba, który zafascynowany patrzył na rwący nurt wody, podpatrywał szybującego wysoko w powietrzu orła, nasłuchiwał niedalekiego pisku kuropatw.

I naraz przynęta zniknęła połknięta przez wielką rybę z takim impetem, aż woda chlusnęła. Łosoś natychmiast ruszył pod prąd.

— Podbieraj, bo zerwie linkę!... — krzyknął Domhnall.

Rob już wbiegł do potoku, z chlupotem goniąc łososa, który pierwszym niespodziewanym szarpnięciem omal mu się nie wymknął. Biegł za rybą po kamienistym dnie, przewracając się co rusz w lodowatej wodzie i gorączkowo z niej gramoląc.

Ryba wciąż umykała, tak że ścigał ją po całym strumieniu. Domhnall krzykiem udzielał mu wskazówek, jednakże w pewnej chwili Rob usłyszał głośny chlupot, obejrzał się i zobaczył, że teraz Domhnall ma kłopoty: on także złapał rybę i też znalazł się w wodzie.

Rob walczył, by utrzymać zdobycz w środku nurtu. W końcu wydało mu się, że zapanował nad łososiem, chociaż czuł jego groźny ciężar u końca linki.

Niebawem zdołał ściągnąć na kamienistą płyciznę słabo już opierającą się rybę, rzeczywiście ogromną! Kiedy chwycił za trzonek przynęty, łosoś wykonał ostatni konwulsyjny skok i wyrwał hak ze strzępem krwawej tkanki z gardzieli. Przez chwilę leżał na boku nieruchomo, a Rob patrzył, jak z jego skrzeli wydobywa się gęsta mgła ciemnej krwi, zaraz jednak dał nura w głębinę i zniknął.

Rob stał roztrzęsiony i pełen obrzydzenia, chmura krwi bowiem świadczyła, że zabił rybę, ale ją stracił. Pchnięty raczej instynktem niż nadzieją, ruszył powoli z prądem. Przeszedłszy ledwie kilka kroków, ujrzał przed sobą w wodzie srebrną plamę. Popędził za nią co sił w nogach. Dwa razy tracił z oczu tę bladą zjawę, ryba bowiem odpływała, sama czy też unoszona prądem, wreszcie znalazł się tuż nad nią. W łososiu, przyciśniętym silnym prądem do głazu, tliły się resztki życia. Rob musiał głęboko zanurzyć ręce w paralizująco zimnej wodzie, by wyjąć go i wynieść na brzeg, gdzie zakończył cierpienia ryby ciosem okrucieństwa skalnego. Ważyła co najmniej dwa kamienie.

Domhnall właśnie wyciągał swoją zdobycz, wielkością znacznie ustępującą łososiowi Roba.

— Twoja wystarczy dla wszystkich, co? — powiedział, a kiedy Rob twierdząco skinął głową, wrzucił swego łososa z powrotem do strumienia. Przytrzymał go tam ostrożnie, by woda ożywiła rybę, której płetwy po chwili się poruszyły, lecz tak leniwie, jakby nie walczyła o życie. Potem jednak zaczęły się otwierać i zamykać skrzela, łososa przebiegł dreszcz. Rob patrząc, jak odpływa i znika w nurcie, wiedział już, że ten ksiądz będzie jego przyjacielem.

Zdjęli przemoczone ubrania i rozłożyli do wyschnięcia, a sami położyli się obok na wielkim nagrzanym głazie. Domhnall westchnął.

— Łowienie lososia to nie łapanie pstrągów — powiedział.

— Ano, pstrągi przy tym to jak zrywanie kwiatków przy ścinaniu drzewa — przyznał Rob, który przy okazji upadków w strumieniu zyskał kilka krwawiących ran na nogach i niezliczone siniaki. Mimo to szeroko uśmiechnął się do siebie.

Domhnall podrapał się po okrągłym brzuszku, białym jak u ryby, i zapadł w milczenie. Rob oczekiwał pytań, ale zrozumiał, że ten ksiądz ma zwyczaj czekać, potem zaś słuchać w skupieniu, że odznacza się wielką cnotą cierpliwości, która mogłaby go uczynić groźnym przeciwnikiem, gdyby nauczył się gry szacha.

— Mary i ja nie mamy ślubu. Wiecie o tym? — zagadnął wreszcie Rob.

— Coś na ten temat słyszałem.

— No właśnie. Przez te wszystkie lata byliśmy dobrym małżeństwem. Ale przyrzeczenie ślubne złożyliśmy sobie sami.

Domhnall odchrząknął.

Rob opowiedział mu wszystko, nie pomijając i nie bagatelizując swoich kłopotów w Londynie.

— Chciałbym, żebyście nam dali ślub, ale muszę was ostrzec, że jestem ekskomunikowany — oznajmił na zakończenie.

Leniwie susząc się na słońcu, jęli rozważać ów problem.

— Gdyby ten biskup pomocniczy Worcesteru chciał, zatuszowałby sprawę — zauważył Domhnall. — Ale człowiek o jego ambicjach będzie wolał mieć brata, który zaginął i został zapomniany, niż bliskiego krewniaka haniebnie wykluczonego z Kościoła.

Rob kiwnął głową.

— A gdyby nie mógł tego zatuszować? Ksiądz zmarszczył nos.

— Masz dowód, że na pewno zostałeś ekskomunikowany? Rob pokręcił głową.

— Ale to możliwe.

— Możliwe? Nie mogę pełnić swojej posługi kierując się twoimi obawami. Człowieku! nie mieszaj do tego Chrystusa. Urodziłem się w Prestwock. Odkąd otrzymałem święcenia, nie opuszczałem tej górskiej parafii i mam nadzieję umrzeć jako tutejszy duszpasterz. W przeciwieństwie do ciebie nigdy nie zetknąłem się z nikim z Londynu czy Worcesteru. Nigdy nie otrzymałem żadnego polecenia od arcybiskupa ani jego świątobliwości, tylko od Jezusa... Czy ty myślisz, że wolą Pana jest, abym waszej rodziny nie uczynił chrześcijańską?

Rob uśmiechnął się do niego i pokręcił głową.

Obaj synowie Cole'ów do końca życia mieli pamiętać wesele rodziców i opowiadać o nim wnukom. Msza ślubna, odprawiona w świetlicy Cullenów, była skromna i cicha. Mary włożyła suknię z jasnoszarej materii, przystroiła ją srebrną broszą i nabijanym srebrem pasem z kozłej skóry. Mszy wysłuchała w skupieniu, za to oczy rozbłysły jej mocno, gdy ojciec Domhnall ogłosił, że od tej chwili ona i jej dzieci są nierozdzielnie związani z Robertem Jeremym Cole'em.

Potem rozesłała zaproszenia do wszystkich krewniaków, by przybyli poznać jej męża.

Wyznaczonego dnia do Kilmarnock szlakiem przez niewysokie wzgórza ruszyli na zachód wszyscy MacPhee, a Tedderowie przeprawili się przez wielką rzekę i wąwóz. Zjechali przywożąc ślubne podarunki: owocowe placki, pasztety z dziczyzny, baryłki mocnego trunku i swoje ulubione puddingi mięsno-owsiane. W obejściu Cullenów zapłonęły ogniska, nad którymi powoli obracały się na roznach wół i byk, osiem owiec, tuzin jagniąt i wiele sztuk ptactwa. W czasie przyjęcia gościom przygrywały harfa, kobza, wiola i trąbka, potem zaś Mary z innymi kobietami zaśpiewała.

Przez całe popołudnie zmagali się ze sobą najwięksi rodowi siłacze. Rob poznawał

Tedderów i MacPhee. Jednych od razu polubił, innych nie, przy czym starał się nie przyglądać zbyt liczny kuzynom Mary. W miarę upływu czasu po obejściu snuło się coraz więcej pijanych, z których ten i ów próbował na siłę spoić pana młodego. Rob jednak przepił tylko do żony, synów i ich klanu, pozostałych zaś zbywał uprzejmą wymówką i uśmiechem.

Wieczorem, gdy wszyscy bawili się w najlepsze, wyszedł z obejścia i oddalił się od zagrody. Noc była piękna, gwiazdzista, ale jeszcze nie ciepła. Poczł zapach janowca, a kiedy ucichł za jego plecami gwar wesela, dosłyszł owce, rzenie konia, wiatr na wzgórzach i szum strumieni. I wydało mu się wtedy, że jego stopy głęboko zapuszczają korzenie w tę jałową kamienistą glebę.

## Koło się zamyka

Dlaczego w kobiecie zawiązuje się nowe życie lub nie, zawsze było tajemnicą. Po urodzeniu dwóch synów i bezpłodnych następnych pięciu latach Mary po ślubie znowu rozkwitła ciążą. Była ostrożna w pracy, bardziej teraz skłonna prosić o pomoc mężczyzn.

Wszędzie jej towarzyszyli obaj synowie, spełniając lżejsze prace. Nietrudno było powiedzieć, który z nich zostanie owczarzem. Czasami się zdawało, że Rob J. lubi to zajęcie, ale do karmienia jagniąt zawsze rwał się Tom, błagał też, by mu pozwolono spróbować strzyżenia. Miał w sobie także inne zamiłowanie, które objawiło się w niezdarnych zrazu rysunkach kreślonych na ziemi patykiem. Zauważywszy to, ojciec podarował mu węgiel drzewny i sosnową deskę i pokazał, jak można przedstawiać rzeczy i ludzi. Rob nie musiał synowi mówić, by nie pomijał wad i skaz modeli.

Na ścianie nad posłaniem Toma wisiał królewski dywan Samanidów. Wszyscy wiedzieli, że jest jego własnością, podar

kiem od przyjaciela rodziny z Persji. Raz jeden tylko stanęła przed Mary i Robem ta sprawa, którą pogrzebali w pamięci. Patrząc, jak chłopiec biegnie za odłączoną owcą, Rob zrozumiał, że Tom nic nie zyska, jeśli się dowie, że ma w obcym kraju całą armię nie znanych braci, których nigdy nie zobaczy.

— Nigdy mu nie powiemy — oświadczył wtedy.

— On j e s t twój — z naciskiem powiedziała Mary, po czym objęła Roba.

Między nimi znalazła się rosnąca wypukłość, która miała się stać Jurą Agnes, ich jedyną córką.

Rob nauczył się nowego języka — wszyscy wokoło nim mówili, dostosował się zatem. Ojciec Domhnall pożyczył mu księgę z komentarzami do Pisma Świętego spisany w języku Celtów przez irlandzkich mnichów. Podobnie więc jak niegdyś opanował język arabski studiując Koran, tak teraz nauczył się celtyckiego na Piśmie Świętym.

W izbie, gdzie przyjmował chorych, powiesił „Przezroczystego człowieka” i „Brzemienną” i zaczął uczyć synów anatomii, chętnie też odpowiadał na ich pytania. Kiedy wzywano go do chorego człowieka czy zwierzęcia, często jeden z nich lub obaj mu towarzyszyli.

Jednego razu mały Rob pojechał z ojcem na grzbiecie Al-Buraka do zagrody na wzgórzu. Wszedłszy do domu, natychmiast poczuli przenikający wszystko odór śmierci. Umierała żona Ostrica, Ardis.

Chłopiec przyglądał się, jak ojciec odmierza i podaje chorej napar, potem Rob polał wodą ręcznik i podał synowi.

— Możesz jej obmyć twarz — powiedział.

Rob J. zrobił to delikatnie, troskliwie obmywając spieczoną wargę. Kiedy skończył, Ardis niezdarnie ujęła dziecinne ręce w swoje.

Rob ujrzał, że czuły uśmiech znika z twarzy syna, w jego miejsce zaś pojawia się bladość i zmieszanie wywołane pierwszym przeblyskiem świadomości. Chłopiec gwałtownie wyrwał rękę z uścisku Ardis, a Rob objął szczupłe ramiona i mocno przytulił syna mówiąc:

— Już dobrze, nie trzeba się bać... Już dobrze...

Mały Rob miał ledwie siedem lat, dwa lata mniej niż on, kiedy doświadczył tego samego. Zrozumiał ze zdumieniem, że jego życie zatoczyło pełny krąg.

• Uspokoił i opatrzył Ardis, a po wyjściu z domu chorej wziął syna za rękę, żeby Rob J. poczuł żywotną siłę ojca i mógł się uspokoić. Spojrzał mu w oczy.

— Dzisiaj wyczułeś coś w Ardis, a teraz we mnie czujesz życie... dzięki temu, że otrzymałeś Dar od wszechmogącego Boga. Dobry Dar. To nic złego, nie bój się. Nie próbuj teraz zrozumieć. Przyjdzie czas, że wszystko pojmiesz, a na razie nie bój się.

Na twarz małego Roba wracały powoli kolory.

— Dobrze, ojcie — wyszeptał.

Rob wsiadł na konia, podciągnął chłopca na siodło i zabrał go do domu.

Ardis umarła tydzień później.

Odtąd przez wiele miesięcy Rob J. nie przychodził do izby przyjęć i nie prosił, aby ojciec wziął go ze sobą jadąc do chorych. Rob go nie ponaglał wychodząc z założenia, że dziecko powinno samo zdecydować, kiedy będzie gotowe zaangażować się w cierpienia świata.

Mały Rob tymczasem próbował razem z Tomem zajmować się owcami. Szybko go to znużyło, zaczął się więc wyprawiać samotnie na poszukiwanie ziół i wędrował godzinami po wzgórzach. Wciąż jeszcze nie umiał sobie powiedzieć, czego naprawdę chce.

Darzył jednak pełnym zaufaniem ojca i pewnego dnia wybiegł za Robem wyjeżdżającym z obejścia.

— Ojcie, mogę z wami jechać? Przypilnuję konia, na coś się przydam...

Rob skinął głową i wciągnął go na siodło.

Wkrótce Rob J. znów zaczął zaglądać do niego, gdy przyjmował pacjentów, podjął też naukę, a kiedy skończył dziewięć lat, na własną prośbę zaczął co dzień towarzyszyć ojcu.

W rok po urodzeniu Jury Agnes Mary powiła trzeciego syna, Nathanaela Robertssona, w następnym zaś roku urodziła martwego chłopca, którego przed pogrzebaniem ochrztili imionami Carrik Lyon. Później kolejno miała dwa ciężkie poronienia i choć po nich nadal była jeszcze zdolna do rodzenia, więcej nie zaszła w ciążę. Rob wiedział, że Mary się tym gryzie, gdyż chciała mu dać wiele dzieci, ale był zadowolony widząc, że stopniowo odzyskuje siły i chęć życia.

Pewnego dnia, gdy ich najmłodsze dziecko liczyło pięć lat, do Kilmarnock zawitał człowiek w zakurzonym czarnym kaftanie i skórzanym kapeluszu w kształcie dzwonu, prowadzący objuczonego osła.

— Pokój z tobą — powiedział Rob w Języku, a Żyd rozdziawił usta i odpowiedział:

— Iz tobą pokój.

Był krzepkim mężczyzną z rozłożystą zmierzwioną ciemną brodą, skórą ogorzałą w słońcu i ustami ściągniętymi wyczerpaniem, które wyręło mu zmarszczki w kącikach oczu. Nazywał się Dań ben Gamliel. Pochodził z Rouen, zawędrował więc daleko od domu.

Rob dopatrzył jego zwierząt, podał mu wodę do obmycia i postawił przed nim dozwolone potrawy. Stwierdził, że kiepsko włada Językiem, zdumiało go, ile zapomniał, ale wygłosił błogosławieństwo nad chlebem i winem.

— To wyście Żydzi?—szeroko otwierając oczy zapytał Dań ben Gamliel.

— Nie, jesteśmy chrześcijanami.

— To dlaczego to robicie?

— Ponieważ mamy wielki dług do spłacenia — odpowiedział Rob.

Dzieci usiadły przy stole i gapily się na człowieka innego niż wszyscy, których widziały w życiu, słuchając ze zdumieniem, jak ich ojciec razem z obcym wypowiada niezrozumiałe słowa modlitwy przed jedzeniem.

— Po posiłku zechcecie może zasiąść ze mną do nauki — zaproponował Rob, czując, jak rośnie w nim zapomniane już niemal podniecenie. — Moglibyśmy się zająć studiowaniem

przykazań... — dodał.

Przybysz popatrzył nań z uwagą.

— Wybaczcie, ale... nie mogę!

—Twarz Dana ben Gamliela zbladła. — Nie jestem uczonym — mruknął.

Skrywając rozczarowanie Rob zaprowadził go na miejsce, gdzie gość mógł wygodnie się wyspać — tak właśnie postąpiono by w żydowskiej wsi.

Nazajutrz zerwał się wcześniej. Wśród rzeczy przywiezionych z Persji odszukał żydowski kapelus, szal modlitewny i filakterie i poszedł odmówić ranne modlitwy z Danem ben Gamliem, któremu oczy niemal wyszły z orbit, gdy Rob przywiązał czarne pudełeczko na czole i owinął wokół ręki rzemień tak, by ułożył się w literę imienia Niewymawialnego. Patrzył, jak Rob się kiwa, i słuchał jego modlitw.

— Wiem, kim jesteście — rzekł wreszcie ochryplym głosem. — Byliście Żydem, aleście się ochrzcili. Jesteście człowiekiem, który odwrócił się od naszej wiary i naszego Boga i zaprzedał duszę obcym.

— Nie, to nie tak—powiedział Rob, z żalem spostrzegając, że przeszkodził gościowi w modlitwie. — Wytłumaczę wam, jak skończycie — dodał i zostawił go samego.

Kiedy jednak wrócił, by zaprosić przybysza na ranny posiłek, Dana ben Gamliela nie było. Zniknął też jego koń i osioł, zniknął ciężki juk — gość wołał ukradkiem uciec, niż dłużej przestawać z odstępą.

Był to ostatni Żyd, jakiego Rob spotkał w swoim życiu, nigdy już żadnego nie zobaczył ani nie przemówił więcej Językiem.

Czuł, że zaczyna też zapominać język arabski, toteż pewnego dnia postanowił, że nim go zupełnie zapomni, musi przetłumaczyć „Kanon medycyny” na angielski, aby móc nadal szukać rady u Księcia Medyków. Zajęło mu to nadzwyczaj dużo czasu, aż zaczął sobie powtarzać, że Ibn Sinie mniej czasu zabrało napisanie książki niż Robertowi Cole'owi jej przetłumaczenie.

Czasami Rob żałował, że nie udało mu się przynajmniej raz przestudiować od początku do końca wszystkich przykazań. Często myślał o Jessem ben Beniaminie, ale coraz bardziej godził się z jego zniknięciem — trudno było być Żydem! — i prawie nigdy nie mówił o innych czasach i miejscach. Raz, gdy Tom i Rob J. stanęli do wyścigu w biegu będącym częścią obchodów dnia świętego Kolumba, opowiedział synom o biegaczu imieniem Karim, który zwyciężył w długim, wspaniałym wyścigu zwanym chatir. Niekiedy — zwykle przy którymś z prozaicznych zajęć równo odmierzających rytm życia Szkota: przy wyrzucaniu nawozu z obory, odgarnianiu zasy sniegu albo rąbaniu drew — czuł zapach stygnącej nocą rozgrzanej pustyni, wspominał widok Fary Askari zapalającej szabatowe świece, wściekle trąbienie atakującego bojowego słonia albo zapierające dech w piersi uczucie, że leci jak ptak na długonogim wielbłądzie pędzącym rozkołysanym krokiem.

Z czasem jednak zaczęło mu się wydawać, że całe jego życie upłynęło w Kilmarnock, a wszystko, co się zdarzyło przedtem, to opowieść zasłyszana przy piecu, gdy zimowy wiatr świszczy w kominie.

Dzieci rosły i dojrzewały, żona z wiekiem stawała się delikatniejsza. Mijały pory roku, ale jedno pozostawało niezmiennie: ów szósty zmysł, dotyk uzdrowiciela, nigdy Roba nie opuszczał. Czy to wezwany nocą do łoża chorego, czy wchodząc rankiem do zatłoczonej izby, gdzie przyjmował pacjentów, zawsze był zdolny wyczuć ich ból. Stając do walki z nim, zawsze, tak samo jak pierwszego dnia w maristanie, czuł ze zdumieniem, że go zalewa fala wdzięczności, iż został wybrany, iż to jego znalazła i dotknęła ręka Boga, iż na chłopaka balwierza spłynęła łaska służenia ludziom cierpiącym.



## Podziękowania

„Medicus” to powieść, w której jedynie dwie postacie, Ibn Siny i al-Dżuzdżaniego, są wzięte z życia. Szach o imieniu Ala ad-Daula istniał, lecz zachowało się o nim tak niewiele danych, że na jego postać złożyły się cechy kilku perskich władców.

Za wzór maristanu posłużyły mi opisy średniowiecznego szpitala Adudi w Bagdadzie.

Na zawsze przepadła większość źródeł faktograficznych dotyczących XI wieku, trudno też odtworzyć koloryt tamtych czasów. Gdzie nie znalazłem żadnych zapisów lub były one niejasne, nie wahałem się wprowadzić fikcji, toteż moją powieść należy traktować jako dzieło wyobraźni, a nie próbę odtworzenia fragmentu historii. Za wszelkie błędy, duże i małe, wynikające z tego, że pragnąłem odtworzyć ducha czasu lub miejsca, ja ponoszę winę.

Powieść ta jednak nie została napisana bez pomocy wielu bibliotek i osób.

Dziękuję Massachusetts University w Amherst za przyznanie mi profesorskich przywilejów pozwalających korzystać z wszystkich jego bibliotek. Moje serdeczne podziękowania otrzymuje również Edla Holm z Wypożyczalni Międzybibliotecznej tego uniwersytetu.

Cennym źródłem książek o medycynie i historii medycyny była dla mnie Lamar Souther Library Centrum Medycznego w Worcester przy Massachusetts University.

Smith College uprzejmie zaliczyło mnie do „badaczy przedmiotu”, dzięki czemu mogłem korzystać z Biblioteki Williama Allana Nielsona, a Biblioteka Wernera Jostena w Centrum Sztuk Stosowanych Smitha okazała się znakomitym źródłem szczegółowych danych z dziedziny strojów.

Nigdy mnie nie zawiodła Barbara Zalenski z Biblioteki Belding Memorial w Ashfield, nie szczędząc poszukiwań, jakich wymagały moje kwerendy związane z pisaniem tej książki.

Kathleen M. Johnson z działu kwerend w Bibliotece Bakera w Harvard's Graduate School of Business Administration dostarczyła mi danych z dziedziny historii pieniądza w wiekach średnich.

Pragnę również podziękować bibliotekarzom i bibliotekom Amherst College, Mount Holyoke College, Brandeis University, Clark University, Countway Library of Medicine w Harvard Medical School, bostońskiej Bibliotece Publicznej i konsorcjum Biblioteki Bostonu.

Richard M. Jakowski, doktor medycyny weterynaryjnej, patolog z Tufts-New England Veterinary Medical Center w North Grafton w Massachusetts, sporządził dla mnie porównanie anatomii świni i człowieka. Swoją wiedzę w tej dziedzinie zawdzięczam również doktorowi filozofii Susan L. Carpenter, słuchaczce studiów podoktoranckich w Rocky Mountain Laboratories przy National Institute of Health w Hamilton w stanie Montana.

Rabbi Louis A. Rieser ze Świątyni Izraela w Greenfield w stanie Massachusetts na przestrzeni kilku lat wyjaśniał moje wątpliwości w dziedzinie judaizmu.

Szczegóły dotyczące rytualnego uboju wyjaśnił mi rabbi Philip Kapłan z Associated Synagogues w Bostonie.

Graduate School of Geography przy Clark University zaopatrzyło mnie w mapy świata i dane geograficzne dotyczące jedenastego wieku.

Przy wielu przekładach z łaciny pomógł mi Wydział Klasyczny w College of the Holy Cross w Worcester w stanie Massachusetts.

Robert Ruhloff, kowal z Ashfield w stanie Massachusetts, udzielił mi informacji na temat cyzelowanej błękitnej stali z Indii i zapoznał z czasopismem kowali „The Anvil's Ring”.

Gubernator Phelps z Ashfield zapoznał mnie ze sposobem łowienia łososi w Szkocji.

Zachętę do pracy zawdzięczam swojej poprzedniej agentce (obecnie na emeryturze Patricii Sharthle Myrer, jak również obecnemu swemu agentowi, Eugene'owi H. Winickowi z agencji McIntosh and Otis, Inc. Patricia Myrer podsunęła mi pomysł napisania dziejów rodziny lekarzy, obejmujących wiele pokoleń. Cykl, nad którym obecnie wciąż jeszcze pracuję, jest właśnie realizacją jej pomysłu.

Idealnym wydawcą—twardym i wymagającym, serdecznym i pomocnym — który sprawił, że publikacja tej książki stała się dla mnie ważnym doświadczeniem, jest Herman Gollob z wydawnictwa Simon & Schuster.

W przepisywaniu manuskryptu pomagała mi Lise Gordon, która wraz z Jamie Gordon, Vincentem Rico, Michaeliem Gordonem i Vendi Gordon wspierała mnie swoją miłością i podtrzymywała na duchu.

I jak zawsze wiele zawdzięczam krytycyzmowi, miłej perswazji, stałości i miłości Lorraine Gordon, której od wielu lat winien jestem słowa podzięk.

Ashfield, Massachusetts 26 grudnia 1985

Wydawnictwo „Książnica” sp. z o.o.  
ul. Powstańców 30/401  
40-039 Katowice  
tel. (032) 757-22-16, 254-44-19  
faks (032) 757-22-17  
<http://www.ksiaznica.com.pl>  
e-mail: [ksiazki@ksiaznica.com.pl](mailto:ksiazki@ksiaznica.com.pl)  
Wydanie piąte Katowice 2002  
Skład i łamanie:  
Z.U. „Studio P”, Katowice  
Druk i oprawa: OpolGraf SA